WIEK XIX
STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM VI
WYPISY Nr 704—797

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

PEDAGOG. BIBLIOTEKA
w BIAŁYMSTOKU
WOJEWÓDZKA
16542

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

WYKAZ WYPISÓW.

LXXXIII.

CZARTORYSKI ADAM JERZY (1770—1861).

Wypisy Nr 704—706. Str.

A) Głos w połączonych Izbach sejmowych w dniu 30 stycznia r. 1831. 19
B) Żywot J. U. Niemcewicza (1842—1855). 23

LXXXIV.

KAJSIEWICZ HIERONIM (1812—1873).

Wypisy Nr 707—711.

A) Myśl w skonaniu na polu bitwy 35
B) Do A(dama) M(ickiewicza). 35
C) Podniesienie ducha (ustęp V). 36
D) O pokucie (29 listopada 1842 r.). 36
E) Z kazania o trojakiem życiu i trojakim patryotyzmie (1842) . . 46

LXXXV.

JEŁOWICKI ALEKSANDER (1804—1877).

Wypis Nr 712.

Moje wspomnienia 52

LXXXVI.

PRĄDZYŃSKI IGNACY (1792—1850)

Wypis Nr 713.

Bitwa pod Iganiami 62

LXXXVII.

RÓŻYCKI KAROL (1789—1870).

Wypisy Nr 714—715.

Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 74

LXXXVIII.

OLIZAROWSKI TOMASZ AUGUST (1811—1879).

Wypisy Nr 716—717.

Str.
A) Zawerucha (1836) 84
B) Ze «Snielek» 90

LXXXIX.

POL WINCENTY (1807—1872).

Wypisy Nr 718—742.

A) Pieśni Janusza 103
B) Pieśń o ziemi 122
C) Pamiętniki Imci Pana Benedykta Winnickiego 124
D) Mohort, rapsod rycerski z podania 136
E) Wit Stwosz, poemat z pomników historycznych XV w. 141
F) Z podróży po burzy 144
G) Północny Wschód Europy. 150

XC.

UJEJSKI KORNEL (1823—1897).

Wypisy Nr 743—758.

A) Stance do mojej matki 175
B) Z «Maratonu» (1845—7). 177
C) Ze «Skarg Jeremiego» (1846). 181
D) Ojcowski psalm (1850) 184
E) Z «Melodyi biblijnych» (1852). 185
F) Zawiana chata (1852) 188
G) Z Legendy «Pług i Szabla» (1857) 189
H) Z «Tłumaczeń Szopena» (1857—1860) 193
I) Z części drugiej «Skarg Jeremiego» (po r. 1863). 194

XCI.

GOŁUCHOWSKI JÓZEF (1797—1858).

Wypis Nr 759.

Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka (1858) 205

XCII.

CZAJKOWSKI MICHAŁ (1804—1886).

Wypisy Nr 760—762.

A) Powieści kozackie (1837). 219
B) Wernyhora (1838) 231
C) Ze wstępu do «Wernyhory» 236

XCIII.

TRENTOWSKI BRONISŁAW FERDYNAND (1808—1869).

Wypisy Nr 763—773.

A) Chowanna 260
B) Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem (1843) 284
C) Myślini, czyli całokształt loiki narodowej 287
D) Demonomania, czyli nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci (1844) 295
E) Panteon wiedzy ludzkiej, lub pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii 298

XCIV.

KREMER JÓZEF (1806—1875).

Wypisy Nr 774—777.

A) Filozofia ducha ludzkiego 313
B) Listy z Krakowa 320
C) O najważniejszem zadaniu fllozofii 326
D) Podróż do Włoch 330

XCV.

LIBELT KAROL (1807—1875).

Wypisy Nr 778—786.

A) Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej (1845) . . 348
B) System umnictwa czyli filozofii umysłowej (1849—50) 359
C) Estetyka czyli Umnictwo piękne (1849) 366
D) O odwadze cywilnej (1843) 383
E) O miłości ojczyzny (1844) 389

XCVI.

KOŹMIAN ANDRZEJ EDWARD (1804—1864).

Wypisy Nr 787—788.

Listy 402

XCVII.

KOŹMIAN STANISŁAW EGBERT (1811—1885).

Wypisy Nr 789—790.

A) Mowa Polska 415
B) Polska i Anglia 417

XCVIII.

KOŹMIAN JAN (1814—1877).

Wypis Nr 791.

Wstępne słowo na czele «Przeglądu poznańskiego» (1845 r.). 425

XCIX.

ESTKOWSKI EWARYST (1820—1856).

Wypisy Nr 792—794.

A) «Co powinien u nas w W. ks. Poznańskiem wiedzieć nie tylko nauczyciel, ale i osoby sprawą odrodzenia się ludu szczerze się zajmujące» 445

B) «Kilka wstępnych słów o najpierwszej nauce elementarnej» . . . 446

C) «Czego uczyć w polskich szkołach elementarnych wogóle, a w wiejskich szczególnie?» 451

C.

PRUSINOWSKI KS. ALEKSY (1819—1872).

Wypisy Nr 795—796.

Mowy pogrzebowe i kazania.

a) Z kazania na uroczystość św. Jacka 460

b) Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę Adama Mickiewicza. 461

CI.

DZIEDUSZYCKI HR. MAURYCY (1813—1877).
(RYCHCICKI M. J. A).

Wypis Nr 797.

Zbigniew Oleśnicki (1853) 477

LXXXIII.

CZARTORYSKI ADAM JERZY

(1770—1861).

Urodził się jako syn Adama Kazimierza, generała ziem podolskich, i Izabelli z Flemingów, w Warszawie d. 14 stycznia 1770 r. Lata dziecięce spędził w Różance i Wołczynie, mając za najwcześniejszego pedagoga niejakiego Boissy, byłego kamerdynera ojca. Gdy podrósł, dostał się pod pułkownika Ciesielskiego i wiele mu zawdzięczał. Trzymano go już wtedy, wraz z młodszym o trzy lata bratem, Konstantym, w Puławach i na odmianę w Powązkach, gdzie matka, godząca sentymentalizm idealistki z wielką trzeźwością kobiety wytrawnej, na sielankowej chatce dla chłopców dała godło stanowczości: chatce łatwiej ją było posiąść niż życiu. W szkole puławskiej prócz księży wykładali: Ciesielski i Kniaźnin rzeczy ojczyste, Lhuillier — matematykę i nauki przyrodnicze, Dupont de Némours — historyę, Schow, Duńczyk, po nim Groddeck — klasycyzm. W r. 1786 chłopiec, uczący się dobrze, wysłany z Ciesielskim za granicę, poznał w Pradze filologa Meissnera, w Weimarze — Goethego, który podróżnikom odczytał świeżo napisaną «Iphigenie aus Tauris», a sprawił na nich wrażenie pięknej posągowej siły; poznał Herdera i Wielanda. Po powrocie młodzieniec dokończył nauk w Puławach. Na święta rodzina wyjechała do ciotki Ogińskiej, do Siedlec. Tu młodzieniaszek zakochał się w zwykłej szlachciance, pannie Annie Niezabitowskiej, ale matka odwróciła niebezpieczeństwo, szybko gasząc ogień: i ród nie doznał skazy, i syn wyszedł cało, bez cierpienia. W późniejszem życiu nie był gorącym; owszem, spokojny, rozważny, powściągliwy, chętnie zamykał się w sobie i nie szedł za pierwszem wrażeniem.

W r. 1787 wyjechał powtórnie za granicę, teraz już z matką, do Pomeranii, do siostry Maryi, wydanej za ks. Ludwika Wirtemberskiego (z linii Montbeillard), siostrzeńca Fryderyka II a brata w. księżnej Pawłowej (To powinowactwo właśnie sprawiło, że Aleksander I

do Maryi Wirtemberskiej przemawiał «Ciotko»). Ciągnęły go tu ćwiczenia wojskowe, urządzane przez szwagra, generała pruskiego, miał bowiem żyłkę do wojskowości. Przebył z matką dwa miesiące w Paryżu, gdzie zetknął się ze Stanisławem Potockim, z Niemcewiczem, który już od r. 1784 podróżował po Europie. Ojciec nie pozwolił mu wejść do wojska austryackiego, choć sam już wtedy był austryackim generałem, dowódzcą gwardyi złotej galicyjskiej. Młody pozostał nadal w Paryżu, gdzie przy Piattolim, z wyraźnej woli ojca, uczestniczył w układaniu słynnego memoryału, a raczej niedorzeczności z r. 1788, o najlepszym sposobie dokonania odradzającego przewrotu w państwie, jeszcze przed właściwym ruchem reformatorskim.

Wkrótce potem ojciec sprowadził go do kraju. W sierpniu 1788 r. marszałkował młody polityk na sejmiku w Kamieńcu Podolskim. Podczas Wielkiego Sejmu był świadkiem żywej radości Warszawy, gdy d. 19 stycznia 1789 r. runęła Rada Nieustająca — symbol systematu pół-życia, pół-snu — a wspomnienie tej chwili wystarczyło do rozgrzania duszy w późnym jeszcze wieku. We wrześniu r. 1789 zabrała go matka do Anglii, drogą na Niemcy, Szwajcaryę, Hollandyę. W Szwajcaryi zaciekawiały młodzieńca konstytucye pojedyńczych Stanów; w Anglii uwiązł, bo zaciekawiało go wszystko. Poznawał możnowładców i ich zamki; dłuższy czas wraz z matką zabawił u margrabiego Lansdowne; chciwie chwytał formy życia publicznego Anglików, bywał na wyborach, bywał w parlamencie, przysłuchiwał się rozprawom sądowym w procesie okrutnika Warrena Hastingsa; konstytucyę polityczną, obyczaje i prawa zasadnicze społeczeństwa studyował pod umyślnym nauczycielem, kształcił się w języku i literaturze angielskiej i — wciąż jeszcze — w wiedzy klasycznej; w Edymburgu chodził na wykłady uniwersyteckie; oglądając piękne krajobrazy pojezierza angielskiego i Szkocyi, zwiedzał przytem i rojnie wówczas powstające fabryki właściwej Anglii. Bardzo go wykształciła ta półtoraroczna podróż. Gdy wrócił, jeszcze z głowy nie było wywietrzało marzenie młodzieniaszka, aby mógł wygrać w życiu wielką bitwę i napisać wielki poemat: niezależnie od podniet patryotycznych rwał się do wojskowości jako do zawodu.

Nastała wiosna 1791 r.; rozum i patryotyzm zmogły już złotą wolność, Polska miała z mielizn i raf wydostać się na pełne morze życia ujętego w porządek, organizowała sobie nową, rzeczywistą już, choć wcale jeszcze nie 100-tysięczną, armię. Adam Kazimierz wyrobił był zięciowi indygenat polski, król dał mu dowództwo całej dywizyi; dywizya stała pomiędzy Gołębiem i Puławami: młody Adam wszedł do niej, i to odrazu jako major. Gdy w r. 1792 nadciągnęła konieczność walki z Targowicą i Rosyą, a Wirtemberczyk, mający dowodzić na Litwie, zdradził, tem silniej zacisnęła się dłoń trzymająca oręż; Czartoryski był w całym tym nieszczęsnym odwrocie korpusu litewskiego, dziś jeszcze wywołującym Polakowi rumieniec wstydu na lica; za Granne dostał *Virtuti militari.*

Czas aż do powstania Kościuszki spędzał w Anglii na poważnych studyach, na zawiązkach stosunków, które przyszłość zacieśnić miała. Z wiosną 1794 r. pośpieszył do kraju na wieść radosną; ale już w Brukselli zatrzymał go rozkaz samego cesarza Franciszka II: to ojciec dawał taką asekuracyę synowi przed możliwem kalectwem lub śmiercią, a majątkom swoim przed zaborem.

Po nieszczęściu nastały dla Czartoryskich czasy ciężkie: wszystkie ich posiadłości za nowym kordonem rosyjskim uległy zajęciu. Ogromne starostwa kamienieckie i latyczowskie dostały się Morkowowi; nad wszystkiemi dobrami na Rusi i Litwie rząd zaborczy rozciągnął opiekę; zostawały tylko majątki w zaborze austryackim. Starania cesarza Franciszka dokazały jednak tego, że imperatorowa zmiękła: «Niech mi przyśle synów, a zobaczymy». Adam Kazimierz usłuchał. W grudniu 1794 r. synowie pożegnali się z rodzicami w Wiedniu i pojechali na daleką północ; towarzyszył im niejaki Górski, rezydent Czartoryskich.

Starszy z zakładników był przygnębiony, rozżalony losem narodu, rodziny swej i swym własnym; jechał jako jeniec, w sobie czuł się niewolnikiem, bo szczerze nad upadkiem Ojczyzny bolał: zebrało się w piersiach uczucie i dało natchnienie. Wielkiego poematu wprawdzie wówczas nie napisał, ale dał ujście cierpieniu w szeregu obrazów oraz wywnętrzeń lirycznych, układających się w całość elegijną «Barda polskiego». Najprawdopodobniej utwór ten powstał w zimie z r. 1794—5. W Grodnie, rezydencyi ówczesnej Stanisława Augusta i przy nim Repnina, stanęli Czartoryscy w lutym 1795 r.; zabawili tu długo. Król, zawsze miły, zawsze swobodny i lekki, do każdego, najnieszczęśliwszego nawet, położenia, przystosowujący się pożądaniem maluczkiego osobistego szczęścia, przetrzymał zakładników do W. Nocy na święcone (20 kwietnia); ze swej znowu strony Repnin mustrował ich na wielką uroczystość przyjęcia przez cesarzową. Wyruszywszy wreszcie z Grodna, jechali wolno, tak, iż dopiero d. 12 maja 1795 r. stanęli w Petersburgu. O audyencyi bezzwłocznej nie było mowy: musieli pierwej odbyć kwarantannę, nabrać w płuca petersburskiego powietrza. Na balu u księżnej Galicynowej poznali 17-letniego syna następcy tronu, w. ks. Aleksandra. Starszy od niego o ośm lat Adam odrazu go sobie upodobał.

Dopiero w lipcu nadeszła chwila uroczysta w Carskiem Siole. Cesarzowa okazała się łaskawą; zapewniła jeńców, że im tu dobrze będzie. Zaraz też zaczęła zlewać na nich swe dobrodziejstwa: kazała im wstąpić do gwardyi, starszemu do jazdy, młodszemu do piechoty; wkrótce podarowała im od siebie te same dobra, które zabrała była ich ojcu — wszakże nie wszystkie. Na nowy rok 1796 (v. s.) zostali obaj «kawalerami dworu i pokojów cesarzowej». Zbliżyło ich to do w. książąt i opromieniło w oczach całego wielkiego świata. W. ks. Aleksandra spotykał Adam w parku carsko-sielskim. W kwietniu 1796 zetknęli się sam na sam nad brzegami Newy, a zwarli już z sobą

w ogrodzie tauryckim. Spoiło ich wspólne a urocze widzenie ludzkości, sprawiedliwości i szczęścia powszechnego, które przecież nieodłącznem być musi od rzetelnych swobód, jeżeli już nie od wolności. Przyszły cesarz z zapałem mówił o rewolucyi francuskiej, z nienawiścią o despotyzmie, wysoko stawiał prawa człowieka, bolał nad upadkiem Polski, pragnął ją uczynić szczęśliwą; Kościuszkę zwał wielkim z miłości ojczyzny i z cnót: o La Harpe'ie wreszcie wyrażał się z uwielbieniem. Czartoryski był oczarowany, olśniony; nie sądził, nie rozważał, nie myślał: cały był jednem tylko czuciem. Dochodzenie wartości marzeń, zamykanych w pięknie toczone laharpowskie frazesy, spadnie na niego dopiero w wiele lat później. Teraz zaczął odrazu snuć pasmo nadziei, które na całe lat dwadzieścia stać się dlań miało robotą Penelopy. Wielki książę sam w sercu Polaka rozpalał wiarę w przyszłość, gdy rozbiór Polski nazywał występkiem a srogą krzywdę naprawić przyrzekał.

Dnia 17 listopada 1796 r. gruchnęła po Pałacu Zimowym wieść, że «Semiramida Północy» nie żyje. Gwardzista rosyjski zajmująco opisuje wrażenia wywarte przez śmierć. Syn, zacierając ślady matczyne, wszystko zmieniać i wywracać zaczął. Jeden z przyjaciół tauryckich został następcą tronu, drugi jego adjutantem; ale to wcale nie zacieśniło węzłów: na przeszkodzie stanęła podejrzliwość Pawła I. Czartoryscy nie odzyskali swobody; musieli w r. 1797 asystować koronacyi w Moskwie i dopiero po niej otrzymali pozwolenie odwiedzenia rodziców. W. książę wyraźnie tęsknił za ks. Adamem, bo napisał do niego do Puław. W r. 1798, w porze letniej, cesarz wziął ze sobą Czartoryskiego w objazd po Rosyi, powiózł go aż do Kazania. Tam ciekawy podróżnik rysował ubiory tatarskie i fińskie, zbierał też inne znamiona etnograficzne. Po powrocie obu braciom dostała się Anna, a wkrótce potem płaszcze maltańskie, bo właśnie cesarz wpadł był w ferwor maltyzmu; wreszcie Adam został ochmistrzem a Konstanty — koniuszym dworu w. księżnej Heleny; były to już godności generałów-lejtenantów. W sierpniu 1799 r. starszy z braci poszedł jeszcze wyżej: został radcą tajnym i posłem w Sardynii, której, co prawda, wówczas już nie było, był tylko król z dworem rozbitym, i to poza krajem, we Florencyi. Zaszczyt wyglądał jak kara, i był rzeczywiście i karą i środkiem zapobiegawczym. Chodziło o doraźne przecięcie węzła, który zawiązywać się zaczął między W. ks. Aleksandrową, księżniczką badeńską, a młodym Czartoryskim; może być, że przytem cesarz tak nagle kreowanego dyplomatę podejrzewał o wolnomyślność.

We Włoszech stanął Czartoryski już po bitwach nad Trebią (17—19 czerwca), pod Novi (15 sierpnia 1799 r.) i po przeprawach przez Alpy liguryjskie. Rosyanie tryumfowali; legion Dąbrowskiego do szczętu prawie był zniszczony. Czy o nim pomyślał syn Polski? W pamiętnikach niema jednego choćby westchnienia. Przy Karolu Emanuelu IV rezydował poseł-figurant najpierw we Florencyi, gdzie poznał Alfieri'ego i księżnę Albany, z dzieł Dantego, Giotta, Michała

Anioła i całe średniowiecze wraz z Odrodzeniem; potem w Rzymie, gdzie go żywo zajmowały antyki i świat antyczny, a słabo przyciągały tradycye i pomniki chrześcijaństwa; wreszcie, gdy już króla sardyńskiego zbrakło — w Neapolu. Przez cały czas wczytywał się pilnie w dzieła włoskich pisarzów, nad Dantym dłużej posiedział. Całe poselstwo miało dla niego znaczenie miłej i nauczającej podróży.

Nagle, w początku kwietnia 1801 r., zaskoczył go list z Petersburga; był od wielkiego księcia przyjaciela, teraz już cesarza. Aleksander, tytułując go rzeczywistym radcą tajnym, wzywał jaknajprędzej do siebie. Wezwany nie tracił czasu; w Wiedniu przez Zamoyskich, siostrę i szwagra przyjęty chłodno, jako podejrzany w patryotyzmie, na chwilę tylko zawitał do Puław, i w drugiej połowie miesiąca stanął na miejscu. Zastał przyjaciela zamyślającego się, smutnego, zgryzionego temisamemi wypadkami, które go wyniosły na tron przed czasem. Zaczęło się przecież wcielanie marzeń w czyn. W pokojach osobistych cesarza po obiedzie zbierało się kółko zaufane «młodych», późniejszy «Komitet tajny», a w niem Czartoryski, Koczubej, Strogonow, Nowosilcow, Richelieu z Odessy; stało też krzesło dla La Harpe'a, na równi z innymi wezwanego do Petersburga. Przygotowań było wiele, ale długo z dyalogu nic. Rozmawiano, roztrząsano, radzono, a gdy przychodziło do projektów, rozlegały się słowa: «Jeszcze czas». Dopiero gdy między «młodymi» zjawił się stary Woroncow, rozpoczęły się reformy — «młodzi» jednak nie mieli na ich wykonywanie wpływu. Cesarz lubił w kółku zaufanem, które żartobliwie nazywał «komitetem ocalenia publicznego», rozmawiać o zadaniach politycznych chwili, ale działał poza kółkiem, nawet miał poza niem, bez jego wiedzy, równorzędnych z niem powierników.

Indywidualny stosunek Czartoryskiego coraz bardziej się rozluźniał i gdyby nie szybka reforma zarządu centralnego, nie wieleby może z tego stosunku zostało. Ale wytworzenie w r. 1802 nowych zupełnie w Rosyi zarządów ministeryalnych z prawem wspólnych narad, przyznanem ministrom, uratowało powagę przyjaźni z marzeń tauryckich rodowód swój ciągnącej. Ks. Adam, choć cudzoziemiec, wypłynął na wierzch w państwie obcem na pożytek ojczyzny własnej. Cesarz przy ustanawianiu okręgów naukowych oddał mu kuratoryę wileńską, a co ważniejsza, związany słowem o naprawieniu krzywdy, znajdując poparcie w ministrze oświaty, wyszłym ze szkoły polskiej Zawadowskim, zapewnił przyszłym szkołom okręgu polski charakter. Już w życiorysie Czackiego uwydatniono wiekopomną wartość zdobyczy osiągniętej przez Czartoryskiego. To, że sam kurator (od 5 lutego [24 stycznia] 1803), przy innych jeszcze, dla państwa ważniejszych, zajęciach, bezpośrednią działalnością swoją niewiele stosunkowo zdziałał, niema znaczenia wobec faktu pozyskania udzielnego okręgu naukowego polskiego, z dopuszczeniem wszakże szkoły rzeczywiście ludowej, lud w jego własnem narzeczu nauczającej, a przy ówczesnym składzie społeczeństwa na Litwie i Rusi zdolnej rozwijać się równolegle z sy-

stematem szkoły polskiej i z pomocą sił polskich. Wielce znamiennem dla określenia trzeźwości Czartoryskiego w zasadach i poglądach jest jego stanowisko w sprawie założenia gimnazyum kijowskiego, która ciągnęła się od r. 1804—12.

Owe zajęcia ważniejsze dla państwa czekały Czartoryskiego w ministeryum spraw zagranicznych. Zrazu pomocnik kanclerza Woroncowa, w r. 1803 otrzymał nominacyę na adjunkta protokolistę posłuchań dawanych posłom. Od początku 1804 r. pełnił już funkcye ministra jako zastępca: nie narzucał się, uległ namowom, wymówił sobie służbę bez pensyi i bez wszelkich zgoła nagród, zaszczytów, orderów. Pierwszym jego popisem było nastrojenie dyplomacyi europejskiej na ton energii po zamordowaniu ks. d'Enghien (20 marca 1804). Z jego porady dwór przywdział żałobę; w czerwcu poseł konsula-cesarza porzucał już Petersburg: zanosiło się na wojnę. Czartoryski z Aleksandrem myśleli dać Francyi dynastyę królewską, zwiększyć państwa małe, nacisnąć Turcyę, chrześcijan wziąć w opiekę. Czynem Czartoryskiego była konwencya militarna z Austryą z d. 6 listopada 1804 r., było podpisane przezeń d. 11 kwietnia 1805 r. przymierze z Anglią. Najwybitniejszym pomysłem Polaka, jako ministra rosyjskiego, jest nowa karta Europy z samego początku 1805 r. Przynosiła ona: rozciągnięcie Prus ku południu, Austryi aż na wschód Adryatyku, a w razie rozbioru Turcyi zwiększenie jej Bośnią, Wołoszczyzną, Białogrodem; przywrócenie Stadhuderatu; wskrzeszenie Wenecyi; obdzielenie Francyi i Anglii koloniami; zorganizowanie krajów niemieckich poza Austryą i Prusami w związek, zbity wraz z Holandyą i Szwajcaryą w jedną federacyę. Za to wszystko Rosya miała dostać Cieśniny z Konstantynopolem oraz Korfu, a cesarz jej tytuł «Protektora Słowian i Wschodu». Przy takiej karcie świat trzymanyby był w równowadze przez Anglię i Rosyę. Nie były tedy stracone ani podróże na Albion, ani wywiezienie do Rosyi; Czartoryski stawał na gruncie rosyjskim i panslawistycznym a oceniał należycie potęgę angielską. Biegł jednak przez ten memoryał także i szlak myśli i żądzy polskiej — niestarte piętno autorstwa: Polska odzyskałaby swój byt polityczny pod berłem Aleksandra I; Austrya i Prusy w zamian za owe przyrosty terytoryalne oddałyby mu ziemie polskie, a onby je już jako państwo polskie urządził. Tem marzeniem o Polsce w związku z Rosyą łudził się Czartoryski przez lat dwadzieścia, dopóki go nie rozczarowała praktyka konstytucyonalizmu w Królestwie. Błąd wyznał w chwili uroczystej w r. 1831; ale wówczas, na gorąco, marzenie swe jeszcze pogłębiał, gęstszemi jeszcze oparami wzmacniał. Ponieważ Prusy uprawiały politykę dwulicową, usiłował więc cesarza od nich oderwać i nawet na nie rzucić, by w przymierzu z samą tylko Austryą łatwiej dotrzeć do celu.

Rosya staczała się coraz szybciej pod horyzont wojenny, ale geniusz Napoleona wzbudzał taki lęk, że musiał się zawahać cesarz, wahał się i minister. Już wczesną wiosną 1805 r. sam Czartoryski

podsunął zgodę z Francyą i usiłował zawrzeć pokój w t. zw. traktacie Clarke'a, którego jednak cesarz nie zatwierdził; rojenia wszakże swego ministra tolerował. Wojska ruszyły naprzód, nad Wisłę na pomoc Austryi, nad Dunaj przeciwko Turcyi; zdawało się, że cesarz idzie za Czartoryskim i jego marzeniem a przeciwko Prusom. Przyjazd do Puław w październiku (1805), uśmiechy i słodkie słówka, czynione wręcz obietnice, wielka uprzejmość dla szlachty, zjeżdżającej się tłumnie na wezwanie Czartoryskiego — dawały wróżbę pomyślną. Ale cesarz szybko się zoryentował, że dogodniejszem dla niego i dla państwa będzie utrzymanie nadal tak świeżych jeszcze węzłów rozbiorowych z Prusami. Jeden z Dołgorukich — a byli oni wszyscy wraz z Razumowskim, ministrem w Wiedniu, przeciwnikami Czartoryskiego — wysłany nagle z Puław do Berlina, dla wyjednania przejścia przez Prusy, zdmuchnął pałacyk z kart. Cesarz pojechał do przyjaciela z Kłajpedy (1802); d. 2 listopada zaprzysięgli sobie obaj monarchowie przyjaźń wiekuistą u grobu Fryderyka II, a nazajutrz ten sam Czartoryski, który na Prusy podżegał, musiał własną ręką podpisywać traktat zaczepno-odporny z niemi.

Po Austerlitzu i cesarz i minister szczęśliwi byli, że mogli się przedrzeć przez bagna holeszowskie jaknajdalej od Napoleona; obaj znaleźli wytchnienie dopiero w Międzyrzecu podlaskim u Konstantego. W Petersburgu Czartoryski, przypisując klęskę podstępnemu opóźnieniu posiłków przez Prusy, nie przestawał pracować nad oderwaniem od nich Aleksandra I i zachęcać go do zajęcia linii Wisły. W marcu 1806 r. wątpił już o przyjaźni i przyjacielu i żądał dymisyi; powtórzył to żądanie w kwietniu 1806 r.; cesarz milczał. Zależność przeciągała się, blakły nadzieje, do dawnych memoryałów przybywały nowe, równie bezpłodne, aż wreszcie Aleksander zdecydował się ocalić monarchię pruską — tylko, że się z ocaleniem spóźnił.

Po Jenie, w grudniu, zachęcał Czartoryski przyjaciela swego do współzawodniczenia z Napoleonem na widowni polskiej: tak dalece był jeszcze zaślepiony. Cesarz pochwycił pomysł, wziął z niego jednak tylko łupinę: wezwał Kniaziewicza do Taurogów (zima 1806/7), aby samem wezwaniem i przewidywaną uległością legionisty zrobić już *éclat* w Polsce; ale takiemu skutkowi zapobiegło na razie odrzucenie misyi, a potem polityka podejrzliwości i nękań na Litwie i Rusi. Czartoryski wciąż wisiał na urzędzie i dopiero po bitwie iłowskiej (7 i 8 lutego 1807) dostał następcę w Budbergu. Lepianka przyjaźni rozsypywała się, mocarz jednak nie przestawał trzymać Czartoryskiego przy sobie; czynił to i z nałogu i dla niedopuszczenia go do Księstwa, i z rachuby na sympatye polskie. W rozmowie z d. 12 listopada 1808 r. były minister wyrzucał cesarzowi popełnione błędy, ośmielał go do wywrócenia polityki napoleońskiej swą własną, szczerszą a lepszą; wybornie charakteryzował cezara-parweniusza i z poza kotary dyplomatycznej wychylał niezwiędłe oblicze patryoty polskiego: wszystko nadaremnie. Kiedy w początku r. 1810 wyjechał na stanowisko swe do Wilna, już po

kilku tygodniach doszło go naglące wezwanie, aby wracał. Aleksander, myśląc teraz o zmianie urządzeń wewnętrznych w duchu decentralizacyi, przedstawił ich zarys i zażądał memoryału. Czartoryski ostudzał zamysły złemi warunkami polityki zagranicznej i nienależytym stosunkiem do Polaków. Cesarz wysłuchał kazania, wyraził żal za r. 1805 oraz gotowość do zrobienia pozornej wojny z Francyą, ale na tor myśli Czartoryskiego wejść nie chciał.

Od półtora roku już zalegały sprawy wileńskie, pilne i ważne; osobiste upominanie się nie przynosiło rozwiązania. Zniecierpliwiony wreszcie kurator żąda w listopadzie (1810) nieograniczonego urlopu, usuwa się nawet zupełnie z kuratorstwa, proponując na swe miejsce Czackiego lub Ogińskiego. Cesarz znowu odmawia i, co więcej, używa «przyjaciela» za narzędzie do odrywania umysłów polskich od Napoleona i Księstwa, z myślą już o krwawem starciu. Skutek nie odpowiedział oczekiwaniom, bo i gorliwość pośrednika zawiodła rachuby. Aleksander trzyma go ciągle jeszcze na uwięzi, gdy w r. 1811 obrabia szlachtę litewską. Na zjeździe w Mińsku uderzyła wszystkich nieobecność Czartoryskiego; cesarz usiłował ukoić zdziwienie słowami: «Książę dał mi już tyle dowodów swego przywiązania i gorliwości; wywdzięczam się mu tylko, nie wzywając go tutaj». Pochlebne słowa osłaniały niechęć. Był to najprzykrzejszy może moment w całem długiem paśmie stosunku. Żądanie dymisyi z jednej strony, odmawianie jej z drugiej nie ustawały. To dziwne zazębienie się, które wyrozumieć można brakiem stanowczości w charakterze, tłómaczy pobudki listu do Matuszewica z d. 10 czerwca 1812 r., listy wyjaśniającego przyczyny nieprzystępowania do konfederacyi warszawskiej. W każdym razie uchylenie się Czartoryskiego, łącznie z obietnicami dawanemi przez Aleksandra Ogińskiemu i konstytucyą już układaną dla Litwy, oziębiło jeszcze bardziej ducha za Niemnem i Bugiem po wtargnieniu Wielkiej Armii.

Dopiero pogrom, straszny dla Napoleona i dla nas, wytrącił Czartoryskiego z bezczynności. Teraz już on pierwszy ofiarowuje swe usługi (27 grudnia 1812), chce uratować Księstwo, wpatruje się już w przyszłe Królestwo. Cesarz odpowiada listem z Lejpun i Krasnopola (13—15 stycznia 1813), zapewnia o niezmienności uczuć swych dla Polaków, proponuje traktat z Księstwem, a spotyka się z przyjacielem w Kaliszu przy traktacie z Prusami (28 lutego).

Po wzięciu Paryża (30 marca 1814) spotkali się dawni przyjaciele na nowo, po raz już czwarty, i cesarz na nowo zaczął go używać do swoich robót. We wrześniu, kiedy do Wiednia zaczęli się zjeżdżać dyplomaci, zjawił się wśród nich i Czartoryski na wyraźne polecenie Aleksandra. Urzędowego charakteru nie miał; w nieurzędowym, jako pośrednik prywatny, mając przy sobie Szaniawskiego za sekretarza, grać nieraz musiał rolę pilnika i hebla nawet na własne swe zamysły i nadzieje; ale niewątpliwie jego wpływ osobisty, w nieustannem już teraz obcowaniu z przyjacielem młodości, utrzymywał umysł cesarza w nastroju narzucanym przez sam już formalny opór

dyplomacyi przeciwko zaborowi Księstwa jako nagiej zdobyczy oręża. Ks. Adam, jeszcze przed zobaczeniem się przyjaciół w Paryżu, przez wysłańców i korespondencyę pobudzał opinię publiczną Anglii, jej parlament i prasę, do upomnienia się o Polskę całą, jak niegdyś była, a podczas samego Kongresu wywołał od Anglików żądanie swobód dla tego skrawka, któryby z postanowień kongresowych wyjść mógł jako «Polska». Wpływy, wywierane na Greya, Wilberforce'a, Mackintosha, na samego Casttlereagha w Wiedniu, jego są pracą i zasługą. Mimowoli, chcąc zrobić coś dobrego dla swoich, musiał osłabić rzetelność węzłów swych z cesarzem.

Po 3 maja 1815 r., kiedy już nareszcie dyplomacya wytworzyła Królestwo Polskie, Czartoryski zabrał wcześnie już ułożone własnym rozsądkiem, wiedzą i pomysłowością «Zasady do Konstytucyi», a przy nich nominacyę na członka, wiceprezesa rosyjsko-polskiego Rządu tymczasowego, i w pierwszej połowie czerwca zjawił się w Warszawie. Był teraz tutaj główną osobą, kierował, rządził, organizował — pracował wiele, bo zbutwiała za czasów Rady Najwyższej administracya kraju, przy powolności prac przedwstępnych w r. 1814, domagała się zupełnego z gruntu przetworzenia a nowe państwo potrzebowało szybkiego zorganizowania władz i urzędów. Te pięć miesięcy, od lipca do podpisania konstytucyi («27 listopada», rzeczywiście 1 grudnia), to jedyny okres działalności politycznej Czartoryskiego w Królestwie Kongresowem przed powstaniem. Kiedy Kościuszko w liście do niego (13 czerwca 1815) usunął się od nowego systematu, głos powszechny oddawał namiestnictwo w Królestwie ks. Adamowi: rzeczywiście, nikt nie był od niego zdolniejszym do tego urzędu, nikt go lepiej sobie nie wysłużył, i nikt też indywidualnością swą nie poręczał uczciwszego jutra i pomyślniejszego rozwoju. Ale oczekiwania i nadzieje zawiodły: w. książę nie pomieściłby się w jednym rządzie z Czartoryskim; namiestnikiem został, zrazu sam zdziwiony zaszczytem, Zajączek, który też stał się powolnem narzędziem, jakie właśnie rzeczywisty rządca mieć chciał. Sam cesarz czuł niewłaściwość pominięcia, wstydził się go niejako. W stosunku zapanował chłód; Czartoryski jednak, zostawszy tylko senatorem-wojewodą, nie zrzekał się dawnego swego tytułu przyjaciela, nie przerywał korespondencyi, trwał na stanowisku doradcy politycznego. Wielką wartość dowodową ma list jego z dnia 28 stycznia 1816 r., poparty nowym z d. 6 lutego t. r., oraz rozmowa z samym cesarzem w paźdz. 1816 r. w Warszawie. W liście tym pełno jest zdrowych rad i wskazówek na przyszłość z ufnością jeszcze w dobrą wiarę drugiej strony. Na dziwactwa, na całą srogość i nawet okrucieństwa w latach następnych, na czyny zadokumentowane samobójstwami i dymisyami oficerów, nawet porzucaniem służby przez generałów, nie lękał się dawny przyjaciel zwracać uwagi mocarza, i to nie dobierając bynajmniej słodkich jakichś słówek. W tych i innych też sprawach odzywał się coraz śmielej, coraz ostrzej, aż w ważnym dla historyi liście z Sieniawy z d. 14 sierpnia 1819 r. stanął już na wysokości

męża dziejowego, spoglądającego na widownię, która jego własną być nie miała. Osobiście na tej widowni rzadko się ukazywał. Jako senator uczestniczył tylko w dwóch sejmach 1818 i 1830 r., a pomiędzy jednym a drugim w Sądzie sejmowym; na pierwszym należał do komisyi Senatu roztrząsającej postępowanie i działania administracyi, na redakcyę raportu wywarł wpływ znaczny i on go też odczytał *in pleno*. Odtąd aż do r. 1828 w życiu Królestwa jakby wcale nie istniał.

Od początku nowej doby miał rezydencyę w Puławach, zdanych mu przez ojca, po którego skonie (1823) odziedziczył tytuł księcia na Klewaniu i Żukowie. W r. 1817 ożenił się z Anną Sapieżanką, a miał o nią, jakgdyby jeszcze młodzik, pojedynek z Pacem. W maju r. 1818 odwiedził Aleksander I Puławy — już nie jako przyjaciel z lat dawnych, ale jako łaskawy monarcha. Żona Czartoryskiemu chorowała: w r. 1819 wyjechał za granicę, aby ją leczyć; poza krajem spędził przeszło półtora roku. Jeszcze raz skorzystał z nieodjętych wyraźnie praw przyjaciela i zarazem z praw kuratora, aby w liście do cesarza zaprotestować łagodnie przeciw zamierzonej reformie Liceum krzemienieckiego. Gdy wrócił — a było to już po burzliwym sejmie r. 1820 — na wiosnę roku następnego, i rozejrzał się w położeniu, troska patryotyczna podała mu pióro do ręki, i znowu napisał śmiały list (Sieniawa 21 sierpnia 1821) przeciwko natchnieniom i zamysłom reakcyjnym cesarza, w tym stylu już ostatni. Nie okazał jednak śmiałości w sprawie lelewelowej «wojny z dziećmi», nie skorzystał od pierwszej chwili ze swych praw, nie wystąpił w atrybucyi twardego wobec krzywdy dziecięcej opiekuna; okazał się miękkim nad wyraz w rozmowie z w. księciem w maju 1823 r. w Warszawie, nieopatrznym wobec podłego Nowosilcowa — niegdyś przyjaciela, co prawda, hojnie opłacanego — i ostatecznie dał się mu wysadzić z siodła. Sielanka młodości już wówczas świeciła jak błędny ognik na mogile przeszłości. Po chłodnem przyjęciu w Wilnie w r. 1822 ostatni raz zobaczyli się marzyciele tauryccy w jesieni r. 1823 w Wołosowcach, pod Międzybożem. Wtedy już ks. Adam przestał być rzeczywistym kuratorem i, zaledwie dopuszczony, domagał się tylko dymisyi; otrzymał ją wreszcie w kwietniu 1824 r. i zaraz wyjechał za granicę. W liście pożegnalnym umiał pogodzić godność własną z wdzięcznością za wieloletnią blizkość, która jednakże najczęściej trzymała jednego od drugiego — daleko.

Od powrotu do kraju (1822) stale mieszkał w Puławach utrzymywanych bez przerwy na stopie siedziby nauk, sztuk i umiejętności i ogniska światła. Podniosły ten charakter swojej rezydencyi, można powiedzieć, olbrzymio wzmocnił przez nabycie, za 20.000 dukatów, wspaniałych zbiorów poryckich. Już w r. 1822 powziął zamiar założenia drukarni, a w tym zamiarze umacniał go z Wiednia Ossoliński; z drukarni miały wychodzić książki poważne, dokumenta historyczne. Ogólny ucisk myśli i słowa, a przytem wyjazd za granicę, opóźniły urzeczywistnienie do r. 1830.

Gdy w procesie Tow. Patryotycznego nadeszła doba sądzenia, Czartoryski, jako jeden z sędziów sejmowych, pośpieszył z zagranicy do obowiązku: w r. 1827 był już w Warszawie. Stanowiska swego nie zmarnował: nietylko dał głos za karą lżejszą, ale własnem swem przekonaniem urabiał zdania innych. Usprawiedliwienie wyroku z dnia 24—30 maja 1828 r., prawnie gruntowne, dyalektycznie, rzec można, świetne, właściwie nie Bielińskiego, ale jego, Czartoryskiego, jest dziełem. Wraz z innymi sędziami zamknięty w Warszawie, przesiedział w niej do początku wiosny 1829 r.; w maju był na koronacyi i wyniósł z niej godność wielkiego podkomorzego, nowego zupełnie w Polsce urzędu dworskiego, na wzór rosyjski. Niema śladu wpływu jego na umysły młode, które wytworzyły spisek koronacyjny, ale jest w «Żywocie Niemcewicza» świadectwo niezbite rzeczywistości tego sprzysiężenia, przez Słowackiego przesłonecznionej w dramat.

Dopiero dwudziesty dziewiąty listopada wyzwał Czartoryskiego na widownię polityczną. W pierwszej chwili 60-letni już człowiek był przerażony, patrzał na ruch jak na nieszczęście, nazwisko swe pod odezwą z nadrania 30-go kładł szczerze. Na wizycie w Wierzbnie (2 grudnia) jego łagodność w rozmowie odpowiadała trwającemu wciąż lękowi; gdy spisywano układ z w. księciem, oddychał; nie uważał, aby rewolucyjny środek zatrzymania osoby odpowiadał i etyce i interesowi. Wogóle rewolucya, jak nazwano od razu powstanie, była dla Czartoryskiego czemś strasznem, wszelkie poruszenie się ludu — niebezpiecznem. Wkroczenie jednak Szembeka, zwolnienie wojska z przysięgi, przystanie jego ochocze do ruchu — nie mowa tu o generałach — rozjaśniały zwolna mroki cierpiącej od nich samowiedzy. Czartoryski zaczął przystosowywać się coraz lepiej do zjawiska i wypadków, dopóki wreszcie powstania za narodowe nie uznał i w uczestnictwie nie wyczuł obowiązku. Już d. 1 grudnia jako prezes Wydziału wykonawczego rady administracyjnej zwołał na 18 t. m. sejm; przez krótką chwilę, do pierwszej dyktatury, przewodniczył Rządowi tymczasowemu; za dyktatury legalnej, przez sejm potwierdzonej, był prezesem Rady Najwyższej i prezesem Senatu. Nowego zwołania sejmu na d. 19 stycznia 1831 r. chętnie dokonał, dla pozbycia się Chłopickiego, który i sam też już zaszczytu dźwigać dłużej nie chciał. Ustawa o wodzu naczelnym, wybór Radziwiłła — co prawda, nieszczęsny — ustawa Rządu narodowego, tak samo jak poprzednio manifest z datą 20 grudnia, pod jego bezpośredniem powstały działaniem. Przy owej wstrzemięźliwości sprzysiężenia (ob. Lelewel, Mochnacki), przy ilościowej i jakościowej niemocy inteligencyi demokratycznej a rewolucyjnej, nie było nikogo prawowiciej powoływanego na czoło rządu: to też d. 30 stycznia ze 138-u oddanych głosów na niego padło 121. Gdyby Aleksander I wraz z bratem swoim nie wzdragał się był w listopadzie 1815 roku w Czartoryskim ujrzeć namiestnika, nie ujrzałby w nim teraz Mikołaj I prezesa rządu powstańczego. Detronizacyi był książę przeciwny, a gdy uchwaloną została, oparł się zbyt ostrej redakcyi manifestu lelewelow-

skiego. W rządzie objął wydział spraw zagranicznych i zwłaszcza za już Horodyskiego co było ważniejszego sam robił. Okólniki od czerwca prawie wszystkie wyszły bądź z jego głowy, bądź z pod jego ręki.

Dziękując za wybór, wyspowiadał się z dążności, ze stosunku z cesarzem, z wiary i rozczarowania, z zamiarów i ducha, jakiego pragnął dla powstania: walka, i tylko walka, miała być zadaniem rządu, jak była już zadaniem narodu. Ale czy człowiek 60-letni, który nigdy nie odznaczał się siłą, a już w r. 1812 nie zdobył się na poryw serdeczny, mógł słowa, w dobrej wierze danego, dotrzymać? Czy sam nawet ideał walki mógł szczerze wyznawać, skoro działalność swą w miesiąc już po wejściu do rządu, nie na walkę, ale na dyplomacyę skierował?

Samo już jego własne wyznanie, że mimo przodującego stanowiska był w rządzie zbiorowym w mniejszości, jeśli przytem uwzględnimy prawne upośledzenie Lelewela, nie stwierdza w prezesie rządu potrzebnej energii. Wiara w Skrzyneckiego — do pewnego stopnia kreatury Czartoryskich — piętnuje taki rozum, jakim się odznaczał urzędowy sternik powstania. Rady dawane generalissimusowi od dyplomacyi, dobrej kuchni, karety i koronki — dawane w ostatniej chwili, kiedy los był już nieodwróconym — dla biografa Czartoryskiego będąc ostatnim już oparem z młodzieniaszkowego marzenia o wielkiej bitwie, nie grzeszyły wprawdzie nierozsądkiem, ale ostatecznie mogły mieć tylko dyletanckie, a wobec płytkiej zatwardziałości człowieka czysto tylko teoretyczne znaczenie. Słabe zachowanie się w ruchu reformistycznym w czerwcu, niepojęta bezkrytyczność, względność, nawet uprzejmość na radzie inkwizycyjnej d. 27 lipca, pozostawienie Skrzyneckiemu wolnej ręki w Bolimowie, nawet już po odebraniu dowództwa, przeciąganie sądu nad więźniami z 29-go czerwca — świadczą zarówno o ociężałości woli jak o stężałości umysłu, niezdolnego już do szybkiej oryentacyi. Tolerowanie pochodu Dembińskiego na stolicę — wtedy, kiedy szedł na nią już Paskiewicz — dodając jeden jeszcze rys do owej odrazy od wszelkich ruchów z charakterem rewolucyjnym, przedstawia się jako krok wyzywający właśnie taki ruch w d. 15 sierpnia. Sam ten dzień był dla Czartoryskiego fatalnym. Wieczorem, uciekając z miasta, dostał przy rogatkach wolskich kulę w płaszcz, i ledwo uszedł z życiem. Na trzeci dzień nie było już rządu: był Krukowiecki i figuranci przy nim, i sejm oplątany we własne sieci z połowiczności woli, nieszczerości żądzy i niezdarności organizacyi; był błyskawicznie już zbliżający się upadek stolicy.

Dwaj ludzie — wraz z trzecim, Mochnackim, najwybitniejsi, Lelewel i Czartoryski, ludzie z umysłowości swych biegunowo sobie przeciwni, w równej mierze, choć w odmienny sposób, dowiedli swego niedowładu w polityce praktycznej. Obaj też wrogo się starli z sobą, a było to nazajutrz po odwrocie Dembińskiego z Litwy, zakończonym na Pradze d. 3 sierpnia. Szczęśliwy dowódzca zdawał w rządzie

sprawę z odwrotu; wszczęły się rozprawy. Jak opowiada Barzykowski («Pamiętnik» T. IV, str. 433), Lelewel uniósł się aż do zapamiętania; zarzuciwszy sejmowi i rządowi — w którym, jak wiemy, bardzo mało znaczył — brak potrzebnej rewolucyjności, gdy zarzut wywołał zaprzeczenia, zapewne niełagodne, namiętnie już podniecony porwał się z krzesła, podbiegł do Czartoryskiego i zawołał: «Tak, tak, książę zdradzasz...» — zapewne ideę swoistą powstania — ale myśli swej nie dokończył. Wyzwany rzucił się na niego, według słów pamiętnikarza, «jak lew rozdrażniony», chwycił go za pierś, zatrząsł nim i wrzasnął: «Ja czy ty zdrajca?» Lelewel «zbladł jak chusta, ani słowa nie rzekł i stanął jak martwy». Rozłączono przeciwników; w sali pozostał napastnik sam. Wyjaśnienie z jego strony, stawiające osobę prezesa rządu ponad wszelkiemi podejrzeniami, utorowało drogę do zgody, która umożliwiła przynajmniej dalsze współpracownictwo, zresztą już niedługie.

Dnia 15 sierpnia skończył się zawód polityczny ks. Adama. Z ową żyłką do wojskowości, z chęcią nieodrywania się od sprawy publicznej, otrzymał od Krukowieckiego pozwolenie przyłączenia się do korpusu Ramoriny, ruszającego na Rosena i Gołowina. Jako ochotnik d. 22 sierpnia opuścił Warszawę, aby jej już nigdy więcej nie ujrzeć. W pochodzie, spostrzegłszy odrazu, że nie wszystko idzie jak iść powinno, zażądał z Warszawy Prądzyńskiego. Ale powołanie tej niepospolitej siły nie odbiło się na wyniku wyprawy: nieprzyjaciel, skazany na rozbicie, uszedł, bo Włoch zabawiał się we flegmatyczną przechadzkę, nie słuchał ani Prądzyńskiego, ani Czartoryskiego, a gdy ani jeden ani drugi z nich nie zdobył się na energię strącenia go, nie usłuchał i rządu w Warszawie, nie pośpieszył, póki jeszcze był czas, pod zdobywaną stolicę, lekceważył później rozkazy z Modlina i Zakroczymia — i ostatecznie wkroczył do Galicyi (17 września). Ochotnik, który rzeczywiście w boju chwycił za karabin, a raz nawet znalazł się w niebezpieczeństwie, z Zawichosta, na wezwanie Samuela Różyckiego, pojechał do Kielc, zlepił tam coś w rodzaju miejscowego zarządu powstańczego, ale wobec natarczywego pochodu wojsk rosyjskich, wraz z całym oddziałem pomienionego generała, wszedł d. 27 września na terytoryum wolnego miasta. Wieczorem już uciekał z Krakowa, przeprowadzany przez rezydenta austryackiego na Podgórze.

Początek emigracyi upłynął Czartoryskiemu głównie w Anglii na dopomaganiu Niemcewiczowi w zjednywaniu umysłów dla sprawy polskiej i na nowych usiłowaniach, których owocem była prawie 30-letnia przyjaźń z Polską szlachetnego lorda Dudleya Stuarta. Dzięki Czartoryskiemu powstało Stowarzyszenie literackie ludzi nam życzliwych, mieniących się wyraźnie Przyjaciółmi Polski, w Londynie i podobne mu w większych miastach prowincyonalnych. Niezmordowanym był wygnaniec w staraniach, zabiegach i naleganiach skierowanych na Palmerstona, Broghamua, Greya i innych ministrów, na wybitnych członków parlamentu, aby ich pobudzić do ujęcia się dyplomatycznego

nie tylko za Polską kongresową, ale za całym ciężko przytłoczonym narodem. Czy to szło o pozostawienie Królestwu konstytucyi, czy o zaprotestowanie przeciw Statutowi Organicznemu, czy o ulgi dla ofiar powstania zwabianych z Prus z pomocą urzędników i oficerów pruskich, czy o los dzieciątek porywanych z ulicy, ze szpitala Dzieciątka Jezus, z łona rodzin nawet, i zamienianych w kantonistów, uwożonych do osad nad Morze Czarne i pod Kaukaz — Czartoryski nie przestawał składać memoryałów, czynić zabiegów, odwoływać się do uczuć humanitarnych Anglii. Nie było cierpienia narodowego, któregoby nie nanizał na różaniec skarg i żądań zanoszonych przed opinię publiczną narodu przodującego wówczas w Europie. Głośna na cały świat interpelacya Fergussona w czerwcu 1832 r. (druga z rzędu), pamiętna z niesłychanych w dziejach parlamentaryzmu objawów gniewu i oburzenia, jego była dziełem. Opuścił Anglię patryota polski dopiero wtedy, gdy już utracił zupełnie nadzieję, żeby dyplomacya angielska na cokolwiek odważyć się mogła.

Kiedy w roku 1833 osiadał na stałe w Paryżu w nabytym pałacu Hôtel Lambert na wyspie (Ile St. Louis), miał już gotowe stronnictwo, cały obóz monarchiczny — nie bez własnego przyzwolenia i nawet przyczynienia się — ale głównie staraniem osobistych i dawnych swych przyjaciół jeszcze z powstania, — «arystokratów» z sejmu, jak ich zwano jeszcze w Warszawie, dawniejszych i świeższych monarchistów, do których zaciągnął się w r. 1834 i sam Mochnacki. Legion algierski, wyprawa do Portugalii, zaciągi do Hiszpanii, rozsadzenie emigrantów po Francyi były albo wywoływane albo uznawane pod firmą Czartoryskiego. Zwolna starzenie się umysłu, nałóg wielkości, tradycyjny w rodzie, wrażenia z bliższego kręgu nietylko szczerze oddanych, ale i interesownie narzucających się, otaczanie osoby czcią jakby dworską, przy słabości natury ludzkiej i niewielkiej wogóle sile indywidualności — wyrobiły w samym Czartoryskim jakby przeświadczenie o prawie do jakiejś królewskości, przeświadczenie, które już samym urokiem swoim utrwalało nałóg w człowieku, rodzinie i obozie. Kiedy demokraci mówili o dynastyi i królu, nie było w tem ani oszczerstwa, ani stosowania zwykłej między stronnictwami taktyki kłamstwa: to też nie bez powodów akt zbiorowy demokracyi w Poitiers z dnia 29 lipca 1821 r. uznał księcia za nieprzyjaciela emigracyi polskiej. W dwadzieścia lat później protestacyę ponowiły, za wpływem Lelewela, tysiące wychodźców, między którymi byli i wcale nie radykalni. Z powstaniem w r. 1839 «Trzeciego Maja» — stronnictwa i czasopisma — królewskość Czartoryskiego zyskała organa, nieszkodliwe dla Ojczyzny, ale słusznie ośmieszane, jak ośmieszane były w pierwszych latach emigracyi słynne pieśni księdza Praniewicza z muzyką i bez muzyki. Czartoryski dźwigał całe brzemię odpowiedzialności, choć ciężyła na nim tylko część winy. Słowacki jako «Republikanin z Ducha» wystosował do niego piękny swój list, a w apostrofie do autora «Trzech Psalmów», przyznając, że Czartoryski wśród szlachty karmazynowej był rzeczywistym z ducha szlachcicem, dodał dotkliwe, ale jakże prawdziwe: «Mara króla, zgnił z królami».

Obowiązkom patryotyzmu wygnańczego całe to nieszczęsne urojenie, ta jazda «na koronacyę przez imaginacyę», przynajmniej w osobie samego księcia Adama, nie uwłaczała. Zabiegał on ciągle środkami agitacyjnemi, publicystycznemi i czynem o pośredni pożytek Ojczyzny. Już w r. 1834 utrzymywał «Kronikę emigracyi», w duchu monarchicznym prowadzoną a przez lat pięć wydawaną. Kiedy zjednoczenie wygnańców, poza Towarzystwem demokratycznem będących w większości ogromnej, okazało się niewykonalnem, a przeciwstawność pojęć i obozów, uwielokratniając się, groziła nawet społecznem rozproszeniem, jedynie tylko opiekuńcza i kulturalna działalność, częstokroć zaś, osobista inicyatywa i praca Czartoryskiego sprawiała, że potomstwo wygnańców nie było odrazu wydane na pastwę wynarodowienia, a oni sami żyć mogli życiem umysłowem polskiem. Towarzystwo pomocy naukowej, Tow. literackie (kwiec. 1832) później Tow. historyczne (od r. 1836 złączone w jedno), Biblioteka polska, szkoły na prowincyi, szkoła Montparnasse, Instytut panien w Hotelu Lambert, powstawały przy czynnem jego poparciu moralnem i materyalnem, w niezależności od widoków pseudo-politycznych. W Tow. hist.-literackiem miewał prawie co rok mowy na pamiątkę 3 maja i 29 listopada, najczystszym patryotyzmem natchnione. Dla dyplomacyi europejskiej wydawał przed r. 1840 cenne archiwum «Portfolio», układał memoryały i noty dla ministrów, wyjaśnienia dla dziennikarzy, uderzał do Izby francuskiej i do angielskiej — trzymał u siebie formalną kancelaryę dyplomatyczną. Ilekroć polityka wschodnia wirowała około osi wyłącznych interesów rosyjskich, ostrzegał o tem Europę; trzymał na miejscu odpowiednie organa śledcze, wyprzedzające agentów dyplomacyi urzędowej; od Kaukazu też wzroku nie odwracał. Kiedy w r. 1848 wybuchły w Europie rewolucye, rozsyłał wywiadowców, podpisał odezwę rewolucyjną emigracyi; już w końcu marca, w towarzystwie gen. Chrzanowskiego do Berlina osobiście zjechał, aby sprawę polską, przez sam rząd na porządek dzienny wprowadzoną, wpływem swoim poprzeć i kierunku jej dopilnować. Tu napisał list do Cernima i memoryał dla Lamartine'a o potrzebie wskrzeszenia państwa polskiego. Po powrocie do Paryża w początku maja zwołał sejm, wzywał do poparcia go jako organu narodowego. W czerwcu dopominał się od Francuzów broni dla Galicyi. Legion Mickiewiczowski w dalszym jego rozwoju usiłował opanować, jawnie stając w poprzek dążeniom wieszcza przez upoważnionych przez siebie: Zamoyskiego i Breańskiego. Podczas wojny krymskiej wykołatał pozwolenie na zaciągi polskie, chcąc z nich mieć rzeczywiste legiony, a w głównych ogniskach opinii europejskiej prowadził nieustanną agitacyę. Kiedy po wojnie przyszła amnestya, sam, jako skazany w r. 1834 przez wielki sąd polityczny (Poklękowskiego) na ścięcie, na równi z Lelewelem i wielu innymi, odtrącony od łaski, nie zalecał powrotu, ale i nie odwodził wybierających się w drogę. Na kilka lat przed śmiercią,

kiedy Warszawa wraz z całym krajem mogła żyć przynajmniej społecznie i kulturalnie, kiedy ożywiło się też za Niemnem i Bugiem, i potrzeba było jawnej kontroli politycznej, któraby czuwała nad kierunkami zapędów i oznaczała narodową wartość każdego ważniejszego momentu w rozbudzonem życiu, powstały w Paryżu, z wiedzą, wolą i wpływem Czartoryskiego «Wiadomości Polskie» (1858—60).

Przy osłabieniu umysłu zachował mąż sędziwy czerstwość fizyczną starców zdrowych. Na parę lat przed śmiercią widywano go jeszcze na przejażdżkach konnych. Śmierć zabrała go bez wielkich cierpień uprzednich d. 15 lipca 1861 r. w Montfermeil, w pobliżu Meaux, dokąd lekarze wywieźć go nakazali. Dnia 23 lipca ciało, sprowadzone do Hôtel Lambert, po wspaniałym pogrzebie, według zwyczajów polskich odprawionym, złożono na cmentarzu w Montmorency. Wobec tak znakomitego skonu nie zamilkła wprawdzie zawiść stronnicza, odzywały się sądy krytyczne, ale nie było rozszczepiających różnic, gdy chodziło o wartość dodatnią człowieka wśród ludzi poważnych przekonań i dążeń. I słusznie, bo po tem czystem życiu, choć były w niem błędy, zboczenia, nawet zdrożności, na niebie polskiem pozostała smuga jasna.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Czartoryskiego. A) Druki: α) *polskie:* 1) «Bard polski» (wyd. z odpisu przez Niemcewicza w «Skarbcu» Sienkiewicza, t. I. str. 465—89, powtórnie os. Paryż 1860; z autografu wyjątki obfite i streszczenie w «Puławach» Dębickiego [ob. tu II; rkps odpisu w arch. rodzinnem nr. 144]. 2) «Myśli dążące do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich i podania im środków dojścia do niepodległości (!) bez szkody właścicieli» (Warszawa 1814, folio, Estreicher). 3) Mowa przy ogłoszeniu Królestwa Polskiego d. 20 czerwca 1815 r. (Warszawa; przekłady). 4) Mowy krzemienieckie (ob. u Estreichera). 5) «Zdanie o Kniaźninie» w przedmowie do «Poezyi» jego (Wilno 1820). 6) Mowy w sejmie 1830 r. 7) «Pochwała Jana Pawła Woronicza w «Tow. Prz. Nauk» (Warszawą 1830, 8⁰; t. r. Puławy, 16⁰; po raz pierwszy «Assarmot» i «Sejm Wiślicki»). 8) «Dernier mot sur le Statut organique» (Paryż 1832). 9) «Zbiór mów mianych od r. 1838—47» (Paryż 1847, Bibl. Pols.; wyd. Olizarowski; przekład niem. Biedermanna (ob. II); przekł. pojedyńczych mów franc. współczesne). 10) Mowy po r. 1847 u Estr. 11) «Życie Kniaźnina» («Przegląd Pozn.», 1853, os. Poznań t. r.). 12) «Żywot J. U. Niemcewicza» (Paryż 1860, Bibl. Polska; Berlin, Behr; VIII i 454 str. 8⁰; w połowie książki źródła). 13) «O pańszczyźnie» (Paryż 1858). 14) «Testament polityczny» (Paryż 1861, 4 str. 4⁰). — β) *francuskie* i inne: 14) «Essai sur la diplomatie ou manuscrit d'un Philhellène publié par M. Toulouzan (Paryż 1830, Didot; 423 str. 8⁰; wyd. 2-gie tamże 1864).

15) «Alexandre I et le pr. Czartoryski Corresp. particulière avec une introduction par Ch. de Mazade» (Paryż 1865, 368 str. 8⁰) — a w obszerniejszem wydaniu wraz z pamiętnikiem francuskim Czartoryskiego jako 16) «Mémoires du prince A. Czartoryski et sa corr. avec l'Emp. Alexandre I. Préface de mr. Ch. de Mazade (Paryż 1887, Plon; 2 t. 8⁰: I — XX, 438; II — 396 str.). Wydanie to przełożył na angielskie i wzbogacił dokumentami z pocz. wieku XIX i z r. 1832, ze stosunków z Anglią Adam Giełgud: 17) Memoirs... and his corr. with Alexander I, with documents... (Lond. 1888, Remington; 2 t. 8⁰ maj. I — VIII, 336 str.; II — VIII, 366 str.; 2 podob. obl.). Ob. tu oddział II. 18) «Korrespondencya ks. Adama Czartoryskiego z lat 1831—3» («Album Muz. Nar. w Rapperswylu», Poznań 1871; str. 127—231; 71 listów; wyd. Plater Wład).

B) Rękopisy. Pozostałość jest tu bardzo obfita, przeważnie w listach, a przechowywana, może wyłącznie, w przebogatem, wspaniałem Archiwum Książąt Czartoryskich w Krakowie, przy bramie Floryańskiej, w dwu oddziałach: prywatnym, rodzinnym, domowym i w publicznym, dostępnym dla badaczy bez umyślnego pozwolenia. W oddziale pierwszym mieszczą się prace literackie, zabytki z pierwszej młodości, kiedy życie upływało przeważnie w domu i rodzinie, oraz z lat późniejszych, bądź dotyczące stosunków rodzinno-majątkowych, bądź też z powodu wyjątkowej swej ważności wyjęte z pod powszechnego użytku. Oddział drugi obejmuje głównie korespondencyę, niezmiernie rozległą i liczną, dalej dokumenta, pomysły, zaznaczenia i opisy dotyczące wypadków i czynów politycznych. Całe życie publiczne księcia Adama tkwi w tym zbiorze szacownym, a wraz z niem, rzecz prosta, i ta strona epoki, której indywidualność jego się dotknęła. *a)* Z lat ministrowania i stosunków z cesarzem Aleksandrem mamy korespondencyę z Woroncowem r. 1801—7, nr. 5528—33 (w niej i dokumenta ministeryum spraw zagranicznych), z Tatiszczewem r. 1805—7 nr. 5538, Cycyanowem r. 1802—5 nr. 5539, Ypsylantim r. 1806—8 nr. 5540, Gentzem r. 1805—6 nr. 5534, Piattolim r. 1803—7 nr. 5508, «Papiery dyplomatyczne» r. 1807—10 nr. 5279; wreszcie ważne «Pisma X. Ad. Czartoryskiego, gdy szło o zdecydowanie Alex. I, aby się królem polskim ogłosił» nr. 5231. *b)* Z lat przedkongresowych: «Protokóły posiedzeń Komitetu reformy (cywilnego) od 4 lipca 1814 r.; pisma i papiery tegoż 1814—5 r.» nr. 5233—6, «Papiery dypl. 1813 i 1814 r.» nr. 5239. *c)* Z Kongresu wiedeńskiego nr. 5238. *d)* Z czasów Królestwa: «Organizacya Król. Kongresowego» nr. 5240—2, «Projekta do Ustawy konstytucyjnej Król. Polsk. i postanow. Namiestnika» r. 1815—6 nr. 5261, do Sądu Sejmowego nr. 5272—3, 5276—8, 5252 «Raporta, protokóły Komissyi (sejmowych), z r. 1830; «Uwagi Senatu» nr. 5244—8; «Papiery... oświecenia publ. w Król. Polsk. r. 1815—30» nr. 5227. *e)* Z czasów powstania 1830—1, prócz 18 voluminów do dziejów Rządu Narodo-

FILOLOG. BIBLIOTEKA

wego (nr. 5295—5312), urzędowych papierów wojska (nr. 3939), koresp. Skrzyneckiego (nr. 3937 i 3942), jeszcze «Listy... do gen. Skrzyneckiego 1831 r.» nr. 3934—5. *f)* Z e m i g r a c y i: «Kor... 1831—2 r. z Anglii» nr. 5274, «Niektóre pisma... 1831—4 r.» nr. 5275, «Rozmowy... 1837—53 r.«i «Listy do lorda Stuarta Dudleya r. 1834—52» nr. 5473—5, «Dudley Stuart do X. Ad. Czartoryskiego 1834—51» nr. 5517—9, «Emigracya, T r z e c i M a j 1831—48 r.» nr. 5330, Listy Bema do Czartoryskiego r. 1832—47 nr. 5483, Bystrzonowskiego r. 1835—40 nr. 5484, Chrzanowskiego r. 1832—50 nr. 5485, Dembińskiego r. 1832—49 nr. 5498, «Emigranci polscy w Ameryce do X. Adama Czartoryskiego 1834—7» nr. 5500. *g)* V a r i a nr. 2905—11, 5280—5, 5476—80, 5482. — Dowody i świadectwa z czasów k u r a t o r s t w a również jak z czasów ministrowania, w archiwum rosyjskiego Ministeryum spraw zagranicznych (por. tu Oddział II); u Zamoyskich w pozostałości po Wł. Trębickim listy. Rękopisów literackich szukać trzeba w oddziale pierwszym Archiwum przy Muzeum Czartoryskich; wiele tytułów podają Bieliński i Dębicki.

II. Pisma o Czartoryskim. 1) Askenazy S. «Dwa stulecia» (Warszawa 19..). 1bis). Tenże «Polska a Europa, podług dziennika Adama ks. Czartoryskiego» («Bibliot. Warsz.» 1909). 2) Tenże «Wczasy historyczne» (Warsz. 19..). 2 bis) Baliński M. «Pamiętn. o Śniadeckich» (Wilno 1866). 3) Barzykowski St. «Historya powstania listopadowego». (Poznań 1883—8, 5 t.; wydawca Aër [Rzążewski] tak nazwał «Pamiętniki»). 3 bis) Biederman «Cz. u. seine Stellung z. Sache Polens» (Lipsk 1848 2 t.; tu i przekł. mów). 4) Bieliński J. Dr. «Żywot ks. A. J. Cz. z przypis. i portretem, 2 tomy w jednym» (Warszawa 1905, Geb. i W.; dodat. do «Tyg. Illustr.» dwie paginacye, 8⁰ min. Jest tu bibliografia z Arch. domowego, jest i z lit. ros.). 5) Tenże «Uniwersytet Wileński» (Kraków [Warsz.] 1902—4, 3 t. 8⁰; wskaźnik). 6) Bignon L. «Hist. de France jusqu'à la Paix de Tilsitt»; (Paryż 1830 6 t.; wyd. 4⁰ maj. 1 t.). 7) Tenże «Hist. de France sous Napoléon...» (Paryż 1838 4 t. i pośm. tamże 1847—50 4 t., wydawca Ernouf). 8) Bojasiński J. «Rządy tymcz. w Królestwie Polsk. (Warsz. 1902). 9) Budzyński Mich. «Wspomnienia z mojego życia» (Poznań 1880, 2 t.) 10) Czartoryska Izabella «Listy księżny... do starszego syna, ks. Adama» (Kraków 1891; wyd. Seweryna Duchińska). 11) Dębicki Ludwik. «Puławy» (Lwów 1887—8, 4 t. 8⁰; wiele do życia i pism w młodości). 12) Forster K. «Powst. Nar. Polskiego w r. 1831» (Berlin 1873, «Teka narod.»; czasy upadku, Krukowiecki). 13) Gadon Lubomir «Książę A. Cz. podczas powst. list., przyczynek... na własnych jego pismach» Kraków 1892; (wyd. 2-gie, tamże 1901—2; ważne). 14) Tenże «Emigracya Polska» (Kraków 1901—2, 3 t. 8⁰, ryciny; sięga tylko do r. 1834). 14 bis) Heltman Wiktor «Emigracya polska» (Paryż 1861). 15) Mochnacki M. «Powst. Nar. Polskiego» (Poznań 1863; t. I, str. 285). 16) Ogończyk «Ks. A. Cz. i Józef Twardowski, kor. 1822—4»

(Poznań 1899). 17) «Sbornjik materiałow dlja jistoriji proswjeszczenija w Rossiji jizwleczennych jiz Archjiwa Mjin. Nar. Prosw.». T. II. «Uczebnyja zawedenija w Zapadn. gubern. 1802—4 goda» (Petersburg 1897, 4⁰ elato (8⁰ max.); XCVI str., 1160 półstr.; źródło pierwszorzędne: prace Czartoryskiego; o gimn. kijow. półstr. 1083—4). 18) Słowacki Jul. «Do ks. A. Cz-go Republikanin z Ducha» (Paryż 1848, 8 str.; prozą; «Pisma»; jest i list drugi, niedokończony). 19) Śniadecki Jan i Czartoryski A. J. «Listy Śniadeckiego do Cz-go odpisał i uwagami zaopatrzył A. Wrzosek» (Lwów 1903). 20) Szjilder W., gen. ros. «Jimperator Aleksandr I, ego żjizń ji carstwowanie» (Pbrg 1897, 4 t. Opracowanie poważne). 21) Viel-Castel «Un diplomate polonais au XIX s.» (Paryż 1862; pierwot. w «Correspondant», przekł. Kraków 1863). 22) Zaleski Bron. «Żywot ks. A. J. Cz.» (Poznań 1881, 8⁰; tylko t. I wyd. już po śmierci autora, doprowadz. do skonu ces. Pawła; więcej o Czartoryskich niż o ks. Adamie). 23) Tenże «Ks. A. J. Cz-go ministerstwo spraw zagran. w Rosyi» («Przegl. Polski» 1878—9, str. 3—37, os. Kraków 1878). 24) Żmigrodzki Michał. «Ks. A. Cz. jako pedagog» «Prz. n. i lit. 1885, t. XIII). 25. Kipa Emil «Stosunki A. Felińskiego z ks. kuratorem A. Cz-m (1818—20)» («Pam. lit.» 1908, str. 616—22 [Notatki]). 26. Hahn W. «Jul-a Słowackiego S a m u e l Z b o r o w s k i», str 58. «Rocznik Tow. Hist.-liter. w Paryżu r. 1870 2» (Poznań 1872, Żup.; tu w życ. Morozewicza str. 637—8 pobyt Cz-go w Berlinie 1848). 27. O stosunku do legionu Mickiewiczowskiego i w ogóle do ruchów polskich za granicami kraju wiele wiadomości pewnych w znakomitym zbiorze «Mémorial de la légion polonaise de 1848 créée en Italie par Ad. Mickiewicz», wydanym przez Władysława Mickiewicza (3 t. Paryż, 8⁰, t. I r. 1877, II 1909, III 1910). Wogóle literatura emigracyjna; drobne u Estr. w odsyłaczu końcowym; Lelewel, Mochnacki; Tow. Demokr. w Paryżu i Londynie.

A) Głos w połączonych Izbach sejmowych w dniu 30 stycznia r. 1831.

(«Kuryer Polski» 1831 nr. 411).

704) Cóż może być w życiu droższego, jak ufność i przychylność swoich współobywateli? Raczyliście mnie dziś tym drogim zaszczytem obdarzyć, mianując mnie prezesem Rządu Narodowego; a wspomniawszy na przeszły mój zawód, przekonywam się, że tem większy daliście mi w tym razie dowód zaufania.

W tak stanowczej chwili życia mego sądzę, że nie mogę wam i narodowi lepiej całej mej wdzięczności wynurzyć i o mojem poświęceniu zapewnić, jak tłómacząc się w krótkości z długiego zawodu i zdając wam sprawę o dawnych i teraźniejszych moich przekonaniach.

Los zrządził, że połowa z górą życia mojego przeszła w tej smutnej epoce, kiedy imię Polski z karty Europy zmazane było i kiedy dla ojczyzny, dla narodu, nic skąd inąd nie można było uzyskać, tylko przez Monarchę władnącego większą częścią kraju naszego.

Zdarzyło się także, że ten monarcha był młodym, szlachetnym, przychylnym Polszcze i Polakom.

Te rysy jego charakteru wznieciły na zawsze we mnie stałe przywiązanie do jego osoby; zdało mi się, że należy korzystać z pomyślnego trafu: przyjąłem za cel i zasadę mego postępowania skojarzyć sławę szlachetnego Aleksandra z uszczęśliwieniem i wskrzeszeniem opuszczonej Polski.

Trudy Polaków w tej epoce dla ojczyzny poniesione nie miały i mieć nie będą głośnej świetności. Zapomnienie ich *[tak]* czeka. Nie były atoli bez zalety, ani też pozostały bez skutku. Do spełnienia wszystkich widoków długo w swych zamiarach dla Polski nieodmiennego Aleksandra zabrakło tylko ostatniego czynu: połączenia prowincyów, czynu, którego niesłuszne odmówienie dzisiejsze koleje sprowadziło.

W dziejach ludzkich godnym zastanowienia potomności, pozostanie ówczesny obraz Polaków, którzy przez czas zagłady swojej ojczyzny, każdy na miejscu gdzie go los postawił, czy nad Sekwaną czy nad Newą, podług możności i położenia, nigdy nie przestawali tego czynić, co rozumieli prowadzącem do dobra ojczyzny, i, o sobie wzajem nie wiedząc, a z wielu miar przeciwnie działając, przecież w czuciach zgodni i w dążeniu do jednego celu zmierzali.

Mojem przekonaniem było, że Polska, pozostając w związku z narodem jednego szczepu, przez długie wprawdzie, lecz spokojne następne i nieprzerywane usiłowania może z pewnością odzyskać nakoniec swą całość, odzyskać wszystkie skutki i prawa niepodległości. To przekonanie kierowało mojemi czynnościami i było ich zasadą.

Lecz kilkunastoletnie gwałcenie praw konstytucyi, częste odstąpienie od umówionego celu, liczne prześladowania zniweczyły nadzieję, osłabiły przyjętą zasadę. Wypadki zaś naszej rewolucyi wstrząsły ją do gruntu i uczyniły niepodobną do zastosowania.

Naród wyjawił niewątpliwe głośno w tej mierze przekonanie; zerwały się związki.

Cóżkolwiek polityka doradzać może dla dobra kraju, każdego obywatela w takich okolicznościach jest świętym obowiązkiem do czucia, do woli narodu, tak wyraźnie, tak jednomyślnie objawianego, całem się sercem przyłączyć.

Tak uczyniłem: sprawy narodu odstąpić, nie dzielić jego niebezpieczeństwa i losu, nie poświęcić siebie, kiedy tego ogólna wymagała potrzeba, uznałem przeciwnem głosowi sumienia.

Teraz, gdy rozkazujecie znowu, abym na czele stanął Rządu narodowego, temiż powodami prowadzony, acz czując całą moją nieudolność i potrzebując już odpoczynku spracowanym siłom, przyjmuję ten chlubny ciężar waszą ręką nałożony; będę go nosił z duszą mocną i wytrwałą, nie sądząc, aby wolno komu było uchylać się od trudów wspólnych.

Lecz, przyjmując powierzony mi urząd, jeden tylko warunek kładę, że go złożyć w każdym razie wolno mi będzie, skoro się przekonam o niemożności służenia dłużej krajowi pożytecznie, i że w ciągu urzędowania prezes nie będzie podpisywał przeciwnych jego przekonaniu postanowień.

Nieubiegający się za dostojeństwy, niechciwy władzy, zawsze gotów będę za najmniejszem waszem skinieniem usunąć się od rządu, którego nie pragnąłem, lecz którego obowiązki stale i sumiennie dopełniać będę.

Dla szczęśliwego prowadzenia spraw krajowych najwięcej teraz życzyć trzeba zgodności dążeń i zasad między szanownymi członkami Rządu, na których czele mnie raczyliście postawić. Godny wybór cnotliwych mężów daje otuchę, że ich czucie, charakter i sposób myślenia zastąpią ową jedność, tyle potrzebną w machinie rządowej.

Nowy rząd nie potrafi ocalić ojczyzny, jeśli nie będzie silnym i dzielnym przez waszą i całego narodu ufność. Bez ufności niema mocy.

Chciejcież go więc wspierać i nie zaprzestańcie dodawać mu siły i dzielności, jeśliby się okazało, że jej dosyć nie posiada. W sile i dzielności rządu zawarta jest przyszłość narodu.

W orężu i męstwie, i zaciętej walce, w zwycięzkiem odparciu wrogów jest cała nasza teraz nadzieja. Europa później przemówi.

Tymczasem wypada zachować przyjazne stosunki z sąsiednimi niemieckimi dworami i dać im przekonanie, że ich niepokoić bynajmniej nie chcemy.

Wypada resztę przychylniejszych nam krajów zapewnić, że zawsze gotowi będziem posłuchać ich rady i to czynić, co dla Europy okaże się dogodnem; wypada wreszcie przekonać ją, że nasza rewolucya jest prawdziwie Polską, to jest, mającą za cel istność i niepodległość naszej ojczyzny, nie zaś przewrócenie wszystkich zasad towarzyskich i rozkrzewienie okropnych zarodów anarchii, od których się oswobodzić równie moralność jak polityka i głos całej Europy nakazują.

W orężu, w uzbrojeniach jest nasza teraźniejsza nadzieja; do tego celu jedynie dążyć powinni wszyscy prawi i nieodrodni Polacy. Nie czas teraz myśleć o instytucyach, o polepszeniach towarzyskich; szczęk broni odejmuje możność dostatecznego namysłu, zmusza do pośpiesznego działania; wolność nawet, ten najdroższy skarb człowieka, powinniśmy w chwilach grożącego niebezpieczeństwa poświęcić na czas dla istności i niepodległości. Te ocalić jest najwyższą potrzebą, najwyższem prawem; tej życia potrzebie niech wszelkie inne względy ustąpią.

Polegamy z chlubą na niezłomnem męstwie naszych rycerzy. Jednakże nie należy ukrywać tej prawdy, że losy wojny są zawsze niepewne. Jeśli Bóg da nam pierwsze zwycięstwo, łatwiej będzie działać Lecz mężni rycerze! prawi Polacy! Rząd i wy, szanowni narodu reprezentanci! powinniście być przygotowani także przeciwne znosić wypadki: w klęskach dopiero, które jednak może nigdy nie nastąpią, w klęskach, mówię, pokazać się może cała stałość nasza, i prawdziwa miłość ojczyzny; po przegranej, zwolna ustępować kroku i zawsze odpierać napady jest największem męstwem żołnierza. Po przegranej nigdy nie rozpaczać jest najwyższą cnotą rządu i obywatela.

Teraz właśnie, kiedy klęsk nie mamy się przyczyny obawiać, sądzę moim obowiązkiem zwrócić na ich możność uwagę izb i oświadczyć, że mojem zdaniem, do żadnego miejsca szczególnego, los kraju, sprawa narodu, nie jest przywiązaną, i że póki piędź ziemi Polskiej wolną pozostanie, póty na niej wojsko i rząd istność narodu do ostatka i jaknajdłużej bronić są winne.

Teraz pozwólcie raz jeszcze złożyć wam hołd mej wdzięczności i kończąc wykrzyknąć: Niech żyje Polska!

B) Żywot J. U. Niemcewicza (1842—1855).

(Paryż 1860, druk. Martinet; VIII, 454 str., 8-o; wyd. «Bibl. Polskiej» księg. B. Behra (E. Bock) Berlin—Poznań 1860).

Składa się z dwu części: z życiorysu i ze świadectw, przeważnie listów Niemcewicza, głównie do autora, przyczem jest i testament. Praca porządna i w układzie i w opracowaniu i w stylu. Przyjaźń nie mroczy tu sądów literackich, które odznaczają się przedewszystkiem trzeźwością, a pochwytuje dobrze i przedstawia jasno duszę człowieka kochanego. Od Wielkiego Sejmu do Królestwa obraz najżywszy; w epoce pobytu w Anglii rozrzewniający. Wszędzie pod postacią tło jej epoki podmalowane rzetelnie. Pomimo braku wyższego talentu dał Czartoryski w «Żywocie» podstawę i niezbędny drogowskaz dla przyszłego biografa, na którego czeka wciąż jeszcze najczystszy patryota polski po Kościuszce. Powszechność polska mniej sobie waży drobnostkowe, mikroskopijne prace erudycyi literackiej, obecnie dokonywane, niż czyn odsłonienia ducha człowieka w ścisłej spójności z pisarzem.

705) *Str. 153.* Polacy od roku 1806 pokładali w Napoleonie całą swą nadzieję, nie mieli żadnej własnej myśli, ani własnego działania; do końca prawie nie pozwalali sobie na swój własny rachunek nic przedsięwziąć, ani nawet życzyć, z obawy, aby tak hardą myślą nie znieważyć, nie oziębić dla siebie woli swego tworzyciela. Swoją rezygnacyą i wyzuciem się z wszelkiej samoistności spodziewali się jego przychylność powiększyć i zrobić go szczodrzejszym szczęścia, którego był przez lat kilka wielowładnym dla ludów szafarzem *[tak]*. Fałszywe, zda mi się, rozumowanie. Takie opuszczenie poniekąd siebie samych, takie oddanie się zupełnie jego łaskawości, co zresztą dogadzało polityce, a raczej charakterowi Napoleona, było może w jego oczach dowodem większym i nowym naszej niemocy i niezdolności do

własnodzielnego bytu i, zamiast zachęcać go do pomnażania potrzebnych do naszego ustalenia darów, służyło mu owszem, za wymówkę przed sobą, że ich nam nie użyczał. Chociaż Polacy lękali się i utyskiwali często, że jego wszechwładna wola zapomina, nie dba o nich, że nieszczerze im sprzyja, przecież nie śmieli nigdy nie zawierzać i jedynie od jego skinienia, w ślepem oczekiwaniu, wszystkiego wyglądali. Gdy tego skinienia zabrakło, upadli bez steru, bez nadziei i ratunku.

706) *Str. 250—53.* Do końca życia Niemcewicz, acz znacznie osłabiony nie usuwał się nigdy od żadnego zajęcia, w którem mógł być użyteczny dla spólnej sprawy; przyczyniał się do licznych w emigracyi składek, bywał na sesyach towarzystw, uczęszczał nawet na nie skrupulatniej i dokładniej niż zdrowsi i młodsi członkowie, i wyrzekał na ich lenistwo i obojętność; przedewszystkiem zaś trudnił się gorliwie Wydziałem historycznym i Biblioteką. Przeczuwając swój koniec, umyślił ze swych funduszów zapewnić hojne datki na różne zakłady emigracyjne, których znał ubóstwo. Te jego dary wspierały je później przez lat kilka, choć go już nie było; zdawał się jeszcze dzielić z nami biedy, troski i ciężary.

W ostatnich czasach przed śmiercią wszystko, do czego się skłaniał i co czynił, było zaprawiane smutkiem, odchęceniem, oderwaniem się od świata. Już go zwyczajne i całego życia zajęcia nie bawiły; rzadko można było smętny uśmiech postrzedz na jego ustach, z których ucinki i dowcipne żarty nie dawały się słyszeć, ani ów śmiech dyszkantowy, tak dobrze nam znany, którym tyle razy rozweselał towarzystwo warszawskie; już nawet nie mógł się zajmować poezyą, wylaniem na papier swych myśli: to było dla niego znakiem przepowiednim blizkiej dyssolucyi. Chodząc, musiał coraz siadać na słupach kamiennych po ulicach, aby spocząć i nie upaść; kilka razy upadł, aż nareszcie nie mógł już wychodzić bez swego Ludwika, który, odłączony od żony i dzieci, kilka razy prosił usilnie o pozwolenie wrócenia do nich, co stało się dla Niemcewicza wielkiej niespokojności, przykrości i żalu źródłem. Od roku i więcej spodziewał się śmierci, czując, że go siły fizyczne codzień więcej odstępowały. Przesadzał zaś sam przed sobą upadek sił intelektualnych, które

były jeszcze nienaruszone, bo w potrzebie odzywały się zawsze. W istocie, Niemcewicz już był wszystkiego doznał, co tylko wartość życia podnieść zdoła. Doświadczył chwil najżywszej radości i najdotkliwszych cierpień, których pamięć także ma swoją cenę i słodycz, kiedy się znosiły *[tak]* dla drogiego celu, dla wielkiej i świętej sprawy. Kto więcej mógł przekonać się o znikomości ludzkich przeznaczeń? Patrzał na niesłychane zdarzenia, na wywyższenia i upadki, na świetności i nędze, wkrótce w zapomnienie puszczone, widział najczystsze cnoty bez nagrody i najobrzydliwsze przywary i zbrodnie w pomyślności; karmił się nadziejami i tracił je; przebywał przez srogie burze, zaznał chwil użyczanej i wnet odjętej spokojności. Nic dla niego nie było nowego na świecie, a niczego dobrego już się nie spodziewał. Opatrzność przeznaczyła mu koniec właśnie w porę. Wszyscy krewni i dawni przyjaciele, z którymi niegdyś szczęścia był doznał i dzielił trudy dla kraju, już poprzedzili go do grobu. Żadnych za dni swoich nie oczekiwał odmian w losach drogiej ojczyzny. Zawsze mawiał do chcących go cieszyć nadziejami: «Ja tego nie zobaczę»; a całą swą istność poświęciwszy ojczyźnie, nie sądził, aby co więcej dla niej mógł uczynić. Syt był życia i nie chciał go dłużej przeciągać; przyznawał, że mu się stało ciężarem i że radby go co prędzej się pozbyć. Takie słowa często powtarzał i niecierpliwił się, kiedy przeczyć chciano. Czekał jednak końca z przykładną rezygnacyą. Ostatnią wolą obwarował, aby część jego funduszów była użytą dla biednych ziomków, oraz na przyspasabianie do usług ojczyzny młodych Polaków; nareszcie, aby ten z ziomków naszych, co pierwszy nad Moskwą odniesie znaczne zwycięstwo, miał w summie zapisanej pamiątkę po nim: tak w grobie jeszcze zamierzał być ojczyźnie, ile tylko mógł, użytecznym. Strzeżonym był do ostatka przez godnego synowca i przez przyjaciela, który, acz nie mógł zastąpić straty nieodżałowanej jego sercu, nauczył się był jeszcze od rodziców, jak go kochać i szanować należy. Kilka tygodni przed śmiercią czuł potrzebę oczyszczenia się przed Bogiem. «Czas wyznać winy — pisze — i pokazać się usprawiedliwionym przed Bogiem. W osłabionym stanie, nie mogąc się doczekać obiecanego mi księdza, dopełniłem powinności mojej chrześcijańskiej w Assomption, spowiadając się u światłego duchownego

i przyjmując święty Sakrament. Czuję się wolniejszym na sumieniu». W dwadzieścia i jeden dni potem, Niemcewicz pogodzony z Bogiem i ufny w Jego Miłosierdzie, oddał Mu ducha.

Umarł z rana dnia 21 maja 1841, w 83-m roku swego życia.

Zgon jego był ciosem dla całego kraju, dla wszystkich Polaków, co uczuć ojczystych nie wyparli się. Bracia przytomni w Paryżu poszli gromadnie za jego trumną, i uczcili jednomyślnie jego pogrzeb w Montmorency, gdzie żądał być pochowany *[tak]*. On był może jedynym przedmiotem, o którym w tej chwili nie było różności uczuć i zdań między Polakami: wszyscy zarówno kochali go, szanowali i żałowali. Rozrzewniająca uroczystość stała się jeszcze pełniejszą wzruszeń przez przytomność sędziwego przyjaciela, jenerała Kniaziewicza który, od pierwszej młodości z nim złączony, prawie jeden był pozostał przy życiu, i który stojąc przy jego grobie i rzucając ze łzami ziemię na drogie zwłoki, oświadczył w tejże uroczystej chwili, że przy nim chce być pogrzebionym i na wieki spoczywać: wola, niestety, która zbyt prędko dopełnioną została!...

Polacy w emigracyi, z pomocą rodaków w kraju, postanowili, zadość czyniąc ostatniej woli obu mężów, spólny im pomnik wystawić w miejscu, co sobie jeden przy drugim na wieczny pośmiertnych zwłoków spoczynek wybrali; ufundowali tamże w Montmorency w d. 21 maja, dniu śmierci Niemcewicza, coroczną nazawsze mszą za ich i wszystkich zmarłych na emigracyi ziomków dusze. Po kilkoletnich trudnościach ze strony szczególnie administracyi miejscowej stanął nareszcie w kościele parafialnym w Montmorency, naszem staraniem, a dłutem Oleszczyńskiego wykonany pomnik, który będzie na zawsze pamiątką cierpień naszych na wygnaniu i stałości, z którą znosiliśmy je, idąc za wzorem nam danym przez dwóch naczelnych wychodźców i najstarszych braci. Podróżujący Polak, przyjechawszy do Paryża, naglony ciekawością serca, poczuje obowiązek zwiedzić ten polski religijny i obywatelski monument; przy nim modląc się, rozmyślać będzie o przeszłości swego kraju, i o tych, co go nieszczęśliwym tylko znali, a nie wahali się przecie poświęcić mu zdrowie, majątek, zdolności, i co jego sprawy nie odstąpili aż do śmierci. Podobne rozmyślanie nad dwiema śpiącemi postaciami godnych dawnej chwały Polski szermierzów, będzie dla

przybywających ziomków obroną przeciw zatrutym obcej stolicy zdaniom i zbytkom i zachęceniem do cnót, któremi za życia jaśnieli ci, co we śnie spokojnym grobu zdają się czekać zmartwychwstania.

Co do mnie, gdy, posłuszny naleganiom przyjaciół, skreśliłem *[tak]* żywot znakomitego i drogiego narodowi męża, szedłem w ciągu tej pracy za głosem dawnej i wiernej przyjaźni, lecz nie odstępując nigdy prawdy i strzegąc się zdań bezzasadnych i podchlebstw, których jasna chwała Niemcewicza nie potrzebuje. Starałem się, ile możności, bezstronnie ocenić ważne przysługi przez niego oddane literaturze, historyi, moralności, sławie krajowej; chciałem szczególnie malować go jako człowieka i obywatela i złożyć serdeczny hołd jego nieporównanej miłości ojczyzny, niewyczerpanej dobroci serca, nieskazitelnej bezinteresowności, które się w nim, we wszystkich postępkach i porach życia, niezmiennie objawiały; wytłómaczyć wreszcie ziomkom, a nawet cudzoziemcom, dlaczego takie poszanowanie i spółczucie, taki szczególnie urok słusznie i powszechnie otacza jego imię. Czym wydołał przedsięwzięciu, czytelnik zawyrokuje: powie, czy oddając winną i od narodu przyznaną cześć pamięci Niemcewicza, oddałem ją w sposób, któryby mógł być jemu, gdyby żył jeszcze, dogodnym, i czym potrafił wystawieniem jego żywota obudzić w ziomkach żądzę naśladowania go, czerpania z jego pism powodów do szlachetnych poświęceń, do czynów patryotycznych, którymi on na tej ziemi był napełnił swój żywot.

Opracował: STANISŁAW KRZEMINSKI.

LXXXIV.

KAJSIEWICZ HIERONIM

(1812—1873).

Hieronim Kajsiewicz, z rodziców Dominika i Anny z Pawłowskich, urodził się 1812 roku 7 grudnia w Słowikach, jednym z folwarków Giełgudyszek niższych na granicy Prus Wschodnich. Wychowany starannie w domu rodziców, udał się w r. 1821 do Rosień na Żmudzi, gdzie u OO. Pijarów ukończył klasę pierwszą, od r. 1822 uczęszczał do szkół w Sejnach (w Augustowskiem), odznaczając się pilnością i ochotą do nauk; wtedy też zaczął próbować pisania wierszy. Po złożeniu egzaminu dojrzałości udał się w r. 1829 na uniwersytet warszawski na wydział prawa i administracyi; dobrowolnie, jak sam mówi, uczęszczał na kursa filologiczne Osińskiego i Brodzińskiego. W tym czasie powstały: oda (nieznana nawet z tytułu), odczytana przez Brodzińskiego z katedry, jakaś komedyjka i tragedya w pięciu aktach wierszem, również nieznane, powieść o hr. Wilczku (osnuta na tym samym temacie, co Krasińskiego: «Zamek Wilczki»), drukowana w «Dekameronie» Ordyńca, a pochwalona przez M. Mochnackiego w «Kurjerze polskim» 1830. Po wybuchu powstania listopadowego zaciąga się Kajsiewicz najpierw do gwardyi honorowej, pełniącej służbę przy dyktatorze, w chwili zaś zaczęcia się kampanii, wstępuje jako ochotnik, do szóstego szwadronu trzeciego pułku ułanów, gdzie zostaje wnet podoficerem, a potem wachmistrzem. Uczestniczy w rozprawach pod Stoczkiem i Nową Wsią, gdzie cięty ciężko cztery razy w głowę, pozostał na polu bitwy przez kilka godzin bez przytomności. Lekarze nie robili prawie nadziei, żeby wyszedł cało; prawdziwym cudem wyzdrowiał, lecząc się w szpitalu w Puławach, a potem w Radomiu; pragnąc dostać się do pułku jakiego, udał się do Łowicza, a stąd do Warszawy, gdzie był świadkiem jej zdobycia.

Po upadku powstania wyjechał przez Niemcy do Francyi; w pożegnalnym liście do rodziny tak uzasadniał swój krok: «tylko wychodząc z kraju, mogę być użytecznym dla tej matki, która i mnie i was i nas wszystkich wychowała». Jako miejsce pobytu policya francuska wyznaczyła dla Kajsiewicza Besançon, gdzie go towarzysze wygnania powołali na sekretarza rady, mającej pośredniczyć między rządem a wychodźcami. Po czterech miesiącach udał się do Paryża i tu wszedł w wir polityki emigracyjnej, biorąc gorliwy udział w naradach przy ulicy Taranne. Na obiedzie, wydanym ku czci Dwernickiego (7 sierpnia 1832 r.) odczytał wiersz swój p. t. *Omne trinum perfectum,* kreślący zwycięstwa generała; wystąpienie Kajsiewicza podobało się powszechnie, co zachęciło go do pisania i nadal; w marcu tedy 1833 r. ogłasza w «Pielgrzymie» wiersz na drugą rocznicę powstania litewskiego, w tymże czasie wydaje w Paryżu zbiór sonetów (w tem 35 oryginalnych, a 6 tłómaczonych). Wartość sonetów literacka jest bardzo mała.

W maju 1833 r. przeniósł się z Paryża do Nogent nad Marną, usunąwszy się od znajomości i stosunków politycznych, które zaczął już sobie brzydzić. Miał wtedy gotowy do druku rękopis wierszy p. t. «Pospolite ruszenie», pracował nadto nad nowym poematem. W Nogent obcował głównie z Janem Koźmianem i Leonardem Rettlem; czasami także odwiedzali ich Mickiewicz i Witwicki; pod wpływem Mickiewicza zaczął Kajsiewicz myśleć o rzeczach wiary, jak sam o tem wspomina: w gruncie rzeczy nie stracił jej, zaniedbał się tylko w praktykach religijnych. Nagły rozkaz rządu francuskiego, przeznaczający mu, jako nowe miejsce pobytu, Angers, przerwał na razie zmianę dokonywującą się w duszy Kajsiewicza. Uczucia pod wpływem tego przymusowego przeniesienia wypowiada w wierszu p. t. «Modlitwa do Boga za moich prześladowców i możnych tej ziemi»; z tego też czasu pochodzi «Modlitwa do Boga żołnierzy polskich zaprzągniętych do taczek po fortecach ruskich» (ogłoszona w «Pielgrzymie»); ponadto wiemy o kilku jeszcze utworach poetycznych Kajsiewicza, nieogłoszonych jednak drukiem. Nad Loarą rzucił się młodzieniec w wir zabaw: miał wstęp do wszystkich domów, inwitacye na obiady, bale, tak, że na nowo »młodym błaznem być począłem, duch mój się rozproszył« (z listu Kajsiewicza do Leonarda Niedźwiedzkiego z 24 maja 1836 r.); w tym też czasie pokochał młodą panienkę Francuzkę, sprzyjającą mu również; z obawy jednak, by jej nie zawiązać losu, wyrzekł się szczęścia, o miłości tej jednak nie zapomniał i potem, gdy panna wyszła za mąż, musiał ratować się aż wyjazdem, by nie uledz, jak mówi, grzesznej miłości. Z początkiem czerwca 1835 r. uzyskał pozwolenie na powrót do Paryża.

Wracając do Paryża, zatrzymał się w Solesmes, klasztorze benedyktyńskim, gdzie odbył po pięciu latach pierwszy raz spowiedź. Wyrazem uczuć, jakie w nim wówczas obudziły się, jest wiersz: «Podniesienie ducha», napisany w Solesmes. Przybywszy do Paryża, wszedł napowrót w grono dawnych znajomych — Mickiewicza, Zaleskiego, Goreckiego, Witwickiego; zaczął żyć teraz nowem życiem: poznał, że «demokracya bezbożna, nienawistna, już wytlała, że dwie mu szanse

zostają, iść za Gurowskim lub Semenenką». Jeszcze kilka tygodni zeszło Kajsiewiczowi wśród szamotania wewnętrznego: w październiku 1835 odbył pielgrzymkę pieszą do Solesmes, i tu nabrał trochę sił do walki otwartej ze światem i ciałem. Z Solesmes zwiedził klasztor Trapistów, skąd wyszedł bardziej skruszony, przejęty, zbudowany niż gdyby 1000 tomów najmoralniejszych przeczytał. Po powrocie stamtąd zapragnął razem z kilku przyjaciółmi zakosztować podobnego życia. D. 15 lutego 1836 najął domek na ustroniu, gdzie zamieszkał razem z Antonim Goreckim, Bohdanem Jańskim, Semenenką, Karskim vel Duńskim, Ziemieckim. Czas spędzali na modlitwie wspólnej i nauczaniu się wzajemnem: «pomagamy sobie nawzajem, sami z kolei usługujemy, — wszystko wspólne — czas oznaczony». Był to zawiązek przyszłego Zgromadzenia Zmartwychwstańców, wspólne zaś pożycie — przygotowaniem do stanu kapłańskiego, którą-to myśl powziął Kajsiewicz wówczas. O tych chwilach sam pisze: «W czasie całej mej walki wewnętrznej — dziwne miałem dnie i noce szczególniej — to się pisać nie da — i arkuszy na to trzeba». Razem z Semenenką wstąpił 29 czerwca 1836 r. do Kollegium św. Stanisława w Paryżu, 15 sierpnia t. r. przywdział suknię duchowną. W liście do Niedźwieckiego 5 września t. r. pisał: «nigdy w życiu mojem nie czułem się szczęśliwszym».

W r. 1837 6 września udał się z Semenenką do Rzymu, celem ukończenia nauk kapłańskich, gdzie jednak napotkali obaj na znaczne trudności i liczne zawody; po kilku tygodniach ledwo znaleźli miejsce dozorców w domu sierot *(orfanelli);* uczęszczali przytem na kursa teologii w kollegium rzymskiem; 1838 r. 2 października opuścili zakład sierot, przenosząc się do osobnego mieszkania, wynajętego staraniem emigrantów polskich dla kandydatów polskich do stanu duchownego. tak rozpoczęli na nowo życie podobne jak w domku paryskim: Kajsiewicz, Semenenko, Edward Duński i Józef Hube; pod koniec r. 1839 przybył do Rzymu Jański, który w dniu 2 lipca 1840 r. skonał w obecności Kajsiewicza. We wrześniu 1841 r. otrzymał Kajsiewicz stopień i dyplomat doktorski, 5 grudnia t. r. wraz z Semenenką przyjął święcenia kapłańskie, 8 zaś grudnia odprawił prymicye w bazylice Santa Maria Maggiore przy zwłokach św. Hieronima, patrona swojego, w kaplicy Żłobku Pańskiego. Jakie uczucia przepełniały wówczas serce Kajsiewicza, o tem najlepiej zaświadczyć może ustęp z listu jego, pisanego do Bohdana i Józefa Zaleskich: «Otom już razy trzydzieści przystąpił do ołtarza, a dotąd przyjść nie mogę do siebie i proszę Boga i ufam, że się nigdy nie spoufalę (jak się to zdarza) w nabożeństwie nawet, z Panem moim i Zbawicielem».

W r. 1842 postanowili wymienieni poprzednio księża założyć Stowarzyszenie; narady nad ustawami stowarzyszenia zajęły cały post; ukończyły się w wielką sobotę koło północy: na wniosek Kajsiewicza nadano Stowarzyszeniu miano, jakie sam Bóg dawał: t. j. Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego; w niedzielę wielkanocną złożyli śluby

w kaplicy św. Sebastyana w katakumbach. Ks. Kajsiewiczowi przypadła teraz «Kampania paryska», jak ją sam nazywał, na razie jednak z powodu choroby nie wyjechał z Rzymu. Wyprzedził go w Paryżu ks. Edward Duński, który w listach przedstawił niebezpieczeństwo, jakie groziło emigracyi z powodu wystąpienia Towiańskiego. Zaniepokojony groźnemi wieściami wyjechał Kajsiewicz z Rzymu 26 czerwca 1842 r.; do Paryża przybył 12 lipca, dziwnem zrządzeniem losu, w wigilię wydalenia Towiańskiego z miasta przez policyę francuską.

Zaczyna się nowy okres w życiu Kajsiewicza, niezmiernie ważny, gdyż teraz wystąpić miał przeciwko zwolennikom Towiańskiego uzbroić się do walki ciężkiej, tem trudniejszej, że za Towiańskim oświadczyli się najszlachetniejsi przedstawiciele naszej emigracyi. Wśród pracy nad przekonywaniem dusz przygotowywał się do pierwszego kazania publicznego; treścią jego miało być cudowne rozszerzenie się wiary; rozejrzawszy się jednak w stosunkach, zmienił, jak sam pisał do ks. Semenenki, pierwotny układ. Przemówił po raz pierwszy 10 września 1842 w kościele św. Rocha, ale na odmienny temat, niż zamierzał: mówił o rządach Opatrzności. Zarówno tem pierwszem kazaniem jakoteż dalszemi zwrócił Kajsiewicz na siebie powszechną uwagę: zrozumiano, że zjawił się wśród społeczeństwa natchniony kaznodzieja, głęboko odczuwający niedolę Narodu Polskiego, pragnący lepszego losu, dla skołatanej ojczyzny. Kiedy ks. Semenenko przybył w styczniu 1843 r. do Paryża, udał się Kajsiewicz celem odpoczynku po trudach kampanii zimowej, do Solesmes, stamtąd na rekolekcye do Trappy, a potem na wędrówkę po miastach francuskich, celem zaniesienia słowa Bożego między wychodźców polskich, w nich mieszkających. Z końcem 1843 r. wraca do Paryża, gdzie za zezwoleniem arcybiskupa paryskiego otworzono kaplicę domową w domu Zgromadzenia.

Działalność Kajsiewicza jak z jednej strony nie pozostawała bez wpływu na rozbudzenie uczuć religijnych wśród emigracyi, tak z drugiej znowu nie wolna była od licznych napaści. Nie tracił jednak wiary, że słowo jego znajdzie gościnę w niejednej pogodnej, kochającej duszy — w sercach lepszej części młodzieży nowego pokolenia. W tym też czasie wygłasza kilka mów pogrzebowych (po zgonie jenerała Małachowskiego, Michała Hubego, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, wojewody Ostrowskiego). W r. 1844 wyjechał do Londynu, aby O'Connelowi wyrazić uczucia katolików polskich we Francyi ku jego osobie i sympatyę narodu irlandzkiego; zastępował też w Londynie przez dwa miesiące ks. Brzezińskiego w pracy kaznodziejskiej. Po kilkomiesięcznym pobycie w Paryżu wyjechał do Niemiec południowych «dla poznania katolickiego umysłowego ogniska w Monachium». Kiedy ks. Semenenko, zapadłszy na zdrowiu, wyjechał do Tunisu, ks. Kajsiewicz objął przełożeństwo w zgromadzeniu; opuściwszy Paryż 8 grudnia 1845 r., udał się do Rzymu, gdzie rozwinął bardzo gorliwą działalność, nie spuszczając także z oka stacyi polskiej w Paryżu. Z początkiem roku 1848 obrano przełożonym Zgromadzenia

ks. Józefa Hubego, gdyż ks. Kajsiewicz, wybrany powtórnie, zrzekł się tej godności, pragnąc poświęcić się wyłącznie kaznodziejstwu. 5 lutego 1848 opuścił Rzym; do Paryża przybył 10 marca, skąd po wygłoszeniu dwóch kazań wyjechał już 13 kwietnia do Berlina, skąd przedostał się do Turwi celem zobaczenia się z matką. Przez cały maj miał kazania do ludu; 30 maja, wydalony przez rząd pruski z Księstwa, wyjechał do Wrocławia, a stamtąd do Drezna, skąd udał się do Krakowa, gdzie wygłosił kilka kazań, zajął się losem pauprów krakowskich, urządził konferencye dekanalne, zawiązał bractwo sióstr parafialnych św. Elżbiety; nie szczędzono mu w tym czasie napaści, zarzucając, że jest Austryakiem, zdrajcą ojczyzny i szpiegiem. 30 kwietnia 1849 wyjechał z Krakowa na Drezno, gdzie go aresztowano, wnet jednak wypuszczono na wolność. Z powodu choroby gardlanej wyjechał na kuracyę do Baden-Baden nad Renem, a następnie do Interlacken w Szwajcaryi. 14 września wrócił do Paryża. 29 listopada t. r. wygłosił kazanie, w którem zastanowił się nad latami 1846 i 1848, nad duchem narodowym i rewolucyjnym. Kazanie to wywołało głosy protestu wśród zgromadzonych słuchaczy w kościele; przeciw Kajsiewiczowi wystąpiły także pisma krajowe, jak n. p. «Czas» krakowski, «Dziennik polski» w Poznaniu. Wybrany w r. 1850 zastępcą przełożonego Zgromadzenia, wyjeżdża Kajsiewicz znowu do Rzymu, gdzie wszystkie ważniejsze sprawy Zgromadzenia opierały się o niego tem więcej, kiedy X. Hube wyjechał w czerwcu 1852 r. do Paryża. W tym czasie pracował Kajsiewiccz nad żywotem błog. Boboli. 29 czerwca 1853 po powrocie ks. Hubego wyjechał do wód pirenejskich, gdzie porozumiewał się z księdzem d'Abzon, przełożonym nowego Zgromadzenia francuskiego (Assompcyonistów) celem połączenia tegoż Zgromadzenia z polskiem; bez żadnego jednak skutku. Nosił się też z planem napisania Historyi Kościoła w Polsce, nadto dzieł o Rozwodzie, Wykładu Psalmów i Homilii.

W 1854 r. znajdujemy go z powrotem w Rzymie, gdzie w roku 1855, po złożeniu przełożeństwa przez ks. Hubego, został przełożonym Zgromadzenia, aby piastować tę godność już do końca życia. Obejmował odpowiedzialne stanowisko w stosunkach dla Zgromadzenia bardzo trudnych; miał jednak, jak sam pisze, najszczerszą wolę oddać się służbie Zgromadzenia: «zarzucę autorstwo nawet, cały czas mój i trud oddam Zgromadzeniu, szczególniej wykształceniu młodzieży i stworzeniu dobrej rezerwy»; wielką troską napawały duszę zacnego kapłana stosunki finansowe Zgromadzenia, lub takie nieprzewidziane przeszkody, jak n. p. kradzież 40.000 franków, gromadzonych z trudem na nabycie klasztoru z kościołem. Na szczęście jednak opat Mentorelli ofiarował Zmartwychwstańcom kościołek na własność. W r. 1857 odbyło się zgromadzenie członków Zgromadzenia, na którem określono ostatecznie cel zakonu, wyróżniając go od innych zakonów i zgromadzeń duchownych; wtedy też na dalszych lat siedem obrano przełożonym księdza Kajsiewicza.

Z dalszych wypadków życia ks. Kajsiewicza wymienić jeszcze należy podróż jego do Bulgaryi, podjętą w r. 1861 na życzenie papieskie celem propagandy unii bulgarskiej; zboczył też wtedy do Syryi, mógł jednak ledwo kilka dni poświęcić zwiedzeniu Jerozolimy. Z roku 1863 pochodzi Kajsiewicza «List otwarty do braci księży grzesznie spiskujących i do braci szlachty nie mądrze umiarkowanych», który ściągnął na niego szereg najrozmaitszych napaści. W 1864 r. obrany został znowu przełożonym na siedm lat. W r. 1865 wybrał się w podróż misyjną do Ameryki, którą później opisał. Do Rzymu wrócił z powrotem 8 września 1866 r. W 1871 r. przedsięwziął drugą podróż do Ameryki, po powrocie zaś odbył niedługo drugą podróż do Bulgaryi, skąd przez Galicyę powrócił do Rzymu 7 listopada 1872 r. Zmarł nagle 26 lutego 1873 r. rażony apopleksyą; pochowany w Rzymie, na cmentarzu św. Wawrzyńca.

W życiu naszem porozbiorowem jest ksiądz Kajsiewicz jedną z najwznioślejszych postaci; pełen poświęcenia, niezmordowany i niezłomny w doprowadzaniu zamiarów swych do skutku, działa najpierw wśród emigracyi, starając się kazaniami swemi o poprawę społeczeństwa, następnie przystępuje do urzeczywistnienia głównego celu swego żywota: t. j. założenia zakonu OO. Zmartwychwstańców, co mu wkońcu, po licznych przeciwnościach, się powiodło. Ostatnie lata wypełniają mu prace, złączone z przełożeństwem zakonu. Niezrozumiany przez współczesnych, spotwarzany i oskarżany niesłusznie, nie zrażał się przeciwnościami nigdy; owocem jego usiłowań, owocem, który na zawsze pozostanie złączony z jego nazwiskiem, jest zakon OO. Zmartwychwstańców, którego zasługi dla społeczeństwa są tak wielkie, z którego wyszli tacy pracownicy, jak ksiądz Zbyszewski, Waleryan Kalinka, X. Stefan Pawlicki, X. Witkowski, P. Smolikowski, A. Bakanowski. W literaturze polskiej kaznodziejskiej wieku XIX. nazwisko ks. Kajsiewicza zapisane złotemi głoskami: dzięki głębokości myśli, gorącej miłości wiary i ojczyzny, doskonałej formy, jest on jakby następcą ks. Piotra Skargi, którego działaniem swem przypomina w niejednem.

Do rzędu najważniejszych kazań ks. Kajsiewicza należą: O rządach Opatrzności, O pokucie, O walce i żołnierstwie duchowem, O cierpliwości, Mowa pogrzebowa na cześć ś. p. generała Kazimierza Małachowskiego, Mowa pogrzebowa na cześć ś. p. Michała Hubego, referendarza Stanu Królestwa Polskiego, Nauka przy mszy żałobnej... za dusze śp. generała Kniaziewicza i kasztelana J. U. Niemcewicza, i wszystkich Polaków zmarłych na wygnaniu, O wytrwałości, Mowa podczas nabożeństwa pogrzebowego za duszę ś. p. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, Mowa pogrzebowa po ś. p. Antonim wojewodzie Ostrowskim, O trojakiem życiu i trojakim patryotyzmie, O cudownem rozszerzaniu się i trwaniu wiary Chrystusowej z powodu ostatnich walk Kościoła katolickiego w Polsce, O ważności męczeństwa, O jedności z miłości bożej, O postępie religijnym, Mowa pogrzebowa po ś. p. Stefanie Witwickim.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Kajsiewicza. Wydanie zbiorowe pism Kajsiewicza wyszło w Berlinie w trzech tomach (1870—1872). Tom I obejmuje Kazania przygodne; tom II Mowy przygodne, Nekrologi i Żywot błog. Ojca Andrzeja Boboli; tom III następujące pisma: List otwarty o stanowisku kapłana względem sprawy narodowej a polityki; Na wiadomość o pożarze Krakowa; Papiestwo i sprawa rzymska z punktu widzenia petersburskiego; Rady dla młodych kaznodziei i spowiedników; List do ks. Al. Prusinowskiego; List otwarty do Braci Księży, grzesznie spiskujących, i do Braci Szlachty, niemądrze umiarkowanych; Prawodawstwo kościelne w rzeczach tajnych towarzystw; Listy z podróży do Braci i Przyjaciół; Pamiętnik historyczny o Zgromadzeniu XX. Zmartwychwstańców.

Osobno wydane: 1) «Boże zbaw Polskę» (wiersz). Warszawa, 1831. 2) «Sonety». Paryż, 1833. 3) «Rzecz do braci na wygnaniu zabłąkanej z powodu piątej rocznicy listopadowej». Paryż, 1835. 4) «Nunc dimittis, Domine», powieść z dziejów szkockich z końca XVI wieku. Paryż, b. r. (1836). 5) «Głos z kraju do wychodźtwa polskiego» (1846). 6) «Rozmyślanie o męce Chrystusa Pana ułożone podług Pisma świętego, Ojców i pisarzy kościelnych, z dodaniem kazania o siedmiu boleściach Matki Boskiej i drogi krzyżowej, przez X. H. K.». Berlin, 1852, (do r. 1907, pięć wydań). 7) «Sepp Jan Nepomucen: Żywoty pseudo-Messyaszów żydowskich, wyjęte i przełożone z niemieckiego dzieła Dra J. N. S.: O życiu Chrystusa Pana przez ks. H. K., z dodatkami tłómacza i zdaniem sprawy o temże dziele». (oddrukowane z «Przeglądu poznańskiego»). Poznań, 1853. 8) «Kazanie o siedmiu boleściach Matki Najświętszej». Poznań, 1855. 9) «Elogio funebre di Michaele Lewicki Cardinale, Prel. di S. Chiesa romana, etc. quale funell' occasione delle solenne esequie celebrate nella ven. Chiesa di S. Claudio in Roma». Roma, 1858. 10) O unii bułgarskiej, rys historyczny. Paryż, 1863. 11) «Droga krzyżowa». Kraków, nakł. XX. Zmartwychwstania pańskiego, Spółka wydawnicza. 1893. W 16-ce str., 104, z rycinami w tekście (wspólnie z ks. A. Jełowickim).

II. Pisma o Kajsiewiczu. 1) Anonim: «Kazania i mowy przygodne H. K.». («Przegląd poznański» 1848). 2) Mikoszewski Karol: «Głos kapłana polskiego» (czasopismo); Warszawa, 1862-3. Nr. 7. List do H. Kajsiewicza. 3) Tarnowski Stanisław: «Ksiądz Hieronim Kajsiewicz». («Przegląd polski», 1873); przedrukowane w Studyach do historyi literatury polskiej. Tom III. Kraków 1897 i odb. tamże 1897. 4) Zaleski Bronisław: «Ksiądz Hieronim Kajsiewicz, wyciąg z listów i notatek zmarłego, 1812—1873». Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Rok 1873—1878. Tom I. Poznań, 1878 str. 254—419 i odb. Poznań, 1878. 5) X. P. Smolikowski: «Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Podług źródeł rękopiśmiennych». (Kraków, 1892—1896. 4 tomy; do r. 1850). 6) Bystrzycki Jan: «O poezyach i mowach pogrzebowych ks. Hieronima Kajsiewicza». (Kraków, 1902). 7) Dawny Kolegiasta: «O Kolegium polskie w Rzymie». Roczniki Kolegium polskiego w Rzymie. Rok III. zesz. (1904) VI. Rzym. 8) «Z korespondencyi Wincentego Pola (także do H. K.)». (Przewodnik naukowy i literacki, 1905).

A) Myśl w skonaniu na polu bitwy.

(Tarnowski: Studya do historyi literatury polskiej, tom III, str. 21).

707) Taje ziemia pode mną ciepłą krwią mą zlana —
Tyle ran — a dość jednej, by zabić człowieka;
Słyszę głosy ratunku, lecz wzrok mgła powleka,
Nie bez żalu cię rzucam, Ojczyzno kochana —

Tak młodym, tyle nadziei — nie krzyknę: Wygrana!
Rodzice! już nie ujrzy rozdarta powieka
Was wszystkich — lecz mam wiarę: przyszłość niedaleka,
Wam, wnukom, zawsze wejdzie wolność pożądana.

Już cię więc ziemio żegnam, życiem przedał drogo —
Jak oddycham szeroko — jak mi lubo, błogo —
Jak ma myśl wielka, czysta — chmury rozsunięte —

Skąd te blaski, te wonie, jakie chóry święte!!
Weź mię, Boże, zlituj się nade mną śmiertelnikiem.
«Kto mię budzi — żyć muszę — i żyć niewolnikiem!»

B) Do A(dama) M(ickiewicza).

(Tamże, str. 22—3)

708) Tyś mi! ty zawsze jeden, w oczach, w myśli, w duszy!
Cieniu wielki, złowieszczy, czemuż chciały Nieba,
Że dość, by nie być Tobą, miernym być potrzeba,
I studnię życia wiadrem wyczerpać katuszy.

Milcyjadzie snów moich! objaw, co się wzruszy,
Prośba, klątwa — wypełnię, jak chcesz, jak potrzeba,
Tylko ustąp mi słońca, ściągnij skrzydła z Nieba,
A pieśń duszy mej wzleci do wszechświatów duszy.

Śpią Twoi zawodnicy silniejsi ode mnie...
Ty czuwasz, wzlatasz, zaśnij, niech i ja podlecę,
Niech się wprawię — lecz próżno — za młoda daremnie

Matka chce rodzić — roni — nie tworzę ja, klecę...
Czyż przynajmniej te walki strawiwszy me życie
Wyrodzą z łona zwłok mych nieśmiertelności dziecię?

C) Podniesienie ducha (ustęp V).

(B. Zaleski: Ks. H. Kajsiewicz, str. 38—39.

709) Robak ja, robak — lecz odkąd Cięm pożył,
Z pozoru bytu, do istnościm ożył.
Czuję że jestem, że Ty, Bóg żyjący,
Jak język we mnie mówisz pałający.

A przecież czuję wszystkie syna bole,
Doktorów, ludu, złości i swawole;
I dźwigam krzyż Twój — oh, i dźwigać pragnę!
Bo wzlatam w górę, choć się w ziemię nagnę.

I w morzu uczuć serce moje tonie,
I w morzu ognia, serce moje płonie.
Dwa jasne skrzydła z boku wystrzelają,
Rosną i płyną — tak się rozciągają,

Że mogą objąć ojców, siostry, braci —
I wywołane pradziadów postaci,
Naród mój, ludzkość, wszystkie nędze, bole;
Znać, żeś Ty środkiem w tak ogromnem kole.

Więc pókim jeszcze czysty, nieskalany,
Nim rzucisz grzechem przybytek zmazany,
Przyjmij modlitwę za ludzkość cierpiącą,
I za ojczyznę mą w grobie leżącą.

Bo niech wprzód uschnie ma ręka na strunach,
Do podniebienia język przyschnie wprzódy,
Zanim przestanę czcić w pobożnych tonach
Mą Jeruzalem pomiędzy narody!

D) O pokucie (29 listopada 1842 r.).

(Pisma, Tom I str. 61—70).

«Facite fructus dignos poenitentiae...
Jam enim securis ad radicem posita est».
«Czyńcie owoce godne pokuty... Już bowiem siekiera do korzenia jest przyłożona«.
S. Luc. III, 8, 9.

710) Niejeden z was był może naocznym świadkiem, jak w chwili odsłonięcia cudownego obrazu Bogarodzicy w Częstochowie, pobożny a gęsto skupiony lud nasz rzuca się krzyżem na ziemię i, wielki płacz zawodząc, przeciągłe jęki

wywołuje z murów rozległej świątyni. Cudzoziemiec, stojący na boku, wzruszony w głębokościach ducha swego tym językiem serca, dostępnym każdemu, mówi do siebie: «Jak ten lud musi być nieszczęśliwy!» I Aniołowie niebiescy, jakoby zapłakani, powtarzają w górze: zaprawdę, lud ten bardzo nieszczęśliwy. Otóż nabożeństwo prawdziwie uroczyste, jakie dziś przystoi Polakom, jakiegobym wpośród nas życzył, na jakiembym przestał. Przestałbym chętnie na cichem zadumaniu się, rozmyślaniu, skupieniu i rozrzewnieniu ducha. Tak sprzeczne wspomnienia i uczucia tak się tłumnie cisną. Każdy czuje dziś, mocniej niż kiedykolwiekbądź, że połową tylko serca żyje; że druga daleko, daleko... a obie tak się gwałtownie a niewidomo przyciągają. Każdego dziś milczenie myślące i mówiące; radbym i ja milczał.

Ale jeżeli przecz chcecie, bym mówił, i tak licznem zebraniem się waszem dodajecie mi ochoty i wyzywacie niejako na słowo, mówić będę, ale mówić o tem, czem duch mój wezbrany, czego pełen: o pokucie. Miejsce samo woła do pokuty. Mury ciemne, wilgotne, przysiadłe tej kaplicy przypominają, nie prawdaż? na poły więzienie, na poły katakomby podziemne pierwszych Chrześcijan. Obrazy jakie? po prawicy Chrystus przybijany do krzyża: zda mi się jeszcze słyszeć razy młota, i jęk cichy, dźwięczący, srebrny Zbawiciela. Nade mną, nad Ołtarzem, Chrystus Pan na krzyżu; u stóp jego Magdalena we łzach: jawnogrzesznica, ale już pokutująca, już oczyszczona, już święta. Po lewicy Zbawiciel, ciało przynajmniej w grobie, dusza zstąpiła głęboko do otchłani: żal i nadzieja Bogarodzicy tam go ściga. A ten Ołtarz w głębi? co na nim? serce Zbawiciela przebite boleścią, miłością płonące, w którem biskupi nasi schowali Polskę pierwszą, przed samym jej upadkiem, schowali najlepiej i na lepsze czasy.

Uczynię zatem z wami, o bracia, rachunek sumienia narodowego, spowiedź niejako publiczną. Chwalić was nie będę, bo i obcy nas i samiśmy się już dosyć, bodaj nadto może, nachwalili, a najczęściej kosztem inszych, niestety! nieraz odsłaniając przed obcymi domowe nędze nasze. Niech się chwali i weseli kto może, ja nie widzę z czego. Po chwilach przelotnej i wątpliwej chwały, długie oto lata cierpienia i niesławy; widzę mój naród na krzyżu i takim go noszę w sercu, widzę przyszłość

zasunioną gęstemi obłoki i krwi pełnemi. Jawne, sterczące grzechy narodu, dotychczas niepoprawione, lazą mi w oczy i serce bodą. Na nie się tedy obracam, na nie, źródło i powód trwania wszystkich nieszczęść naszych; nie sfolguję im, jakiekolwiek i gdziekolwiek są, otworzę w goryczy usta moje; ja, proch i pył kościelny, ja dzieciuch Pański, grzeszny i ostatni służka w domu jego, przecie mówić będę. Dzień sam, wigilia S. Andrzeja namiętnego miłośnika i Apostoła krzyża — wszystko, wszystko woła do pokuty. Od dawna się już zbierałem na tę wyprawę, i dotychczas serca mi nie stało. O! nie tak to łatwo grzesznemu wytykać grzechy innych; nie tak łatwo gromić z miłości i żalu, jak z pychy i nienawiści. Miłościwy niech mi Pan będzie w dzień sądu mojego! jemu samemu polecam pocieszenie dusz pokutujących, a pójdę ścigać zbłąkanych rozproszeńców z domu Izraela, pójdę wydzierać im własność Bożą i narodową, w cierpieniach, których za naród nie ofiarują Bogu; do nich mam sprawę, na nich wołam: czyńcie owoce godne pokuty, *bo już siekiera jest przyłożona do korzenia.*

Panie mój! jeżelim Cię kiedy prosił, abyś kierował memi usty, tedyć goręcej proszę dnia tego i godziny: racz sprawiać słowa moje i serca tych miłych braci, aby rany, które im zadać mogę, za wdzięcznem a wonnem namaszczeniem Twojej łaski stały się im ku zbawieniu. O co Cię błagam, za przyczyną świętej a boleściwej matki Twojej!

Kiedy naród jaki, opatrzony we wszystkie warunki fizyczne, potrzebne do istnienia, i mający za sobą długowieczne doświadczenie, upada, najracyonalniej każdy wniesie: więc musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Ślizga się bowiem po powierzchni, kto się czepia okoliczności zewnętrznych i na nie wszystko spędza. Cóż dopiero, jeżeli spojrzymy ze stanowiska wiary i Opatrzności! jak wkorzenione i uparte być musi zepsucie w narodzie katolickim, gdy go Bóg w gniewie swoim podawał w ręce ludów niekatolickich! Przepowiadał wam to wielki Skarga, przepowiadali inni ludzie z ramienia Bożego, długo grozili; dziś już grozić nie trzeba: już się groźby spełniły... zostaje jedynie obawa ostatecznej niepokuty, ostatecznego opuszczenia ze strony Bożej. Aby od pierwszego was odwieść, a od drugiego ochronić, jeszcze

wołamy na was: pokutujcie, *bo siekiera do korzenia jest przyłożona.*

Kiedy choroba jest wewnętrzna, tedy i leki powinny być wewnętrzne; czego dotychczas nie chcieliście zrozumieć, i jeszcze nie chcecie. Zawszeście chcieli siłą i przebojem wydobyć się z pod chłosty, nie usuwając jej przyczyn; a przeto wciąż idziecie przeciw woli Opatrzności i zdwajacie wasze cierpienia. Naród, jak człowiek, jest wprawdzie wolnym; ale jeżeli nie wczas lub źle użyje swej woli, grzeszy i cierpi karę, aż póki użycie onej nie spotka się z chwilą łaski i wyroków Bożych. Cóż po tem, że powiadacie: pomimo pozorów zaczepności bronimy się tylko; wolno człowiekowi napadniętemu, skrępowanemu przemocą, wolno podług wszelkiego prawa, przy każdej pogodzie próbować, azali nie zdoła pętów skruszyć, wolności swej i własności odzyskać. Choćby i tak było, zostaje jeszcze całe, wielkie, przeważne zadanie, zadanie wczesności. Naród nie jeden człowiek; naród podbity, długi stanowi szereg więźniów, przykowanych do siebie jednym łańcuchem. Wszelki wysiłek, wszelkie poruszenie, nieużyteczne, okropny, boleśny jęk wyrwie z piersi wszystkich współtowarzyszy. Tak człowiek jak naród nie tworzą wypadków. W ich odgadnieniu, w ich dobrem użyciu, leży zasługa i mądrość, a do tego trzeba czystego bardzo sumienia, wyrzeczenia się siebie, szukania większej chwały Bożej i pożytku bliźnich. Wolność, nadużycie wolności, czyli grzech i podnoszenie się z grzechu przez pokutę i zadośćuczynienie: oto treść dziejów tak ludzi jak narodów. Nie rozumieją lub nie chcą tego rozumieć drążkowi politycy, i dlatego tak krótko widzą; nie rozumieją palca Bożego w kierowaniu narodami, dlatego tyle błędów i tyle cierpienia.

Dlatego i powstanie listopadowe, pomimo tylu najczystszych pojedyńczych poświęceń, nie miało za sobą błogosławieństwa Bożego. Nie sił fizycznych, ale siły moralnej zabrakło. Ale Bóg i złe umie na dobre obrócić. Nie wiedząc, co czynicie, odśpiewaliście nieszpory do św. Andrzeja. Czas i dnie wielkich wypadków nie są bez znaczenia. Św. Andrzej, pierwozwaniec Chrystusowy, jest Apostołem Słowian i rzecznikiem ich przyrodzonym w niebie. Od dziesięciu wieków prawie straszny dualizm religijny dzieli kraje słowiańskie, a Polska i Ruś, potem Moskwa,

jego wyobrazicielki i zapaśnice. Od dawna już Polska zaniechała swego powołania: jednoczenia odszczepieńców do całości kościelnej; Bóg dopuścił, iż nacisk zaczepny ..... wraca nas koniecznie na stanowisko historyczne; bez tego, bylibyśmy je ostatecznie opuścili, a błądzili po zużytych ścieżkach obcego zachodniego liberalizmu. Propaganda ..... na szerszej dziś niż kiedykolwiek postawiła się stopie, wywiera się na północną i wschodnią Europę mniejszą i środkową Azyę, Abissynię i Egipt, Sycylię i Korsykę samą. Naród nasz pierwsze ma miejsce w tej walce, świat cały zajmującej. Oby tylko wytrzymał, oby zrozumiał, że się wielka rzecz zaczęła. Myśleliście wyłącznie o stronie politycznej waszej sprawy, Bóg ją teraz obrócił na stronę religijną; a człowiek nie jest panem kłaść zadania w ludzkości, musi je przyjąć jak położone. Małoście i źle chcieli; Bóg może i zdaje się chcieć dać wam więcej, choć inaczej, abyście mu tylko byli wierni. Broniąc religii, nic nie tracicie, możecie zyskać tylko.

Religia katolicka, bracia moi! była i jest podstawą całego życia umysłowego, moralnego i historycznego Polski. Powiecie, że i innych narodów katolickich; prawda, ale na jednem tle wymalowane różne młode narodowości europejskie odmienną przyjęły barwę i kształty. Życie Polski tem wyłączniej spoczywa w katolicyzmie, iż on jeden był spójnią tego kruchego ciała, w którem indywidualność zawsze przemagała, a poza rodzinę nie wychodziła. On zastępował tę sklejność i organiczne instynkta, których zarówno z innemi ludami nie posiadamy; on zastępował ten zbiorowy rozum narodu publiczny, który, nigdy weń nie bogaci, dziś z osłabieniem wiary zupełnieśmy zatracili. Katolicyzm przy tak odrębnem naszem urządzeniu społecznem, wiązał nas jedynie z resztą zachodniego świata i przyniósł nam to wychowanie, co nas czyni wyższymi nad wszystkie inne ludy tegoż plemienia. Bo jeżeli wszędzie i zawsze wielkie myśli z serca płyną, tedy najbardziej u nas pobożność, zapał płynący z wiary zastępował wszystkie niedostatki rządu i rozumu. Narodowość więc nasza jest, jak obraz na murze malowany, weń wpity, wrośnięty. Dopóki mur cały, jakkolwiekby obraz uszkodzony, wszystko da się naprawić; ale skoro się mur obali, a dziś już jest podważony, wszystkie wasze teorye, cały

patryotyzm nie zbawi narodu, Polska przestanie być Polską. A gwałtem chcecie bronić samego obrazu, co niepodobna; a co najgłówniejszego, bierzecie zawsze za podrzędne. Nie od dzisiaj już tak grzeszycie. Od XVI wieku ubiegacie się za śmieciem Zachodu, stroicie się i pysznicie poważnie starzyzną germańskich i romańskich ludów... Pokazał się nareszcie filozofizm francuski, ten rozum nierozumu, to twierdzenie nicestwa, i toście przyjęli. I iluż jeszcze starannie pielęgnuje i upornie go broni! Teraz młodzież ciśnie się do dymnika niemieckiego panteizmu. Truje się w najlepszej wierze tym niedokwasem zdrowego rozsądku, tym rozczynnikiem wszelkiego poświęcenia, wszelkiego natchnienia, wszelkiego obyczaju. W samą porę przynoszą nieszczęśliwemu krajowi nieugięte fatum, kiedy on najbardziej potrzebuje wierzyć w Opatrzność, dającą się przebłagać. W samą porę ten świerzb nowych systematów i religii. Wczas uciekać z pola, aby szukać nowej taktyki do walki, kiedy naród stoi pod ogniem działowym męczeństwa. W samą porę dzielić siły, jakobyśmy ich mieli za wiele. Wyborny sposób szukać wiecznie prawdy, aby nigdy nie pełnić obowiązku.

Bracia moi! Z grzechów to naszych wyrosło, śmieszkami się tego nie pozbędziecie. Wyrzuty te i rany na ciele ojczystem zdradzają zepsucie soków żywotnych siły narodowej, wszystko to pochodzi z niewprowadzania w życie religii waszej. Urządziliście sobie wiarę, jakiej nigdzie niema na świecie. Z małym wyjątkiem katolik polski, szczególniej człowiek, mający się i miany za oświeceńszego, spowiada się jakkolwiek raz około Wielkiejnocy, nie dopełniając przez rok cały przepisów ani Bożych, ani kościelnych; a po spowiedzi zaczyna od zbytków stołowych, od mów przeciwko wierze i obyczajom, od gier i procesów niesprawiedliwych, od niedotrzymania słowa i zobowiązań, od uciemiężania słabych i poddanych, i tym podobnych *drobnostek;* i tak znowu trwa rok cały, aż do drugiej Wielkiejnocy. Kto inaczej robi, bigot jest i fanatyk. A cóż mówić o tym trądzie naszym moralnym i kołtunie: rozwodach. Przedmiot żalu i wstydu dla Kościoła i wiernych, dla obcych przedmiot tryumfu i pogwizdu. Poszliśmy w przypowieść i pogardę. Na bujnych ziemiach ruskich, z większym dostatkiem, nie cnoty, ale grzechy bujniejsze. Tak i dary Boże w przekleństwo sobie obracamy.

Wielki Boże! jaki dziw potem, że, kiedy w tylu krajach religia wzrasta, u nas upada. Jaki dziw, że Bóg dopuszcza klęsk i prześladowania. Co Bogu i co ludziom po takich katolikach i po takim katolicyzmie? Widzimy ich zagranicą w tych okropnych czasach, żyjących z dnia na dzień jak ofiary pod nóż rzeźniczy, nie chcących nawet myśleć o swem położeniu, bawiących się, jak gdyby Sas u nas, tu Ludwik XV panował. I Sasa niema, niema od dawna, a Polska jeszcze nie wytrzeźwiała. Miał Polak zostać mądrym po szkodzie, a tu mniej mądry jeszcze. Widzimy tyle młodzieży zarozumiałej i płochej, ze czczem sercem i umysłem, goniącej za zbytkiem a rozkoszami; widzimy rozsławiających imię Polski za kulisami teatrów, po domach gier i gorzej jeszcze, stawających przed sądem, idących do więzienia, nie za wiarę ani za ojczyznę... ale za długi. Jakże wytrzymają tak ciężkie próby! Mówiliśmy o Kościele unickim; zostawił on trochę nasienia, trochę krwi męczeńskiej, obudził on sumienie dzieci swoich przed kilkudziesięciu laty, w podobny sposób nawróconych, nie przystał na ....., ale sądził, że mu wolno ugiąć się powierzchownie. Teraz burza spada na Kościół łaciński, już na Rusi blizko przychodzi wybierać między wyrzeczeniem się wiary przodków a majątkiem i ojczyzną, przyjdzie kolej na inne części Polski. Duchowieństwo rozpędzają, lub głodem morzą. Mówią o zamiarach targnięcia się na Ostrobramę, na Częstochowę, to ognisko serc, tę stolicę duchową katolickiej Polski i Słowiańszczyzny. Aby wytrwać, trzebaby gorliwości pierwszych chrześcijan, gęstej i gorącej modlitwy, uczęszczania do św. Sakramentów, żywej pamięci na obecność i sądy Boże, pogardy bogactw i życia. Czy im dostarczy tej siły ów letni, materyalny katolicyzm, jaki sobie stworzyli? Mrowie przechodzi, myśląc o liczbie odstępców, o rzadkich wyznawcach i męczennikach. *Oto siekiera przyłożona do korzenia...*

A wy, bracia moi! którzyście popchnęli naród do tej toni, który dziś was, nie oszukujcie się, w chwilach rozpaczy, porywania mężów, dziatek, ściga może nieraz swem złorzeczeniem i przekleństwy, — o czem myślicie? Jeżeli macie jakie powołanie, to pewno to, abyście raz wprowadzili katolicyzm w życie, abyście świecili narodowi przykładem, i kiedy on dzisiaj daje

świadectwo prawdzie, abyście podnieśli błagalne ręce ku Niebu, w skrusze i pokajaniu. Nie żyjąc życiem narodu, jesteście kupą piasku, którą wiatr w rozmaite rozwiewa garstki, a piasku mniej coraz i coraz lichszy. Kłócicie się o zasady. Ale jeśli tymczasem braknie gruntu, na którym je zasiewać chcecie, na co się one wam zdadzą? Cóż tak pilnego — czy zaginą książki, z których je wzięliście, i pisma wasze? Czy prócz was i po was nikt się ich nie dopyta? Wolnoż tak myśleć wam, ludziom postępu? Jużeście wszystko powiedzieli, każdy pochwycił jednę myśl, na jednej strunie gra od lat dziesięciu, jedno ma tylko oko: na widzenie co chce widzieć, jedno ma tylko ucho: na słyszenie tego, co mu się podoba.

Wystawiliście dzienniczki jak owe rozbójnicze zameczki w Średnich Wiekach; kto wam się nie opłaci, obedrzecie go z imienia i poczciwości; niczego nie szanujecie, przewyższyliście rychło w nadużyciach dziennikarstwo zachodnie, szlachetnie bezpieczni, że obrażony nie zechce obcym się sądem spierać i pod Jagiełłową cisnąć was ławę. Piękne zadatki dobrego używania wolności w waszym kraju! Sączycie żółć zimną, znak zepsutego serca, krzywicie zwiędłe wargi do śmiechu, wojujecie śmiesznością. Czy śmieszność kogo poprawi? Czy rzecz publiczna aby krokiem naprzód postąpiła? przeciwnie. Jaki pożytek z dowiedzenia sobie nawzajem, żeście wszyscy, żeśmy wszyscy niewiele warci? Boć takie następstwo z sądów naszych prawnie wyciągnąć mogą nieprzyjaciele nasi, ach! i już wyciągnęli. Czy to wszystko z zasad płynie? Gdyby tak było, każdy uczciwy człowiek powinien się zarzec zasad wszelkich i na zawsze. O, gdyby o zasady tylko chodziło, tobyście dawno zbliżyli się i porozumieli, ustąpili każdy coś ze swego, przynajmniej nie przeszkadzali sobie nawzajem. Jest coś innego na dole: pycha i zazdrość, która wszelką jedność i miłość niepodobną czyni. Pycha, nawet nie pycha, bo ona się wielkich rzeczy czepia, górno chodzi, na wysokie się kasze, ale, jak ją Skarga zowie: «szara pyszka». Zdrobnieliście, politykując na piasku, w powietrzu zawieszeni bez żadnej podstawy, straciliście już instynkt do wielkich, do jakokolwiek praktycznych rzeczy; w wielu umysłach skrzywionych, śpiących na jawie, prawda marzeniem, marzenie prawdą. Gdybyście czysto szukali dobra powszechnego,

nie byłoby tylu ochotników do władzy. Chęć władzy, to choroba powszechna, mania emigracyjna; władza nad czem i nad kim? nad pajęczyną, nad dymem? Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie i z sobą; zawsze tak u nas bywało. Działacie, jak mówicie (już ten wyraz, jak wiele innych, zużyty nadużyciem i w śmieszność podany), działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, wołać głośno, podpisać, wydrukować; działacie, aby drugiemu przeszkodzić, aby się nie dać ubiedz wypadkom. Pilno wam o te wypadki, a ja, pragnąc ich z jednej strony, z drugiej drżę z obawy, by was niegotowych nie zaskoczyły. Boże mój! jak was takimi znajdą wypadki, czego się tu dobrego spodziewać! O, pokutujcie, póki czas! nie czekajcie, ażby Pan podniósł swą prawicę i oświadczył się, że już więcej nie będzie czasu. *A już siekiera do korzenia przyłożona.*

Jest przyrodzona człowiekowi w razach wielkiego nieszczęścia zapominać o przesądach umysłu, o urazach serca. Wszystkie narody w niebezpiecznych razach uciekały się w duchu pokuty a modlitwie do Boga o pomoc i przebaczenie. Czy to robicie? Niektórzy zapewne. Ale większość jak żyje? Panie! daj mi siłę powiedzieć. Jedni, popisując się zbytkiem swoim, urągają się nędzy głodnych i schorzałych braci; brak tylko staropolskich moździerzy wiwatowych dla zagłuszenia ich skargi i jęków. Są całe szkoły karciane, tracące czas, sumienie i zdrowie na obdzieraniu wzajemnej nędzy. Dziwny sposób do życia! A o niepowściągliwości tak powszechnej co powiem? O! niech milczenie moje, wstyd ust moich niech wszystko powie. I tacy zowią się męczennikami, wyznawcami świętej sprawy, zowią się katolikami, patryotami.

O, skończył się już, skończył taki patryotyzm robaczywy! Nowy się zaczyna, patryotyzm z poświęcenia. Długo Pan pozwolił operować nad biednym narodem ludziom, nie mającym w sercu, na czole znamienia krzyża, ale dziś Pan widocznie sam się wdał w rządy. Do szkoły swojej Pan mój naród powołał. Nie znalazł innego środka na zbawienie człowieka jedno krzyż; nie ma środka, prócz krzyża na upamiętanie grzesznego narodu. Wszystkie uczynki dziś mierzą się krzyżem; gdzie tego piętna niema, to pieniądz fałszywy; jakiekolwiek nosi światowe godła, na nic się nie zda Bogu ni ojczyźnie. Najlepszy dziś patryota, kto jest najczystszym moralnie człowiekiem, najgorętszym chrześcijaninem.

Naciągnął Pan mój naród na krzyż, jak strunę na lutnię — on, Boski lutnista — naród mój najmłodszy z katolickich, Benjaminka narodów — i stroi go do Boskiej swej harmonii, co raz to próbuje: struna jęczy przeraźliwie... ach! czuję, jak jęczy, ale jeszcze nie doszła, a dojść musi albo pęknie. Polska wytrzyma próbę albo upadnie; emigracya się nawróci lub marnie zginie. Prorokiem nie jestem, co potem będzie, nie wiem, ale to wiem pewno, że bez poprawy wewnętrznej nic dobrego być nie może, lub, co gorsza, a czego nie daj, Boże, będzie powód nowych ostatecznych nieszczęść narodu, bez korzyści i nawet bez chwały. Dlatego nam tak pilno, bracia moi, dlatego mówimy do was, jak gdybyśmy mówili po raz ostatni. Gdyby naród miał obietnicę trwałości jak Kościół, pogwizdywałbym bezpiecznie na wszystkie wysiłki nieprzyjaciół naszej wiary. Gdyby czasy nie były tak ciężkie, bylibyśmy cierpliwsi; ale oto naród się rozkłada, wszystkie w nim zarody śmierci, życie tak słabe. Pytamy się nieraz: czyśmy już opuszczeńce Pańscy, czy Bóg nas odepchnął ostatecznie za tak długą niepokutę? Wszystkie nieszczęścia nas otoczyły dokoła, jak wody wielkie przejadają się w trzewia i w koście. Jakby wałem z żaru otoczył Pan jak owada; żadnej pokuty. Tymczasem wiara upada, odstępców bez liku, między wami już kosztem wiary żebrzą o powrót do domów. Dlatego nam pilno — zachodzimy w głowę jak do was mówić, jak obudzić z letargu; oto już grabarze we drzwiach — a obudzić nie możemy. Biada nam grzesznym! *Nad tem kwilić i narzekać będę z Prorokiem* (Mich. I, 8, 9), *uczynię lament jak młode strusięta. Przeto że nie nieuleczone są rany jej, gdyż doszły aż do Judy, a dosięgły do bramy ludu mego, aż do Jeruzalem.*

Już mi się żyć przykrzy; nie chcę patrzeć na hańbę i utratę wiary i upadek mego narodu. Panie! weź mię z tego żywota, nie jestem lepszy od ludu mojego. Ale póki żyję, wołam i wołać będę: czyńcie godne owoce pokuty, oczyśćcie sumienia wasze w skruszeniu serca i złamaniu ducha, padnijcie na kolana, módlcie się, wołajcie w niebogłosy, może się zmiłuje. Pokutujcie! Pokutujcie!! Pokutujcie!!!

E) Z kazania o trojakiem życiu i trojakim patryotyzmie (1842).

(Pisma, Tom I, str. 87—89).

711) Pierwszy stopień miłości ojczyzny, który nazwiemy uczułym, instynktowym, nałogowym, dziwnie silny, rzewny, tęskny, choć ciemny i nie pojmujący się, zwykły jest ludom młodym, pasterskim lub rolniczym i ludziom, pozbawionym oświaty, ale też wolnym od wad i zepsucia cywilizacyi, już przejrzałej lub chyłącej się ku starości. Człowiek, organiczne zarazem i duchowe jestestwo, przychodząc na świat, nim władze duchowe się rozwiną, żyje wyłącznie w stosunku blizkim, bezpośrednim ze wszystkiem, co go otacza. Między organizmem zatem człowieka a miejscem, w którem się urodził, powietrzem, którem oddychał, pokarmy, którymi się żywił, ciasny zachodzi i sympatyczny stosunek. Następnie widoki, które oglądał za młodu, góry o szczytach śniegiem pokrytych, szumiące lasy lub huczące morze, szare czy błękitne niebo, aż do barwy zieleni, do śpiewu ptaków, do nuty niańki kołyszącej go na ręku, — wszystko to dziwnie się wraża w pamięć, odbija w wyobraźni i stanowi niejako tło i krajobraz, do którego nawykło nasze jestestwo, bez którego dziwnie żyć trudno, boleśnie i często niepodobna. Alpejczyk, oddalony od gór swoich, choćby jałowych i najdzikszych, na równinie mlekiem i miodem płynącej czuje się często po niejakim czasie ogarnionym tęsknotą niewymowną, nieprzepartą, oporną wszystkim radom i pociechom. Często usycha, umiera, jeżeli na czas nie może usłyszeć śpiewu pasterskiego gór swoich, który od dzieciństwa wpadł mu jeszcze przed pacierzem do ucha i śpiewa dotąd wciąż w jego duszy. Uczucie to nie jest przywiązane do gór; my mieszkańcy płaszczyzn przecież znamy dobrze tę tęsknotę za krajem. Niejeden ją życiem, powoli usychając, przypłacił. Inny, namiętniejszy, zmysłów postradał. Rzadki, z młodszych szczególniej, któryby jej ciężko i nieraz nie przechorował. O, jak być grzeszni musimy, kiedy nas Bóg tam właśnie ugodził, gdzie nas najwięcej boli, i karze tak długo! Ale wróćmy. Uczucie to nie jest przywiązane do piękności miejsca. Tacyt, Rzymianin, znający się na miłości

ojczyzny (bo to uczucie, poza które poganie nie przeszli, owładło całą ich duszę), mówiąc o dawnej Germanii, kraju dzikim, zimnym, niepodobnym do mieszkania, dodał, «chyba dla tych, których ojczyzną» *nisi patria sit.* W 1814 i 1815 roku Kirgiz astrachański, pochylony na swoim rumaku, pasącym się liściem drzew pól Elizejskich w Paryżu, nie patrzył na ten kamienny step, obojętny mu całkiem. Tęsknił za tak mu pełnym, choć w rzeczy dzikim i jałowym stepem swoim, tym gościńcem Attylów i Timurów, wodzów gniewu Bożego, po którym tylko dzika zamieć szaleje: a kiedy za powrotem doszli granic swoich, to jest pustyni, padali na twarz i całowali z płaczem tę ziemię, głęboko porysowaną od słonecznej spieki... Niech się dziwi i śmieje kto chce z podobnego rozczulenia, ja pewno nie będę... Ale czy taka miłość ojczyzny dostateczna chrześcijaninowi, ba, rozumnemu człowiekowi? Nie... bo i rumak stepowy strzygł uchem, rżał wesoło, i kopiąc ziemię, pieścił się ze stepem, szeroką matką swoją... Nie, nie dosyć bracia takiego patryotyzmu, i wstydby był na nim poprzestać.

Drugim, wyższym już niezmiernie stopniem miłości ojczyzny, który jednak całkiem nie wyklucza, co w pierwszym pięknego i tkliwego, tylko się więcej zna i posiada, jest patryotyzm umysłowy albo rozumowy. Ten polega głównie na zakochaniu się w życiu historycznem, umysłowem i moralnem swego narodu, w pewnem stożsamieniu z nim własnej istoty. Żywiołami takiego patryotyzmu są głównie dzieje, język, piśmiennictwo, sztuki, prawodawstwo, zwyczaje, wspomnienia: żywioły, działacze wyższe od poprzednich, bo już nie organiczne tylko, nie uczułe, ale rozumne. W miarę jednak starzenia się, psucia narodu, a raczej wzrostu samolubstwa w wydatniejszych jego jednostkach, ojczyzna przestaje być, w praktyce przynajmniej, przedmiotem miłości; staje się nim, sam sobie człowiek. Ojczyzna wtenczas zostaje środkiem tylko, punktem podpory, podstawą działań, obrębem, pośród którego się porusza, rozwija czynność pojedyńcza, dążąca do nieśmiertelności ziemskiej, materyałem, który myśli i wola indywiduów obrabia, przetwarza na obraz i podobieństwo swoje, — słowem z oblubienicy uwielbianej ojczyzna zostaje służebnicą. Taki patryotyzm, niestety, zbyt powszechny między nami. Silny, namiętny, ale skrzywiony, niepłodny samo-

lubnym indywidualizmem. Miłość to zalotna, wyłączna, zazdrośna. Niejeden dałby wszystko dla ojczyzny, ale też sam jeden chce nią rozrządzać. Tyle i dopóty jej służy, dopóki nią może kierować i rządzić podług woli swojej.

Opracował: Dr W. HAHN.

LXXXV.

JEŁOWICKI ALEKSANDER

(1804—1877).

Aleksander Jełowicki ur. 1804 r. 18 grudnia z ojca Wacława i Honoraty z Jaroszyńskich, we wsi Hubniku nad Bohem w powiecie hajsyńskim, na pograniczu Podola i Ukrainy (w dawnem województwie bracławskiem), z rodziców majętnych. Najważniejszem źródłem do poznania życia Jełowickiego do r. 1839 jest jego własne dzieło p. t. «Moje wspomnienia». O dzieciństwie sam pisze w ten sposób: «Pamiętam, że będąc dzieckiem było mi bardzo dobrze; nie pamiętam, żeby mię w pierwszych latach co kiedy zabolało; nie pamiętam dziecinnego płaczu; pamiętam, że zawsze u nas było pięknie, huczno, wesoło, dużo gości, cukierków, owoców, kwiatów, koni, psów, strzelania, zabawek; nie pamiętam, żeby kiedy było nudno, pusto w naszym domu; nie pamiętam nawet, żeby mi kiedy było zimno, chociaż często lataliśmy po śniegu w trzewikach i nieraz próbując, czy szron mocny, wpadło się w śnieg po uszy; pamiętam, że z rycerską postawą prawiliśmy wiersz Krasickiego: Święta miłości kochanej ojczyzny». Pierwszym nauczycielem Jełowickiego był bazylianin ks. Skiba, który wywarł znaczny wpływ na ugruntowanie poczuć religijnych młodego chłopca; chwilę, w której Jełowicki po raz pierwszy służył do mszy św., nazywa sam jedną ze stanowczych w swem życiu. W jedenastym roku życia odwiózł go ojciec do gimnazyum w Winnicy; z pomiędzy nauczycieli największy wpływ wywarł na młodzieniaszka głośny ksiądz Pijar Maciejowski, dusza gimnazyum winnickiego; piękną sylwetkę tego człowieka skreślił Jełowicki we «Wspomnieniach». Po ukończeniu gimnazyum przebywał przez rok jeden w domu, poczem udał się na uniwersytet Jagielloński, gdzie go ojciec oddał opiece rektora Sołtykowicza, o którym Jełowicki zachował miłe wspomnienie. Uniwersytetu jednak w Krakowie nie ukończył, gdyż w półtrzecia roku po przybyciu do Krakowa musiał na żądanie W. Ks. Konstantego wrócić do Warszawy, gdzie kształcił

się dalej, otrzymawszy w r. 1825 stopień magistra na wydziale filozoficznym. Po śmierci Aleksandra I powrócił do Hubnika, pragnąc tutaj oczekiwać «wielkich odmian», których wówczas wszyscy się spodziewali; na razie jednak nadzieje zawiodły, mimo to Jełowicki pozostał i nadal na wsi, spędzając czas na wesołych zabawach, wyjazdach gospodarskich, polowaniach. Tak zastał go wybuch powstania listopadowego w r. 1830.

Rodzina Jełowickich, ojciec i trzech synów: Edward, Eustachy i Aleksander, wzięła gorący udział w wypadkach 1831 r.; Hubnik był miejscem tajemnych zjazdów i narad obywatelstwa; na dane hasło przyprowadzili Jełowiccy 7 maja szwadron, wystawiony własnym kosztem. I Aleksander nie pozostał bezczynnym: w obozie generała Kołyski sprawował obowiązki sekretarza; brał udział w walce pod Daszowem, Tywrowem, Obodnem, Majdanem, gdzie zginął jego ojciec; w tej bitwie odznaczył się wielkiem męstwem. Po przeprowadzeniu oddziału Kołyski do Galicyi udał się do Warszawy. Dnia 9 lipca wszedł do sejmu jako poseł hajsyński, gdzie odczytał krótki rys powstania podolskiego, przyjęty wśród objawów zadowolenia całej Izby. Należał także do komitetu ziem ruskich i Rady wojennej. Z upadkiem powstania udał się do Galicyi, a stąd do Paryża, gdyż żywił nadzieję, że tutaj zbierze się na nowo Sejm. O stosunku swoim do emigracyi tak sam pisze: «Mając wszystkich za lepszych od siebie, szanowałem ich roboty i należałem prawie do wszystkich, póki nie poczułem, że były niedobre. Omylony w wyobrażeniach, jakie przywiązywałem do ludzi, których wielbiłem i szanowałem na niewidziane, bo o wszystkich myślałem, że są bohaterami i serca czystego jak bursztyn, nieraz wpadłem w niecierpliwość, w rozpacz o sprawie naszej, z cichego przechodziłem na gwałtownego, z łagodnego na ostrego». W pracy jednak nie ustawał; między innymi należał do grona założycieli Towarzystwa naukowej pomocy, zbierał t. zw. podatek braterski, na utrzymanie współtowarzyszy, którzy, biorąc udział w wyprawie sabaudzkiej, nie pobrali żołdu i byli w wielkim niedostatku; zasłużył się też wydawaniem pism peryodycznych: «Rocznika emigracyi polskiej» i «Wiadomości krajowych i zagranicznych», a nadto dzieł polskich, jak «Dziadów» III części, Ksiąg pielgrzymstwa narodu polskiego, «Pana Tadeusza», na co nie szczędził własnych funduszów. Celem rozwinięcia wydatniejszej akcyi zawiązał spółkę z Eustachym Januszkiewiczem i Stefanem Dembowskim, razem założyli polską drukarnię i księgarnię w Paryżu (1835). Książki wychodzące z oficyny miały na okładkach orła jagiellońskiego z litewską pogonią, a wokoło napis: «Boże zbaw Polskę». W pierwszej odezwie nowej drukarni czytamy między innemi: «Oby ta drukarnia drukować mogła jak najprędzej biuletyny wojny narodowej, ale tymczasem na polu nieustającej walki niech się zjawią dobrzy pisarze i liczni czytelnicy». Założenie drukarni i księgarni przez Jełowickiego było dla emigracyi wypadkiem niezwykle doniosłym; w ten sposób płody autorów polskich, którzy we własnej ziemi drukować nie mogli, mogły

ukazywać się w druku. Rok 1838 stanowi przełom w życiu Jełowickiego; poczuwszy bowiem w sobie powołanie kapłańskie, wstąpił z końcem tego roku do seminaryum św. Stanisława Kostki w Paryżu; 1839 r. przeniesiono go do seminaryum wersalskiego, 1841 r. 18 lipca otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa Blanquart del Bailleul. Na postanowienie jego wpłynęło to przeświadczenie, że «Polska nie porośnie znowu w bujne żniwo boże, aż się pod siew ziarna bożego przeorze pokutą». W tym kierunku zwrócił teraz całą swą działalność, nawołując ziomków do pokuty. Z początku był wikarym przy kościele w St. Cloud, 1842 r. udał się do Rzymu z polecenia arcybiskupa Dunina, ażeby zdać sprawę papieżowi ze stosunków religijnych w Polsce; w tym czasie wstępuje do Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Kiedy matka Makryna Mieczysławska, ksieni Bazylianek, zjawiła się w Paryżu, zajął się nią Jełowicki, udając się z nią do Rzymu, gdzie na polecenie papieża Grzegorza XVI spisał opis męczeństwa za wytrwałość w unii; opis ten przetłumaczono na kilka języków europejskich. Po powrocie Jełowickiego do Paryża powierzono mu przełożeństwo nad stałą misyą Zgromadzenia w Paryżu. O stosunku Jełowickiego do wychodźtwa polskiego powiedziano słusznie, że Jełowicki był kością jego kości, ciałem jego ciała, w pracy swej jednak napotykał na niemałe przeszkody, jak o tem pisał w r. 1869 do O. Kamockiego: «Na misyę polską do Paryża przeznaczony, biję się już przeszło lat dwadzieścia z przeciwnymi wiatry, a z mnóstwa wygnańców dawnych i nowych małą zaledwie mam trzódkę. Zwierzone mi słowo Boże pada tutaj, nie powiem, że na grunt skalisty, bo serca polskie zawsze są sercami, ale na rozdroża, coraz to bardziej ubijane racicami kozła piekielnego, olśniewające umysły poczciwe nauką przewrotną, stępiającą nawet w Polakach ostrze wiary, która powinnaby przenikać aż do głębi ducha». Zarządzając kościołem Wniebowzięcia M. B., przeznaczonym na nabożeństwa polskie, opiekował się także rodakami, rozrzuconymi w innych dzielnicach Paryża, nieraz wyjeżdżał do miast prowincyonalnych, głosząc wszędzie słowo Boże; wtedy też przyswoił naszej literaturze szereg dzieł teologicznych, zapełniając w ten sposób dość dotkliwą lukę piśmiennictwa naszego teologicznego: przekłady te odznaczają się pięknym językiem. Z krajem pozostawał do końca w ciągłej styczności.

Ceniony i poważany dla swych zasług przez władze duchowne francuskie cieszył się także wielką życzliwością papieża Piusa IX.

Umarł w Rzymie 15 kwietnia 1877 r.; pochowany w grobie Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego na cmentarzu św. Wawrzyńca.

Należy ks. Jełowicki do najgorliwszych pracowników na emigracyi: najpierw jako wydawca, potem w zmienionej roli jako kaznodzieja i duszpasterz zasłużył się dobrze społeczeństwu polskiemu. Na pozór szorstki, czem zrażał sobie ludzi, owiany był najlepszymi zamiarami. W literaturze znany głównie jako autor «Moich wspomnień»,

przysporzył także cały szereg dzieł ascetycznych już to oryginalnych, już to tłumaczonych, odznaczających się pięknym i poprawnym językiem; pomiędzy innemi przełożył na język polski «O naśladowaniu Jezusa Chrystusa» św. Tomasza à Kempis.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

O Jełowickim pisali:

1) O rodzinie Jełowickich por.: T. Żychliński: «Złota księga szlachty polskiej» XV. (Poznań, 1893), str. 217—232. 2) Ledóchowski Jan: Kilka słów na Kilka słów przez ks. Aleksandra Jełowickiego (Paryż, 1834). 3) Choński Henryk Edward: Co sądzić należy o ostatnim paszkwilu pana Jełowickiego z d. 11 grudnia p. t. «Komitet ziem ruskich»? (Paryż, A. Pinard, 1835). 4) Catalogue de la librairie Polonaise (de A. Jełowicki et Comp.) à Paris; Livres, brochures etc. Octobre, 1836. 5) M. J. J. A. «Encyklopedya kościelna» VIII (1876) str. 585. 6) J. Szujski: O. A. Jełowicki. «Przegląd polski». 1877 maj, 315—317. 7) Br. Z. A. J. Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Rok 1873—1878. T. II. (Poznań 1879) str. 332 - 340. 8) X. P. Smolikowski: Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Podług źródeł rękopiśmiennych. Kraków 1895. 9) Dawny Kolegiasta: O Kolegium polskie w Rzymie (portrety Semenenki, Kajsiewicza, Jełowickiego). Roczniki Kolegium polskiego w Rzymie. Rok III, zesz. VI (1904). Rzym, str. 16—20.

Moje wspomnienia.

X. Jełowickiemu zapewniły miejsce w literaturze «Moje wspomnienia» (wydanie pierwsze Paryż 1839; czwarte Kraków 1903), które wśród pamiętników naszych z początku XIX wieku zajmują poczesne miejsce. Odznaczają się bogactwem podanych przez autora szczegółów, ważnych do poznania ówczesnej epoki przed wybuchem powstania listopadowego, jakoteż pierwszych lat emigracyi. Sposób opowiadania prosty, szczery; czuć, że autor zawsze podaje prawdę; zaletą też «Moich wspomnień» jest piękny język.

Wspomnienia obejmują następujące rozdziały: Księga I. I. Pierwszy lat dziesiątek. II. Szkoły w Winnicy. III. Rok w domu IV. Akademia w Krakowie. V. Uniwersytet w Warszawie. VI. Powrót do domu. VII. Podróż na Kaukaz. VIII. Jubileusz w Granowie. IX. Ślub siostry. X. Szarańcza i polowania. XI. Niezwykłe postacie. XII. Kamieniec. XIII. Berdyczów. XIV. Kijów i Krzemieniec. XV. Pierwsza myśl kapłaństwa. Księga II. XVI. Oczekiwanie. XVII. Gotowość do powstania. XVIII. Powstanie. XIX. Bitwa pod Daszowem. XX. Potyczki pod Tywrowem, Obodnem i Majdanem. XXI. Wejście do Galicyi. XXII. Dostanie się do Warszawy. XXIII. Wstąpienie do sejmu. XXIV. Czynności sejmowe. XXV. Koniec powstania. XXVI. Wejście do Prus. XXVII. Pobyt w Galicyi, przyjazd do Paryża. XXVIII. Podróż do Szwajcaryi. XXIX. Pierwsze lata wygnania. XXX. Podróż do Anglii. XXXI. Podróż po Belgii, Francyi i Niemczech. XXXII. Wydawnictwo na wygnaniu. XXXIII. Ostateczna myśl kapłaństwa.

Szkoły w Winnicy,

712) *(Str. 18—19).* Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta, widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci. Oto będziemy się bawić, pytamy:

Papo, a wstąpimy tu?

— Wstąpimy.

— A dużo tam chłopców?

— Dużo.

— A jak się ten pan nazywa, co tam mieszka?

— Gimnazyum.

Otóż masz, — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? wjeżdżamy do miasta, paskudne, — prowadzą nas nazajutrz do szkół, — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

Wtem dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy i nuż w perewerty; wesoło krzyczą i nam poweselało, radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im, co to i my figlów umiemy; ale nie można: więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?

A nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiełło, nie proszony odpowiada:

— Jak odbędziecie popisy.

— Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.

— Da się to widzieć.

Przyszło do popisów; straszniejsze były w domu, myślimy sobie; ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej.

(Str. 26—27). Nasz nauczyciel Jagiełło był człowiek nie bardzo zabawny, ale poważny, słodki i pilny w nauczaniu; wiele umiał, wiele z nami pracował, pilnował nas dobrze; przy takim dozorze w domu, przy współubieganiu się w szkole, a nadewszystko przy pamięci na ową obietnicę dziadunia *[który pozwolił im przychodzić do siebie w niedzielę w razie dobrych postępów]*, uczyłem się nieźle, mianowicie miałem zdatność do nauk ścisłych.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a z niemi popisy i porachunek szkolnych postępków; popisy przeszły jako tako, ale ten porachunek...

Zbierają się uczniowie do największej izby; niema ławek, a tylko stół wielki i krzesła dla nauczycieli. Uczniowie w oczekiwaniu jak na wyrok śmierci, cicho stoją, na klasy jak na hufce podzieleni. Otwierają podwoje: wspaniałym pochodem wchodzi zwierzchnik z dozorcą gimnazyalnym, za nimi nauczyciele w litej odzieży, zasiadają w milczeniu. Zwierzchnik stosowną przemową zagaja posiedzenie; jeden z nauczycieli zaczyna czytać imiona uczniów do pochwały z każdej klasy osobno, zaczynając od pierwszej. Uczniowie chwaleni szykowali się na środku, zwierzchnik przemawiał do nich w sposób pochlebny i zachęcający, a malce z rozpromienionemi twarzyczkami wracali do swoich. Wywołują następnie do nagany. Najstarsi wiekiem najczęściej na nią zasługiwali, ciągną się jak woły, stają rzędem, a wysłuchawszy cierpkie napomnienie, niejeden rozpłakawszy się, wracał łzy gorzkie ocierać postanowieniem poprawy. — Aż tu do nagany z obyczajów drugiej klasy wołają «Eustachy Jełowicki»; krew zakipiała we mnie jakgdyby mię kto ukropem sparzył; zaczajony patrzę co to z tego będzie: pan Eustachy wychodzi czupurnie, potrójnym ukłonem wita nauczycieli i współuczniów, występuje dalej jak na środek, znowu się kłania, dopóki mu zwierzchnik nie przerwał:

— A czego się tak kłaniasz?

— Bo jestem obyczajny.

— A ty, malcze, jeszcze krnąbrny, patrzcie go! takiego ojca syn, a czyż ty nie boisz się zakrwawić jego serca?

Wtem Eustachy połą od mundurka potrząsa, dając znak współswawolnikom, jak to on tęgo słucha nagany.

— A co tam robisz?

— Chustki szukam — i parsknął od śmiechu.

Eustachy był bardzo sprytny, uczył się dobrze, lecz temu dziwakowi nauczycielowi najwięcej płatał figlów i za to go ganili. Zwierzchnik czuł, że Eustachy nie wart był nagany, więc skończył przestrogę łagodnie, mówiąc:

— Idź, zakryj swój wstyd, a popraw się!

Eustachy znowu się wkoło obkłonił i, wróciwszy, bunducznie stanął na czele malców; a malce potem gadali: oto tęgi!

Przyszła kolej na klasę trzecią, — zadrżałem, — chęć pochwały, a bardziej obawa nagany objęły mnie takim strachem, jak gdyby mię kto nad przepaścią trzymał i co chwila miał puścić. Pochwały nie spodziewałem się wcale, bo sumienie własne, ten najsurowszy sędzia, policzył i postawił mi przed oczy wszystkie nieumiane zadania, niedopełnione ćwiczenia. Schowałem się za wszystkich uczniów, radbym się był pod ziemię schował: aż tu wywołują mię do pochwały, — uszom moim nie wierzę; wołają raz drugi, wysuwam się nieśmiało, a zwierzchnik chwali jeszcze i za to, żem skromny.

(Str. 29–30). Zawitała wiosna, a z nią nowe rozkosze uczniom; ustała wojna na śnieżki, a zaczynała się wojna w piłki; ustały ślizgawki, a zaczynały się dalekie przechadzki i gry rozliczne. Pierwszego i ostatniego maja była całodzienna majowa pohulanka. Wszyscy uczniowie ze wszystkimi nauczycielami, z muzyką i z jakiemiś zawsze chorągwiami na czele, wyruszali z murów przez miasto do lasu, porządnym pochodem. Kto mógł, jechał po przedzie na koniu i to już było najwyższe szczęście, bo mu się zdawało, że on dowodzi tym hufcem, że wszyscy tylko na niego patrzą; więc malec głową, a koń ogonem kręcą na wszystkie strony i oba z siebie radzi. Pod koniec szkół myśmy mieli doskonałe konie, jeździliśmy dobrze: to też malcy zazdrościli nam, nazywając paniczami, marszałkowiczami, bo wyraz «arystokrata» nie był znany w szkołach. Pomimo te wymówki uczniowie nas lubili, bośmy zawsze mieli czem się z nimi dzielić, to rodzynkami, to cukierkami, a mianowicie bywaliśmy bogaci na majówkę.

Przyszedłszy na obraną jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pułki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że

wojna; rżenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamięszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych, bo nieraz aż krew się leje. Zaglądasz z lasu: jedni gonią, drudzy uciekają, tu piłki jak kule armatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą, tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jakgdyby z harmaty, drugi odbija bombę kułakiem, niejeden zwali się na ziemię, niejeden w rów wleci, tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedź psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamocze; kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi; wali się olbrzym, malce jak gruszki odlecą od niego, wnet jak mrówki obsiędą i męczą go, dopóki nie krzyknie «daruj»; ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie jakgdyby zabity; malce się zagawronią, on strzepnie nimi, malce odlecą i albo nowy bój rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna — zabrzmiała trąba pokoju, — bój ustaje, — zniknęli nieprzyjaciele, — szykują się wszyscy do jednych szeregów; każdy urwał sobie liściastych gałęzi, a choć nie laurowe ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięstwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącym ich liściem. Słuchając i patrząc zdaleka, myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za nimi; ale jak muzyka ucichnie, a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustają wrzaski, szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła malców, iskry w ich oczach; spojrzawszy na nich, mimowolnie wykrzykniesz: «To dzieci rycerzy, to polskie dzieci!»

Opracował: Dr W. HAHN.

LXXXVI.

PRĄDZYŃSKI IGNACY

(1792—1850).

Ignacy Prądzyński, generał dywizyi wojska polskiego i kwatermistrz generalny wojska w czasie wojny 1831 r., urodził się 1792 r. w Sannikach w Poznańskiem. Rodzice jego, Stanisław, prokurator przy Sądzie apelacyjnym poznańskim za Księstwa Warszawskiego, i Maryanna z Bronikowskich, wyszli z mniej zamożnych rodzin wielkopolskich. Pomimo szczupłego majątku ojciec Prądzyńskiego dał synowi staranne wychowanie. Pierwsze nauki pobierał w domu pod kierunkiem ojca i księdza emigranta Francuza. Tradycye domowe, pierwsze wrażenia dzieciństwa i widok rozszarpanego kraju zaszczepiły w Prądzyńskim gorącą miłość dla nieszczęśliwej ojczyzny i nienawiść ku jej ciemiężcom i, jak się sam wyraża, uczucia te wywarły stanowczy wpływ na całe jego życie i towarzyszyły mu do grobu. W ciągu lat sześciu wychowywał się w Dreznie pod kierunkiem wychodźcy, kanonika Jezierskiego. Oddał się szczególnie naukom matematycznym i wojskowym. Zaraz po zawarciu traktatu tylżyckiego 14-letni Prądzyński rozpoczął zawód wojskowy, wstąpiwszy do nowoformującego się 11-go pułku piechoty w Poznaniu, który w roku następnym (1808) przeniesiony został do Gdańska. Wkrótce gorliwość w służbie, obok wyższego uzdolnienia zjednała mu uznanie dowódców tak dalece, iż 16-letniemu młodzieńcowi powierzono instrukcyę podoficerów całego pułku. Nie zaniedbując służby pułkowej, kształcił się w ulubionych naukach wojskowych i czem się stał następnie, stał się przez własną pilność, a bardziej jeszcze przez zdolności wrodzone. Wraz z otwarciem szkoły aplikacyjnej w Warszawie, chciwy nauki, udał się do niej i d. 10 kwietnia 1809 po świetnym egzaminie otrzymał stopień podporucznika ucznia tej szkoły. Rozpoczynająca się właśnie kampania austryacka powołała go do służby czynnej, do korpusu inżynierów. Wszelkie polecenia zwierzchności wykonywał z wielką gorliwością

i roztropnością, przytem odznaczał się zimną krwią i niepospolitą odwagą w niebezpieczeństwie. W czasie wolnym od działań wojennych zajmował się rozpoznaniami i projektami, w których przebijała się zawsze gorąca wyobraźnia, stałe znamię jego charakteru.

Miłość kraju i chęć odznaczenia się przewodniczyły jego czynnościom, ambicyi jednak nie posuwał nigdy poza kres rzeczywistego koleżeństwa. W dyskusyach, do których miał pociąg, obstawał mocno przy swojem zdaniu, broniąc go logicznymi dowodami. Pomimo tego miał wielu zwolenników pomiędzy kolegami i dowódcami. Brak naturalności w wymowie, pomimo doboru i siły wyrażeń, zostawiał słuchaczy obojętnymi. Wiele przyczyniała się do tego słabego wrażenia postawa nie wojskowa i brak wyrazu w twarzy, na której nie odbijała się bynajmniej ani wyobraźnia tak bujna Prądzyńskiego, ani też genialność jego pomysłów.

Po skończonej wojnie Prądzyński awansował d. 4 listopada 1809 na porucznika 2-go pułku artyleryi pieszej, a d. 1 kwietnia 1810 na adjutanta pułk. Malleta, inspektora inżynierów.

Służba wojskowa podczas pokoju dała mu możność dalszego kształcenia się. Pod kierownictwem znakomitego profesora Liveta rozpoczął kurs wyższej matematyki.

W r. 1811 Prądzyński miał sposobność odznaczenia się przy olbrzymich robotach około umocnienia Modlina.

Dnia 26 stycznia 1812 mianowany został kapitanem 2-giej klasy w batalionie saperów. Wojnę rosyjską odbył w sztabie gen. Dąbrowskiego jako oficer inżynieryi. Na tem stanowisku zdołał pozyskać szacunek i zaufanie swego generała. Odznaczył się szczególnie przy rozpoznaniu twierdzy borysowskiej, w potyczce d. 14 września z gen. Ertelem, w bitwie borysowskiej d. 21 listopada i przy przeprawie Berezyny.

W pamiętnym odwrocie, kiedy rozluźnione zostały wszelkie względy karności i ludzkości dla towarzyszów niedoli, Prądzyński do ostatka nie opuścił orłów i niósł, w miarę możności, pomoc innym. Nadmierne trudy przyprawiły go o ciężką chorobę. Mocno jeszcze osłabiony, wrócił do Warszawy, skąd niebawem udał się do rodziny w Poznańskie dla poratowania zdrowia. W połowie lutego 1813 złączył się z głównem wojskiem polskiem pod wodzą ks. Poniatowskiego, do którego sztabu wszedł w stopniu kapitana 1-ej klasy inżynierów. Ozdobiony przytem został krzyżem złotym wojskowym polskim oraz d. 12 października tego roku orderem legii honorowej. Znajdował się w potyczkach pod Gabel, Loeben, Penig i w trzydniowych walkach pod Lipskiem, gdzie otrzymał stopień szefa szwadronu, adjutanta gen. Dąbrowskiego. Zostając przy boku tego generała, nie miał sposobności być czynnym w wojnie 1814 r. W sierpniu 1814 r. Dąbrowski przeznaczył go do zdania sprawy ze stanu twierdzy Torunia. W kilka miesięcy potem udał się Prądzyński do Warszawy i umieszczony został w korpusie kwatermistrzostwa generalnego.

Od r. 1816 do 1822 spełniał zaszczytną misyę przewodniczenia, jako komisarz królewski, demarkacyi granic Królestwa od strony Prus.

W pierwszych latach istnienia Królestwa, w porze zimowej z własnej gorliwości urządzał kursa dla oficerów, wykładając sam fortyfikacyę, taktykę i strategię. Odczyty jego, pełne świeżości i uderzające nowym i głębokim poglądem, ściągały wielką liczbę słuchaczów. Gdy te wykłady przerwał nagle zakaz ze strony władzy wyższej, Prądzyński chciał wydawać pismo historyczno-wojskowe «Bellona», lecz i tu władza stanęła na przeszkodzie. W r. 1825 ukończył cenne dzieło p. t. «Fortyfikacya polowa», którego druk już rozpoczęty przerwał wybuch powstania listopadowego.

Jeszcze w r. 1816 był założycielem tajnego związku w celach patryotycznych. Następnie Towarzystwo, zapoczątkowane przez gen. Umińskiego, wznowiło w umyśle Prądzyńskiego myśl rozpostarcia na całą Polskę związku, któryby wszystkich Polaków węzłem ścisłego braterstwa połączył, a zostawał pod zwierzchnictwem utajonej władzy centralnej, któraby mogła powściągać naród od wybuchów przedwczesnych i nierozważnych, ale zato dała hasło do powszechnego jednoczesnego ruchu, gdyby się zjawiły okoliczności sprzyjające: wziął więc udział w zawiązaniu nowego towarzystwa w d. 3 maja 1821 r. Przy umyśle zawsze skłonnym do egzaltacyi, Prądzyński miał dobro kraju za cel swego życia. Takie usposobienie wciągnęło go do tajnych związków; gdy się atoli bliżej z nimi zapoznał, nie podobały mu się. Rozsądek wnet mu wskazał, że na tej drodze z trudnością da się co dobrego zdziałać, więc wkrótce usunął się ze sprzysiężenia.

Po ukończeniu demarkacyi, jako najzdolniejszy oficer inżynieryi, dostał polecenie zaprojektowania kanału, któryby połączył Wisłę z Niemnem. Projekt ten, wykonany w latach 1823 i 1824, nazwany przez samego twórcę arcydziełem, uzyskał zatwierdzenie władzy i Prądzyński wkrótce rozpoczął roboty, zwierzchni zaś nadzór miał Malletski.

Uważając byt swój za materyalnie zabezpieczony, Prądzyński zawarł w d. 20 września 1825 związki małżeńskie z Emilią Rutkowską. Niedługo cieszył się szczęściem z uwielbianą małżonką. W kilka tygodni po ślubie wezwany został przed w. ks. Konstantego i cesarskiego komisarza Nowosilcowa. Pomimo, iż przed trzema laty już zerwał był stosunki z towarzystwem tajnem, zeznania samego Łukasińskiego, poczynione w więzieniu, ściągnęły na niego ciężkie obwinienie. Przebiegłość atoli w badaniach, używająca wszelkich środków do wydobycia zeznań i wymienienia osób, rozbiła się o roztropność i stałość Prądzyńskiego. Takie postępowanie rozjątrzyło W. księcia. Uczestnik d. 3 maja 1821 r. został aresztowany w nocy z d. 25 na 26 lutego 1826 i osadzony w więzieniu u Karmelitów, gdzie przesiedział do 25 marca 1829 r.

Pogrążony w rozpaczy z powodu rozłączenia się z żoną i widząc przed sobą najczarniejszą przyszłość, ciężko zapadł na chorobę móz-

gową. Następnie, doprowadzony nieznośnemi męczarniami moralnemi do ostateczności, usiłował pozbawić się życia. Długie chwile więzienia starał się zapełnić pracą. Napisał rozprawę wojskową o Królestwie Polskiem i o umocnieniach wobec mogącej nastąpić wojny Rosyi z Austryą i Prusami. Pismo to zajęło W. księcia i podług pomysłów Prądzyńskiego powstała po r. 1842 twierdza w Dęblinie. Następnie przetłumaczył «Trzydziestoletnią wojnę» Schillera. Trzyletnie więzienie pozostawiło niezatarte ślady na wrażliwym umyśle, a zdrowie, już dawniej nadwątlone, otrzymało tu zaród cierpień, które znakomitego człowieka do śmierci już nie opuszczały, miękcząc hart woli, tak konieczny w okolicznościach, w których Prądzyński miał następnie odegrać znakomitą rolę, przytępionym został.

Po uwolnieniu z więzienia chciał opuścić służbę wojskową i oddać się gospodarstwu w Sandomierskiem, lecz wola W. księcia zmusiła go do objęcia napowrót steru robót przy kanale do Augustowa, gdzie go zastała wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie.

Wezwany do sztabu Chłopickiego, zajął się z własnego natchnienia projektem umocnienia Warszawy i okolic w przewidywaniu, iż tu rozstrzygać się będą losy wojny. Chłopicki, nie myślący wtedy o wojnie i nie lubiący tego, żeby mu rady podawano, wysłał Prądzyńskiego do Zamościa na podkomendanta tej twierdzy. Tu przyszły kwatermistrz gorliwie zajął się przyprowadzeniem twierdzy do stanu obrony. Gdy ks. Radziwiłł objął naczelne dowództwo, wezwał do swego sztabu Prądzyńskiego. Ten, przewidując, że kierownictwo działań przejść musi do Chłopickiego, wówczas już tylko ochotnika przy armii, zbliżył się do niego, pomijając doznaną niełaskę. Chłopicki, ceniący wysoko zdolności Prądzyńskiego, zaczął go odtąd uważać za swego szefa sztabu. W tym charakterze uczestniczył zdolny człowiek w wypadkach wojennych aż do chwili ustąpienia Chłopickiego, wskutek odniesionej rany, z placu boju grochowskiego. Pozostając do końca na pobojowisku, Prądzyński przyczynił się wiele do utrzymania porządku w cofających się liniach polskich. Nazajutrz, d. 26 lutego, na zwołanej radzie wojennej głosował za obiorem gen. Skrzyneckiego na wodza naczelnego. Tegoż dnia mianowany kwatermistrzem generalnym wojska, odtąd zaczął się zajmować z nadzwyczajną pilnością kierunkiem działań wojennych. W nagrodę tych zasług otrzymał pod datą 20 marca krzyż kawalerski. Dnia 4 kwietnia został generałem brygady, d. 30 lipca generałem dywizyi. Tow. Przyjaciół Nauk za zwycięstwo pod Iganiami obrało go swym członkiem (24 kwietnia).

Prądzyński, przyczyniając się do wyboru Skrzyneckiego, popełnił błąd, podzielał go jednak ze wszystkimi prawie wyższymi wojskowymi. Wkrótce spostrzegł, że Skrzynecki nie posiada pierwszych zasad sztuki wojennej, a odznacza się uporem w zdaniu i niechęcią do wszelkiego działania wogóle. Odtąd zaczęło się pasmo ciągłych sporów między kwatermistrzem generalnym a naczelnym wodzem, które zwichnęły lub w niwecz obróciły najpiękniejsze pomysły Prądzyńskiego

i w których wyczerpała się jego energia i siły. Kampania ta okazała, jak genialne miał Prądzyński pomysły i jak znakomitym był strategikiem — przy osobistej nadto odwadze. Nikt z nim w tym okresie porównanym być nie może, tak góruje nad wszystkimi. Nie tylko swoi, lecz i obcy pisarze, jak Willisen, Smitt i Puzyrewski, w gruntownych swych dziełach wojskowych ocenili należycie zdolności Prądzyńskiego. Jako dowodzący samodzielnie raz tylko jeden, dnia 10 kwietnia pod Iganiami, miał sposobność odznaczyć się świetnie. Bitwa ta była jedyną w całej wojnie, w której przewodniczyła ze strony polskiej jakaś myśl taktyczna. Sam powziął po tej bitwie zaufanie w swoje siły, lecz zazdrość naczelnego wodza nie dała mu już nigdy dowodzić oddzielnym korpusem; a gdy po upadku Skrzyneckiego rząd narodowy w d. 14 sierpnia złożył w ręce Prądzyńskiego naczelne dowództwo, ten, wyczerpany kilkomiesięcznymi ciągłymi sporami z naczelnym wodzem i uważając ówczesne położenie strategiczne za beznadziejne, nie przyjął naczelnictwa.

W dniach 3-cim i 7-ym września Prądzyński przeznaczony został do traktowania z nieprzyjacielem. Dnia 8-go września, gdy wojsko polskie z Warszawy do Modlina wychodziło, Prądzyński, który w czasie rokowania dwukrotnie słowem honoru i pod osobistą odpowiedzialnością zapewnił w. ks. Michała, iż sejm się zalimitował, a gen. Krukowiecki ma upoważnienie do układów, gdy się rzeczy odmieniły, uznał za potrzebne dla ocalenia swego honoru, oddanie się do zupełnego rozporządzenia W. księcia. Po upadku Warszawy pozostał w niej. Skończył się zawód jego wojskowy i polityczny.

Wkrótce wraz z niektórymi innymi generałami polskimi skazany na zesłanie do Wiatki, udał się tam w styczniu r. 1832 w towarzystwie żony. Stan jego zdrowia nie dozwolił mu zajechać dalej jak do Jarosławia, gdzie bawił przez ośm miesięcy. Tu otrzymał rozkaz cesarski udania się do Petersburga dla napisania pamiętnika wojskowego o wojnie 1831 r. Osadzony w Gatczynie, w ciągu ośmiu miesięcy napisał w języku francuskim wyborną tę pracę. Wzywany osobiście przez ces. Mikołaja i jego otoczenie do wstąpienia w służbę rosyjską, stale odmawiał. Otrzymawszy wkońcu wolność, wyjechał z Petersburga 3 maja 1834 r. z mocno nadwątlonem zdrowiem i osiadł w swej wiosce Przepiórowie w Sandomierskiem. Ulepszenia rolne i założona papiernia na wielką skalę, bez należytego kapitału, spowodowały znaczne straty, które zmusiły do sprzedania wioski. W r. 1843 osiadł Prądzyński w Krakowie. Wypadki r. 1846 silne na nim wywarły wrażenie, lecz wątpiąc o sprawie, nie wziął w nich czynnego udziału. Rok 1848 obudził nowe nadzieje. Wzywany przez Węgrów na wodza, już się tam wybierał, gdy opłakany stan zdrowia stanął temu na przeszkodzie. Dręczony cierpieniami udał się w lipcu 1850 r. z Krakowa na Helgoland dla poratowania zdrowia, tu jednak wśród najokropniejszych cierpień zmarł d. 4 sierpnia.

Prądzyński zostawił po sobie Pamiętniki wojskowe wielkiej war-

tości, z których ustępy załączamy. Są także po nim inne ważne dzieła; do najcelniejszych policzyć można wykłady fortyfikacyi i strategii.

Bitwa pod Iganiami.

(10 kwietnia 1831 r.).

Jest to wyjątek z dzieła «Pamiętniki» T. II, str. 129—137.

713) Następujący jest sąd Smitta o bitwie pod Iganiami: «Jest ona szczególnie godna uwagi przez biegłe manewra Prądzyńskiego, bystry rzut oka i postanowienie, któremi w przyzwoitej chwili i w punkt właściwy uderzenie uskutecznił. Zresztą nie miało zwycięstwo dalszych skutków i właściwy cel Polaków, odcięcie przedniej straży z pod Jagodnego, został zupełnie chybiony». Zdanie to jest z kilku względów mylne. Celem całego przedsięwzięcia było pokonanie Rosena i wzięcie Siedlec.

Pierwsza połowa tego zamiaru została osiągnięta: szósty korpus rosyjski odebrał tutaj ostatni cios, tak materyalnie jako i moralnie, a przy nim i brygada czysto moskiewska jegerska. Szósty korpus został tak dalece zgnębiony, że już tylko pozostałe szczątki jego odesłane zostały do Brześcia i przez kilka miesięcy dalszej wojny ani już o nim było słychać.

Druga zaś część przedsięwzięcia, wzięcie Siedlec, spełzła na niczem, co przecie nie jest wcale zasługą generałów i wojska rosyjskiego. Wnet zobaczymy, przez kogo wypadło z rąk Polakom to ogromne powodzenie, mogące mieć niewyrachowane skutki, a które przez pierwsze jedenaście dni kwietnia od nich zależało pozyskać, sięgnąwszy tylko po nie.

Gdy już bitwa zupełnie ukończoną była, a zmrok szerzyć się zaczynał, zjawia się dopiero szosą pierwszy poprzednik Wodza naczelnego, najstarszy jego adjutant, pułkownik Szydłowski, z pikietą Krakusów na koniach spienionych. Spotyka się z Prądzyńskim na szosie, gdy właśnie piętaki, chcąc uczcić swojego dzisiejszego wodza, po swojemu robili mu trofej szczególnego rodzaju: zarzucili jego konia szarfami z ubitych oficerów nieprzyjacielskich, których tyle było, że się koń pod niemi aż uginał. Prądzyński, nie zsiadając z konia, uściskał się jak najserdeczniej

z Szydłowskim, którego zjawienie się zakończyło nareszcie jego osobiste kłopoty. Wnet za Szydłowskim przybywa Wroniecki z grenadyerami, za nimi ciężkie działa Piętki, przybywa i Stryjeński z konnicą Łubieńskiego, nareszcie i reszta z korpusu z samym Wodzem naczelnym, otoczonym licznem gronem, w którem także znajdował się książę Czartoryski.

Jakże się to stało, że, gdy kolumna Prądzyńskiego, mająca więcej niż dwa razy tyle drogi do odbycia, stanęła na placu i sama jedna uporczywą zwiodła bitwę, a dywizya Łubieńskiego, dwie tylko mile od placu zebrania i bitwy oddalona, nie zatrzymana nieprzyjacielem, ani Kostrzyniem, mającym w kilku miejscach brody, dopiero wieczorem po skończonym festynie przybyła? Było to pytanie, które czynili najmniej świadomi obrotów wojennych. Trzeba było coś powiedzieć, ażeby zaspokoić w tej mierze opinię tak w wojsku, jako i w powszechności. Całą winę w relacyi urzędowej zwalono na gen. Stryjeńskiego. Odebrano mu dowództwo dywizyi i posłano później dowodzić rezerwami jazdy. Było to za mało lub za wiele. Sprawa ta byłaby powinna być oddana pod sąd. Stryjeński, jeżeli niewinny, został zbyt srogo ukarany, jeżeli zaś winny, za łagodnie. Oficer ten domagał się sądu (i to na piśmie), ale wyznaczenie takowego zależało od Wodza naczelnego, a ten, dopuszczając sąd, byłby się znalazł sam jak najmocniej skompromitowanym. Rzecz się albowiem miała jak następuje.

Generał Skrzynecki był przyrzekł Prądzyńskiemu jak najuroczyściej, że stanie do dnia z 9-go na 10-ty u Łubieńskiego na szosie i że osobiście dopilnuje czynności tego korpusu, które Prądzyński zasadzał na trzech szczególnie punktach: 1-o żeby cała jazda Łubieńskiego z artyleryą konną zebrana była u brodu pod Suchą dnia 10-go rano; 2-o żeby w tymże poranku most był gotów do rzucenia na Kostrzyniu pod Jagodnem i żeby tam zebraną była cała piechota i artylerya piesza; 3-o żeby za pierwszym odezwem dział Prądzyńskiego wszystko: jazda, artylerya i piechota ruszały na oślep ku tej kanonadzie, czyli ku Iganiom. Tak się umówiwszy z Wodzem naczelnym, Prądzyński, mając już ruszać na swoją wyprawę, pisał jeszcze do Łubieńskiego jak następuje: «Dzisiaj po południu wojsko rozpoczyna ruch projektowany, który jutro ma być dokonany. Jutro do dnia

Wódz naczelny udaje się do JW-go Generała przez Siennicę i Kałuszyn. Zechcesz Generał naprzeciwko niemu wysłać szwadron. Zresztą masz być w zupełnej gotowości do uskutecznienia w dniu jutrzejszym projektowanej operacyi».

Ale poświęcić jedną noc i odbyć w niej kilkumilową podróż, było to nad siły Skrzyneckiego. Więc ją sobie przespał wygodnie w swej głównej kwaterze w Wielgolesie i dopiero nazajutrz, wywczasowawszy się, puścił się w zamierzoną podróż i dopiero około południa stanął u Łubieńskiego na szosie pod Jagodnem. Przyjechawszy, pyta się, czyli słychać na przodzie kanonadę. Powiadają mu, że było słychać strzały działowe, ale że umilkły. W tej chwili przybywa do Wodza naczelnego oficer, wysłany przez Prądzyńskiego z Domanic, z wiadomością o odbytej pomyślnie rannej potyczce i o tem, że być może, iż przybycie Prądzyńskiego do Igań o jednę lub dwie godziny się zwlecze. W tej wiadomości Wódz naczelny jedno tylko widzi, to jest, że mu się nadarzają dwie godziny do przespania się. Zapytuje się przeto, czyliby nie mogli mu dać śniadania i gdzieby mógł wypocząć, bo się czuje przejażdżką (uskutecznioną pojazdem) bardzo znużonym. Łubieński odpowiada, że tu na gołem polu nic niema, ale że tam, na tyle, we wsi Boimiu, o małe pół milki, ma swoją główną kwaterę i że tam znajduje się, co Wódz potrzebuje. Więc tedy generał Skrzynecki udaje się do kwatery Łubieńskiego, poleciwszy, ażeby mu dano znać, jak zajdzie co nowego, a zwłaszcza skoro się odezwie kanonada, i odjechał do Boimia. Wnet, to jest około godziny pierwszej, zawyło 60 dział pod Iganiami, który to huk jak najwyraźniej nad Kostrzyniem się odbił, i kłęby dymu zaczęły się unosić ponad lasy. Rosyanie, stojący poza Kostrzyniem, jak gdyby na pożegnanie, zamienili kilkadziesiąt strzałów działowych z bateryą Piętki i śpiesznie odeszli, pozostawiając brzegi Kostrzynia zupełnie wolne. Łubieński tedy posyła w galop po Wodza naczelnego. Ten przybywa skwapliwie. Nuż dopiero pyta się o most: most nie jest gotów. Pyta się o konnicę: ta czeka jeszcze tutaj pod Jagodnem na rozkazy, a u brodów, a pod Suchą niema nikogo. Wódz naczelny tedy wpada w gniew, karci oficera inżynieryi za niegotowość mostu, rozkazuje, ażeby jazda ruszała natychmiast do Suchy, i w skutku tego rozkazu Łubieński wysyła generała Stryjeńskiego z dywizyą jazdy z poleceniem, ażeby pod Suchą przechodził Kostrzyń. Łubieński proponuje Wodzowi, że ponieważ sam się znajduje na szosie, tedy on, Łubieński, uda się z tą konnicą. Ale Wódz naczelny zatrzymuje go przy sobie bez żadnego dobrego powodu. Stryjeński, obojętny na odgłos nieustającej kanonady, odbywa marsz do Suchy stępo, przechodzi tam wprawdzie Kostrzyń, ale, napotkawszy wnet oddziały nieprzyjacielskie, które przed nim w kierunku Mokobód ustępowały, zatrzymuje się i posyła adjutanta do Łubieńskiego po dalsze rozkazy. Tak tedy został zupełnie stracony dla tej dzielnej konnicy wszystek czas. Na szosie zaś zgromadzone wojsko czekało w prawdziwej gorączce. Nie byłoby żołnierza, w którymby nie sprawiało gorączkowego drgania tak wyraźne wołanie kanonady z pod Siedlec. Już można było przeprowadzić piechotę po kładkach. Pułkownik Szydłowski prosi, nalega, ażeby z samą piechotą ruszać naprzód, naprzód, a artylerya-by nadeszła, skoroby mogła. Ale na to nie pozwala Wódz naczelny, każe czekać na ukończenie mostu, ażeby wszyscy razem maszerowali, i dopiero, gdy most ukończony został, ruszają wszyscy ku Siedlcom. Po drodze z niektórych miejsc wywyższonych widzą pękające ponad lasami granaty rosyjskie, z wyżyn pozamuchawieckich wystrzelane, który to widok wzmaga, jeżeli to być może, zapał powszechny. Wroniecki z grenadyerami biegiem odbyli tę dwumilową przestrzeń — wszystko napróżno! Przybywają na plac bitwy około godziny 7-mej, po jej zupełnem ukończeniu. Całe to wojsko Łubieńskiego przejęte zostało głębokim żalem, że nie miało udziału w walce, że nie przyczyniło się do zrobienia zwycięstwa daleko zupełniejszem. Wszystko drżało żądzą powetowania swego opóźnienia, czyli raczej uchybień swoich dowódców. I był na to jeszcze czas, ale już tylko bardzo krótki, a każda upływająca chwila stawała się coraz bardziej kosztowną, każda stracona — nigdy już niepowetowaną. Gdy wojsko Łubieńskiego przybyło pod Iganie, zaczynał się zmrok. Przecież było jeszcze niezawodnie dosyć dnia na przejście Muchawca i zajęcie Siedlec. Gdy i Bogusławski nadciągał, było dziesięć batalionów zupełnie świeżych i 3.000 jazdy; szeroka przeprawa po szosie stała zupełnie otworem. U mostu na Muchawcu stała, jak się to powiedziało, pikieta 5-go pułku. Oprócz tego przeprawa na drodze żelkowskiej była ciągle zajęta przez

batalion 8-go pułku, a debuszowanie tamtędy, dziejąc się w lesie, nie byłoby napotkało oporu skutecznego artyleryi rosyjskiej. Gdy więc na tamtej przeprawie mogła doskonale przechodzić piechota, nic nie broniło powtórzyć na szosie konnicą śmiały i świetny czyn, przed 10-ciu dniami pod Dębem Wielkiem dokonany, z tem większą teraz łatwością, że tutaj przeprawa byłaby mogła odbywać się pod protekcyą naszej artyleryi pozycyjnej, nad Muchawcem rozstawionej; Rosen zaś ani liczbowo, ani moralnie nie był w stanie oprzeć się polskiemu natarciu. Z owych 6.000, co nad Kostrzyniem stały, i z konnicy jego, mała tylko cząstka z nim się złączyła. Reszta poległa, w niewoli lub rozbita, dalekiem dopiero okrążeniem szukała przeprawy przez trzęsawiska Liwca i dopiero w następnych dniach pojedyńczo łączyć się z nim miała. Brygada jegerska była w połowie zniszczona i całej swojej starszyzny pozbawiona. Rosen tedy w obecnej chwili miał tylko cztery bataliony grenadyerów, czyli 3.000 ludzi, na których mógł polegać [1]).

W takim stanie rzeczy Prądzyński spotyka się z Wodzem naczelnym i wita go słowami: «Siedlce, Siedlce!». Wódz naczelny odpowiada mu: «Gorączka z ciebie, dosyć na dzisiaj» i odkłada decyzyę względem dalszego przedsięwzięcia do jutra. Nazajutrz rano Prądzyński powtarza swoje naleganie, ażeby natychmiast brać Siedlce, i, nie tracąc ani jednej chwili, jeszcze można było uprzedzić w Siedlcach Feldmarszałka, który ze swojem wojskiem w Łukowie nocował i, choćby się najbardziej kwapił, nie mógł być pod Siedlcami aż dopiero po południu. Ale Wódz naczelny, namyśliwszy się i nie dając na to żadnego powodu, tylko idąc za popędem swojej natury, postanowił odwrót. Rozkazał, aby wojsko, co należało do kolumny Prądzyńskiego, popowracało do swoich dywizyi. Łubieńskiemu rozkazał pozostać tymczasowo w tylnej straży nad Muchawcem. Sam zaś, wsiadłszy do powozu, wrócił do głównej kwatery do Wielgolasu. Skarżyńskiemu posłano rozkaz cofnienia się z pod Róży, a Chrzanowskiemu powrócenia do głównej kwatery.

W kilka dni po bitwie pod Iganiami zjawiła się w wojsku polskiem cholera; przecież, dzięki doskonałemu urządzeniu służby zdrowia w ogólności, a w szczególności lazaretów warszawskich,

[1]) Porównaj ze Smittem *(Przyp. Autora).*

dzięki także dobremu zaopatrzeniu wojska polskiego tak w żywność, jako w ubiór, zaraza ta małe tylko szkody wojsku polskiemu wyrządziła, bez żadnego porównania mniejsze, aniżeli rosyjskiemu. W urzędowym raporcie Wódz naczelny podał jej obawę za przyczynę niezajęcia Siedlec. Ten pretekst przyszedł mu na myśl w kilka dopiero dni, gdy zaczęły powstawać utyskiwania, dlaczego Siedlec nie zajęto. Wszakże, przymusiwszy nawet Rosyan do opuszczenia tego miasta, nie było żadnej potrzeby wprowadzać do niego znacznych oddziałów wojska, a już było dobrze wiadomo, że cholera powietrzem idzie, że zatem nie może od niej zabezpieczyć unikanie styczności. Blizkość Feldmarszałka nie mogła także być powodem, ponieważ 11-go rano jeszcześmy nie wiedzieli, że on w Łukowie nocuje, a gdybyśmy byli wiedzieli, tedy wiadomość ta byłaby powinna być bodźcem do uprzedzenia go, a jak się to już powiedziało, nic nie mogło wstrzymać polskiego debuszowania na Siedlce drogą żelkowską.

Ale prócz ospałości Wodza naczelnego i prawdziwej nikczemności, która mu nie dozwoliła sięgnąć po Siedlce, niemało był winny Łubieński, który, tak dokładnie na dniu 6-ym kwietnia z całem przedsięwzięciem obznajomiony, nie miał mostu gotowego, ani konnicy swojej 10-go rano pod Suchą zebranej, ani generałów swoich (może przez zbyteczną troskliwość o zachowanie tajemnicy) nie obznajomił z operacyą, w której udział mieć mieli. I tać to okoliczność niewiadomości zmniejsza winę generała Stryjeńskiego; zmniejsza, ale nie maże, bo dla dywizyonera ostatecznym rozkazem być był powinien odgłos dział igańskich, co mówię: dla generała! każdy żołnierz z sercem na takie hasło pośpiesza dzielić niebezpieczeństwa towarzyszów oręża, a może ratować ich. Maszerujący generał tam, gdzie się bitwa odezwie (chyba, że mu tego zabrania jak najwyraźniej rozkaz przeciwny), uczyni dobrze, uczyni swoją powinność. Pamiętny jest w tej mierze krótki, a tak wyrazisty rozkaz, wydany przez Nelsona do dowódców okrętowych swojej floty, gdy się zabierał do bitwy pod Trafalgarem: «Każdy okręt angielski, który się znajdzie bokiem swoim naprzeciwko okrętu nieprzyjacielskiego, będzie na właściwem stanowisku». Tymczasem generałowie aż nadto są skłonni nie stosować się wcale do tej maksymy, ale

i owszem, chętnie zostają nieczynni w każdem wątpliwem zdarzeniu, chętnie zasłaniają się niedostatecznemi instrukcyami lub brakiem rozkazów. To wypływa z natury ludzkiej. Ale Wódz naczelny swoją powagą, osobistą dzielnością, potrzebną surowością, a zwłaszcza własnym przykładem, zmienia te natury i udziela im potrzebnego ognia. Ale nic dziwnego znowu, że wódz niedołężny przelewa swoją ospałość na podwładnych. Generałowie Łubieński i Stryjeński, dawni żołnierze napoleońscy, byli niezawodnie zdolni i do użycia, przecież nie byli to ludzie wyższego rzędu. Wpływ z góry był koniecznie potrzebny, ażeby ich pobudzić i przymusić do przyzwoitego działania. Gdy wpływ ten znalazł się zupełnie przeciwny, ich działania stały się niedołężne. Toż samo można powiedzieć i o większości generałów polskich w tej nieszczęśliwej wojnie. Znaczna ich część byłaby od samego początku potrzebowała podniety do wskrzeszenia w nich świętego ognia. Tak dekurażujący przykład i wpływ generała Skrzyneckiego gasił ostatnią jego iskierkę. Pod rozkazami tego człowieka jakiekolwiek wojsko musiało w krótkim czasie uledz zupełnej demoralizacyi.

Opracował: BR. GEMBARZEWSKI.

LXXXVII.

RÓŻYCKI KAROL

(1789—1870).

Pamiętnikarz pełen prostoty, mąż myśli głębokiej, wódz, żołnierz, Karol Różycki, urodził się d. 5 listopada r. 1789 we wsi Czerniowcach, w ówczesnem wojew. bracławskiem, w dzisiejszym powiecie jampolskim, gubernii podolskiej. Porzecze bohowe, a szczególniej dniestrowe, z którego Karol Różycki pochodził, dostarczały po wsze czasy Rzpltej ludzi ducha rycerskiego, gotowych do ofiary i poświęceń. W tej okolicy rekrutowały się pierwsze szeregi konfederatów barskich; taż sama okolica wydaje Karola Różyckiego, który, przyszedłszy na świat we dwadzieścia lat po mocowaniu się konfederatów, jest typem niezmiernie przypominającym owych «rycerzy Maryi». Dużo w jego duszy było odblasku najcenniejszych myśli, uczuć bohaterów barskich, co to «stawali na placu, z Boga ordynansu»... Wcale nie jest znaną rzeczą, gdzie się uczył i jak spędzał pierwsze lata młodości. W r. 1809, na odgłos trąbki bojowej wojsk Księstwa Warszawskiego, które na chwilę oderwały Galicyę od monarchii austryackiej, opuszcza zagrodę rodzinną, przekrada się poza kordon i staje w szeregach, walczących pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego. Pod sztandarem narodowym widzimy go prostym żołnierzem, w jednym z formujących się wówczas pułków jazdy; pracą i krwią zdobywa dalsze stopnie. W r. 1812 jest już oficerem ułanów; ciężko ranny pod Borysowem dostał się do niewoli. Po kongresie wiedeńskim, po zorganizowaniu armii Królestwa kongresowego, ponownie wstępuje do szeregów wojsk polskich, dzieląc z innymi złudzenia, że prowincye zabużańskie i zaniemeńskie zostaną wcielone do nowowytworzonego państewka. Gdy jednak nastąpiły rychło rozczarowania, postanowił opuścić służbę wojskową. Otrzymawszy dłuższy urlop, w r. 1822 jedzie na Wołyń, gdzie żeni się z p. Czajkowską, siostrą Michała, znanego później powieściopisarza. W roku 1827 otrzymuje zupełną

dymisyę i osiada w Żytomierskiem, pod Cudnowem. Długoletni żołnierz oddał się wówczas gospodarstwu z gorliwością i ścisłością, które go nigdy nie opuszczały. Wybuch powstania listopadowego zastał Różyckiego w jego siedzibie wiejskiej, w Hucie Cudnowskiej, wśród prac gospodarskich i zabiegów około przemysłu leśnego, w gronie rodziny, złożonej z żony i pięciorga drobnych dzieci. Hasła, które rozbrzmiały 29 listopada 1830 r. na bruku warszawskim, natychmiast znalazły echo rozległe na całem Zabużu; nie słabły one nie tylko na Wołyniu, bliższym przestrzenią, lecz falą dniestrową i bohową płynęły aż do Dzikich Pól. Okolice tamte tak jeszcze ściśle związane były kulturą i uczuciem z resztą narodu, iż nie potrzebowały zachęty i podniecania zapału. Drgnęły serca i umysły owych okolic, a jednym z pierwszych, który do walki zaczął się przygotowywać, był Karol Różycki. Nie było wcale jego zamiarem wywoływać ruchu na Wołyniu w celu prowadzenia tamecznych ochotników nad Wisłę, do armii głównej. Obdarzony instynktem duszy polskiej, co jeszcze wtedy górował w piersi całego narodu, wybornie rozumiał, iż, rozszerzając ruch we wschodnich prowincyach, powstrzyma zdala od głównego teatru walki znaczną część sił nieprzyjacielskich, że, przecinając na Zabużu komunikacye, dostawy broni, amunicyi, rekruta, żywności, dostarczy pomocy stokroć większej, niż prowadząc nad Wisłę bodaj kilkanaście czy więcej nawet szwadronów nieregularnych ochotników. Mniemał ten człowiek o jasnym umyśle, wolnym od wszelkich uprzedzeń i skomplikowanych kombinacyi politycznych, że wszyscy tak w Warszawie zapatrują się, jak on, że ze stolicy nadejdą rychło wskazówki i rozkazy. Nie przypuszczał, iż tak prostej rzeczy w stolicy nie rozumiano. Gdy jednak okazały późniejsze wypadki, że nie nawiązywano w Warszawie ściślejszej spójni na polu walki z Zabużem, że pozwolono wybuchom pojedyńczym, w różnych okolicach tych rozległych, bogatych, we wszystko obfitujących przestworzy wschodnich dawnej Rzpltej luźnie iść, nie wprzęgać się do systematycznej, wspólnej pracy bojowej, — Karol Różycki postanowił działać sam, jak mu dyktował jego rozum, żadnemi teoryami nie zaćmiony, jasno patrzący na bieg wypadków. W promieniu kilkomilowym od leśnej swej siedziby pod Cudnowem zgromadził on znaczną liczbę ludzi, gotowych chwycić za oręż. Czekano z najwyższym niepokojem rozkazów z Warszawy, z obozów, walczących w Kongresówce — nie nadchodziły... «Zazdrościliśmy bohaterom Grochowa i tylu innych bitew — mówi Różycki — a względem nas nic jeszcze nie wyrzeczono... Nie naznaczono wodza, ani czasu, w którym moglibyśmy zacząć działać, a wojska... z największym strachem obsadzały ważniejsze punkta naszych prowincyi»... Wreszcie, wśród tej trwożnej niepewności nadeszły wieści, że Dwernicki przeprawił się przez Bug, że posuwa się ku południowi. Różycki tak o tej chwili wyraża się: «...Jak kiedy zbłąkanego nocą wędrowca wschód słońca uradował, tak uradowała nas wiadomość, że nasz sławny, nasz waleczny Dwernicki przeszedł Bug i krwawą drogą ku nam maszeruje»... Niedługa była

radość. Dwernicki oparł się w Galicyi. «Groźna ta wiadomość — dodaje Różycki — ścisnęła nasze serca, jak mróz grudniowy ściska nasze wody; ale on ściska tylko ich powierzchnie, a rzeki płynąć nie przestają; tak również uczucia nasze smutne obciążone były, ale miłość ojczyzny w sercach płonąć nie przestawała»... Wobec klęski Dwernickiego myśli on oprzeć się o wielki ruch, formujący się pod jenerałem Kołyską; lecz kiedy i te nadzieje zawiodły, gdy i Kołysko, po klęsce daszowskiej, ciągnie do Galicyi, zbiera Różycki swe, w tajemnicy przygotowane, zbrojne szeregi i oświadcza garstce śmiałków zamiar przedarcia się do Królestwa, zapowiadając z góry, iż około nich piętrzyć się będą niebezpieczeństwa: połowa ich większa może zginąć; reszta wszakże stanie w obozie wojsk narodowych. Nikogo ta zapowiedź groźna nie przeraża! Otacza go rycerska młodzież, która widzi w nim męża opatrznościowego; powołuje go na wodza i wierzy w powodzenie zamiaru. Wyprawa, prowadzona przez Karola Różyckiego, była 150-milowym marszem, idącym linią łamaną, marszem przeplatanym kilku potyczkami zwycięskiemi, tak umiejętnym a niezwyczajnym, iż wprawia w podziw nieprzyjaciela i zajmuje obecnie zaszczytne miejsce w historyi wojen powstańczych. Z siłami małemi rozpoczął mąż waleczny wyprawę swą, zamiast bowiem 480 jeźdźców stawiło się tylko w pierwszej chwili 130. Ta garstka później urosła do 300 prawie, i, jak owa pod Kordeckim, na murach Częstochowy, dokazała cudów męstwa. Duszą całego przedsięwzięcia był sam wódz, który o sobie mógł rzec to, co wyrzekł o nim Wincenty Pol: «Synem byłem i rycerzem onej ziemi z woli Bożej»... Hasłem jego bojowem są słowa pozdrowienia chrześcijańskiego, używane przez lud na Wołyniu: Sława Bogu. Miało to hasło myśl głębszą, wskazywało łączność przedsięwzięcia z masami ludowemi, dla których ci żołnierze jego — przeważnie szlachta polska życie swe poświęcali... W całym tym niezwykłym marszu i zadziwiających potyczkach wszystko Różycki przypisuje wyłącznie i jedynie opiece Bożej nad sobą, a nic swej wiedzy wojskowej, swym zdolnościom, swej bystrości i umiejętności oryentowania się. Rzadko taki spotykamy rys charakteru, by, wśród powodzeń nadzwyczajnych, wśród ogólnego uznania i miłości podwładnych, posiadać tyle zaparcia się siebie, tyle pokory i uznawania jedynie Opatrzności jako kierowniczki czynów. Na takie zaparcie się siebie zdobywają się jedynie dusze bohaterskie... Z drugiej strony jednak Różycki posiadał to przekonanie, że tylko zrobienie wszystkiego sumiennie może sprowadzić dla dobrej sprawy błogosławieństwo Boże, a ujmą jest dla Opatrzności spuszczanie się na nią, bez uczynienia wszystkiego, co jest w mocy człowieka. Pilne czuwanie i wysiłki ducha nazywał «czynną modlitwą», wszelkie zaś opuszczanie się w pracy i lenistwo ducha mienił największym grzechem polskim. Wierzył mocno, że tylko ta «czynna modlitwa» wspiera nieudolność ludzką. Stwierdzał swą wiarę przykładami ze swej wyprawy, iż rozbici przez niego dowódcy wojsk, pod Mołoczkami, pod Tyszycą i w innych bitwach, podawali

swej zwierzchności wiadomości, iż Różycki ciągnie w 10.000 żołnierza, co miało to następstwo, iż wojska nieprzyjacielskie strwożone zwinęły swe długie linie, tamujące mu przejście, a zaczęły się skupiać w większe zastępy, otwierając szersze pomiędzy sobą luki. Torując orężem sobie drogę, dotarł wódz do Buga; śmiałym atakiem pod Uchaniami, już w Chełmskiem, usunął zastępujący mu drogę korpus Rydygiera, gdzie wziął do niewoli pułkownika i 130 jeńców, tudzież liczną zdobycz, złożoną z broni i koni. Przybył wreszcie do twierdzy Zamościa, po przeszło czterotygodniowym marszu, ciężkim, lecz więcej, niż zwycięskim. Suma strat tego niezwykłego marszu wynosiła 2 tylko zabitych, dwudziestu kilku rannych i 4 wziętych do niewoli.

Tu zakończyło się jego samodzielne dowództwo; przeszedł ze swym oddziałem — noszącym wciąż swą nazwę: «Pułk jazdy wołyńskiej» — na lewy brzeg Wisły, pod naczelną komendę jenerała Samuela Różyckiego, i tam jazda jego złożyła dowody męstwa, tocząc bój pod Iłżą i Lipskiem (w Opatowskiem). Bitwa pod Iłżą miała w sobie coś z zapasów bohaterów Homera: przed rozpoczęciem walki starli się na pałasze Karol Różycki z dowódcą dragonów nieprzyjacielskich, wobec obu sił walczących. Różycki powalił nieprzyjacielskiego wodza, a wówczas szeregi dragonów pierzchnęły. Lecz to już były ostatnie zapasy: wrzesień 1831 r. położył kres ośmiomiesięcznym, przeważnie chlubnym, wysiłkom.

W rok po walkach powstania listopadowego Karol Różycki, na emigracyi we Francyi, w starożytnem mieście Bourges, wydaje swój «Pamiętnik», zawierający opis pochodu zwycięskiego z Wołynia do Zamościa. Książeczka ta stylem swym wskazuje, że pisał ją żołnierz. Adam Mickiewicz dał o niej sprawozdanie (w «Pielgrzymie Polskim» z d. 4 listop. 1832 r.). «Pamiętnik Różyckiego — pisze Mickiewicz — ważny jest, nawet krytycznie sądząc, pod względem historycznym i literackim. Lepiej on daje poznać rewolucyę, niż grube księgi, bo nam pozwala zajrzeć w duszę rewolucyi, a uczeni strategowie gadają nam ustawicznie o jej ciele, o jej ruchach, o jej stroju. Z «Pamiętnika» dowiadujemy się sercem naszem, jakie to były uczucia, które pobudziły do powstania narodowego i ożywiły powstanie»... «Pamiętnik Różyckiego, jako utwór literacki — mówi dalej Mickiewicz — ma formę nową i oryginalną. Dowódca przypomina towarzyszom broni wspólnie odniesione zwycięstwa, i wyjawia im swoje działań wojennych cele i przyczyny... Opowiada tylko, nie pisze; nie używa on pióra jako narzędzia, którem wyrabiają się książki, ale tylko jako pomoc dla ust swoich, jako trąbkę, przez którą oficerowie komenderują na okrętach; nie rysuje piórem na papierze floresów stylowych, ale wylewa przez nie swoją duszę. Dusza jego jest ognista, męska i prosta: i styl jego ognisty, męski i prosty. U niego wojna rewolucyjna nie jest wojną uczonych na ten cel żołnierzy, ale obywateli, bijących się za wolność»... Wreszcie Mickiewicz tak określa autora «Pamiętnika»: «To dzieło jest nowym dowodem prawdy dawnej, ale

mało cenionej: że sztuka cała pisania leży nie w książkach, ale w duszy; że dosyć być niepospolitym człowiekiem, aby zostać niepospolitym pisarzem»... Niepospolitym on był nie tylko w oczach ziomków; cudzoziemcy, Francuzi, cenili wysoko tego polskiego bojownika o niepodległość. Znany przed laty pisarz francuski, Juliusz de la Madelaine, widząc tego rycerza walk polskich, klęczącego i kornie modlącego się w kościele, mówił: «Zdawało mi się, że widziałem Godfryda z Bouillonu, przewódcę wielkiej i szczęśliwej krucyaty, chrześcijańskiego króla Jerozolimy». Pisarzem był on nie z zawodu, raczej z poczucia, konieczności wypowiedzenia w pewnych chwilach tego, co uważał za prawdę. W kilka lat po «Pamiętniku» wydał: «Uwagi nad wyprawą Jenerała Dwernickiego na Ruś» (Bruksella, 1837). Rzecz to polemiczna, stająca w obronie tych prowincyi, którym zarzucano obojętność. Wydania owej broszury żałował autor, nazywając ją «najnieznośniejszą w życiu swem pracą». Przedstawienie tam wszakże kampanii Dwernickiego jest jasne i, jak współcześni twierdzili, niczem niezbite w swych zarzutach; dlatego też nie może być obojętnem dla badaczy dziejowych owej epoki. W r. 1842, w maju, zbliżył się Karol Różycki do Andrzeja Towiańskiego, przejął się jego dążnościami i pozostał im wierny do końca życia. W r. 1857 drukuje w Paryżu «Powody, dla których amnestya przyjętą być nie może». Broszura rzeczona wywołała niechęć i oburzenie nawet, szczególnie tych, którzy z amnestyi korzystali. Zarzucano autorowi, iż, podpisując się w imieniu własnem i grupy emigracyi, użył wyrażenia: «najniżsi słudzy i najwierniejsi poddani». Autor wszakże był najzupełniej w zgodzie z ideą Towiańskiego, której się oddał. Twierdził — i słusznie — że w owej broszurze niema ani jednego wyrazu, któryby się zapierał Polski i jej wielkich przeznaczeń, że wyraźnie zaznaczone tam jest «panowanie obce jako pokuta i kara», które to włodarstwo sprawują z «dopuszczenia Bożego», nie z łaski. A to «dopuszczenie» — czytamy w rzeczonem piśmie — «Najwyższy lekarz usunie jako lekarstwo, skoro choroba wyleczoną zostanie; lekarstwo, które nie było naturalnym pokarmem, dającym życie prawdziwe, ale tylko tymczasowym środkiem, który życie fałszywe zatrzymywał i oczyszczał»... Porównywając styl autora, sposoby wyrażania się, w pierwszej jego pracy literackiej z późniejszemi, widzimy znaczne stosunkowo wyrobienie się języka, zaniechanie prowincyonalizmów i pogłębienie myśli; co jest tembardziej zasługujące na uwagę, iż wszystkie pisma poprawniejszego stylu tworzył w późniejszej dobie życia. Epoka powstania styczniowego powołała go z Paryża do kraju. Przybył do Krakowa, bez względu na wiek i siły nadwątlone, lecz już walka dogasała, nie mógł przeto wziąć w niej udziału. Wraca więc na tułactwo i umiera w Paryżu, d. 12 września 1870 r. — Popioły tego ostatniego, rzeczywistego przedstawiciela dawnego rycerstwa polskiego spoczęły na cmentarzu Montmartre, obok wiernego przyjaciela, znanego w dziejach emigracyi i jej duchowych przeobrażeń, X. Edwarda Duńskiego.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. **Pisma Różyckiego:** «Powstanie na Wołyniu, czyli Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej, uformowanego w czasie wojny narodowej polskiej... pisany przez dowódcę tegoż pułku, Karola Różyckiego (Bourges, drukarnia Souchois et Comp., 1832). Drugie wyd. nosi tytuł: «Karol Różycki. Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej; z przedmową Ad. Mickiewicza (z portretem Autora)», (Kraków, 1898). 2) «Uwagi nad wyprawą jener. Dwernickiego na Ruś» (Bruksella, 1837). 3) «Powody, dla których amnestya przyjętą być nie może» (Paryż, 1857).

II. **O Karolu Różyckim:** Ad. Mickiewicz, w Nr. 1 «Pielgrzyma Polskiego», z d. 4 listopada 1832 r., pisma peryodycznego, wychodzącego w Paryżu. Drugie wyd. tego art. spotykamy w 2-em. wyd. «Pamiętnika jazdy woł.»; umieszczony on tam w formie przedmowy. 2) Leonard Rettel: «Wspomnienie pośmiertne», druk. w Roczn. Tow. hist. lit. w Paryżu, 1870—72; odbitka (wyd. 2-gie), Paryż, t. r.; wyd. poprawione wyszło w Krakowie w r. 1894, nakład. Karola Baykowskiego. Pewne ustępy, poświęcone Karolowi Różyckiemu, spotykamy w poezyach Winc. Pola («Pieśni Janusza») i Tespezyusza Dubieckiego («Wieszczby», Bruksella, 1845).

A) Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej.

714) Bourges, 1832.

«Towarzysze moi!

Nieraz przy ognisku obozowem, wieczorem, chciałem wam powtórzyć początkowe szczegóły, tyczące się działań naszego pułku, od chwili jego zawiązania; ale, utrudzeni codzień marszem, albo krwawą rozprawą z wrogiem naszej ziemi, szukaliśmy spoczynku we śnie krótkim, albo też, zaledwo posileni pokarmem, rzucaliśmy nasze ognie, aby nieprzyjaciela znaleźć przy jego ogniskach. — Tak czas zszedł znojów miłych, czas nadziei i szczęścia! przeminął, jak gody, wesoło, bośmy trwogi nie znali! Smutnie czujemy obecne nasze położenie, w którem starali się nasi nas postawić, i teraz, niestety! nadto mamy czasu przypomnieć o tem, co było...

...Wiadomość o rewolucyi narodowej w prowincyach, nazwanych Królestwem Polskiem, przyjęliśmy na Wołyniu z taką radością, jakiej doznaje na widok matki, obudzonej z letargu, dziecko, które się już miało za osierocone. — Odwiedzaliśmy się wzajemnie w domach naszych, a wzrok każdego przy pierwszem spotkaniu się był obrazem uczuć, jakiemi serca nasze napełnione

były. Nadzieja wskrzeszenia ojczyzny, praw narodowych i wolności jaśniała na licach młodzieży. Starce nasi zdawali się odzyskiwać zdrowie, a kobiety nasze złorzeczyły swojej płci i siłom. — Mało mówiliśmy ze sobą: niema radość przepełniała wszystkie serca, krwią polską żywione, a uściśnienia rąk odtąd mocniejsze się zaczęły. Postępy rewolucyi stopniowo do nas dochodziły. Dużo młodzieży z naszych prowincyi udawało się pojedyńczo do obozu pod Warszawą. — Zimowa była pora. Ja, jak wiecie, koledzy, po dwudziestoletniej blizko wojskowej służbie i długiej słabości nie byłem jeszcze w stanie dzielić tych pierwszych trudów walecznego wojska naszego. Czekałem wiosny, abym mógł zanieść resztę sił, ostatek życia tam, gdziem go zanieść był powinien. Zdawało mi się przytem, że uzbrojeni w miejscach naszych rodzinnych użyteczniejsi stać się możemy powszechnej sprawie naszej. Czas płynął dla naszych chęci zbyt leniwo, a Rząd Narodowy z Warszawy nie wyrzekł nic stanowczego, jakiego rodzaju chce mieć poświęcenie z nas.

W przeciągu tego czasu starałem się wyrozumieć fabrykantów leśnych, zawołanych strzelców, i z pociechą znalazłem, że nie mniej, jak ja, kochają Polskę. — Powiększyłem natychmiast u siebie wyrobek leśny, i rachowałem, że w okolicy trzech mil, na pierwszą wiadomość, pod pozorem polowania w borach, ośmiuset przeszło strzelców stanie; kilkunastu z nich już wiedziało o moich zamiarach, nie wiedząc o sobie, i ci mieli swoje sekcye. Ale wiecie, koledzy, że w tym samym czasie wielu z was pojedyńczo odwiedzało mnie w mojem ustroniu, i nakoniec podobało się wam zaszczycić mnie waszem zaufaniem, oddając mi tymczasowe naczelnictwo nad sobą. Nie odmawiałem wam mojego towarzystwa; towarzystwa, mówię, bo mnie znacie i wierzycie zapewne, że, oprócz szczęścia kraju, innych żądań nie miałem. Interes własny w tej epoce czarniejszą był zbrodnią nad wszystkie inne, a miłość własna o tyle tylko przebaczana, o ile przez nią przewyższaliśmy innych w poświęceniu siebie. — Zostawiałem żonę i pięcioro dzieci; krwawe ukazy, wydane w tym właśnie czasie, wszystkie podobne sieroty przeznaczały na Sybir. — Podły mąż, stokroć podlejszy człowiek, któryby takiemi ofiarami dopuścił się kupować jakiekolwiek widoki dla siebie na ziemi! Ojczyzna sama

tylko do nich ma prawo, przy Jej tylko ołtarzu te drogie sercu mojemu istoty zostawiałem. Taką mieliście rękojmię mojej bezinteresowności; ze śmiałością pytam was, czyście w czynnościach moich ją wyśledzili?

. . . . . .

Z 4-go na 5-ty (t. j. z 16 na 17 maja) zebraliśmy się w lasach Korowiniec Małych, o mil cztery od Żytomierza, miasta gubernialnego Wołynia, osadzonego działami i wojskiem, ale zebraliśmy się nie wszyscy. Bo wiecie, że ze spiskowych naszych jedni, ujęci, jęczeli od tego dnia w kajdanach, inni odcięci byli przez nieprzyjaciół naszych; niektórzy zaś, przerażeni odwołaniem dawniejszem, haniebnie pozostali w domu, i, zamiast wyrachowanych 480 koni, stanęło 130. Ubolewaliśmy nad tymi, którzy zostali ujęci, a mało odważnymi pogardziliśmy.

Niewiele palnej broni i pałaszów uzbrajało nas, ale uzbrajały nas lance, ta odwieczna polska broń, której każda inna ustąpić musi. — .....Nie mogłem wam dostarczyć zwykłych grotów, ukute więc zęby bronowe i odostrzone zastąpić je miały. Nieraz u nas dawniej narzędzie rolnicze przekute było na broń, naszej zaś broni na oswobodzonej ziemi o! jak mile użylibyśmy do roli...

Na miejscu zbioru podzieleni byliście na cztery plutony; przeznaczyłem komendantów plutonowych i podoficerów; ustawieni zostaliście w szereg, a kilka mniejszych poruszeń były pierwszą naszą musztrą. Uprzedziłem was, że uległość, ścisłe wypełnienie poleceń i niewchodzenie w zamiary moich dążeń marszowych jest konieczne. Do szanowania spokojności i własności mieszkańca nie potrzebowałem was zachęcać, samiście to czuli, równie jak ja; a tak furaż, żywność, przewodnik i wszystko zgoła płacone było. Wskazana wam była naprędce służba obozowa, służba placówek i wedet, które pierwszej już nocy w porządku zajęły miejsca swoje. Związki przyjaźni, sąsiedztwa, pokrewieństwa, tam zaraz zawieszone były; szacunek wzajemny pozostał, a węzeł sprawy świętej związał nas silniej nad wszystkie inne. Jedne były uczucia, jedne cele nasze, tak, jak my byliśmy dziećmi jednej ziemi; słowa «Sława Bogu», w miejsce dzikiego «Hura», zaleciłem wam powtarzać przy ataku. Rozesłałem w różne strony dobrze zapłaconych szpiegów i zamierzyłem

sobie zrobić kilka marszów w różnej dyrekcyi tejże okolicy, ażeby pod zasłoną naszą mogli wyjść z nami inni, gotowi ziomkowie nasi...

. . . . . .

...19 (31) maja weszliśmy do Międzyrzecza; okrzyki radosne powitały nas; były tam szkoły Pijarów, zastaliśmy młodzież naszą, nadzieję kraju, nadzieję Polski. W kilka minut każde drzewce naszych lanc ściskały młode dłonie, niezdolne jeszcze grubości ich okrążyć; ognisty wzrok tonął w naszym wzroku i rzeźwił uczucia, pracą sfatygowane. Każdy nasz koń widział przy sobie nowego jeźdźca, który zaledwie koniec grzywy z pyłu mógł oczyścić. «Pójdziemy z wami!» — zawołali wszystkich klas uczniowie, a głos ten bez wątpienia słyszeliście całą mocą dusz waszych. Zwołałem ich do porządku; starszych przeznaczyłem w szeregi, w które z uniesieniem i pychą wstąpili, a młodszym radziłem czekać, aż ich wiek uzdolni. Słyszeliście każdego z tych, jak rachował swoje lata, a rachunek ten nie z wiekiem, ale z miłością Ojczyzny był zgodny. Stajnia Steckiego nie była zamknięta i, razem ze służbą tego znakomitego Polaka, poszła powiększyć liczbę naszą. — Trzeci szwadron był dopełniony, a my po odpoczynku ciągnęliśmy dalej. Oficerowi aryergardy poleciłem, żeby z wszelką grzecznością nie pozwalał małym naszym ochotnikom iść za kolumną; ale uprzedzali oni nas, i przy drodze zastawaliśmy zadyszane dzieci z płaczem i prośbą, aby je zabrać. Nie było ani dość silnych, ani dość przerażających uwag, któreby wszystkich zwróciły; niektórzy z nich zatrzymali się i bez wiadomości mojej poobsiadali wozy, ze zdobytym furażem idące»...

715) (Poniższe dwa małe ustępy nie weszły do «Pamiętnika». Zachowały się u Leonarda Rettela; przytaczamy je tu).

...Wszystko to po większej części (mówi Karol Różycki o swych żołnierzach) była młodzież, potrzebująca snu przedewszystkiem po tak wielkiem utrudzeniu; nie będąc pewnym nawet placówek swoich, ja jeden w obozie nie mogłem oka zmrużyć, bo wszystko mi ufało i wszystko polegało na mnie; postanowiłem zatem zawsze maszerować tylko nocami, a w biały dzień tylko spoczywać, i to gdzieś na obszernem i otwartem miejscu. Bywało nieraz, że wszystko spało jak zabite, i nie miałem serca

ich budzić; nie złażąc sam jeden z konia, za cały oddział mój czuwałem, gorąco oddając pod opiekę Bożą i siebie i moich żołnierzy; wytężałem oko ze środka mojego małego obozu, bo jedna sotnia kozaków, napadająca nas znienacka, mogła wielką rzeź sprawić, nimby się mogli moi otrzeźwić, przyjść do przytomności i powsiadać na konie...

. . . . . .

Chciałem ominąć Luboml; byłem pewny, że tam stał kilkotysięczny garnizon, opatrzony działami. Wziąłem przewodnika i, naznaczywszy mu punkt, gdzie nas miał doprowadzić, udałem się na całą noc szybkim marszem; lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy nad samem ranem znajduję się pod miasteczkiem, które chciałem wyminąć! Przypuszczałem zdradę ze strony przewodnika i miałem dać rozkaz ukarania go śmiercią, kiedy w jego płaczu i zaklinaniu się poczułem taki akcent prawdy, iż przekonałem się, że był niewinny i że zmylił się tylko. Zobaczywszy kilku żołnierzy... koszących trawę, kazałem ich pojmać i dowiedziałem się, że w Lubomlu nie było nikogo, że poprzedniego dnia cały garnizon szybko wyruszył, aby na mnie tam właśnie czekać, którędy miałem przechodzić. Tak omyłce poczciwego przewodnika winienem ocalenie mego oddziału. Nie byłaż to widoczna nad nami Boża opieka? Przemaszerowałem przez Luboml, nie mając czasu ani niszczyć, ani zabierać wielkich magazynów. — Ten marsz mój, ze zrządzenia Bożego i bez woli mojej uczyniony, wzbudził największą admiracyę samego nieprzyjaciela, jako arcydzieło strategii; uważano mnie za wodza, najdokładniej zawiadomionego o każdym ruchu przeciwnika. Dlatego pominąłem szczegóły te w mojem drukowanem opowiadaniu, nie chcąc ich przypisywać mojej biegłości wojennej, a z drugiej strony, czyniąc ustępstwo, którego żałuję, przyjaciołom dbałym o moją sławę, niezdolnym wyżej wziąć rzeczy, a nie chcącym zgodzić się na to, abym miał być coś omyłce i przypadkowi samemu dłużny.

Opracował: MARYAN DUBIECKI.

LXXXVIII.

OLIZAROWSKI TOMASZ AUGUST

(1811—1879).

Olizarowskiego utwory, jak niejednego wybitniejszego poety doby romantycznej, do tego stopnia mgła niepamięci pokryła, że kiedy przed dwudziestu kilku laty (1886) ze starego rocznika «Kurjera Warszawskiego» (1835) jedno z czasopism («Kur. Codz.») wydobyło i ogłosiło bezimienny sonet, p. t. «Poczta ruska», inne pisma skwapliwie go przedrukowały, a krytycy, zachwyceni pięknością utworu, starali się za pomocą analizy językowej wykazać, że sonet ten nikt inny, tylko Mickiewicz mógł napisać. Zapomniano już, że to jedna ze «śnielek» Olizarowskiego, w «Dziełach» jego zamieszczona.

Tomasz August Olizarowski urodził się w r. 1811 w Wojsławicach, niedaleko Rzeszowa (w Galicyi). Rodzina Olizarowskich wywodzi się od cara Lazara i przybyła podobno niegdyś z Serbii do Polski. Rodzicami Tomasza byli: Jakób, oficer legionów Dąbrowskiego, i matka, z domu Aleksandrowiczówna. Nauki pobierał w liceum krzemienieckiem; był ukochanym uczniem Józefa Korzeniowskiego, profesora języka i literatury polskiej, który go zachęcił do pracy twórczej; już bowiem na ławie szkolnej talent jego poetycki się objawił. Jego hymny, do których dorobił muzykę Waniuszek, nauczyciel śpiewu chorałnego, były śpiewane przez uczniów w kościele licealnym. Krzemieniec, gdzie spędził lata młodzieńcze, na zawsze wyrył się w wyobraźni i w pamięci Olizarowskiego; na obczyźnie tęsknił do niego, jak Słowacki, i wspominał go w utworach swoich. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, opuścił wraz z kolegami ukochane miasto i zaciągnął się jako ochotnik do korpusu generała Dwernickiego, który właśnie wkroczył był na Wołyń. Gdy korpus ten wyparty został do Galicyi i rozzbrojony przez Austryaków, Olizarowski wraz z innymi dostał się do niewoli; udało mu się jednak wymknąć i przedrzeć do Królestwa. Tu wstąpił do legii litewsko-ruskiej i walczył aż do upadku powstania.

Zniewolony po raz drugi przekroczyć kordon, znalazł się znowu w Galicyi. Przebywał już to we Lwowie, już to w Tatrach, gdzie spotkał się z Goszczyńskim. Brał udział w przygotowaniach do ponownego powstania i wyprawy Zaliwskiego, musiał więc, jak Goszczyński, ukrywać się po dworach wiejskich. W tym czasie poznał się z A. Z. Helclem, który swoim nakładem wydał w r. 1836 w Krakowie pierwszy zbiorek jego «Poezyi», obejmujący poematy: «Zawerucha» i «Bruno». W tym samym roku władze austryackie aresztowały Olizarowskiego i wywiozły aż do Tryestu. Więziono go przez pół roku w cytadeli, poczem wsadzono na okręt, płynący do Anglii. W więzieniu i na morzu Olizarowski tworzył swoje «śnielki». Osiem lat spędził w Londynie (1836—1845), gdzie w życiu publicznem emigracyi naszej brał czynny udział, walcząc jednocześnie o kawał chleba powszedniego. Charakterystyczna jest notatka autobiograficzna poety, dotycząca tych czasów: «Byłem dyrektorem Towarzystwa 3 maja w Anglii, wiceprezesem Grona historycznego w Londynie, członkiem Komitetu Towarzystwa ubiorczego i sługą w tabacznym sklepie Izdebskiego; to ostatnie broniło mnie od głodu». Życie czynne i dni głodowe w Londynie nie przeszkodziły mu oddawać się w dalszym ciągu twórczości poetyckiej. W tym czasie napisał drugą część swego «Bruna», wydał zbiorek poezyi p. t. «Egzercycye poetyckie» (1839) i poemat «Krzyż na Peredylu».

Do Mickiewicza napisał w r. 1841 wiersz, w którym wyspowiadał się przed nim z udręczeń swego ducha i dziękował mu, że go zbudził ze stanu odrętwienia. «Przebacz, o wieszczu wielki!» — tłómaczył się — «że przed Tobą rymem skarżę się, lecz się skarżę, jak przed ojcem dziecię, jako uczeń przed mistrzem, karzeł przed olbrzymem!» Na odzew ten otrzymał od Mickiewicza odpowiedź, w której odbił się radosny nastrój ducha, w jakim się wieszcz znajdował od chwili pojawienia się Towiańskiego: «Kochany bracie. Poezyę Twoją oblałem łzami bratniemi. O geniuszu moim nie pisz i nie chwal go. Cóż to są geniusze? Pokutnicy, którzy przetrwali, jeśli nie tysiączne życie, jak Ty mówisz, to przynajmniej wielokrotne życie. I dlatego tylko jestem dotąd Twoim starszym. Często dawniej myślałem o Tobie i chciałem porozumieć się z Tobą. Dawne Twoje poezye stracone, nie byłeś sam sobą. Nie byłeś przeznaczony opisy robić i historyczne poemata naśladować. W Twym «Łokietku» słyszałem kilkadziesiąt tylko wierszy, dumań i rozmyślań, w których widziałem Twego ducha. W satyrach lękałem się, żebyś nie poszedł torem Persyusza i Juwenalisa. Dziwnie do nich byłeś podobny i z usposobienia duszy i ze stylu. Ale to przeszłość. W poezyi ostatniej stanąłeś na punkcie, skąd idzie droga. Stójże mocno w Panu. Na nikogo się nie oglądaj, nikogo nie naśladuj. Pana pytaj, serce oczyszczaj i ducha Twego słuchaj. Mamy wielką potrzebę poetów nowych. Wielkie wypadki zbliżają się. Możeś o nich z wieści zasłyszał. Wieść to prawdziwa. Bóg nas bierze w opiekę i sprawę naszą. Ujrzysz wkrótce tego znaki. Pociesz się, bracie. Nędza nasza kończy się. Jako starszy brat, radzę ci, i z urzędu każę ci cieszyć się. Braci pocieszaj i pokrzepiaj, a żeś i sam był niegdyś twardy i niewierny, ich twardością i niewiarą nie gorsz się. Wzbudzaj w sobie miłość ku Panu i bliźnim. Chrystusa uczcij, Matkę Jego wzywaj. Pan Ciebie pokrzepi. Twój kochający Ciebie brat — Adam Mickiewicz». Na drugi wiersz Olizarowskiego, ogłoszony w tym samym roku w «Dzienniku Narodowym» («Zagraj, zagraj, a zaśpiewaj...»), w którym zachęcał go do uderzenia w struny, już Mickiewicz nie odpowiedział: myślał o czynie, nie o śpiewaniu.

W r. 1845 Olizarowski opuścił Anglię i przybył do Paryża. Na emigracyi we Francyi należał do stronnictwa konserwatywnego i był dobrze widziany w Hotelu Lambert, ale służką Czartoryskich (jak Czajkowski n. p.) nie był i potrafił zachować niezależność przekonań. Został członkiem głównej dyrekcyi «Towarzystwa Trzeciego Maja» i brał udział w redakcyi organu Towarzystwa, wychodzącego pod nazwą «Trzeci Maj», w którym pomieścił szereg artykułów politycznych, (przemawiając między innymi za uwłaszczeniem włościan). Poznał się teraz z Mickiewiczem osobiście. Wypadki r. 1846 podnieciły go do tworzenia; ogłosił wtedy swoje «Woskresenki» i inne utwory. W odezwie poetyckiej do Sew. Goszczyńskiego p. t. «Wieszcze desiderium» usiłował zbudzić go z długiego milczenia, podniecić do tworzenia. W pamiętnym r. 1848 Olizarowski udał się do Drezna, a stąd chciał jechać do Galicyi, «w celu jednania Rusinów z Polakami», ale dalsze wypadki przeszkodziły temu i zmusiły go nawet do opuszczenia Drezna. Na zaproszenie generała Dezyderego Chłapowskiego pojechał w Poznańskie i spędził w Turwi trzy lata. Tu oddał się twórczości dramatycznej: wydał w Poznaniu dramat «Wincenty z Szamotuł» (1850), a w redagowanym przez Jana Koźmiana, z którym się zapoznał w Turwi, «Przeglądzie Poznańskim» pomieścił rozprawę «O literaturze dramatycznej» (1850). Wybór swoich poezyi wydał w 3 tomach we Wrocławiu p. t. «Dzieła» (1852). Na rozkaz rządu pruskiego musiał opuścić Wielkopolskę i Śląsk i osiadł w Belgii. Przez lat sześć uczył w Tirlemont, w kolegium miejscowem, języka i literatury polskiej. W Ostendzie spotkał się z dawnym swym profesorem, Korzeniowskim, który byłemu uczniowi swemu powtórzył z pamięci strofę z młodzieńczego jego poematu «Skald» i nakreślił mu przy pożegnaniu smętny wierszyk («Nadejdzie wiosna, jej wonne tchnienie»...). Opuścił wreszcie Olizarowski Belgię i wrócił około roku 1858 do Paryża. Pod wrażeniem ruchu narodowego r. 1861 napisał trzy wiersze, w których dał charakterystykę Rosyan i ogłosił je p. t. «Twory Dydyma Olifira» (1862). Gdy pod koniec żywota zaczęły go trapić choroba i niedostatek, zaopiekował się nim zacny Leonard Niedźwiedzki; wkońcu znalazł poeta schronienie w domu św. Kazimierza, instytucyi dla sierot i weteranów polskich. Zarabiał przepisywaniem rękopisów; pisał dużo; dla dzieci w zakładzie pisał komedyjki; przetłumaczył z francuskiego «Konfederatów Barskich» Mickiewicza i «Jakóba Jasińskiego»; do «Konfederatów» dorobił nawet zakończenie w dwu aktach.

Olizarowski zmarł 3 maja r. 1879. Pochowany na cmentarzu w Ivry, skąd przewieziono zwłoki na cmentarz Père Lachaise.

Olizarowski był talentem miary nieco może wyższej nad średnią, ale szedł śladami swoich poprzedników — Mickiewicza, Goszczyńskiego, Zaleskiego, rzadko je porzucając. M. Grabowski niewątpliwie przecenił wartość jego poezyi młodzieńczych. Do «Szkoły Ukraińskiej» zaliczono go na podstawie «Zaweruchy»; powieść ta ukraińska najwięcej jest ceniona z utworów Olizarowskiego drukowanych, nawet przez znawców Ukrainy i jej ludu (Grabowskiego, L. Sowińskiego); co tembardziej jest uwagi godne, że Olizarowski Ukrainy właściwie nigdy nie oglądał, a opisał ją i obyczaje jej mieszkańców na podstawie opowiadań kozaków dworskich Wacława Rzewuskiego, którzy tworzyli jego orszak, ilekroć odwiedzał Krzemieniec; z ich też ust zaczerpnął piosnki ludowe (czumackie). Grabowski pierwszy wskazał na oryginalną stronę tego utworu i określił jego znaczenie: «Za sprawą Olizarowskiego zajrzeliśmy w przyrodę powszedniego bytu ukraińskiego ludu, kiedy dotąd znaliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiej lub poetyczność jej historycznych wspomnień...» (Liter. i kryt. 1840, «O szkole ukr. poezyi», str. 85). Inne jego drukowane poematy nie przedstawiają większej wartości: ani «Bruno», poemat dziwaczny, utworzony pod wpływem Byrona oraz «Dziadów» Mickiewicza, ani «Softy», «powieść hebrajska», wierszem «Powieści wajdeloty» napisana, ani «Sonia», powieść ukraińska; ani osnute na podaniach: «Paladyn Czorcz» i «powieść wołyńska» «Topir-Góra», z dawniejszego «Krzyża na Peredylu» przerobiona. Liryki Olizarowskiego nie posiadają również wydatniejszych cech oryginalnych; są to: «śnielki» — tak z czeska przezwał kilkadziesiąt sonetów, na wzór mickiewiczowskich tworzonych, «padwanki», t. j. z włoska po staropolsku ochrzczone erotyki, dumki, «fantazye», «chwały i żale» (psalmodyczno-elegijne poezye religijne). Dramaty jego, których napisał około 30-tu, a wydrukował tylko kilka, mają charakter raczej poematów dramatycznych, niż dramatów w ścisłem tego słowa znaczeniu; jeden z nich tylko (odznaczony nagrodą w r. 1878) był przedstawiony na scenie krakowskiej. Najlepsze podobno utwory poetyckie Olizarowskiego zalegają w rękopisach; ci, co je czytali (Duchińska, Giller), wyróżniają: poemat romantyczny w 12 pieśniach «Złote jabłko», dramat czarodziejski «Omanki», poemat dramatyczny «Tymon Zimorodek» i kilka innych.

BIBLIOGRAFIA.

Wydania. Osobno wyszły: «Poezye» przez T. A. O., Kraków, 1836 (zaw. Zaweruchę i Bruna). «Egzercycye poetyckie». Londyn, 1839. — «Krzyż na Peredylu». Londyn, 1839 (?). — «Woskresenki». Paryż, 1846. «Hejnał». Paryż, 1846. — «Tyrtejka», Paryż (1 kartka). — «Broń polska». Lwów, 1848. — «Wincenty z Szamotuł». Poznań, 1850 (dramat z czasów Łokietka). — «Dziewica Erinu». Paryż, 1857 (dramat osnuty na tle dziejów emigracyi; bohater Artur Zawisza). — «Rada w Chęcinach». Paryż, 1861 (dramat z czasów Łokietka). — «Twory Dydyma Olifira». Paryż, 1862 (zawierają 3 utwory: «Odezwę moskiewską», «Odpowiedź Wsewoładowi» i «Pieśń do Fr. Duchińskiego»). — «Teatr dla dzieci i młodzieży». Poznań, 1873. — Giller wspomina jeszcze o dwu dramatach, wydanych przez Olizarowskiego w Bruges w Belgii około r. 1855 osobno: «Maryan Muzowicz», i «Wulpolup» (Estr. ich nie zna). — «Rognieda» (dramat na tle dziejów Rusi kijowskiej), ogłoszona tylko częściowo: wyjątki z niej przytacza Duchińska i «Złota Przędza» II. — Przekład wierszem «Konfederatów Barskich» i «Jakóba Jasińskiego» Mickiewicza osobno w Bibl. Mrówki (przedruk. z «Przeglądu Polskiego») i w «Poezyach» Mickiewicza T. III. Kraków, 1899 wyd. Chmielowskiego. — Wydanie zbiorowe p. t. «Dzieła przez Autora Bruna». 3 t. Wrocław, 1852 — zawiera tylko wybór utworów Olizarowskiego. Tom I obejmuje poematy «Bruno», «Sonia», «Softy»; T. II «Paladyn Czorcz», «Topir-Góra», «Zawerucha»; T. III «Śnielki», padwanki, dumki, fantazye, humoreski, Chwały i żale i wiersze różne. — Drobne utwory rozproszone po czasopismach — w «Sławianinie» lwow. z r. 1837 (Jaszowskiego), w «Pokłosiu» Wilkońskiej, w «Tygodniku Wielkopolskim» Calliera, w «Przegl. Poznańskim» J. Koźmiana. — Sonet «Poczta ruska» w «Kuryerze Warsz.», 1835 (przedruk. w «Kur. Codz.», 1886, nr. 225 i w «Prawdzie», 1886, nr. 34). — Wiersz do (Ad. Mickiewicza) zaczynający się: «Blask twego geniuszu przeszedł po mych piórach...» w Dod. do t. III «Żywota Ad. Mickiewicza» przez Wł. Mickiewicza i drugi wiersz do Mickiewicza («Zagraj, zagraj, a zaśpiewaj») — tamże (oba przedruk. z «Dziennika Narod.», 1841). — «Rosadnik Dydyma» w «Ruchu Liter.», 1878 (aforyzmy). — «Wilkołak», pow. poetycka w «Rozmaitościach lwow.» 1835. — Artykuły polityczne w «Trzecim Maju» (Paryż). — Art. «O literaturze dramatycznej polskiej» w «Przegl. Poznańskim», 1850, t. XI. (665—698). — Większość utworów Olizarowskiego zalega w rękopisach w Bibliotece polskiej w Paryżu i w Muzeum w Rapperswilu; spis ich i wyjątki przytaczają Giller i Duchińska.

O Olizarowskim pisali: M. Grabowski: O szkole ukraińskiej poezyi (Literatura i Krytyka. Wilno, 1840). — W. Budzyński: Kilka uwag o poezyi narodowej z powodu nowo wydanych «Woskresenek» T. A. O. Paryż, 1846. — Bezimienny: Dzieła T. Olizarowskiego. «Przegląd Poznański», 1853. — A. Giller: T. Olizarowski. Lwów, 1879. — Duchińska: T. A. Olizarowski. «Bibl. Warsz.» 1879, t. IV. — L. Sowiński: T. O. Kłosy, 1879. — M. Dubiecki: T. O. «Przegl. Powsz.», 1893. — Art. bezim. o Olizarowskim w «Kur. Pozn.» 1879, nr. 111 i 112. — Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza. t. III. — Zdziechowski: T. A. O. («Byron i jego wiek» II). — Chmielowski: Nasza literatura dramatyczna. I, 405—406 i Historya literatury polskiej t. V, 92—94, VI, 145. — Zdziarski: Ze studyów nad «Szkołą Ukraińską», «Ateneum» listop. 1900. — Tenże: «Pierwiastek ludowy w poezyi

polskiej XIX wieku. Warszawa, 1901. — Wojciechowski: Werter w Polsce. Lwów, 1904, str. 162—166 (o «Brunie»).

A) Zawerucha (1836)

(«Poezye» Kraków, 1836).

Młody kozak Zawerucha kocha czarnobrewą Rucianę, która, po długich próbach, przekonawszy się o jego wierności, oddaje mu rękę. Zawerucha przyjmuje w dom swój, jak przyjaciela, wędrownego czumaka. Szczęście młodej pary budzi zazdrość w sercu czumaka, który podstępnie zabija Zaweruchę, a nasyciwszy swą żądzę, topi nóż w sercu Ruciany, poczem sam się zabija.

Tekst poematu w wydaniu wrocławskiem (1852) znacznie się różni od tekstu pierwszego wydania. — Podajemy początek.

Chmura.

716) W Imię Ojca-j Syna-j Ducha:
Wzleciał na koń Zawerucha;
Wzleciał, krzyknął: w imię boże,
W step — hop! dalej przez traw morze
Kopytami wpław!

O! w stepowe ty burzany
Na wiek wieków zabłąkany,
Do przegonu stawaj, wietrze,
I weź skrzydła co najletsze,
Grzywą tak się baw.

Z karku w trawę czarna grzywa,
Z trawy na kark się przeléwa;
To jak czarna chorągiewka
Ponad polnej róży drzewka
Szumi, świszcze, gra.

Koń stać zda się, step się rusza:
Kozakowi rośnie dusza —
On tak lubi. Pędzi, milczy;
W twarzy, jak wzrok nocny, wilczy,
Blask radości ma.

«Wraca, wraca!» — gwarzą ludzie,
Rozmawiają, jak o cudzie,
I przymilkli Odpoczęli: —
Razem nagle zawrzasnęli,
W step puścili wrzask.

Choć zatkane wiatrem uszy,
Choć na stepie słuch zostawił,
Kozak złapał wrzask do duszy:
Koń to poczuł, bieg poprawił,
Ócz powiększył blask.

Ej! — a jeszcze jeden burzan,
To do drogi pierś doskoczy,
Poprzed samej miłej oczy.
Hop! hop! — Co to? koń-że znużon?
Skręcił, skoczył w bok.

«Kozaczeńku! jeszcze! jeszcze!»
Za burzanem w dłonie pleszcze,
Pleszcze w dłonie czarnobrewa,
W białe dłonie, a rozgrzewa
W oczach czarny wzrok.

Koń źrenice takie zoczył,
To i nie dziw, że w bok skoczył:
Niech po stepie noc się toczy,
To burzanu nie przeskoczy,
Bo przeszkadza wzrok.

Któż o mocy wzroku nie wie
Ukraińskiej krasawicy?
Dziki, bujny, smutny śpiewie,
O nie jednej ty dziewicy
W Ukrainie brzmiał!

Bo w kozaczą pierś niejedną
Niosło pieśni czarne oko:
Dziś te pieśni dzikie rzedną,
Czas uczony w toń głęboką
Przeszłości je zlał.

Tylko jeszcze dum Padury [1])
Brzmią po chmurach młode dźwięki,

---

[1]) Tomasz Padura, krzemieńczanin, komponował w narzeczu polskiem i ruskiem-ukraińskiem. Polskie jego poezye w małej ilości i w małej liczbie znane. Są, którzy czytali jego romans poetyczny «Karol»; jego poema w rodzaju «Don Juan» Byrona. Umiem po części jego «Szalonego» (młodocianą kompozycyę na drobną skalę, pełną pierwiastków poetycznych). Całe Ukraińskie, Podolskie, Wołyńskie umie, a przynajmniej wie o dumkach Ukraińskich Padury. Żal się Boże! Tak ci marnie, o Ukraino! Zginął ten, który podług nut twoich dawnych śpiewał i zachwycał ruskie, polskie, rosyjskie i inne słowiańskie kraje! (Mówią, że się zastrzelił). *(Przyp. Aut.).* Padura umarł w r. 1872. *(Przyp. Red.).*

A na ziemi niema ręki,
Coby zdjęła torban z chmury,
Torban pełny dum.

Przejdą dumki i Padury;
Bo Padury duch z torbanem
Ponad ziemi oceanem
Już żegluje; — a te chmury —
Jego święty prum.

Jakież bo to zaszły zmiany!
Dziś nie poznać Ukrainy;
Zestarzał się Dniepr kochany.
Jakież jego teraz czyny?
Gnuśny, stary szum!...

Dziś step skrapia co porania
Czysta rosa, nie zmieszana
Z krwią tatarską lub turecką,
Albo polską: bo zdradziecko
Krew urządził czas.

Albo wodne dawne fale
Biegły, kędy oczy niosły:
Dziś bokami w brzegi wrosły,
Wznoszą grzywy swe zuchwale
I kładą je wraz.

Tak-to dawna krew narodów
Rozrucała *[tak]* się po świecie,
Aż zamknięta do swych brodów,
Jak w objęciach niańki dziecię,
Śpi w objęciach praw.

O! zgrzybiałe stepów duchy,
Co w posępnej tam drużynie,
Wziąwszy statek życia głuchy,
Przepływacie przez pustynie
Ukraińskich traw.

Młode słowo czas oskarza,
Waszych grobów nie znieważa;
Bo dla serca grób rycerza,
Jak Olaja zgasła wieża [1])
Dla żeglarskich ócz.

[1]) W «Tygodniku Rewelskim» doczytasz się o spłonieniu tej nadmorskiej wieży Ś-go Olaja, podług której sterowano; bez której kilka okrętów rozbiło się *(Przyp. Aut.)*.

Kozak jeszcze jedno koło
Skreślił czterma kopytami
I na drogę zbiegł wesoło.
Droga wrzasła okrzykami,
Step odgłosem tucz.

Chmury ciągną czarną rotą,
Poszczerbione piorunami,
Osmalone łyskaniami,
Brudne, chłodne. Widać błoto
W piersiach, brzuchach ich.

A po czole rozczochraném
Błyskawica prędko pływa;
Sznurkiem w zygzak połamanym
Z twarzy chmury się dobywa,
Jak zaskórny śmiéch.

Wiatr stepowy rozzłoszczony,
Że w przegonie wyprzedzony,
Rozkręcił się, — w niebo skoczył,
Tysiąc kłębów chmur wytoczył
I na step je pchnął.

Kilka chmurek ubrał biało,
I na końcu je prowadził,
Słońce z wierzchu całowało,
Wiatr z pod spodu równał, gładził
I w jedną ją spiął.

Leci chmura cudnie biała
Ponad cerkwią, ponad siołem,
O krzyż cerkwi bije czołem
I zniża się, jakby chciała
Ziemię skrzydłem bić.

Ruciana.

«Miły! miły! chmura rwie się,
Spadnie w stepie albo w lesie,
Przynieś chmury białą szmatkę [2]),
A porzucę ojca, matkę,
Pójdę z tobą żyć».

[2]) Mówią na Rusi, że chmura spada na ziemię białemi szmatkami, i że te szmaty nieraz walają się po lesie, po stepie, wreszcie po polu *(Przyp. Aut.)*.

W Imię Ojca-j Syna-j Ducha!
Wzleciał na koń Zawerucha.
Do lubimej: «Bywaj zdrowa!»
A do ludzi ni pół słowa,
A do konia: «hop»!

Zwiesił czoło i ponury
Biegł za chmurą, i cień chmury
Deptał, cieniem swoim mącił,
Wreszcie całkiem w cień się wtrącił
I biegł chmurze w trop.

Chmura, jakby miała oczy,
Nad równiną wciąż się toczy,
Kozakowi przeszkód niéma,
Pod kopytem ciągle trzyma
Sunący się cień.

Słońce zlazło z wysokości
I na stepie do pół siadło,
Jakby łuną z dalekości
Płytkie ognie w trawy kładło;
Nikł głęboki dzień.

Czy widziałeś pościel zbrodni,
Którą olśni blask pochodni,
W której starzec konający
Czuciem widzi blask wchodzący
I uśmiecha się.

Takie stepu uśmiechnienie
O zachodzie. — Żal się Boże!
Słońce świecić już nie może,
Wzięło z sobą mdłe płomienie
I schowało się...

Krew została na talerzu
Chmur; — krew słońca, jak krew wojny,
Zachodzącej na puklerzu
Wojownika, co spokojny
Niesie dalszy ślad.

I krew sczezła. Niebo sine,
Jak po dziecka snać pogrzebie,
Patrzy tęskno w Ukrainę,
Chmura zwija się po niebie,
Jak powietrzny gad.

Czy to wleciał smok wawelski?
Pokazuje język krwawy,

Język smoczy, czy dyabelski?
Nie! to piorun łaknie strawy:
Boże, jeźdźca broń!

Ej! kozacze, piorun dłużej
Nie wyczeka: jak na Dnieprze
Bajdakami pośród burzy,
Rób ty koniem! — Życie lepsze,
Niż najlepszy koń!

Kozak ręce rozczepierzył,
Hop! zakrzyknął; — koń uderzył
Kopytami, jak wiosłami,
Skrzydłem ptaków, ryb skrzelami,
Ponad chmury mknął.

Grom rozkroił chmury głowę,
Zgrzytnął, skoczył, świat zagłuszył,
Hukiem zapchał wszystką mowę,
Całą ziemię z gruntu ruszył,
Kozaka ni tknął.

Tylko w uszach mu zostawił
Jakieś dzwony, działa, tuby,
Którym, zda się, Anioł zguby
Głos podawał, czem zadławił
Na pół doby słuch.

Koń od ziemi tak odskoczył,
Jakby piorun z ziemi wracał,
Step nogami nakrzyż macał,
Chwiał się, trząsł się, w bok się toczył;
Padł — i w chwilę spuchł.

Na kurhanie wrona kracze
I w posępne skrzydła bije;
Za kurhanem syczą żmije,
Pod kurhanem kozak płacze,
I płacze — i klnie.

Przycichł — z konia zdjął kulbakę
I uzdeczkę; — na kurhanie
Stał i patrzył: — może wstanie,
Może życia da poznakę;
Oj! nie! nie! już nie!

Stał i patrzył, bo nie słuchał,
Bo mu jeszcze słuch nie wrócił,

Chmura poszła. — Wiatr się zdmuchał,
Krepą nocy się obrzucił,
Ślepł i drzemał już.

Potem miesiąc wstał rumiany,
Jak w kalinie wykąpany;
Wylazł z stepu w lazurową
Kąpiel niebios; tonął głową,
Mył się blaskiem zórz.

Bielusieńki, smutny, cichy,
Swą łabędzią pierś osuszał;
Z złotym chórem gwiazd się ruszał
I w pachnące ziół kielichy
Strząsnął krople ros.

Stare gwiazdy promykami,
Jak szpilkami, świecą ostro,
Jak mąż z żoną lub brat z siostrą,
Jak dziewice z kochankami,
Lub jak z głosem głos.

Krążą społu w duchów sferze,
Społu szczerze, — świecą szczerze,
W głębi niebios, młode, drżące,
Słabe jeszcze, — na pół śpiące
Łażą dzieci ich.

Zrazu noc je na wierzch znęca,
Ciemnościami je okręca,
Kołysze je, pieści, bawi,
Lecz pod ranek wszystkie dławi
I świt daje z nich.

B) Ze „Śnielek".

a) Poczta ruska.

(Podług obrazu sławnego Al. Orłowskiego).

Podajemy tekst w pierwotnem brzmieniu, według «Kuryera Warszawskiego» z r. 1835 (nr. 8 z dnia 9 stycznia), zmieniony w wydaniu «Dzieł» wrocławskiem (z r. 1852) t. III, str. 67.

717) Kto chcesz wiedzieć, jak ptactwo po powietrzu lata,
Niechaj cię poczta ruska przewiezie po ziemi;
Tabun na wiatr wypływa skrzydłami orlemi,
Kopytami czas zwęża, grzywą blask rozmiata.

Kibitka, jak jaskółka samotna, przelata
Z drogi na drogę, dotknąć zapomina ziemi;
Dzwonek, któremu braknie tchu, napół żywemi
Głoski sylabizuje pożegnanie świata.

Z ócz rozigranej trójki wzrok sypie się żarem,
Dokoła kopyt skaczą iskry z wiatrów warem —
I niebo nie dla ciebie, i ląd nie dla ciebie;

Toniesz, toniesz w przestrzeni, myśl tobie ciężarem —
A zwoszczyk [1]), jako szatan myślący o niebie,
Wciąż się uśmiecha, dumę wdziewając na siebie.

b) Sofora.

(«Dzieła». 1852, III, 26).

Tutaj ona lubiła od ludzi się chować;
Tu samotnie usiadać na długie myślenia;
Tu słońce przychodziło nogi jej całować,
Błagając jej twarzyczki, aby wyszła z cienia.

To jej drzewo kochane — płacząca sofora.
Tutaj ona lubiła, lub tam u strumienia
Łzy wylewać, lub wzdychać do gwiazdy wieczora.
Różom łzy się dostały, słowikom westchnienia.

Dziś gdzie ona? co myśli? i czem się zabawia?
Czy samotnie, jak dawniej, spędzać chwile lubi?
Jak dawniej, w rozmyślaniach wieczornych się gubi?

Wszystko tu pamięć moją pieści i odnawia;
Wszystko do serca mego tak rajsko przemawia,
Że nie dałbym tej mowy za sam hymn cherubi.

---

[1]) Woźnica. *(Przyp. Red.).*

Opracował: G. KORBUT.

LXXXIX.

POL WINCENTY

(1807—1872).

Potomkiem dwu rodzin mieszczańskich spolszczonych: niemieckiej i francuskiej, był ten *laudator temporis acti*, chwalca sarmatyzmu staroszlacheckiego. Ojciec jego, Franciszek Ksawery, wywodził się z Warmii, pisał się Pohl (od roku 1795 — Poll), poświęcił się od roku 1785 karyerze urzędniczej w Galicyi, a po ostatnim rozbiorze pełnił urząd adjunkta fiskalnego w Lublinie; w r. 1815 rząd austryacki nadał mu za 30-letnią służbę szlachectwo, oraz pozwolił na dodanie do nazwiska przydomka von Pollenburg. Matka, Eleonora Lonchamps, pochodziła z rodziny francuskiej, od dawna spolszczonej i we Lwowie osiadłej. Trzeci z kolei syn z tego małżeństwa, Wincenty Ferraryusz Jakób, ujrzał światło dzienne d. 20 kwietnia 1807 r. w Lublinie, w domu przy ul. Grodzkiej nr. 111, do dziś dnia istniejącym. W r. 1809 Pollowie przenieśli się do Lwowa, gdzie ojciec Wincentego został radcą sądu szlacheckiego, a w r. 1815 sędzią apelacyjnym trybunału. Pierwsze wrażenia dzieciństwa wyniósł z domu, gdzie panowała atmosfera miła i pogodna, urozmaicona koncertami domowymi (cała rodzina Polów była muzykalna); wychowywał się pod okiem matki, kobiety dobrej i uczuciowej, rozmiłowanej w poezyi, zwłaszcza Krasickiego i Karpińskiego, które często dzieciom z pamięci recytowała. Pierwszem miejscem, gdzie przyszły autor «Pieśni o ziemi naszej» całą piersią odetchnął polskiem powietrzem, była wieś Mostki, o parę mil od Lwowa położona, własność Ziętkiewiczów, krewnych pani Eleonory: tu poznał Wincenty po raz pierwszy staropolskie życie patryarchalne, tu nasłuchał się gawęd i opowiadań takich postaci typowych ze świata wymierającego, podobnie jak bohaterowie «Tadeusza», jak: wachmistrz Białkowski, weteran z pod sztandarów Kościuszki i Napoleona, jak pasiecznik Zachara, zwany Rusinko, 70 lat życia sobie liczący, jak niezmordowany gawędziarz, ks. Józef Strzeszkowski, tu wreszcie po raz pierwszy zbliżył się do ludu i pieśni jego podsłuchał. Dodajmy do tego jeszcze opowiadania, któremi karmił jego duszę młodocianą stary przyjaciel ojca Wincentego, niemal domownik, tyle wsławiony później przez wdzięcznego słuchacza Benedykt Winnicki, a wyczerpiemy najważniejsze czynniki, pod których wpływem składał się umysł i charakter przyszłego poety w okresie przedszkolnym jego życia. Nauka Wincentego nie szła zbyt porządnie: trzech «dyrektorów» domowych niewiele go nauczyło, studya szkolne, rozpoczęte w r. 1822 na wydziale filozoficznym we Lwowie, już po roku przerwała śmierć ojca; matka wzięła w dzierżawę Podliski od łowczego koronnego Lisowskiego, a Wincentego uradzono umieścić w Tarnopolu, u Jezuitów, przy przebywającym tam na dewocyi Winnickim, gdzie przepędził rok, umacniając się w zasadach religijnych, które stały się podwaliną jego systemu myślowego na całe życie. Dodać należy, że Podliskom zawdzięcza Pol pierwszą miłość do panny łowczanki Eugenii, oraz pierwsze utwory poetyckie i powiastki (w formie listów). W r. 1824 powrócił na filozofię do Lwowa i ukończył ją w r. 1827; tymczasem matka, po nieudanych próbach gospodarowania na dzierżawach to w Podliskach, to w Szczercu pod Lwowem, osiadła na przedmieściu lwowskiem Zielonem, w domku pani Olszewskiej, której córka jedynaczka, Kornelia, wzbudziła w sercu poety trwalsze, niż przemijająca miłość do panny Lisowskiej, uczucie, któremu wszakże dopiero w dziesięć lat potem dane było uwieńczyć się węzłem małżeńskim. Szczerze przywiązana do Wincentego narzeczona cierpliwie oczekiwała spełnienia swych marzeń dziewczęcych, w r. 1829 zamknęła oczy jego matce, a potem zamieszkała na długi czas w Mostkach. Tymczasem Pol, chociaż nie cierpiał życia, «poliniowanego na godziny, minuty i sekundy», rad nierad zaczął myśleć o przyszłej posadzie; pierwszym krokiem do tego było złożenie dodatkowych egzaminów z pedagogiki i estetyki, oraz napisanie dwu polskich rozpraw naukowych, celem przedstawienia ich w Wilnie: «O źródłach narodowej poezyi polskiej», w której bardziej jeszcze, niż Brodziński i Mochnacki, stoi na gruncie ściśle narodowym, i «O epopei», oraz jednej niemieckiej — skrót dziejów literatury niemieckiej, kompilacya bez żadnej wartości naukowej. Poezye jego z tego okresu (1827—1830), które sam autor nazwał «pieśniami gminnemi», są to bądź przyodziane w szatę literacką pieśni ludowe, bądź też, w znacznej mierze na Mickiewiczu wzorowane, wiersze liryczne i okolicznościowe, ballady i powiastki, mową wiązaną i niewiązaną pisane. Ważny szczegół biograficzny z tych czasów opowiadał Pol na starość jednemu ze swoich przyjaciół temi słowy: «Padura i nie drukowane dotąd poezye ulotne Aleksandra Fredry, które przed 1830 rokiem napisał, a które ja w rękopisach znalazłem, wskazały mi drogę, jaką obrałem w poezyi». Chwilą przełomową w życiu Pola był rok 1830, kiedy, zachęcony przez Adama Jochera, wybrał się do Wilna szukać posady przy uniwersytecie: w grodzie gedyminowym znalazł się w listopadzie, a złożywszy egzamin na studenta rzeczy-

wistego, zajął miejsce zastępcy nauczyciela języka niemieckiego przy uniwersytecie. Przyszły autor »Pieśni o ziemi naszej», który już był dwa lata przedtem odwiedzał Winnickiego na Podolu, poznaje nowe strony dawnej Rzeczypospolitej: wycieczka naukowa z Wilna do Trok «na małych kałamaszkach jednokonnych» przysparza mu wiele wrażeń niezapomnianych, po których miały przyjść inne, nierównie silniejsze. Trafił bowiem do Wilna na gorącą chwilę przygotowań rewolucyjnych, wziął też udział w tajnym związku młodzieży, który miał na oku powołanie Litwy do udziału w powstaniu, a w kwietniu r. 1831, chwyciwszy, wraz z innymi, za broń, poszedł «do lasu». Szczupły oddziałek młodzieży wileńskiej, do którego należał, w charakterze adjutanta naczelnika Emeryka Staniewicza, Wincenty Pol, stoczył kilka utarczek, zanim połączył się z Matuszewiczem Pioruno-wym, a potem z Chłapowskim. W randze podchorążego 10-go pułku ułanów, dzielił odtąd Pol losy dywizyi Chłapowskiego i Giełguda, aż do przejścia granicy pruskiej i złożenia broni d. 15 lipca; ranga porucznikowska i krzyż «Virtuti militari» oto co wyniósł poeta z krwawej i smutnej kampanii 1831 roku. Gościnę znalazł pod Królewcem, w samotnym i cichym zamku nad morzem, a w Łukowej w Wielkopolsce, jeszcze w grudniu t. r., spotkał się po raz pierwszy z Adamem Mickiewiczem. W roku następnym Pol stanął na czele jednej z kolumn emigrantów, które dążyły ku granicy saskiej, i ruszył przedewszystkiem do Lipska, witany entuzyastycznie przez Sasów, a potem do Drezna. W Lipsku poznał się z Ottonem Spazierem, historykiem powstania listopadowego, któremu, prócz ustnych opowiadań, powierzył dwa rękopisy: «Pamiętnik Wincentego Pola o powstaniu na Litwie», oraz «Rozprawę o zwyczajach i obyczajach polskich»; w Lipsku też dał do druku swoje «Volkslieder der Polen» (przekład niemiecki 30 piosenek ludu polskiego), które wyszły tamże z datą 1833 r., oraz kilka niemieckich bezimiennych broszur politycznych, które zaginęły. W Dreznie znalazł się w maju 1832; Klaudya Potocka wprowadziła go do Klementyny Hoffmanowej, a przez Odyńca zbliżył się Pol do Mickiewicza, któremu odczytał kilka piosenek bojowych Janusza Nowiny. Niewinna mistyfikacya wydała się wkrótce: Januszem Nowiną był sam Pol, który niebawem miał zasłynąć jako najbardziej utalentowany pieśniarz kampanii rewolucyjnej. «Pieśni Janusza», których część tylko powstała podczas wojny, dopiero w r. 1833 poszły do druku do Paryża, po powrocie poety do Mostków, co nastąpiło wczesną jesienią 1832 roku. Pieśni te, pisane, jak sam wyznaje, «z powodu Adama Mickiewicza i z natchnienia Klaudyi Potockiej», zjednały swemu autorowi ogromną popularność w kraju, co należy przypisać ich prostocie, szczerości i bezpretensyonalności, a także tej nucie demokratyczno-ludowej, która dźwięczy w nich donośnie i czysto; najlepiej snać odpowiadały ogólnemu nastrojowi chwili i tym pierwszym, najbezpośredniejszym uczuciom, jakie budziły się w duszy polskiej podczas kampanii 1831 r. i po upadku powstania. Występuje

w nich Pol, jako rewolucyonista namiętny, gorący, obcy wszelkiej refleksyi, idący z pierwszym popędem serca tak w miłości, jak i w nienawiści, gotów, jak ów konfederat Sielawa (wyborny wiersz «Konfederat»), «z procesyją śpiewać, łotrów, zdrajców wieszać, a młodych zagrzewać», a jedyne układy, jakie gotów zawierać, to «wyrżnąć wszystkich co do nogi«. Nuta demokratyczna brzmi np. w «Szabli hetmańskiej», gdzie kasztelan wyprawia syna na wojnę «w sukmanie krakowskiej», przypasując mu do boku szablę, otrzymaną w puściźnie po przodkach, albo w słynnych «Krakusach», gdzie na nutę mazura wyśpiewał bohaterski czyn zuchów-krakusów pod Stoczkiem. Natomiast względem «panów, którym jeszcze wierzy szlachta ciemna», czuje niechęć: w «Proklamacyi chorążego» np. potępia w nich prywatę i egoizm («to do estymy najpierwsi panowie, a jak kraj bronić, to pierwszego niema, i wówczas miła fortuna i zdrowie, i każdy z wiatrem chorągiewkę trzyma»); a w wierszu p. t. «Szlachta na winie», wybornym obrazku rodzajowym, głośno wyrzeka na panów, prowadzących politykę «układów» i «traktatów». Demokratyzm Pola jest płytki i jednostronny: przyszłość narodu widzi on w potokach krwi nieprzyjacielskiej, wśród skrzypu szubienic z ciałami panów i biskupów, opiera ją na zbrojnem powstaniu ludu, a kosa, postawiona ostrzem, jest tej przyszłości symbolem. Patryotyzm jego tchnie czasem dziką, nieprzejednaną, krwiożerczą nienawiścią, czego dowodem takie utwory, jak «Pobojowisko pod Wawrem», «Skon naszych wrogów». Wśród licznych pieśni, odtwarzających nastroje uczuciowe, spowodowane wypadkami 1831 r., najpiękniejsze pochodzą z ostatnich chwil walki, jak: «Jeńcy», «Stary ułan pod Brodnicą», «Śpiew z mogiły». Poza tem dwie jeszcze z pośród nich zasługują na bliższą uwagę: «Wieczór przy kominie», epizod z konfederacyi barskiej, pierwsza, a doskonała gawęda w twórczości naszego poety, oraz «Proroctwo kapłana polskiego», jedno z pierwszych drgnień wieszczącego mesyanizmu polskiego. Entuzyazmu, z jakim powitano «Pieśni Janusza», dziś podzielać nie możemy, uważając za przesadny taki np. sąd Ujejskiego: «Ta książka wyższa nad «Iliadę», nad «Pana Tadeusza», bo, gdyby wszystkie źródła dziejowe zginęły, a ocalała z potopu tylko ta złota książeczka, z niej odgadłby historyk charakter dziejów narodu». Wkrótce jednak w inną stronę miały zwrócić się myśli i uczucia poety. Już w r. 1832 bawi czas jakiś w Miłosławiu u Mielżyńskich, a po powrocie do Lwowa zbliża się do Ksawerego Krasickiego, możnego pana, z którym odbywa podróże po licznych majątkach, do tej możnej rodziny należących, między innemi udaje się w Sanockie, do Dubiecka, tego zakątka ziemi polskiej, który niebawem miał się stać urodzajną glebą dla rymowanych i nierymowanych gawęd i powieści szlacheckich. Wkrótce też chłodnie w nim znacznie gorący nastrój rewolucyjny, chociaż demokratą jeszcze być nie przestaje; konserwatystom lwowskim oddaje takie np. poważne usługi, jak niebezpieczna podróż na Wołyń, Podole i Ukrainę w celu kontr-agitacyi

przeciw przygotowywanej wyprawie Zaliwskiego, kierowanej przez skrajny odłam emigracyi. Z tego też czasu pochodzą dwa zamieszczone w krakowskim «Kwartalniku Naukowym» w r. 1835 artykuły: «Filozofia i przysłowia ludu w Polsce», oraz «Teatr i Aleksander Fredro»; ten ostatni, jednostronny w wysokim stopniu i krzywdzący autora «Zemsty», obok współczesnego artykułu Seweryna Goszczyńskiego, był jednym z powodów, dla których Fredro przestał wystawiać i ogłaszać swoje komedye. Luty, marzec i kwiecień t. r. poświęca Pol na wycieczkę w Tatry, dokąd pojechał jeszcze drugi raz tegoż roku latem, rozkoszując się nie tyle może krajobrazami górskimi, ile barwną obyczajowością ludu tamtejszego, co uwidocznia się zarówno w «Pieśni o ziemi naszej», jak i w obrazach «Z podróży». Zwiedzał potem Sandecczyznę, a pod koniec lata znalazł się u Skrzyńskich w Zagórzanach, kryjąc się przed poszukiwaniami policyjnych władz austryackich. Tutaj też, w ciszy i w spokoju, powstaje «Pieśń o ziemi naszej», najdonioślejsze dzieło z tego okresu, który wydał jeszcze doskonałą gawędę żołnierską «Wachmistrz Dorosz na Litwie», utwór mniejszej wagi i znaczenia: «Pieśń o krakusowym grodzie», oraz «Historyę szewca». «Pieśń o ziemi naszej», również jak i «Pieśni Janusza», należała i należy do najpopularniejszych utworów Pola. Wygórowane o niej sądy należy również sprowadzić do właściwej miary: ta «pieśń» ma raczej charakter «gawędy», i tak też jest zatytułowana w jednym z odpisów — i jeszcze jedno należy dodać zastrzeżenie, że jest to gawęda nie tyle o «ziemi», ile o «rodach»: Litwy, Żmudzi, Wołynia, Podola, Ukrainy, Pokucia i Poprucia, Podhala i Mazowsza, z pominięciem północno-zachodniej połaci dawnej Rzeczypospolitej, przyczem najpiękniejsze są tu obrazki rodzajowe z życia ludu, o ile poeta nie wpada w przesadę «rodzajowości» i nie zacznie wyliczać np. długiego jadłospisu przysmaków, przechowywanych w świrnie zabiegliwego Litwina. Demokratyzm poety widnieje zarówno w stosunku krytycznym do «szlachty zatraconej», jak i w uwielbieniu «rozumu kmiecego», a także w żywem odczuwaniu tej prawdy, iż należy niejedno «miłe zburzyć, a inaczej odbudować». «Historya szewca Jana Kilińskiego, radnego miasta Warszawy», stanowiąca drugą część «Pieśni Janusza«, a osnuta na pamiętnikach Kilińskiego, ze wszystkich utworów Pola najjaskrawiej demokratyczna, posuwa się do idealizowania zarówno bohatera, jak i wogóle jego stanu, a pisana jest z werwą, zacięciem zawadyackiem i humorem, językiem i stylem ludowym, okraszonym mnóstwem przysłów, nawet wtedy, gdy opowiada o rzezi «w imię Boże» i «dyndających» na szubienicy zdrajcach. W r. 1838 Pol, osadzony na dzierżawie przez Ksaw. Krasickiego we wsi Kalenicy w Sanockiem, żeni się z Kornelią Olszewską i oddaje się z zapałem gospodarstwu, a także pracy społecznej około podniesienia dobrobytu i poziomu moralnego i umysłowego swoich chłopów; ale wkrótce następuje rozczarowanie: poeta-marzyciel widzi ze smutkiem, że marnieją owoce jego trudów, że nie zdoła zasypać słabemi rękami przepaści między dwo-

rem a chatą. Prawdziwą osłodą były mu wieczory przy kominie, umilane nieskończonemi gawędami p. Ksawerego: tak gromadził się w jego wyobraźni materyał do przyszłego «Mohorta». Tutaj powstały kolejno: «Szajne-katarynka», objaśnienia rymowane do obrazów niknących z historyi Polski, na zimno, bez natchnienia pisane (rękopis, zawierający ich do 200, spłonął podczas pożaru w pamiętnym r. 1846, powtórnie udało się je odtworzyć autorowi, z pamięci i notatek, zaledwie trzydzieści kilka), dwa cykle: «Obrazy z podróży» i «Obrazy z życia», wreszcie «Przygody JP. Benedykta Winnickiego». «Obrazy z życia i podróży» stanowią trzecią część «Pieśni Janusza». Demokratyzm poety przemówił w nich raz jeszcze czysto i donośnie. Cykl «Z podróży» zawiera wrażenia z wycieczki dwukrotnej w Tatry w r. 1835; życie i obyczaje ludu, jego podania i powieści, jego uciechy i troski, a na tem tle własne nastroje duchowe poety — oto treść tych 22 utworów, które pod względem piękności stylu i wiersza, oraz szczerości w połączeniu z prostotą, należą do najcelniejszych liryk naszego poety. Cykl «Z życia» już jest zapowiedzią nowego kierunku twórczości, apologii czasów minionych («A kto puściznę dziadów marnotrawi i z grobów rusza w Bogu ległe kości, jak ptak, co kala gniazdo, się osławi i, miasto życia, poczyna wiek czczości!»); w najpiękniejszym z tych dziewięciu fragmentów lirycznych, III («Majtek«), Pol daje wyraz swemu nastrojowi duchowemu z owych czasów i swej filozofii życiowej. Od «Przygód Benedykta Winnickiego», napisanych w r. 1839, rozpoczyna się u Pola wyraźny zwrot ku przeszłości, do pewnego stopnia pod wpływem «Pamiątki Soplicy» Rzewuskiego. Już w tym pierwszym, najwcześniejszym utworze z cyklu «Pamiętników Imci Pana Benedykta Winnickiego», występują na jaw cechy charakterystyczne, które będą się stale powtarzały: ubóstwo akcyi, rozbieżność epizodów — ze strony artystycznej, zaś monitor boćkowski, jako najpewniejsza ostoja karności rodzinnej i społecznej, oraz zalecanie pańskiej klamki i «dworskiej polewki», wbrew najwyraźniejszym wskazaniom Januszowym — ze strony moralnej. Wrażenie przykrego niesmaku, jakie wywołują «Przygody», osłabia ta tylko okoliczność, że poeta włożył opowieść w usta swego bohatera; w późniejszych utworach będzie już mówił od siebie. Jesienią tegoż 1839 roku odwiedził Pol, po czterech latach, Zagórzany, których właściciel, Tadeusz Skrzyński, szczerze polubiwszy autora «Pieśni o ziemi naszej», postanowił osiedlić go w swoich stronach i puścił mu niby w dzierżawę, a właściwie podarował w sąsiedztwie Zagórzan folwarczek, który Pol od imienia Matki Boskiej nazwał Maryipolem (lub Maryampolem), przeniósłszy się tu z całą rodziną. Na ten okres czasu przypadają wycieczki naukowe, które przyszły profesor geografii przedsiębrał wraz z Janem Kantym Łobarzewskim: zwiedzono Tatry, Beskid, źródła Wisły i Odry, górne porzecze Dunajca, Sanu, Dniestru i Prutu, wreszcie część Śląska i Podole. Zajęty zbieraniem materyałów, z których miały powstać później dwa najważniejsze jego dzieła geograficzne: «Hydrografia Polski»

i «Północne stoki Karpat», Pol przez te kilka lat, do r. 1846, nic prawie nowego nie pisze (prócz kilku artykułów naukowych), zajmuje się natomiast wydawaniem dawniej napisanych utworów («Pieśń o ziemi naszej» i «Historya szewca» — 1843, «Przygód Winnickiego» wyd. II — 1845, «Obrazy z życia i podróży» 1846). Z nowych prac wychodzi tylko w r. 1845 tom nowel i gawęd prozą, p. t. «Obrazy». Tymczasem stanowisko wrogie, jakie Pol zajął względem przygotowujących się ruchów rewolucyjnych, zniechęciło ku niemu i oburzyło tych, którzy wielbili go dotąd, jako Janusza-demokratę, a zwłaszcza młodzież. Poeta daleki już był wówczas od wszelkiej myśli konspiracyjnej i pozostał głuchy na namowy emisaryuszów Edwarda Dembowskiego, którzy mu proponowali objęcie dowództwa nad oddziałem insurgentów w Jasielskiem. Rzeź galicyjska 1846 r. zastała go we wsi Polance, pod Krosnem, u Trzecieskich, gdzie zatrzymał się w przejeździe w drodze do Lwowa, dokąd się chciał schronić wraz z całą rodziną. Pola wraz z jego bratem, Józefem, i Trzecieskim, tłum pijanego chłopstwa przywiązał do drzewa w oczach żony i dzieci, poranił i skatował. W kilka godzin nadbiegł oddział huzarów, ocalił wprawdzie nieszczęsnych od śmierci męczeńskiej, ale — aresztował nawpół przytomnych i powiózł do Jasła, a potem do Lwowa, gdzie osadzono Wincentego w najgorszem więzieniu, t. zw. Małych Koszarach. Z czasów pobytu w więzieniu pochodzi cykl liryk, p. t. «Z więzienia», «Siedm psalmów pokutnych, z psałterza Dawidowego ułożonych do śpiewu», oraz kilka jeszcze luźnych utworów, a z pośród nich najwybitniejszy «Rok 1846», jako najlepszy wyraz ówczesnych przejść duchowych poety, który w bolesnych doświadczeniach tego smutnej pamięci roku widział wszystkie wiary swoje młodzieńcze złamane. Po uzyskaniu wolności obejmuje kierownictwo wznowionego czasopisma, p. t. «Biblioteka naukowa Zakładu imienia Ossolińskich» (1847—1848), które prowadzi w duchu czysto artystyczno-literackim i naukowym, w zupełnem oderwaniu od zagadnień polityki bieżącej. Rok 1848 nie znalazł żywego echa w sercu zgorzkniałego i coraz bardziej stroniącego od dążeń demokratycznych poety; przeciwnie, przysporzył mu jeszcze przejść bolesnych i starć z nastrojoną rewolucyjnie opinią; trzeba było tłómaczyć się publicznie z zarzutów, przeważnie krzywdzących i niesprawiedliwych, a wreszcie opuścić Lwów i usunąć się z widowni politycznej. Dorobek literacki z tego roku niewielki: prócz kilku rzeczy mniejszej wagi, obejmuje piękny hymn patryotyczny, hymn wiary i ufności, p. t. «Widzenie Janusza», oraz wiersz historyczno-polityczny, p. t. «Słowo a sława», na zjazd słowiański w Pradze, propagujący idee panslawistyczne, wszakże w sposób dość ogólnikowy i zdradzający brak należytego zgłębienia dziejów ludzkości; zresztą, wkrótce po rozpędzeniu zjazdu armatami ks. Windischgraetza, rozczarował się Pol do idei słowiańskiej, jak niegdyś do ducha Januszowego. W roku następnym ziściły się ambitne marzenia poety: został mianowany profesorem nadzwyczajnym «powszechnej fizycznej i porównawczej geografii» w uni-

wersytecie krakowskim. Z wykładów jego, które zawsze ściągały do auli liczny zastęp słuchaczy, złożyły się dwa najważniejsze studya geograficzne: «Północny wschód Europy pod względem natury» (1851), oraz «Rzut oka na północne stoki Karpat» (t. r.), które spotkały się z dość surową krytyką, zarzucającą poecie-geografowi, i nie bez słuszności, brak należytego podkładu naukowego. W r. 1853 powracająca fala reakcyi biurokratycznej pozbawiła katedry Pola, a wraz z nim trzech jeszcze innych, źle notowanych u władz profesorów: Helcla, Małeckiego i Zielonackiego. Plon poetycki z tego czasu nader obfity: w r. 1852 powstał «Mohort» i «Senatorska zgoda», w r. 1853 — «Sejmik w Sądowej Wiszni», a także szereg drobnych utworów, które się złożyły na cykle: «Ze dworu», oraz «Z klasztoru i boru»; z r. 1853—1854 pochodzi poemat «Wit Stwosz», z 1854 — pierwsza myśl «Pacholęcia hetmańskiego», oba utwory pod auspicyami serdecznego przyjaciela i współpracownika w gromadzeniu źródeł historycznych, ks. kanonika Jana Scipiona. Nie dość na tem. Już w tym samym, a może w następnym roku poeta układa plan nowego cyklu poematów szlacheckich. Jak: «Pamiętniki Winnickiego» składały się z trzech utworów («Przygody», «Senatorska zgoda» i «Sejmik»), tak i ten nowy cykl gawęd miał zawierać trzy dzieła: «Stryjankę», «Banitę» i «Polowanie», z których tylko pierwsze zostało wykonane. Wreszcie napisał w tym czasie cały szereg drobnych utworów lirycznych, które w r. 1866 wydał p. t. «Z podróży po burzy». Wartość literacka i ideowa wszystkich trzech zbiorków lirycznych: «Ze dworu», «Z klasztoru i z boru» i «Z podróży po burzy», bardzo różnorodna: obok perełek najczystszej wody, jak «Przebolało», lub «Makowe ziarnko», napisane po śmierci ukochanej żony, znajdziemy w nich utwory blade pod względem obrazowania i stylu, a w swej treści społecznej świadczące o gnuśności ducha, upartym konserwatyzmie i niechęci do wszelkiego postępu, nawet w zakresie wynalazków technicznych (np. kolei żelaznych). Nie inny obraz przedstawiają nam gawędy: sam już wstęp dydaktyczny do «Senatorskiej zgody», apoteoza poczciwości szlacheckiej i «familijnej rady», jako najsilniejszej spójni społecznej, oraz karności w rodach szlacheckich, utrzymywanej strachem i grozą monitora boćkowskiego, źle usposabia do utworu, w którym nie wiedzieć, co bardziej podziwiać: błahość pomysłu, czy brak kompozycyi i jakiegobądź ładu w nagromadzonych bez liku epizodach; jeszcze przykrzejsze wrażenie wywiera trzecia część trylogii «Pamiętników Winnickiego»: «Sejmik w Sądowej Wiszni», z pochwałą dworactwa i pieczeniarstwa, poniżania godności osobistej wobec możnych, posuniętego aż do pokornego przyjmowania plag, «byle na kobiercu», pijatyk i bijatyk, buty i prywaty, słowem, wszystkich grzechów głównych, politycznych i obyczajowych sarmatyzmu staroszlacheckiego. Trzecia z gawęd z tegoż okresu, «Stryjanka», miała przechować potomkom jowialność, jako jedną z cech charakteru narodowego — cóż z tego, kiedy bohater tego utworu, p. Cześnik Bączalski, melancholijny i zamyślony stary kawaler, nie jest

ani wesoły, ani zabawny, a cała rzecz nie jest zdolna wywołać na usta czytelnika ani jednego uśmiechu. «Mohort, rapsod rycerski z podania», powstał pod wpływem opowiadań Ksawerego Krasickiego jeszcze z czasów przebywania poety w Kalenicy; słusznie więc «wieczorami kalenickimi» nazwał Pol ten poemat, najlepszy ze wszystkich, jakie napisał; pewne szczegóły zawdzięczał też innym narratorom. Wprawdzie kompozycya utworu jest również wadliwa, jak w dawniejszych gawędach; wprawdzie do typowych u Pola wad artystycznych: chaotyczności układu i rozbieżności epizodów, przyłącza się tu jeszcze jedna: brak akcyi i ruchu; wprawdzie historyk miałby wiele do zarzucenia pod względem ścisłości w niektórych szczegółach, np. co do nauk, udzielanych przez Mohorta ks. Józefowi, o czem milczą dzieje, — jednak «rapsod» ten (a raczej gawęda, poważniejsza tylko od innych) pozostanie w literaturze narodu, jako obraz jednej z pięknych stron naszej przeszłości, chrześcijańsko-rycerskiej wytrwałości w wiekowej walce z niewiernymi, a bohater jego, «kuty ze stali», «czujny, jak żóraw, całe życie zbrojny, jako lew dzielny, jak posąg spokojny», z kamienną niezłomnością spełniający swą twardą służbę żołnierską, będzie zawsze dla czytelnika polskiego jedną z tych tradycyjnych postaci, w których skrystalizował się, zastygł w jedną bryłę duch przeszłości. «Wit Stwosz», napisany w ciągu 40 dni (1853—1854 r.), daje ideał artysty chrześcijańskiego, jak «Mohort» — chrzecijańskiego rycerza. «Nie jest on podobny do niczego — pisze poeta w jednym z listów — com kiedykowiek napisał». Stosuje się to przeważnie do wyboru tła i epoki: zamiast czasów saskich widzimy tu wieki średnie, zamiast szlachty sanockiej — kulturalne mieszczaństwo polskie i niemieckie z XV stulecia. Ale ideały etyczne są tu te same, co w dawniejszych utworach, zwłaszcza liryczno-refleksyjnych (jak «Majtek», «Makowe ziarnko» i inne): pokora, poprzestawanie na małem, bogobojność, bezwzględne wyrzeczenie się szatana pychy i wielkości, oto co zaleca Pol w tym poemacie, który jest nadewszystko poetycką autobiografią poety, w postaci bowiem Stwosza-rzeźbiarza, oszkalowanego przez wrogów, opuszczonego przez przyjaciół, Pol siebie samego i własne swe zawody życiowe odtworzył. Po «Wicie Stwoszu» zaczyna się upadek talentu; «Pieśń o domu», której pierwszy pomysł powstał w r. 1857, nie dorównywa «Pieśni o ziemi»: rozwlekła i jednostajna, składa się z szeregu obrazków, przedstawiających zwyczaje doroczne, a przeplatanych, tu i owdzie, refleksyą lub kazaniem, podnosi znaczenie tradycyi i obyczaju domowego. Nie ocalała z pogromu, który zburzył wiary młodzieńcze poety, i «Pieśń o ziemi»: w drugiem, warszawskiem jej wydaniu z r. 1858, prócz «poprawek» cenzury, znajdziemy i inne, ręką samego autora dokonane, wymazane całe wiersze, noszące na sobie ślady demokratycznych ideałów poety z przed lat 23 (np. słynny dwuwiersz: «A tej szlachcie zatraconej gdyby Bóg dał rozum kmiecy»). Za to odstępstwo miała w dwa lata potem spaść na Pola sroga kara w postaci artykułów Kornela Ujejskiego w «Dzienniku Literackim», p. t. «O Januszu i panu Wincentym Polu» (z cyklu «Listów z pod Lwowa»), w których autor «Skarg Jeremiego» w wyrazach niemiłosiernych potępił Pola za sprzeniewierzenie się ideałom demokratycznym. Pol milczał, zamknął żal w sercu, ale krzywdy swojej Ujejskiemu nigdy nie zapomniał, pomimo iż ten pierwszy wyciągał rękę do zgody i prosił o przebaczenie. O późniejszych utworach Pola niewiele już jest do powiedzenia. Wydane w r. 1862 «Pacholę hetmańskie» jest tylko rymowanym dyaryuszem Walentego Różanki, dworzanina hetmana Jana Tarnowskiego, zbiorem epizodów luźnych, a napisany w roku 1864 jedyny dramat, p. t. «Powódź», świadczy o zupełnym braku talentu dramatycznego. Wypadki r. 1863 natchnęły go raz jeszcze do kilku podniosłych liryk, wydanych bezimiennie w r. 1864 w Lipsku, p. n. «Kilka kart z krwawego rocznika», poczem zanik talentu staje się coraz widoczniejszy, czego dowodzi taki n. p. «rapsod rycerski», p. t. «Z wyprawy wiedeńskiej», w szatę rymów przybrany dyaryusz Mikołaja Dyakowskiego (1865), lub z całą naiwnością średniowieczną opowiedziane «Legendy o św. Janie Kantym» (1868). Ostatnie utwory Pola to «Rok myśliwca», wydany w r. 1870, z rysunkami Juliusza Kossaka, oraz gawęda myśliwska: «Pan starosta Kiślacki», ogłoszona już po śmierci poety, w r. 1873. Często też stawał Pol na katedrze, jako prelegent, a z jego odczytów wyróżniają się: cykl prelekcyi o muzyce kościelnej, wygłoszonych w sali ratuszowej we Lwowie w r. 1864, a w następnym — szereg wykładów o literaturze polskiej XIX w., wypowiedzianych tamże. Na rok przed śmiercią zawarł powtórny związek małżeński, z p. Anielą Rościszewską, Wołynianką, osobą niemłodą, która pielęgnowała go w chorobie. W czerwcu 1872 r. został mianowany członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. Zmarł ociemniały już od lat kilku poeta w Krakowie d. 2 grudnia 1872 r., pochowany w grobach zasłużonych na Skałce; w mieście rodzinnem poety, w Lublinie, w kościele katedralnym wmurowano w r. 1876 na jego pamiątkę tablicę z odpowiednim napisem i popiersiem, obok takiejż tablicy i popiersia, poświęconych pamięci innego Lublinianina-poety, Sebastyana Klonowicza.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydania zbiorowe pism Pola: a) «Dzieła wierszem i prozą» we Lwowie w 1875—1878 r., nakładem F. H. Richtera, w dziesięciu tomach; tom I: Wit Stwosz, Pacholę hetmańskie, Z wyprawy wiedeńskiej; II: Północny Wschód Europy pod względem natury, część I, część II. Hydrografia; III: Pamiętniki Imć Pana Winnickiego w trzech częściach, Mohort, Powódź; IV: Północny wschód Europy, część III. Obrazy z życia i natury; V: Z podróży po burzy, Drobne poezye, Pieśń o ziemi; VI: Pisma hydrograficzne pomniejsze, Geografia Ziemi Świętej; VII: Stryjanka, Starosta Kiślacki, Rok myśliwca, Słowo a sława, Drobne poezye; VIII: Życiorys Pola (nap. Maurycy Dzieduszycki),

Pamiętnik literatury polskiej XIX wieku, Prelekcye o muzyce kościelnej, Pisma pomniejsze; IX: Pieśni Janusza w trzech częściach, Pieśń o domu naszym, Boża krynica, Kilka kart z krwawego rocznika, Drobne poezye; X: Pisma pomniejsze: Dział I — Rozprawy naukowe i literackie, Dział II — Obrazy, pamiętniki i powieści. b) «Dzieła poetyckie» Winc. Pola, opracowali i w objaśnienia zaopatrzyli Józef Sroczyński i Maksymilian Wiśniowiecki, nauczyciele gimnazyum w Stanisławowie. Stanisławów, 1903—1904, w czterech tomach; tom I, obejmujący życiorys poety, pogląd krytyczny na jego poezye i Pieśni Janusza, opracował, we wstęp i objaśnienia zaopatrzył Maks. Wiśniowiecki; tom II, obejmujący 1. Pamiętniki J. M. Pana B. Winnickiego, 2. Mohorta, 3. Słowo a sławę, 4. Stryjankę, opracował i w objaśnienia zaopatrzył Józef Sroczyński; tom III, obejmujący 1. Z podróży po burzy. 2. Drobne poezye, 3. Kilka kart z krwawego rocznika, 4. Pieśń o domu naszym, 5. Bożą krynicę, 6. Starostę Kiślackiego, opracował Maks. Wiśniowiecki; tom IV, obejmujący 1. Wita Stwosza, poemat z pomników historycznych XV wieku. 2. Pacholę hetmańskie, dyaryusz Walentego Rożanki, 3. Z wyprawy wiedeńskiej, rapsod rycerski, 4. Pieśń o ziemi naszej, opracował i w objaśnienie zaopatrzył Józef Sroczyński. Prócz tego «Listy» (Tyg. Ill. 1901; Przew. nauk liter. 1905), większość w rękopisach. Wydanie popularne z objaśnieniami «Mohorta» w wyd. Westa, opracował Dropiowski.

B) O Polu pisali: 1) Ujejski: O Januszu i p. Winc. Polu. Listy z pod Lwowa. Lipsk, 1861. 2) Dzieduszycki: Co się komu należy. Słowo o p. Ujejskim i o p. W. Polu. Lwów, 1860. 3) Tenże Winc. Pol (życiorys). Dzieła Pola, VIII (1877). 4) Szujski: W. Pol, wspomnienie pośmiertne. «Przegl. Polski», 1872. 5) Kraszewski: Pamięci W. Pola. Poznań, 1872. 6) Wójcicki: W. Pol. «Kłosy», 1872. 7) Siemieński: W. Pol i jego poetyczne utwory. Kraków, 1873. 8) L. Dębicki: W. Pol, jego żywot i pisma. «Przegl. lwowski», 1873—4. 9) Buszczyński: Pol i jego pisma. Kraków, 1873. 10) Tyszyński: Stefan Czarniecki i Pacholę hetmańskie, paralela. «Kłosy», 1873. 11) Tenże: Poezye W. Pola. «Wizerunki pol.», Warszawa, 1875. 12) A. Dołężyna: Wspomnienia o W. Polu. «Tygodnik Illustr.», 1880. 13) Spasowicz: W. Pol jako poeta. Studya nie z natury. Wilno, 1882 (toż w Pismach I. 1892). 15) Estreicher: W. Pol, jego młodość i otoczenie. 1807—32. Lwów, 1882. 15) Odyniec: Wspomnienia z przeszłości. Warszawa, 1884. 16) Wł. Zawadzki: Literatura w Galicyi 1772—1848. Lwów, 1878. 17) Biegeleisen: Nieznane pisma W. Pola. «Bibl. Warsz.«, 1892, I. 18) Tenże: W. Pol o poezyi ludowej. «Głos», 1892. 19) Dubiecki: Mohort, rycerz kresowy. Obrazy i studya histor. II, 1899. 20) Z. Kaczkowski: Mój pamiętnik 1833—1843. Lwów, 1899. 21) Chmielowski: W. P. (Album biograf. sł. Pol. XIX w., II). 22) Tarnowski: Historya literatury polskiej V—VI. 23) Wł. Bełza: Wspomnienie o W. Polu. («Szkice, wspomnienia, obrazki». Warszawa, 1901). 24) L. Dębicki: Z pamiętników i opowiadań W. Pola. (Portrety i sylwetki z XIX w.

Ser. II, Kraków, 1906). 25) Biegeleisen: Nieznany pamiętnik W. Pola. «Świat», 1901. 26) Chrzanowski: Skarga skrzywdzonego poety. (Na powodzian. Warszawa, 1904). 27) M. Mann: W. Pol. Studyum biograficzno-krytyczne. Kraków, tom I—II, 1904—1906. 28) Kallenbach: O Wincentym Polu. «Biblioteka Warsz.», 1907, IV. 29) Biegeleisen: Wincenty Pol więźniem stanu. «Przegląd prawa i administr.», 1909 30) S. O.: Miejsce urodzenia W. Pola. «Tyg. Illustr.», 1901, nr. 24.

A) Pieśni Janusza.

a) Część pierwsza (pis. 1831—1833, wyd. 1835).

718) a) Wstęp. Śpiew Janusza.

(Dzieła, tom IX, str. 36).

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
Pieśń i Pan Bóg z nim!

Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna a surowa,
Jak nasz lud i czas,
A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych i krwi Laszej,
Witam, witam was!

Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
Ten jedyny ślad;
Byście rzekli: Tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał,
I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i w owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polskie ziemie,
I tę polską sól;
I o wszystkiem marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

Choć nieznany i ubogi,
Gdy nawiedzę czyje progi,
Każdy z duszy rad;
Czy to w dworze, czy w klasztorze,
Na słobodzie, czy w gospodzie,
Wszystkim Janusz brat.

Kędy bracia moi smutni,
Brat po mieczu i po lutni,
Niosę piosnkę im,
I obecną słodząc dolę,
Na Grochowskie ciągniem pole,
A sławą brzmi rym.

Czasem brzęknę mej drużynie,
Kiedy czarna chwila minie,
I weselszy śpiew.
O Krakusach dzieciom nucę,
A powiastką w starych cucę
Staropolską krew.

Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
Na powiastkę brzękniem Barską,
Sławiąc polski ród;
Wówczas stary wre, jak z młodu,
Woła wnuczkę: «Nalej miodu!
Boć to polski miód».

A cóż w świecie nad miód polski?
Nad kord stary, snop podolski,
I nad polski śpiew?
Nad kraj wolny, własną niwę,
I te Polki czarnobréwe,
I tę polską krew?

Siostry moje! córy Piasta!
Skąd to serce w piersiach wzrasta?
Skąd ta dusza wam?
Co to w piersiach waszych wierzy?
Co za dobro dla was leży
Za bojami tam?

My tej ziemi się dobijem,
Lub w mogiłach znów ożyjem
W dziejach ziemi tej;
Lecz kto groby wam ocuci?
Kto wam waszą młodość wróci?
Te nocy i łzy?

O! i jam znał takie bole;
Lecz o młodość, o mą dolę
Nie pytajcie mnie:
Dość wam, żem ja z krwi [ochrzczony,
Żem w nieszczęściu poświęcony
Znał niejedną łzę.

Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
Żale toną w głąb:
Mego serca pieśni własnéj
Słucha tylko miesiąc jasny,
I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!
Sępy! orły! dęby moje!
Z wami ja się znam.
Lecz ty, dziatwo, żądasz pieśni,
To już sobie Janusz nie śni;
Cóż zaśpiewać wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umié,
Co się w głębiach piersi tłumi,
Bo i w nim ta krew;
Więc o Lachu, o orlęciu,
I o krzywej szabli cięciu
Przynosi wam śpiew.

Bo to straszne sądy Boże,
I krew lacka cuda może,
Jest i w śpiewie jad.
«Jeszcze Polska nie zginęła!»
Toć ta piosnka rdzą przecięła
Więzy tylu lat.

Lecz czy znacie, co to boje?
Co to orły? Co to zbroje?
I co wrogów dłoń?
Ile krwi się w sercach spiekło?
Ach! a ile jej wyciekło
Na ojczystą błoń?

B) Szabla hetmańska.

(Tom IX, str. 13—16).

Szabla ukuta po prostu...
Adam Mickiewicz.

719) Zarżały konie w staro-pańskim dworze,
I rozkaz pana z ust do ust przebiega,
Pada się służba — a w sąsiednim borze
Czemraz się bliżej trzask biczy rozlega.
Hajducy gości czekają w podwojach,
Perska makata posadzki zaściela,
Po marmurowych kominkach w pokojach
Płonie jedlina i czasami strzela.

Od czasu śmierci nieboszczki Jejmości
Nie było jeszcze w domu tyle gości,
Ni sreber tyle w hetmańskiej komnacie,
Ani kasztelan w tak bogatej szacie;
Lecz od tygodnia gońce obesłano,
I panów w gości zaprosić kazano.
Zjechali dworno — i panicz nadjechał,
A z domu wdowca — zda się — pierzchły troski;
Wyszedł na salę i rad się uśmiechał,
Ujrzawszy syna w sukmanie krakowskiej.
«Przybliż się Wasze, pokaż mi się przecie!
«No, lubię — lubię Waści w takim stroju.
«Zda się, żeś podrósł, zmężniał, moje dziecię;
«Pobłogosławić nie żal ci do boju!
«Sprosiłem na to sąsiady dostojne,
«By byli świadki, jak cię ślę na wojnę,
«Jakie nauki, jaką daję zbroję;
«A gdy łaskawi na ojca i syna,
«Spełnimy razem puhar tego wina,
«Com to przeznaczył na wesele twoje;
«Bo kto tam zgadnie, jako Bóg uradzi
«W tej naszej wojnie o swojej czeladzi?
«Więc wzniesiem puhar na powrót szczęśliwy
«I na wygraną — a resztę wypijem,
«Jeśli powrócisz, a ja będę żywy,
«Trzewiczkiem Wandzi, albo jeszcze czyim».

Tutaj kasztelan poprawił wylotów
I matce Wandy szepnął coś zalotnie:
«Miło mieć dziecię tak pięknych przymiotów».
— A Wanda wstydem spłonęła trzykrotnie —
«O! warto walczyć, warto — jak Bóg żywy!
«Za taką dziewę — a za nasze niwy!»

«Przybliż się Wasze! — Raz ostatni może
«Daj posłuch jeszcze ojcowskiemu sercu —
«Uklęknij Wasze tu, tu, na kobiercu,
«Błogosławieństwo na twą głowę złożę,
«Może ostatnie, ostatnie, mój synu!
«W niewoliś zrodzon, a nie do niewoli —
«Nie z rodu sława, ale idzie z czynu!
«Bo pomnij Wasze: ni z soli, ni z roli,
«Lecz z tego urósł Polak, co go boli.
«Widzisz tę szablę? Dzielna, chociaż rdzawa!
«Bo z starą zbroją chodzi stara sława;
«Nie darmo ojców malowano w zbroi —
«Słuchaj waść, jaki napis na niej stoi:

Pociętam szyszak na Kontura czole,
A brałam Carów moskiewskich w niewolę;
Zna mię Szwed i Bisurman, sławnam przy Byczynie,
Za morzem i pod Wiedniem krzywa szabla słynie.

«Nie po kądzieli szukał chluby pono:
«Kto taką szablą przed laty hetmanił;
«Nie na popisach rękojeść szczerbiono,
«Choć i tam pewno nikt jej nie poganił;
«Sam Ojciec Święty poświęcił ją w Rzymie
«Za króla Jana — bo już sławy syta
«Była naówczas — a ksiądz Jezuita
«Jej tu historyę skomponował w rymie.
«Jak się sprawiła i oni mężowie,
«Co ją nosili, niechaj rzeką karty.
«Toć nie z pod ławy kroniki wydartéj,
«I nie w jałowej osnowane głowie.
«Lecz ród Waszeciów i o nowsze czasy
Starą tą głownią nie z hańbą zawadził;
«Bo dziad Waszecin poszedł z nią w zapasy,
«Jak to się z panem Puławski naradził,
«A pan naczelnik ostrze jej pochwalił,
«Gdyśmy z Krakowa na harce ruszyli —
«I nią stryj Waścin nie jednego zwalił,
«Kiedy się nasi pod Dąbrowskim bili.
«Toć i dziś warta nie trusa — a męża!
«Z błogosławieństwem daję ją waszeci,
«A Waść mi tego nie skalaj oręża,
«Bo klątwa ojca piekłem cię oświeci».

Rzekł — i na syna spojrzał pełen sromu.
«Ojcze, mój ojcze»! — rzekł młodzian klęczący —
«To mnie tak groźno nie wyprawiaj z domu!»
A stary zwolniał, zawisł nad nim drżący,
I lica jego czemraz, czemraz bladły,
Wyloty z ramion na piersi opadły,
Chciał coś powiedzieć, a żal słowa zdławił.
Umilkł — i długo, długo błogosławił.
I cicho było w hetmańskiej świetlicy,
Jako w kościele podczas podniesienia,
A łzy błyszczały z niejednej źrenicy,
I można było policzyć westchnienia,
Stary kapelan modlił się na stronie,
A dworska czeladź, stojąca u progu,
Ciężko spłakana, załamawszy dłonie,
Błogosławieństwa polecała Bogu.

Lecz kto opowie, co się Wandzie działo,
Gdy nad wieczorem w dziedzińcu zawrzało,
A koń na przodzie chwycił grunt kopytem
I po trzech susach już po trakcie bitym
Leciał — już wioskę — już figurę minął...
Wstrzymał się jeszcze, spojrzał ku dworowi:
— «Bywaj mi zdrowa! — Bywajcie mi zdrowi!»
Ruszył — i niknie — jeszcze — i już zginął.
A wiatr grudniowy zeschłym liściem młyńca
Pośród pustego zahasał dziedzińca...

C) Obraz cudowny.

(Tom IX, str. 81—82).

720) Pośród tatarskiej bitwy znaleziony
Dziwnym trafunkiem przed dawnemi laty,
Stał obraz święty, w framudze złoconej,
W rogu sypialnej komnaty.

Stary pan Miecznik dostał go w puściźnie
Po swoich przodkach pogłowia męskiego —
A tak go cenił, że już po ojczyźnie
Nadeń nic nie miał świętszego.

Ale nie dziwno — ile bowiem razy
Dom lub ojczyznę klęska dojąć miała,
Twarz Matki Boskiej, twarz Panny bez skazy
Cudowne znaki wydała:

Pobladła Ona, kiedy w Targowicy
— Panie im odpuść! — zdradę uknowali,
I na łup obszar rozległej ziemicy,
A lud na mękę wydali.

Pobladła Ona, gdy na polską ziemię
Trzech nieprzyjaciół nastąpiło srodze —
Kiedy przez Pragę, kosząc polskie plemię,
..... po krwawej szedł drodze.

Lecz od lat wielu nic już nie słyszano
W domu Miecznika o podobnym cudzie;
Aż wczoraj w nocy — mówią dworscy ludzie —
Nowy cud jakiś ujrzano:

Obraz rozgorzał ogniem błyskawicy,
Ze ściany szabla turecka zleciała,

Posada dworca starego zadrżała,
I lampa zgasła w świetlicy.

A koń zatętnił świtem wśród wąwozu —
Z listem pośpieszał goniec od obozu:
I odgadnęli dworscy, co się święci,
Bo list miał czarne pieczęci...

Drżącą go ręką pan Miecznik rozwinął
Pobladł — «Przez rany Zbawiciela Pana!
«Słuchajcie! — Kicki i Kamiński zginął!
«Pod Ostrołęką przegrana».

D) Śpiew z Mogiły.

(Tom IX, str. 89—91).

721)

O! luba Polsko! krwią zbroczona niwo,
Los zajrzał twoim wawrzynom,
Ale im więcej jesteś nieszczęśliwą,
Temeś droższą Twoim synom...
J. U. Niemcewicz.

Leci liście z drzewa,
Co wyrosło wolne;
Z nad mogiły śpiewa
Jakieś ptaszę polne:

Nie było — nie było,
Polsko, dobra tobie!
Wszystko się prześniło,
A twe dzieci w grobie.

Popalone sioła,
Rozwalone miasta,
A w polu dokoła
Zawodzi niewiasta.

Wszyscy poszli z domu,
Wzięli z sobą kosy,
Robić niema komu,
W polu giną kłosy

Kiedy pod Warszawą
Dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą
Wyjdzie Polska cała.

Bili zimę całą,
Bili się przez lato;
Lecz w jesieni za to
I dziatwy nie stało.

Skończyły się boje,
Ale pusta praca;
Bo w zagony swoje
Nikt z braci nie wraca.

Jednych ziemia gniecie,
A inni w niewoli,
A inni po świecie
Bez chaty i roli.

Ni pomocy z nieba,
Ani z ludzkiej ręki,
Pusto leży gleba,
Darmo kwitną wdzięki.

O polska kraino!
Gdyby ci rodacy,
Co za ciebie giną,
Wzięli się do pracy

I po garstce ziemi
Z Ojczyzny zabrali,
Już-by dłońmi swemi
Polskę usypali.

Lecz wybić się siłą
To dla nas już dziwy,
Bo zdrajców przybyło,
A lud zbyt poczciwy.

E) Wieczór przy kominie.

Polska gawęda.

(Tom IX, str. 107—112).

722)

Obrać skibę swoją,
Walczyć ojców zbroją,
Dla ojczyzny złożyć
Ostatnią koszulę,
Bogu się ukorzyć,
Gromić cudze króle
A grozić swojemu —
To mi po dawnemu!
W to mosanie, w to nam graj!,
To nasz polski obyczaj!
Przypowieść pana Wełdysza.

No, moi panowie! gdy mowa o wojnie,
Apropo napadu i ja coś opowiem:
I jam to za młodu nie siedział spokojnie.
Z innemi siłami i z innem to zdrowiem
Służyło się niegdyś ojczyźnie wojskowo;
Bo w Polsce bój z ..... nie rzeczą to nową.

Nie było tam wprawdzie ni sztabów, ni zborów,
Ni piątki rządowej, ani dyktatorów;
Bo macie to wiedzieć: kto w Polsce dyktował,
Nie długo tam jemu brat szlachcic czapkował,
Nie jemu to było dochować się syna,

I stada i sada i starego wina.
Tam z prawa i z miecza był każdy z nas równy,
A kto-by nie równy, braterstwa wróg główny;
Kraj zwano naonczas Rzeczą Pospolitą,
A człowiek żył jakoś poszyto i syto,
A chociaż nam nieraz wróg zalał i sadła,
Nie jedno upadło, a czapka nie spadła.

Stanisław był królem — kiep, odpuść mu, Panie!
I takie-to było jego panowanie;
Bo ani do tańca, ani do różańca,
Nie miał też afektu u szlachty, bo z pruska
Miał czuby strojone, a westy z francuska;
Pokaźny to niby na oko, a tchórzył;
Łaskawy to niby, a naród oburzył.

Gdy włożył koronę, wnet szlachta w krzyk, panie:
«Król nowy — las goły — to goły kraj stanie!»
I zgadła — bo chociaż zaprzysiągł nam pakta,
Nuż dalej z .... w konszakta;

Ou! burzy się szlachta; bo czyż to słychanie?
Kraj napaść, lub więzić — to, owo, mosanie?
I w rządach i w sądach nad szlachtą przewodzić,
A króla tumanić, a panów podchodzić?
«Hej! bracia! — jak huknął Puławski nam w Barze —
Nuż bronić ojczyzny, bo Pan Bóg nas skarze!
Nuż na koń!» Aż w Polsce się całej rozległo,
I w chwili trzydzieści tysięcy się zbiegło.

Ja byłem już wonczas na mojej zagrodzie;
I żyłem z sąsiedztwem w szczerości i zgodzie,
A była tam, panie, szlachcianka uczciwa,
Ba, dziewka, by rzepka, figlarna i żywa!
Więc miałem się żenić, lecz coś mnie ubodło:
Ej! milsza ojczyzna! Wskoczyłem na siodło —
Przyjeżdżam — Bądź zdrowa! — ha! darmo się smucić;
Żal było, lecz umiał człek jakoś to rzucić,
I dalej na czyste, na tany sierdziste!
Co komu się godzi?! kto kogo podchodzi?!

Ha! różnie bywało, jak zwykle w obozie;
Był człowiek pod wozem, lecz częściej na wozie:
Nie znano naonczas, co to być odciętym
Na koniu, z czetnikiem i wzrokiem napiętym;
Pocięta gadzina i w sztukach się wije,
Więc każdy z nas, panie, gdzie stoi, tam bije;
Tu migniem, tam wpadniem i trwogę rozszerzym,
Ci z tyłu, ci z przodu, w dwa ognie ich bierzem.
Czasami nas zeszli, lecz częściej tak było,
Że gracko się kurtę Kozuniom kroiło;
Bo dzielnie na koniu tatarskim człek zwijał,
I wódkę z manierki kozackiej zapijał;
Na ostro kochano ojczyznę, nie płazem;
Broń tylko składano z żywotem zarazem.

Pamiętam, jak dzisiaj: ot, w naszych tu górach
Staliśmy za Sanem puławskim obozem.
. . . . . za Słonnem pokryli się w dziurach,
Ja patrzę, aż jedzie ktoś ku nam wąwozem.
Był, panie, to szlachcic z poblizkiej dziedziny,
Zsiadł z konia i prosił hetmana na chrzciny.
Puławski go szczerze, jak brata, powitał.
«Cóż? synek? czy... dziewka?» z uśmiechem zapytał.
— Nadzieja Ojczyzny, syn, mości hetmanie!
Ksiądz czeka na kumy, na gościa śniadanie. —
«Więc służę, bo z bracią pokumać się godzi,

A mogę dom zacny nawiedzić bez szkody;
W obozie spokojnie, upadły z gór wody,
I najmniej do jutra nikt Sanu nie zbrodzi».
I rzekł mi: Czechowski! no, siadaj i Wasze!
A weźmiem go przy chrzcie na krzywe pałasze;
To będzie tam z niego chłopaczek czej dziarski,
Gdy do chrztu go trzymał Konfederat Barski».
I kazał dać konia — a konia miał Turka,
A szablę demeszkę, a człeka Mazurka.
Chce siadać, mosanie, a basza się zżyma:
Mazurek go głaszcze, i syka, i trzyma,
Lecz ani weź, panie! mój rumak się dąsa
I skacze, i forka, i wierzga, i kąsa.
«Wie dyabeł, co się to z tym koniem dziś święci!
Daj siwkę! bo jeszcze człek karku nakręci».
A siwka tak samo. «To nie bez kozery!
Daj wilczka!» A wilczek uklęknął na cztery.
Ja chciałem mu podać mojego stępaka,
Lecz rzekł mi: «Wolałbym twój kord, niż rumaka,
Bo kary — a żaden Puławski z pradziada
Bez szwanku na konia karego nie wsiada».
I jakoś tam w końcu już wilczka schwycili,
I wszyscyśmy społem działami ruszyli.

Lecz jeszczem przepomniał. — Nim ruszył Puławski,
Nadjechał obożny, a zwał się Czerkawski;
Pan hetman mu kiwnął: — Ja będę za borem, —
Jeżeli tu do was nie wrócę wieczorem...
Rozumiesz? — Rozumiem — Miej Słonne na oku,
Pistolet na smyczy, a konia przy boku!»
I ruszył — a ruszać on umiał nieszpetnie;
Bo nieraz, jak, panie, w ciasnocie się zetnie,
Nim jeszcze krew pluśnie, już on się wyśliznął!
I znowu z szturmaka pomiędzy nich bryznął.

O! wiele to mówić! — Dziś piszą i siedzą,
A jedni o drugich o mile nie wiedzą;
Lecz w on czas bez pisma na ludziach się znano;
A więc nas uczciwie i szczerze witano.
Nuż w kumy... ba, dalej afekta, śniadanie —
A były tam gładkie i panny, i panie,
I człowiek był młody, i także nie z lodu,
Bo mówią, i dyabeł był piękny za młodu!
Dopieroż Barszczanin przy kitce i z szablą?
Ot, było to jakoś uczciwie a dyablo!

Nasz szlachcic toż samo niezgorzej wystąpił,
Sąsiadów pospraszał i sreber nie skąpił.
Nie było tam wiele wymysłów... cykaty...
Lecz obiad dał, panie, uczciwy za katy!
Bo było na łyżce i było za łyżką,
A wino na piękne trąciło już myszką;
Szedł kielich kolejno — a mówią: przy winie
I miłej drużynie czas jakoś to płynie.
Więc dalej i wieczór. Pod koniec już stoła
Ja patrzę, a szlachcic ciągnie apostoła.
Ba! leje — butelka i druga bez mała:
«Niech żyje Puławski!» Krew we mnie zawrzała,
Bo razem na wiwat z moździerzy wypalą!
Wtem patrzę, aż we drzwi... kozacy się walą.
On! kręto, mospanie! — strach, popłoch dokoła!
«A wara, hultaje!! — Puławski zawoła,
I odwiódł pistolet, i chwycił za szablę —
Wszak masz mnie już przecie? kozacze czy dyable!
Lecz jam tu w gościnie, a kto się z was ruszy
Przed końcem obiadu, nie zbawi tem duszy!
Nie zbawi — powiadam!!» I nabiegł krwią cały,
Aż nogi ze strachu pod czernią zadrżały.
I cisnął im kiesę: «Tu na ci, kozacze!
Kto bierze Puławskich, nad dolą nie płacze».
I usiadł i gości solennie przeprosił,
I zdrowie dziecięcia i matki ogłosił.
Nalano — podano. — «Do ciebie, kozacze!
Nie czynem, to winem przynajmniej uraczę;
A wypij go duszkiem! bo dziecię zapłacze».
I podał, jak gdyby nic nigdy nie było.
A przy drzwiach kozactwo na piękne już piło,
I jeden z nich krzyknął: — Na zdrowie carowej!
I wzięcie hetmana! — «I wasze tułowy!
— Odkrzyknął Puławski — Wszak wiecie, jak biję?
Polska krew wrogom wbrew! Niech Ojczyzna żyje!
. . . . . .»
I palnął dwa razy przez okno z krucicy,
I we drzwi, jak szatan, demeszką potoczył.
Mnie nie czas już do drzwi, przez oknom wyskoczył:
«Czechowski! nuż plecy!» i rąbiem się młyńca,
Plecyma jak skuci, dokoła dziedzińca.
O! ciasno bój chodził!... Wtem utknął Puławski —
Upada, a w bramie jak huknie Czerkawski!
Jak wpadnie z naszymi! w kapustę nuż siekać!
Sąd Boży! nie było już kędy uciekać...

Kozactwo do nogi z pradziadka wybito;
I zdrowie przybyłych na trupach wypito.
Moździerze zagrzmiały: Niech żyje Puławski!
A hetman zawołał: Niech żyje Czerkawski!
Polska cnota!
Wolność złota!
I Rzecz Pospolita!!!

---

f) Proroctwo kapłana polskiego.

(Tom IX, str. 112—113).

Próżno wołają, żeś w grobie;
Albowiem powiadam Tobie,
Że się Twe rany zagoją,
Że ten grób kolebką Twoją.

W «Hymnie do Polski»
De Lamennais.

723) Wytrwaj, mój ludu! Już twój ranek świta!
Powstań do życia! Już się rozjaśniło —
Już z grzechów twoich ziemia twa obmyta,
I będzie w końcu, co w początku było.
Tak... widzę... widzę z nadziemską rozkoszą
Przed duszą moją księgę przyszłych losów,
Tysiące ramion, tysiąc wielkich głosów,
Jako się wiążą i w dziejach unoszą!

O! wszystkim ludom pójdziesz, Polsko, przodem!
Bo wielkie czucie łono twe rozgrzeje,
A twa się cnota po świecie rozleje,
Jak się krew twoja po ziemi rozlała.
Wytrwaj, a staniesz potężna i cała!
Wytrwaj, a staniesz, staniesz, ludu dzielny!
Z młodzieńczą siłą i w szacie weselnéj,
W ziemicy ojców od morza do morza!
A duchem Bożym, jak słońce, płonący,
Między narody, jak, morze, grający,
I płodny, płodny, jako ziemia Boża.
Wiecznym pomnikiem twojej polskiej chwały
Będą te Tatry, gdzie twe orły wzrosły;
A polskie wody będą cześć twą grały,
A twą koroną nieba sklep wyniosły!
Świat się urządzi twojemi prawami,
Ty sam się zdziwisz nad władzą twych cudów,
Bo twoi wieszcze będą prorokami,
A twoja księga Ewangelią ludów!

I krew się twoja Sakramentem stanie
Ludom, ginącym z niewoli i głodu!
I wzniosą one po ziemi błaganie:
Przez Święte Rany Polskiego Narodu
Wybaw nas, Panie!
Amen.

---

b) Część druga (pis. 1835; wyd. 1843).

(Tom IX, str. 177—178).

724) Historya szewca Kilińskiego.

Posłuchajcie historyi!
Lat czterdzieści temu prawie,
Jan Kiliński żył w Warszawie,
A był szewskiej profesyi.
Był to dobrze człek osiadły,
Miał dom własny nań przypadły,
Wziął za żoną coś gotowych,
Przytem dziesięć palców zdrowych.
Że był majstrem, więc miał wreście
Warsztat w domu, a sklep w mieście,
A że był też człek serdeczny,
Słowny, trzeźwy i dostatni,
I bezpieczny i stateczny,
Więc był w mieście nieostatni.

Jakoż, czy to kogo zgodzić,
Czy zmiarkować, czy uchodzić,
Czy podźwignąć, czy pobratać,
Co potrzymać, czy poswatać,
Czy ubóstwem ród podzielić,
Czy pogrzebać, poweselić,
Nigdy Jan się nie usunął,
Ani skrewił, ani skręcił;
Zawsze prawdą w oczy lunął,
Co miał w sercu, w mowie święcił;
A że zawsze prawdą chodził,
Więc rej w całem mieście wodził.

Prym miał między sławetnymi
Na gospodzie w dniu godowym;
Starszy w bractwie różańcowém,
Siedział w ławie przed wszystkimi.
Furda wszystkie kasztelany —
Jemu to szedł pokłon z koła,
Kiedy suto rżnął przybrany
W dzień świąteczny do kościoła.

Bo też dyabla była mina!
Wąs do góry, w tył wyloty,
W ręku srebrem kuta trzcina,
But chędogi — a pas złoty...
. . . . . .

XV.

Więc niewiele trzeba na to,
Aby w szczęściu szumieć światem;
Lecz gdy duszę masz rogatą,
Bądź-no w biedzie takim chwatem.
Prusak jął się naigrawać:
— «Jak ty śmiałeś z mieczem sta-
Do pociągla, szewcze bury! [wać?
Dla szlachetnych tylko miecze —
A do smoły, a do skóry!»
Więc Kiliński na to rzecze:
— «Nie szlachetnie, lecz sławetnie
Szewc warszawski urodzony,
A kto ciekaw, czy ochrzczony,
Niech się z szewcem w szable zetnie!
A więc proszę — a więc pono
Lepiej, że pod Powązkami
Nie pociągłem was krojono,
Gdy się bili z Prusakami;
Bo pociągiel byłby zbrudził
Niezaszczytnie grzbiet szlachetny,
A trafunek byłby szpetny,
Że szewc szlachtę opaskudził!
Bo szewc to nie organista;
Nie przebiera — łeb czy niecki —
I szlachecki — nie szlachecki —
Łupu, cupu, a do czysta».

XVI.

Ale dobre i Bóg lubi,
Więc swej duszy nie zagubi.
Jak Bóg Bogiem, a wróg wrogiem.
Jak od wieków Wisła płynie —
Człek poczciwy nie zaginie.
Więc czy wiecie, kto poczciwy?
Kto katolik, na Bóg żywy,
Kto nazywa się Polakiem,
Za świętego krzyża znakiem,
Kto pracuje sam na siebie
I o polskim żyje chlebie,
Kto kraj kocha — wierzy w Boga;
Kto nie cierpi swego wroga,
Lecz, jak Pan Bóg porę zdarzy,
Za Ojczyznę wszystko waży,
Choćby zdrowie, choćby szyję.
. . . . . .
To dopiero człek poczciwy!
I na dobro kraju tkliwy.

---

c) Część trzecia (pis. 1834—1843, wyd. 1846).

(Tom IX, str. 206—7).

a) Z podróży.

V. Sercem gościa płacą,
I miłe ladaco.

725)

«Czy ty mnie kochasz, moja dziewczyno?»
— A juścić kocham was, panie!
«Ach jak tu łacno te słowa płyną!
A tam — czekałem tak na nie».

«Czy tutaj biją serca już żywiej,
Że tutaj nieba już bliżej?
Czyli tam może biło prawdziwiej,
I chociaż skrycie, lecz szczerzej?»

«I za cóż ty mnie kochasz też przecie?»
— A jacy, jacy ladaco!
Jeśli bez wstydu pytać będziecie,
Pewnie nie powiem ja, za co —

«Powiedz mi, proszę!» — No to wam powiem,
Boście na ludzie podobni,
A w sercu jacyś niby żałobni,
A gdy mówicie — to zdrowiem.

Gdyście raz pierwszy mnie tu zastali,
(Choć was to może zadziwi)
To mnie się zdało, gdyście gadali,
Żeście mi pono nie krzywi.

Ot i myślałam: Gdybym to była
Panią, co w złoto ją stroją —
I jakoś znowum się zasmuciła,
Myśląc, że macie już swoją.

I znowu myślę: Jabym jej dała
Chustkę jedwabną za niego —
Onaby chustkę od święta miała,
A ja już jego, jak swego.

A gdyście poszli, to mi się zdało,
Że mnie już samej ubyło,
A już w duszyczce tak coś płakało,
Jakby się strasznie coś śniło.

I już nie chciałam więcej być panią,
Tylko tą halą zieloną,
Co to tam strzyżki pognali na nią,
Bo lżej byłoby mi pono. —

«Gdybyś ty halą była nad lasem,
Ja byłbym wówczas juhasem,
Strzyżki na halę pognałbym sobie,
I byłbym znowu przy tobie».

— Gdybyście byli w halach juhasem,
Kozą byłabym tymczasem;
Skacząc-bym weszła w turnie przed wami,
I stalibyście znów sami. —

«Choćbyś mi uszła, jabym cię zwabił,
Bo wówczas byłbym myśliwcem;
Lecz jabym ciebie, kózko, nie zabił,
Tylko pochwyciłbym żywcem».

— To jabym wówczas chmurą wzleciała,
I stalibyście znów sami —
Jabym myśliwca w turniach wyśmiała,
Stojąc wysoko nad wami.

«Kiedy ty chmurą, ja byłbym słońcem,
I przecież dopadłbym ciebie;
Bo jasny promień wysłałbym gońcem
Za tobą, chmurko na niebie!»

(Tom IX, str. 212—214).

VIII.

Dla wszystkich słońce po niebiesiech chodzi:
Małe, nie małe, kiedy wielkie rodzi.

726) Nad brzegiem zdroju, na urwisku skały,
Obcy wśród Tatrów stał młodzieniec śmiały —
I podniósł dumnie swe wyniosłe czoło,
I wodził wzrokiem po turniach wokoło,
I póty wodził i dzielnie i śmiało,
Aż mu i w duszy w końcu pociemniało...

«Po co my nosim naszą nędzę w góry,
Skąd wracać trzeba z żalem i z tęsknotą?
Bo czy się zmierzyć z ogromem natury,
Czy z górskim ludem i jego prostotą,
I duch i serce miary nie dotrzyma»...
I smutnie wodził po toniach oczyma —
A w lekkim, szybkim poskoku, czy biegu
Śmignęła rybka do cichego brzegu;
Świeża, wesoła, jak życie, jak zdrowie,
Prysła kropelką, stanęła i powie:
«Świat taki piękny, takie czyste wody,
Niebo tak jasne, a tyś taki młody!
Jako mnie z wodą, tobie płynąć z wiekiem —
A ty tu bluźnisz? — szkoda, żeś człowiekiem!
Gdy ci ni szczytów, ani głębi dostać,
Kiedy nie zdołasz, biedne chłopię, sprostać
Temu, co proste — i temu, co wielkie,
To zniknij iskrą, lub zlej się w kropelkę,
Albo się spytaj i ziemi i nieba,
Czem to ty jesteś — i czem ci być trzeba?

Biedni wy ludzie! że też wy nie wiecie,
Co to być małym? Gdybyś ty był rybką,
Taką wesołą i lekką i szybką,
I taką małą, jako ja, na świecie:
Jakby ci dobrze było w słońcu chodzić!
Boć to tak małej niema nawet wędki,
Nie tylko wędki, ale nawet chętki
Niema tak małej, żeby na mnie godzić...

Źle wielkiej rybie, która wierzchem chodzi,
I źle ptakowi, co strzeli wysoko
Nad gniazdo swoje. — I biedne to oko,
Co w słońce patrzy. — Bo świat zwykle godzi

Na to, co światłe, co z kraja, co lotne,
Na to, co wielkie, wzniosłe i samotne,
Czy to na lądzie, na morzu, czy w niebie,
Albo też ono godzi samo w siebie!

A to, co małe, to bywa i całe,
I niby wieczne i zdrowe i hoże,
Czyste, swobodne i żywe i Boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu, ni swemu,
Boć rade temu, co mu padło w dziele
A silne liczbą, boć to tego wiele,
A między małem bywa sojusz wierny,
To i Bóg bywa temu miłosierny...

I mrówka mała — a cały świat schodzi!
I pszczółka mała — a życie wam słodzi!
I ziarnko zboża małe — a świat żywi!
I drobny piasek — a skała cię dziwi!
I perły małe — a jakie to cenne!
I krople małe — a co wody w stoku?
I z wód niewielkich to morze bezdenne!
Mała źrenica — a cały świat w oku!
Alboż i gwiazda? — a światło jej czyste!
I jakież piękne to niebo gwieździste!
Ledwo widoczny ten pyłek słoneczny,
A niby morze światłości zdrój wieczny!

Więc lepiej zlać się w miłości z drugimi
Pyłkiem i kroplą popłynąć wzdłuż ziemi,
Razem z drugimi, bez rachuby wieści,
Bez szumu, gwaru, cześci i boleści!
Więc lepiej pyłkiem, a w światłości zginąć
I niby kropla w morzu życia spłynąć....

(Tom IX, str. 240—241).

XXI.

Młodemu przyjacielowi Władysławowi Wężykowi poświęcił pieśń tę autor.

Serce i potok ostrzegać daremnie...
Mickiewicz.

«O! Dunajcu mój!
Stój, szaleńcze, stój!»

727) I skąd się twe wody, szaleńcze mój, biorą!
I gdzie ci tak śpieszno? i po co tak skoro?
Ty bieżysz w równiny, w dalekie zawody,
A ja tu u źródła chcę czerpnąć twej wody!
O! na cóż tak szybko twa woda tam płynie?
Pytają tam wprawdzie o ciebie w równinie,
O wodę, o czystą, pytają tam ludzie,
Bo żyją w odwiecznem pragnieniu i brudzie;
Więc skoro cię ujrzą, wnet do cię pobiegną,
I brzegi zielone wzdłuż wody zalegną,
I będę się pluskać i kąpać w tym zdroju,
I brudnem naczyniem zaczerpną napoju,
I zmącą twe warty i tonie przejrzyste,
I zdepcą twe brzegi i łoże przeczyste,
I krzykną szeroko długiemi zagrody:
«To woda nieczysta! nie pijcie tej wody!»
A ty się odwiniesz, zakipisz aż do dna,
I kał ów nieczysty twem łożem popłynie,
I w biegu zwolnieje twa fala swobodna —
Ty sczyścisz się znowu w rozległej równinie,
I księżyc się skąpie, jak dawniej, w twej fali,
I gwiazda się znowu nad tobą użali
I ujrzysz znów zorzy rumieniec przelotny,
Lecz brzeg twój na zawsze już będzie samotny,
Bez kwiatów i ludzi, a krajem piaszczystym
Po łożu cierniowem nurtami zawiniesz,
Bez słowa pociechy, w milczeniu wieczystem,
Bez winy zbrodniarzem ku morzu popłyniesz...
Więc gdzie ci tak śpieszno, szalony góralu!
I po co porzucasz krainę Podhalu?
Prócz fali przejrzystej i biegu w swobodzie,
Prócz słońca na niebie i zorzy na wschodzie,

Prócz brzegu takiego z kwiatami wonnemi,
Prócz rosy na trawie, a gwiazdy w błękicie,
I trochę miłości do gwiazd i do ziemi,
Nic niema na świecie — nic nie da ci życie
U źródła, na ujściu, opodal, czy z brzegu,
Nic więcej, nie ujrzysz, szaleńcze, w twym biegu.

(Tom IX, str. 245—247).

b) Z życia.

III.

«I z rana i z młodu
Świat piękny od wschodu!»

728) Majtek ja, majtek — na morzu wyrosłem;
Ale z tej całej żeglugi burzliwej
Jeden dzień tylko w pamięci wyniosłem,
Jak młodość piękny, a jak miłość żywy!

Stałem, jak dzisiaj, na tej łodzi mojej,
Spokojnym rankiem, nad brzegami morza,
Stubarwne flagi statków na ostoi
Witała z piany budząca się zorza!

A i po statkach zbudzeni majtkowie
Witali morską pieśnią to zaranie;
A i od lądów, rozkosznych, jak zdrowie
Dolatywało przerwane wołanie:

«Da Bóg szczęśliwie! Wy tu, my tam płyniem!
Byle w czas Boży znów kotwę zarzucić:
Da Bóg szczęśliwie! nie zginiem! nie zginiem!»
A wszyscy, wszyscy przyrzekali wrócić.

I pierś się żagli wypełniała zwolna,
Z lądów wołanie: «W Imię, w Imię Boże!»
Pomknęły statki, a fala swawolna
Niosła je rada na wysokie morze....

I jeden tylko starzec osiwiały
Siedział na brzegu, naprawiając sieci,
I patrzył z smutkiem na te morskie wały,
Jakby im oddał własne swoje dzieci.

I jeden tylko kapłan, w świętej bieli,
Na morskim piasku modlił się w pokorze

Za tych, co dawniej na morzu zginęli,
I tych, co dzisiaj szli znowu na morze...

«Da Bóg szczęśliwie! a z wiatry dobremi!«
Westchnął do nieba: «W Imię, w Imię Boże!»
A wkoło, wkoło, przed nimi, za nimi,
Niby to pieśnią modre grało morze;

I każda fala, co na pełni wzrosła,
Trącąc się z szumem o brzeg piersią ciemną,
Jak nurek perłę, myśl z morza wyniosła,
Świeżą, jak piany, jak głębię, tajemną.

Słońce paliło szumny świat z wysoka,
A brzeg stał w rosie — w błękicie niebiosa,
Żagle znikały — a z duszy do oka
Tryskała droższa stokroć jeszcze rosa!

«Da Bóg szczęśliwie!» wszystko morze grało —
A «w Imię Boże» po świata krawędzie!
A na dnie duszy tak coś tam płakało:
«Gdy taki ranek, cóż za wieczór będzie?»

I nadszedł wieczór, a fale płonące
Gasły, jak światła po wielkim pogrzebie,
I świat był cichy, i zawisły drżące
Łzy po tej ziemi, a gwiazdy po niebie.

Łzy te płynęły, niczem nie otarte,
Ale te oczy, płaczem sierót krwawe,
Patrzyły w niebo szeroko rozwarte,
Bo i po niebie ciekły gwiazdy łzawe.

A ciekły sklepem w tajemnych przezroczach,
Jak gdyby lgnęły do Bożego łona!
Z bijącem sercem, ach! i z łzami w oczach
Do gwiazd na niebie ściągnąłem ramiona!

— Ale nie dostać gwiazd na niebie było,
Jak dusza w smutku, w tumanach zamierzchły,
Zwiodły się chmury, piorunami biło,
I mnogie żagle w burzy się rozpierzchły.

I ziemia była, jak pogorzelisko.
Z gruzów sterczały zgorzałe skorupy,
A świat był cały, jak pobojowisko!!
Z falami morza grały tylko trupy.

Więc na dno swoje porwało mię życie!
A w łonie ziemi drzemały klejnoty,

A perły w morzu marzyły ukrycie,
Jak piękność marzy modlitwę tęsknoty.

Wyniosłem klejnot na tę jasność dzienną,
A światłość Boża iskrą w nim zagrała,
Wyniosłem z morza perłę na wpół senną,
A ona patrząc na świat zapłakała!...

Czy iskrą spłoniesz, czy łzą się rozpłyniesz,
Utul się — utul — ty w niej nie zaginiesz;
Jedno to, jedno, byle tylko czysta,
Czy łza perłowa, czy iskra ognista!

B) Pieśń o ziemi.

(nap. 1835, wyd. 1843).

Zaczyna się od pięknego wezwania, które przytaczamy poniżej. Poeta charakteryzuje Litwę i Litwinów, potem jedzie na Żmudź, dając obrazki życia rodzinnego i towarzyskiego, oraz obyczajów jej mieszkańców, a dalej przez błota Pińskie jedzie na swym podróżnym wózku na Ruś, gdzie oko jego ginie w bezmiernych obrazach stepu. Na Wołyniu dotknęła go boleśnie buta, despotyzm i niegościnność magnatów; przykre to wrażenie zagłuszyło dopiero radosne przyjęcie, jakiego doznaje poeta w «nizkiej chacie» wieśniaka. Po zwiedzeniu Ukrainy i Podola, które uderzyło go swem bogactwem naturalnem, poeta udaje się na zachód: wózek jego toczy się przez Poprucie i Pokucie ku Karpatom; charakterystyka serdecznych i poczciwych górali kończy część opisową pieśni, poczem następują wynurzenia demokratyczne poety, który wierzy w przyszłość Polski, jeżeli ją «lud kmiecy dźwignie swemi plecy». Ostatnich kilkadziesiąt wierszy podajemy poniżej.

(Tom V, str. 13—14 osobna paginacya).

729)

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody;
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów? —

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi z życiem, z lo-
I nie wolno Bogu kłamać, [sem, —
I pod lada upaść ciosem. —

...Poznaj, pokiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzódy,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną. —

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści
I do serca przymatuli.

Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię...

---

730)

(Tom V, str. 15—17).

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo bledsze, trawy rzedsze,
Rojsły grząskie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny,
I kęs chleba w czoła pocie —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Gedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera;
Co ci to, Litwinie?

Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk, topnie;
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nieprzebaczy,
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego nie bogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny,
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom prowadzi,
I «o jutrze» wiecznie radzi.

Tu też znajdziesz w każdej porze,
Wbród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży,
A już w świrnie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki;

Płótna cienkie, jasne tkanki,
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A do koła włok rozpięty.

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie, u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowéj
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małem oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi niby woda.

---

731)

(Tom V, str. 59—60).

Wyleć, wyleć, orle młody,
Ponad ziemię, ponad grody,
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszą kołem!
Wyleć śmiało i wysoko
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy,
I tych łanów złote kłosy,
I tych ludów śpiewne dumy,
I wód fale i niebiosy
Grają jedną pieśnią strojną,
Jak Bóg, wielką i spokojną
Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiałą,
Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginąć umie...

...Bo i cóż to tam za dusza,
Co tym ludem skrycie wzrusza!?
I wybija w tych to pieniach,
W tej dzielności na igrzysku,
I w tych męskich uniesieniach
Na pobojowisku...

...Cóż za życie pełne cudu!
Co za dola i myśl Boża!
Zejść-by mogła i jak zorza
Zaświeciłaby dla ludu!

O z tym ludem, ojców Boże!
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub gdy nie dasz przy nim pożyć,
Dozwól przy nim choć umierać, —
I strudzone kości złożyć!

C) Pamiętniki Imci Pana Benedykta Winnickiego.

a) Przygody młodości w podróży z Krakowca do Nieświeża i powrót w dom rodzicielski, gawęda (pis. ok. 1839, druk. 1840 r.).

Opowieść wkłada poeta w usta p. Benedyktowi Winnickiemu, dworzaninowi p. wojewody Cetnera, który nosi się z francuska i hoduje «Francuzów i kwiaty». P. wojewoda przypomniał sobie kiedyś o sprawach publicznych i posłał Winnickiego z pilnymi listami do Nieświeża, naznaczając Radziwiłłowi Panie Kochanku spotkanie w Warszawie. Po różnych przygodach, dość zresztą mało prawdopodobnych, dociera p. Benedykt do miejsca przeznaczenia, w chwili gdy książę wojewoda zabawia się na podwórzu polowaniem na niedźwiedzia, co omal nie przyprawia p. Benedykta o skręcenie karku, gdyż koń mu się zestraszył. Nie rad był Radziwiłł listom

p. Cetnera i oświadczył, że nie pojedzie do Warszawy, bo mu tymczasem p. Reytan wystrzela całą zwierzynę. Został więc Winnicki na dworze nieświeskim, czekając odpowiedzi, a nie mając nic lepszego do roboty, zaczął romansować z respektową pani Sołtanowej, Zuzią Staniecką. Zdybał ich kiedyś książę na schadzce przy księżycu; z objaśnień okazało się, że p. Winnicki nie jest dworzaninem nieświeskim, ale trzeci już rok czeka na odpowiedź na pilny list p. Cetnera. A kiedy upomniał się o respons, Radziwiłł go sfukał, że mu się tak śpieszy, odpisał na list i udarował p. Benedykta koniem, rzędem, szatą i sygnetem. Zadowolony z siebie, odjeżdża p. Winnicki z Nieświeża, nie bardzo myśląc o swojej niebodze, chociaż kręciły mu się łzy w oczach, nawpół z żalu, a nawpół z przepicia. A kiedy, rzemiennym dyszlem jadąc, zbliżył się wreszcie do wioski ojczystej, spotkała go sroga konfuzya od tyrana-rodziciela, o czem opowiada przytoczony poniżej urywek. Wreszcie, po czterech tygodniach, dał się stary Winnicki przebłagać; nie tyle jednak poskutkowały łzy i namowy matki, ile uwaga księdza proboszcza, że syn przywiózł ojcu serdeczny «afekt braterski» od samego księcia wojewody.

732)

Gdym tedy już ujrzał i sady i błonie
I dworek rodzinny i w łące te konie,
Zawrzało mi w sercu, i lecę jak ślepy;
Wtem spojrzę, aż ojciec powraca od rzepy.
Poznałem go zaraz, więc zwracam w lot koniem,
Pomijam figurę, nuż przez rów, i błoniem
Naprzeciw. A ojciec zawołał od roli,
Poznawszy mnie także: «Powoli! powoli!
Mosanie, otawa! kto jeździ przez błonie?
A nazad, figura! zdjąć czapkę i z konia!»

U ojców bywała reguła surowa;
Więc gdy mię konfuzya spotkała takowa,
Wróciłem i czekam pod krzyżem z pokorą,
A ojciec powiada nadchodząc: «Więc ale!
A skąd to tam waszmość ćwiczenia te biorą,
Tak koniem na ojca najeżdżać zuchwale?
Bo także przed krzyżem nie schylić już głowy,
To, widzę, po dworach obyczaj dziś nowy?»
I zmierzył mnie, konia i chłopca surowo
I począł potrząsać i ręką i głową:

«Ba, ba, ba, mosanie! co widzę? a co to
Pachołek? koń w rzędzie? bławaty i złoto?
Nieczemu to buczno, bo widzę bończuczno!
I w drodze tak strojno? O, niech mi waść wierzy,
Jam nie miał do ślubu poczciwszej odzieży.
Toś zhardział mi, widzę, po dworach, mój synku?
Dał pan, da i ojciec swoje w upominku,
Jeszcześ mi nie wyrósł z pod władzy ojcowskiej,
Mam jeszcze ów samy *monitor* boćkowski;

Więc wąsy, chociażby z za ucha wygolę,
A orżnę, jak ojciec, i skarcę swawolę!
I starą ja waści przypowieść wyłożę:
«Dobrze temu na dworze,
Komu doma pług orze».
Co ojciec uskładał, to synek uporał.
A wasze, czyś dużo już złota wyorał?
Nieboszczyk dziad mawiał: Poczciwie w kąciku,
W dreliszku, rybeńko, a według staniku!
A wasze?!...» I nagle tu uciął już mowę,
I, sierdząc się, czapkę zacisnął na głowę;
A kiedym mu do nóg chciał upaść już w ganku,
«Za późno», mi rzecze, «za późno, kochanku!
Idź wasze do matki!» — A matka nuż witać
Z radością synalka, nuż gościć, nuż pytać,
Nuż chwalić fantazyę, obyczaj i stroje:
«A dziecię kochane, a miłe, a moje!
A jakie to dworne, a mężne, a grzeczne,
A jakie to strojne, a jakie stateczne!»

Poczciwe matczysko spłakało się rzewnie,
I ja się spłakałem na takie witanie:
Lecz serce mi jakoś gadało niepewnie,
Bo insze o synku jegomość miał zdanie.

Przy matce bawiła podówczas panienka:
Milutkie stworzenie, wysmukła i cienka,
Anusia Terlecka — więc także mnie wita;
A kiedy odbiegła, więc matka zapyta:
«Czy nie ma już więcej pokłonić się komu?
Wszak jam was rodziła tu, przed tym obrazem,
A Bóg cię szczęśliwie powrócił do domu!»

Więc we łzach, w modlitwie uklękliśmy razem,
Za powrót w dom ojców Bogu podziękować;
A potem, relikwiarz zdejmując ze ściany,
Podała mi matka, by go ucałować;
A potem dobyłem dukat poświęcany,
Przed laty mi dany w intencyi najszczerszej,
Gdym z domu rodziców wyjeżdżał raz pierwszy;
A potem, po takiem witaniu serdecznem,
Począłem rzecz swoją, dyskursem statecznym;
Gdziem bywał, com widział po świecie, com robił,
I czegom się uczył i w com się sposobił,
I jakie gdzie dwory i jakie gdzie kraje,
I jacy panowie i jakie zwyczaje;
A kiedym tak jedno po drugiem powiadał,

Przynieśli wieczerzę. Jegomość nie jadał
Wieczerzy, lecz obok pacierze odmawiał;
A kiedym ja matce o sobie rozprawiał,
Drzwi tylko na chwilę odchylił czasami,
I mruknął, spojrzawszy, i skręcił wąsami.
Źle będzie — myślałem — wtem dano wieczerzę;
Zgadałem się setnie, więc wziąłem się szczerze,
A dali, pamiętam, jak gdyby dziś, grzybki,
Mądrzyki wyborne, konfekcik i rybki,
A matka nam była tak trochę coś chora
I chciała dyjetę zachować z wieczora,
I tylko się do nas na dyskurs przysiadła...
Lecz panna Terlecka coś także nie jadła:
A zatem sam jeden sprzątnąłem wieczerzę;
Oddałem dobranoc i idę z alkierza,
A w sieni pan ojciec za rękę mnie bierze
I mówi: «Jest jeszcze dla waści wieczerza!
I mam też ja jeszcze pomówić coś z tobą.»
I wciągnął do izby i zamknął za sobą.

«Zdejm wasze mi kontusz i żupan, szat szkoda,
Grzbietu nie, bo twardy, lecz rychło się poda.
Nauczę ja *mores!* mosanie? Więc ale!
Tak koniem na ojca najeżdżać zuchwale?
Przed Bogiem i ojcem nie schylić już głowy?
I w drogę się przybrać w strój drogi i nowy?
Zapóźna pokora! stój mi tu, jak kołek!
Czy nie wiesz to wasze, żeś chudy pachołek?
Bo także i świętą wigilię naruszyć?
To matce jest wolno, bo w wieku i chora,
Lecz wasze chłop zdrowy, to możesz i suszyć.
Wigilia, hultaju! wigilia! pokora!»
— A jaka wigilia? spytałem niepewny. —
«No proszę? a jutro Matki Boskiej Siewnej!
Kto kocha Maryą, pamięta wigilią,
A, *ut sum sodalis*, za Maryą biją!»
Więc wyjął z kantorka żmiję *monitora,*
I wziął mnie za rękę i puścił mnie w kolej:
«Religia, hultaju! wigilia, pokora,
A drelich, a olej! a drelich, a olej!
A święte to ręce ojcowskie, co biją;
Znaj rękę ojcowską, a szanuj Maryją!

Ja listy sam prześlę panu wojewodzie,
A waść do komórki o chlebie i wodzie,
Dość tej tam już służby i tego dworactwa;

A waściów pachołek (nie cierpię próżniactwa)
Więc z barwą książęcą tej chwili na kołek,
A świtem i boso do brony pachołek!»

I orżnął mnie, sfukał i zamknął w komorze,
Lecz słówkam nie pisnął, milczałem w pokorze.
Nie wolno też było instancyi wnosić,
Więc matka płakała i nie śmiała prosić.

---

b) Senatorska zgoda, tradycya szlachecka z Sanockiego. (pis. 1852, druk. 1854).

We wstępie Pol charakteryzuje obyczajowość staroszlachecką, apoteozując poczciwość i karność rodzinną, znaczenie «familijnej rady» w życiu społecznem, przyczem rozmija się zarówno z historyą, jak i z zasadami prawdziwej moralności. Z tą przedmową, którą przytaczamy poniżej w całości, niedość logicznie wiąże się wątek gawędy, błahy nad wyraz. Rzecz dzieje się w Sanockiem, a cała treść polega na tem, że p. podkomorzy Bal, mając złą wymowę, starostę Mniszcha nazywał Mniszkiem; a że Mniszchów ród senatorski, a Mniszkowie — uboga szlachta, stąd zawiści, niezgody, aż wreszcie wytworzyły się dwie wrogie partye. Kiedy ks. biskup Krasicki przyjechał do rodzinnego Dubiecka, przyjęty szeregiem festynów przez brać-szlachtę, zapragnął pogodzić powaśnionych przy pomocy sędzi Chojnackiego: sprasza obu adwersarzy i cały tłum szlachty na ucztę, każe podać dwa mniejsze kieliszki, jeden zwany «Podkomorzy», a drugi «Starosta», wlewa obu zawartość do wielkiego «Sandomierskiego» kielicha i pije zeń: «Kochajmy się!» Tu wszyscy padli sobie w objęcia. Epizodów tu bez liku: o Jaśku z Nowego Targu, któremu żonę w jasyr porwano, o odwiecznej lipie w Dubiecku, zwanej «Ksienią», o p. Krupie i jego zatargu z biskupem, o dwu szlachcicach: Leszczyńskim i Popielu, którzy skłócili się o swoje rody, a pogodzili się przy wódce i t. d.

(Tom III, str. 41—45).

733) Czem narody na świecie, tem i ludzie stoją:
Jeśli doma chowają jaką prawdę swoją,
To ten posiew, przechodząc od ojca na syna
Z błogosławieństwem razem wzrasta, jak krzewina,
I wydaje owoce dobrego posiewu;
I nie lada co grozi takowemu drzewu,
Co powoli wzrastało, pięknie w niebo rosło
Aż dojrzałe owoce Ojczyźnie przyniosło...

Od sławnych świat to lubi zwykle się wywodzić,
Lecz daj, Boże, każdemu z poczciwych się rodzić.
Mąż wielki, jak meteor, zabłyśnie i ginie,
A głowy nawet w biednej potrzeba rodzinie,

Coby strzegła to gniazdo od burzy pod niebem;
Bo i Ojczyzna stoi także tylko chlebem,
Chlebem poczciwej pracy, w pocie uzbieranym,
Zwykle łzami ludzkiemi — często i krwią zlanym.

Więc o wielkich nie chodzi — bo wielkich Bóg daje;
Ale wielka już bieda, gdy zacnych nie staje!
Gdy się rodzina sama ujrzy, jak sierota,
A prócz drogi przez wioskę i cudzego płota
Niczego i nikogo nie śmie nazwać swojem,
To źle już, panie bracie, gdy pójdzie tym strojem.

Wiedziano o tem w Polsce — znali to i starzy:
Że się nie zawsze w życiu i nie wszystko darzy,
Że majątek rzecz ślizka, że sława przechodzi,
Że często bogacz biednych, światły ciemnych rodzi,
Stąd ni w chwałę, ni w skarby szlachcic się fundował,
Lecz, by poczciwe imię swym dzieciom dochował!
I przeto w każdym domu bywała nauka,
Co przechodziła wiernie z przodka na prawnuka,
I rodzinnej praktyki w sercu skarbiec złoty
Utrzymywał rodziny i w narodzie cnoty...

Po naukach, praktykach, domowym zwyczaju
Znano jak po klejnocie i rodziny w kraju.
I, jak konia rozeznasz dobrego zawodu
Jeszcze w dziesiątym ręku, tak człowieka — z rodu.

Różne też i tradycye po szlachcie bywały:
Gdy myśliwy lub rycerz, to zwykle dom cały,
A gdy Hetman Babiewicz, same baby z rodu,
I chyba, jako ciołek, bryknął który z młodu.
Kiedy żądny fortuny fartuszków się trzymał,
I rósł w związki przez kądziel i mieszka nadymał,
A gdzie tylko zasłyszał o pannie bogatej,
Choć o setną granicę, chociażby garbatej,
Żenił synów i córki za starych wydawał,
A choć w usługach kraju z drugimi nie stawał,
Była tłusta prebenda, to i za nią chwycił,
I ubiegł synekurę, starostwo przemycił,
I we wszystkie się skarby, krom sławy, bogacił,
Aż stratny syn nareszcie dyabłu haracz spłacił...

Były jednak i domy na szczęście Ojczyzny,
Co wzrastały w narodzie zasługą i blizny:
«Starosta lub Kapucyn! ale nigdy sługa!»
Tak wierzyli znów inni, a inni znów pługa

Pilnując i tę ziemię dzieląc między siebie,
Rozmnażali się gniazdem, jak gwiazdy na niebie.
Inni znowu tradycyą sami palestranci,
Jur w jura tutumfaccy, pieniacze i franci,
Urznij połę, a uchodź! a bywali tacy,
Co znowu, jak ród cały, to sami junacy!
Poplecznicy, rębacze, dworskie stawinogi,
Achatesy wyprawne na wysokie progi.

A brat szlachcic poczciwy, jak się wziął do piórka,
To kończył na pisarzu w cnocie i pokorze,
A jak służył wojskowo — całe życie burka!
A jeśli Bogu służył — to w biednym klasztorze,
A chociaż i zabiegał i pracował dyablo,
Nic gęsią nie wyorał, nie wyrąbał szablą,
I tylko tyle sobie u Boga wymodlił,
Że i sygnet przechował i szabli nie spodlił.
Bo też, naprawdę mówiąc, nie wzdychał za złotem:
Szlachcic, gdy miał kęs chleba, myślał tylko o tem,
By Boga i Ojczyznę kochał najgoręcej,
Potem, by miał przyjaciół wiernych jak najwięcej,
A w domu, moja rybko, jak najwięcej dzieci,
To zresztą — co ma świecić, we wrotkach zaświeci.

«Więc koń srokacz, żona Magda,
Co ma Bóg dać — to i tak da!»

Pani matka czuwała nad dziewczęcia liczkiem,
A chłopak, podpasany łyczkiem i rzemyczkiem,
Rósł na barszczu czeladnim, na kluskach i kaszy,
A uganiał na oklep po gromadzkiej paszy!
Aż już dorósł batoga i ławy i księgi,
Ojcowskiej, dyrektorskiej, lub klasztornej cięgi.
Tam uczyli posłuchu i bojaźni Boga:
Szłać tam wprawdzie nauka często od batoga,
Lecz on formował rękę i uczył łaciny
Miłości i bojaźni, i niesforne syny
Służyły później sfornie i ludziom, i Bogu —
I każdy błogosławił rękę po batogu!...
Bo dobrze znano w Polsce, czego trzeba komu,
Za domem różnie było — ale posłuch w domu!
Kiedy Pan Bóg dał dziecię, dziękowano Bogu,
Bo z niem przyjaciół nowych witano na progu.
Ktoś podał do chrztu dziecię — a stąd i przymierze,
Pokrewieństwo kościelne i opieka w wierze,
Na wypadek sieroctwa i pomoc i rada,
I gdzie wiele jest dzieci, choć jedno się nada;

I czem więcej, tem łatwiej radzą sobie przecie,
Tak było i tak będzie zawsze pono w świecie.

Śmiech mnie bierze, gdy słyszę dziś o nas mówiących.
Lub co gorzej, gdy czytam ciemięgów piszących,
«Że możne domy stały tylko starostwami,
A szlachta dworską służbą za panów plecami».

O! co tak długo stało, to stało posadą!
I nie tak nas, mosanie, uczyli za młodu,
Bo możne domy stały tradycyą Narodu,
I szlachta stała w życiu familijną radą!
Lecz odkąd możni sprawy Narodu odbiegli,
A szlachta nawet w domu cnoty nie ustrzegli,
Wszystko runęło na łeb i poszło na nice,
I Bogu niema świeczki, lecz bies ma gromnicę!

W każdej prawie rodzinie był ktoś jeden głową,
I świętem było wszystkim każde jego słowo.
Był to człowiek w rodzinie zwykle najmożniejszy.
Albo wiekiem najstarszy, albo najradniejszy!
Czasem też padła kolej, że i z niewiast grona
Zawładnęła rodziną poważna matrona,
I wówczas bywał w domu taki sojusz wierny,
Że i dom się podnosił i majątek mierny,
Że każdy za jej radą na nogi się stawił,
A domowi widocznie Pan Bóg błogosławił.

Kto zawładnął rodziną, ten rządził uważnie,
Z łagodnością, słodyczą, lecz bardzo poważnie!
Dosyć było tam słowa, czasem rzutu oka;
Lecz gdy w słowie lub oku upadła z wysoka
Rada albo przestroga lub, broń Boże, kara:
To nie żarty już były i strzegła się Wiara!
I każdy musiał uledz lub, co złe, poprawić,
I musiał choć raz w roku poczciwie się stawić,
I przed głową familii ze wszystkiego sprawić.

Święta w rodzinach zwykle razem obchodzono,
Ze szkół chłopców, z klasztoru panienki zwożono:
Ten przybywał z palestry, od chorągwi inny,
Czasem i kaptur ciągnął do strzechy rodzinnej,
Bo choć uczynił śluby ubóstwa, czystości,
Nie wyrzekł się przed Bogiem poczciwej miłości,
I ze mszą a praktyką przybywał do domu —
Czasem też i wypadło związać ręce komu,
Lub na którym wyrostku spróbować ogórki.

c) Sejmik jenerał-województwa ruskiego, odprawiony 1736 r. w Sądowej Wiszni,

sejmikowa szlachecka tradycya (nap. 1853, druk. 1855).

W Sanockiem uformowały się dwie partye polityczne: partya książąt Czartoryskich, zwana inaczej Sieniawszczyzną, i tłum szlachecki z p. sędzią Chojnackim na czele. Sejmik generalny województwa ruskiego odbywał się w Sądowej Wiszni. Otóż w r. 1766 przed takim sejmikiem adwersarze zbierają siły. Chojnacki objeżdża zaścianki szlacheckie i wszędzie jedna sobie popleczników, a cała Sieniawszczyzna zalega obozem w twierdzy. Kiedy zbliża się dzień wyznaczony, partya szlachecka ściąga w znacznej liczbie. Wtem przychodzi wieść, że Sieniawszczyźnie ktoś w nocy pokradł odzienie i buty i porozpuszczał konie. Gdyby więc sejmik nie był odłożony do dnia następnego, okradzeni nie mogliby się stawić. Na drugi dzień wszczyna się tumult; pierwszy staje do bijatyki dworzanin książęcy Jankowski, zwany Grabarzem. Sędzia śpieszy na pomoc swym przyjaciołom, napróżno powstrzymywany przez kwestarza. Pozostaje ostatni środek przywrócenia porządku: ks. gwardyan wynosi *Sanctissimum*, wszyscy się korzą, oręże wypadają z rąk. Książę pierwszy wnosi zgodę, czemu wszyscy przyklaskują chętnie. «I tak w zgodzie burzliwej sejmik zakończono», kończy poeta, dodając jeszcze kilkanaście wierszy surowej krytyki obyczajowości dzisiejszej, nie umiejąc jej wszakże w przeszłości przeciwstawić nic zgoła godnego szacunku. Jak Pol rozumie przeszłość, o tem poucza najlepiej wstęp do «Sejmiku», podany poniżej.

(Tom III, str. 114—118).

734) Tak mawiali z praktyki niegdyś nasi starzy,
A i dzisiaj to ważne, co się dobrze zważy.
Co innego, Mosanie, i dom i rodzina
I przy domu okazya i w ziemi go ścina,
A inaczej znów szlachta za barki się wodzi,
Kiedy sprawa w narodzie o publikę chodzi.

Bo publika, jak wolność, takie wielkie słowo!
W niej umiano, jak w arce, wszelką świętość złożyć; —
I, byle nie potrzeba sumieniem nałożyć,
To nie żal za nią człeku nałożyć i głową.
Publika a prywata — to niby noc do dnia,
To jak ogień i woda, jak cnota i zbrodnia.
Lecz nie dano tam bardzo uwięznąć w prywacie,
Bo, jeżeliś zatwardział w sercu, panie bracie,
Toś chyba już przesiedział całe życie w domu
I oka nie pokazał na świecie nikomu —
Bo, na co kto zasłużył, płacono za domem;
I nic nie zasłoniło w publice przed sromem
Samoluba, kosterę, kutwę i pieniacza,
I każdy dla się znalazł od prawdy rębacza.

W publice inna sprawa — zjazdy były częste,
Okoliczności różne i okazye gęste:
Bo sejmy i sejmiki i dworskie festyny,

I biskupie wizyty i wielkie odpusty,
Trybunały, relacye, ba, a imieniny!
Na wiosnę krew majowa — a obżynki latem,
Pod jesień polowania, a zimą zapusty;
I wszędzie cię kochano, i każdy był bratem,
W powiecie, województwie, ba, całej Koronie,
I każdy ci z ludzkością podał bratnie dłonie,
Jeśliś klejnotu cnoty złym czynem nie splamił,
Po Bożemu szedł światem i ludzi nie mamił.

Szlachcic, gdy się w publice skąpał, bywał czysty!
I katolik prawdziwy i w sercu ognisty!
Bo z Bogiem poczynano te publiczne sprawy,
A człowiek był przed Bogiem pokorny i prawy;
I, kiedy ducha skupił w intencyi pobożnej,
To był w sercu Wielmożny, naprawdę Wielmożny!
A kiedy się w publicznej sprawie uwielmożył,
Miał i posłuch i ślady poczciwe położył —
Bo w sercu wyniesiona z Kościoła powaga
Lgła do duszy, jak w pochwie lgnie ta szabla naga.

Stąd różne religijne bywały praktyki,
I przez Kościół, Sakrament droga do publiki:
Tam rosły animusze i myśli serdeczne,
Bo się człowiek oglądał na to, co jest wieczne!
A kiedyś go już zaklął: «A Bóg? — A Sakrament?
A co powie historya?» — toś go miał już w saku!
I, żeby jaka ryba, żeby jaki zamęt,
Upokorzył się szlachcic i poszedł na raku!
Więc jeszcze z tym pół biedy, co się Boga boi,
I wie, że tu przed sądem przyszłych dziejów stoi.

Czuła to dobrze szlachta — więc, jak ryba w wodzie,
Człek się dopiero wówczas czuł, gdy żył w Narodzie,
I wzdychał do okazyi, by się mógł wyświęcić,
I czy sam stawić czoło — czy drugich zachęcić.

Sejm największa już ręka, gdy się pany zniosły;
Bo tam Król i ksiądz Prymas i postronne posły,
Wielkie koła rycerstwa — Senat jeden, drugi,
Bałamutna Warszawa — i proceder długi —
Nowe sprawy i zdania, ba, i różne duchy!
Więc też różne tam człeka dochodziły słuchy,
I tylko bardzo kuty wysunął się przodem:
Bo nie żarty się ozwać przed całym Narodem.

Już na sejmie, Mosanie, to tam trudna rada,
I na Bożą tam wolę sprawy zdać wypada,

Bo to żadna prywata, lecz narodu losy
Zwykły się tam odważać na ziemi i głosy; —
Ale sejmik — to bywał jeszcze w ludzkiem ręku,
I nieraz szlachcic posła wiózł z sobą na łęku;
A takich już przypadków bywało bez liku,
Że pan znaczył na sejmie — szlachcic na sejmiku.

Bo jak duchy gniazdowe przy domu się zniosły,
To tak bardzo i w siłę i w wolę urosły,
Że nikt nie śmiał już więcej postawić im czoła,
I na tem tylko stało, co wyszło z ich koła.

Jeżeli Bóg nie wygrał w sejmie — to przegrana,
Bo sejm ma być wygraną dla wszystkich i wszędzie;
Lecz jeśli na sejmiku pan szlachtę przysiędzie,
To choćby go nie było — to godność zdeptana.

Panowie bardzo dworno zjeżdżali na zjazdy,
Lecz szlachta pojedynkiem, jak na niebie gwiazdy;
I nietrudna wyprawa — byle sukien parę
I pasik siaki taki, szerpentynę starą,
Koń, kulbaka, Mospanie, i czapka na oku,
Czasem jeszcze pachołek i strzelba w wytoku,
Byle sygnet na palcu, łyżka za cholewą,
To się pomknął gdzieś szlachcic i w prawo i w lewo,
I ktoś go potrzebował — i przecież coś znaczył —
I niejeden go chlebem i przyjaźnią raczył.

Któż górą na sejmiku!
Ani ten, co z rodu,
Ani ten, co z zasługi znany u narodu,
Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz, Mosanie!
Ale ten, co najraniej umiał dać śniadanie.

Bo to głosy wychodzą przez gardło i zęby,
I grzeczne za nadobne — więc daj co do gęby!
Kochasz? — kocham! — to daj jeść! — i buzi i basta!
Bo datuje się zwyczaj takowy od Piasta.

I co robi przyjaciół?
Oto domek nizki,
Mało potraw u stołu, a wielkie półmiski,
I racya bardzo prosta — do nizkiego domu
Zajazd miły i przystęp niezbronny nikomu;
Ty w bramę — misa na stół i pełna butelka,
A gdzie półmiski wielkie, tam i przyjaźń wielka.

Podług odwiecznych czasów przyjętej praktyki
Województwa Ruskiego bywały sejmiki

Zawsze w Sądowej Wiszni — na górze w Kościele
U Ojców Reformatów. Tam, jak na wesele,
Z sześciu ziem przybywała na sejmik drużyna,
I wszystkich pomieszczała niewielka mieścina.

Panowie mieli karczmy i własne gospody
Raz na zawsze też same — w dworkach Wojewody
Stawali Sanoczanie partyi Podkomorskiej —
Pan Mniszech stał we dworze w oficynie dworskiej
Przyjmował zwykle szlachtę Żydaczewskiej ziemi —
Książe Jenerał znowu miał własny dom w mieście
I cały rynek trzymał z partyzanty swymi;
A pan Sędzia Chojnacki z drobną szlachtą wreszcie
Stawał u Reformatów na górze w klasztorze;
I miał tam i spiżarnią i piwnicę w porze,
A i celę niewielką tuż przy kanafarzu,
I przyjaciół swych gościł zawsze w refektarzu;
To, choć zjazd był największy, nie było kłopotem,
Bo w korytarzach szlachta sypiała pokotem;
A gdy czasem zabrakło miejsca w refektarzu,
To ksiądz gwardyan zastawiał stoły w korytarzu;
I, kiedy po Mszy świętej zjadł człowiek śniadanie,
To do doby bez jadła był wytrzymać w stanie,
I chyba na podkurek coś jeszcze przetrącił;
Stąd też partyi Sędziego nikt zdradą nie zmącił,
Bo w kupie trzymał ludzi i rano posilił,
I pokrzepił na duchu, pod miarę wychylił;
A gdy szlachta po mieście przyciągała pasa,
A pas ciągle folgował, nie było z nią rady,
Bo czekaj do wieczora na pańskie obiady,
Kiedy człeku aż pachnie wódka i kiełbasa,
Więc nieraz tak się działo, że partyi odstąpił,
I wziął go bez obrotu, kto rano nie skąpił.

I racya bardzo prosta! — modlitewka krótka
Et in quo nati sumus — więc puzdro i wódka,
A potem za cholewę sięgnął jaki taki,
Z wereszczakiem kiełbasa, a z szafranem flaki.
Więc barszcz, dalej kapusta,
A pieczenia szósta,
Głowizna i nogi,
Dwunaste pierogi.
A w dzień postny, braciszku, naprzód idzie rak,
A potem poleweczka, więc i pieprz i mak,
Potem kluski, piwa dzban,
Ryby, grzyby, chrzan.

A że to nasza wiara, odkąd jest narodem,
Brzydzi się tchórzem, skąpcem, lichwiarzem i głodem —
Stąd był też na śniadanie każdy bardzo czuły,
I więcej o puzderka dbał, niż o szkatuły.

D) Mohort, rapsod rycerski z podania.

(pis. 1853, wyd. 1855 r.).

Jak «Pamiętniki Winnickiego» włożył poeta w usta p. Benedykta, tak w «Mohorcie» uczynił narratorem p. Ksawerego Krasickiego. Młodzieńcem wysyła go ojciec dla nauki rzemiosła rycerskiego na kresy, do dworku p. porucznika, Szymona Mohorta. Piękna jest scena, przytoczona poniżej, w której sędziwy starzec po raz pierwszy ukazuje się zdumionym oczom p. Ksawerego. Charakterystyka tej postaci wyczerpuje, ściśle biorąc, całą treść tego «rapsodu rycerskiego»; poza tem mamy tu tylko luźne epizody, i to w dość chaotycznym układzie. Zresztą, nic się w tym utworze nie dzieje. To, co robi tu Mohort, czyni on już od lat kilkudziesięciu «z przerażającą regularnością automatu», jak mówi Spasowicz: objeżdża granicę, strzeże kresów, jak oka w głowie, orze kilka zagonów około swego futoru, zjeżdża dwukrotnie w rok na czas dłuższy do monasteru OO. Bazylianów i tu przyjmuje okoliczną szlachtę: raz na swoje imieniny, na św. Szymona, a drugi na post i spowiedź wielkanocną, przyczem klasztor hojnie obdarza. Wreszcie w r. 1792 wyrusza na wojnę i ginie w słynnym ataku na Boruszkowickiej grobli na Wołyniu. Z epizodów najdłuższy opowiada o stosunku Mohorta z ks. Józefem Poniatowskim: hetman Ogiński przyzywa Mohorta do Warszawy, by uczył sztuki wojskowej bratanka królewskiego, wychowanego z cudzoziemska i zwanego «księciem Niemcem», a Mohort wywiązuje się świetnie z tego zadania i powraca na kresy, odrzuciwszy wspaniałomyślnie wszelkie nagrody królewskie; to znowu książę zjeżdża do dworku Mohortowego z całym dworem, w którym były również i panie, i tu improwizuje się trzydniowe zabawy i festyny na otwartym stepie. Jest jeszcze jeden piękny epizod: miłość młodzieńcza Mohorta do panny Anny, córki miecznika Różańskiego, którego ciało odwiózł Mohort do grobów rodzinnych; panna mu sprzyjała, sam p. hetman ofiarował się na dziewosłęba, i matka nie była przeciwna, cóż, kiedy fatalność złamała szczęście Mohorta! Kiedy bowiem narzeczony jechał na ślub, załamał się pod nim lód na Niemnie, a choć wyratował się szczęśliwie, pannie doniesiono, że zginął, i umarła z rozpaczy. Inne epizody: np. o stajni Mohorta, o jego pszczołach «hetmańskich», o napadzie hajdamackim na klasztor i t. p. mniej są już ciekawe.

(Tom III, str. 14—18).

735) Po drodze nocny rozjazd mnie powitał
I przeprowadził do samej granicy,
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.

Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad półki kaganek oświecał,
A od tej półki wisiały trzy sznury,

Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wązkim się pasem po izbie rozścielił.
W wielkim kominie płomień czasem strzelił
I zbiegł wężykiem po szybach od okna, —
A izba była pusta, jak stodoła,
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca, nic więcej nie było.

Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło, niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał Hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przede mną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury,
Na koźle, z drzewa uciesanym, siedział,
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo, śpiąc, pistolet w prawej ręce trzymał, —
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu, niźli do człowieka. —
Był to pan Mohort.

A gdy przed nim stałem
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dlaczego ojciec mówił: — «Czołem! Czołem!
I nie zapomnij Waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana Porucznika!»
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny, jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew, dzielny, jak posąg, spokojny,

Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie budzić? trudna była rada;
Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
Wtem brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
A Pan Porucznik rozwarł zwolna oczy,
«Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!»
— Na wieki wieków! — z cicha odpowiada
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potem trochę kagańca poprawił,
A potem rzucił na mnie wzrok surowy
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,

I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
«Jak się dzień zrobi, to i list wyczytam,
A teraz syna pana Antoniego,
Jako krew bratnią, z poczciwością witam!
Dziś już za późno, i jestem na służbie,
Lecz jutro Waści na kresach podrużbię;
Już tu niejeden pierwsze żołdy czynił,
Więc po staremu będę gospodynił...»

Poszedł ku półce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów, za zegar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących
I rzekł: «Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,
Czekam tu Waści» — potem krzyknął: «Służba!»
Starszy towarzysz, człowiek już niemłody.
Wstąpił do izby. — «No, przybył nam drużba!
Dacie mu nocleg, a koniom wygody»,
Rzekł Pan Porucznik i zlecił nas Bogu
I przeprowadził oczyma do progu.

Kiedy oświtłem, — dopiero ujrzałem,
Żem był w okopie, który zamykała
Brama, na piętro otoczona wałem.
Była to sobie taka twierdza mała
Nad brzegiem Dniepru — okop był sklepiony,
W nim stały konie na bramie strażnicy,
Nad bramą obraz był Boga Rodzicy,
A pod nim napis: — «Pod Twoje obrony».

Ledwom się trochę ogarnął z noclegu
I ledwom sprzątnął po sobie me łoże,
Przybył towarzysz: że czas do szeregu,
Bo już zatrąbią na poranne zorze.

«Baczność», i Mohort stanął przed szeregiem;
W górze nad bramą był ganeczek mały,
Z niego się trąby po rosie ozwały,
I głos ich skonał za Dnieprowym brzegiem.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,

Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po tej modlitwie, chórem odśpiewanej,
Rozjazdy nocne raporty złożyli,
Potem szła kolej i służby i zmiany,
A chwilą później, gdyśmy odstąpili,
Dopiero wówczas znów mnie Mohort witał
I rzekł, że listy do ojca odczytał
I życzy sobie opatrzyć me konie.

(Tom III, str. 27—29).

II.

736) Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty, jak gołąb, do ostatniej nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli, ni kitki,
Lecz, jak się zdało, był bardzo wiekowy.

Miarkując z tego, co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoś na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał.
A już z północka wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem
I pięciu królów pamiętał na tronie;
Nie było człeka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rówieśnikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali...

Z dawnych to wieków tak w Polsce bywało,
Że te chorągwie, co na Rusi stały,
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,
Więcej hetmanów, niż królów, słuchały.

Był to akt wiary każdego szlachcica
Na Ukrainie, że już po kościele
Niema jak hetman na rycerstwa czele;
Że nic świętszego w Polsce, jak granica!
A strzedz granicy — to rycerska sprawa!
Więc też na kresach o to dbano mało,

Co się tam z królem i na sejmach działo,
Byle wojskowa nie cierpiała sława.
Lecz o to dbały ukraińskie duchy,
By się Pan Hetman choć raz na rok stawił
I dodał wojsku serca i otuchy
I sam chorągwie w czystem polu sprawił.

Więc też i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycerstwa niósł obyczaj stary;
A od Hetmanów dane artykuły
I straż graniczna była aktem wiary!
Tak zaś wysoko zasługi oceniał,
Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
A potem mówił: — «Wieczny odpoczynek»
Za wszystkich, wszystkich Litewskich, Koronnych,
Wielkich i Polnych! — a co bitew dawnych,
Co fortec wziętych, i co miejsc obronnych,
Wszystkie wymieniał przy Hetmanach sławnych;
A kolej dziejów miał tak ułożoną,
Żeby i we śnie dokończył jej pono.
«Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał, —
To już ostatni!... dodawał powoli,
To już ostatni! Panie, i to boli...»
A potem westchnął — westchnął i zadrzymał.

Ha! był to rycerz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.

Z Litwy był rodem, choć na kresach służył,
Choć stan rycerski nad wszystko mu płużył,
Lubił i rolę i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko, prócz domu;
Ogrodu swego też orać nie dawał
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz go sam orał — «Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknąć do domu!»
Tak to zazwyczaj do nas, młodych, mawiał —
Co wiosnę zorał choć zagonów parę
Koło futoru — lecz domu nie stawiał;
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!
A więc w namiocie od śniegu do śniegu
Mieszkał zazwyczaj — czasem w wielkie szargi
Przysiadł w pasiece: — «O zacznijcie, wargi»,
I znów powracał po krótkim noclegu,
Ale nie ściągnął na leże zimowe
Jak równo z zimą, po pierwszej ponowie,

Bo zwykł był mawiać: «Złe szlaki tropowe!»
Szalone było też u niego zdrowie.
Zawsze pochmurne, choć się nie frasował,
Nigdy w swem życiu i dnia nie chorował:
Podpił raz na rok w dzień swego Patrona,
«Vivat! Rycerstwo! Litwa i Korona!
I Ruś, co żywi nas tym chlebem Bożym,
I kędy głowę i te kości złożym!»
Tak zwykle kończył, gdy go miód rozbierze,
I ciągnął w myśli na «zimowe leże».
W maju krew puścił i pił jakieś zioła
I tyle szwanku miał na ciele zgoła,
Co odniósł w boju — ale był pocięty!
Ledwie mógł skończyć pacierz rozpoczęty,
Chociaż w modlitwie był wszystek i cały,
Choć Litwin z rodu, choć uniata hardy,
Choć jak dyjament, był katolik twardy.

E) Wit Stwosz,
poemat z pomników historycznych XV w.

(pis. 1853—1854, druk. 1857).

Wit Stwosz w poemacie Pola jest Polakiem, mieszczaninem. Jednym z jego przyjaciół i protektorów był Długosz. Pewnego razu Długosz przyszedł do Stwosza ofiarować mu w imieniu króla wielką łaskę: chciał przypuścić go do herbu i rodu Wieniawitów: ale Wit z pychą odrzucił tę łaskę. I drugi raz zgrzeszył pychą, kiedy, dumny ze swego dzieła, nie mógł płakać przy grobowcu Kazimierza Jagiellończyka, i trzeci raz wreszcie, kiedy nie zadowolił się sławą u swoich, ale pojechał szukać jej jeszcze na obczyźnie. Za te winy, w gruncie rzeczy nie tak znów wielkie, spotyka go kara zbyt sroga: fałszywe oskarżenie o sfałszowanie podpisu na obligu, które rzucają na niego wrogowie w Norymberdze, i kara piętnowania. Cała ta długa opowieść ułożona jest w formie spowiedzi oślepłego starca, który córce swej prawi dzieje swojego żywota. Kończy się poemat przywróceniem czci Stwoszowi i przyznaniem się rady miasta Norymbergi do błędu.

a) Wstęp.

(Tom I, str. 1—2).

737) Z Waszych posiewów przyjm owoc, Scipionie!
Chłopięta niegdyś tej lubelskiej ziemi,
Dziś się schodzimy w innej świata stronie,
Po leciech wielu, między krakowskiemi.

Ojcowie nasi łamali się chlebem,
A co Wasz Rodzic przyrzekł Panu Bogu,
Dając mnie do chrztu — nie zaprę pod niebem,
Lecz chcę dotrzymać i składam w tym progu!

Bo owo idzie pokolenie trzecie,
Jako się nasi wiernie znali z sobą,
A co wiązało w onem lepszem lecie,
Niech to nam będzie na te dni ozdobą.

Owa sędziwa żyje jeszcze Matka,
Co słowu memu z pociechą zaświadczy;
A zresztą biorę już Boga za świadka,
Co nam matczyło i co dziś nam matczy.

Wieleby mówić i przemilczeć wiele,
Pisząc do Waszej Miłości potrzeba,
Bo z łaski nieba w Ojczyźnie wesele,
Zresztą nic niema prócz Boga i Nieba.

Bo zresztą, zresztą «p o b i e l a n e g r o b y»,
Pochybne czasy, lata niedoboru,
Niespane noce, a i dnie żałoby,
Lub ciche modły sług Bożych śród chóru.

Więc, nie chcąc błądzić wśród życia manowców,
Jam szedł na modły, kędy Zygmunt woła,
I cichy siadłem w cieniu tych grobowców,
I Pan dał łaskę pod niebem kościoła.

Bywały niegdyś tu dusze ognistsze,
Wielcy kapłani i pobożni Mistrze,
Wielkie po sobie położyli ślady;
Otóż z ich dziełmi zasiadłem na rady.

Pytam: co geniusz, a co świętość znaczy?
I, gdym się ciężko przy grobach zadumiał,
Dopierom w skrusze i modłach zrozumiał,
Jak Bóg oboje tam opatrzyć raczy:

«Geniuszby wzleciał Archanioła skrzydłem
«Prosto ku Niebu, skąd mu jasność błyska,
«Gdyby mu pycha nie była wędzidłem,
«Co go ciężarem do ziemi przyciska.

«Geniusz, co bywa w pokorze natchnięty,
«To już nie geniusz — to na ziemi święty!
«Bo czemże świętość, jak nie czystem trwaniem,
«Wiecznem natchnieniem — i wiecznem kochaniem?

---

b) Ze spowiedzi Wita.

(Tom I, str. 54—55).

738) «O! dzisiaj jeszcze prawie płacz mnie bierze,
Gdy idę śladem mojego żywota,
Boć to ostatnia była już robota!
Kramni i mistrze zawarli przymierze,
Żem się poważył tak wielmożnie chlubić,
I uradzili, ażeby mnie zgubić...

«Już gdym wychodził z pamiętnej biesiady,
Po oczach wszystkich wyczytałem zdrady:
I trzy dni całych jeszcze nie ubiegło,
A imię moje na pręgierzu legło.

«Wystąpił jakiś kłamany wierzyciel...
Jam zaparł listu, zbił skargi nieprawe;
Lecz kupnych świadków przywiódł oskarżyciel,
I zaprzysięgli krzywą jego sprawę,
I w mgnieniu oka było w mieście świętno:
Że jemu grzywny, mnie wyrok na piętno!»

Gdy na mnie górą upadła niesława,
Wołałem w sądzie przeciw wyrokowi:

«Wy mnie nie macie tutaj sądzić prawa;
Jeślim zawinił — niech król mój stanowi
O mojej winie i o mojej głowie».
Ale daremnie! — Burmistrz hardo powie:
«Król na królestwie, ja tu sądzę w mieście!»
I krzyknął katom: «Pod piętno go weźcie!»

«A jak pod ruję ryje stado dzików,
Z taką to chucią wśród jadu okrzyków
Zwiło się w kołtun to kramarstwo chciwe,
Wieczyście głodne tego, co zelżywe,
Wkoło pręgierza — i kat się nasrożył
I do oblicza piętno mi przyłożył».

«Tu, kiedym ujrzał, że ratunku niema,
Stanął mi Długosz żywo przed oczyma,
Jak mi rzekł niegdyś: «Dobrześ ty się starał,
Ale za pychę żeby Bóg nie karał!»
I tu jęknąłem, jakżem wielce zbłądził,
Żem się nie uciekł pod puklerz Wieniawy;
Dziśby mnie burmistrz w ratuszu nie sądził,
I tam sądzony byłbym bez obawy.

«Czy myślisz może, że już koniec na tem?
Nie dość, że z piętnem miałem już pójść światem,
Z pręgierza w powrót stawią mię przed radą:
I na krucyfiks przysiądz mi kazano,
Że nigdy w życiu z miasta nie wyjadę!

«Tu zrozumiałem jasno, o co chodzi,
Że moja praca i sława im szkodzi...
A jako Tatar przetrąca kolano
Jeńcowi swemu, tak tu rzecz pamiętna:
Że ja pod piętnem — a oni bez piętna!

«Bóg mię ukarał ciężko za me grzechy,
Że nęcić mogła jeszcze inna sława,
Oprócz tej sławy — co Ojczyzna dawa!

«Lecz oni ze mnie nie mieli pociechy,
Dom mój zamknąłem, jako grób bez mała,
By mię źrenica ludzka nie dojrzała;
A zestarzawszy, w miłości zakrzepłem
I w pośród wrogów na końcu — oślepłem».

F) Z podróży po burzy,

drobne poezye (pis. 1853—1856, wyd. 1856).

a) Wiele — mało, przebolało.

Rzewny ten poemacik liryczny zawiera w sobie wspomnienia dzieciństwa i młodości poety, a składa się ze wstępu i pięciu ustępów, oznaczonych cyframi rzymskiemi: w pierwszym przypomina matkę i starego pasiecznika Zachara, w drugim — zamek złoczowski i starego kozaka Sokoła, w trzecim — poeta daje obraz rybaka i nocnych połowów, a także własnych swych przejść duchowych w dobie dojrzewania umysłu, w czwartym i piątym — dwór łowczego w Podliskach i wspomnienie pierwszej miłości, a wszystko to na tle wylewów lirycznych: żalu i smutku po latach ubiegłych i niepowrotnych.

739) (Tom V, str. 12—16).

Gdzieżeś? gdzieżeś, wieku młody?
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody
I zielone moje lasy?

Gdzież są owe ludzkie twarze
I dusz czystych Boskie dary?
Ach! i święte te ołtarze,
Kędym pierwsze niósł ofiary?

Gdyby jeszcze taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą;
Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą;

Gdyby takie głosy wieszcze
Pan do duszy zesłać raczył:
To nie tylko, żem przebaczył,
Ale mógłbym kochać jeszcze!

Boć, bogate niby wiano,
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia, miłościwe. —

I.

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie — wkoło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.

Smukłe świerki nad sadami
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.

W niej to miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku,
I radości tam bez liku
W dniach dzieciństwa i wesela.

Był to starzec tak życzliwy
I, jak słońce, tak pogodny,
Jako dziecko, tak łagodny,
A jak ziemia, miłościwy!

On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa,
I jak żyje w ulu pszczoła...

Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby
I na kwiaty w dzień godowy. —

A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła,
Utrudzony wśród pszczół brzęku
Usypiałem mu na ręku.

Jak pustelnik albo Święty
Pracowity i modlący,
Wiecznie skrzętny i zajęty,
I zabiegły, a milczący.

Tak poczciwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczółki,
Zbierał zioła, wonne smółki,
Wkoło sadu nocą chodził. —

I gromadził i hodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne...

Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje
I owoce i ruczaje,
I bliźniego twarz w uśmiechu,
I tę pszczołę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!

Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w swej dobroci,
I bez zasług ziemię darzy
I pociechą życie złoci, —
Tak i on tam gospodarzył
W swej pasiece miłościwie
I darami ziemi darzył
I oświecał mię życzliwie. —

Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda,
I najźralszy owoc z sadu,
I kryniczna zawsze woda.

Tam też biegłem na przysmaki;
I ochotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki,
Z pod wiewiórki podebrane.

Wiosną słowik tam zawodził,
Kiedy kwilił do gniazdeczka;
Latem chróściel tam podchodził,
I wabiła przepióreczka.

I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem,
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tem wspomnieniem tylko pieszczę...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywot mi zacięży,
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, — czarno w duszy,
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futor ów przede mną,

I pasieka z swoim chłodem,
I krynica z swoją wodą.
Ach, i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mlekiem, miodem.

A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę
Głos mi znany, choć daleki,
Jak od łąki czy dąbrowy:
«Porzuć, porzuć świat jałowy,
A powracaj do pasieki!»

Gdzieżeś? gdzieżeś, przyjacielu?!
Mój ty stary pasieczniku,
Pierwszy mój nauczycielu,
Bogobojny pustelniku? —

---

b) Makowe ziarnko.

(Tom V, str. 70—76).

740) Szeroko z młodu sięga umysł hardy;
Wiele miłości i wiele pogardy
Płynie przez duszę, a trudno o miarę...
Więc miłość chłostą — a dobro za karę!

Daleko biegłem — bo serce tak wierzy,
Że, co szczęśliwe, to daleko leży;
O wielem pytał w tej podróży wszędzie.
Bo mi się zdało, że z tem lepiej będzie,
Że to gdzieś komuś będzie tam potrzebne,
Więc zbieram ludzkie i ziemskie i niebne.

Często zwątpienia ogarnęła chmura,
Często w podróży zachwiały się nogi;
Bo praca ducha — to wielka tortura!
Więc ustawałem często na wpół drogi.
A kiedym nieba i ziemi się pytał,
Za co mi taki żywot padł na ziemi,
Promień jutrzenki po nocy niespanej
Ogniem miłości na niebie mnie witał...
I znów mówiłem dalej za lepszymi!
Dźwigaj się, duchu, przez Chrystusa rany!
I znowu brałem mój kostur do ręki,
I albom zbierał, lub nucił piosenki...
Lecz wielkie drogi zdały mi się marne,
A małe ścieżki dla ducha niezdarne,
Tom też torował sobie drogę własną,
I wiecznie było samotnie i ciasno.

Zdala patrzałem na ów wdzięk niewieści,
Bom mówił sobie: nie mnie uśmiech błogi
Przez gęstą puszczę trwogi i boleści,
A nad przepaścią wiodły moje drogi...

Z smutkiem patrzałem na wdzięk cichej strzechy,
Na dobrych ludzi od pracy i roli,
Bom znał — nie dla mnie w życiu te pociechy,
I że mi padła praca — która boli;
Zdalekam patrzał — jak się wielkość niosła,
Jak bracia w szczęście i dostatki rosła...
Patrzałem, stojąc w mym cieniu na stronie,
Jak sława jasne uwieńczała skronie...
I wchodząc w siebie, tak mówiłem sobie:
«Królestwo moje nie jest tego świata,
I wielkość u nas jeszcze nie na dobie,
I niechaj szczęście wybranych oplata...
Dla czystej sławy niema jeszcze pola!
W cichości serca trzeba się sposobić,
Wprzód urość musi i praca i wola.
Trzeba odkupić — stracone odrobić...
A jeśli takie są wyroki Boże,
To ktoś tam kiedyś na tem urość może,
I cichy sercem w równej ziemi siędzie,
I wielką władzę odziedziczą prości;
Ktoś tam szczęśliwym — ktoś i sławnym będzie,
A nie złamany urośnie w wielkości,
I będą kiedyś, o, będą tam tacy,
Choć nam padł żywot «w pracy i bez płacy».

Dziwne sny miałem i dobre natchnienia,
Lecz trudno było je duszy wywieścić,
Bo wiecznie, wiecznie trzymały się cienia...
I nawet boleść nie mogła je *[tak!]* streścić.
Gdym się z nią nosił — głos jakiś tajemny
Ozwał się do mnie raz wśród nocy ciemnej:

«Puść się w świat Boży! — wielkiego posiewu
Szeroko w świecie Pan rozrzucił ziarna;
I co ma urość — rośnie z tego krzewu...
I bez miłości wszelka sprawa marna.
Żywe a żywe, co z niej nie wychłódło...
I jest i prawda i droga i źródło!»

Za tym więc głosem szedłem coraz ciszej
Bez opatrzenia i bez towarzyszy...
I było ciągle i kopno i grudno,
Czem mniej żądałem, tem mniej świat mi dawał,
Ale podcinał, gdym strudzony stawał...

Lecz wielkie były i serca pociechy;
I wiele wdzięku i wiele uroku,

Kiedy świat Boży grał w duszy i w oku,
Kiedy mnie owiał wielkimi oddechy!
I wybijały wielkie tajemnice
I w cichych źródłach i w rumieńcu róży,
Na nocnem niebie i na jezior lice,
W uroczej ciszy i w straszliwej burzy...

Bez towarzyszy i bez przewodnika,
Idąc tą drogą po ziemi milczącej,
Trzeba się było aż uczyć języka,
Jakim przemawiał ów świat nie mówiący;
Za to, co mija i bywa stateczne,
Za to, co zmarło, i za to, co żywe,
I za doczesne i za to, co wieczne,
I po wsze czasy ziemi miłościwe...

A więc pytałem źródeł, idąc krajem:
Skąd się to tyle czystej wody bierze?
I komu czyste niesiecie w ofierze?
I rzekły do mnie: «Kochaj, bo my dajem!»

Pytałem lasów starodrzewnych w ciszy:
Co w waszym cieniu tak uroczo dyszy?
I rzekły do mnie: «My rośniem w miłości!
Kochaj — bo w niebo wierzchołek się prości...»

Pytałem lasów: Kto wam gospodyniem?
I kto napełnia ziarnem wasze kłosy?
I rzekły do mnie: «Łaska Bożej rosy!
Kochaj tę falę, bo miłością płyniem!»

Pytałem mogił nocami całemi:
Komu świadczycie, gdzie już zrosło ciernie?
I rzekły do mnie: «I niebu i ziemi!
Kochaj i przyświadcz, bo my świadczym wiernie».

Pytałem łąki, pokoszonej z rosą:
Czemu skoszona taki zapach roni?
I rzekła do mnie: «To duch rajskiej woni!
Kochaj, bo wonne, co padło pod kosą!»

Pytałem nieraz tej pajęczej siatki:
Po co osnowa takiem srebrem ściernie?
I rzekła do mnie: «Bom wdzięczna dla matki!
Kochaj i czuwaj, bo ja snuję wiernie!»

I rzek pytałem: Gdzie to tak płyniecie?
I rzekły do mnie: «Na gościnne bramy,
Na wsie i grody po ojczystym świecie!
Więc płyń i kochaj — bo znane kochamy!»

Toć ośmielony w końcu tymi głosy
Do chat zmierzałem przez wonne pokosy,
A były gęsto osiadłe osady,
I ciche strzechy za dobrymi sady;
W Bogum pozdrowił — a gazdowie na to:
«Kochaj i zasiądź — bo w ziemi bogato!»

Więc, jako było dane mi po Bogu,
Z błogosławieństwem w dobrych ludzi progu,
Jako to wziąłem po duchu i wiośnie,
Napowrót światu złożyłem miłośnie,
Ale com złożył, było zapoznane,
I nie tak wzięte, jako było dane:

«Za co on kocha?» — wrzasnęła hołota...
I owo grzechy mojego żywota!

Jest świat miłości — który kocha prosto —
A obok niego jest świat złości drugi,
Który serdecznie zwykł okładać chłostą
I na padole trapić Boże sługi,
Co więcej bierze, niż tamten dać zdoła...
Bo miłość znosi po pyłku, jak pszczoła.
A złość do razu, jak padalec-żmija...
Ledwo, że ujrzy, już jadem zabija...

Więc zrazum myślał, że ja biegnę prosto,
Jak szermierz Boży do wielkiego celu:
Lecz gdy miłości świat obłożył chłostą,
Po marnych radach i zabiegach wielu
Widzę, żem z próżną nosił się mozołą;
Bo to nie kolej szerokiego szlaku,
Bo to nie droga — ale błędne koło,
I wiecznie jedno w zaklętym deptaku...

A więc stanąłem — i, patrząc za szlakiem,
W końcum zrozumiał, że idę ślimakiem,
Czem mniejszy pierścień, tem do celu bliżej,
I w biednem sercu samotniej, czem wyżej...
Tak samo prawie jak z mogiły szczytu:
Więc, gdym wyciągnął ręce do błękitu,
Rzekł mi głos jakiś: «Kochać to nie dosyć!
Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,
W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:
Jednem cierpliwość — drugiem przebaczenie».

Więc wszystkie, wszystkie widoki, obrazy,
Znane, kochane, uczute sto razy,

Wszystkie obrazy z życia i z podróży,
I z burzy serca i z światowej burzy
Na ten głos wielki zlewają się razem
I jednym w końcu stają się obrazem,
Który drobnieje z każdą chwilą więcej
I coraz mniejszą odmierza się miarką,
Jakby w zwierciedle maleńkiem odbity,
Jakby w kropelce rosy był spowity —
Aż już zmaleje na makowe ziarnko,
Aż już w tem ziarnku wszystko się pomieści,
Wszystkie miłości i wszystkie boleści,
I cała przeszłość i cała robota
Dziejów i ziemi, ducha i żywota...

Otóż z tem ziarnkiem cóż ja, Panie, zrobię?
Czy go zdać ziemi na Twe święte Imię,
Niech jako ziarno posiewu tam drzemie?
Czy po mej stracie złożyć go na grobie,
W którym się wszystko, com ja kochał, mieści,
I gdziem pogrzebał wszystko — krom boleści?
Czyli Cię prosić, byś to ziarnko zmienił
W jedno westchnienie — a to byś ocenił
W chwili skonania, w chwili Twego sądu,
Gdy się dozwolisz dobić już do lądu?

G) Północny Wschód Europy. Część III.

Obrazy z Życia i Natury. Serya I.

a) Na Lodach.

741) *Tom IV, str. 22—26.* Dwa dni trwały przygotowania. Do orszaku myśliwych Dony należało dwóch Żmujdzinów, z których jeden mówił nawet dosyć dobrze po polsku. Język żmujdzki jest tam językiem miejscowego ludu, i Dona mówił płynnie po żmujdzku z domownikami swymi. Ci dwaj Żmujdzini byli to zawołani myśliwi na lodach, kuci, choć w chodakach, a zagorzali, jak to zwykł był Żmujdzin, kiedy jest myśliwym. Oni też byli duszą tej wyprawy.

W siedm jednokonnych sani i w jednastu ludzi stanęliśmy w Kłajpedzie, i niemałe wrażenie zrobił w mieście ten myśliwski orszak, gdyśmy się nareszcie spuścili w porcie na lody.

Konie były dzielne, mierzynki rasy żmujdzkiej, które się w stadzie chowały i znały z wilkiem i wilkom bronić się umiały na lesistych paszach. Takie tylko konie są do podobnej wyprawy sposobne.

Na pierwszych saniach jechałem ja z Doną, a Rema grzała nam nogi. Każde sanie miały też po jednym psie wilczarzu, o ostrej, kolczastej obroży.

Z każdych sań sterczało strzelb kilka, sanie były mocno pakowne, opięte wilczemi i niedźwiedziemi skórami i na ostrych łyżwach osadzone.

Powoli jechaliśmy tedy do Kłajpedy, i dopiero na lodach poczęły pryskać konie, gdy im się ulżyło.

Pod bateryą, która port zamyka, wypalił Dona z pistoletu. Na wałach pokazał się oficer artyleryi, powitał Donę, jak wojskowego kolegę, i pytał, gdzie jedzie.

— Po lodach na wilki! była odpowiedź. A każ mi wypalić z działa w kierunku Finlandyi; puść kulę w małych kozłach, bo chcę widzieć, jak lód gada, ale nie dawaj ognia, póki nie stanę na lodach.

— A jak cię wilki zjedzą? zapytał oficer z bateryi, to co będzie?

— Mniej o jednego odstawnego oficera. Każ dać ognia, nabój zapłacę.

Jeden z myśliwych ruszył w saniach ku bramie okopu, a my ruszyliśmy na lody; wystrzałami bowiem działowymi próbuje się nie tylko siły lodu, ale po tem, »jak lód gada«, oceniają znawcy, czy cała już zatoka zamarzła, czy nie.

Cały nasz tabor czekał na myśliwego, który pojechał opłacić nabój 24 funtowej szmigownicy, a my w pierwszych saniach ruszyliśmy naprzód.

Wyjechawszy daleko od brzegu na lody, dał Dona znak wystrzałem i położył się potem na lodzie. Jakoż po chwili zagwizdała kula działowa po lodzie ostro; zaledwie że pierwsze kozły można było policzyć, które przeszły następnie w pogwizd jednostajny, gubiący się gdzieś w nieskończoności.

— Dobrze lód gada! rzekł Dona, możemy choć do Finlandyi jechać po lodzie.

— Ale gdzież istotnie pojedziem?

— Możemy dojechać do północnego przylądka Kurlandyi. W zamku Domesnes mam krewnych, i radziby nam tam bardzo byli; a jeżeli to się za daleko może zdaje, możemy dojechać do windawskiego portu. Na wysokość portu libawskiego przypada ciąg wilków, jeżeli już nie przeszły, i w tej okolicy głównie będziem krążyli na milę i dwie od brzegu, bo wilki ciągną gromadnie przez morze, ale, zbliżając się do żmujdzkich i kurlandzkich brzegów, dzielą się na partye, zdaje się dlatego, aby się coprędzej i łatwiej pożywić. Bezpieczniej tedy jest spotykać się z nimi pojedyńczo i na wabia.

Tu pogłaskał Dona Remę, która na saniach leżała. Tymczasem nadciągnął cały nasz tabór. Dona kazał naprzód opatrzyć i wystrugać śnieg i lód z rogu pięciu koni i świeże zaśrubować ocele, których cała torba była w zapasie. Tylko stalowy śrubowany ocel, który nadto często się jeszcze ścina, wytrzymuje taką sannę po lodzie.

Następnie nabito bronie świeżo, a na każdych saniach było cztery dubeltówek i cztery sztućców; przy niektórych znajdowały się mocne, długie bagnety, a były takie dwa szturmaki czyli gardłacze, siekańcami nabite. Każde sanie miały tedy dwanaście strzałów, i strzelby nie stały w saniach, ale był pewien rodzaj tulijek, tak, iż rzędem obok sań stały i mogły być każdej chwili z łatwością użyte.

— Daj na lodach poczesne! rzekł Dona do starego myśliwego, który z portu wziął z sobą flaszę grzanego wina.

Dotychczas jechaliśmy w pierwszych saniach, teraz dobył Dona busolę, którą nosił na piersiach, upiętą na łańcuszku, i położył ją na lodzie. Jeden ze Żmujdzinów spojrzał po busoli, potem po lodzie, upatrzył jakiś ciemny punkt w dojrzanem zaledwo oddaleniu i, siadłszy w sanie, ruszył raźno przodem.

Po dziewiątej z rana wyjechaliśmy z portu i, jadąc w ten sposób ciągle w jednym oznaczonym kierunku, zostawialiśmy na białym gładkim lodzie siwy szlak za sobą, wypruty ostremi łyżwami sań i ostrzejszymi jeszcze ocelami.

Na otwartem morzu wisiała w pewnej wysokości mgła gęsta, i mróz się sadził z każdą chwilą. W powietrzu było zupełnie cicho, a ta uroczysta cisza miała coś bardzo poważnego w sobie.

Mrok już padać poczynał, gdy Dona po raz ostatni położył busolę na lodzie: obaj Żmujdzini spojrzeli po igle, i nie zdało im się, aby jechać dalej.

Para szła z koni, okrytych ciepłymi, grubymi kocami. W czasie, gdyśmy konie wstrzymali, pobiegł jeden ze Żmujdzinów w innym zupełnie kierunku ku zachodowi i, powróciwszy, powiada:

— Tam czerni się coś na lodach z daleka, to albo Żaba, albo Pierścienie.

Tak się zwały dwie wielkie granitowe bryły, znane myśliwym i rybakom w tej okolicy, z których jedna podobna była kształtem do żaby, a druga nosiła dwa pierścienie spiżowe do utwierdzenia łodzi.

Na ten tedy punkt, co się czernił, ruszyliśmy na nocleg. Punkt czarny powiększał się z każdą chwilą; była to istotnie bryła z pierścieniami, która na parę sążni sterczała ponad lody, a u pierścieni była wielka rybacka łódź upięta.

Miło na takiej lodowatej pustyni spotkać się ze śladem człowieka. Łódź była na wpół zamrożona w lodzie; znać, że tu mróz zaskoczył rybaków i że po pierwszym lodzie pieszo wrócili do domu.

Po jednej stronie burtnicy stanęły sanie, po drugiej konie, a my założyliśmy biwak w samej łodzi, koło steru. Kilka luźnych desek, które w łodzi leżały, były nam bardzo na rękę, bo położono je pod przednie i zadnie nogi koni. Uderzyło mnie to, że koni nie wiązano, i owszem, zdjęto im nawet część okrycia ze łbów, zdjęto chomonty i kantary, a pomimo to nie rozbiegały się, ale stały w miejscu, jak je obok siebie na deskach postawiono; dano im tylko świeże koce, na piersiach spięte i szerokimi popręgami przepasane. Pytałem, czemu z głów końskich pozdejmowano derki.

— Bo na lodzie potrzeba czujności, rzekł mi Dona. Jakby nas wilki napadły, to konie się same bronić muszą i będą. Takie konie nie boją się wilka na lodzie, bo kute, a wilk nie kuty, więc nie ma siły na lodzie, chybaby z nienacka uwiesił się u gardła koniowi. Na lodzie naciera koń na wilka, nie wilk na konia, a te konie, że razem chowane i stadne, trzymają się hurtu.

Dobyto kocioł znacznej wielkości z pokrywą i ustawiono

go w środku łodzi. Było to ognisko, czyli raczej olbrzymia fajerka, olejem napełniona, o kilkunastu płomieniach; zażegnięto ten kocioł ogniem, i wielki, jasny płomień oświecił cały tabor.

Jeden z myśliwych kucharzył. Na żelaznym trójnożku nastawiono drugi kocioł duży nad ogniskiem; w tym kotle tajały kawały lodu, aby mieć wodę do pojenia koni i do herbaty. Jakoż cała noc zeszła na tem prawie, że się topił lód w kotle nad ogniskiem, i ledwo koło północy były wszystkie konie z kolei napojone.

Czeladź piła grok i jadła przygrzany bigos, koniom dano obrok w torbach a nam obudwu z Doną dał kucharz jajecznicę z szynką i herbatę z czerwonem winem.

Mgła była opadła, i prześlicznie wyiskrzyły się gwiazdy. Rema leżała u stóp naszych, a ognisko gorzało; po drugiej stronie jego leżeli myśliwi; psy tylko czuwały przy koniach. Z północy poczęliśmy drzemać...

Grzmot niesłychany ozwał się nagle po lodach, i wszystko zerwało się na nogi. Ja nie pojmowałem zrazu, coby ten grzmot znaczył, bo jużciż nie grzmi na lodach.

Było to pękanie lodów, które się na większym mrozie ścinają, niepodobne ani do grzmotów burz letnich, ani do huku dział, jakieś podziemne, ale straszliwsze od jednych i drugich, bo słychać było, jak na milowych przestrzeniach lód w różnych, kierunkach pękał i jak się z tych szczelin jakieś podlodne dobywały gromy...

Przez godzinę może strzelał w ten sposób lód, tak, iż w końcu ucho nasze przywykło do tego huku.

Gdy się znowu uciszyło, porwała się nagle Rema i ruszyła, jak szalona, ku północy... Noc była jasna.

— Będziemy mieli gości! krzyknął Dona. Zgasić ogień, upiąć psy i za broń!

Tak czekaliśmy więcej, niż pół godziny może, stojąc każdy za sańmi przy broni, zwróceni ku stronie, w którą Rema odleciała.

W końcu pokazały się na lodzie trzy ciemne ruchome punkta, które przybliżały się ku nam z każdą chwilą. Rema igrała z dwoma wilkami; przypadając do lodu i uchodząc znowu przed nimi, wybiła je na tabor zwolna i zdradnie.

Z całego dnia była to najbardziej zajmująca chwila. Dona,

który stał pierwszy na prawem skrzydle, skradał się bardzo wolno, posuwając się tylko wówczas naprzód, kiedy Rema szalała z wilkami. Oczy jednego z wilków świeciły się nam, jak latarnie; aż nagle Dona dał ognia... Na ten strzał poczęła Rema uciekać co siły, a wilk, który ją gonił, nawet nie spostrzegł, że drugi poległ na miejscu. Konie chrapnęły, i ogier, który w naszych saniach chodził, zarżał po kilka razy krótko na trwogę i zadarł łeb zuchwale; klacze skupiły się wokoło niego, a Rema, obleciawszy daleko dokoła, skradała się niby do koni. Za nią o kilka kroków postępował wilk. Obaj Żmujdzini przepełzli około łodzi po lodzie i dali razem jakby na komendę ognia; wilk się powalił, a Rema powróciła w tej samej chwili do nas w wielkich susach i przypadła karnie do stóp Dony.

Po chwili zagorzało znowu ognisko. Oba wilki zwleczono do łodzi, i, nie śpiąc, czekaliśmy dnia.

b) Z Czarnego-Lasu i Czarnej Góry.

742) *Tom IV, str. 400—408.* ...Było to na wierzchowinie Suczawy. Straż pogranicznych strzelców musiałem odesłać na stacyę, bo oddział, który prawie przez trzy tygodnie mnie eskortował, był utrudzony, i wypadło go zastąpić innym. Dowódca straży przyrzekł mi, że ze świeżym oddziałem powróci w przeciągu trzech dni. Moich też dwóch ludzi byłem odesłał do najbliższych miasteczek po nowe prowianty na nową wyprawę. Sam tedy zostałem we wsi — stanąłem kwaterą u wójta, możnego bardzo gospodarza i bardzo porządnego człowieka, który ani buntów, ani opryszków nie lubiał i przyrzekł mi, że mi w dalszej podróży sam towarzyszyć będzie, że dobierze ludzi i wynajmie mi konie pod siodła i juki.

U niego tedy stanąłem gospodą — i dwa dni oczekiwania na powrót straży i ludzi moich były już upłynęły... Oboje gospodarstwo moi byli jeszcze ludzie średniego wieku, ale mieli już córkę dorosłą, jak mi o tem mówiono. Gospodyni była bardzo przystojną kobietą i rozmowna, jak wszystkie Hucułki. Poznajomiłem się tedy dobrze z tymi ludźmi — i do oryginalnych epizodów podróży policzam te dnie spoczynku i wytchnienia po wielkiem strudzeniu.

Okazałe i budowne są chaty Hucułów, otoczone dokoła

drewnianymi krużgankami. Chodniki i ganki są wyłożone wielkiemi kamiennemi płytami — i w takim to ganku siedziałem sobie dobrze już z południa, czytając książkę i rozmawiając naprzemian z gospodynią moją, która po drugiej stronie drzwi na ganku przesiewała kukurydzianą mąkę, w zapas do przyszłej podróży. Opowiadała ona mi cuda o swojej Małance! Jaka piękna, jaka żwawa, jak za nią wszystkie przepadają chłopcy — a gdym pytał, gdzieby była, mówiła mi, że bawi na trzeciej wsi w gościnie, bo się tam święci wesele. Więc się posestry zjeżdżają i radzą i goszczą i cieszą... Do chaty prowadziła ze wsi wolno zbieżysta i szeroka droga — a i chata i całe jej obejście leżało na równym poziomie. Zwolna podnosiła się od chaty w górę dalsza droga i przechodziła w pasznistą połoninę... W dziedzińcu pasło się kilka baranów. Ponad chatą wznosiło się kilka starych jaworów. Widok był na wieś i góry... po drugiej stronie potoku, który tuż za obejściem z szumem uchodził do rzeki...

Ochocza moja gospodyni wyśpiewywała sobie kołomyjki przy robocie — i wracała zawsze znowu do swojej Małanki... Prócz mnie i jej nie było nikogo przy domu: parobcy byli z końmi, owczarze z owcami, dziewki poszły zbierać trawę do podoju, a sam gospodarz pognał woły na połoninę. Wtem posłyszeliśmy tętent koni, lecących cwałem po drodze... I w dziedziniec wpadło cwałem cztery dziewcząt konno!... Na czele ich była Małanka na białym ogierze! Kiedy go przed gankiem osadziła — spiął się jak świeca, dał jeszcze dwa susy i stanął spokojnie, ale dziewczęta nie zsiadały z koni. »Skąd wy, moje dzieweńki? pytała gospodyni moja — zsiadajcie i chodźcie do chaty, bo mamy gości!» Dziewczęta powitały mnie z konia, ale nie chciały jeszcze zajść do domu. «Byłyśmy na wiszniaku — tak nas częstowali chłopcy, żeśmy aż uciec musiały«. — Śmiała się matka i chciała, aby zsiadły z koni. Dziewczęta były po świątecznemu strojne we wstążki i paciorki, koszule, bogato wyszywane na ramiączkach, na piersiach i około rąk. Jedna z nich miała małą węgierską burkę na sobie, a wszystkie miały żółte safianowe buty, torebki przy boku i pręciki w ręku — czyste amazonki! Konie dzielne i rozhukane — a one same, rozgrzane jazdą i zabawą, nie miały ochoty zsiadać z koni, ale wybierały się na poblizką połoninę, by odwiedzić koniuchów, spędzić owczarzy,

a z wołami i ojcem powrócić do domu». «A Jakim jest?« zapytała Małanka z uśmiechem matki. «Nie» — odrzekła — «poszedł was szukać i od dwóch dni nie było go tu». Zaśmiała się Małanka, bardzo z tego szczęśliwa, że zdurzyły Jakima i że jej nie odszukał — i wypuściła konia cwałem z miejsca, a za nią ruszyły trzy jej posestry!...

Pytałem tedy gospodynią, coby to wszystko znaczyło i ktoby był ten Jakim, o którego Małanka pytała. «Wieleby to mówić o tem» — rzekła mi na to gospodyni. — «Idzie już teraz rok piąty, jak tu przybył do nas człek z Czarnejhory z tym Jakimem. Był to jego stryjko, a on był jeszcze młodym chłopczyną, ot tak pastuszyną 15-tu albo 16-tu lat może, mało co starszym od mojej Małanki. Stało się tam u nich, że sobie na krew nastąpili, a zabiwszy kogoś, musieli uciekać. Stryjko, bojąc się o Jakima, zabrał go z sobą — bo tam takie prawo u nich, że, jak sobie na krew nastąpią, to, co jest w rodzinie chłopów i chłopców, wszystkich zabić muszą! Przyszedł tedy tu stryjko z Jakimem — i przez półtora roku byli u nas w gościnie. Stryjko był bogacz i darował mi trzy talary do paciorek, które jeszcze noszę — a odchodząc, kupił w Kosowie najpiękniejsze cztery woły, jakie były na całym targu, i darował memu gaździe za gościnę. Małanka pasała jeszcze dziewczęciem kozy z Jakimem przy domu — otóż się i bardzo polubili. Kiedy się im zabrać przyszło do domu, wyprowadził Jakim Małankę nocą w Jaworzyny, darował jej do paciorek złotego talara i powiada do niej: »Ja ze stryjkiem wracać muszę — ale ja tu, Małanko, do ciebie powrócę, to czekaj na mnie i nie bierz lubasa! Jak trochę jeszcze wyrosnę, przyjdę do ciebie i zapukam nocą w okno: jak mnie poznasz, to nie świeć: ale wyjdź cicho do sieni — bo nie można wiedzieć, co będzie — a ja się rozmówię z tobą...»

»Małanka przepłakała resztę nocy, tak jej żal było Jakima!... Bo choć to jeszcze dzieci, pokochali się bardzo — a on odszedł do świtu ze stryjkiem. Gazda z ludźmi przeprawił ich na koniach aż do Siedmiogrodu... I przez półpięta roku słych zaginął o Jakimie i stryjku... Aż tu tej wiosny, jak się już dobrze rozwinęły buki, puka ktoś już późno w nocy do okna... Zerwałam się z pościeli i pytam: kto taki? a on powiada: »Jakim uskok». «To ty, synu?» zawołałam ucieszona. «Ja» — rzekł —

«a Małanka jest?» «I jest i czeka na ciebie». — «To niech wyjdzie do sieni, ale nie świećcie«. — Zbudziłam Małankę — wybiegła do sieni — coś poszeptali na obejściu — i wbiegła nazad do chaty. «Świećcie, matusiu — mój lubas przyszedł z za morza, świećcie, zwołajcie posestry, muszę się ustroić do niego! «Zaświeciłam — zwołałam posestry: Małanka skoczyła do potoku i wykąpała się, — a potem posadziły ją dziewczęta na środku chaty, jak pannę młodą, rozplotły jej kosę, rozczesały i uplotły na nowo warkocze — a potem ustroiły ją w świąteczne szaty i przyświeciły jej łuczywem, przejrzała się w cebrze wody — ale bo też krasna była, jak malina! Przypięła potem złoty talar do paciorek — dziękowała i mnie i posestrom za wszystko i przepraszała za wszystko i powiada: — «Abo do was wrócę, abo nie...» Wzięła potem puharek z półki i wybiegła w noc ciemną... Świecimy i czekamy — a Małanki niema! Po zielonym świecie noc krótka — i poczęły piać koguty. Nałożyłam ogień — i poczęłam palić pod chleb, a Małanki niema!... Już posestry chciały się za nią puścić w Jaworzyny — ale jam je nie puściła, bo Małanka prosiła o to, aby nikt nie szedł za nią. Dnieć dobrze już poczynało, gdyśmy wracającą Małankę ujrzeli! Pędziła przed sobą dziesięcioro owiec wołoskich, ale gdy na nią spojrzymy, a tu gdzieś połowę jej ubyło! Spłakana, przestraszona i ledwie żywa! Pytam ja. — Pytają posestry: co się stało? Położyła się na ławie za stołem — i płakała bardzo! Nie mogliśmy się niczego dopytać... Posestry zabrały ją do komory i położyły do łóżka. Tam wyspowiadała się Małanka ze wszystkiego.

Oto Jakim powiedział jej, że będzie na nią czekał pod starym jaworem o kraj Jaworzyny, gdzie z sobą kozy pasali. I gorzało wielkie ognisko przed jaworem starym... Jakim siedział sam jeden przy ognisku — i trzymał strzelbę w jednej ręce, a w drugiej psa wielkiego, jak niedźwiedź, co teraz przy owcach chodzi. Przy boku jego leżało dziesięcioro owiec.

Małanka leciała, jak strzała, na ogień — ale kiedy do ogniska przypadła, krzyknął Jakim groźno: «Stój!...» stanęła zdziwiona — bo chciała go przywitać i przyhołubić — ale on powiada: «Stój!... i nie waż się zbliżyć, bo cię pies rozedrze!...» To uwiąż psa na stronie — mówiła. — Na to nic nie odpowiedział,

ale patrzał się na nią tylko... Ona też przypatrywała się jemu... Aj pięknie wyrósł! a liczko, jak krew z mlekiem! w całych górach naszych takiego drugiego chłopca niema! To przemawiała do niego gołębimi głosami, to prosiła się, aby ją powitał — ale on milczał i rozglądał się groźno dokoła!... Nareszcie powiada do niej: «Tyś mię zdradziła — tu śmierć twoja».

Prosiła się na Boga: że go kocha, że czekała na niego, że tylko zapukał, przybywa strojna w noc taką ciemną, bo myślała, że idzie do swego lubasa! Ale on się nie dał ugłaskać, tylko mówił wciąż jedno: «Zdradziłaś mnie — tu śmierć twoja!!»

Małanka myślała, że jej serce pęknie od żalu! A widząc że jej się tak świat zmienił — rzuciła się przy ognisku na ziemię i prosiła, żeby ją zabił, ale żeby jej zakrył oczy, aby nie patrzała na to, jak ją będzie zabijał!...

Jakim nie ulitował się i tej żałości! Tu Małanka zerwała się nagle i powiada: «Kiedy tak, to sama sobie śmierć zrobię i skoczę do rzeki!» Zerwała się i leci... «Stój!.. krzyknął na nią Jakim — bo psa puszczę i rozerwie cię w sztuki!» — i leciała dalej — «Stój! to ja cię sam utopię!...» «A dobrze — rzekła, to mi lżej będzie!...» — I wstrzymała się. Przypadł do niej, jak zwierz — chwycił ją, jak niedźwiedź, wpół — przerzucił przez ramię, jak dziecko, i szedł wolno ku wodzie... Małanka jęczała i czekała śmierci... Nagle stanął, spuścił ją z ramienia i powiada: «Nie bój się, Małanko, jam ciebie chciał tylko spróbować i chciałem, abyś znała, co cię czeka, gdybyś mnie kiedyś zdradziła!!...» «Jakimie! — powiedziała do niego — ja się ciebie boję — ja ciebie kochać nie będę! nie gub i mojej i swojej duszy, puszczaj mnie do matki!« — I nie chciała przy nim pozostać. Tedy starał się ją przyhołubiać i, prowadząc za rączkę, przywiódł do ogniska. Tu dobył trzos, wysypał pieniądze do kapelusza i powiada do Małanki: «A przyniosłaś puharek?» — «A przyniosłam, jak kazałeś«. — «To wypij do mnie» — prosił ją — «jak lubaska do swego!» i podał jej baryłeczkę. Małanka ledwo żyła! — Ale gdy bardzo prosił, wypiła do niego — a potem wytarł on puharek i przemierzył wszystko srebro na dwie kupki równe, a złoto, co było, przeliczył na sztuki i położył także równo przy każdej kupce, a potem powiada: «To moja matka kazała ci oddać połowę tych pieniędzy, abyś znała, czyim ja synem!» —

I wsypał jej do koletki jedną kupkę — a druga pozostała w kapeluszu. A były tam śrebrne cesarskie i tureckie lewy i taka drobina śrebrna, że to, jak karpia łuszczka, tylko te pieniążki tureckie; a złote pieniądze, to nie wiemy, co wartują, bo jak wszystko razem Małanka przyniosła z sobą, tak leżą te pieniądze w skrzyni i nikt tam nie zaglądał do nich, — ale jest bogactwo. Małance zdawało się, że to jakiś sen straszny, i nie wiedziała, czy zostać przy ognisku, czy uciekać — tak ją do śmierci wystraszył Jakim — ale on mówił już do niej słodko: «Dzień się będzie robił — wracaj do chaty, pognaj z sobą te owce i uproś gazdę, aby je przyjął. Ja teraz idę i zakopię część moich pieniędzy, abym miał o czem wracać, jak mnie zdradzisz, ale nie idź za mną i nie podpatruj mnie; bo psa biorę z sobą i będę wiedział o tem, jeżeli mnie nie posłuchasz!» — Owce zajęła Małanka i przypędziła na obejście. Jakim mówił jej jeszcze na odchodnem: «że przed wieczorem uprosi sobie dwóch ludzi i przyjdzie z nimi, by się wprosić na gościnę do ojców Małanki».

«Gdy się Małanka tak posestrom wyspowiadała, jak ja się Wam tu spowiadam z tego, zerwały się, jak szalone, i wzięły na zuchwał! Otóż ubrały się wszystkie po świątecznemu, uprosiły sobie służbę Bożą — a po mszy przysięgały sobie, jak posestry, że jedna drugiej nie odstąpi i jedna za drugą zastoi aż do śmierci. Wesołe wróciły z nabożeństwa wszystkie cztery i bezpieczne, że się żadnej z nich nic nie stanie — i odtąd i sypiają i jadają i chodzą i jeżdżą razem, i jedna drugiej na chwilę nie odstąpi. Wszakżeście je widzieli, co to za butne dziewki! — i czort nie dałby im rady, nie dopiero Jakim! — «A cóż zrobi Jakim?» — «Ot durny» — rzekła, przebrał miarę, i dziś śmieją się dziewczęta z niego, a on musi się pokorzyć i łazi, jak głupie cielę, za niemi. Przy ludziach, to Małanka mówi krasno do Jakima — i przyhołubi go i rozczesze mu włosy i dba o jego koszulę i o jego jadło — ale sam na sam nie była jeszcze z nim ani chwili; a kiedy się ośm ócz dziewczęcych z jednego chłopca wyśmiewa i jedna drugiej nie odstąpi ani na krok, to i trudna rada! — «Cóż z tego będzie?» — pytałam dalej. — «Jak się im dobrze podda, to i Małanka mu się odda. Nieraz stoi on przez noc całą pod oknem i prosi się dziewcząt, żeby go puściły do chaty, ale

one się śmieją tylko, aż nareszcie ja wstać muszę i puścić go, to legnie przy nas na ławie i idzie o świcie z gazdą moim w pole, nim jeszcze komorę otworzą dziewczęta».

«Ale nie opowiedziałam Wam jeszcze, co tam było dalej: pod wieczór tedy po owej strasznej nocy przybył Jakim z dwoma gazdami z obyczajką i powiedział, że z za morza przychodzi do Małanki i że się na lubasa zaprasza w gościnę. Było też dużo ludzi naszych — były też i posestry Małanki. Jakim darował jej szelkową szatę od matki — i gościliśmy gości do późna w noc. Pies Jakimów był kilka dni upięty, aż go już owczarze zabrali, gdy się przyswoił trochę. Zbroję wszystką aż do noża oddał Jakim memu gaździe, ale ją posestry schowały, ażeby Jakim nie miał czem straszyć Małanki, a dwie z nich: Naścia i Marynka noszą pod kolanem przywiązane noże i nie odwiązują ich nawet w nocy. Gdyby chciał co Małance zrobić, albo im, to się tak zawzięły i przysięgły sobie, że Jakimowi wbiją nóż w serce, bo go nienawidzą bardzo za te złości jego dla Małanki».

Otóż i starożytna historya rycerskich amazonek — i nowożytna historya dzisiejszych lwic! Tamte amazonki wyłamały się z pod dzikiej przemocy władzy męskiej — dzisiejsze lwice wyłamują się z pod niemocy zniewieściałego pokolenia mężczyzn: konne owe Huculki stoją gdzieś po środku pomiędzy starożytnemi amazonkami a lwicami nowożytnemi.

«Dlaczegóż nie skończycie tej sprawy i nie wydacie Małanki za niego!» Huculka śmiała się długo z niepojętności mojej: — «Alboć onaby poszła za niego? alboby on się z nią żenił? To to oboje młode, ta to się tylko chce kochać i kochać musi — bo jakby się dziewczyna z młodu nie kochała i nie puściła sercu na wolę, nie chciałaby pewno robić, jak będzie gazdynią. Gdybym ja chciała Małankę wydać, to u każdego jej palca uczepiłby się jeden chłopiec, ale na to czas jeszcze. Ona tego harda, że lubas przyszedł do niej z za morza — a on z tego hardy, że Małanka najpiękniejsza ze wszystkich doniek w siole, i że ją za jego lubaskę mają.

Tu wszedł na obejście młody, piękny, hardy człowiek. Był on po huculsku ubrany — ale po pasie i niektórych ozdobach stroju, po pięknych południowych wyrazistych rysach, po ruchu i spojrzeniu poznałem w nim Jakima. Stanął na kilka kroków

przed nami — patrzył na mnie długo i hardo... Ani skłonił, ani powitał się — ale zwracając się do gazdyni, zapytał krótko. «Kto to?» — «Gość» — rzekła gazdyni niespokojnie. — «A czy do Małanki przyszedł?» spytał Jakim tak, jakgdyby mnie przytem nie było. «A gdzie Małanka?» — «Pojechała z posestrami na połoninę i nakazały, żebyś tam szedł za niemi». — Mruknął sobie coś niemiło pod nosem... i oglądał się dziko po obejściu, jak gdyby kogoś szukał... Przed gankiem stał na zielonym trójnogu barometr, na którym co godzina odczytywałem stan jego: obok na ławce leżało kilka instrumentów fizycznych i mała buławka podróżna. Dwie ciężkie kule były tu na giętkim trzonku osadzone i oszyte struną. Instrumentom tym przypatrywał się Czarnohorzec z pogardą i chwycił nagle za buławę, zważył ją w ręku, a potem skoczył, przytrzymał jednego tryka i wyciął go tak w głowę, że się twarda załamała czaszka. Tryk się przewrócił i spłynął we krwi, nie drgnąwszy pod tem cięciem... — «Ta co robisz szalony? — ta co ci Małanka powie za to, żeś jej bazia zabił?» — On patrzał z upodobaniem w zabitego barana i cisnął buławę do krwawej kałuży... W chacie na stole leżała broń moja... Widząc, że rzeczy jakiś niemiły obrót biorą, nałożyłem świeże pistony na dubeltówkę i krucicę podwójną i, usiadłszy za stołem, czekałem, co dalej będzie? — Słyszałem, iż gospodyni nie chciała puszczać do izby, ale wszedł prawie gwałtem i, trzymając skrwawioną buławę w rękach, zatrzymał się we drzwiach i mierzył mnie okiem... Powstawszy odwiodłem oba kurki od dubeltówki i opatrywałem kapsle i zamki. Chwila była groźną... Zabić człowieka to rzecz ciężka — a gdyby był próg przestąpił, nie było innego ratunku! Przez chwilę mierzyliśmy się tedy oczyma!... Szczęściem mojem było, że spryt niewieści dał inny obrót sprawie. — «Czy to na mnie?» zapytał się gazdyni. — «Jak krok postąpisz — to na ciebie!» — Rzucił tedy buławę na ziemię — i stał chwilę nieradny, patrząc przed siebie... Widziałem niepokój mojej gospodyni, która nagle ton mowy odmieniła: «Jaki ty niedobry, Jakim! ta to mój lubas przyszedł do mnie, to czego tu chcesz i zawadzasz?» — «Także mówcie!» rzekł rozbrojony zupełnie — i wyszedł nagłym krokiem z domu i obejścia, a puścił się ku Jaworzynom w górę, gdzie się spodziewał spotkać z Małanką i jej posestrami.

Już o samym zachodzie słońca nadszedł dowódca granicznych strzelców ze swoją komendą, którego się dopiero za dobę spodziewałem i któremu opowiedziałem niemiłe me spotkanie z Czarnohorcem. Dowiedział się on o nim już w powrocie do stacyi i niepokoił się bardzo tem, że mnie samego zostawił: — więc przyśpieszył drogi na gorsze, ale krótsze ścieżki i cieszył się już tem, że chwyci Jakima i że go wyda władzy jako włóczęgę i opryszka. Ale i Jakim dowiedział się już o przybyciu straży... I wszyscy powrócili wieczorem, i było znów szumno i rojno w chacie, ale Jakim, nie dowierzając ani mnie, ani straży granicznej, ani nawet gospodarzom swoim i Małance, nie powrócił do chaty i nie wiem, czy kiedy powrócił...

Opracował: H. GALLE.

XLI.

UJEJSKI KORNEL.

(1823—1897).

Kornel Ujejski, syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, pochodził z dawnego rodu małopolskiego, osiadłego w ziemi tarnowskiej; w końcu XVIII wieku dziad poety, Piotr Aleksander, przesiedlił się na Ruś Czerwoną; tutaj to urodził się poeta 12 września r. 1823, we wsi Beremiany (w obwodzie czortkowskim, przy ujściu Strypy do Dniestru). Był najstarszym z czterech synów. Wychowanie otrzymał bardzo staranne, miał bowiem dobrych i rozumnych rodziców, którym też piękne, przepełnione wdzięcznością i uwielbieniem, wystawi świadectwo zarówno w poezyi, jak w autobiografii. Rodzicom to głównie zawdzięcza głęboką, niezachwianą a prostą, niemal dziecięcą wiarę religijną i równie głęboką i niezachwianą i równie prostą, bo nieznającą żadnych skrzywień i zboczeń, nienawidzącą wszelkich paktów z szatanem ani kompromisów z rzeczywistością, miłość ojczyzny, wraz z czcią dla jej przeszłości rycerskiej i wiarą płomienną w jej wielką, świetlaną przyszłość.

Oprócz rodziców, niemały wpływ na jego duszę młodzieńczą wywarli rodzice matki i jej brat cioteczny, Henryk Kozicki, wychowaniec liceum krzemienieckiego, którego sam poeta nazwie «jednym ze świetlanych przewodników» swoich; «na syna, miłującego ojczyznę, i Twoje ręce mnie kołysały, i pierwsze moje próby i późniejsze prace pisarskie Twojego sądu czekały; byłeś mi radą, zachętą, często bodźcem; kochałeś mnie, wierzyłeś we mnie». Bardzo wcześnie rozbudziła się w Ujejskim wyobraźnia, a to zarówno pod wpływem pięknej okolicy, obfitującej dotego w zabytki historyczne (mogiły z czasów wojen tureckich i starożytne ruiny zamkowe), jak pod wpływem chciwie słuchanych opowiadań o czynach rycerskich. Miał lat osiem niespełna, kiedy się tak gorąco przejął opowiadaniem niedobitków z korpusu Dwernickiego, goszczących w domu jego rodziców, o wypadkach

r. 1831, że zapadł na ciężką gorączkę nerwową; uspokoił się dopiero dzięki podróży z ojcem, «P o d r ó ż y p r z e r w a n e j», bo kiedy ojciec, po zwiedzeniu Świerczkowa (starego gniazda rodzinnego Ujejskich), Wieliczki, Krakowa, Lanckorony i Tatr, chciał jechać z synem za granicę, ten oparł się temu stanowczo: «Mój ojcze! każ nawrócić konie, nic tam nie znajdę, a co mam, uronię».

Nauki szkolne odbywał Ujejski naprzód u Bazylianów w Buczaczu (gdzie «zbrzydził sobie łacinę», jak pisze w autobiografii), a później w szkole realnej we Lwowie, dokąd dla wychowania dzieci przenieśli się rodzice. Po ukończeniu szkół brał Ujejski czynny udział w tem życiu umysłowem Lwowa, które się skupiało około Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich (pod dyrekcyą Kłodzińskiego), był w zażyłości z Augustem Bielowskim, Wincentym Polem; głównym zaś jego mentorem literackim (obok Kozickiego) był Leszek Dunin Borkowski; z pomiędzy młodszych literatów pokochał najserdeczniej starszego od siebie Karola Szajnochę (Biegeleisen: «Nieznana autobiografia», *Świat*, 1908). Obcowanie z takimi ludźmi wywarło naturalnie wpływ dobroczynny na rozwój umysłowy poety; z tem wszystkiem braku wyższego, gruntownego wykształcenia zastąpić oczywiście nie mogło, i Ujejski już nigdy nie będzie myślicielem, nie zdobędzie się nawet nigdy na własną głębszą, albo przynajmniej samodzielniejszą myśl; do samej śmierci będzie żył poglądami c u d z y m i, o których przyjęciu lub nieprzyjęciu do duszy będzie stanowiło niemal wyłącznie bądź stałe uczucie, bądź nawet przelotna namiętność albo chwilowe podniecenie zewnątrz.

Do bardzo silnych uczuć w duszy Ujejskiego należała ambicya, zwłaszcza ambicya poetycka. Był dzieckiem, a już marzył o tem, aby wyróść na wielkiego poetę. Już podczas wakacyi, spędzanych u rodziców w ich nowej dzierżawie, w Dawidowie (w powiecie lwowskim), pisywał, mając czas wolniejszy, wiersze. Znajomość z Polem, który dzięki «Pieśniom Janusza» zbliżał się do szczytu swojej sławy, rozbudziła z pewnością tem większą ambicyę i żądzę sławy w młodej duszy Ujejskiego. Nie Pola jednak obrał sobie za mistrza, ale Mickiewicza (sonety) i Słowackiego, za którym, jak wyznaje, «szalał w młodości» «i po całych dniach tułał się po lasach z jedną z płomiennych książek jego» («Listy z pod Lwowa»): że zaś tą książką był «Kordyan», to nie może ulegać żadnej wątpliwości; jeden z najwcześniejszych znanych nam dzisiaj utworów Ujejskiego (których część ogłosi później poeta w «Kwiatach bez woni», 1848, i w «Zwiędłych liściach», 1849), mianowicie «Monolog Ankarströma» jest odbiciem tego głębokiego wrażenia, jakie na nim wywarł «Kordyan». Słabe są te pierwsze poezye Ujejskiego; jest w nich jakaś sztuczność, sztuczność nietylko formy, ale i treści, uczuć i myśli, jest mianowicie pozowanie na człowieka nieszczęśliwego, wykolejonego — pod wpływem nie tyle Byrona, którego wówczas nie znał może jeszcze Ujejski, ile Słowackiego. Razi nas dalej jakaś nadmierna pewność siebie, zarozumiałość, której się

poeta, przy całej swojej szlachetności i miękkości serca, nigdy już nie wyzbędzie, tem więcej, że, pod wpływem współczesnej poezyi romantycznej, będzie się poczytywał za kapłana i przedstawiciela swego narodu, za wieszcza i proroka, zawdzięczającego swój dar jasnowidzenia wielkiej miłości i bólowi patryotycznemu. Zresztą przedmiotem pierwszych Ujejskiego poezyi jest nie tylko on sam, ale już i ojczyzna, o czem wymownie świadczy wiersz «Młodości moja!», a jeszcze wymowniej szlachetna «Pieśń o ziarnie» (1843), tak piękna swoim nastrojem pogodnym, miłością ludu i wiarą w jego przyszłość.

W r. 1844 wybrał się Ujejski do Warszawy, gdzie, pomiędzy innymi, poznał i pokochał Lenartowicza; po drodze zwiedził Lublin, Puławy, Czarnolas i Zwoleń. Podróż ta wywarła, jak się zdaje, niemały wpływ na kierunek jego twórczości: oto, jak świadczy napisana w Warszawie na widok ucisku «Gęśl Jeremiasza», dokonał się w niej już ostatecznie zwrot do poezyi patryotycznej. Współcześnie rozszerza się zakres lektury, a stąd i wpływów poetyckich (Byron, Schiller, Freiligrath, V. Hugo); silnie również pociągało poetę Pismo święte; w roku 1845 ukazują się w *Dzienniku mód paryskich* «Hagar na puszczy» i «Jubal», które z czasem będą wcielone do «Melodyi biblijnych»; w roku następnym powstaje «Samson»; w tymże roku wychodzi w Poznaniu pierwszy zbiorek poezyi Ujejskiego, p. t. «Pieśni Salomona» (podzielony na dwie części «Pieśń z pieśni» i «Kaznodzieja»), obejmujący zresztą poezye, napisane o wiele wcześniej; trudno bowiem przypuścić współczesność tych bardzo słabych jeszcze utworów z pomienionemi melodyami bibijnemi, odznaczającemi się piękną formą.

Rozgłos jednak, jeżeli jeszcze nie w całej Polsce, to przynajmniej w Galicyi, dały Ujejskiemu nie te poezye, ale «Maraton», ogłoszony drukiem dopiero w r. 1847, ale w świecie literackim znany już od r. 1845, kiedy to we Lwowie, na wieczorze literackim u Kłodzińskiego, zadeklamował poeta tę swoją pobudkę rycerską ku zachwytowi obecnych; łatwo się było domyślić, że nie o poetyczne odtworzenie wypadku historycznego chodziło autorowi, ale o zohydzenie niewoli i apoteozę bohaterskiej walki orężnej za wolność i niepodległość, o wpojenie w serca słuchaczów tej wiary, którą w poezyi naszej wyśpiewał po raz pierwszy Kochanowski («Zwycięstwo liczby nie chce: męstwa potrzebuje!»), a która była niewzruszonym dogmatem dla wszystkich naszych romantyków. Z tego to stanowiska — jako pieśń rycerską — oceniać należy «Maraton», w którym niema plastyki epicznej, ale jest niepospolita siła młodzieńczego zapału i entuzyazmu, miłości i wiary. Aby zaś nie pozostawiać w duszy czytelnika by najmniejszej wątpliwości o swojej intencyi, wypowiedział ją poeta, już bez żadnych obsłonek, w dopisanej później, pod wyraźnym wpływem «Pieśni Wajdeloty», przygrywce oraz w zakończeniu, wykreślonem przez cenzurę austryacką i ogłoszonem dopiero w r. 1894.

Tymczasem nadszedł straszliwy rok 1846, który silniej jeszcze, niż podróż do Warszawy, utrwalił kierunek patryotyczny poezyi Ujejskiego; rzeź galicyjska wstrząsnęła nim do głębi duszy, i poeta «nosił się z myślą napisania pieśni narodowej, ...modlitwy, koncentrującej w sobie bóle narodu». Otóż w takim to nastroju ducha odwiedził kiedyś swego przyjaciela, mieszkającego w Zboiskach pod Lwowem, Józefa Nikorowicza, zdolnego muzyka, który zagrał mu «świeżo skomponowany przez siebie chorał». «Do głębi wzruszony, uniosłem tę muzykę w uchu i w duszy i jeszcze tego samego dnia» (po powrocie do Lwowa) «napisałem do niej słowa»; tak oto powstała pieśń «Z dymem pożarów» (1846), która szybko obiegła całą Polskę i rozsławiła imię jej autora. A wkrótce potem, bawiąc u rodziców w Lubszy (w obwodzie brzeżańskim, którą to wieś wraz z Wyspą i Mełną nabyli Ujejscy jeszcze w roku 1845, sprzedawszy Beremiany), «napisał w kilku nocach» szereg innych pieśni patryotycznych, które się wraz z «Chorałem» złożyły na «Skargi Jeremiego» (ogłoszone drukiem w r. 1847 w «Londynie», jak opiewa karta tytułowa, ale istotnie — w Paryżu).

«Skargi Jeremiego», poprzedzone «Słowem Jeremiego», które jest wyrazem tego wstrząsającego wrażenia, jakie wywarła rzeź galicyjska, składają się z czternastu pieśni, ale nie luźnych, lecz stanowiących pewną całość: odtworzył w nich bowiem poeta nie to lub owo drgnienie zrozpaczonej duszy, własnej i narodowej, ale drgnienia wszystkie — w ich rytmice uczuciowej, w kolejnych przejściach, od odruchowego uczucia zemsty względem wroga — poprzez smutek, przygnębienie, żal do ludzi i Boga — aż do względnego ukojenia. Nie dosyć na tem: jest w tej rytmice uczuciowej walka dramatyczna, której zawiązaniem jest «Pieśń zemsty», a zakończeniem «Akt wiary». Walka toczy się pomiędzy miłością ojczyzny i płynącemi z tego źródła uczuciami — a uczuciem religijnem, pomiędzy pragnieniem zemsty a pokorą względem Boga; któreż z tych dwu uczuć otrzymuje zwycięstwo? właściwie ani jedno ani drugie, walka kończy się jakby kompromisem: poeta zdobywa się na spokój, na pokorę, ale warunkową: na pokorę bezwarunkową, na rezygnacyę zdobędzie się dopiero znacznie później, dopiero po roku 1863; tutaj zaś rezygnacyi niema: końcowa pieśń jest «Aktem w i a r y», lecz nie rezygnacyi, i pomiędzy jej wierszami można z łatwością wyczytać słowa: «Albo Polska od morza do morza, albo my Ciebie, Boże, znać nie chcemy». Tak samo czuł i rozumował naówczas cały ogół, który przecie tak mocno i głęboko uwierzył w naukę Krasińskiego, że Bóg nie tylko zechce, ale m u s i wskrzesić Polskę, bo tego domaga się Jego sprawiedliwość, — «nie coś winien nam, lecz Sobie!...» Wogóle wpływ Krasińskiego na «Skargi» jest niezaprzeczony (jak również Mickiewicza i Słowackiego), ale jest to wpływ raczej pośredni, niż bezpośredni: bo nie z poezyi trzech wieszczów, ale z duszy, przez nią rozkołysanej, a do tego z duszy nie tylko własnej, ale i całego narodu, targanej na przemiany zwątpieniem i wiarą, rozpaczą i nadzieją, wziął Ujejski swoje «Skargi» i dlatego właśnie są nam one tak drogie. A jedna z nich, «Z dymem pożarów»,

porywająca siłą wyrazu, płonąca żarem uczucia, uskrzydlona majestatyczną muzyką Nikorowicza, z którą się zrosła tak mocno, jak dusza z ciałem, — stała się hymnem narodowym, bo wstąpiła napowrót w serca polskie i, dopóki one cierpieć będą, mieszkać w nich będzie — «wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu...»

Po napisaniu «Skarg Jeremiego» Ujejski, pragnąc czy to osobiście dopilnować ich druku, czy też uzupełnić braki swego wykształcenia, czy też wreszcie, nie czując się bezpiecznym w kraju, jako autor coraz to popularniejszego «Chorału», wyjechał w lecie, w r. 1847, przez Niemcy i Brukselę (gdzie się przedstawił Lelewelowi) do Francyi. «Przyjechawszy do Paryża, przenocował tylko, a marząc oddawna o widoku morza, pojechał do Hawru. W Rouen zatrzymał się przez kilka dni, jako w miejscu, gdzie poniosła śmierć męczeńską Dziewica Orleańska. Na szczęśliwą dla siebie w Hawrze porę trafił, bo siadłszy na statek, płynący do Cherbourgu, doznał na morzu wielkiej burzy, której doświadczyć pragnął. Wróciwszy do Paryża, uczęszczał na wykłady w Collège de France i w Sorbonie. Chorał, znany już przedtem i drukowany w pismach polskich w Paryżu, zjednał mu sympatyę u większości licznych rodaków. Poznał tam i mile był przyjęty przez Mickiewicza, Słowackiego, Szopena, Bohdana Zaleskiego,... a bywał także u księstwa Czartoryskich...; najściślejszy związek łączył go ze Słowackim, który napisał do niego piękny wiersz, zaczynający się od słów: «Ojczyzna Twoja, święta kochanka» (Biegeleisen j. w.). Nauka Towiańskiego nie miała przystępu do duszy Ujejskiego; wyrażał się o nim zawsze z wielką powagą, twierdząc, iż «musiał to być niezwykły człowiek i duch potężny, skoro opanował tak silny i wielki umysł, jak Mickiewicza»: ale «Towiańczykiem nie był nigdy»; «miał osobiste stosunki z wieloma Towiańczykami i musiał w nich cenić charakter i czystość duchową; sądził jednak, iż do takiego udoskonalenia może każdy dojść na drodze znanej i praktykowanej oddawna: przez głębsze pojmowanie ducha chrześcijaństwa» (tamże). «Z tem wszystkiem sympatyczniejszym był mu Towiański, niż Darwin» (tamże).

«Podczas dni lutowych 48 roku był prawie ciągle na ulicy i w pierwszym nielicznym tłumie dostał się do zamku Tuileryów; jako trofeum, wyniósł kawał aksamitu, zdartego z tronu» (tamże). Radość młodego entuzyasty z powodu wybuchu rewolucyi znalazła ujście w przekładzie pieśni Freiligratha «La République»; że i dla Polski obiecywał sobie Ujejski wiele po rewolucyi, o tem świadczy jego nazwisko, położone na akcie zawiązania się wygnańców w konfederacyę przedwstępną, wydanym w Paryżu d. 15 marca. Ale też na tem skończył się udział w życiu politycznem emigracyi: ulegając woli rodziców, zaniepokojonych o los ukochanego syna, powrócił do nich Ujejski, do Lubszy (na początku maja). «Był świadkiem bombardowania Lwowa, podczas którego otrzymał od austryackiego żołdaka silne uderzenie kolbą w piersi» i «w nocy po bombardowaniu napisał

wtóry chorał, który był drukowany pod tytułem «Krzyż a Miecz» (tamże).

W r. 1849 pojął Ujejski w małżeństwo Henrykę Komorowską i odtąd poświęcił się gospodarstwu wiejskiemu, zrazu w Pawłowie, majątku swego teścia, później (od r. 1854) w wydzierżawionych Podlipcach pod Złoczowem. W połowie r. 1857 opuścił Podlipce i mieszkał cały rok w Medyce, w domu Mieczysława Pawlikowskiego, a w rok później wydzierżawił od magistratu lwowskiego wieś Zubrzę, w której gospodarował lat przeszło dwadzieścia.

Teraz dopiero, gdy osiadł Ujejski na roli, pokazało się, że głoszona przezeń miłość ludu nia była pustym dźwiękiem: jak świadczy Antoni Bądzkiewicz, biograf poety, wszyscy, którzy go znali, «jednym chórem uwielbienia przemawiali o stosunku jego do ludu, o owem prawdziwem braterstwie i miłości, jaką go okolił, jak wyszukiwał starannie zdolniejszą młodzież wiejską, swoim kosztem ją kształcił i promował, a owoc trudów jego nie zaginął wcale i wydał wielu światłych obywateli kraju, czynnych na rozmaitych polach działalności społecznej».

Jeżeli jednak, jako zacny człowiek i szlachetny obywatel, zyskiwał sobie Ujejski coraz to większą popularność, to natomiast, jako poeta, większego rozgłosu już nigdy sobie nie wywalczył: do śmierci już pozostanie tylko autorem «Skarg Jeremiego». Nie znaczy to zresztą, aby jego talent po wyśpiewaniu «Skarg», miał odrazu upadać: przeciwnie, wydane w r. 1852 «Melodye biblijne» pod względem artystycznym «Skargom» nie ustępują, a niektóre, zwłaszcza «Pan w gniewie», kilka ustępów «Samsona», «Jeremiasz», przewyższają je — to pięknością obrazowania, to siłą uczucia i, co za tem idzie, rytmiki. «Melodye» są owocem wczytywania się Ujejskiego w Biblię, która, obok poezyi Słowackiego i dziejów rewolucyi francuskiej, należała od wczesnej młodości do jego ulubionych książek; pomysł zaś czerpania z Biblii motywów poetyckich ma swoje źródło (jak to wolno wnosić z rozmowy dwu aniołów, stanowiącej wstęp do «Melodyi») w «Melodyach hebrajskich» Byrona, — chociaż nie wadzi zaznaczyć, że i w literaturze polskiej miał nasz poeta poprzednika w Stefanie Witwickim, a nadewszystko w Kochanowskim. A jak Kochanowski, tworząc swój «Psałterz», nieraz odsłaniał najtajniejsze głębie własnej duszy, smutnej i rozgoryczonej wskutek doznanych zawodów, tak i Ujejski w «Melodyach biblijnych» wypowiada niekiedy własne uczucia (np. przez usta Jubala, Jeremiasza albo Mojżesza, któremu dał nawet, ze szkodą siły lirycznej, własną miękkość serca). Najczęściej jednak i najsilniej dźwięczy w «Melodyach» struna patryotyczna: liczne aluzye poety do własnego społeczeństwa, a nadewszystko analogia pomiędzy dwoma narodami, płaczącymi w niewoli, a jednak pełnymi wiary w swoje zmartwychwstanie i wielką misyę dziejową, analogia, która zresztą nie była już nowością w literaturze polskiej: w «Psałterzu» Kochanowskiego niema jej jeszcze ani śladu, ale w «Ka-

zaniach sejmowych» Skargi już jest, a w «Lamencie» Starowolskiego dźwięczy niemniej wyraźnie, jak w «Księgach Pielgrzymstwa» Mickiewicza. Otóż, gdyby nie ta analogia, «Melodye biblijne», przy wszystkich swoich zaletach artystycznych, nie przemawiałyby zapewne tak żywo do naszych serc, napełniając je to przerażeniem i grozą na widok «Pana w gniewie», to smutkiem na myśl o tych, którzy płakali «Super flumina Babylonis», to bólem, jakim się krajało serce Jeremiasza na widok zburzonej Jerozolimy, to wreszcie otuchą, jaka wstąpiła w serce proroka, kiedy ujrzał, że słońce «ziemię, którą zniszczyła pożoga, znów świeżych liści wieńcami ocienia». Te właśnie «Melodye» przemawiają do serc naszych bez porównania żywiej, niż prawdziwie piękna zresztą, ze wszystkich najpopularniejsza, bo często deklamowana «Hagar na puszczy».

Prócz «Melodyi biblijnych» powstał w zaciszu wiejskiem jeszcze cały szereg poezyi lirycznych, nad któremi podniosłością nastroju i uczucia górują «Pogrzeb Kościuszki» (1853) i «Wieść o Adamie Mickiewiczu» (1856). Dźwięcząca w «Pogrzebie Kościuszki» miłość ludu wiejskiego odzywa się również w takich utworach, jak «Zawiana chata», «Do młodego poety», «Błonia medyckie», «Za służbą», ważnych dla charakterystyki Ujejskiego, jako człowieka i obywatela. «Tłumaczenia Chopina» znów są (podobnie jak «Chorał») owocem jego wrażliwości na muzykę, a jednocześnie świadectwem, że poeta, który tak żywo odczuwał uczucia narodowe, umiał się wczuwać i w uczucia indywidualne, czy to w ból dziewczyny, patrzącej podczas «Nocy strasznej,» jak tańczy wesoło jej ukochany, który ją porzucił, czy w rozpacz narzeczonego po stracie ukochanej narzeczonej («Marsz pogrzebowy»), czy w marzenia piętnastoletniej «Terkotki», czy w rojenia «Zakochanej», przerwane widokiem zajeżdżającego... proboszcza. Niektóre «Tłumaczenia Chopina» ze wszystkich poezyi Ujejskiego posiadają najwięcej wdzięku. Chyba, że o palmę pierwszeństwa pod tym względem ubiegać się z niemi będzie jeden z kilku, również w zaciszu wiejskiem napisanych, o b r a z k ó w («Podróż przerwana», «Niebezpieczna« i t. d.), treścią i rodzajem zupełnie odmienny, ale czarujący swoim wdziękiem: jest nim legenda p. t. «Pług i szabla» (niestety, nieukończona: jest tylko szabla, pługa niema!), małe arcydzieło, pomyślane w stylu staroszlacheckim, ale wykonane bez staroszlacheckiej rubaszności, owszem z przedziwnym smakiem i umiarem artystycznym, jaśniejące życiem i naturalnością, miłą pogodą i wręcz rozrzewniającym humorem.

Do tej samej doby twórczości Ujejskiego należą jego występy publicystyczne w lwowskim «Dzienniku literackim». Należą tutaj, oprócz artykułów o scenie lwowskiej (wydanych i osobno r. 1858), słynne «Listy z pod Lwowa» (1860, wydanie książkowe 1861). W pierwszym liście napiętnował Ujejski autorów Albumu wileńskiego, tych, jak mówi, «bezczelnych zdrajców» (odstępcami nazwał ich i Klaczko), «co, otuleni płaszczem łatwo u nas zdobywającej się powagi, każą

narodowi wierzyć, że to krzyżacka suknia ukrytego Wallenroda, i prowadzą go drogą oczywistej przeciw niemu zdrady i najjawniejszego odstępstwa, nito drogą zbawienia». List drugi, «O grobach Sieniawskich w Brzeżanach», wymierzył autor «przeciw bezdusznej arystokracyi, która, krwawą pracą swych przodków dzierżąc imię, znaczenie i majątki, zapiera się całej swej przeszłości, szarga swoje imię i obchodzi się z odebranymi spadkiem dostatkami lekkomyślnie albo samolubnie, jak z zdobytym łupem w koszu tatarskim, a równocześnie skazuje na przerażającą poniewierkę kości własnych swoich przodków i dawców swego mienia». Lecz najwięcej wrzawy narobił list trzeci, a raczej cała serya listów, «O Januszu i o panu Wincentym Polu». Wyidealizował tutaj Ujejski «Janusza», t. j. Pola-demokratę, autora «Pieśni Janusza» i «Pieśni o ziemi naszej», a odsądził od czci i wiary «Pana Wincentego Pola», t. j. Pola wstecznika, autora gawęd staroszlacheckich, apoteozujących anarchię i zgiliznę moralną. O «Januszu» mówi Ujejski w swojem własnem imieniu, o «panu Wincentym Polu» w imieniu całego narodu polskiego, chociaż go nikt do tego nie upoważnił. Mniejsza o to; gorszą jest rzeczą, że w napaściach na Pola przebrał Ujejski wszelką miarę, że mianem odstępcy napiętnował zacnego, czystego człowieka, który wprawdzie po roku 1846 ugrzązł po same uszy w konserwatyzmie i w tym duchu tworzył, ale który niemniej przeto uczciwym człowiekiem i gorącym patryotą być nie przestał. Serce się ściska, że takie oskarżenie padło na Pola, ale ściska się także serce na myśl, że oskarżycielem był człowiek tej szlachetności, co Ujejski, on, który miał «serce do uczuć, do łez skłonne oko!» Pobudki jego były godziwe — to nie ulega najmniejszej wątpliwości: poczytując tę drogę, którą poszedł Pol, za zgubną dla narodu, chciał go z niej sprowadzić, chciał wskrzesić dawnego Janusza. Wierzymy mu, że, zanim przystąpił do pisania swoich listów, «modlił się długo, prosząc o natchnienie», że chodziło mu nie tyle «o zwycięstwo nad panem Wincentym Polem, ile o zwycięstwo ducha narodowego»; z tem wszystkiem trudno się nie dziwić niektórym biografom Ujejskiego, że go całkowicie usprawiedliwiają; trudno natomiast dziwić się Polowi, że się przeprosić nie dał: są zarzuty, których c z ł o w i e k nie zapomni i nie wybaczy...

Jakże inne światło na piękną duszę Ujejskiego, na jego serce patryotyczne, nie tknięte zarazą szowinizmu i nacyonalizmu, rzucają dwa obrazki epiczne, których bohaterami są zacni i szlachetni Rosyanie: «Po latach osiemnastu» i «Ustęp z powieści sybirskiej», wydane razem w Lipsku (1862) p. t. «Dla Moskali», a poprzedzone przedmową prozaiczną, bardzo ważną dla poznania romantycznych poglądów autora na poezyę i na poetę, jako wieszcza i kapłana narodu.

Zbliżało się powstanie. Ujejski, który już w roku 1860 wołał w swoim «Marszu polskim» (napisanym w Jassach, dokąd wyjechał był na czas pewien, chroniąc się przed czujnem okiem policyi au-

stryackiej): «W górę serca i czoła», brał podobno jakiś udział w zawiązanej we wschodniej Galicyi organizacyi powstańczej. Po upadku powstania wyrwał się z jego piersi krótki krzyk boleści, ale zarazem i wiary: «Na ziemi mogił pogasły ognie, słychać w ciemności syk węży; cięży nam ręka straszna, o cięży, lecz nas nie złamie, nie pognie! Nie płacze naród na trupie syna, choć z niego proch i glina. Gdy przyjdzie pora, jutro, jak wczora, proch na proch weźmiem, glinę na ołów: pożary wstaną z popiołów». Nazwał Ujejski ten wiersz «Ostatnią strofą», zamierzając widocznie wziąć już rozbrat z poezyą. Lecz zbyt boleśnie odczuł poeta rok 1863, zbyt mocno raziły go hasła nowej epoki, aby mógł swoich uczuć nie wyśpiewać w pieśni. I oto powstawał powoli nowy cykl poezyi patryotycznych, które w druku ukazały się dopiero w r. 1893, p. t. «Skargi Jeremiego. Część druga». Owa «ostatnia strofa» jest tutaj pierwszą. Jako poezya, nie mogą się te nowe «Skargi» nawet mierzyć z dawnemi; są wprawdzie i tutaj piękne ustępy (zwłaszcza pieśń ósma, poświęcona pamięci Trauguta), ale, na ogół biorąc, dowodzą upadku talentu poetyckiego niemniej wyraźnie, jak «Obrazki dramatyczne» («Smok siarczysty» w dwuch częściach: I. «Precz». II. «Smok swatem») i gawędy ludowe («Ptasie gniazdko» i «Grzela»). A jednak druga część «Skarg Jeremiego» jest utworem bardzo ciekawym, jako dokument historyczny, mianowicie jako zwierciadło nietylko Ujejskiego, ale tych wszystkich marzycieli i patryotów, romantyków i poetów naszych, którzy przeżyli rok 1863 i najczęściej do samej śmierci nie mogli ani zrozumieć, ani odczuć nowych prądów, a cóż dopiero pogodzić się z nimi: wyrazem tego rozdźwięku jest nadewszystko pieśń druga i trzecia. Z tem wszystkiem nie mógł Ujejski nie uledz, jeśli nie zupełnie, to częściowo przynajmniej, zmienionym warunkom bytu narodowego: i oto on, który dawniej stawiał Bogu warunki, który się przed Nim korzył bardzo jakoś nieszczerze, teraz zdał się na Jego wolę już bez żadnych zastrzeżeń: «Czy chcemy, czy nie chcemy, czem kazał Bóg, będziemy!» Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby stracił swoją dawną wiarę: przeciwnie, do samej śmierci wierzył równie mocno i głęboko, jak w Boga, że Polska odzyska niepodległość, ale pod warunkiem, że posiędzie «siłę, co wzbogaca», a tą jest «praca ducha i rąk praca»; przez rąk pracę rozumiał Ujejski pracę około dobrobytu materyalnego narodu, przez pracę ducha — postęp moralny, nadewszystko wykorzenianie czterech najcięższych grzechów narodowych, którymi są: «pycha, prywata, lenistwo, obczyzna». Ale ta praca, to tylko, zdaniem Ujejskiego, środek tymczasowy, przygotowawczy: za środek główny i jedyny, wprost do celu wiodący, poczytywał po dawnemu zbrojne powstanie (tylko że usuwał je gdzieś w daleką przyszłość). Świadczą o tem wyraźnie jego p r z e m ó w i e n i a, wygłaszane podczas różnych uroczystości narodowych w kraju i zagranicą. Nigdzie indziej nie odzwierciedliły się tak pięknie i dokładnie jego uczucia i poglądy w ostatniej epoce życia, jego patryotyzm nawskróś romantyczny, jego iście młodzieńcza nadzieja i wiara, jego dobre i tkliwe serce, słowem cała jego dusza. «Uczucie stawiam wyżej rozumu, a natchnienie u mnie to rozumu szczyt»: te słowa, wyjęte z przemówienia do wyborców lwowskich (r. 1870), charakteryzują doskonale i przemówienia i mówcę. Innym razem powiedział Ujejski: «W publicznych moich przemówieniach starałem się rozwijać myśli polityczne, oparte na stałych prawach moralnych». Piękne to, szlachetne słowa, ale czy myśli, oparte na stałych prawach moralnych, mogą być «polityczne»? Może będą niemi «gdzieś na wieków późnej fali», ale dziś polityka jest negacyą etyki: otóż o takiej polityce nawet słyszeć nie chciał Ujejski, nie chciał stawiać jednocześnie i Bogu świeczki i dyabłu kaganka, i dlatego właśnie... był politykiem lichym.

Bezwzględność cechuje i jego działalność poselską w parlamencie austryackim (1877—1880) i, wcześniej jeszcze, jego działalność publicystyczną w r. 1868, kiedy to zarówno artykuły w «Dzienniku lwowskim», piśmie w duchu radykalno-demokratycznym, jak broszura «Odpowiedź na list otwarty» wywołały burzę nietylko w obozie konserwatystów galicyjskich, ale i w duchowieństwie poznańskiem. Zawsze i wszędzie, w czynach czy w mowach, stoi przed nami Ujejski, jako marzyciel i romantyk, jako poeta. Bo też był on przez całe życie swoje poetą i tylko poetą — niczem więcej.

Ostatnie lata swego życia spędził Ujejski w Pawłowie, u syna swego, Romana. Cicho już o nim było w Galicyi, cicho w całej Polsce; przypomniano sobie o jego istnieniu dopiero w r. 1893, kiedy to, pomimo oporu siedemdziesięcioletniego poety, przyjaciele urządzili mu wspaniały obchód jubileuszowy, uświetniony przemówieniem jubilata, ze wszystkich jego przemówień może najpiękniejszem. Po jubileuszu znowu zapomniano nieomal, że autor hymnu «Z dymem pożarów» żyje jeszcze. Lecz kiedy rozeszła się wieść, że dnia 19 września r. 1897 umarł «Jeremi polski», «z bożych śpiewaków ostatni», wówczas niejedno serce polskie ścisnęło się bólem na myśl, że niema już tego, który, jak archanioł z mieczem ognistym u wrót raju, stał z sercem swojem i wiarą na straży ideałów naszej wielkiej poezyi romantycznej, i nie pozwalał ludziom znieważać tej naszej najświętszej, obok Wawelu, świątyni narodowej.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Zupełnego wydania pism Ujejskiego dotychczas nie posiadamy. Nie licząc mocno okrojonego wydania warszawskiego r. 1898 oraz «Wyboru pism» z przedmową Ign. Chrzanowskiego (Kraków 1909), są dwa wydania zbiorowe: 1) Poezye, nowe wydanie z wyboru autora, 2 tomy, Lipsk (Brockhaus, 1866); tom pierwszy: Skargi Jeremiego, Drobne poemata i urywki, Melodye biblijne; tom drugi: Tłomaczenia

Szopena, Wiersze różne. 2) W roku 1893 (jubileuszowym) wyszły w Przemyślu: a) Melodye biblijne, wydanie trzecie, pomnożone; b) Wiersze różne, drugie wydanie, pomnożone; c) Skargi Jeremiego, wydanie szóste, drugą częścią pomnożone; d) Drobne poemata i urywki, wydanie drugie, pomnożone; e) Tłomaczenia Szopena i Beethovena, wydanie drugie pomnożone; f) Przemówienia, trzecie wydanie, uzupełnione (wyd. pierwsze wyszło w r. 1877 p. t. «Żywe słowa Jeremiego»). Zasługuje nadto na uwagę wydanie «Maratonu» i «Skarg Jeremiego», opracowane przez M. Janika. Brody (West), 1906 (Arcydzieła, t. 50). Luźne wiersze nieznane wydano niedawno w czasopiśmie «Lamus», Lwów 1908 – 1909. Tamże ogłoszono «Moją autobiografię», str. 89—101.

II. Ważniejsze prace o Ujejskim (i przyczynki). 1) M. Dzieduszycki: «Co się komu należy, słowo o p. K. Ujejskim i o p. W. Polu». Lwów, 1860. 2) Szreniawita (Bronisław Ujejski, brat poety): «Słów kilka o artykułach p. feuilletonisty «Czasu» i o broszurce «Co się komu należy», Lipsk, 1860. 3) «K. Ujejskiego reformatorskie zapędy», przedruk z «Tygod. Katol.» Poznań, 1868. 4) A. Bądzkiewicz: «K. U., zarys biograficzno-krytyczny». Kraków 1893. 5) J. Tretiak: «K. U. i jego poezya», Kraków, 1893 (odb. z «Czasu»). 6) A. Słonicki: «U., jako poeta narodowy», «Gazeta Kołomyjska», 1893, nr. 77—82. 7) Fr. Rawita: «Ostatni romantyk», («Świat», Kraków), 1893. 8) A. Mazanowski: «K. U., charakterystyka literacka», Sprawozd. gimn. w Stryju, 1894. 9) Tenże: «K. U.» «Przegląd Literacki», 1897. 10) M. Wolska: «Ze wspomnień o K. U.», «Słowo polskie (nr. 574) i «Tyg. Ilustr.» (nr. 40) r. 1897. 11) L. Dębicki: «K. U.», «Czas», 1896 (por. tegoż: «Portrety i sylwetki», Serya 2, Kraków 1906; ob. także «† K. U., urodzony w 1823 r., zasnął w Panu d. 19 września 1897 r. w Pawłowie», Kraków 1897, nakł. «Czasu». 12) T. Pini: «K. U. i jego utwory», Lwów, 1897 (W. Wolski; «U. i jego krytyk p. Pini», «Słowo polskie» 1898, nr. 33. T. Pini: «Kilka słów szermierzowi sławy Ujejskiego», tamże, nr. 44). 13) L. Rydel: «K. U.», «Bibl. Warsz.», 1898, I. 14) St. Tarnowski: «K. U.», «Przegl. pol.», 1898, wrzesień. 15) M. Janik: «O genezie twórczości K. Ujejskiego», («Życie», Kraków) 1898, nr. 8—12. 16) A. Mazanowski: «K. U.» Charakteryki literackie pisarzów polskich, V. «Bibl. powsz.» nr. 234, b. r. (1898). 17) K. Wróblewski: «Skargi Jeremiego», Lwów 1900. 18) Tenże: «Młodość K. U.», «Tyg. narodowy» 1901, nr. 8 – 11. 19) L. Méyet: «Słowacki i U.» «Kur. Warsz.», 1901, nr. 339. 20) J. B. Szado: «Znaczenie K. U. w dziełach i życiu». «Szkoła», 1902, nr. 20—25. 21) K. Wróblewski: «K. U.» (1823—1893), w dodatkach garść listów Ujejskiego, Szajnochy i B. Zaleskiego, Lwów, 1902. 22) «Listy U. do Lenartowicza», ob. «Kur. codz.» 1903» nr. 88, 90, 92 i «Gaz. lwow.» 1903, nr. 24 – 26. 23) «List U. do Szajnochy» (wyd. L. Bernacki), «Gaz. lwow.» 1903, nr. 154. 24) Ign. Chrzanowski: «K. U.» «Album biograficzne zasłużonych polaków i polek,» Tom 2, Warszawa, 1903; toż w «Okruchach Literackich,» Warszawa, 1903. 25) Tenże: «Pieśń Jeremiaszowa K. U.», «Polski Łan», 1907, nr. 8 – 12. 26) J. Dicksteinówna: «Jeremi polski (K. U.), wspomnienie w dziesięć lat po zgonie». Warszawa, 1908. 27) H. Biegeleisen: «Nieznana autobiografia K. U.» «Świat» (Warszawa) 1908. nr. 11—13. 28). A. B. Brzostowski: «Ci, których znałem», Warszawa 1910 (Biblioteka dzieł wyborowych).

A) Stance do mojej matki (1844).

(Wiersze różne, Przemyśl 1893, str. 37 – 39).

743) Oto twe dziecię, twój syn pierworodny
Znowu do serca twojego kołacze,
Ty je, jak zawsze, otwierasz — on płacze,
Bo w tę świątnicę znów wchodzi niegodny.

Ciasną mu była ojcowista chata,
Niby go gniotły matczyne pieluchy,
Młodego orła pobratymcze duchy
Wciąż go wabiły do boju — do świata.

Przestrzeżne słowa twojego pacierza
Mimo mych uszu płynęły, jak woda;
Szalono grała krew gorąca, młoda:
Do lotu ptaszę! — a skrzydła bez pierza!
I poleciałem...

Oto twe dziecię, jak ptak zabłąkany,
Powraca nazad do rodzinnej strzechy,
Szukać spoczynku, ciszy i pociechy,
Szukać balsamu dla zadanej rany.

Po własnej ziemi w pielgrzymim przejeździe
Przechował w sercu ból swego narodu,
A jemu na nie kładziono garść lodu,
I cierń go bodła w każdem obcem gnieździe.

To on, nim nową zamyślił wędrówkę,
Aby oślepić pamięci straszydło,
Pod twoje, matko, podsuwa się skrzydło,
Jak słabe pisklę przytula swą główkę.

Nie wiń go, matko! jeśli czasem we śnie,
Pomnąc na męki i cierpienia bliźnie,
On, choć szczęśliwy w swojej ojcowiźnie,
Nieraz zbudzony zakrzyczy boleśnie.

Nie wiń go, matko! gdy ostrem wędzidłem
Jeżeli pamięć mu sercem zatarga,
Z ust jego wyjdzie przekleństwo lub skarga —
Choć mu tak błogo jest pod twojem skrzydłem.

Oto twe dziecię, po męczącym boju,
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło,
I swe ramiona oplata wokoło,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.

Matko, on ciebie uwielbia i kocha,
Samego Boga on weźmie za świadka,
Boś ty mu wszystkiem, boś ty jego matka —
A reszta świata — to niby macocha.

O bo dla niego, dla twojego syna,
Nieraz ci troski głowę zakłopocą,
Nieraz zapłaczesz i bezsenną nocą
Westchniesz dla niego — o moja jedyna!

Bo jeśli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, jeśli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty, rodzicielka,
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

A on ubogi — czemże na podziękę
Za tyle ofiar, czemże się odpłaci?
Dla ciebie, matko, jak dla swoich braci,
Nic nie ma — tylko miłość i piosenkę.

Lecz jeźli kiedy lud, wypłatnik boży,
Wieniec mu sławy zawiesi u głowy,
To on dla ciebie pierwszy liść laurowy
Zerwie ze skroni i u nóg twych złoży.

O matko moja! jak silne łańcuchy,
Zarzuć, o! zarzuć nademną ramiona,
Osłoń mi oczy, przyciśnij do łona,
Bo znów na boje wołają mnie duchy!

B) Z „Maratonu“ (1845—7).

(Drobne poemata i urywki, Przemyśl 1893).

(Str. 5—6).

Wstęp.

744) Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha:
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,
Pieśń, co przypomni wam pobrzęk łańcucha.

Wy chcecie pieśni, by kwiatu do wieńca,
Coby śród uczty mogła was pochwalić:
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękłe dusze, jak zbroję, ostalić.

O! żal się, Boże — tak młode pacholę,
Zamiast miłować, muszę nienawidzić
I jasne czoło omarszczać w mozole
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę, szukając sposobów,
Jakby was zmężnić, — wszystkie drogi mylne!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne —

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskrzeszę stary świat zamarły;
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu
Przed sądem świata, przed własnem sumieniem,
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła, czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wiecie, bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

(Str. 6—7).

1.

745) Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzemie,
I osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,

Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył
I nóż ocierał, co się w niej pobroczył —
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!

Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni,
I leciał nocy osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał,
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:
Może mu teraz wróg braci wyrzyna
I starą matkę napawa krwią syna
I chatę niszczy ogniem i żelazem — ?
— Hej, niema czasu! Z satrapy rozkazem
Pędź dalej, gończe! Jeszcze drogi wiele!
Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele. —

Zerwał się goniec, znękany boleścią,
Ruszył przez puszczę z nakazaną wieścią
I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
A gdy na czatach zszedł innego gońca:
«Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!»
Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy
Jak struś, popędził, rozwinąwszy skrzydło —
I znikł przed słońcem, jak nocne straszydło.

(Str. 10—12).

3.

746) W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
Stoją na rynku i w nieznanej mowie
Coś ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.
Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
Wstąpił na kamień i zaczął tłómaczyć
Na język swojski; a miało to znaczyć:
«Daryusz, król Persów i Medów, pan świata,
«Na harde ludy plaga i zatrata,
«Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
«Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
«A może da się pokorą przebłagać,
«I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać».
Za każdem słowem lud, jako lew, mruczał,
A potem śmiechem szyderczym zahuczał,
Plwał w oczy Persom, szaty im rozdzierał,
Ciskał kamieniem, — Pers z trwogi umierał,

A lud, jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie — szalał w wściekłym gniewie
I wlókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalne przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał,
Widząc, jak Pers się po urwiskach chwytał
I czepiał cierni i okrwawiał ręce
I wył jak szakal w przedśmiertelnej męce.
A potem — ścichło, — potem jęk: — o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony:
«Tam podostatkiem i ziemi i wody!
Jedźcie i pijcie!»

Temistokles młody
Wystąpił z tłumu i rzecze: «Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie;
Lecz między nami jest Grek winowajca;
Niechaj więc ginie, jak oni, jak zdrajca!
Niech więc i tego nie ominie kara,
Co plugawymi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.
Odkiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa:
On nierozważnie o jej męty trącił
I czyste źródło mowy naszej zmącił.»

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie:
«W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie, niech ginie!»
I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi sług podłych. — W oznakę litości
Dwaj przyjaciele i bracia najszczersi
Własną mu ręką rozpłatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownym podzięku
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

(Str. 13—15).

5.

747) W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuścili bogi
I do wyboru dali mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepczą; «Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męstwo?»
A drudzy krzyczą: «Śmierć albo zwycięstwo!»
Śród nich Milcyades, jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitya z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.

«Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza.
Pan niedaleko, — niech do niego pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.

A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
Albo wytępim wrogów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się, wolni, schronim przed niewolą.
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladość trupia, — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną
I tą przemocą, co się zda niezłomną — ?
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?

Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha. —

A nas, nas wielkich praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi,

Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa,
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojem łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!»

A lud wykrzyknął: «Śmierć albo zwycięstwo!»

C) Ze „Skarg Jeremiego“ (1846).

(Z wydania w Przemyślu, 1893).

(Str. 6—8).

a) Noc natchnienia.

Modlitwa wstępna.

748) Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie miota się w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę, między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód;

Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno — drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi Lud się położył,
Lew — co przed światem straż trzymał wciąż.
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego, jako stal, twardy
I w słońcu wiary błyskał, jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy
Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A oto patrzcie — tę ziemię błogą
..... naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy, krusząc pęta,
Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno — w drugie morze..
Mój Boże — mój Boże!...

I krew płynęła — i znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie;
A noc tak cicha — liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głosy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze!..
Mój Boże — mój Boże!...

(Str. 28—30).

b) Modlitwa więźnia.

749) Mówią, o Panie, żeś mnie upokorzył:
A Tyś mi zasług i chwały przysporzył;
Mówią, o Panie, żeś Ty na mnie gniewny,
Że, twardy grzesznik, Twoje gromy kuszę:

A wżdy ja w duszy spokojny a pewny,
Bom w Tobie, Panie, położył mą duszę.
. . . . . .

Snadź łaska Twoja jest ze mną, o Boże,
Gdy wróg się trwoży, a ja się nie trwożę.
Niedawno temu, jak mię na powrozie
Przed liczne sługi ..... przywiedli,
Więc mię pytali w pogardzie i grozie:
«Tyżeś to?» — Jam jest. — A oni pobledli.

Potem sędziowie posiadali w kole
I położyli krzyż Pański na stole;
I rzekli: «Ktoś ty?» — Jam sługa narodu.
«Coś czynił zdawna?» — pytali ze złością.
— Jam naród kochał zdawna, bo od młodu. —
Więc rzekli razem: «Tyś winien — miłością».

A Syn Twój, Panie, co miłość nauczał,
Co bliźnim bliźnich w opiekę poruczał,
Co rzekł, że w niebie ci będą najpierwsi,
Którzy kochali, bardzo się zasmucił;
I niżej głowę opuścił na piersi
I oko swoje od sędziów odwrócił.

Wrogi, o Panie, pastwią się nade mną
I na mieszkanie dali otchłań ciemną,
Otchłań wilgotną, z ciemnością bez końca,
Ciężkim łańcuchem skuli ręce moje...
A mnie się zdaje, że ja mam dwa słońca,
Że mi od ramion rośnie skrzydeł dwoje.

A jednak, Panie, ciężko sercu memu,
I lotu ptaku zazdroszczę każdemu,
Bom ja na świecie zostawił w żałobie
Wiele serc bratnich i rodzinę drogą; —
To za nich oko podnoszę ku Tobie,
Bo ręce skute podnieść się nie mogą...

Ty moje gniazdo, wszechmogący Panie,
Swoim aniołom oddaj pod czuwanie;
Niech każdy z moich z wiecznie jasnej strugi
Twych błogosławieństw jasny żywot czerpie
I na kraj wolny nie czeka czas długi
I łez niech nie zna: a ja — niech już cierpię!...
. . . . . .

A wszakże, Panie, w Twojej leży mocy
Wyrwać mię z więzów i z tej strasznej nocy:
Lecz, jeśli sądzisz, że moje męczarnie
Ojczystą sprawę w stanie są popierać
Mocniej, niż życie prześlizgane marnie, —
O Panie, Panie, ja tu chcę umierać...

D) Ojcowski psalm (1850).

(Po urodzeniu się Kordyanka)

(Wiersze różne, Przemyśl 1893, str. 104—105).

750) Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba — światłe ciche;
Jedno dziecię! a weszło z niem takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele
I napełnia go wrzawą uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną
I tak się rozkochają w tem braterskiem gnieździe,
Że starce, jak pisklęta, kwilą przy rozjeździe.

Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: Pokój z twoim domem!
I zaledwie głos przebrzmiał, to nizka ta chata
Swą strzechę, jak ramiona dziękczynne, rozplata,
I podniósłszy ją w górę, swą małość przyczynia,
Aż stała się modlitwą, wielka — jak świątynia.

I zaraz w niej przybrało wszystko pozór święty,
Radosnem przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały,
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.

I odkiedy w niej mieszka niewiniątko Boże,
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
Słodka muzyka pszczółek ciągle gra na lipie.
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe...
A ja chodzę, jak senny, wielbię Pańską sprawę
I upajam się kwiecia i gołębi bielą
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą

I tem światłem ścian moich i wonnością pował...
O! jak Ty, Panie, ducha mego rozradował!!

E) Z „Melodyi biblijnych“ (1852).

(Z wydania w Przemyślu, 1893).

a) Hagar na puszczy.

(Str. 15—17).

751) Od słońca pożaru sczerniała mi głowa,
A w koło pustynia. — Do Ciebie, Jehowa,
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw, Panie! by niebo nade mną wychłodło,
I skały granitu zmień, Panie, na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż, Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam, Panie, kochała i była kochaną,
Szczęśliwą — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój, Izmael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Izmael opada, jak kwiat;
Ja tobie, o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz, czuwając, gdy zdrzemię na piasku,
Przebudzam się, trwożna, śród nocy i wrzasku:
Dławionej gazelli to wrzask;
A wkoło szakale oczyma mi świecą
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Sczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz, gdy uśnie, ja niosę... O Boże;
Izmael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina, przechyla się z nóg,
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och, wody! och, rosy!
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

---

b) Pan w gniewie,

(Str. 31–32).

752) Przyjdzie wróg wasz z licznymi, jak gwiazdy, zastępy,
A sprawię, że wam ręka kamieniem ociąży,
Waszą strzałę wiatr zniesie, wasz miecz będzie tępy,
Zawiść wam rzucę w serca, i wróg was zwycięży
Waszą bronią, — padniecie, krwią zlani, a sępy
Po polach włóczyć będą ciała waszych męży —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Wróg, jak szakal o ścierwo, targować się będzie
O wasze dusze, — kraj wasz rozerwie na ćwierci
I na moim ołtarzu w koronie usiędzie,
A klin, wbity do ziemi, tak wam kark przewierci,
Że nie ujrzycie gwiazd mych, ni mnie, com jest wszędzie,
Że zbawieniem wam będzie ciężka chwila śmierci —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

A jedni w obce kraje pójdą na tułactwo,
Konać będą z zwróconą ku swej ziemi twarzą;
A drudzy wór obloką i liche żebractwo,
U progu pełnych stodół na głód się poskarzą,

A inni, zaślinione, plugawe robactwo,
Własny naród obrzucą zdradą i potwarzą —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Piorunem na was spadnie mojej klątwy słowo,
Od ust wam chleb uciecze, a woda od dzbana,
I zawieszę wam niebo żelazne nad głową,
A ziemia wasza będzie martwa i miedziana,
I stanie się przede mną łzawicą kruszcową,
Dopóki jej nie spali łza, w środku rozlana,
Bom ja Pan, Bóg wasz.

Chmury na was, miast deszczem, posypią popiołem,
Skwar słońca wasze ciała pokurczy, pokarli,
I czołgać się będziecie z osłoniętem czołem,
Żałobnicy, co w bólu swe szaty rozdarli,
A nikt was nie pocieszy wieszczeniem wesołem,
Z swych grobów kląć was będą ojcowie umarli —
Bom ja Pan, Bóg wasz.

---

c) Super flumina Babylonis.

(Str. 83—85).

753) Płyną rzeki Babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym.
Ziemio święta! matko nasza! kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi gdy wstanie poranu,
Piękniej złoci dach Syoński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych, śród zielonych szarf,
Pokruszone wiszą struny od milczących harf:
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń.
«Hej harfiarze! syny wraże, z prochu wznieście skroń,
Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli!»
Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Nam, tułaczom, już swych dłoni na harfy nie kłaść,
Gdyby struny, jak pioruny, mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebię nie ogarnę mym synowskim żalem,
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń.
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się, jak cierń,
Niech mój język, jak gadzina, przyschnie do gardziela,
Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku niemowląt i żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy połysku łon,
Ty, coś wołał, by nam Syon spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu —

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięstw i chwał,
Jak lew z cicha, kiedy czyha, nasz Bóg będzie stał
I, coś zdziałał, toć z nagrodą odda sądem Bożym,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem!

Chwila jeszcze! a już będziem błogosławić tym,
Co nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym,
Z ramion matek wyrwą śpiące dzieciąteczek głowy
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy!

---

754) F) Zawiana chata (1852).

(Wiersze różne, Przemyśl 1893, str. 110).

Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą cichą nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz czerwono, już świecisz łuczywem,
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi, wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla,
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt, weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę!...
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

G) Z Legendy Pług i Szabla (1857).

(Drobne poemata i urywki, Przemyśl, 1893, str. 122—129).

755)

Było to bardzo dawno, dawniej, niż świat stoi,
Toż nie mogą pamiętać tego ludzie starzy.
Po bitwie z szatanami wracał w pełnej zbroi
Święty Michał na czele niebiańskich husarzy;
Pospolite ruszenie rozpuścił do domu,
A sam jeszcze lustrował kwarciane szwadrony:
Tym dał chwałę, tym lekką naganę, jak komu;
I, ścierając znój z czoła, bitwą rozogniony,
Nie obmywszy się ze krwi, w Boski dworzec kroczył,

I wkroczył, jak zwycięzca, śmiało i wspaniale.
Więc, zaledwie hetmana swego Pan Bóg zoczył,
Powstał z tronu: «A witaj, mi święty Michale!»
On zniżył się w pokorze i ugiął kolano.
«Zmachanyś waść!»

«Świadczę się tą zbroją rumianą,
Boże mój miłościwy, żem nie szczędził dłoni;
Zajeździłem pięć koni — no, ale w pogoni.
Niech żyje Bóg! Zwycięską składam Ci buławę,
Czyste wielkiej ojczyzny oddając granice.
Z tem paskudnem dyabelstwem dyablą miałem sprawę,

Ale teraz, gdy zdala ujrzy mą przyłbicę,
Zmykać będzie w przestrachu za dziesiąte piekła
Ta reszta niedobitków, która mi uciekła;
Nie powstanie już więcej ten chytry pyszałek!
Skąd kuchcie do patyny! — To mi gad, to śmiałek!
Wzdy zgniecion już na zawsze — już spokój — Cześć Bogu!
Na wieczne, wieczne czasy przytarłem mu rogu!»
To mówiąc, hetman Boży bardzo się zapalił,
Machał ręką, jak kiedy dyabłów w piekło spychał;
Słuchano go w cichości, Pan Bóg go pochwalił,
A trąby uderzyły: Wiwat święty Michał!

I rzekł Pan Bóg: «A odpasz to mieczysko długie» —
Długi był na trzy mile — «już na boje drugie
Nie pójdziesz: rzuć go w otchłań, a sprawię, że zniknie.»
On na to: «Miły Boże! toć na ten rynsztunek
Ja przecie zarobiłem; a szabla, jak trunek,
I anioł za nią stęskni, kiedy raz przywyknie.
A jeszcze taka głownia! bez skazy, bez szczerbu,
Czysta, jasna, jak splendor anielskiego herbu!
Niech ja już to żelazo na pamiątkę noszę!

Królu mój litościwy, bardzo o to proszę.»
Więc pozwolił mu Pan Bóg przez wzgląd na zasługi.

I chodził święty Michał przez wiek wieków długi
Po świetlicach niebieskich w żelaznej odzieży,
Z posadzek brylantowych dobywając brzęki.
Z początku rozkoszował w nich, jak żołnierz świeży,
Lecz później, ile razy wziął szablę do ręki,
Czuł, że go pali w dłoni wojenne zarzewie;
Gdyby choć jakie mustry albo jakie rewie,
Miałby czem swe marsowe zapały ostudzić;
Ale tego nie znano, więc zaczął się nudzić.

Przed tron raz przystąpiwszy, rzekł do Pana Boga:
«Wyślij mnie, Panie Boże, na jakiego wroga —
Wszak dałeś mi tę szablę ku mojej usłudze,
A w ciągłej bezczynności na śmierć się zanudzę;
Chodzę z kąta do kąta i aniołów straszę,
Chyba mi już zwierciadłem zostać w mojej blasze
Dla rozkochanych w swojej piękności anielic?
Wzdy potrzeba takiemu zwierciadłu, och! nie lic
Uśmiechniętych, lecz wrogów gromadę zaczepną,
Co zapędzą się, spojrzą padną i oślepną.
A teraz ja straszydłem tylko dla gawiedzi!
Ten Lucyfer jak zalazł w piekło, tak i siedzi.
Widzę, że i zwycięstwem można sobie szkodzić.
Nie trza było dyabłowi tak ostro dogodzić,
Byłby się ruszał jeszcze.»

Pan Bóg się uśmiechał
I, jak na dziecko, patrzał. Odszedł święty Michał,
Ciągle nosząc swej troski nieulżony ołów,
I był najnieszczęśliwszym najstarszy z aniołów.

Aż gdy po długich wiekach przyszła ta godzina,
W której Bóg na tę ziemię wysłał swego Syna,
Aby ją splugawioną krwią oczyścił własną
I postawił przed Ojcem promienną i jasną —
Umyślił Bóg, choć nieco wahał się w początku,
Dać świętego Michała swojemu Dzieciątku
Za straż, co pierwsze kroki dziecka ubezpiecza;
Lecz nakazał, by nigdy nie dobywał miecza.

Chodził więc święty Michał za Panem Jezusem;
Do ucieczki egipskiej nagiął się z przymusem
I nawet z Maryą Panną wskutek tej ucieczki
Podczas drogi do małej przychodziło sprzeczki.
Rozgderawszy się, mówił: «Trza było przeczekać!

Nie godzi się Synowi Bożemu uciekać!
Bezpiecznie można było zostać w Nazarecie,
A teraz Bóg wie na co, włóczym się po świecie.
Nie dobywając szabli, zabiłbym Heroda
Ot tą pięścią — i spokój! A i dzieci szkoda!
Już to Pan Bóg łagodnie postąpił z tym wrogiem —
Tyle dzieci! mój Boże! — Od czegóż być Bogiem?!»
A więc Najświętsza Panna sfukała bluźniercę:
«Szczłowieczałeś, jak widzę, ludzkie już masz serce,
Czemuż nie masz rozumu pobożnego człeka,
Co korzy się przed Bogiem, lecz go nie docieka?
Ty tajemnice Boże chcesz przebić swem czołem?
Pyłem jesteś przed Bogiem, chociaż archaniołem!
Żal ci krwi niewiniątek? A może anieli
Zazdroszczą tym wybranym tej krwawej kąpieli?
Nie wiesz, że krwi ofiarą zdobywa się ducha,
Że tę ziemię niepłodną łzami trza polewać,
Że na niej rosną tylko osty, kiedy sucha?
Ja chwały mego Pana nie przestanę śpiewać,
Choć wiem, że, abym doszła do siódmego nieba,
Ze siedmioma mieczami w sercu iść mi trzeba;
Święta jest wola Jego, a jam służebnica.»

Archaniołowi wstydem zapłonęły lica,
I łzy głębokiej skruchy pociekły mu strugą,
Gdy usłyszał królową, co się głosi sługą.
Bił się w czoło i sarkał na siebie: «Ot, głupi!
Czym ja od Lucyfera zaraził się pychą?
To królowa aniołów! a patrz, jak jest cichą!
Gdy komu wadzi serce, to niech je wyłupi!...»
I długo za świętego Józefa się chował,
A ukradkiem Maryi kraj szaty całował.

Odtąd przed wolą Boga zginał się w pokorze
I był, jako owieczka, choć żołnierz i mściciel,
I chodził za Chrystusem, gdy już Nauczyciel
Rzucał słowa żywota, nito głodnym zboże.
Acz w końcu nie odebrał z wytrwałości chluby,
Bo znów go krew uniosła w chwili strasznej próby!
Bowiem w nocy ostatniej na Oliwnej górze,
Kiedy Chrystus oddawał się w ręce siepaczy,
On, stojący przy furtce w ogrodowym murze,
A ujrzawszy żołdactwo, w żalu i w rozpaczy
Chwytał już za rękojeść.. i wstrzymał się w pędzie,
Spostrzegł się i wnet rękę opuścił bezwładnie,
Bo słowa nie dotrzymać bardzo jest niełądnie,

A dał słowo, że nigdy miecza nie dobędzie.
Lecz, gdy widział, że żołnierz pochwycił za ramię
I wlókł Syna Bożego, a wojenne znamię
Miał Piotr przy boku, szepnął do świętego Piotra:
A palnijże po uszach choć ty tego łotra!
Niech nam Chrystusa Pana nie biorą na sucho!»
Święty Piotr dobył szabli — i zleciało ucho.

Spostrzegł Pan Bóg, że będzie z nim trudniejsza sprawa,
W chwili, kiedy ofiara ma się pełnić krwawa;
Że, choćby miał i słowa swego nie dochować,
Święty Michał Chrystusa nie da ukrzyżować;
A że go wiele cenił i pełen był względu,
Więc świętego Michała odwołał z urzędu:
Inaczej świat nie byłby odkupionym światem,
Bo bez krzyża, a kręto byłoby z Piłatem.

Kiedy Chrystus, poniósłszy śmierć krwawą na krzyżu,
Wracał z piekieł i ujrzał smutnego w pobliżu
Michała archanioła, ten do nóg się schylił,
Rany Jego całował i, jak dziecko, kwilił:
«A bądźże miłościwym dla mnie, Chryste Boże!
Gdy Ty mi nie pomożesz, a któż mi pomoże!
Stary Pan Bóg coś gniewny, i ja się nie dziwię,
Miałby racyę ukarać mnie — i sprawiedliwie.
Miałem spokój! a teraz schodzę na ohydę,
A jeszcze z własnej woli wlazłem w taką biedę;
Nie lepiej mi z innymi było hymny śpiewać,
Trzebaż mi było miecza, jak dziecku, zachciewać?
On to butną krewkością napoił me serce,
Jak wąż kusiciel, szepcze ciągle o żołnierce;
Oto przy Twoich nogach tę pokusę kładę,
Co z nią zrobić, gdzie podziać, daj mi, Chryste, radę!»

A Chrystus odpowiedział: «Oto miecz ten skruszę
Miłosnem przebaczeniem. Uwolniłem dusze,
Pokutujące w piekłach za śmiertelne grzechy...
Bom nie jest wysłannikiem kary, lecz pociechy,
Ani ja jestem sędzią, lecz dawcą otuchy.
Oto pragnę i żądam, ażeby złe duchy
Nie chadzały z pokusą na glob odkupiony,
Nie podnosiły w ludziach już dłużej złych chuci
I nie stawiały sobie swych bożyszcz na trony:
Ach! bo te ludzkie dusze bez tego tak słabe...
Toż kiedy ciebie miecz ten i męczy, i smuci,
Użyj go po mej radzie za zaworną sztabę
I załóż nią na zawsze te piekielne wrota,

Niech na świat nie wychodzi szatańska niecnota.»
Święty Michał przed wolą Chrysta się ukorzył,
Odpasał szablę, bramę piekła nią założył;
Po zawieszeniu broni odszedł święty Michał,
Ale, wziąwszy dymisyę, zawsze nieco wzdychał.

H) Z „Tłumaczeń Szopena“ (1857—1860).

(Z wydania w Przemyślu, 1893)

a) Zakochana.

(Dzieło 8, mazurek 2).

756) (Str. 35—37).

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma,
Jak zaklęty, stoi.
Na dobrą intencyę
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie...
Przyjedzie! przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
Pewnie nie przyjedzie...
Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
Ach! srebrny, ach! złoty —
Tańczył tylko ze mną
I raz klął przede mną...
Nuż bałamut skręci...
Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
Podchlebiał matusi;
Ach! kocham, ach! wiecznie,
Ach! moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
A nuż panicz skrewi...
Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka — przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
No, to zresztą wyjdę już.
Ale za to będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje, mówi sam,
Nuż co złego mu się stanie —
No, to zresztą różę dam.
Ale za to pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować —
I to srogo — a więc w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.

Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!

Kasztanek na przedzie!...
E! to proboszcz jedzie.

I) Z części drugiej „Skarg Jeremiego“ (po r. 1863).

(Z wydania w Przemyślu, 1893).

757) (Str. 54—57).

Włosy ściągnąłem na brwi,
Oparłem głowę o głaz,
W ciemnej ukryty jaskini.
Niejeden trąca mnie płaz
I pyta: Czy on śpi?
Czy zmarły? — nic nam nie czyni...
Wesoło w naszej pustyni!

Głos skądsiś woła: Śpiesz!
Tam lwięta w uściskach bratnich
Pląsają z szakalami,
Na wspólny wychodzą łup;
Ty jeden z tych ostatnich,
Co wiedli nas pieśniami;
Do zdrożnych przemów rzesz,
Pokaż się — powinność rób.

A wkoło rzegoce gwar,
I pada głos, jak cios:
«Minął czas ułud i kar,
Orły wymarły i lwy.
A na czele teraz my!...
Wnet pójdą zmartwiałe dusze
Pod nasze berła pastusze!...»

I nowy cios, inny głos:

«Ideałem już nie świeci
Przewaga niewiast i dzieci;
Te z kijmi wydały bitwę,
Tamte cud kładą w modlitwę...
Rzeczywistość jedna czuwa;
Niech już ludzi nie zatruwa
Ta społeczna trój-trucizna:
Honor, poezya, ojczyzna...»

I nowy cios, inny głos:

«Co nie ma racyi, niech ginie:
W łomy obróćmy świątynie,
Gruz się opłaci sowito;
Chrystusowy Polski żłobek
Niech także daje zarobek:
Wynająć go na koryto...»

A do takich sprośnych głosów
Przyplątał się szept niewieści:

«Co za obraz smętno-dziki!
Powietrze pełne niebiosów,
Księżyc srebrem aż szeleści,
Po laurach płaczą słowiki,
Na grobach hyena szczeka,
I skrzypią szubienic szczątki,
Strasznego szału pamiątki.
Gdybyż teraz, a z daleka
Wmieszał się w te ciche tony
Ryk lwa groźny, przytłumiony —
Jakżeby to było ślicznie,
Romantycznie i drastycznie!»

Zesztywniały, na głaz twardy,
Skłębiony w pokutnym dole,
Wszystkie wycierpiałem bóle:
Od rozpaczy do pogardy.
Bez nadziei zmartwychwstania
Chciałem tak przejść w sen skonania;
Lecz te głosy ciągłym zwrotem
Uderzają na mnie grotem,
A on moje wnętrze kraje,
W milczeniu umrzeć nie daje —
A więc wstaję!

Wyciągam ścięgi nóg,
Na skalny skaczę próg,
Wichrami grzywę maszczę,
Sto gromów wziąłem w paszczę,
Chcieliście?... Słyszycie ryk? —
On wam zamrozi szpik,
On wasze kości przewierci,
Bo on wam zwiastunem śmierci!

(Str. 77—79).

XII.

758)

Po każdej klęsce i zawodzie
To mów, narodzie:
«Grzmij, losie! gradem i płomieniem
Niszcz moje plony:
Urągam ci spojrzeniem
Nieschylony.
Napróżno błyskawicą wkoło mnie się wijesz:
Mnie nie zabijesz!
Tyś martwy — ja żywy,
Bom cierpliwy!
Idę moją drogą,
Orzę, sieję —
Nim źdźbło wytryśnie, już zbieram nadzieję.
Z wolą wrogą, z wolą srogą
Walczę chrobrze —
Przygniotła mnie?... i tak dobrze!
Cierpię, lecz się nie poddaję.
Mam ja siłę, co wzbogaca:
Praca ducha i rąk praca —
Jedna ginie, inna wstaje!»

* * *

Dusze cierpliwe, bolesne dusze,
W tej zawierusze,
Co światem miota,
Bądźcie spokojne, gdy pracowite,
Choć drogi wasze wężami wite,
Choć was otacza chmurzysk ciemnota,
Macie pochodnię — zwie się: Ochota!

Chociaż nie lotnie,
Byle ochotnie,
Idźcie do kresu.. Piękny to kres!
Kto go zdobędzie,
Promieniem będzie
Nad morzem znoju i morzem łez.
O święta, o mocna
Cierpliwości!
Córko rozumu i miłości!
I, jako takiej, na wieczność
Dana ci zwycięstw konieczność,
Przed tobą pierzcha mgła nocna,
Jasnościom otwierasz bramę —

I przez tę złotą ramę
Wprowadzisz tłumy nędzarzów:
Do ołtarzów!

Na każdym z nich,
Na każdym takim stole
Nie będzie jadów złych;
Chleb będzie, chleb powszedni,
Ubłogosławiony, przedni,
Zdobyty w wieków mozole,
Ręką Chrystusa pobłogosławiony,
A te ołtarze, jak trony —
I każdy przy nim, jak król, mający swą wolę.

Opracował: IGN. CHRZANOWSKI.

XCI.

GOŁUCHOWSKI JÓZEF.

(1797—1858).

Urodził się 11 kwietnia 1797 w Łączkach pod Tarnowem (w Galicyi). Po śmierci ojca Jana Nepomucena Gołuchowskiego, b. majora wojsk polskich, który go odumarł, gdy był w latach chłopięcych (w r. 1808), matka (Eufemia z Radziłowskich) odwiozła syna do Wiednia i oddała go do liceum, t. zw. Theresianum. W tej uczelni, która była zakładem zamkniętym, chował się Gołuchowski do r. 1817; odznaczył się już tu zdolnościami i szybkiemi postępami w naukach. Będąc jeszcze na ławie szkolnej, napisał kilka rozprawek i artykułów po niemiecku, z których kilka ogłosił drukiem, czy to osobno, czy w czasopismach wiedeńskich. Na szczególną uwagę zasługuje rozprawka «O wpływie matematyki na wykształcenie człowieka» (*Ansicht des Einflusses der Mathematik auf die Bildung des Menschen...* 1816), w której z zapałem młodzieńczym rozwodzi się o znaczeniu matematyki, która kształci i pogłębia umysł, odwodzi go od płytkości sądów; w wywodach swych opierał się na filozofii ówczesnej niemieckiej (Kanta, Fichtego i innych). Po ukończeniu studyów w Wiedniu, Gołuchowski wyruszył w r. 1817 do Warszawy, by w kraju ojczystym spożytkować nabyte na obczyźnie wiadomości. Zabiegał tu o katedrę matematyki w świeżo założonym uniwersytecie, ale bez skutku, jak się bowiem okazało, wiadomości jego matematyczne nie były na poziomie ówczesnych, dość surowych wymagań; w ciągu tych starań zapisał się jako uczeń na wydział prawny w uniwersytecie. Słuchał wykładów J. W. Bandtkiego, Ksaw. Szaniawskiego, W. A. Maciejowskiego, Fryd. Skarbka, A. J. Zabellewicza i innych. Jednocześnie dawał lekcye greczyzny i matematyki w liceum, pod dyrekcyą Lindego zostającym. Studya uniwersyteckie i zajęcia nauczycielskie nie przeszkadzały mu do brania czynnego udziału w życiu ówczesnej młodzieży akademickiej; był jednym z najruchliwszych i najwpływowszych; na początku r. 1819 zorganizował «Towarzystwo akademickie Czcicieli

nauk»; ułożył dla niego «Ustawy» i był prezesem związku; ale po kilkumiesięcznym istnieniu zostało ono przez zwierzchność uniwersytecką rozwiązane. Pod koniec studyów akademickich, Gołuchowski napisał trzy rozprawy konkursowe po łacinie, filozoficzną, prawną i teologiczną, z których dwie uniwersytet nagrodził złotemi medalami. Trzy lata trwały studya prawne przyszłego filozofa na uniwersytecie warszawskim; ukończył je w roku 1820; po przedstawieniu dwu rozpraw — łacińskiej dla Bandtkiego, i polskiej dla Skarbka — otrzymał Gołuchowski stopień magistra prawa i administracyi. W jesieni, jeszcze tegoż roku (1820), Gołuchowski rozpoczął w uniwersytecie, w charakterze lektora *(magister legens)*, wykłady Prawa Natury; jednocześnie zamierzył ubiegać się o katedrę filozofii w uniwersytecie wileńskim i na ogłoszony w tym celu konkurs, napisał rozprawę na temat: «Zasady logiki, metafizyki i filozofii moralnej». Pomimo współzawodnictwa księdza Anioła Dowgirda i Michała Wiszniewskiego i poparcia tego ostatniego przez kuratora księcia Adama Czartoryskiego, Gołuchowski odniósł zwycięstwo. Rozprawę jego wyróżnił Jan Śniadecki dla jasności wykładu i niepokalaności języka, pomimo, że wiał z niej nienawistny dlań duch filozofii niemieckiej. Uniwersytet mianował Gołuchowskiego d. 1 maja 1821 r. profesorem nadzwyczajnym, z poleceniem odbycia, przed objęciem katedry, podróży naukowej do Anglii i Szkocyi, dla przeniknięcia się zasadami racyonalistycznej filozofii szkockiej, co by mu dopomogło do otrząśnięcia się z zbytniego wpływu metafizyki niemieckiej.

Tymczasem, Gołuchowski, nie czekając na wynik konkursu, nim go doszła uchwała senatu wszechnicy wileńskiej, wziął jeszcze w kwietniu (1821) urlop od władzy uniwersytetu warszawskiego i dla dalszych studyów naukowych wyjechał zagranicę. Starania jego, czynione przed wyjazdem, o doktorat uniwersytetu Jagiellońskiego nie odniosły skutku. Po dwumiesięcznym pobycie w Paryżu, Gołuchowski udał się do Heidelberga i tu 12 sierpnia 1821 r. uzyskał tak upragniony stopień doktora filozofii, na podstawie dwu rozpraw: «o filozofii moralnej» w języku niemieckim (napisanej jeszcze w r. 1817) i «o Rzeczypospolitej Platona» w języku łacińskim. Z Heidelberga pojechał do Erlangen, dla słuchania wykładów Schellinga, który czarem swojej fantazyi ściągał zewsząd młodzież do wszechnicy bawarskiej. W krótkim czasie zdolny uczeń zawarł z uwielbianym profesorem serdeczne stosunki przyjaźni i napisał w duchu jego filozofii, pełną zapału «dla rzeczy wiekuistych», zarazem przesiąkniętą pesymizmem życiowym rozprawę po niemiecku «O stosunku filozofii do życia narodów i jednostek» *(Die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen)*, którą ogłosił drukiem w Erlangen w r. 1822. Rozprawa Gołuchowskiego (dedykował ją swemu mistrzowi, «w dowód serdecznej miłości i czci») znalazła uznanie wśród Niemców.

Pod koniec grudnia 1822 r., w półtora roku po nominacyi, Gołuchowski został wreszcie przez ministeryum oświaty w Petersburgu

zatwierdzony jako profesor filozofii uniwersytetu wileńskiego, ale kurs swój filozofii, który podzielił na trzy części: antropologię, logikę i etykę, rozpoczął dopiero po wakacyach roku następnego, d. 27 października 1823. Niesłychane powodzenie jego wykładów, tłumnie uczęszczanych przez słuchaczy i publiczność, zwróciło baczną uwagę władz miejscowych, zajętych wówczas sprawą Filaretów, i zbudziło ich podejrzliwość. Wykłady Gołuchowskiego w styczniu 1824 zawieszono, a gubernator przesłał o tem raport W. Księciu Konstantemu. Z polecenia Wielkiego Księcia, Nowosilcow zabrał się do zbadania przyczyn tej popularności Gołuchowskiego; po przejrzeniu programu kursu profesora i przeczytaniu jego niemieckiej rozprawy «O stosunku filozofii do życia», uznał wykłady jego za szkodliwe, doszedł bowiem do przekonania, że pod postacią filozofii ukryta w nich była tendencya patryotyczna, inaczej trudnoby było wytłumaczyć «niezwykły zapał słuchaczy do nauki suchej, pozbawionej takiego uroku, jak poezya lub fizyka doświadczalna»; należy zatem Gołuchowskiego usunąć z katedry. Gołuchowski miał jeszcze na zakończenie roku akademickiego w d. 30 czerwca (1824) wygłosić odczyt «O cierpieniach ludzkich»; do tego już jednak nie doszło. Otrzymawszy, wraz z profesorami Lelewelem, Daniłowiczem i Bobrowskim, dymisyę, opuścił w sierpniu, z polecenia władz, Wilno i wrócił do Warszawy.

Jeszcze w dniu 7 marca 1824, na przedstawienie Wincentego hr. Krasińskiego, Gołuchowski został obrany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk członkiem korespondentem. (Rozprawę jego niemiecką o stosunku filozofii do życia zreferował był jeszcze w r. 1822 na posiedzeniu publicznem Towarzystwa, niegdyś jego profesor, Skarbek). Z powodu tego wyboru W. Ks. Konstanty wyraził swoje niezadowolenie. Na posiedzeniu Towarzystwa w d. 13 czerwca 1824 Gołuchowski, przybywszy na czas krótki z Wilna do Warszawy, odczytał rozprawę «O cierpieniach, nieoddzielnych od ludzi w każdym stanie i wieku», tę samą, którą w dwa tygodnie później miał, ale nie mógł, wygłosić na uroczystem posiedzeniu w uniwersytecie wileńskim. Z powodu niemiłej niespodzianki, jaka go, w kilka miesięcy potem, spotkała od Towarzystwa, Gołuchowski omało co z niem nie zerwał. Oto w początkach marca 1825 przedstawił on wydziałowi umiejętności wyjątek z dzieła «Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka»; większość jednak członków wydziału, z biskupem Prażmowskim na czele, była przeciwna odczytaniu na posiedzeniu publicznem, «wśród tylu rzeczy świeckich», «pisma, mającego cechę religijno-moralną i w którem święte imię Boga tak często jest powtarzane»; usunięto więc z programu posiedzenia odczyt Gołuchowskiego. Dotknięty tem do żywego, G. wystosował list do Towarzystwa, w którym złożył godność członka. Sprawę jednak widocznie załagodzono, mimo bowiem swej rezygnacyi, Gołuchowski z grona Towarzystwa nie wystąpił.

Po wybuchu powstania listopadowego, Gołuchowski, który przebywał w tym czasie na wsi w Sandomierskiem, przyjechał do War-

szawy i wystąpił w styczniu 1831 z odczytami publicznemi w auli uniwersyteckiej, treści filozoficzno-politycznej, nawiązując je do palących zagadnień chwili ówczesnej. O tych prelekcyach jeden z słuchaczy ówczesnych Gołuchowskiego, Paweł Popiel, z zachwytem się wyraża. Miał też mowę w d. 23 lutego 1831, przy poświęceniu sztandarów powstańczych z napisem «Za naszą wolność i waszą». Obrany w r. 1831 dyrektorem (radcą) Komisyi Oświecenia, Gołuchowski żywy brał udział w zamierzonej reformie uniwersytetu i przedłożył drugi (po Trentowskim) projekt reformy, która już zresztą, z powodu biegu wypadków, przeprowadzona być nie mogła.

Ożeniwszy się, na krótko przed powstaniem listopadowem, z owdowiałą bratową, Magdaleną Gołuchowską, Gołuchowski nabył w Sandomierskiem, pod Opatowem, zrujnowany majątek Garbacz, po upadku sprawy narodowej, osiadł w nim na stałe i oddał się gospodarstwu wiejskiemu i wytężonej pracy na roli. «Bolesnem było rozstanie się z nauką» — pisał później w przedmowie do «Dumań» — «w której wszystek zapał młodości, wszystkie wysilenia obudzonej do myślenia duszy i wszystkie nadzieje przyszłości były ulokowane. Ale człowiek nie jest panem nieprzyjaznych mu okoliczności, a skoro ich nie może usunąć, powinien im czoło stawić i nie dać się przez nie zgruchotać...; nie przyniosłoby to honoru temu, co około nauk chodził, gdyby się w praktycznym życiu niedołęgą okazał i w nowym zawodzie rady sobie dać nie umiał» (str. XV—XVI). Filozofia mogłaby zadać kłam opinii o niej niepochlebnej, pomawiającej ją o niezdolność do pracy praktycznej, produkcyjnej, w utylitarnym tego słowa znaczeniu — filozof bowiem zasłynął niebawem jako wzorowy gospodarz agronom, nietylko w najbliższej okolicy, bo nawet Wojciech Jastrzębowski oddawał Gołuchowskiemu uczniów swoich (z Marymontu) na praktykę w Garbaczu. Filozofia, jak się zdawało, w łeb wzięła, bo kiedy się redaktorowie czasopism do Gołuchowskiego zwracali z prośbą o jaki artykuł z zakresu filozofii, zwykle się wymawiał niemożnością pogodzenia pracy gospodarczej z pracą naukową; co najwyżej posyłał jakieś okruchy dawniejszych, młodzieńczych swych prac. Że Gołuchowski jednak interesował się zawsze kwestyami filozoficznemi, że myśl jego ciągle pracowała w tej dziedzinie, że gospodarz-filozof w zaciszu wiejskiem zatapiał się w «dumaniach nad najwyższemi zagadnieniami», człowieka i stosunku jego do wieczności dotyczącemi, dowodzi tego jego korespondencya z Józefem Morawskim, bratem generała-poety, i dzieło filozoficzne, które się już po śmierci myśliciela ukazało. Korespondencya Gołuchowskiego z J. Morawskim wywiązała się w r. 1842 z powodu odczytów berlińskich Schellinga («O filozofii Objawienia»), który, po długoletniej przerwie, ponownie, w r. 1841, wystąpił na katedrze; wbrew Morawskiemu, trzymającemu się poglądu, że «filozof jest myślą przykuty do kolumny, na której wznosi się posąg Religii», bronił Gołuchowski niezależności wiedzy od wiary.

W połowie r. 1845 wybrał się Gołuchowski w podróż po Europie:

zwiedził Włochy, Szwajcaryę, Niemcy, wreszcie 23 listopada (1845) stanął w Berlinie, gdzie chciał się zobaczyć z Schellingiem. Uczęszczał na jego prelekcye, a na uczczenie urodzin mistrza, w kilka dni po nich, wydał ucztę (d. 1 lutego 1846), na której był między innymi obecny Aleksander Humboldt; Gołuchowski wygłosił wtedy na cześć Schellinga mowę, którą niebawem w Berlinie wydrukował. Po pięciomiesięcznym niemal pobycie w Berlinie, G. wyjechał, 18 kwietnia 1846, do Londynu; stąd (8 lipca) do kąpieli morskich w Scheveningen pod Haagą; wreszcie po całorocznej nieobecności wrócił do kraju. Pod wrażeniem rzezi galicyjskiej napisał w r. 1847 książkę p. t. «Kwestya włościańska w Polsce» (druk. 1849), którą, po uwłaszczeniu przez rząd austryacki chłopów w Galicyi, rozszerzył i ogłosił p. n. «Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i Rosyi» (Poznań 1851). Wystąpił w tym dziele przeciwko oczynszowaniu, domagając się uwłaszczenia chłopów, ale powolnego, za pomocą stopniowego wykupu przez nich gruntów. Ogłosiwszy w ostatnich latach życia rozprawkę «Światowość w stosunku do obyczajów uważana» (1853) i broszurę «Kwestya reformy Żydów» (1854), Gołuchowski, jakby przeczuwając rychłą śmierć swoją, wykończył w ciągu siedmiu miesięcy (od 6 listopada 1856 do 16 czerwca 1857) główne swe dzieło, nad którym już oddawna pracował: «Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka»; wyszło ono z druku już po śmierci autora (1861 r.); pisał je, jak sam wyznaje, ażeby obalić «kalumnię», w pismach poznańskich na siebie rzuconą, że się dla robienia majątku sprzeniewierzył nauce. Jeszcze przed d. 1 listopada 1858, Gołuchowski skreślił dla «Gazety warszawskiej» opis uroczystości rozdania nagród, przyznanych przez Towarzystwo Rolnicze w okręgu staszowskim. Zmarł w pół roku po podpisaniu przedmowy do «Dumań» (13 kwietnia 1858), d. 22 listopada 1858 w Garbaczu. Pochowany w Mominie.

O Gołuchowskim, jako o człowieku, ci, co go znali, odzywają się z najwyższym zachwytem. E. Ziemięcka, z którą Gołuchowskiego łączyły stosunki serdecznej przyjaźni, czego dowodzą, zarówno długoletnia ich korespondencya, jak i jej wspomnienie pośmiertne o nim, wyraziła się o Gołuchowskim, że była to dusza, «dla której kochać i poświęcać się było jedno i to samo; a takim był Gołuchowski we wszystkich swoich uczuciach, we wszystkich swoich stosunkach. Wylany dla rodziny, prawdziwy wzór w domowym życiu; wylany dla przyjaciół, takim był jeszcze dla narodu, dla ludzkości całej, bo miłość ludzi była jednością i zasadą jego życia» («Dumania», t. I, str. VIII).

Gołuchowski, uczeń i wielbiciel Schellinga, nie wyrzekł się go, jak Mochnacki, lecz do końca życia pozostał szelingjaninem; heglistą, jak główny zastęp naszych filozofów, nigdy nie był. Od lat młodzieńczych do starości zajmowały myśl jego najogólniejsze zagadnienia, zagadnienia, które od wieków były przedmiotem filozofii spekulacyjnej — a więc istota Boga, stosunek człowieka do Bóstwa, nieśmiertelność duszy, stosunek rozumu do wiary, znaczenie filozofii w życiu

narodów i jednostek; w dyalektyczne ich rozwiązywanie, jak hegliści, nie bawił się, przejąwszy od Schellinga wiarę w moc intuicyi *(intellektuelle Anschauung)*, za której pomocą przejąć możemy bezpośrednio treść najwyższych prawd, bez uciekania się do dowodów i wniosków. Swemu wyznaniu wiary filozoficznemu, które złożył w młodzieńczej rozprawce «O stosunku filozofii do życia», pozostał w zasadzie wierny do końca żywota. Istotą filozofii było dla niego «uglądanie» wszystkiego w Bogu, «wyszukiwanie Boskości, gdziekolwiek ta się znajduje» (Filoz. i życie, str. 38), — to też główną kwestyą, która zaprzątała w ciągu życia jego umysł, była kwestya stosunku wiedzy do wiary, było zgodzenie rozumu z wiarą i wiary z rozumem. Z punktu widzenia Gołuchowskiego, «wiara i wiedza stanowią jedną organiczną całość, której bezkarnie rozrywać nie godzi się; są one tak ściśle ze sobą połączone, iż nawet nie tak łatwo rozeznać, gdzie się jedno kończy, a drugie zaczyna». (W liście do J. Morawskiego z d. 3 kwietnia 1842). «Wiara nic innego nie jest, tylko przypuszczenie, że jest wyższy rozum od naszego, że jest najwyższy rozum» («Dumania», II, 459). (Por. też «Filoz. i życie», str. 38: rozdz. II. D. O stosunku filozofii do religii w ogólności). Pomimo, że starał się pogodzić wiedzę z wiarą, Gołuchowski nie stał na ciasnem stanowisku zwolenników t. zw. filozofii katolickiej, której najwymowniejszą przedstawicielką u nas była Eleonora Ziemięcka. Gołuchowski nie uznawał wyższości wiary nad wiedzą, dla niego jedna i druga były równo uprawnione, gdy tymczasem Ziemięcka żądała, by się rozum przed prawdami objawionemi ukorzył. Szukając sposobu pogodzenia rozumu z wiarą, Gołuchowski doszedł wreszcie do przekonania, że «póki nie będzie rzucony most przez tę ogromną przepaść, jaka jest między wiarą a rozumem... póty dla człowieka nie będzie spokojności». Takim mostem może być tylko miłość, która «wszystkie sprzeczności usuwa, wszystkie najzawilsze zagadki rozwiązuje, wszystkie wątpliwości uprząta» (XXVI—XXVII). «Jak w fizycznym świecie jest pewien punkt, punktem ciężkości nazwany, którym, gdy zawładniesz, całe ciało poruszysz; tak też i w umysłowym świecie to, co zwykliśmy nazywać sercem, jest takim punktem ciężkości, który gdy opanujesz, całego człowieka masz za sobą. Wówczas wlewasz w niego ochotę, najtrudniejsze rzeczy stają się łatwe, i prowadzisz go za sobą, jak magnesem żelazo. Wszelka myśl musi być wprzód wygrzana w ognisku serca, zanim z niej w rzeczywistości coś ukuć potrafisz» («Dumania», t. I, str. XXXI).

Taki jest wynik rozmyślań («dumań») całego życia naszego filozofa, taką była idea przewodnia, która mu w tym życiu przyświecała.

BIBLIOGRAFIA.

A) Pisma. Wydania zbiorowego pism Gołuchowskiego niema. Osobno, lub w czasopismach, wyszły następujące prace: «Ansicht des Einflusses der Mathematik auf die Bildung des Menschen...» Wien 1816; przekład polski M. Mochnackiego, p. t. «O wpływie matematyki na wykształcenie człowieka», ukazał się w «Dzienniku Warszawskim» 1825 (przedruk w Kalendarzu Ungra na r. 1853). — «Skizzen einer Reise nach Constantinopel...» Pest 1817, jest to opis podróży, ułożony przez Gołuchowskiego na podstawie udzielonych mu materyałów barona Stürmera; «Die Salzbergwerke zu Wieliczka und Bochnia von ihrer historischen Seite betrachtet» (w czasop. wiedeńskim «Der Wanderer» 1816); «Gemeingeist» (tamże, 1816); «Die Barbaresken» (tamże, 1816); «Krakau und seine Umgebungen» (tamże, 1817). — «Die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen». Erlangen, 1822; przekład polski P. Chmielowskiego p. t. «Filozofia i życie». Warszawa 1903. (Przekł. rosyjski ukazał się jeszcze w r. 1834 w Petersburgu). — Prelekcya wstępna wygłoszona w Wilnie d. 27 paźdz. 1823 w «Bibl. Warsz.» 1842, t. II, p. t. «Otwarcie kursu filozofii w Wilnie» (toż w «Kron. Rodzin.» 1890, pod mylnym tytułem: «Dwie prelekcye . . .); urywek p. t. «Czem nie jest i czem jest filozofia» — w «Noworoczniku Literackim» na r. 1843 (Wilno). — «O cierpieniach ludzkich» («Noworocznik Liter.» na r. 1838); jest to wyjątek z nieogłoszonej «Mowy na publicznem posiedzeniu cesar. wileń. uniw. d. 30 Junii 1824, przez W-go Gołuchowskiego ... mianej». — «Idea życia» i «Refleksya i wiara» w «Noworoczn. Liter.» 1843. — «List J. Goł-go do p. J. M(orawskiego)» w «Bibl. Warsz.» 1842, II; toż w brzmieniu poprawnem — w «Roczn. Tow. P. N.» Poznań, 1906. — «Rede gesprochen zu Berlin am 1 Februar 1846 von ... bei Gelegenheit eines Festmahles, das derselbe zur Nachfeier des am 27 Jänner eingetroffenen Geburtstages des Herrn geh. Rathes von Schelling veranstaltet hatte». Berlin, 1846. — «Sposób leczenia cholery zapomocą zimnej wody, szczęśliwym skutkiem uwieńczony». Warszawa, 1849. — «Kwestya włościańska w Polsce». Lipsk, 1849. — «Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i w Rosyi«. Poznań 1851. — «Kwestya reformy Żydów», przez Klemensa Przezora. Lipsk, 1854. — «Światowość w stosunku do obyczajów uważana». Kraków, 1856 (przedtem w «Snopku literackim». Poznań, 1853, P. Wilkońskiej). — «Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka». 2 tomy. Wilno, 1861 (z wspomnieniem o J. Gołuchowskim, E. Ziemięckiej. Wyjątek z t. II (67, 68, 69) podał w piśmie zbiorowem «Wieniec» (Warszawa 1857—58), ofiarowanem St. Jachowiczowi). — *Listy:* Do Redaktora Tygodnika Literackiego. Poznań. («Tyg. Liter.», 1838); do J. S. Bandtkiego z r. 1821 («Pam. Liter.», 1904); do Towarz. P. N. z r. 1825 (Kraushar: «Tow. Prz. Nauk», t. VI, 153); trzy listy do Józ. Morawskiego z r. 1842 i jeden do Wojc. Morawskiego z r. 1841 w «Roczn. Tow. P. N.», Poznań, 1906 (list z d. 3-go kwietnia 1842, był już ogłoszony w «Bibl. Warsz.» 1842); wyjątki z listów do E. Ziemięckiej z lat 1844—1849 w «Przegl. Filozof.» 1903 w art. Chmielowskiego. — Podania i odezwy Gołuchowskiego do Komisyi Wyznań i Oświecenia z lat 1817—1821, w «Przegl. Filoz.» 1903 i w «Bibl. Warsz.» 1905, w art. Bielińskiego. — «Program kursu Prawa

Natury», ogłosił Wierzbowski w «Materyałach» II, i Bieliński w «Bibl. Warsz.» 1905. — «Ustawy Tow. akadem. Czcicieli nauk», ogłosił J. Bieliński w «Kwart. Histor.» z r. 1904.

B) Prace o Gołuchowskim: Monografii o Gołuchowskim niema. Życiorysy dawniejsze pełne są szczegółów bałamutnych, zwłaszcza z czasów studyów młodzieńczych. W ostatnich latach ogłoszono kilka ważnych przyczynków do życiorysu, prostujących, na podstawie dokumentów, te mylnie dawniej podawane fakty.

a) Życiorysy i przyczynki biograficzne: P. Popiel: J. G., Kraków 1860. — Z. A. Helcel (?): J. G. («Tyg. Illustr.», 1860). — E. Ziemięcka: Wspomnienie o J. G. (jako wstęp do t. I. «Dumań»). — Lelewel: Nowosilcow w Wilnie. Warszawa 1831. (Zbior. wyd. dzieł t. XII. Szczeg. rozdz. XVI i XXII). — Żukowicz: Sienator Nowosilcow i profiesor Gołuchowskij. «Istoricz. Wiestnik» 1887 (por. sprawozd. Kraushara w «Pam. Mickiewicz.» II, 278—82). — L. Uziębło: J. G. w «Albumie biograf. zasłuż. Pol. XIX w.» t. I. — J. Bieliński: Uniwersytet Wileński, 1900. — Kraushar: Tow. Przyj. Nauk, t. VI i VIII. — Chmielowski: Przyczynek do życiorysu i działalności J. G. («Przegl. Filoz.» 1903). — Tenże: Wstęp do «Filozofii i życia» Warszawa 1903. — J. Bieliński: Jeszcze jeden przyczynek do życiorysu J. G. («Przegl. Filoz.» 1903). — Tenże: J. G. (Pierwszy pobyt w Warszawie. Pierwsza profesura). »Bibl. Warsz.» 1905, listop. — Tenże: Związki akademików w Warszawie. («Kwart. Histor.» 1904). — St. Wasylewski w ocenie art. Bielińskiego o G. podaje kilka przyczynków biograf. («Pam. Liter.» 1906). — St. Krzemiński o G. w «Zł. Przędzy» III. — J. Majorkiewicz: Szelling i Gołuchowski («Przegl. Nauk.» 1846, III). — Inne artykuły o G., jak np. nekrolog w «Przegl. Poznań.» z r. 1858, są ogólnikowe.

b) Oceny dzieł i charakterystyki pisarza: E. Ziemięcka: Dumania... dzieło J. G. («Studia». Wilno 1860, str. 117—148). — Fr. Krupiński o G. w rozpr. «Filozofia w Polsce», w Dodatku do przekł. Historyi filoz. Schweglera. Warszawa 1863 (str. 465—471). — Struve o G. w «Wykładzie systematycznym logiki». Warszawa 1870 (str. 278—282). — Tenże: Wstęp krytyczny do filozofii. Warszawa. Wydanie z r. 1898 (głównie o niem. rozpr. «Filoz. i życie», str. 486—488). — Chmielowski we wstępie do «Fil. i życie». — Dickstein: J. G. »Enc. Wychow.» IV. — A. Mahrburg: Ocena «Filozofii i życia» («Książka» 1903, str. 353—356). — Fr. Chłapowski: Korespondencya filozoficzna między Józefem Morawskim (z Oporowa) a Józ. Gołuchowskim. Poznań 1906 (odb. z »Roczn. Tow. P. N.» Poznań). — Struve o tej korespondencyi. «Przegl. Filoz.» 1907.

Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka (1858).

(Wilno. 2 tomy, 1861).

Przedmiotem tego dzieła — jak pisze sam Gołuchowski w przedmowie — «jest usiłowanie, aby znieść walkę między wiarą i rozumem. To inaczej osiągnąć się nie da, jak wspinając się na takie stanowisko, z któregoby się rozum człowieka okazał, jako ograniczony rozum, a wiara jako posłannica najwyższego rozumu...». «Ale jeżeli ta zgoda między wiarą i rozumem na niewzruszonych podstawach ma być ugruntowana, to nieodzowną jest potrzebą wykazać, że prawo miłości, które nam religia chrześcijańska objawiła, nietylko na polu praktycznem wszelkie skarby nieba, doczesne i wieczne, na nas zlewa, ale prócz tego i na stanowisku praktycznem wszystkie sprzeczności usuwa, wszystkie najzawilsze zagadki rozwiązuje, wszystkie wątpliwości uprząta. Temu zadaniu tylko filozofia zadosyć uczynić może, gdyż żadna inna nauka do tej wysokości wznieść się nie jest w stanie». To też Gołuchowski stawia «prawo miłości» «jako ostateczny cel, jako alfa i omega, jako początek i koniec wszystkiego».

Właściwe «dumania», zawarte w t. II-gim dzieła, Gołuchowski poprzedził «historycznem rozwinięciem głównych systematów filozoficznych od Kanta do najnowszych czasów», t. j. do Herbarta (w t. I-ym). Posługuje się w tej części głównie dziełem H. M. Chalybaeusa p. t. «Historische Entwickelung der speculativen Philosophie von Kant bis Hegel» (1837).

Podajemy rozdział 69, t. II-go w całości.

69. Kategorya miłości jest najwyższą kategoryą i rozwiązuje najwyższe zagadnienia spekulacyi.

759) *Tom II, str. 374—377.* Kategorya więc miłości jest najwyższą kategoryą i zarazem najobfitszą. Mieści ona w sobie nie tylko nieocenione skarby serca, ale zarazem najgłębsze prawdy rozumu i rozwiązuje najwyższe zagadnienia spekulacyi, których wszystkie inne kategorye, jakeśmy widzieli rozwiązać nie były w stanie. Wcale zatem niewłaściwie filozofia dotychczas tę kategoryę lekce sobie ważyła, i raczej za rzecz uczucia, z którą myśl nie miałaby co począć, ją uważała. Tymczasem mieści ona właśnie wszystko to w sobie, o co spekulacya najbardziej się kusi, i do czego na innej drodze dojść niepodobna. Najprzód jest ona najoczywistszym dowodem osobowości Boga i osobowości człowieka, gdyż miłość nie może mieć miejsca, tylko między osobowościami naprzeciwko siebie stojącemi i jako takie trwającemi. Pomimo to te osobowości

jednoczą się w absolutnem połączeniu uszczęśliwienia, nie tracąc nic ze swojego absolutnego bytu. Na stronie Boga miłość jedynie zdolna jest wytłómaczyć absolutny cel stworzenia. Miłość dopiero dla nas uzupełnia wyobrażenie Boga, gdyż bez niej pojąć Go niepodobna. Wszystkie doskonałości, jakie sobie wyobrazić możemy, braku miłości w wyobrażeniu Boga zastąpićby nie zdołały. W skutek miłości, jaką Bóg do kreatury powziął, mógł się dopiero świat duchowy zjawić, bo bez niej nie mógłby istnieć, a przynajmniej byłby największą anomalią. Na stronie człowieka miłość łączy go z Bogiem, i z równymi sobie, a nawet ze światem, nie przynosząc jego odrębnemu bytowi najmniejszego uszczerbku, owszem rozprzestrzeniając go do najwyższego stopnia, bo miłość wszystko ogarnia. Miłość stawia mu najwyższy cel życia i zarazem jest źródłem nie tylko cnoty, ale i uszczęśliwienia jego, tak doczesnego, jak wiecznego. Miłość zaspakaja rozum, ale też i pragnienia serca. Za miłością idzie wolność, bo miłości bez wolności pojąć niepodobna, gdyż miłość jest dobrowolne lgnienie serc do siebie. Wolność zaś sama, gdyby była, a miłościby nie było, którąby istoty wolą obdarzone jednoczyła, podobnaby raczej była do miny przez kogoś niebacznie założonej do rozsadzenia jedności świata duchowego. Wola, wolność znowu nie może być bez myśli, bez świadomości o sobie, bez świadomości o świecie i bez świadomości o Bogu. Za myślą idzie cały świat idealny w głowie człowieka się mieszczący. Za myślą i wolą idzie cały świat praktyczny, którego człowiek jest twórcą. Myśl i wola mają nareszcie za podstawę byt subjektowy i objektowy, boby bez tej podstawy nic urzeczywistnić nie były w stanie. Tak więc wszystkie kategorye poprzednie, tak kategorye ontologiczne bytu, jakoteż kategorye logiczne myśli mieszczą się w kategoryi miłości, która zawierając w sobie absolutny cel, i stanowiąc prawdę podrzędnej sobie kategoryi wolności, jest punktem kulminacyjnym najgłębszej spekulacyi, a zarazem przystępnym zdrojem każdemu sercu pragnieniem dręczonemu, choćby do głębszych badań podnieść się niezdolnemu. W kategoryi miłości łączy się teorya z praktycznością, nauka z życiem, wiara z rozumem, filozofia z religią, doczesność z wiecznością, człowiek z Bogiem i z sobie równymi, prywatne życie z publicznem; familia, naród, ludzkość cała zyskuje spojność, a indywidualny człowiek rękojmię wiecznego

bytu. Kategorya miłości rozwiązuje wszystkie wielkie kwestye: osobowości Boga i człowieka, kwestyę stworzenia i celu jego, kwestyę woli, wolności i ostatecznego przeznaczenia człowieka, kwestyę upadku i odkupienia jego, kwestyę objawienia, kwestyę doczesnego i przyszłego bytu i rzuca światło na wiele innych kwestyi, które bez niej zostałyby zagadką, jak to później zobaczymy. Doszliśmy zaś do kategoryi miłości, za pośrednictwem kategoryi wolności, którąśmy w człowieku jako fakt niezaprzeczony znaleźli, a którąby bez miłości największą sprzecznością w duchowym świecie była, jakeśmy to widzieli. Stwierdza się ona wreszcie dobroczynnemi skutkami swojemi, gdziekolwiek w życie przejdzie, i przez to najlepiej się legitymuje jako posłannica z wyższego świata w ten padół, jak go nazywają, płaczu, zesłana.

Wolność, jakeśmy wyżej widzieli, ma negacyjną stronę. Ta jest nieodzownym warunkiem, bez którego istnieć nie może. Tę wolność z negacyjnej strony uważaną nazwaliśmy dowolnością *(liberum arbitrium)*. Nie jest to cała wolność, ale tylko wolność wyboru. Skoro człowiek postawiony jest w tem położeniu, iż ma wybierać, całe jego działanie musi się decydować między dwoma przeciwnemi sobie kierunkami. W najogólniejszem znaczeniu, te dwa przeciwne sobie kierunki rozpadają się na złe moralne i na dobro moralne. Wolność więc oznacza się bliżej jako możność wyboru między złem moralnem a dobrem moralnem. Pomijamy tu wybór między rzeczami moralnie czyli względnie ostatecznego przeznaczenia człowieka obojętnemi, i bierzemy odrazu dwie najbardziej z sobą sprzeczne, a przez to najbardziej nam zawadzające ostateczności. Lecz to nie wyczerpuje jeszcze pojęcia wolności. Skoro wybór ma być jej dziełem, nie może być obojętnem, na którą stronę jej wybór padnie, czy wybierze złe, czy dobre. Złe moralne, ogólnie biorąc, jest to, co być nie powinno. A zatem wolność tem samem obierać go nie powinna, chociaż uczynić to może: więc raczej dobre ma być przedmiotem jej wyboru. Na to potrzebaby wiedzieć, co stanowi złe moralnie, a co dobre moralnie? W najogólniejszem znaczeniu moralnie złe jest to, co odprowadza człowieka od ostatecznego jego przeznaczenia; przeciwnie, moralnie dobre jest to wszystko, co jest na drodze do ostatecznego jego przeznaczenia. Cóż więc jest

tem ostatecznem przeznaczeniem? Widzieliśmy, że niem nic innego być nie może, tylko połączenie się istot duchowych dobrowolnie w miłości z Bogiem i między sobą, któremu to połączeniu, aby nie było przymusem, musi służyć i możność niełączenia się, a co właśnie stanowi złe moralne. Tak więc wolność uważana ze strony ujemnej, negacyjnej, jest tylko wolnością wyboru, mającą się decydować między złem a dobrem, a zatem na żadnych cuglach się jeszcze nie trzymającą. Ale wolność ze strony czynnej, pozycyjnej, nie jest to ta wolność rozkiełzana, samopas bez celu chodząca, albo za zgubnemi celami się ubiegająca; lecz owszem jest to ta wolność sama siebie na wodzy trzymająca, ciągle ostateczne przeznaczenie przed oczyma mająca i na drodze ku niemu prowadzącej się posuwająca; — czyli innemi słowy, wolność w znaczeniu pozycyjnem uważana, nie jest czem innem, tylko dążeniem do owej miłości, która ma się stać własnym czynem człowieka i doprowadzić go do absolutnego celu jego stworzenia.

Opracował: G. KORBUT.

XCII.

CZAJKOWSKI MICHAŁ.

(1804—1886).

Emigracya polska z r. 1831, skupiła w sobie nietylko wybrańców narodu — wieszczów i marzycieli, wojowników i mężów stanu, ale i wykolejeńców społecznych — szaleńców i awanturników, warchołów i utopistów, którzy nieraz więcej szkody, niż korzyści sprawie polskiej przynieśli. Takim utopistą na emigracyi był Michał Czajkowski, Sadyk Pasza, przedstawiciel «Szkoły ukraińskiej» w powieści naszej po r. 1831. W jednej ze swoich książek opisał nam niektórych z tych Polaków, «wyrzuconych z polskiego świata», «dziwne życia». I jego życie było dziwne, — i tak je sam nazwał.

Michał Czajka Czajkowski urodził się w r. 1804 na Wołyniu, we wsi dziedzicznej Halczyńcu, niedaleko Berdyczowa, z ojca Stanisława i Petroneli z Głębockich, zamożnych obywateli ziemskich. Stanisław Czajkowski był (jak świadczy J. Bartoszewicz), pod koniec XVIII w., horodniczym kijowskim, posłem na Sejm grodzieński r. 1793, po upadku Rzeczypospolitej podkomorzym żytomierskim. Bracia jego — Michał, z porucznika kawaleryi narodowej, poszedł na pułkownika kozaków, drugi, Łukasz, zginął na Siczy w 1775 r. w obronie Zaporoża, trzeci, Krzysztof, walczył pod chorągwiami kozackiemi. Ta tradycya kozackiego pochodzenia późniejszego «atamana» Kozaków otomańskich łączy się z domniemaniem o krwi wschodniej, płynącej w żyłach jego, jak świadczy bowiem Z. Miłkowski, Michał Czajkowski z rysów twarzy podobny był do Ormianina (por. jego portret przy «Kozaczyźnie w Turcyi»). Matka była córką Głębockiego, wojskiego owruckiego. Czajkowski w wspomnieniach (p. Wstęp do «Wernyhory») nazywa dziada swego, Michała Głębockiego, marszałkiem owruckim. Czajkowscy byli szlachtą herbu Jastrzębiec.

Młodość Czajkowskiego przypadła na czasy bezmyślnego, próżniaczego i hulaszczego życia szlachty wołyńskiej, podolskiej i ukraińskiej. W Berdyczowie, gdzie ogniskowało się to życie, Czajkowski rozpoczął nauki szkolne; oddano go do prywatnego zakładu nauko-

wego Anglika Wolsey'a, przedtem dyrektora liceum w Odessie; był to internat dla paniczów, coś w rodzaju konwiktu szlacheckiego. Tryb życia był tu nawpół wojskowy, a duch panował arystokratyczny; główną wagę kładziono na naukę języka francuskiego, który Czajkowski przyswoił sobie należycie. Tu nasiąknął Cz. (jak pisze w «Pamiętnikach») marzeniami o wszechsłowiańszczyźnie, o odrodzonej kozaczyźnie, jako o jakimś Zakonie rycerskim, który dla Słowian powinien był być tem, czem Krzyżacy dla Niemców, Templaryusze i Rycerze maltańscy dla ludów łacińskich (por. też przedmowę do «Pow. Koz.» wyd. lipskie). Gdy po śmierci założyciela zakład przestał istnieć, przeniesiono Czajkowskiego na naukę do Międzyrzecza, do Pijarów. Trzy lata trwały nauki Czajkowskiego w szkołach pijarskich, z których wyszedł, w szesnastym roku życia, bakałarzem matematyki i literatury.

Po niejakim czasie, po użyciu przez syna pewnej swobody na wsi, matka, obawiając się, aby życie bez celu nie sprowadziło go na manowce, dla zaokrąglenia edukacyi wysłała panicza do Warszawy, do Uniwersytetu, na wydział prawny.

W Warszawie Czajkowski obracał się w towarzystwie arystokratycznym; od młodzieży, która z jego poglądami ukrainofilskiemi nie sympatyzowała, stronił. Na wiadomość o chorobie matki, Cz. przerwał nauki i powrócił do domu na Ukrainę. Po matce, która w kilka dni po przybyciu syna umarła, i po stryju odziedziczył Cz. duże majątki i pędził odtąd życie przeciętnego zamożnego «obywatela» ukraińskiego. W początkach 1830 r. Cz. wybrał się do Kijowa; tu rzucił się w wir zabaw i hulatyk. Na balach szlacheckich w Kodni i w Żytomierzu zwrócił na siebie uwagę cesarza Mikołaja I, który zrobił go kamerjunkrem i obiecywał mu w Petersburgu karyerę wojskową. (W podobnej sytuacyi wobec Mikołaja I znalazł się później, jak wiadomo, Z. Krasiński). W Żytomierzu został nawet wybrany marszałkiem powiatowym, nie przyjął jednak tej godności, odstępując ją wujowi.

Gdy w r. 1831 wybuchło powstanie na Rusi, Czajkowski zaciągnął się, jak cała szlachta berdyczowska, wraz z kozakami dworskimi, do pułku jazdy wołyńskiej, sformowanego przez Karola Różyckiego, który pozostał dla niego nazawsze ideałem wodza, drugim Konaszewiczem Sahajdacznym (Zob. niżej Wstęp do «Wernyhory»). Odbył kampanię w stopniu porucznika i «ozdobiony został krzyżem złotym» (p. Różyckiego «Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej»). Po upadku Warszawy, wraz z innymi przekroczył granicę Galicyi i udał się do Francyi.

Po przybyciu do Bourges, gdzie rząd francuski internował znaczną część emigrantów i gdzie się znalazł wraz z szefem swoim, Karolem Różyckim, Czajkowski nawiązał stosunki z towarzystwem francuskiem i ożenił się z córką miejscowego architekta. Wkrótce potem, po przezwyciężeniu trudności, czynionych jemu i Różyckiemu przez ministra wojny (p. Gadon «Emigr. pol.» III, 193), przeniósł się do

Paryża, na stałe mieszkanie. W Paryżu Czajkowski stykał się zbliska z obozem arystokratycznym i z ks. Adamem Czartoryskim. Artykuł o kawaleryi w *Le Spectateur militaire* zwrócił na niego uwagę ministra wojny Soult'a, ale propozycyi sobie uczynionej, wstąpienia do wojska francuskiego, nie przyjął. Oddał się teraz pracy literackiej i twórczości w zakresie powieści. Rozpoczął od ogłoszenia po francusku broszury o wpływie Kozaków na cywilizacyę na Północy i Wschodzie (1835). W 1837 r. ukazały się jego «Powieści kozackie», które bardzo się podobały; a po nich «Wernyhora» (1838), «Kirdżali» (1839), «Gawędy», «Stefan Czarniecki» i t. d. Czajkowski był do szpiku kości szlachcicem, więc działalność Towarzystwa demokratycznego nie mogła mu przypaść do smaku. Został ajentem politycznym ks. Adama Czartoryskiego i w tym charakterze udał się w r. 1840 do Rzymu, z posłaniem do papieża Grzegorza XVI. Chodziło o utworzenie misyi katolickiej wśród Słowian bałkańskich, którąby się dała użyć do akcyi politycznej na rzecz Polski. W Rzymie nie powiodło się wprawdzie Czajkowskiemu, nie stracił jednak otuchy urzeczywistnienia swojej idei zbliżenia Polski do Słowian południowych i naprawienia błędu, który przyczynił się do upadku Polski; tym błędem, według niego, było odosobnienie się od Słowian wogóle. W Rzymie (29 maja 1840) poznał go Zygmunt Krasiński i w jednym z listów swoich z tego czasu tak go określił: «Jest tu Czajkowski Wernyhora, dzielny jeździec, z całego Rzymu pojmujący tylko piękność łąk Kampanii, bo siostrzane stepom, zresztą mało dbający o ruiny wiecznego miasta. Siądzie ci na podstawie kolumny korynckiej i gada o Skibickim, zarżniętym przez hajdamaków; pójdzie do Kolizeum i przypomina sobie, jak ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakalli widzi Czarnieckiego, który ścina atamana Wyhowskiego. Ale co do kozaczyzny jedyny badacz, głęboki, przenikliwy, zgadujący, historyk żywy, śmiały, kozacki romansista, a sercem całem i wszystkiemi pojęciami głowy szczery szlachcic polski» («Koresp.» t. II, list 78, str. 195).

W celu wcielenia idei swojej, wyjechał do Turcyi w r. 1841, wyrobiwszy sobie, za pośrednictwem ks. Adama, u rządu francuskiego misyę naukową, czynienia studyów etnograficzno-historycznych nad Słowiańszczyzną, pod władzą Państwa Otomańskiego zostającą. Pod pokrywką misyi urzędowej Czajkowski rozwinął na terenie wschodnim ruchliwą działalność polityczną. Przybył do Konstantynopola pod koniec r. 1841 (w październiku); tu poznał Ludwikę Śniadecką, ideał młodzieńczy Słowackiego, i zawiązał z nią blizki stosunek. Wśród Słowian bałkańskich — Serbów, Bulgarów i wśród Rumunów prowadził agitacyę, w celu paraliżowania wpływów Rosyi; jednocześnie poznawał stosunki wśród wychodźców kozackich w Dobrudży. Jako wysłannik Hotelu Lambert, Czajkowski przesyłał o swoich obserwacyach i czynnościach raporty do księcia Czartoryskiego.

Działalność Czartoryskiego — jego propaganda wśród Słowian

południowych i jego interwencya pomyślna wobec rządu tureckiego, w sprawie legionu polskiego, biorącego udział w kampanii węgierskiej, który przeszedł granicę turecką, zwróciła na niego uwagę rządu rosyjskiego; ten zażądał najpierw od Turcyi, potem od Francyi wydania go lub wydalenia z Turcyi. Czajkowski, widząc niepewność swego stanowiska w Turcyi, aby je utrwalić i zdobyć sobie swobodę ruchów, zdecydował się w końcu r. 1850 pójść za przykładem jenerała Bema i przyjąć islamizm. Zostawszy mahometaninem, (podobno Śniadecka do tego go popchnęła), przyjął tytuł Sadyk-effendi i objął, na żądanie rządu tureckiego, kontrolę nad agencyą polską w Stambule. Wybitną rolę odegrał Czajkowski podczas wojny wschodniej.

Gdy w r. 1853 wojna z Rosyą wybuchła, rząd turecki powołał Czajkowskiego do Rady ministrów. Pod koniec tego roku Cz. otrzymał tytuł Mirimirana-Paszy[1]) i, za zgodą sułtana Abdul-Medżida, zorganizował pułk Kozaków otomańskich, z Kozaków zaporoskich osiadłych w Dobrudży i z innych Słowian. Odtąd tytułuje się Mehmed Sadyk Paszą. W r. 1854 Czajkowski został mianowany dowódzcą przedniej straży armii dunajskiej Omera Paszy. Po ustąpieniu Rosyan, Sadyk Pasza zajął Bukareszt i przez kilka tygodni był komendantem tego miasta. W tymsamym czasie Władysław hr. Zamoyski otrzymał wezwanie od sułtana sformowania drugiego pułku Kozaków, który miał się składać z Polaków i zostawać pod naczelnym dowództwem, jak pierwszy, Sadyka Paszy; ten powziął teraz plan wkroczenia do Bessarabii i przeniesienia wojny na Ukrainę, aby tą drogą dotrzeć do Polski; ale państwa z Turcyą sprzymierzone (Anglia i Francya) do tego nie dopuściły. Tymczasem powstał antagonizm między Sadyk Paszą a Wład. Zamojskim, który był niemniej od Czajkowskiego człowiekiem ambitnym i dążył do władzy. W styczniu 1855 r. Czajkowski zajął Dobrudżę, a w sierpniu t. r. stanął z obu pułkami swoich Kozaków obozem w Burgas, skąd miał wyruszyć morzem na Kaukaz. W tej chwili właśnie (w początkach października) przybył do obozu w Burgas Adam Mickiewicz wraz z księciem Władysławem Czartoryskim, młodszym synem ks. Adama. Przybył jako wysłaniec tego ostatniego, dla zbadania stosunków między wychodźcami polskimi na Wschodzie i sprawy antagonizmu między Sadykiem a Zamojskim i zażegnania sporu między nimi. Był zachwycony organizacyą kozacką Czajkowskiego, przebył w obozie dwa tygodnie i przesłał do ks. Czartoryskiego raport, w którym wychwalał Sadyka i wystąpił przeciwko dezorganizacyjnej działalności Zamojskiego; pogodzić jednak obu antagonistów mu się nie udało, i Wł. Zamojski z pułkiem drugim przeszedł na żołd angielski. Powróciwszy do Konstantynopola, Mickiewicz zapalił się do myśli sformowania legionu żydowskiego, ale nim ją urzeczywistnił — umarł. Tymczasem wyprawa Sadyka Paszy z Kozakami na Kaukaz nie doszła do skutku, z powodu protestu sprzymierzeńców; a niebawem (w styczniu 1856) został zawarty pokój.

[1]) Czajkowski, jak sam pisze, chciał, aby Karol Różycki został atamanem, dlatego przyjął godność tylko Mirimirana Paszy; chciał być jego podwładnym, jak w r. 1831, «byle służyć Polsce».

Po skończonej wojnie, Czajkowski pozostał w służbie tureckiej; na mocy irade sułtana, utworzył drugi pułk Kozaków otomańskich, pod nazwą dragonów, i został mianowany Beglerbegiem Rumelii. W tym czasie ogłosił w Paryżu książkę p. t. «Kozaczyzna w Turcyi» (1857), która była rodzajem apologii i reklamy dla tej przez niego stworzonej kozaczyzny i dla jej atamana. Marzeniem Czajkowskiego, a raczej chimerą, było wskrzeszenie tej idealnej, miłującej Polskę kozaczyzny; zdawało mu się, że jako jej ataman, następca Konaszewiczów Sahajdacznych, dokona z nią wielkich czynów; ale szlachta polska nie miała wiary do tej chimery; pomimo poparcia usiłowań Sadyka przez Mickiewicza, ochotnicy do pułków kozackich tłumnie nie przybywali; ci nieliczni, którzy przybyli, byli to ludzie awanturniczego usposobienia, jak np. Ryszard Berwiński. Czajkowski był z tego powodu rozgoryczony i rozżalony na szlachtę. Zły był na Bohdana Zaleskiego, do którego w liście na nutę dumkową pisanym, na wstępie do «Kozaczyzny w Turcyi» się zwracał, i na Karola Różyckiego, swój ideał rycerza kozackiego, którego, zdaniem jego, «na czużynie owionął duch Łaciny» (t. j. jezuityzm), i dlatego ducha kozackiego zaparli się, jak Piotr Chrystusa (p. przedmowę do «Powieści kozack.», wyd. lipskie r. 1863).

W powstaniu r. 1863 Czajkowski nie chciał wziąć udziału i pozostał nadal w służbie sułtana; ale stosując się do wskazówek rządu tureckiego, nie przeszkadzał dezerterom ze swego korpusu zgłaszać się do formującego się w Tulczy, pod dowództwem Zygm. Miłkowskiego (Jeża), oddziału polskiego. Powstaniu r. 1863 był wogóle niechętny, a nawet sprzyjał polityce Wielopolskiego. Wielki wpływ na postępowanie Czajkowskiego wywierała Ludwika Śniadecka; jako kobieta rozumna, opanowała go zupełnie; ona natchnęła go do wytrwania na stanowisku, które sobie obrał. Była to jedyna (wedle Jeża) dusza, co ideał jego sobie przyswoiła, ukochała i z troskliwością iście macierzyńską nad nim czuwała. To też, poświęcając jej (w r. 1862) «Dziwne życia Polaków i Polek», Czajkowski napisał między innemi te charakterystyczne słowa: «Tyś mnie zrozumiała i sercem i duszą. Tyś mi jedna była towarzyszką, radą i pociechą w tem mojem dziwnem życiu». Dopóki Śniadecka żyła, Czajkowski wierzył jeszcze w przyszłość, — gdy w r. 1866 umarła, upadł na duchu. Rozkaz nadeszły z Konstantynopola, sturczenia Kozaków i wcielenia ich do pułków tureckich, zadał cios ostateczny jego marzeniom. Podał się do dymisyi.

Fiasko całej afery kozackiej wywołało w przekonaniach, nadziejach i rojeniach Czajkowskiego zwrot na korzyść Rosyi. To, co pisał w tych czasach («Bulgarya», «Nemolaka»), było przeniknięte duchem antynarodowym, pełnym żółci, którą wylewał na rzekomych

winowajców zwichnięcia sprawy narodowej. W powieści «Nemolaka« ośmiesza powstanie r. 1863 i wyprawę Z. Miłkowskiego. Wreszcie posuwa się aż do prośby, na imię cesarza Aleksandra II, o łaskę i pozwolenie powrotu. Otrzymawszy je, przyjmuje poddaństwo rosyjskie, i przyjeżdża w r. 1872 na Ukrainę. Osiada w Kijowie. W liście do towarzysza broni z r. 1831 (Wład. Sabatyna) pisał w tym czasie, motywując swój krok: «Włóczyłem się lat tyle, tyle próbowałem, tyle pracowałem, zużyłem siły, zdrowie, sterałem najpiękniejsze moje lata — i nic a nic nie zyskałem, tylko przekonanie, że nie było prawdy na tym gruncie, na którym moje prace stawiałem; zgrzybiały wróciłem do prawdy, już z niemocą pracy, ale z mocą stawiania siebie za przykład». W innym liście (z r. 1874) pisał: «Jedyny nasz ratunek, zlanie się państwowe, uznanie Rosyi za wielką ojczyznę polityczną; tym sposobem tylko zachowamy naszą autonomię domową i narodową, inaczej przepadniemy gorzej od cyganów». Że takie sobie wkońcu sformułował «wyznanie wiary polskiej i politycznej» nie mogło być dla nikogo niespodzianką, kto znał psychikę chimeryka, jakim był Czajkowski. Dziwniejszem było, że tęższa od niego głowa, Kazimierz Krzywicki, w tym samym roku, w którym Sadyk Pasza korzył się przed Rosyą, rozwijał podobne poglądy w osobnej broszurze. Była to «polityka samobójstwa» [1]).

Gdy w Kijowie Czajkowski zaczął głosić swoje poglądy o konieczności zbratania się z Rosyą państwowego, Polacy się od niego odsunęli. Jako dymisyonowany jenerał turecki Czajkowski pobierał pensyi 72.000 piastrów rocznie (przeszło 6.000 rub.). Gdy jednak, po wybuchu wojny z Rosyą w r. 1877, powołany do służby czynnej, nie stawił się, rząd turecki odebrał mu pensyę. Cesarz Aleksander II kazał mu wypłacać rocznie 1200 rubli. Córkę swoją z Greczynki Ireny Teoscolo, z którą się związał po śmierci Śniadeckiej, Cz. pozwolił ochrzcić według obrządku prawosławnego; ojcem chrzestnym był Aleksander II; oddał ją później do Instytutu Smolnego w Petersburgu, na koszt rządowy. W Kijowie był osamotniony; obrzydł mu więc. Za pieniądze, podarowane sobie przez ces. Aleksandra II, kupił folwarczek Borki w gubernii Czernichowskiej (niedaleko Kozielca). Z powodu ciężkiego życia z żoną i ciągłych z nią awantur, przeniósł się w r. 1880 do sąsiedniej Parchimowej, gdzie mieszkał z adjutantem swoim i przyjacielem, Morozowiczem. Po jego śmierci, starzec opuszczony przez wszystkich, złamany na duchu, wrócił do Borek i tu dnia 4 stycznia (st. st.) 1886 r. zastrzelił się. Pochowano go w Parchimowej, według obrządku prawosławnego [2]).

Czajkowski, szlachcic polski z przekonań i kozakofil, ale nie

[1]) Określenie Spasowicza w ocenie broszury K. Krzywickiego «Polska i Rosya w r. 1872».

[2]) Starszy syn Czajkowskiego, Adam, z pierwszej żony, opuszczonej we Francyi, jest jenerałem rosyjskim, młodszy zaś, Władysław (Muzaffer Pasza), był jenerałem tureckim i gubernatorem Libanu (zm. w r. 1907).

chłopoman («Nie zniżajmy się do motłochu, ale motłoch podnieśmy do siebie i przeistoczmy go w siebie» — pisał w r. 1863 w przedmowie do «Koszowatej»), wymarzył sobie jakąś szlachecką Kozaczyznę, jakieś «rycerstwo kozackie», jakiś zakon rycerski podobny do Krzyżaków, który ukochał sobie Polskę i będzie jej zbawicielem. Cieszył się, że jego «powieści kozackie» stały się ciałem (zob. dedyk. «Pow. Koz.» wyd. 1863) i wierzył, że przez wskrzeszoną Kozaczyznę, przy pomocy Turcyi, Polska zmartwychwstanie, — ale łudził się i rozczarowany, wpadł w drugie złudzenie, że zbawieniem takiem dla Polski będzie zlanie się wiarą i sercem z Rosyą, nie bacząc, że to będzie zaparciem się swego indywidualizmu narodowego. To drugie było dla niego fatalne: został renegatem, już nie religijnym, lecz politycznym — a zawód swój przypłacił życiem.

Jako powieściopisarz, Czajkowski zajął niepoślednie miejsce na kartach dziejów powieści naszej, — miejsce odrębne, wyróżniające go i od poprzedników i od następców. Wprowadził on nowy żywioł do powieści naszej historycznej — Ukrainę i Kozaczyznę. Należy więc do «Szkoły ukraińskiej». Bohaterami jego najcharakterystyczniejszych powieści są Kozacy, jakich opiewał w swoich dumkach Bohdan Zaleski, a więc Kozacy nie historyczni, lecz chimeryczni, urojeni, wyidealizowani postacie rycerskie atamanów i mołojców, junaków, wiernych Polsce; Kozacy ci są jednostajni — tacy w wieku XVII-tym, jak w XVI-tym i XVIII-tym. Do rysów znamiennych jego figur kozaczych należy awanturniczość i «szablistość» (określenie Czajkowskiego), to znaczy, że ideałem ich machanie szablą i bicie «na łój, na masło», co dla Czajkowskiego było najwyższą ich zaletą; to też pod względem umysłowym są upośledzeni; ta też strona, wewnętrzna, psychologia ich czynów i motywy postępowania, mało go zajmuje, zwraca wyłączną niemal uwagę na charakterystykę ich zewnętrzną. Opowiada żywo, barwnie, ale zarazem jakimś zmanierowanym stylem, upstrzonym prowincyonalizmami, jakąś mieszaniną przesadnej nieraz poetyczności i trywialności. Pod względem techniki opowiadania, jest Czajkowski łącznikiem powieści walterskotycznej Bernatowicza z gawędami tradycyjnemi Rzewuskiego.

Najlepsze i najcharakterystyczniejsze utwory powieściowe Czajkowskiego ukazały się w latach 1837—1841. Są to: «Powieści kozackie» (1837), «Wernyhora» (1838), «Kirdżali» (1839), «Gawędy» (1840), «Stefan Czarniecki (1840), «Hetman Ukrainy» (1841), «Koszowata» (1841), «Ukrainki» (1841), «Owruczanin» (1841). Powieści te miały w swoim czasie niesłychane powodzenie; pochłaniano je tak chciwie, jak później Kaczkowskiego, a po r. 1863, w 20 lat po powstaniu, — trylogię Sienkiewicza. Utworów powieściowych Czajkowskiego mniejszych są dwa rodzaje: powiastki i obrazki, jakby na nutę dumek, czy ballad pisane («Pow. kozackie», «Ukrainki») i gawędy na tle tradycyi r. 1794 i 1812, i wspomnień z lat młodzieńczych autora i z kampanii r. 1831 (gawędy żołnierskie) («Gawędy»). Powieści

większe, z wyjątkiem jednej chybionej powieści obyczajowej współczesnej («Anna»), osnute są na tle historycznem lub tradycyjnem: «Wernyhora» na tle rzezi humańskiej r. 1768, jak «Zamek Kaniowski» Goszczyńskiego; rzeź humańska jest również tłem mniejszej powieści, p. t. «Koszowata». «Kirdżali» — powieść na tle wschodniem, południowo-słowiańsko-turecka; jej bohater, to typ pokrewny postaciom z powieści oryentalnych Bajrona; pod względem jaskrawości obrazowania, przypomina «Kirdżali» «Agaj-Hana» Krasińskiego. «Stefan Czarniecki» jest po «Pojacie» Bernatowicza, a przed «Listopadem» Rzewuskiego, najładniejszą powieścią historyczną polską. «Hetman Ukrainy» to Wyhowski. «Owruczanin» — powieść tradycyjna; tło jej, jak w «Panu Tadeuszu» — gotująca się wyprawa Napoleona na Moskwę.

To, co Czajkowski napisał w dobie działalności swojej politycznej w Turcyi i w ostatnich latach życia, nie dorównywa, pod względem artystycznym, tworom z przed r. 1841, a pod względem społecznym — (przeszły bez wrażenia) — nie mają znaczenia. Mają one charakter gawęd, nieraz bezładnych, osnutych albo na wspomnieniach osobistych («Dziwne życia Polaków i Polek», «Legiendy»), albo na stosunkach i wypadkach współczesnych autorowi na półwyspie Bałkańskim («Kozaczyzna w Turcyi», «Bulgarya», «Nemolaka»). Tendencya utworów, pisanych po r. 1863, przeważnie niepopularna, nienarodowa, nie mogła zachęcić do ich czytania.

Czajkowski powieściopisarz, był niewątpliwie talentem samorodnym, ale jak B. Zaleski zmanierowanym. W ewolucyi naszego powieściopisarstwa jego romanse historyczne nie mają wprawdzie tego znaczenia, co powieści Rzewuskiego; wśród powieściopisarzy z przed r. 1863 autor «Powieści kozackich» i «Stefana Czarnieckiego» zajął przecież miejsce wydatne.

BIBLIOGRAFIA.

A) **Wydania.** Osobno wyszły: «Quelle a été l'influence des Kosacks sur la littérature, les sciences, les arts et la civilisation en général dans le Nord, et dans l'Orient». Paryż 1835. — «Powieści kozackie». Paryż 1837 (obejmują następujące utwory: Swatanie Zaporożca, Mogiła, Kościół w Grużyńcach, Módlmy się a bijmy, Wyprawa na Carogród, Skałozub w zamku siedmiu wież, Ataman Kunicki, Orlik i Orłeńko), wyd. 2-gie, Berlin 1840. — «Wernyhora», Paryż 1838, wyd. 2-gie, tamże 1842; wyd. lwowskie 1870 (Bibl. Mrówki). — «Kirdżali», Lipsk 1839. — «Anna», Paryż i Poznań 1840; wyd. 2-gie, Wilno 1851. — «Gawędy», Paryż 1840 (obejmują: Owruczanie 1794, StaroKijowianie 1809, Łuczczanie 1812, Żytomierzanie 1812, Bitwa pod Mołoczkami, Bitwa pod Iłżą, wspomnienie pułkowe, Trzynasty, wsp. pułk., Bitwa pod Lipskiem, wsp. pułk., Sawelej, wspom. pułk., Maksym Sztroc, wsp. ukraińskie, Zimowa noc, wspom. z Halczyńca, Dzień jesienny, wspom. z Halczyńca). — «Stefan Czarniecki», Paryż 1840; wydanie krakowskie 1891. Toż p. t. «Szwedzi w Polsce», Petersburg 1851 (wyd. cenzuralne). — «Hetman Ukrainy», Berlin 1841. — «Koszowata», Paryż 1841. — «Ukrainki», Paryż 1841 (obejmują: Termołama, Czerwona sukienka, Kto z Bogiem to Bóg z nim, Konstanty Horodeński, Do pani Konstancyi Ł., Trechtymirów, Złoty krzyżyk, Słobodyszcze). — «Owruczanin», Paryż 1841; wyd. warszawskie 1906. — «Powieści», Poznań 1844 (obejmują: Jan Wyhowski, Rusałka czaromoca, W Czywita Kastelana, Do Jana Omiecińskiego, Święto-Michalska Ławra, Z mojej podróży, Do Hermana Pobudzkiego, Ślub przyjaźni). — «Powieści i Gawędy», Petersburg 1850 i «Powiastki nowe i gawędy», Petersburg 1852, są przedrukami rzeczy dawniejszych. — «Trzeci Maj», Paryż 1840 (str. 12). — «Kozaczyzna w Turcyi», przez X. K. O. (Kozaka Ottomańskiego), Paryż 1857 (zawiera szereg szkiców, opowiadań, notat i dokumentów, dotyczących dziejów Kozaczyzny w Turcyi, oraz w Polsce i Rosyi; nadto — opowiadanie o pobycie Mickiewicza w Burgas, listy ks. Ad. Czartoryskiego do Wład. Zamojskiego, «Notę o zastępach polskich» Mickiewicza, list Mickiewicza z Turcyi do ks. Ad. Czartoryskiego, list M. Sadyka Paszy do Mickiewicza; kilka powiastek o Kozakach, dumek kozackich i pieśni obozowych na cześć atamana Czajkowskiego. Dodany portret Sadyka Paszy, na stali ryty przez Ant. Oleszczyńskiego, oraz kilka rycin, kolorowanych i zwyczajnych, przedstawiających Kozaków ottomańskich i powrót z polowania Mickiewicza, Wł. Czartoryskiego i Czajkowskiego. — «Dziwne życia Polaków i Polek», Lipsk 1865 (obejmują: Aleksander Pausza, Julia Wąsowiczówna, Julian Duszyński, Iskinder Pasza — Antoni Iliński, Henryk Służalski, Adam Baranowski). — «Bulgarya», Lipsk 1872. — «Nemolaka», Lipsk 1873. — «Legendy», Lipsk 1885 (obejmują: Ułani, Jeszcze gawęda o kawaleryi, Trzech Janów, Ikbala, O jeźdzcach i o koniach, Z czasów hetmana Lacha). — Wydanie zbiorowe p. t. «Pisma» 12 tomów, Lipsk 1862—1885. (Bibl. pis. pol. Brockhausa): t. I. Wernyhora; II. Kirdżali; III. Powieści kozackie i gawędy; IV. Owruczanin; V. Stefan Czarniecki; VI. Hetman Ukrainy; VII. Koszowata i Ukrainki; VIII. Anna (z dodaniem pism ulotnych Ludwiki ze Śniadeckich); IX. Dziwne życia Polaków i Polek; X. Bulgarya; XI. Nemolaka; XII. Legendy. Poszczególne tomy opatrzył Czajkowski w tym wydaniu charakterystycznemi wstępami. — Powieści Czajkowskiego przekładano na język niemiecki, francuski, angielski, włoski, rosyjski, czeski i serbski. — «Turieckije aniekdoty», Moskwa 1883. — Pamiętniki Czajkowskiego, w przekładzie rosyjskim wychodziły od r. 1895, przez szereg lat, w czasop. «Ruskaja Starina». Oryginał polski w całości nie wydany. Wydany we Lwowie w r. 1898 «Pamiętnik Sadyka Paszy» jest przekładem z rosyjskiego i zawiera tylko cząstkę pamiętników; (zob. ocenę Rawity w Bibl. Warsz. 1898, paźdź.). Wyjątki z pamiętn. z rękopisu ogłosił Rawita Gawroński: w «Roku Mickiewiczowskim» (Lwów 1899), w czasop. «Nasz Kraj» 1906 i w «Przewodniku nauk. i liter.» 1909. Wspomnienie: «Mickiewicz w Burgas» znajduje się w ręku Wład. Mickiewicza w Paryżu. — Listy: Korespondencyę

z ks. Ad. Czartoryskim z lat 1842—1855, ogłosił Rawita Gawroński w «Przew. nauk. i liter.» lwow. w latach 1908—9; listy (4) do Ludwiki Śniadeckiej i inne — tamże; wyjątki z listów Czajkowskiego podaje S. Bieliński w brosz. «Polacy w Turcyi», M. Rolle w art. «Poufne zwierzenia Sadyka Paszy» (listy do Wład. Sabatyna); list o malarzu E. Boratyńskim w «Orędowniku nauk», Pozn. z r. 1841; list do Mickiewicza w «Kozaczyźnie w Turcyi». — «Iz pisiem gien. Czajkowskoho k swojemu wojennomu towaryszczu Ignatiju Glinskomu wo Lwowie». (Lwów 1873).

B) **O Czajkowskim** Z. Krasiński pisał w liście z r. 1840 (Kor. II, 195) i w liście z 29 stycz. 1851 do Wład. Zamojskiego a apostazyi Czajkowskiego («Przegl. Pol.» 1873). J. Słowacki o Czajkowskim wyrażał się niechętnie: w «Beniowskim» III, 324; o «Wernyhorze» i o «Kirdżalim» w liście do Weisberga z r. 1839: «Tygodnik pozn. admiruje autora, radbym wiedzieć, czy wy podzielacie tę ekstazis»; w liście do Gaszyńskiego z r. 1839: «Sparzyła się ona (Księgarnia polska) na tłumaczeniu «Kirdżalego» (franc.), którego się nawet jeden egzemplarz nie sprzedał... a bity na 1500 egz.! Księgarzom nie wmówisz, że to sam «Kirdżał» temu winien, a nie zaś publiczność francuska». Mickiewicz pisał o Czajkowskim w liście do ks. Adama Czartoryskiego z r. 1855.

Prace o Czajkowskim i jego pismach. Monografii wyczerpującej brak. Z życiorysów Czajkowskiego najdokładniejszy Rawity Gawrońskiego: «Michał Czaykowski (Sadyk Pasza). Jego życie, działalność wojskowa i literacka». Petersburg 1900 (Życior. sławnych Pol. 14). Ze studyów o pisarzu: Tarnowskiego: M. Czajkowski, «Przegl. Pol.» Kraków 1886 i Chmielowskiego: M. Czajkowski, w «Nasi powieściopisarze» I, Kraków 1887. Ogłoszono nadto następujące przyczynki do biografii i charakterystyki pisarza: S. Bieliński: «Polacy w Turcyi po upadku rewolucyi węgierskiej». Poznań 1852. — Z. Miłkowski (T. T. Jeż): «Udział Polaków w wojnie Wschodniej». Paryż 1858. — Tenże: «W Galicyi i na Wschodzie«. Poznań 1880 (str. 68—69). — Tenże: M. Czajkowski. Przegl. liter. «Kraju», Petersburg 1886. — Tenże: Mehmed Sadyk Pasza («Sylwety emigracyjne», Lwów 1904 (str. 71—92). — Dr Antoni J. o Cz. w «Polonica». Rozpr. Akad. Um. Wydz. hist. filoz. XIII. Kraków 1881. — Chmielowski: «Bohaterki w powieściach Czajkowskiego» Biesiada liter. 1877. — Tenże: «Czajk. M.» w W. Enc. powsz. t. XIV (1895). — Rawita-Gawroński: «M. Czajka-Czajkowski i kozakofilstwo». Przegl. Tyg. 1886. — Tenże: «Sadyk Pasza i Ad. Mickiewicz». Rok Mickiewiczowski. Lwów 1899. — Tenże: «Ad. Mickiewicz na Wschodzie». Lwów 1899. — Tenże: «Ludwika Śniadecka». Studya i szkice histor. II, Lwów 1900. — Tenże: «Ostatnie lata życia Sadyka Paszy», Studya i szkice histor. I, Lwów 1903. — Tenże: «Legienda bulgarska, spolszczona przez Czajkowskiego». Dla powodzian. Lwów (1902). — Tenże: «Działalność emigracyi z r. 1831 na terenie Turcyi do pokoju paryskiego«. Przew. nauk. i liter. 1908—1909. — Tenże: «Niedoszła

formacya pułku żydowskiego w Turcyi w r. 1855 (Z niewyd. pamiętn. Czajk.)». Nasz Kraj, Lwów 1906. — M. Budzyński: «Wspomnienia z mojego życia». Poznań 1880. — L. Dębicki: «M. Czajkowski», Kraków 1886 (odb. z «Czasu»). — W-t: «M. Czajk.», Prawda 1886. — M. Rolle: «Poufne zwierzenia Sadyka-Paszy». Z minionych stuleci. Lwów 1908. — Wł. Mickiewicz: «Żywot Ad. Mickiewicza», t. IV. — Wł. Dunin: «Rumunia». Lwów 1887. — A. Kwaśnicki: «Ludwika Śniadecka». Świat 1906 (nr. 30—31). — Kornelia P.: «L. Śniadecka w świetle nieznanych wspomnień M. Czajkowskiego». Kur. Lwow. 1908 (grudz.) i Kur. Warsz. 1909 (1 stycz.). Praca Kobzdaja: «Ludwika Śniadecka w rzeczywistości i w poezyi Słowackiego». (Księga pamiątk. Jul. Słowackiego. t. II (1909) pośrednio tylko dotyczy Czajkowskiego.

A) Powieści kozackie (1837).

(«Pisma» t. III. Powieści kozackie i gawędy. Wydanie 2-gie. Lipsk (1863(Podajemy pierwszą w całości.

Swatanie Zaporożca.

760) Po jeziorze rybka pluska, to melknie w kołbań [1]), to wyścibi główkę nad powierzchnią i drobnem oczkiem mizgnie światłu, to rozgarnie skrzelami wodę, i srebrną łuską o blask puszcza się w zawody ze złotym promieniem słońca. Ponad jeziorem jaskółka zygzaki kreśli; draśnie piórkiem mokre przeźrocze i w górę wyleci, furknie pod obłokiem, i znowu w dół się pławi, a okiem tak chciwie śledzi, jak gdyby chciała przewiercić i tło nieba i bezdnie wody. Brzegiem czarnobrewe dziewczę bieży, szparko nóżkami przebiera, a wzrokiem daleko, het w pole strzela. Stań dziewczę chwilkę tylko, pojrzyj po jeziorze jak się jego wody łamią i milą do ciebie — pojrzyj na słońce jak się jego oblicze raduje twojem zjawiskiem. — Rybka storcem stanęła, bo dziewczyna dla niej piękniejsza jak biały kwiat łotacza, smuklejsza jak gibka łodyga sitowia — jaskółka w powietrzu zawisła, szyjkę wyciągnęła ku biegącej wietrznicy i świegotnęła z omamienia, bo ona dla niej gładsza jak powierzchnia stojącej wody, milsza jak światłość dzienna. Dziewczę nie

[1]) Kołbań w języku ruskim, ukraińskim, oznacza jamy głębokie na dnie rzek, jezior i stawów.

słucha, ani okiem rzuci, bieży dalej — co jej po wodzie, po słońcu, mniejsza czy im się podoba — co jej po rybce, jest inna krasnopióra co jej wzrok nęci — co jej po jaskółce, jest inny śpiew co jej ucho łechcze. Wybiegła na mogiłę[1]) i tupnęła nóżką, poglądnęła w step i strzepnęła rączkami, pod białą koszulą czerwonem namereżoną[2]) pierś gęstemi oddechami wzdyma się i spada, po mlecznem licu hojnie się rozlał krwawy rumieniec — oko żarem płonie, brylantem świeci, a po wymuskanem czole kropla potu ścieka. Na głowie ani złocistych kwiatów, ani pawich piórek, ani bynd[3]) pstrofarbnych, tylko życzka[4]) czerwono-jaskrawa wpleciona w kosy kruczych włosów w około głowy się wije; spodnica kałamajkowa[5]) w pasy, i fartuch obrzucony włóczką amarantową; czerwonym pasem opasana kibić jak biczem przecięta[6]); zaścieżka[7]) pod szyją zamyka koszulę, nieustannie się drażniącą z okiem ciekawych mołojców. Na szyi kilka sznurów korali — a nóżki bose śnieżne i małe, zgrabne i pulchne. Stoi na mogile, utopiła oko ku południowi — a tam od południa w czwał kopie stepem konik biały, a na nim kozak tak się przytulił do kuli, iż czerwony kołpak bezustannie igra w splotach śnieżnej grzywy; a koń tak się wyciąga, że strzemiona i podeszwy butów kozaka muskają osokę a szabla za każdym skokiem z brzękiem odbija się od ziemi. — Leci, bo mu pilno — jednym susem chciałby dopaść mogiły, bo już zajrzał dziewczę lube, jak wyciąga ramiona ku niemu kiwa rączką i mruga — a serce kozaka młotem bije w łonie, krew warem kipi w żyłach — już konik u stóp mogiły sam stoi. Dziewczę zbiega, kozak podbiega, już się ręce splotły, a usta

[1]) Mogiła, kurhan, kopiec wysypany na znak pogrzebionych tam wojowników, albo ślad drogi tatarskiej. — Hordy najezdnicze, sypiąc po drodze wysokie kopce, znaczyły sobie szlak do powrotu.

[2]) Namereżyć, wyraz ukraiński, do oznaczenia haftów na koszuli.

[3]) Bynda, wstążka szeroka, którą barwią skronie dziewice ukraińskie

[4]) Życzka, wązka, czerwona, wełniana tasiemka, używana takoż do opasania głowy.

[5]) Kałamajka, materya pasiasta, wełniana, lustrowna, używana na spodnice.

[6]) Jak biczem przecięta, wyrażenie prowincyonalne Wołynia na oznaczenie kształtnej kibici.

[7]) Zaścieżka, wstążka do związywania koszuli pod szyją.

gorący, namiętny całus skleił — po co wstępy, po co próżne słowa, gdzie czysta miłość w sercach gore, gdzie szczerość i prostota duszami włada: biada niewieście, której krasę podwyższać trzeba piękrzydłem sztuki; biada miłości, której uczucie, malować trzeba ułożonem słówkiem. Długi szereg barwistych wysłowień nie potrafi oddać tak silnie namiętności, jak jeden mały pocałunek, jedno ściśnięcie ręki. Kozak i dziewczyna powiedzieli sobie tyle uściśnieniem i całusem, ile kochankowie wykształconego świata i wiek matuzalowy żyjąc, nie zdołaliby wyrazić. Przeszła pierwsza chwila, kozak w oczy zagląda dziewczęciu, szorstką ręką gładzi gładkie liczko, dziewczę się uśmiecha i na palce wznosi.

— Oj, nie darmo — rzecze kozak — biały uwiózł mi z boju głowę na karku, nie żal żyć na świecie kiedy Marusieńka taka ładna jak kalina, taka hoża jak woda zdrojowa.

— Oj, Ostapie — odpowie dziewczę — żeby nie boje, twoja Marusieńka byłaby jeszcze kraśniejsza: jak czeremcha bez wody więdnieje, tak dusza dziewczyny bez miłego z tęsknoty usycha.

— No, już koniec temu, dziewczyno luba, pożegnał braci, przechylił niejedną czarkę, zapłakał trochę, taj dalej do Marusieńki — rzucił Zaporoże taj może i na wieki. —

Choć obok kochanki, smutnie kozak patrzy; wąs napuścił na usta, i powiekę na oko. Marusia się tuli do ramienia, pieści ręką oseledeć[1]), wystający z pod czapki, ale Ostap zawsze smutny, nareszcie jakby się ze snu ocknął, poprawił czapkę, nakręcił wąs.

— Co się stało, to nie odstanie; chodźmy pokłonić się rodzicom, taj prosić, niechaj nas błogosławią; trzeba zawiesić szablę i spisę, a wziąść się za pług i radło. —

I tak szli ku wiosce z pogodnem czołem, z wesołą myślą, a biały za niemi jak pies bieży, i wędzidłem podzwania.

II.

Przed chatą na przyzbie siedzi stary ojciec i matka Marusieńki; starsze dzieci i czeladka poszli w pole, a młodsze na

[1]) Oseledeć, kosa spleciona z włosów, którą noszą Kozacy, spadającą ku prawej skroni.

kijach harcują po podwórku: stary kiwa głową i tak mówi do żony.

— Czy licho[1]) naniosło naszej doni tego Zaporożca! teraz ani do pracy ani do zabawy, tylko wciąż biega na mogiłę, jak gdyby można zwabić okiem, przyciągnąć ręką burłakę[2]) kozaka z pohulanek po Wołoszczyźnie. —

Stara chciałaby bronić córki, ale nie wie skąd zacząć, a więc najlepiej zwalić wszystko na Boga.

— Bóg to święty dał, że doni w oczko wleciał Zaporożec, w Bogu nadzieja, że się wszystko dobrze skończy.

Kiedy tak starzy rozprawiają, aż tu stoją przed wrotami, Marusieńka, Ostap i biały konik Zaporożca. Ostap nizko kłania się gospodarzowi i gospodyni. Marusieńka, jak malina czerwona z radości, a dzieci rzuciły kije i do koła obskoczyły białego, to za ogon ciągną, to za grzywę się wieszają, a biały, jak malowany stoi, jak gdyby przez jakieś przeczucie, pozwalał wszystko z sobą robić, rachując na karb przyszłości młodych kozacząt.

Starzy podróżnego zapraszają do chaty, a kiedy wychylili kilka byczków siwuchy i podjedli do syta, Ostap rzekł:

— Panie Ojcze — pani Matko, nie po krupy ja tu przyjechał, ale po waszą dziewczynę; oddacie mi ją, to zawieszę szablę i spisę, a wezmę się do roli, siądę u was w komornem, póki chatki nie wybuduję — nie oddacie, to zapłaczę, siądę na białego i powiozę głowę pod miecz tatarski, ale Bóg wie co się stanie z Marusieńką, bo przysięgam że mię kocha dziewczyna.

Stary Ojciec rozważa z babą w kącie izby, a Marusieńka za piecem palcem glinę obłupuje ze ściany[3]); po krótkim rozmyśle rzekł stary:

— No, Ostapie, kiedy się już dość naburłakowało, a dziewczyna nasza wam do smaku, przysyłajcie swaty, a potem weźmiecie ją jak swoją.

Ostap pokłonił się i wyszedł do sąsiadów szukać swatów.

[1]) Licho, wyraz ukraiński używany w miejscu dyabła, biedy, złego.

[2]) Burłaka, młodzieniec nie mający chaty, włóczęga po świecie.

[3]) Prawie wszystkie dziewczęta wiejskie dopełniają tego obrzędu, kiedy rodzice naradzają się, jaką mają dać odpowiedź przychodzącemu prosić o ich rękę.

III.

Idzie Iwan, idzie Mykita do starego Chwed'ka w swaty; czarne świty i siwe czapki przybrali na siebie, a każdy pod pachą trzyma kurkę i kołacz pszenny; weszli do izby, skłonili się, na stole złożyli podarki, a Iwan tak zaczął:

— Kumie, zięć się wam nadarza; raźny mołojec do konia i spisy, zapewnie będzie dobry i do roli; kocha waszą Marusieńkę jak harce z wrogami, a może i więcej, bo rzucił Zaporoże, aby z nami na starość kawał spokojnego chleba przysposobić — otwarty, szczery, jednem słowem chwacki chłopiec, potrafi czeladką rozporządzić, być mężem w domu i za domem; w spodnicy pewno chodzić nie będzie.

Chwed'ko się uśmiechnął, posadził swatów za stołem i tak odpowiedział:

— Ja z nim żyć nie będę, do Marusi należy przyjąć albo odrzucić męża — obrócił się do żony — idź niewiasto, niechaj Marusia przyjdzie z odpowiedzią dla Panów Swatów.

Wyszła stara, a tymczasem kumowie zabrali się do południenka[1]); jedząc i popijając, gwarzyli o przyszłym zięciu i o głuchej wieści, rozchodzącej się po Ukrainie, jakoby król Stefan zamierzał wyprawę przeciw Moskwie, i już powołał Bohdanka Rożyńskiego[2]) pismem Rzeczypospolitej do gromadzenia Kozactwa. Starce żałowali, że ich siły nie dozwalają iść w pomoc

[1]) Południenek; przekąskę o godzinie dziesiątej, zowią chłopi ukraińscy południenkiem.

[2]) Bohdanko Różyński, Ataman Kozaczyzny za czasów panowania Stefana Batorego w Polsce. — Sławny wyprawą swoją na czajkach (czółnach kozackich) Dnieprem do Oczakowa. — Kiedy Tatarowie plądrowali Podole, on wkradł się na Krym i zmusił ich do cofnięcia. — Roku 1572 Król Stefan dał buławę i buńczuk Atamanowi, a Kozaczyźnie chorągiew malinową z herbem: srebrny Kozak, z głową przykrytą baranim kołpakiem, z czaplem piórem, pałasz dobyty i wzniesiony nad głową. — Król Stefan ustanowił dziesięć pułków kozackich; przywilejem dozwolił wojsku zaporozkiemu stawania na prawem skrzydle wojska polskiego i nadał na stolicę atamanom Kozaczyzny Trechtymirów, miasto nad Dnieprem. — Bohdanko powołanym został na wyprawę na Moskwę. Mógł w gwałtownej potrzebie uzbroić do czterdziestu tysięcy ludu. — (Patrz Bantysz Kamiński: «Historya małorosyjska» w języku rosyjskim. — «Staryna Zaporoskaja» tamże. — Scherer: «Annales de la petite Russie». — Lesur: «Histoire des Kozaks»).

braci Lachom [1]) i rozwodzili się nad bojami, które odbywali pod Atamanami Wężykiem i Świergowskim [2]), a dziećmi zapamiętali sławną obronę Czerkaską, przez świętej pamięci Ostafiego Daszkiewicza [3]). Kiedy tak gawędzili, wyszła z alkierza Marusia, oczy wstydem w dół spuszczone, krok sunie po ziemi, niby chce, niby nie chce krok naprzód postąpić, a Matka ją pcha przed sobą; nareszcie się ośmieliła i drżącą ręką, jak liść osiczyny, oddała ręczniki swatom [4]), a potem jak kotka skryła się za piec. Swatowie pogłaskali siwe brody, na znak zadowolnienia, wyszli i wkrótce wrócili z Ostapem, czekającym za wrotami. Ostap rozłożył pokotem bogate pasy, bisurmańskie zdobycze, jedwabne kitajki, złote frędzle, kamienie drogie, i bułatne kindżały, w podarku dla rodziców, narzeczonej, braci, sióstr i rodziny. Wyciągnął Marusię z za pieca — która tak snadno poddała się jego woli, jak kwiat wrzosu powiewowi wiatru. Padli do nóg rodzicom, podziękowali Swatom, i wokoło witali rodzinę i zebraną czeladkę.

IV.

Pod wieczór na podwórku kupa ludzi się zbiera. — Starce i baby obsiadają stoły, hojnie zastawione świniem mięsem, soloną rybą i palanicą [5]).

Młodzież otacza skrzypiciela i cymbalistę, sadowiących się

[1]) Lach, do dziś dnia tem imieniem oznaczają chłopi ukraińscy Polaka szlachcica.

[2]) Wężyk, piąty Ataman kozaczy, sławny zwycięstwem nad Tatarami pod Zasławiem. Świergowski, szósty Ataman, idzie w pomoc Jerzemu Hospodarowi Wołoszczyzny przeciw Turkom; wygrywa czternaście bitew, w piętnastej ginie z dwoma tysiącami mołodców; po nim nastąpił Bohdanko Rożyński.

[3]) Ostafi Daszkiewicz, drugi Ataman Kozaczyzny, obranym został po Przecławie Lanckorońskim. Sławny obroną Czerkaska przeciwko Tatarom, przywiózł Zygmuntowi I. kamienie, rzucane z kusz przez Tatarów na miasto. Król Zygmunt nadał Czerkask na stolicę atamanom, ogromne stepy ukraińskie wzdłuż Dniepru na własność ludowi kozackiemu, a sejm w Petrykowie r. 1518 postanowił żołd Kozakom, w nagrodę pieczołowitej i walecznej obrony granic polskich Rzeczypospolitej.

[4]) Zwyczaj dopełniany przy zaręczynach na Ukrainie do dziś dnia.

[5]) Placki płaskie z chleba żytniego lub pszennego, zowią palanicą; trochę mniejsze podpałkami.

na przyzbie, a panowie Swaty obnoszą gęsiory z wódką i miodem, częstują gości i dowcipnemi żartami przyprawiają napitek. Zarypały skrzypce, zabrzęczały cymbały. — Ostap wziął się lewą ręką w boki, prawą za chustkę, której drugi koniec trzyma Marusia i puścił się gęsiego [1]). w pierwszą parę. Czapkę na bakier przewiesił, to pokręcił wąsa, to tupnął nogą, to posunął po ziemi — przyskoczył do tanecznicy, skręcił się i nazad odskoczył. — Za nim chłopcy i dziewczęta ciągnęli parami. Długi szereg jak wąż się wije, głową zakręci, bokiem esa [2]) wydmie, ogonem zarzuci i dalej się kręci po podwórku — staną przed muzyką i tropaka utną, staną przed starszyzną, pokłonią się nizko i dalej suną. Po gęsiem kozaka zawiedli, rzędem stanęły dziewczęta, skłoniły oczy ku ziemi, poczerwieniały jak jagody i z ulibkiem się uśmiechnęły — rzędem stanęli chłopcy, do góry zarzucili czupryny i hardo w oczy spojrzeli — tupnęli nogami aż ziemia się zatrzęsła; chłopcy w prysiudach [3]), dziewczęta w hołupcach przyskoczyli do siebie, zetknęli się, o mało nie pocałowali i wstecz odskoczyli — stanęli, zatupotali tropaka, w pląsach i skokach ku sobie podbiegli, rękoma się dotknęli, włosami się musnęli i nazad uciekli — chórem pieśń zawiodą chłopcy, chórem dziewczęta odpowiedzą, zamilkną skrzypce, tylko cymbały z głucha wtórują — urżnie muzyka, poskoczą w tańce — ucichnie — zabrzmią pieśnią i tak hulają aż pot się leje a koszule choć do wykręcenia.

Aż tu nowi goście jadą: psy jak na gwałt w siole szczekają, tętnią konie, a pieśń wojenna brzmi aż pod niebiosa. Ucichła muzyka, ustały tańce, a wszyscy wybiegli przed wrota na ulicę. To kurzenie Zaporoskiej konnicy, ciągną sotniami od Czerkaska do Białejcerkwi. Chwed'ko i Swaty zapraszają na biesiadę Panów Mołojców i Starszyznę. Stary Sotnik, co jak Żóraw' powodyr [4])

[1]) Taniec podobny zupełnie do poloneza, z różnicą, że nie odbijany i mężczyznę od niewiasty przedziela chustka.

[2]) Wyrażenie, które pozwoliłem sobie użyć, gdyż podług mnie doskonale odznacza wywijanie się par w tańcu gęsim i polonezie, gdzie ciągle kreślą literę S.

[3]) Prysiudy, przysiadany skok w kozaku.

[4]) Powodyr, przewódca co przodem wiedzie wojsko. — Używanym do tego bywał człowiek dojrzałego doświadczenia i znakomitego sprytu.

stada jechał po przodzie. zdjął czapkę i pokłonił się i tak powiedział:

— Dzięki wam Panowie bracia za waszą gościnność, ale komu droga temu czas. Król Stefan i Rzeczpospolita wzywa nas na bankiety. Nasz Ojciec Ataman czeka nas z regestrowemi pułki w Białejcerkwi; a jak się połączym z bracią Lachami i przejdziem Białą Ruś, to aż po uszy napijem się piwa z wrogów juchy — wam życzym wesela, szczęścia, a sobie sławy, zdobyczy.

Przechylił czarkę wódki, nie zsiadając z konia, wziął przekąskę, pożegnał i ruszył; toż i inne kozactwo zrobiło; nie jeden przegiął się na koniu i gwałtem ukradł pocałunek czarnobrewej dziewicy. — Ostap patrzy to na Marusię, to na Mołojców Zaporoża, poznaje towarzyszy, a nie śmie witać, serce mu tak się ściska, tak się dręczy, jak sztaba rozpalonego żelaza między młotem a kowadłem; długo stał, łzę, gwałtem się cisnącą, powstrzymywał powieką, patrzał jak ostatnie sotnie przemijały, nie mógł dalej wytrzymać, łza się puściła, pojrzał na Marusię okiem, gdzie się przebijała najokropniejsza boleść, i odszedł za chałupę. Marusia zadrżała jak w febrze i stała w miejscu, nie wiedząc czy ma koić smutek kochanka, czy zostawić go samemu sobie.

Przeszły sotnie daleko za sioło, muzyka znowu zagrzmiała, chłopcy szykują się do tańca — ale gdzie jest Ostap? Marusia szuka go za chałupą i huka z płaczem wołając kochanka; echo płacze a nikt nie odpowiada — rozbiegli się chłopcy szukać narzeczonego, ale napróżno. Zniknął Zaporożec, zniknął biały konik z pastownia [1]) i siodełko i spisa z chlewa, a jasny miecz z chaty.

Małe chłopczyki, grając w chruszczyka na pastowniu, widzieli jak Ostap siodłał konia, długo jak dziecko płakał, machnął rękoma — potem siadł na białego, przewiesił spisę i ścisnął nogami; biały przeskoczył cztery płoty, przesadził cztery rowy i poczwałował w pole, gdzie poszło wojsko kozackie. Dziewczę szlocha, załamuje ręce, rodzice cieszą jak mogą donię, choć i samym na płacz się zbiera. Swaty obiecują co rychlej spro-

[1]) Pastowień, pastwisko ogrodzone lub okopane tuż koło zabudowań gospodarskich.

wadzić Zaporożca zbiega, a muzyki i biesiadnicy smutni odchodzą do domów; na stołach jeszcze pełno jadła, w gąsiorach napitku, a nikt go nie rusza. — Kiedy duszę ogarnie smutek, zmysły nierade się weselić, a smutek młodej i pięknej dziewczyny, ma w sobie coś tak tkliwego, że i najnieczulsze serce potrafi skłonić do współczucia.

V.

Jaka zmiana w Chwed'kowej chacie! Stary zachmurzył sędziwe czoło, Matka ciągle wzdycha, dzieci nawet się smucą, widząc, jak Marusia z dnia na dzień niknie; oko, co niegdyś ogniem pałało, zamokło bezustannym płaczem, gładkie lice pożłobiło się od ścieku łez, rumieniec przygasł, a bladość chusty pociągnęła się po policzkach; wyschła, wybladła, tak, iż gdzie niegdyś było pulchne ciało, teraz sama skóra i koście, a serduszko trapi się nieukojonym smutkiem. We dnie ani robić, ani bawić się, modli się i płacze, szuka znachorki [1]), słucha co ta jej prawi, o bojach, sławie i śmierci, wraca do domu, zalezie za piec i tam od łez się zachodzi; a choć kryje się przed rodzicami ze smutkiem, nie może, bo czego chcą myśli, nie zatai ciało przed okiem czułej matki. We śnie dziwne widziadła mącą pokój chwilowego spoczynku — raz widzi jak Ostap pełen sławy, wioząc bogate łupy, wraca w zagrody rodzinne, wiedzie białego do stajni, całuje narzeczoną, do piersi tuli, kiedy nagle czapka spada i kościotrup zgniły stawia się jej oczom. Budzi się Marusia i jęczy, jak szalona wije się po łożu: rodzice smucą się, ale nic nie mówią, łagodnością i czasem chcą uleczyć troski duszy.

Przeszła jesień, przeszła zima, a o powrocie Zaporożców ani słychu, tylko wieść dolatuje, że Król Stefan na czele Lachów, Kozaków i Litwy, jak zająca ugania po Moskiewszczyźnie z miejsca na miejsce Cara Iwana; że Białoruskie Województwa napowrót ujrzały białe orły polskie, powtarzają krwawą ucztę rzezi pod Wielkiemi-Łukami i oblężenie Pskowa. Batory rad z czynów wojskowych mołojców, Kozactwo herbem i pieczęcią

[1]) Znachorka, rodzaj czarownicy — odgaduje przyszłość, leczy choroby duszy i ciała.

obdarzył i na prawem skrzydle wojsko Zaporoża stawia [1]). Żołd płaci, z Atamanem jak brat z bratem naradza się, rozmawia, a Lachy z Kozakami tak się kochają, jak gdyby pod jednym dachem wzrośli, u jednej matki pierś ssali. Nowe sotnie ciągną od porohów dnieprowych [2]), aby zapełnić wojną naniesione szczerby w kureniach [3]). Dziewczyna każdego zatrzymuje, każdego prosi, aby powitali Ostapa i powiedzieli, że tak go kocha, tak pragnie, iżby całe życie, całe szczęście oddała, byleby mogła go ujrzeć i jedną chwilkę z nim przebyć, żeby jakim sposobem choć parę słów jej przesłał, że żyje, że ją kocha.

Płyną dnie, tygodnie, miesiące, nikt nie wraca z Moskiewszczyzny, przeklętej krainy, gdzie niemasz dżametów [4]) i złota bisurmańskiego, ani broni czerkieskiej, ani rzemienia tatarskiego, ani bydła bogatej Wołoszczyzny. Tam tylko śnieg i lód — naród silny jak dęby, bojary harde jak dziki, a car srogi: kogo dopadnie, temu nie przebacza — miasta drewniane i nędzne i puste — pola niepłodne, wszystkiego brak; a jednak kozak rad tam gości, bo w zamian za zdobycze, hojnie toczy spisą krew wrogów. Minęło pół wiosny, Marusia smutna i tęskna jak dzień bez słońca, tylko żadnej łzy nie roni oko suche i martwe — boleść przestała objawiać się gwałtownie, w sercu się zamknęła, myśli zatruła i wepchnęła w odrętwienie, stokroć gorsze nad wszystkie choroby duszy i ciała. Codzień brzegiem jeziora wlecze krok chwiejący, biedna dziewczyna wczołga się na mogiłę i wnurza oko w step, ale teraz nie na południe, ale ku północy, i tam siedzi dnie całe, póki siostra albo brat nie sprowadzą gwałtem do domu — a nad jej głową czajka bezustannie wiatr skrzydłem rozbija i smutnie kihicze, jakby złą wróżbę zwiastowała.

[1]) Przywilej nadany wojsku Zaporoskiemu.

[2]) Porohy, skały przerzynające w poprzek łoże Dnieprowe; po większej części sterczą nad powierzchnią rzeki; takich porohów jest trzynaście. Kozacy mieszkający na wyspach za temi porohami dostali nazwisko Zaporożców.

[3]) Kureń, na Zaporożu oznaczał pułk; wyraz pochodzi od kurenia, kopanego dołu w ziemi, przykrytego dachem albo słomianym, albo z darni, z drzwiami do wchodu; takie były pierwsze mieszkania Kozaków, a że Zaporożce żyli bezżenni, jadali wspólnie, stąd ich pułki nazywały się kureniami.

[4]) Dżamet, koń wojenny.

Starzy rodzice znachora sprowadzili, aby czary odmawiał [1]) lekarki różne zioła dawały, pop pacierze prawił, ale nic nie pomaga — serce głuche na leki; aby je uleczyć, trzeba serca, któreby potrafiło je zrozumieć, spoić się silnem ogniwem uczucia, i nawzajem wspierać swe kroki na ciernistej drodze żywota.

VI.

Dnia jednego, zwyczajem przyjętym, wyszła rankiem Marusia do mogiły — słońce świeciło, wody jeziora spokojnie stały, rybka się pluskała, jaskółka ponad wodą pławiła, krople rosy w dyamenty się łamały. Żadnej zmiany, wszystko jak dawniej bywało, tylko zając, z szuwaru stawiska spłoszony, przemknął przez drogę, którędy szła dziewczyna; po lewicy wrony przeraźliwie zakrakały, pies w dalekim futorze zawył, a czajka, jakby wiankiem opasywała się w około dziewczyny i smutniej jak zawsze kihiczała [2]). Weszła Marusia na mogiłę, siadła i długo siedziała, aż nareszcie ujrzała tuman kurzu od północy — wzniosła się na nogi, oko gwoździem utkwiła w tę stronę, i poznała kozackie sotnie. Stępo idą, żaden konik nie wyskoczył naprzód i nie pędzi ku mogile; idą cicho, idą smutnie, nie wywijają spisami mołojce, na konikach nie harcują. Zbliżyli się do mogiły, dziewczę widzi jak za szeregiem jeźdźców wózek się toczy, a za nim stąpa konik biały, a na nim długa spisa i na krzyż złożony jasny miecz, a całkiem osłonięty czerwoną kitajką, zasługą kozacką [3]). Marusia spojrzała, westchnęła, uśmiechnęła się, padła i skonała.

Sotnie przeciągnęły u stóp mogiły, a nikt nie spojrzał na wierzch, bo wszyscy patrzą w ziemię; przeszli brzegiem jeziora i weszli do wioski, tam stanęli przed chatą Chwed'kową. Stary

[1]) Zwyczaj, używany na Ukrainie, kiedy chcą odegnać smutek od cierpiącej osoby, sądząc, że on pochodzi od zaczarowania.

[2]) Podług przesądów ukraińskich zła wróżba, kiedy czajka kihicze nad głowami. Pochodzi stąd zapewnie, że krzyki czajek i uwijanie się nad głowami ludzi ukrywających się w zbożach i zaroślach w czasie napadów Tatarskich, odkrywały nieszczęśliwe ofiary na pastwę tym barbarzyńcom.

[3]) Kozacy cenili mocno kitajkę czerwoną; każdy dostawał jej kawał w nagrodę czynów wojennych (patrz: Zbiór pieśni małoruskich przez Maksimowicza).

sotnik, co niegdyś wiódł przodem Zaporożców w dzień swatania, zsiadł z konia i wszedł na podwórze. Ojciec i matka Marusi siedzieli na przyźbie, Sotnik skłonił się i tak powiedział:

— Raz nas matka rodzi, raz trzeba umierać; przed dwoma laty szliśmy tędy w dzień wesela i jak złe duchy zabraliśmy je z sobą; kochał nasz Ostap waszą Marusię nad życie. Bóg świadkiem jak walczył z sobą, kiedy zobaczył na wojnę ciągnące kurenie — aż żal brał nad chłopcem, kiedy to opowiadał; ale cóż robić, pijakowi od wódki nie odwyknąć, natura wilka ciągnie do lasu; rzucił narzeczonę, rzucił szczęście a poleciał za Kozakami, bo zobaczył spisy i konie — niejedną łzę uronił, ale umarłego z grobu nie wracają; nie czas cofać raz postawionego kroku — długo dokazywał w boju i wywijał się śmierci; pod Pskowem zrąbał dwa dziesiątki Moskali, a na trzecim sam głową nałożył. Umierając, polecił nam, abyśmy zawieźli jego ciało do tej tu wioski — oddali Marusi białego konia z przyborem, spisę i szablę, całe bogactwo kozackie, a razem powiedzieli że o niej myślał przy śmierci, i jeźli zechce, uwolnili ją od więzów zaręczyn.

Chwed'ko smutnie kiwał głową, matka pobiegła ku mogile szukać córki — długo nie było: nareszcie płacząc wróciła i rzekła:

— Już ona to lepiej wiedziała jak my, bo jej ciało martwe leży na mogile, a dusza uleciała do kochanka. O doniu! moja doniu! nieszczęśliwa-ż teraz moja dola! — i zalała się łzami.

Stary krzywił się i łzy zrzadka ronił, a Kozactwo głęboko się zasmuciło. Weszli na podwórek, wyciągnęli z pod strychu sześć deszczek klonowych, dwie sosnowych [1]) i zbili trumnę; wyjęli z małej trumienki ciało Ostapa i w nią złożyli i ponieśli na ramionach na mogiłę. — Przyszedł Pop z ewangielią, djak z święconą wodą: złożyli ciało Marusi w trumnę obok narzeczonego, a choć umarła bez spowiedzi, Pop pokropił święconą wodą ciała pomarłe; zabili wieko — Pop czytał ewangielię — dół wykopali Zaporożce szabelkami, trumnę wpuścili i ziemią przysypali. Ojciec, matka i rodzina cała we łzach tonęli. Zaporożce oddawszy ostatnią posługę poległemu bratu, pociągnęli ku Dnieprowi, choć zwycięzcy, ale smutni — a biały konik wolny biedz za sotniami, pozostał się przy mogile, jakby przykuty, i tam gryzł trawę, a żadna siła nie była go w stanie odegnać, póki dnia jednego nie znaleziono go bez duszy na wierzchołku mogiły [1]).

W siole długo się smucono, bo kochano starego Chwed'ka i całą rodzinę, i odtąd weszło w przysłowie, kiedy swaty przychodzili prosić rodziców o dziewicę — byleby to nie było swatanie Zaporożca [2]).

[1]) Zwyczaj robienia trumien na Ukrainie. — Klonowe deski mają mieć własność odganiania złych duchów, a sosnowe nie pozwalają umarłemu wstawać z grobu i włóczyć się po śmierci.

B) Wernyhora (1838).

(«Pisma». t. I. «Wernyhora, wieszcz ukraiński». Wyd. 3. Lipsk. 1862).

Powieść osnuta na tle buntu hajdamaków i Koliszczyzny, czyli rzezi humańskiej. Występują w niej trzy żywioły, wchodzące z sobą w kolizyę: Lachy, Kozacy i ajenci Katarzyny II, podburzający do rzezi. Kozaków trzy rodzaje: rzezunie, na ich czele Żeleźniak, przejęty ślepą nienawiścią do Lachów, i Gonta, natura niezwykła, namiętna, nieugięta; drugim typem jest Kozak, wychowany na dworze petersburskim, salonowiec, przeznaczony na atamana Kozaków, graf Tamara; Kozaków, wiernych Rzeczypospolitej, przedstawicielem jest ataman Nekrasa, typ mołojca, i Wernyhora, «wieszcz ukraiński», postać legiendowa, ale pojęta przez Czajkowskiego dość pospolicie, nie jest, pomimo tytułu, główną figurą powieści. «Wernyhora» Czajkowskiego natchnął niewątpliwie Słowackiego do stworzenia postaci prawdziwie poetyckiej, a pośrednio — Wyspiańskiego. Na tle wypadków rozgrywa się romans między Kozakiem Nekrasą a Laszką, szlachcianką, Magdaleną Chiczewską, który z powodu zabiegów Tamary, pragnącego ją mieć za żonę, kończy się smutnie dla obu; panna wstępuje do klasztoru. Z figur epizodycznych, — wyborna popa Bazylego. Powieść pełna charakterystycznych epizodów i sytuacyi, ale o kompozycyi luźnej. — Podajemy ustęp, w którym występuje Gonta.

761) *Rozdz. VII. Str. 104—107.* Wieść o Koliszczyźnie, jak szalona, lata po wszystkich kątach ziem ruskich; zblizka straszna, a im dalej, tym coraz groźniejszą postać

[1]) Konie kozackie bardzo są przywiązane do swoich jeźdźców; mnóstwo podobnych wypadków wzmiankują piosnki. Sam słyszałem od rotmistrza Kozaków dońskich, że nie mogli oderwać konia od zabitego Kozaka w bitwie pod Berezyną, zostawili go na placu bitwy przy ciele jego jeźdźca.

[2]) Dotąd to przysłowie jest we zwyczaju po wielu wioskach nad Teterowem — z niego i z tradycyi ludzi zrobiłem tę powieść.

przybiera; rośnie w ustach, rośnie w myślach. Szlachta nie upadła na duchu; bliższa po zamkach i miastach się gromadzi i tam zbrojnie na wroga czeka; dalsza albo sama na koń siada, albo przydworne poczty, w pomoc zagrożonym braciom wysyła. Od niepamiętnych czasów szlachcic polski nie umiał, nie silił się odwracać od siebie niebezpieczeństwa, ale kiedy ono przyszło, nie strachał się, lecz prosto i śmiało w oczy mu skoczył. Ustawały sąsiedzkie spory, zastarzałe urazy rodzin, a nawet publiczne zwady, a jeden drugiemu bieżał w pomoc jak przystało na braci, na synów jednej ziemi. Wojewoda Kijowski, pan przemożny całą gębą, nie przekabacony na stronę moskiewską, niechętny królowi, nie był też w zmowie na gardła szlachty ruskiej. Zaledwie się dowiedział o rzezi, natychmiast z Tulczyna wysłał przydworny pułk Kozaków, do Humania, z rozkazem, aby ścigał, łapał i mordował Hajdamaków. Kozacy Potockich, znani w Polsce z dzielnego męstwa, z wierności ku panom, a ich pułkownik Gonta praworny człowiek, doświadczony żołnierz, służył na Zaporożu. Pięć lat jak pułkiem dowodzi, najczęściej przy boku pańskim, jednak pańskie oko ni razu nie zachmurzyło się na niego; posiadał bezgraniczne zaufanie Wojewody, i ślepe posłuszeństwo u podwładnych Kozaków.

Podówczas w Humaniu, mieście wojewody, gubernatorował pan Mładanowicz; szlachta z okolic tam się zgromadziła, nawieziono podostatkiem żywności dla ludzi i koni, ponaprawiano stare wały, bramy armatami obsadzono, urządzono służbę obozową. W zamku i w klasztorze księży Bazylianów, dzień i noc pod bronią były dwa silne oddziały, straże bezprzestannie czuwają i na zwiady często wysyłają do postronnych wiosek, i tak obwarowawszy się postanowili czekać albo boju, albo zgody.

Po wioskach chłopstwo ponure, jak powietrze przed burzą, głośno po cerkwiach się włóczy, szląc modły na chwałę Bogu; z cichą po domach noże poostrza i zbrodniczą myślą czci dyabła, a ciągle wygląda ku wschodowi, czy nie idą obrońce świętej wiary, dawce wolności. Pan gubernator odebrał zawiadomienie i rozkaz od pana wojewody, żeby oddał straż Humania pułkownikowi Gońcie, ale szlachta oparła się temu, mówiąc: niechaj za miastem stoi, nie wpuszczajmy żadnego chłopa do miasta. Musiał przyzwolić na to Mładanowicz, bo ciężko, aby jeden

spełnił to, czego tysiąc nie chce; można pomyśleć, powiedzieć nawet: ja tak chcę, ale co zrobić, to nie, rozsądek każe przystać, aby nie stracić do reszty powagi. Kiedy Mładanowicz mówił: że zna przychylność Gonty ku szlachcie, że jego kum trzymał mu syna jedynaka do chrztu, ma dwóch synów w Humaniu; na to mu odpowiadano: — tem ci lepiej, mamy zakład jego wierności, niechaj uspokoi hajdamactwo, a szlachta mu zawdzięczy.

Nie jest to nałogiem szlachty polskiej być ostrożną, ale tą razą dyable się poparzyli ich bracia nad-dnieprzańscy w gorącej wodzie; oni postanowili na zimną dmuchać. Ta nieufność nie podoba się Gońcie, ale pan Wojewoda kazał szlachtę bronić, stanął więc w Sokołówce i zaczął wysyłać zwiady w rozmaite strony, aby powziąść języka o hajdamakach.

Tysiąc Kozaków obozem rozłożyło się w Sokołówce, po podwórzach, po ulicach; po pod płotami stoją posiodłane konie, chrupoczą owies, i gryzą świeżo skoszoną trawę; spisy w ziemię powtykane mizdrzą się ostrzami do słońca. W karczmie, w chałupach, pod szopami pełno Kozactwa, wszyscy przybrani w jedną barwę, czarne szarawary, sine kurtki, żółte pasy, i na baranich czapkach jak kukuruza gotowana, żółte kołpaki. Jedzą, piją, śpią i przechadzają się po wiosce; chłopi młócą owies, koszą trawę dla koni, niewiasty jeść warzą dla postojańców, dziewczęta w bliźniakach roznoszą strawę między warty i straże. Oddziały konne bezustannym ruchem jedne do wioski przyjeżdżają, drugie odjeżdżają z wioski.

We dworze kwaterą stanął pan pułkownik; przed wrotami stoi Kozak na warcie, i przed dworem przechadza się Kozak z dobytą szablą, a pochwą po twardej ziemi pobrzękuje.

W wielkiej izbie, Gonta sam jeden sporym krokiem przechadza się od drzwi do okien, czasem zatrzyma się i coś myśli, naciąga złotawy wąs, napuszcza powiekę na niebieskie oko: zmarszczy wysokie czoło i znów chodzi. Wzrost jego rosły, w plecach nie szeroki, a na twarzy wyraz sarmackiego męża; w duszy co się dzieje, niewiadomo, musi być w niej wielki niepokój, bo ciało w bezustannym ruchu nie chce ani na chwilę przysiąść; ręka targa rękawy sinego kontusza, trze atłas żółtego żupana, poprawia pas lity, i podciąga bez potrzeby czarne szarawary, nogą stuka o podłogę, podzwania podkówkami. Widać,

że się zmęczył czy chodzeniem czy myślą, bo stanął, uderzył się ręką w czoło i sam do siebie mówił.

— Bóg wie co tu robić! od króla starostwa i szlachectwo obiecują, byle dać łupnia szlachcie ruskiej; Kreczetnikow w imieniu cesarzowej ofiaruje atamaństwo Ukrainy za tęż samą posługę, a pan Wojewoda każe bronić szlachty — w ręku moim buńczuk, bogactwa, tytuły, ale ze szlachtą tyle lat się służyło? — Pan Wojewoda jak z synem ze mną się obchodził, na niczem mi nie brakło.

Zamyślił się znowu, i znowu gadał:

— Stanę na czele hajdamaków — przepadnie szlachta, ale w co się obróci wdzięczność, przyjaźń, zażyłość? Stanę ze strony szlachty, hajdamaków pobiję, ale przepadnie szlachectwo, starostwa, atamaństwo — dyabla sprawa. — I chodził po izbie.

Wtem przed wrotami zaczęli się gromadzić Kozacy i piesi i konni, a między nimi jakiś obcy, w karmazynowym, ciemnosiniej barwy, żupanie. Wszedł jeden z Sotników do izby, zdjął czapkę:

— Ojcze, jakiś Kozak zdaleka przyjechał i chce się z wami widzieć natychmiast; powiada, że ma pilne rzeczy do pomówienia.

— Niech przyjdzie! — Stanął w oknie, widzi jak przez dziedziniec kroczy raźny młodzieniec, zwinny ruchem, hardy twarzą; kontusz wpija się w klęby, lsknią się białe rękawy żupana, a karmazynowy kołpak pływa nad baranią czapką; przypatruje się Gonta. — Znam go gdzieś. To on! wąsem porósł, ale zawsze dumny, jak gdyby był Panem świata.

Drzwi się otwarły i wszedł do izby przybyły Kozak.

— Bracie Gonto, czy mnie nie poznajesz? Prawda, że dawne czasy, jakeśmy się widzieli.

Gonta ściskał go.

— Dawne czasy, ale i w pieklebym poznał Nekrasę; cóż tu u nas porabiasz? Czy Lachów przyjechałeś bronić, czy odszukiwać jakiej dziewczyny po Ukrainie?

— I jedno i drugie, ale słuchajno Gonto, spodziewam się, że ty z Lachami trzymasz?

— To to niby tak: oni mi nie wierzą, a ja ich z pułkiem od hajdamaków zasłaniam.

— Porzuć bracie te niby, a pomówmy z sobą otwarcie; jesteś za Polską, czy przeciw niej?

— Jakże ty chcesz, żebym z tobą mówił? Polska mnie nic złego nie zrobiła, zacóż bym miał być przeciwko niej? Ja tobie lepiej wierzę, bo bez pytania wiem, że z Lachami trzymasz.

— No, ja się nie zmieniam, jak sierć zajęcza na zimę, ale ty, Gonto, to i sam dyabeł z ciebie prawdy nie wyciągnie.

— Porzućmy przegryzki, a przystąpmy do rzeczy; czego ty chcesz odemnie, mów otwarcie, ja ci otwarcie odpowiem.

— Ja chcę, abyś ogłosił się jawnie, szczerze za Lachami, uspokoił chłopstwo, a bił Moskali; za to imieniem szlachty, przyrzekam ci otrzymać co zechcesz.

— Słuchajno, Nekraso, ja ci otwarcie powiadam, że losy szlachty w mojem ręku; mam tysiąc Kozaków, co na kraj świata za mną pójdą, za tydzień mogę chłopstwo uspokoić i napędzić licha Moskalom; ale obietnice szlachty mię nie zwabią, wiesz przysłowie: obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Zresztą szlachta ostatkami goni; wkrótce w kułak przyjdzie jej trąbić; nie powiem, żebym ja nie chciał nic dla siebie, ty możesz zrobić wszystko! ale przyrzecz, że albo zrobisz, albo dotrzymasz tajemnicy, ja wierzę twemu słowu.

— Masz moje słowo — i podał mu rękę Nekrasa. — Ja za Lachami stanę, tylko przyrzeknij mi, że na wyborach styczniowych ze swoimi będziesz za mną, bo ja wracam między was na Zaporoże.

— Przyrzekam, nawet Koszowym Panem ciebie obierzemy, byleś za lacką sprawę wojował.

— No, to skończyło się; masz moje słowo — uściskali się — zaraz wydam rozkazy, teraz może przekąsisz, napijemy się.

— Nie, bracie Gonto, ja spocząćbym chciał, bo oddawna jak noce bezsenne trawię.

— No, kiedy tak, chodź tu do alkierza, rzuć się na moją pościel kozacką, a niedługo śpij, bo przed wieczorem pójdziemy w pochód, ty poprowadzisz połowę mojego pułku; prędko uporamy chłopstwo, a i z Moskalami damy sobie radę.

Zaprowadził Nekrasę do alkierza, a ten, zostawiwszy w izbie szablę i atagan [1]), jak długi rzucił się na słomę, przykrył się burką i zaraz zasnął.

---

[1]) Atagan, jatagan — krzywa szabla turecka *(Przyp. Red.)*.

C) Ze wstępu do „Wernyhory"

napisanego w r. 1861, do wydania tej powieści lipskiego (1862), podajemy początek.

762) Lat trzydzieści z górą upłynęło od czasu, jak opuściłem dom rodzinny i ziemię rodzinną. W puściźnie po Matce, po Dziadku moim po kądzieli, odziedziczyłem myśl o Kozaczyźnie:

Rycerską hulaszczością Kozaków, postawić na nogi Polskę.

Braterskością Polaków spolszczyć Kozaków.

Myśl ta marzeń dziecinnych, z wiekiem rosła na święte przykazanie kozacze do wykonania.

— Kiedy w 1831 roku Kozacy moi z Halczyńca, Siomak i Agatówki, wołali: My, nasze dzieci, z tobą, Panie, pójdziemy walczyć z wrogami Polski, bić się za Polskę.

— Kiedy ksiądz Paweł Niemiotowski, Pop Błohoczestywy z Halczyńca, wyszedł z krzyżem w ręce z cerkiewnemi cechami nas błogosławić, i błogosławił.

— Kiedym dosiadł dziarskiego konia i ujrzał się na czele dzielnego hufcu moich Kozaków.

— Kiedym się złączył w Korowinieckich lasach z Karolem Różyckim, Stanisławem Duninem, Michałem Grudzińskim, Tadeuszem Przyborowskim, Janem Omiecińskim, Antonim Szaszkiewiczem, z Sewerynem i Adolfem Pilchowskimi, z Michałem i Wincentym Budzyńskimi, z Antonim Trypolskim, z Floryanem Kulikowskim, z Ksawerym i Franciszkiem Morgulcami, z bracią Ostaszewskimi, z Antonim i Stanisławem Wyhowskimi, z Antonim Tapczewskim, Raczyńskim, Wilkowskim, Baranowskim, i inną szlachtą z okolic Berdyczowa, na czele ich Kozaków.

Wyliczenie za długie, zwłaszcza, że to nie byli rycerze do «Iliady» Homera, ale hulaszcza berdyczowska szlachta do rapsodu kozackiego Karola Różyckiego; ale tak miło wspominać swoich towarzyszy wojennych, że chciałbym wypisać wszystkich Saków, Makarów, Hryćków, żeby napoić serce rozkoszą dawnego wspomnienia. Imiona wszystkich, a wszystkich tego świętego hufca, stoją mi w pamięci — jak gdybym ich w tej chwili widział — i ich twarze, i ich postawy i ich konie.

Myślałem wówczas: dumka mego Dziada, Michała Głębockiego, marszałka owruckiego; modlitwa mojej Matki, sprawdzone!

Karol Różycki, to był mój Konaszewicz Sahajdaczny; w towarzyszach widziałem nowych Mazepów, Wyhowskich, Brzuchowieckich, Neczajów, Mohyłów i całą dawną starszyznę sławnej Kozaczyzny.

Hulaliśmy rycersko po tej ziemi, po której oni hulali. Biliśmy wroga Polski, jak oni niegdyś bili wroga Kozaczyzny. Wpław przepływaliśmy rzeki — w skokach koni przesuwaliśmy góry. — Cudnów, Mołoczki, Tyszyca, Uchanie, będą długie lata brzmiały pieśnią w uszach ludu Ukrainy; bo one rozbudziły uśpioną pamięć o Konotopach, o Stawiszczach, o Białocerkwi. Lud ujrzał znowu swoich mołodców. Konie zbierały kopytami, bieliły się od piany. Rycerze kozaccy zmartwychwstali w swoich wnukach; zaklinali się znowu dawnem zaklęciem: «Wróg nie miecze, dogonimy, pobijemy na łój, na masło — po dawnemu, po naszemu!»

Ale nie zmartwychwstał król, któryby zaklęcie w czynie wykonane przyjął, osłonił koroną Piastów i Jagiellonów, i dla Polski zawłaszczył. Darmo wypatrywaliśmy Bolesławów, Stefana Batorego; nie dopatrzyliśmy nawet Jeremiego Wiszniowieckiego, Konstantego Ostrogskiego, i Romana Sanguszki.

Z wieszczem Padurą wołaliśmy pieśnią: książe Romanie przybywaj! przybywaj do nas! Spisą i szablą policzymy wraże pułki, jak niegdyś twój prapradziad liczył pułki tatarskie. Policzymy, czy to przy świetle księżyca, czy przy jasnem słońcu przybywaj! — Wołaliśmy, ciągnąc z Uchań do Zamościa, z mnogim jassyrem, ze zdobyczą i ze sławą, jak przystało na pułk kozaczy — a tam nas przyjął kwaśną prozą jenerał Chrzanowski. — Bóg świeć nad jego duszą. — Mąż w wojskowości wyuczony; ale ni z pierza, ni z mięsa, ni z serca, ni z postawy, na wodza dla szlachty polskiej, dla butnych Mołodców Ukrainy.

Nasz Rewucha pod Mogiłą — nasz Roman w jassyrze — łza żalu zakręciła się nam w oczach — smutek padł na serca i na nowo niepokój zawitał w dusze. Szliśmy — biliśmy się — biliśmy — ale już więcej dla imienia naszego, sławy, jak dla polskiej sprawy. I nadzieję i wiarę w nas wyziębiono; zostały

tylko: hulaszczość kozacka i strój kozaczy. Pod Pawłowską-Wolą, pod Iłżą, pod Chodczą, pod Lipskiem, drżały pułki rossyjskie przed Bielcami — ale nie drżała Moskwa przed Kozaczyzną — bo nie było króla. Orzeł biały i Jeździec litewskiej Pogoni, latały z pobojowiska na pobojowisko; darmo szukali cienia korony. Poszliśmy w cudze kraje, a Moskal i Niemiec zostali w Polsce, i panowali, jak dotąd panują.

Nudno mi, tęskno było na czużynie. Włożyłem do pochwy szablę praojców, a zacząłem znowu marzyć o mojej dumce — Kozaczyźnie; zacząłem pisać Powieści Kozackie i Wernyhorę.

Pisarze Kozaczyzny, wieszcze Słowa i Myśli, przemienili się jak kameleony; jak gdyby wstydzili się swoich wielkich a dawnych utworów. Stroili Kozaczyznę w katolicyzm, w demokracyę, w systemata konserwacyjne; dla popularności chcieliby się zaprzeć przeszłości, o teraźniejszości Kozaczyzny wstydzili się wspomnieć; żeby się nie narazić na pokuty Jezuity spowiednika — albo na śmiech tuzinkowego krytyka. Grzechem śmiertelnym, dla tych pofrancuzionych, poniemczonych pisarzy — polityczną zbrodnią — było myśleć o przyszłości kozaczej.

Taki stan rzeczy był dla mnie najsilniejszym bodźcem do wzięcia za pióro. Zacząłem pisać. Naśmiewali się J. B. Ostrowski i Ropelewski — ale drukowali i wydawali ks. Aleksander Jełowicki i Eustachy Januszkiewicz — i moje marzenie przeobrażało się w teoryę, w system, którego ja byłem pisarzem i ja musiałem być wykonawcą; bo nikt się nie znalazł, ktoby się chciał podjąć tej pracy dla Kozaczyzny — dla Polski.

Rzuciłem w świat polski Powieści kozackie, Wernyhorę, Ukrainki, Hetmana Ukrainy i inne pisma tegoż samego ducha, dążące do tego samego celu; i po tym moim programacie udałem się na Wschód.

Kiedy wychodziło drugie wydanie Wernyhory, byłem już w Turcyi, pod opieką monarchy, którego przodkowie, którego rząd nie podpisał żadnej umowy, uświęcającej rozbiór Polski. Byłem między Kozakami Ukrainy, Zaporoża i Donu, których przodkowie, albo oni sami, przed wiekiem, przed mnogiemi laty, schronili się pod opiekę przemożnych sułtanów, cesarzów Ottomańskiego Państwa: — uczciwie, jak przystało na

Kozaków, z bronią w ręku, jako wojsko do służby swojego nowego opiekuna i pana. — Po raz drugi marzenie przybierało postać rzeczywistości; po raz drugi teorya przeobrażała się w czyn.

Zostałem muzułmaninem i poddanym Wielkiego Sułtana.

. . . . . .

Opracował: G. KORBUT.

XCIII.

TRENTOWSKI BRONISŁAW FERDYNAND.

(1808 [1])—1869).

O pochodzeniu autora «Chowanny» posiadamy wiadomości skąpe i niepewne. W XVIII w. istniała drobno-szlachecka rodzina Trentowskich, osiadła we wsi Trentowo, w województwie podlaskiem. Na pewno jednak nie wiadomo, czy z tej rodziny pochodził Bronisław Ferdynand Trentowski. Urodził się 21 stycznia 1808 r. we wsi Opole pod Włodawą na Podlasiu (Autobiografia Br. Trentowskiego. «Pamiętnik Literacki» 1902 r. str. 659). Dzieciństwo spędził na wsi, w Kopciach od Łosicami. Był już chłopcem ośmioletnim, kiedy ojciec jego, Leon Trentowski, człowiek wykształcony, ale niezamożny, przeniósł się do Łukowa, gdzie został wójtem gminy oraz rządcą folwarku rządowego, czyli t. zw. starostwa. Młody Bronisław chodził w Łukowie do szkoły sześcioklasowej, utrzymywanej przez Pijarów. Zwrócił uwagę nauczycieli zdolnościami, pracowitością i wcześnie okazał powołanie pisarskie. W klasie czwartej napisał odę po łacinie na imieniny rektora ówczesnego, ks. Redockiego. Wydrukowano ją w kilkunastu egzemplarzach, dla zachęcenia młodocianego poety. (Ks. Fr. Krupiński. «Tyg. illustr.» 1870, str. 109).

Ze słów krótkiej autobiografii Trentowskiego («Pamiętnik Literacki» 1902, str. 657—660) wynika, że wyższe klasy kończył w liceum warszawskiem. Na kierunek studyów uniwersyteckich młodego maturzysty, duży wpływ wywarł jego ojciec. Trentowski mówi o nim, że był «dawnym uczniem Kanta», oraz wyznaje, iż go ojciec do studyów nad filozofią «szczególniej zachęcił». W braku wydziału filozoficznego na uniwersytecie warszawskim zapisał się w r. 1826 na wydział filo-

[1]) Taką datę podał sam Trentowski w krótkiem *curriculum vitae*, które w 1839 r. przesłał Towarzystwu Literackiemu polskiemu w Paryżu (Autobiografia B. Trętowskiego. «Pamiętnik Literacki» 1902). Dotychczasowi biografowie podawali datę 21 stycznia 1807 r. (Ks. Fr. Krupiński: B. F. Trętowski. «Tyg. Ill.» 1870 r. str. 109)

logiczny. Lecz «filologia była mu tylko drogą, wiodącą do celu» (Autobiografia. «Pam. Lit.» 659—660). O wspomnieniach, jakie wyniósł z tej najwyższej uczelni Królestwa Kongresowego, dowiadujemy się z «Chowanny». Na ogół sąd jego o stosunkach, panujących zarówno wśród ciała profesorskiego, jak uczącej się młodzieży, bynajmniej optymizmem nacechowany nie jest. «Uniwersytet» — skarży się Trentowski — «miał trzy organiczne błędy: naprzód, że polegał niemal na popisie i chęci blasku, na deklamacyi, powtóre, że nie dopuszczał prywatdocentów, a tem samem współzawodnictwa profesorskiego, co go podobnym do zwyczajnej szkoły wyższej robiło, a po trzecie, że nie miał właściwej filozofii, ani nawet jej wyobrażenia» («Chowanna» 1842 r. II, 1074). Zwłaszcza ten brak trzeci zaznacza nasz autor ze szczególnym naciskiem. «Uniwersytet, nie posiadający filozofii prawdziwej i swobodnej, jest», według niego, «stonogiem bez głowy, ciałem olbrzyma bez duszy. Nie jest on właściwym uniwersytetem, ale najwięcej szkołą wyższą, albo raczej sklejonym po partacku z kilku szkół wyższych dziwotworem». Profesorem filozofii był znany literat warszawski, Krystyn Lach Szyrma. Trentowski wyraża się o jego osobie z szacunkiem, odmawiając mu jednak kwalifikacyi naukowych do zajmowania tak odpowiedzialnego stanowiska. «Był to filozof w angielskiem znaczeniu; nie wiedział zatem, czem jest filozofia. Gdybyć mu przynajmniej dozwolono wykładać po polsku, ale i to się nie stało. Przeznaczono mu jakąś loikę i antropologię po łacinie napisaną z XV lub XVI wieku, i na tem skończyła się cała filozofia». Nie lepiej się działo na filologii klasycznej. Wykładał te przedmioty prof. Woelke i zanudzał słuchaczy, «czytając na prelekcyach swych słownik grecki» («Chowanna» I, IX). Osińskiemu zarzuca Trentowski błyskotliwość w wykładzie historyi literatury. Karmił on «uczniów, a nawet publiczność warszawską pięknobrzmiącą płytkością La-Harpa, zaraził pół Polski deklamacyą i utrzymywał ją przy nędznej swej klasyczności» («Chow.» II, 1074).

Czasy, o których wspomina Trentowski, były okresem zaciętej walki klasyków z romantykami. Młody filolog nie pozostał obojętnym na sprawę tak wówczas żywotną. Jak widzimy, nie dał się pociągnąć głośnym frazesom Osińskiego, ale przeciwnie, zbliżył się do człowieka cichego i łagodnego, a bez porównania głębszego, który chciał godzić dwa wrogie obozy, ciążąc jednakże ku młodym. Mistrzem Trentowskiego staje się Kazimierz Brodziński. Pod jego wpływem młody student poczyna się zastanawiać nad koniecznością samodzielności i narodowości we wszelkich dziedzinach życia umysłowego. Wtedy to zapewne rodzi się w jego głowie idea stworzenia systematu filozofii narodowej. Wówczas również powstają pierwsze jego prace literackie: przekłady «Narzeczonej z Messyny» i «Don Carlosa» Schillera, oraz rozprawka p. t. «Eufonia języka polskiego», wydrukowana w «Pamiętniku umiejętności moralnych i literatury» 1830 r. Przypuścić wolno, iż ta ostatnia

praca była napisana w celu uzyskania stopnia magistra, oczywiście, po złożeniu przepisanych egzaminów ustnych.

Bezpośrednio po opuszczeniu murów uniwersyteckich Trentowski 10 września 1829 r. otrzymuje nominacyę na zastępcę nauczyciela czteroklasowej szkoły wydziałowej w Szczuczynie z płacą roczną 225 rubli. Wykładał tam historyę polską i powszechną, języki starożytne, oraz literaturę polską w klasach wyższych. Pozostawał w Szczuczynie w ciągu roku szkolnego 1829/30, nie ustając w pracy nad uzupełnieniem wykształcenia własnego. Jak wiele zdziałał, o tem świadczą słowa jego listu, pisanego w 1839 r. do redaktora «Tygodnika literackiego», A. Woykowskiego. «Jeszcze w Polsce poświęcałem się filozofii, czytałem Platona i Arystotelesa i wszystko, co Grek w tym przedmiocie napisał; czytałem Kartezyusza, Bakona, Spinozę i to, co w łacinie znaleźć się mogło, czytałem ojców kościoła bogobojnych i bezbożnych encyklopedystów francuskiego ludu. W końcu uczyłem się na gwałt niemczyzny i już poznałem w części Hegla, Schleiermachera, Marheinekego, nim wybuchła rewolucya nasza».

Po krwawej nocy 29 listopada 1830 r. filozofujący nauczyciel szczuczyński przedzierzgnął się nagle w szeregowca wojska narodowego. Trentowski stanął do apelu wraz z «doroślejszymi» uczniami swej szkoły («Teraźniejszość i Przyszłość» 1843, str. 296). Wspominając o tych czasach w cytowanym już liście do Woykowskiego, mówi: «Matce naszej (Ojczyźnie) ofiarowałem wszystko, co miałem, i dla niej wreszcie poniosłem życie na pole bitew. Jedenaście razy byłem w boju, i kula mnie nie trafiła».

Służył w ułanach. Po upadku powstania 5 października 1831 r. przeszedł wraz z korpusem generała Rybińskiego granicę pruską. Rząd pruski zmuszał emigrantów do wyjazdu do Francyi, lub do powrotu do kraju. Trentowski pragnął zostać w Niemczech, aby studyować filozofię na uniwersytetach niemieckich. Przyjął więc miejsce nauczyciela w domu chłopa pruskiego w Jungfer nad morzem Bałtyckiem. Po upływie pięciu miesięcy, kiedy nadeszły z domu pieniądze, a sołtys wsi pruskiej wydał »moralności świadectwo», udał się na uniwersytet do Królewca. Po dwu miesiącach wykryto jednak, że należał do powstania, i Trentowski musiał Prusy opuścić. Daremnie starał się o przyjęcie do uniwersytetu w Lipsku i Jenie. Okazano mu gościnę dopiero w Heidelbergu, gdzie też «odwiedzał prelekcye przez dwa półrocza» 1832/3 r. (Autobiografia. «Pam. Lit.» str. 660).

Wreszcie na jesieni 1833 roku osiedlił się na stałe we Fryburgu badeńskim. Z pośród licznych profesorów, z którymi się zapoznał w długiej wędrówce po uniwersytetach, szczególny wpływ wywarł nań Karol Daub, profesor teologii i filozofii w Heidelbergu. Posłuchajmy, co pisze sam Trentowski w liście do Aleksandra Zdanowicza (P. Chmielowski: Filozof w więzach reakcyi; «Ateneum» 1889, II, str. 158) o studyach nad filozofią, które odbywał pod kierunkiem tego zapalonego zwolennika Hegla. «I ja niegdyś tak się biedziłem nad filozofią, jak dziś Pan,

aż Daub mi to objawił w Heidelbergu, co ja Panu teraz piszę. I, Bogu dzięki, żem go posłuchał. Tak się rzecz miała. Słuchałem prelekcyi u Dauba. Zapoznałem i zaprzyjaźniłem się z nim. Poświęciwszy się filozofii, chwyciłem błędnie za ostateczne jej naówczas wyjawy, za pismo Hegla. Codzień przychodziłem do Dauba, prosząc o wyjaśnienie rzeczy, których nie rozumiałem i naówczas rozumieć nie mogłem. Długo czynił on to cierpliwie. Wreszcie rzekł mi: — «Widzę, że masz usposobienie i szczerą chęć do filozofii; radbym ci więc dopomódz prawdziwie i skutecznie. Jak? Pozwól, niech cię wyegzaminuję wprzódy, a może dam ci dobrą radę». Poddałem się pod egzamin, który trwał parę tygodni. Okazało się, żem dość umiał filozofię Greków, Rzymian i scholastyków. Daub rzekł: «Bardzo to mało. To nie wystarczy do zrozumienia Hegla». Pochodził po pokoju, podumał, mówił wreszcie: «Kazałbym ci uczyć się loiki Wolfa przedewszystkiem, lecz to mogłoby cię zrazić. Weź tedy Kanta *Kritik der reinen Vernunft* i czytaj. Jeżeli zrozumiesz ją, tom się w sądzie mym o tobie pomylił. Począłem czytać tę krytykę. Kilka kartek poszło dobrze, lecz dalej ani rusz! Nic nie rozumiem. Czuję, że trzeba mi zapoznać się wprzódy ze szkołą Wolfa, z której Kant wychodzi. Rzucam więc Kanta, a czytam Wolfa. Ale i Wolfa nie rozumiem, bo on wychodzi z Kartezyusza, Bakona, Lokego. Ciskam więc Wolfa, a czytam Kartezyusza. Później Bakona, Lokego, Leibnica i t. d. Dwa lata upłynęło, nim wróciłem do krytyki Kanta, którą wtedy zrozumiałem bez najmniejszego trudu. Drugie dwa lata upłynęło nad innemi dziełami Kanta, nad Humem, Fichtem, Jakobim, Schellingiem, nim przystąpiłem do Hegla. Tak tedy dopiero w cztery lata po wielkich pracach podołałem to strawić, co chciało mi się zaraz od początku połknąć i spożyć».

Trentowski uczęszczał na wykłady uniwersytetu fryburskiego aż do końca roku akademickiego 1835/6, borykając się z nędzą, zwykłą dolą emigranta polskiego. «Zagranicą», wyznaje on, «padałem nieraz we mdłości, bo nie byłem bezczelnym, jak inni, żebrakiem, poznałem cały ereb nieszczęścia i czuję żywo dotąd, co to boleść i rozpacz» («Tyg. literacki» 1839, str. 296). Jednak się nie poddał. Otuchy i zachęty do pracy dodawała mu nadzieja otrzymania katedry profesorskiej we Fryburgu. W tym celu po uzyskaniu stopnia doktorskiego w 1836 r., ogłasza on pierwsze swe dzieło filozoficzne w języku niemieckim. Jego tytuł: *Grundlage der universellen Philosophie.* (Carlsruhe u. Freiburg 1837 r.). W pięknej przedmowie stara się usprawiedliwić przed rodakami, że pisze w języku obcym. «Ale ty, moja droga, moja niewypowiedzianie umiłowana Ojczyzno, ty raju mój, z którego zostałem wygnany, nie gniewaj się na twego syna, że pisze nie w twoim języku! Nieszczęśliwa, uciśniona, gorzko płacząca sieroto! — tobie mógłbym większe wyświadczyć usługi, niż obcemu krajowi, który tak w geniusze bogaty! Któż jednak panem jest swojego losu? *(Grundlage.* str. XI). Niestety, przedmowa do następnegu dzieła niemieckiego, które się pojawiło o trzy lata później, jest trzymana już w odmiennym tonie.

«Autor», — czytamy tam — «wygnany ze swej drogiej, lecz bezgranicznie nieszczęśliwej ojczyzny, ocalił jedynie swą cześć oraz poczucie niewinności... Bóg ulitował się nad nim, i pozwolił mu znaleźć nową ojczyznę — i co za ojczyznę?» (*Vorstudien zur Wissenschaft d. Natur.* Leipzig 1840). Ojczyzną tą były... Niemcy. Trentowski ożenił się był z Niemką, przyjął poddaństwo w Wielkiem Księstwie Badeńskiem i dzięki poparciu wpływowych przyjaciół-Niemców, został docentem prywatnym filozofii na uniwersytecie fryburskim. Wszystko to zacieśniło węzły, łączące młodego filozofa z niemczyzną. Pióro Trentowskiego mogło być niepowrotnie dla Polski stracone. Wywołało to pewne zaniepokojenie w kraju i na emigracyi. Mickiewicz, jeszcze w 1839 r., w liście pisanym z Lozanny zachęcał Trentowskiego do pisania w języku polskim; «bo dla filozofa» — powiadał — «równie, jak dla wojownika, w ojczyźnie odkryją się środki i siły, o których on sam z góry wiedzieć nie może» (Korespond. IV, 117—120). Szczególną jednak zasługę przyznać tu należy Karolowi Libeltowi. Jego oceny pierwszych prac Trentowskiego były bardzo przychylne. Mimo to w roku 1840 nie zawahał się zarzucić docentowi fryburskiemu wprost apostazyi narodowej. Wcześniej jeszcze ułatwił Trentowskiemu drukowanie rozpraw filozoficznych w języku polskim. Za jego to z pewnością sprawą filozof nasz otrzymał zaproszenie do współpracownictwa w poznańskim «Tygodniku literackim». Trentowski w Nrze 43 «Tygodnika» z roku 1840 odpowiedział oświadczeniem, że «ma szczerą chęć od dnia dzisiejszego przynajmniej tyle wydać po polsku, ile wydał po niemiecku i ile wyjdzie, ponieważ już gotowe i napisane». (Trentowski ma tu na myśli swoją »Myślinię», którą opracował przedewszystkiem po niemiecku). Od wyłącznego poświęcenia się twórczości literackiej w języku polskim powstrzymywała go jeszcze nadzieja otrzymania profesury we Fryburgu lub Bazylei. Nadzieja ta jednak rychło się rozwiała. Trentowski, zniechęcony do uniwersytetu, porzucił w roku 1843 nawet docenturę prywatną, ażeby do niej już nigdy nie powrócić. Wówczas patryoci poznańscy zakrzątnęli się około zapewnienia odzyskanemu dla polszczyzny filozofowi pomocy materyalnej. Dzięki zabiegom dra Karola Marcinkowskiego, oraz ofiarności Edwarda Raczyńskiego, Trentowski otrzymuje pensyę roczną z kraju. Pozwala mu to całą energię poświęcić pracy twórczej. Następuje najszczęśliwsza epoka w twórczości Trentowskiego. Cały szereg artykułów, rozpraw, traktatów filozoficznych, wreszcie dwa dzieła kapitalne: «Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej», Poznań 1842 (wydanie drugie w 1845 r.), oraz «Myślini, czyli całokształt loiki narodowej», Poznań 1844: — oto plon z tych czasów. A wszystkie te dzieła zmierzają do jednego celu. Chcą pogodzić sprzeczności, panujące w filozofii Europy zachodniej, przez oparcie się na pierwiastkach nowych, stanowiących cechę oryginalną umysłowości słowiańskiej, a polskiej przedewszystkiem. Stąd «narodowość» nietylko pedagogiki, lecz nawet metafizyki i logiki. Poglądy śmiałe i nowe zyskały Trentowskiemu rozgłos niebywały. Zwłaszcza zakazaną w Królestwie i Galicyi «Chowannę» przemycano przez granicę na równi z pismami Mickiewicza.

Rząd pruski ograniczył się do wydalenia Trentowskiego z Poznania, po wygłoszeniu przezeń w lipcu 1843 r. odczytu publicznego p. t. «Powstanie Wielkopolan, czyli pięć politycznych widzeń». Poza tem policya pruska w roku 1844 skonfiskowała cały nakład «Myślini»; jednakże cenzura w Berlinie wkrótce tę konfiskatę zniosła.

W epoce przed rokiem 1846 sława Trentowskiego dosięgła szczytu, a jednocześnie, jak to często bywa, i swego przesilenia. Na horyzoncie politycznym poczęły się zbierać chmury gromami ciężarne. Po rzezi galicyjskiej znikł spokój duszy, niezbędny do zajmowania się filozofią. Polityka pochłonęła wszystkich.

Dotkliwym ciosem dla Trentowskiego w tym roku klęski była również śmierć Karola Marcinkowskiego. Materyalne położenie filozofa zostało zachwiane. Pospieszył mu z pomocą Zygmunt Krasiński, z którym Trentowski w tym właśnie czasie nawiązał korespondencyę. Największy filozof wpośród poetów polskich, który już dla Słowackiego był «archaniołem wiary», stał się prawdziwym duchem opiekuńczym dla niedoszłego poety wpośród filozofów. Na jesieni 1847 r. donosił on Trentowskiemu, że jest «Augustową (Cieszkowskiego) myślą utworzyć ze składek... pewnych, corocznych, licznych, jakoby zakład, mający zastąpić brak uniwersytecki» (Listy Zygmunta Krasińskiego» Lwów, 1882. Str. 210.) Gdy jednak urzeczywistnienie tego zamiaru uległo zwłoce, sam przesłał zrozpaczonemu już filozofowi odpowiednią zapomogę. Wpływ osobisty Zygmunta odbija się na całej dalszej twórczości Trentowskiego. W listach poruszano najczęściej sprawy etyczne, polityczne i narodowe. Dość radykalnie za młodu usposobiony filozof przejmuje się mesyanistycznemi ideami Krasińskiego, zbliża się do katolicyzmu, poczyna idealizować arystokracyę. Literackim wynikiem współżycia duchowego tych dwóch myślicieli są «Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia przez Ojczyźniaka». Pojawiły się one w redagowanym przez Trentowskiego czasopiśmie paryskiem: «Teraźniejszość i Przyszłość» 1847 r. Kilka ustępów w tej pracy wyszło z pod pióra Krasińskiego. Toż samo można powiedzieć o następnej rozprawie politycznej Trentowskiego p. t. «Przedburza polityczna». Dzieło to wyszło w roku 1848. Drga w nim tętno wezbranego życia i wezbranych nadziei owego roku «wiosny narodów». Na wieść o ruchu w Krakowie Trentowski podążył do tej prastarej stolicy. W «Gazecie krakowskiej» Nr. 83, r. 1848 czytamy: — «W zeszłą środę (5 kwietnia) rozbiegła się wieczorem późnym wieść, że jeden z przybyłych koleją żelazną jest Bronisław Trentowski, ten Trentowski, którego imię tak uczciwie, tak świetnie od tylu lat już brzmi w ustach i sercu rodaków. Więc tłumnie zebrali się mieszkańcy miasta naszego przed oberżą Pollera, by powitać szanownego filozofa w murach naszych. Trentowski wyrazami rzewnymi podziękował za te oznaki przywiązania serdecznego. — Gdy nazajutrz na prośby krakowian szanowny nasz Bronisław

ukazał się w amfiteatrze nowodworskim wśród ciżby nieprzeliczonej publiczności, a wielbicielów swoich, jeden z zacnej naszej młodzieży uczcił ukochanego gościa piękną, a pełną treści przemową, poczem Trentowski odezwał się rozprawą, roztaczając w niej pochód idei socyalnej przez czasy starożytnej, średniej i nowożytnej historyi. Obrzucony kwiatami, udarowany wieńcami, Trentowski pożegnał publiczność, przyrzekając, iż dwa razy na tydzień odbywać będzie publiczne lekcye treści politycznej (K. Wróblewski: «Br. Trentowski»). Lekcye te przerwane zostały rozporządzeniem rządu austryackiego z 27 kwietnia, wydalającem wszystkich emigrantów z Krakowa. Trentowski udaje się do Frankfurtu nad Menem, gdzie od połowy maja obradował parlament niemiecki. Że brał czynny udział w sprawach politycznych, dowodem jego podpis na adresie komitetu narodowego polskiego, złożonym Zgromadzeniu narodowemu niemieckiemu, a żądającym, aby Zgromadzenie orzekło się w imieniu całych Niemiec za przywróceniem niepodległości Polski. Wkrótce jednak powraca on do Fryburga i oddaje się działalności pisarskiej. Nadzieje powrotu do kraju i otrzymania katedry na wszechnicy Jagiellońskiej rozwiały się zupełnie. Filozofowi naszemu sądzono było pędzić do końca żywot emigranta. Wstrząśnienia przeżyte w 1848 r. odbiły się fatalnie na jego zdrowiu. Upadek wszystkich nadziei, reakcya, rozpoczynająca się w całej Europie, przygnębiły go do reszty. W roku 1849 Trentowski zapada na ciężką chorobę nerwową, która mu na lat siedem wytrąciła pióro z ręki, pozbawiając jedynego środka zarobkowania. A tymczasem był on ojcem rodziny, złożonej z trojga osób, gdyż po śmierci starszego syna i córki została mu jeszcze najmłodsza córeczka — Olimpia. Co przeszedł w owych czasach, możemy się tylko domyślać z jego listów do Aleksandra Zdanowicza, nauczyciela historyi w Wilnie. «Że też ja w całym żywocie moim wypracować się nie mogę tak dalece, żebym nie troszczył się o przyszłość!» — skarży się tutaj na ogół nie skłonny do zwierzeń osobistych filozof.

Listy do Zdanowicza rzucają sporo światła na życie Trentowskiego pomiędzy 1856, a 1862 r. Jest to drugi okres wzmożonej działalności pisarskiej naszego filozofa. Podczas długoletniej bezczynności przymusowej pogląd jego na świat i ludzi uległ dość głębokiemu przeobrażeniu w kierunku mistycyzmu spekulacyjnego. Trentowski posiadał poczucie większej głębi i dojrzałości. «Dzisiaj choroba nerwowa«, — pisze on we wstępie do «Panteonu,» — «to tyle, co za dawnych czasów żywot na pustyni, gdzie skupiało się w sobie, co rozproszyłoby się w rozległym, a co chwila odmiennym świecie. I osoba pisarza i rzecz jego wzmogła się, dojrzała. Duch się wyklarował, jak stary miód». Trzytomowy «Panteon wiedzy ludzkiej» stanowi najwybitniejsze dzieło, jakie nasz autor stworzył w tem usposobieniu ducha. Poza tem napisał jeszcze kilka rozpraw drobniejszych, brał udział w pracy nad Słownikiem języka polskiego (Wilno, 1861 r.) wreszcie wykończał wielkie dzieło teozoficzne p. t. «Bożyca». Lecz prawie nic nie drukował. Reakcya umysłowa, szerząca się po całym

kraju, usposobiła społeczeństwo wrogo względem wszelkiej filozofii samodzielnej. Trentowskiego ogłoszono za heglistę i kalwina, (choć sam twierdzi, że nigdy nie porzucił katolicyzmu.) Wszystkie redakcye zamknęły się przed nim. «Panteon» pojawił się w druku dopiero po śmierci filozofa, dzięki staraniom Libelta. «Bożyca» zaś dotychczas pozostała w rękopisie.

Nędza zmusiła Trentowskiego w 1859 roku do wyjazdu do Paryża. Bawił w tem mieście przez 13 miesięcy, poszukując nowych źródeł utrzymania. Zamierzał otworzyć pensyonat dla młodzieży szkolnej. Rozpoczął wykłady publiczne o estetyce, oraz «o przeznaczeniu wyższych warstw społeczeńskich». Brał czynny udział w życiu emigracyi. Zetknięcie z ziomkami podnieciło go i orzeźwiło. Pod koniec jednak pobytu w Paryżu ciężko się rozchorował z przepracowania i musiał powrócić do Fryburga.

W tem mieście upłynęły Trentowskiemu ostatnie lata życia. Stan jego zdrowia pogarszał się coraz bardziej. Przed samą śmiercią napisał jeszcze po niemiecku rzecz o wolnomularstwie, do którego przez pewien czas należał. Umarł dnia 16 czerwca 1869 r., przeżywszy lat 61.

«Uczeni niemieccy, towarzysze i uczniowie, oddali należny hołd zasłudze, odzywając się z serdecznem uznaniem o uczciwej pracy nieboszczyka, którego grób kwiatami zasypano». (Ks. Krupiński: B. F. Trętowski. «Tyg. ill.» 1870). W kraju wiadomość o śmierci filozofa przebrzmiała bez echa.

Trentowski należał do ludzi, którzy wcześniej porwali się do szabli, niż do pióra. Dlatego też ma on prawo twierdzić, że Złote Runo swej duszy na polu bitew zdobywał. Kiedy następnie spojrzał w oczy wszystkim filozofom niemieckim, to przedewszystkiem uderzyła go różnica, jaka zachodziła pomiędzy nim, tak niedawno jeszcze człowiekiem czynu bohaterskiego, a tym zastępem głów teoretycznych. On rwał się do życia pełną piersią z całym zapałem młodości. Tamci zdawali się tego życia nawet nie dostrzegać. Zamieszkali w fantastycznym zamku filozofii romantycznej i wszelkie mosty, prowadzące do rzeczywistości, podnieśli do góry. Więc, choć się stał ich uczniem, nigdy w mądrość mistrzów swoich nie uwierzył. Uczył się od nich metody filozofowania, lecz poto tylko, aby z jej pomocą wypowiedzieć myśli własne, jakie poczytywał za wyjaw duszy polskiej i wogóle słowiańskiej. Wierzył, że wybiła godzina, w której Słowo nowe ma się przeciwstawić duchowi narodów romańskich i germańskich. Stąd myśl o narodowej filozofii polskiej. Trentowski wypowiada ją zupełnie jasno już w pierwszem swojem dziele filozoficznem z 1837 r. W *Grundlage der universellen Philosophie* str. IX, czytamy: «Autor tego pisma prosi, aby do niego nie przykładano żadnej obcej miary, ale je chciano uważać za wykwit jego własnej istoty oraz za odgłos tej filozofii, która ożywia sam rdzeń narodu polskiego i z jego duszy rozbrzmiewa. Harmonia jego wiedzy ma jego ojczyznę za swą kołyskę i swój re-

zonator». Jakież jest nowe Słowo polsko-słowiańskiego ducha? To przedewszystkiem pęd, to szukanie, to samodzielność, nie uznająca wyższych mistrzów od «żywej współczesności». Precz z «martwemi księgami». «Należy nie tylko czytać, lecz również żyć należy. Jedno spojrzenie wolne na niebo usiane niezliczonymi zastępami gwiazd rozbudza bardziej naszą samodzielność, od wszystkich praw ciążenia Keplera i Newtona i wszelkich podręczników astronomii. Żywa współczesność była pierwszą mistrzynią ludzkości, dostarczyła treści pierwszym pisarzom i pierwsze księgi stworzyła. Ona jest zawsze samodzielna, jest świętem źródłem samodzielności. O każdym wschodzie słońca budzi się, jak drzewo z Goa, zawsze świeże i strząsa nocny nadmiar swego kwiecia» (Tamże. Str. VI). «Pełna prawda na ognistych skrzydłach życia» — oto hasło, jakie na czele swego dzieła wypisał!

Żadna z filozofii nie zaspokaja tego pędu do rzeczywistości. Wszystkie systemy dotychczasowe, według Trentowskiego, odznaczały się ciasnotą i jednostronnością. Jedni filozofowie uważali wszystko za przejaw ducha: — to idealiści. Inni, przeciwnie, sprowadzali cały ogrom zjawisk do materyi: — to realiści. Cały świat filozoficzny podzielił się na dwa obozy; — na realistów i idealistów. W pierwszym kierunku poszli przedstawiciele ducha romańskiego, więc przedewszystkiem Francuzi; — w drugim kierunku większość filozofów świata germańskiego. Kant chciał pogodzić te dwa walczące obozy, lecz nie dopiął celu, gdyż popadł w jednostronny realizm. Cała dalsza filozofia niemiecka rozwinęła się na podłożu idealizmu. Najdalej w tym kierunku posunął się Fichte. Dlatego też skrajny subjektywizm cechuje całą jego filozofię. Schelling i Hegel pragnęli powrócić do objektywizmu. Trentowski z wielkiem uznaniem wyraża się o ich dziełach. Twierdzi jednak, że celu swego nie osiągnęli. Objektywny idealizm Schellinga i absolutny idealizm Hegla pozostały jednak idealizmami. Niemcy ugrzęźli w subjektywiźmie i nie mogą się z niego wydobyć. Należy to przypisać właściwościom narodowego ducha niemieckiego. Dla Germanów strona świata idealna stanowi twierdzenie bezwzględne. Duch jest dla nich zawsze plusem, materya zaś minusem. Dlatego też wszelka synteza musi tu być idealistyczna, a wszelka filozofia zamienia się w spekulacyę. Trentowski zmienia stosunek ducha do materyi na odwrotny. Dla niego materya jest plusem, a duch minusem. Takie przestawienie tezy i antytezy ma być właściwem duchowi słowiańskiemu. Ma go ono zarazem doprowadzić do osiągnięcia nowej zupełnie syntezy. Powołaniem Słowian jest zjednoczyć wszystkie przeciwieństwa, jakie dotychczas pozbawiały filozofię wszechstronności, i na tej drodze dojść do poznania rzeczywistości, czyli pełnej prawdy. Dotychczas filozofii właściwie nie było. Francuzi stworzyli empiryę, a Niemcy spekulacyę. Obecnie twierdzenie empiryi i przeczenie spekulacyi ma się stopić w jednym plus-minus prawdziwej filozofii. Symbolem jej matematycznym ma się stać następująca formuła;

$$+ A - A = \pm A$$

$+ A$ oznacza tutaj materyę abstrakcyjną, — A ducha absolutnego $\pm A$ uduchowioną materyę. «Wszystkie te trzy symbole, wzięte oddzielnie, są czemś i niczem, liczbą i zerem, wiernym obrazem abstrakcyjnego, absolutnego i żyjącego świata, razem jednak pełną prawdą samą w sobie, ta zaś prawda jest całością uniwersalną» (*Grundlage.* Str. 221—222).

Trentowski uważa się za pierwszego głosiciela takiej właśnie «filozofii uniwersalnej», co prawda nie zupełnie słusznie, gdyż ją wyprzedził niezmiernie pokrewny duchem «panenteizm» Karola Krausego [1]).

Zadanie sprowadzenia wszystkich sprzeczności do syntezy jest najdalszym ideałem wszelkiego filozofowania. Najgenialniejsze umysły starały się osiągnąć «uniwersalizm», o jakim mówi Trentowski. Nigdy jednak do niego nie doszły, gdyż treść świata, stanowiącego przedmiot myślenia, okazywała się zawsze bogatszą od najbogatszego umysłu. Czy Trentowskiemu udało się choć w części wykonać swój zamiar? A przedewszystkiem, jaką drogę obrał, aby swój cel osiągnąć? — Odpowiedzi na te pytania poszukamy w najlepszej pracy filozoficznej naszego autora: — w «Myślini». «Pierwsza i najgłówniejsza jej część», — chwali się Trentowski w «Panteonie» (t. III, str. 838), — Analityką tam nazwana, jest Petrozofią *par excellence* i taką, jakiej nigdy dawniej nie było.. Na niej stoi Filozofia każda i gra w jej karty wszelaką grę. Stąd też ona Filozofia Filozofii». Dodać należy, iż «Petrozofia» w dziwacznej często terminologii Trentowskiego oznacza najwyższą z pośród nauk filozoficznych, podającą «prawdy zasadnicze» i będącą wskutek tego «skałą, na której Filozofia stoi.. tudzież kluczem do niebios wszystkich, lub, tak zwanym, *Clavis Sancti Petri*». (Panteon III, 831).

Otwieramy więc Analitykę.

Trentowski chce rozpocząć swoją teoryę poznania i metafizykę «od najpierwszej i najoczywistszej prawdy. Prawda taka powinna być bezpośrednio pewna. Ona nie może mieć, nie ma, nie potrzebuje i nie wymaga dowodu. Dość ją nazwać, a wszyscy ludzie zgodzą się na nią. Będzie to najlepszy do filozofii i do loiki wstępień «(introitor) («Myślini», str. 65). Wkrótce okazuje się, że ta «prawda najpierwsza leży w słówku: Jestem». «Istnienie moje — mówi Trentowski — idzie przed badaniem mojem, bo gdybym nie istniał, badaćbym nie mógł. Przeświadczenie me własne idzie przed wszystkiem na świecie, bo gdybym sam przeświadczenia nie miał, nie zdołałbym się o niczem przeświadczyć» (tamże). Jak widzimy, filozof nasz wstępuje w ślady Descartesa. Pragnie ugruntować filozofię swoją na poznaniu bezpośredniem i uczynić ją w ten sposób «filozofią bezpośredniego wiedzenia» (str. 302). Niestety, z dalszego ciągu rozumowania przekonywamy się aż nazbyt prędko, że dążenie do bezpośredniości nie uchroniło Trento-

[1]) Karol Krause (1781—1832), filozof niemiecki, przeciwstawiał swą «naukę o wszystkiem w Bogu» (panenteizm) panteizmowi Schellinga i Hegla.

wskiego od dogmatyzmu. Uległ on temu samemu niebezpieczeństwu, jakie o trzysta lat wcześniej zmogło potężny rozmach myśli Descartesa, — z tą tylko różnicą, że wielki filozof francuski zaczął od bezpośredniości; aby następnie dopiero popaść w dogmatyzm, podczas gdy polski myśliciel wychodzi z przesłanek dogmatycznych i następnie dopiero czyni pozorny zwrot w kierunku bezpośredniości. Pewność zawarta w «słówku: Jestem» nie stanowi dla niego jeszcze prawdy ostatecznej, czyli «prawdoświeci», «ale jedynie drogę, do niej wiodącą». Dlaczego? Bo «prawda, że jestem, leży li w poznającej istocie, li we mnie i jest li podmiotowej natury». A tymczasem prawdoświeć «powinna być nie tylko podmiotową, ale także przedmiotową; powinna leżeć także za poznającą istotą, za mną; gdyż inaczej ja sam byłbym prawdoświecią» («Myślini» 67). Dalej dowiadujemy się, że prawdoświeć «powinna być» sama w sobie organiczną całością, taką np., jaką jest Bóg, świat, człowiek. Powinna ona być istotą, t. j. treścią i formą w jedni. Słowem, ma to być prawda bezwzględna i wieczna. I znowu zapytujemy: dlaczego? — Filozof odpowiedzi na to nie udziela. Tu więc dopiero dotarliśmy do pierwszej przesłanki jego syllogizmu. Przekonywamy się, że jest nawskroś dogmatyczna. Określenie prawdy, jakieśmy tu podali, staje się dla Trentowskiego najwyższem kryteryum.

Na jego modłę urabia on «prawdę podmiotową», jaką mu objawiło «przeświadczenie bezpośrednie». Dowolne zupełnie parafrazy filologiczne, wzorowane na metodzie spekulacyjnej Krausego[1], doprowadzają go wreszcie do ustalenia następującego szeregu równań. Jestem = ja jestem = jaźń jest. W dalszym ciągu okazuje się, że «słówko: Jestem pod względem przedmiotowości» oznacza, że jest istnienie. W ten sposób otrzymaliśmy już prawdę objektywną, chociaż jeszcze względną, wszelkie bowiem istnienie jest zawarowane miejscem i czasem. Czemże jest jednak jaźń? Oto cząstką naszej istoty bezwzględną i wieczną. Nie jest już ona istnieniem, ale «stnieniem», czyli bytem absolutnym. A zatem: «jaźń jest» — oznacza, że jest stnienie, czyli byt bezwzględny, absolut, Bóg. «Stnienie jest przeto «najpierwszą prawdoświecią» («Myślini» str. 71). Na tem się jednak ten wywód prawd zasadniczych nie kończy. Świat jest istnieniem, a Bóg jest stnieniem. Czemże jest człowieczeństwo? — Ani Bogiem, ani światem, — odpowiada Trentowski, lecz «czemściś» trzeciem, obok dwu pierwszych prawd stojącem, czyli trzecią prawdoświecią. (Str. 72). I znowu pozornie ze «słówka: Jestem», w istocie zaś z założonego na początku określenia prawdy, filozof nasz wyprowadza swoją prawdoświeć trzecią. Jest ona istnieniem i stnieniem w jedni, czyli «istniostnieniem».

Wywód tych pojęć zasadniczych pozwala nam zrozumieć i ocenić metodę filozofa polskiego. Polega ona na ciągłem podprowadzaniu dwuch pojęć przeciwnych pod trzecie ogólniejsze.

---

[1]) Patrz: — Karol Krause, *Vorlesungen über die Grundwahrheiten der Wissenschaft.* Prag. 1868, T. I, str. 81—183.

To ostatnie pojęcie nazywa Trentowski «różnojednią». Przypomina ona niezmiernie syntezę Hegla, w której teza i antyteza stapiają się w jedno. Różnica, jaka zachodzi między różnojednią Trentowskiego, a syntezą Hegla, polega jedynie na tem, że różnojednia jest skojarzeniem statycznem i wiecznem, a synteza kinetycznem i momentalnem. Różnojednia oznacza wspólność właściwą wszelkim różniom, bo ugruntowaną na jedności całego bytu. Dlatego też może ona trwać współcześnie z niemi, nie zagrażając bynajmniej ich indywidualności. Inaczej rzecz się ma z syntezą Hegla. Jest ona przejawem rozwoju ducha absolutnego, który do jedni ze sobą jeszcze nie doszedł. Dlatego też nie obejmuje ona tezy i antytezy, ale je, przeciwnie, zwalcza, zabija i w ten sposób z ich śmierci się rodzi. Nie zmienia to faktu, że różnojednia jest metodą spekulacyjną, wzorowaną na dyalektyce Hegla. Trentowski jednak utrzymuje, że nie miano o niej wyraźnego pojęcia, aż do czasów jego filozofii. «Okoliczność ta wtrącała najsławniejszych nawet filozoficznych jeniuszów w ostateczności, bo jedni z nich chwytali za względną różnią, inni zaś za bezwzględną jednią. Stąd ciągłe rozdarcie umiejętności we dwa połcie, dwie szkoły nieprzyjaźne sobie, dwa na śmierć lub życie walczące z sobą stronnictwa («Myślini», str. 102). Naszemu filozofowi miało się dopiero udać połączenie wszelkich różnic względnych w jednem obejmującem je pojęciu, czyli w «różnojedni». Poczytuje on to sobie za największą zasługę. Różnojednia staje się dla niego sprawdzianem wszelkiego poznania, «skalą umiejętną, wedle której rozstrzygamy o prawdziwości danej nam nauki, czasem także o jej wartości» (str. 365). Jeśli jaka filozofia, lub religia nie posiada znamion różnojedni, «odrzucasz ją bez wielu korowodów, bo nie zgadza się z prawdy i wiedzy rozbierzą (analizą), której ściśniętą w jedną kroplę treścią jest sprawdzian poznania» (str. 366). Stąd wynika, że różnojednia należy do przesłanek dogmatycznych całego systemu. Ten sprawdzian poznania jest tylko jednem więcej z góry założonem określeniem prawdy.

Istnienie, stnienie i istniostnienie stanowiły pierwszą trójcę pojęć, wynikłą z zastosowania spekulacyjnej metody Trentowskiego. Z takich trójc zbudowany jest cały jego system. Prawdoświeci wszystkie są, naprzykład, bytem. Antytezą bytu jest nicestwo. Różnojednia bytu i nicestwa na łonie istnienia daje stawanie się, rzeczywistość czasową, czyli «żywostan». Różnojednia bytu i nicestwa w stnieniu daje trwanie, rzeczywistość wiekuistą, czyli «bożostan».

W ten sposób otrzymanym kategoryom świata objektywnego odpowiada «drzewo święte w jaźni naszej rosnące«, innemi słowy, «władze» ludzkiego poznania. Układ ich jest symetryczny, jak budowa całego systemu. Człowiek składa się z pierwiastka dodatniego: — ciała, pierwiastka ujemnego: — duszy, ale jest przedewszystkiem różnojednią tych dwuch czynników, czyli jaźnią. Ciało ma następujące władze poznawcze: zmysł, wyobraźnię *(Vorstellungskraft)* i pamięć. «Koroną i królem zmysłowości całej» jest rozum *(Verstand).* Jest on bowiem różnojednią wyobraźni i pamięci («Chowanna» 1842, I, XXXVII). Dusza

posiada: um (fantazyę), rozsądek *(Urteilskraft)* i umysł *(Vernunft)*. «Jaźń, to bóstwo w nas żyjące, ma następne władze»: uwagę *(Aufmerksamkeit)*, rozwagę *(Anschauung)* i umysł *(Wahrnehmung)*. Mysł jest najwyższą różnojednią wszystkich władz poznawczych. «On jest tedy źródłem i ojcem filozofii» («Chowanna» 1842, XXXIX). «On ściąga się na świat widzialny i niewidzialny, czyli na świat rzeczywisty i wiedzie nas do o b j ę ć, będących, że tak rzekę, uściśnieniem żywej, pięknej bogini prawdy, okrążeniem całości, prawdą istną, tak zwanem acroama» (tamże XL). I dalej podąża Trentowski raz wytkniętą drogą, dzieląc i kojarząc swoje pojęcia zasadnicze bez końca. Sama tylko Analityka dostarcza mu w ten sposób 219024 «umiejętników». Ich wielka liczba utwierdza naszego filozofa w przekonaniu, że posiadł pełną wiedzę rzeczywistości, do jakiej tak dążył. Nie spostrzegł się, że zabrnął w formalizm, że metoda, zapożyczona od filozofów niemieckich, zatryumfowała w jego systemacie nad istotnątreścią.

«Wyznać musimy otwarcie, że bez heglowskiej loiki Myślini nasza możeby tak zacząć nie mogła, jak zaczęła», czytamy w Analityce (str. 123). Na ogół jednak filozof nasz rzadko tylko i niechętnie stwierdzał swoją zależność od Hegla. Najczęściej wykazywał różnice, dzielące go od mistrza i ostro go atakował, nazywając «sową Minerwy». Kiedy zaś zarzucono mu z kraju, że krzewi filozofię niemiecką, protestował namiętnie. «Ja mam być rozkrzewiaczem filozofii niemieckiej! A, to już Sodoma i Gomora! Ja, najzaciętszy jej wróg i burzyciel! Gołuchowski wasz jest rozkrzewiaczem filozofii niemieckiej... Kremer... Libelt... Ale ja, com rozstał się całkowicie z Heglem i całą spekulacyą niemiecką od samego początku, nawet w pismach mych niemieckich, a usiłuję utworzyć filozofię narodową, polską i słowiańską, mającą charakter całkowicie inny, na Bogu osobistym i na moralności ugruntowaną, a z chrześcijaństwem zgodną, ja, mówię, mam być filozofii niemieckiej rozszerzaczem?» (List do Zdanowicza. *Ateneum*, 1889. II.) Niestety,— odpowiedzieć musimy,—więcej podobieństwa zachodzi między spekulacyą Hegla i Trentowskiego, niż różnic. Filozof polski nie jest «panteuszem», jak Hegel. Absolut jest, według niego, od początku w posiadaniu prawdy najwyższej, gdyż sam tę prawdę stanowi. Dlatego też «Myślini» mówi o «prawdoświeciach» i Bogu przed wyprowadzeniem trójcy: bytu, nicości i żywostanu, od czego Hegel rozpoczyna. Dla Trentowskiego, jak i dla Krausego, byt jest wieczną różnojednią, harmonią boską skończenie doskonałą, która wskutek tego rozwijać się już nie potrzebuje. To go zbliża do pojęcia osobistego Boga chrześcijańskiego, wiąże początek jego systemu z końcem, nadaje całości równowagę i spokój już «bożostanowy». Wszystko to jednak nie obala faktu, że Trentowski zarówno metodę swoją, jak zasadnicze pojęcia zaczerpnął od HeglaJego system jest statycznem przedstawieniem tego, co Hegel pokazał w ruchu i dążeniu.

A jednak było w tym człowieku dużo rozpędu twórczego i dużo oryginalności. Tylko, że się to wszystko przejawiło bardziej w szu-

kaniu, niż w znajdowaniu. Jego styl tętni pożądaniem pełnego, prawdziwego życia. Rzeczywistość jest dla niego «ptakiem, flamantem zwanym», łonem przyrody, dla którego gotów, jak Faust, martwe księgi rzucić, «ogrodem pełnym uroczego kwiecia», piękniejszym nierównie od kraju marzenia. Gdy mówi o rzeczywistości, o życiu, o woli, o czynie, to słowa jego palą się płomieniem. Chłoszcze on wówczas dogmaty, «w których duch zagasł, i tylko jeszcze litery szkieletem trupim świecą». Niemcom pozostawia mamidła czystej idei; Polakowi każe gonić za rzeczywistością («Chowanna» 1842, I, 144). «Tylko na skrzydłach orlich, nie zaś na nóżkach idącego krok za krokiem żółwia», chce wzbić się do swego Zenitu. («Chowanna» I, str. 519).

Jakże różnym od tego dążenia jest cel osiągnięty! P o j ę c i e rzeczywistości, jakie Trentowski podaje, to nazbyt łatwa, bo tylko słowna «różnojednia» materyi i ducha, to tylko pojęcie, a nawet mniej jeszcze: bo wyraz, bo «czystej idei mamidło». Im przedmiot ogólniejszy, tem niebezpieczniejszy staje się formalizm. Dlatego też nie w filozofii, ale w etyce, pedagogice i polityce zdołał Trentowski wypowiedzieć swe myśli najoryginalniejsze. Nic dziwnego, że «Chowanna» daleko silniejszy wpływ na współczesnych wywarła od abstrakcyjnej «Myślini».

Znany jest aforyzm Hegla, iż cokolwiek istnieje, jest rozumne. Twierdzenie to było tylko bezpośrednią konsekwencyą idealizmu absolutnego tego filozofa. Trentowski, czyniący prawdę boską istotą całego bytu, musi się z Heglem na tym punkcie zgodzić. «Wszystko, co jest, jest prawdą, i wszystko, co prawdą jest, jest» («Myślini» 109). Oto sformułowanie tej myśli przez naszego filozofa. Wynika z niej, że fałsz zasadniczy nie istnieje. To, co nazywamy fałszem, jest tylko jednostronną, nie doprowadzoną do różnojedni prawdą. Tak samo ma się rzecz z dobrem i złem. Tylko dobro[1]) istnieje. Zło zaś jest dobrem ograniczonem. Dobro jest różnojednią dwuch pierwiastków przeciwnych: pożytku i szlachetności. «Zło jest pożytkiem i szlachetnością w rozdwojeniu; pożytkiem bez szlachetności, lub szlachetnością bez pożytku; nieszlachetnym pożytkiem, lub niepożyteczną szlachetnością» («Chowanna» I, str. 66). Trentowski jaknajenergiczniej przeciwstawia się etyce stoickiej, oraz kategorycznemu imperatywowi Kanta. Opieranie się wyłącznie tylko na cnocie dla cnoty, na szlachetności, jest jednostronnością, a zatem pewnym zła rodzajem. Objawia się on «w człowieku, płynącym na żagwiach anioła jedynie za szlachetności gwiazdą i nie zważającym wcale na pożytek. «Kto, naprzykład, — mówi Trentowski — jest wolności zapaleńcem, nosi w swej głowie niepodobne do urzeczywistnienia ideały, pragnie je przecież zapalić piersi swej ogniem, wiąże się przeto z innymi, podobnymi do siebie, szaleńcami, podnosi rokosz, zagraża siwobrodym ustawom ojczyzny i publicznemu porządkowi; ten ma odosobnioną szlachetność na oku, działa źle i jest także złoczyńcą!» («Chowanna» I, str. 66). «Niemiecka spekulacya

[1]) W terminologii Trentowskiego: dobre i złe

zdoła tylko na zamarzłym morza grzbiecie lodowatej i tchórzliwej duszy Niemców stawiać swe piramidy; we Francyi wychowałaby ona samych Robespierów. Polak, uczeń jej wierny, rozpala się wnet nieznanym jej płomieniem!» (tamże, str. 67). Gonienie wyłącznie tylko za szlachetnością jest więc złem spekulacyjnem. Trentowski zwie je «moralnym aniołem» — w przeciwieństwie do «moralnego szatana», który tylko pożytek ma na oku. «Moralny szatan jest w oczach prawdziwego człowieka nurtującym w nędznej bryndzy robakiem, a moralny anioł — goniącym za niczem balonikiem ducha; oba są istotami choremi i potrzebują od nadobnej dziewicy, Rzeczywistością zwanej, lekarstwa. Anioł żyje dla samego celu, albo raczej dla czystego, niepożytecznego celu i jest odosobnionym celem; szatan zaś żyje dla samego środka, albo raczej dla czystego, nieszlachetnego środka i jest odosobnionym środkiem, a przeto także zwierzem. Dobre rozszczepia się tak w złem dwojakiem, t. j. w pożytku i szlachetności, jak żywostan w dwu swych pierwiastkach, t. j. w bycie i nicestwie, skoro umiera. Czem śmierć w istnieniu, tem złe w działaniu» («Chowanna» I, str. 67—68).

W jakiż sposób zapobiedz złemu w naturze ludzkiej? Należy rozwijać wszechstronność jaźni, dążąc do wychowania w ludziach «całości doczesnej i całości wiekuistej». Na tem właśnie polegać ma cel najwyższy wszelkiego wychowania. Trentowski jest w pedagogice wrogiem jednostronności. Zarówno realny kierunek wychowania, jak idealny, nie są zdolne wychować człowieka wszechstronnego. Realizm bowiem kształci władze ciała, a idealizm — duszy. Człowiek winien być różnojednią tych dwuch czynników, winien być jaźnią; to go uczyni prawdziwym, rzeczywistym. «Tylko rzeczywisty człowiek jest wszechstronnym, pełnym i prawdziwym człowiekiem; tylko on jest Bogiem-człowiekiem, obrazem i podobieństwem Boga!« («Chowanna» I, str. 71). Taki człowiek nie będzie wyłącznie polował «za pożytku kuropatwą»; ale się nie da również otumanić ideałom urojonym, temu istotnemu niebezpieczeństwu dla zapalnego charakteru Polaków. «Idealność w rozbracie z realnością» aż nazbyt często unosiła nas za wysoko i strącała później w błot oparzeliska! «Napoleon już powiedział: *Les Polonais font tout par enthusiasme, et rien par système!* Biada nam, skoro to prawda! I prawda jest, jak się zdaje» («Chowanna» I, 77).

Niebezpieczeństwem Polaków wewnętrznem, bo tkwiącem w ich charakterze, jest nadmierna wybujałość «umu», czyli wyobraźni. «Polak ma rozum i dowcip, jednakże na niższym stopniu, niż Francuz; ma także humor, ale nie tak bogaty, jak humor angielski, lub niemiecki. Jego władzą najpotężniejszą i wszystkie inne europejskie narody prawie zawstydzającą, jest um śmiały, żywy, wschodni. Każdy Polak jest urodzonym poetą, i nasza literatura nic właściwie znakomitego przedstawić dotąd nie zdoła, prócz mnóstwa najpiękniejszej poezyi! Poezya przebija się w naszem życiu domowem i politycznem, w naszym sposobie myślenia, w naszych czynach, w naszej historyi, w naszym języku, słowem we wszystkiem, co polskie, co ojczyste! Starych Polaków ubiór, to arabska poezya! Nawet stosunek naszego dziedzica do kmieci jest patryarchalny, a zatem romantycznie piękny, poetyczny! Kobieta nasza doznaje ciągle takiego ubóstwienia, jak w poetycznych czasach średnich! Cała nasza istota jest poezyą, i um jest umysłowości naszej słońcem! Dotąd jest Mickiewicz u nas prawie największym duchem. Pod tym względem stoi Polak wyżej od Francuza... Polak ma um, jednakże, powtarzamy tu, biorąc rzecz w zupełnej ogólności i nie zważając na pojedyńcze wyjątki, nie ma on ani właściwego rozsądku, ani umysłu. Jego rozum nawet niezbyt silny, ponieważ się ustawicznie w um przeradza! Jakie na to dowody? Dajemy je z boleścią serca i nie wyjmujemy tu wcale samych siebie. Fryderyk Wielki, ten sławny znawca ludzi i narodów, który miał z ojcami naszymi tyle do czynienia, którego złoto śród sejmowej naszej gawiedzi niewidocznym potopem płynęło i pomnożyło nam rejestr zdrajców ojczyzny, charakteryzuje w swych pismach naród nasz następnym sposobem: «Polak każdy jest próżnością nadęty, jest pyszny i niedostępny w szczęściu, czołgający się, jak płaz, w nieszczęściu. On wszystkiego na świecie zdolny, byle tylko przyjść do pieniędzy, a skoro je ma, wyrzuca je za okno, zwłaszcza zagranicą. Polak jest ciałem i duszą lekkomyślny, ponieważ mu braknie rozsądku i własnego zdania. Stąd też zawsze gotów jest nowego chwytać się stronnictwa i dawniejsze, które ledwie że porzucił, namiętnie deptać nogami i oczerniać; ciągle ściąga on na swą głowę tysiące piorunów, a to z braku planu w swych czynach i niezachwianego charakteru...» Te zdania o nas... chociaż może za surowe, godne są naszej uwagi... Polacy! uderzmy się w piersi i wyznajmy szczerze, iż braknie nam istotnie rozsądku! Nasza dawna konstytucya, nasza wolność złota, nasze *liberum veto*, nasze krucyaty religijne przeciw kozactwu, były utworem romantycznego umu, ale nierozsądek w nich objawiający się wysysał ze krwi ojczyznę dopóty, dopóki bladym trupem na mary nie padła!... Nasza emigracya zapaliła się księgami pielgrzymstwa polskiego, oraz mową wyuzdanych francuskich demokratów i siadła na skrzydła ognistego umu; ależ za to ile czynów najnierozsądniejszych popełniła!... Że Polakowi na umyśle także zbywa, dowodem tego jest brak zupełny polskich metafizycznych spekulacyi! Prawda, że Polak łatwo się zapala spekulacyą niemiecką, ale to nie jest jeszcze istnym umysłem. Polak pojmuje np. Hegla zwykle albo rozumem, albo umem. Umysł jest stwórcą i objawia się tylko w dziełach oryginalnych» («Chowanna» I, str. 375—8).

Zadaniem pedagogiki narodowej jest zwalczyć te braki charakteru polskiego przez rozwinięcie równomierne wszystkich władz ciała i duszy. «Rozwiń zupełnie, ile podobna, wszystkość nieskończoną w istocie twego wychowańca, zrób go obrazem Boga, świata i człowieczeństwa całego... w jednostce» («Chowanna» I, str. 148—9).

Oto pierwsze przykazanie «Chowanny». Lecz nie dość na tem. Wszystkość trzeba zsyntetyzować, doprowadzić do «całości» — i to

do całości wiekuistej. Najgłębszą treść wszelkiej jaźni stanowi wola. «Jaźń działająca jest jaźnią na swym najwyższym i ostatnim stopniu wykształcenia, jaźnią w swej bezwarunkowej pełni i boskości, jaźnią świat własny tworzącą i objawiającą się, jak Bóg w swem dziele» (tamże, str. 600). Trzeba więc wychowańca kształcić na człowieka czynu. Silna wola doprowadzi go do najwyższej doskonałości. Większe ona posiada znaczenie od natchnień poetyckich i spekulacyi niemieckich filozofów. Albowiem «czyn usuwa przed przybytkiem jaźni naszej kortynę i pokazuje równie nam, jak innym, czem właściwie jesteśmy. Czyn przeistacza nasz żywostan w nasz bożostan, zostaje bowiem na wieki wieków naszem zwierciadłem! Jak natura do sztuki, tak my do czynu! Sztuka jest ubóstwieniem natury, czyn jest naszem wniebowstąpieniem, jeżeli dobry; podróżą do piekła, jeżeli zły! Jaki świat, taki jego stwórca; jaki obraz, taki jego malarz; jakie dzieło, taki człowiek! Nie ten żył długo, kto wiele myślił lub wiele czuł, kto liczy lat sto i doznał wszelkich uciech świata; ale kto wiele dobrego uczynił!» (tamże, str. 606).

Woluntaryzm, przedzierający się tu i owdzie przez sieć spekulacyjną pojęć, prowadzi Trentowskiego do polityki. Nie odgradza się on murem chińskim od życia narodowego bynajmniej. Przeciwnie, chce na nie wpływać, chce prowadzić do najwyższych celów. «Cała nauka i polityka moja jest nauką Czynu» — woła filozof w «Przedburzy». «I jaż miałbym brać w opiekę bezczynność?» («Przedburza» str. 189). Przeznaczeniem ludzkości całej jest osiągnąć pełnię «bożoczłowieczeństwa», zdobyć Królestwo Boże na ziemi. Zło, jednak, płynące z jednostronności i tu się kładzie wpoprzek wszystkim zacniejszym wysiłkom. Żyjemy w czasie przełomowym, kiedy dwa stronnictwa skrajne: konserwatywne i radykalne — doprowadziły różnię polityczną i społeczną do ostatnich granic. Konserwatyzm «nie chce zgoła naprawić starego politycznego gmachu, robi państwo cmentarzem ustawicznej tożsamości i wiecznego spoczynku... Radykalizm także nie buduje. Jego hasłem: rewolucya, krew, gilotyna. On nie chce postępować naprzód krokiem zwyczajnym, nie chce Jutra i Pojutra, lecz wymaga skoku z dnia dzisiejszego w ostatni dzień istnienia człowieczeństwa» («Cybernetyka», str. 138). Żadna z tych stron słuszności nie posiada. Jedni i drudzy — to «banda piekielna», która rządzi światem. Lecz dni tych rządów są już policzone. Wszystko, według Trentowskiego, viada zbliżanie się «nowego świata trzeciego», kiedy filozofia i dotychczasowe sprzeczności, objawiając boskość ukrytą w ludzlosach Europy rozstrzygnie «walka rasowa na zabój pomiędzy zyzną a Germanizmem» («Przedburza», str. 125). «Słoprzepowiada Trentowski historya wasza się pocznie wiata trzecią. Jako w pierwiastkach romańskich starowiastkach germańskich średniowieczne, dotąd istniejące, ch waszych nowe, wieczne losy człowieczeństwa złożył », str. 134—135).

Polacy są najwybitniejszymi przedstawicielami całej Słowiańszczyzny. Stoją oni sami na wielkim świecie Bożym, w którym wyrzeczono się Boga. Gdzież ich moc rzeczywista? «Nigdzie, krom u polskiego Ludu» («Przedburza», str. 206). Kiedy się z nim połączą, nic ich nie powstrzyma. Spełnią oni wówczas swoje przeznaczenie. Mesyanizm polski, wyłożony w pismach Wrońskiego, Cieszkowskiego i Krasińskiego powiedzie naród «prostą drogą do niebios» i całą ludzkość zbawi («Panteon» II, str. 252).

I znowu powraca Trentowski do swego pojęcia najwyższego, do pojęcia Boga. Wiemy o tem, że z tego pojęcia wyprowadził on całą swoją filozofię. Na starość zatapia się w niem całkowicie. Bóg osobisty staje się dla niego prawdą prawd, prawdą najprzedniejszą, najgłębszą i najświętszą («Panteon» II, 178). «Żywostan» roztapia się w «bożostanie». Świat «tamten» tryumfuje nad światem «tym». Filozof wznosi się nad wszelką przypadkowość, osiąga różnojednię najwyższą i ostatnią, staje u Zenitu!

Czy przez to samo rozwiązał swoje zadanie najwyższe? — Oto pytanie, jakie się narzuca. — Trentowski pogodził w swoim systemie wszystkie sprzeczności, to prawda. Jednakże nazbyt sobie ułatwił drogi, prowadzące do rozwiązania największego zadania całej filozofii. Nie jest możliwą rzeczą syntetyzować przedmioty bez ich szczegółowego poznania. Polski filozof, jednak, pogardził szczegółami, ceniąc jedynie «wyższy pogląd w naturę». Wolał on «marzyć prawdy wielkie, święte, zbawiające, od badaczów przyrodzenia czczemi hipotezami zwane, niż tuczyć się żołędzią pewności i nieomylności li empirycznej, której braknie jenjuszu, ducha i natchnienia» («Panteon» I, 259—260). Stąd wynikło w Panteonie takie, naprzykład, przedstawienie mineralogii: «Kruszce wyobrażają słońca, kamienie planety, a żelazo, będące kruszcem i kamieniem na poły, zabiera tu miejsce komet. Platyna, kruszec najszlachetniejszy, stoi na krańcu kruszcowego świata i jest w nim słońcem słońc, a dyament sadzi się na krańcu kamienistego świata i ukazuje się w nim planetą królem. Tym sposobem tworzy się tu całokształt nieorganicznych ciał stałych podobny do igły magnesowej. Południowym jego biegunem jest platyna, północnym biegunem dyament, a środkiem pomiędzy nimi żelazo. Za platyną idzie ku środkowi złoto, srebro, merkuryusz, cyna, cynk, miedź, wszelaki kruszec, zbliżający się coraz bardziej do żelaza, a za żelazem następują: nikiel i inne półkruszce, po nich zaś kamienie coraz twardsze, ściślejsze i przezroczystsze, coraz szlachetniejsze, aż do dyamentu. Igła ta magnesowa stać się powinna podstawą umiejętnego mineralogii wykładu. Ona sama jest tutaj pomysłem wyższym; reszta treści zaś li empiryczny opis» («Panteon» I, str. 264).

Taki stosunek do nauk przyrodniczych rozstrzygnął o wartości osiągniętej przez Trentowskiego różnojedni. Nie jest ona bynajmniej syntezą rzeczywistości, ale raczej dowolnem połączeniem pojęć, zapożyczonych od romantycznych filozofów niemieckich. Trentowski stwo-

rzył daleko więcej nowych słów, niż pojęć. Jego styl najeżony jest neologizmami, najczęściej uformowanymi w sposób zupełnie dowolny.

W każdym razie wstęp do «Chowanny» stanowi pierwsze opracowanie systematyczne polskiej terminologii filozoficznej. Jest to wielką zasługą naszego autora. Był on jednym z pierwszych pionierów nowożytnej myśli filozoficznej u nas. Pracował z zapałem i dużem poświęceniem. Wśród warunków najgorszych nie upadł na duchu, lecz walczył mężnie z wrogami myślenia samodzielnego. Towiańczycy i mistycy wszelkiego pokroju mieli w nim zawsze zaciętego wroga. Kiedy zaś po roku 1851, w dobie reakcyi powszechnej ze sfer klerykalnych padło w kraju hasło:

«Precz z Filozofią! sprośna to niemczyzna.
Nic dla niej Wiara, Cnota i Ojczyzna!»

(«Panteon» III, 284),

filozof nasz podjął rzuconą sobie rękawicę i w walce nie ustał aż do śmierci. Systemu oryginalnego nie stworzył; ale posiadał wielki pęd do samodzielności. Pogardzał wszelką zależnością myśli. Żadnych mistrzów nad sobą nie uznawał i sam nie pragnął zostać dla nikogo mistrzem. Młodzieży nie przestawał nawoływać do samodzielności. Na starość jeszcze wołał w przedmowie do Panteonu: «Ja żądam nie duchowych jeńców nowej szkoły, lecz zdolnych uczniów z szerokiego świata, którzyby przyjęli rzecz, a zamieniwszy ją w krew i soki własne, nadali jej ulepszenie, lub wyższego przeobrażenia piętno; — którzyby, stanąwszy na ramionach mistrza, widzieli i szli nierównie dalej od niego. Rozbudzenie ducha narodowego, którego Bóg uposażył tak szczodrze, a który, niestety, w braku szkół pożądnych i własnych, tudzież przez zrozpaczenie i lenistwo zaniedbał się sam i puszczenie go ubitą ode mnie, oraz od innych drogą postępu: — oto gorące życzenie moje!»

To dążenie szlachetne i śmiałe, połączone z uwielbieniem rzeczywistości, woli i czynu najlepiej usprawiedliwia «polskość» filozofii Trentowskiego, którą on sam tak często podkreślał z naciskiem. Cechy te pozwalają nam zrozumieć wyznanie Zygmunta Krasińskiego, że «pierwiastku polskiego nigdy w nikim tak nie czuł i nie doznał», jak właśnie w Trentowskim. (Korespond. Lwów. 1882. III, str. 200).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. **Dzieła Trentowskiego:** 1). «Eufonia, jako zasada języka polskiego» (Pamiętnik umiejętności moralnych i literatury. T. IV. Warszawa, 1830, str. 61—75). 2) «Grundlage der universellen Philosophie». Karlsruhe und Freiburg. 1837. 3) «De vita hominis aeterna». Friburgi Brisigavorum 1838. 4) «Vorstudien zur Wissenschaft der Natur, oder Uebergang von Gott zur Schöpfung». Leipzig, 1840. 2 t. 5) «Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej», Poznań, 1842. 2 t. w 4-ch poszytach; T. I, wyd. 2-e Poznań, 1845—6. 6) «Stosunek filozofii do teologii». Rok 1843, I, 1—94. Poznań. 7) «Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem». Poznań 1843. 8) «Myślini, czyli całokształt loiki narodowej». Poznań 1844. 9) «Demonomania, czyli nauka nadziemskiej mądrości» (pierwotnie w «Orędowniku», osob. Poznań 1844—5). 10) «Oblubienica Messeńska», tragedya, przełożył B. F. Trentowski. Wilno 1844, nakł. T. Glücksberga. 11) «Ułomek z Teozofii». («Rok» poznański) 1845. 12) «Czy można uczyć się filozofii narodowej od ludu», (tamże). 13) «Urywki polityczne». Paryż («Teraźn. i Przyszł.» 1845; w odbitce oddzielnej, Paryż 1845. 14) «Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia, przez Ojczyźniaka». Paryż «Teraźn. i Przyszł» 1847; oddzielna odbitka, Paryż, księgarnia słowiańska, 1848. 15) «Schilderung der jüngsten Ereignisse in Krakau». Frankfurt a. M. 1848. 16) «Przedburza polityczna». Freiburg w Bryzgowii, 1848. 17) «Trzy wskazówki dążeń i usiłowań moich w Paryżu». Paryż 1860. 18) «Program do pozyskania godnej nas i czasu naszego historyi polskiej». Paryż 1863. 19) «Księgi zasadnicze rodu ludzkiego. Poradnik kieszonkowy, zawierający zasady wychowania rodu ludzkiego, zastosowane do «Chowanny polskiej». Lipsk 1865. — Po śmierci Trentowskiego wyszły: 20) «Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen». Freiburg in B. Leipzig 1873. i 21) «Panteon wiedzy ludzkiej lub pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii», Poznań 1873—1881, 3 t.

Prócz tego Trentowski pomieścił wiele artykułów i recenzyi w pismach peryodycznych. W «Orędowniku naukowym», Poznań 1841—5, w «Bibl. warszawskiej», III, 388—422; IV, 25—62; w miesięczniku: «Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych». Poznań 1843—46; w przeglądzie politycznym: «Teraźniejszość i przyszłość». Paryż 1843—47, którego był redaktorem; w «Tece wileńskiej», Wilno 1857 r. Jeden z jego artykułów, przesłanych do «Teki wileńskiej», p. t. «Hegel i Kremer», wyszedł dopiero w 1872 r. w czasopiśmie «Na dziś». Kraków 1872.

Poza tem opracował dział filozoficzny i mitologiczny w «Słowniku języka polskiego». Wilno 1861. Por. Bibliogr. w «Złotej Przędzy» t. III, zwłaszcza str. 227.

II. **O Trentowskim pisali:** 1) Kozłowski Feliks: «Uwagi krytyczne nad Chowanną Trentowskiego». Poznań. Nakład i druk W. Stefańskiego, 1844. 2) Tenże: «Początki filozofii chrześciańskiej, włącznie z krytyką filozofii B. Trętowskiego». Poznań 1845, 2 t. 3) J. I. Kraszewski: «System Trentowskiego treścią i rozbiorem analityki loicznej okazany». Lipsk 1847, wyd. 2-gie Bruksela 1862. 4) Ks. Krupiński Franciszek: «Historya filozofii Schweglera. Dodatek o filozofii w Polsce». Warszawa 1863. 5) Tenże: «B. F. Trentowski» («Tyg. illustr.» 1870, V, 109). 6) Hankiewicz Klemens: «Życie, pisma i system filozoficzny

do całości wiekuistej. Najgłębszą treść wszelkiej jaźni stanowi wola. «Jaźń działająca jest jaźnią na swym najwyższym i ostatnim stopniu wykształcenia, jaźnią w swej bezwarunkowej pełni i boskości, jaźnią świat własny tworzącą i objawiającą się, jak Bóg w swem dziele» (tamże, str. 600). Trzeba więc wychowańca kształcić na człowieka czynu. Silna wola doprowadzi go do najwyższej doskonałości. Większe ona posiada znaczenie od natchnień poetyckich i spekulacyi niemieckich filozofów. Albowiem «czyn usuwa przed przybytkiem jaźni naszej kortynę i pokazuje równie nam, jak innym, czem właściwie jesteśmy. Czyn przeistacza nasz żywostan w nasz bożostan, zostaje bowiem na wieki wieków naszem zwierciadłem! Jak natura do sztuki, tak my do czynu! Sztuka jest ubóstwieniem natury, czyn jest naszem wniebowstąpieniem, jeżeli dobry; podróżą do piekła, jeżeli zły! Jaki świat, taki jego stwórca; jaki obraz, taki jego malarz; jakie dzieło, taki człowiek! Nie ten żył długo, kto wiele myślił lub wiele czuł, kto liczy lat sto i doznał wszelkich uciech świata; ale kto wiele dobrego uczynił!» (tamże, str. 606).

Woluntaryzm, przedzierający się tu i owdzie przez sieć spekulacyjną pojęć, prowadzi Trentowskiego do polityki. Nie odgradza się on murem chińskim od życia narodowego bynajmniej. Przeciwnie, chce na nie wpływać, chce prowadzić do najwyższych celów. «Cała nauka i polityka moja jest nauką Czynu» — woła filozof w «Przedburzy». «I jaż miałbym brać w opiekę bezczynność?» («Przedburza» str. 189). Przeznaczeniem ludzkości całej jest osiągnąć pełnię «bożoczłowieczeństwa», zdobyć Królestwo Boże na ziemi. Zło, jednak, płynące z jednostronności i tu się kładzie wpoprzek wszystkim zacniejszym wysiłkom. Żyjemy w czasie przełomowym, kiedy dwa stronnictwa skrajne: konserwatywne i radykalne — doprowadziły różnię polityczną i społeczną do ostatnich granic. Konserwatyzm «nie chce zgoła naprawić starego politycznego gmachu, robi państwo cmentarzem ustawicznej tożsamości i wiecznego spoczynku... Radykalizm także nie buduje. Jego hasłem: rewolucya, krew, gilotyna. On nie chce postępować naprzód krokiem zwyczajnym, nie chce Jutra i Pojutra, lecz wymaga skoku z dnia dzisiejszego w ostatni dzień istnienia człowieczeństwa» («Cybernetyka», str. 138). Żadna z tych stron słuszności nie posiada. Jedni i drudzy — to «banda piekielna», która rządzi światem. Lecz dni tych rządów są już policzone. Wszystko, według Trentowskiego, zapowiada zbliżanie się «nowego świata trzeciego», kiedy filozofia pogodzi dotychczasowe sprzeczności, objawiając boskość ukrytą w ludzkości. O losach Europy rozstrzygnie «walka rasowa na zabój pomiędzy Słowiańszczyzną a Germanizmem» («Przedburza», str. 125). «Słowianie! — przepowiada Trentowski — historya wasza się pocznie wraz z Erą świata trzecią. Jako w pierwiastkach romańskich starożytne, a w pierwiastkach germańskich średniowieczne, dotąd istniejące, tak w pierwiastkach waszych nowe, wieczne losy człowieczeństwa złożył Bóg» («Przedburza», str. 134—135).

Polacy są najwybitniejszymi przedstawicielami całej Słowiańszczyzny. Stoją oni sami na wielkim świecie Bożym, w którym wyrzeczono się Boga. Gdzież ich moc rzeczywista? «Nigdzie, krom u polskiego Ludu» («Przedburza», str. 206). Kiedy się z nim połączą, nic ich nie powstrzyma. Spełnią oni wówczas swoje przeznaczenie. Mesyanizm polski, wyłożony w pismach Wrońskiego, Cieszkowskiego i Krasińskiego powiedzie naród «prostą drogą do niebios» i całą ludzkość zbawi («Panteon» II, str. 252).

I znowu powraca Trentowski do swego pojęcia najwyższego, do pojęcia Boga. Wiemy o tem, że z tego pojęcia wyprowadził on całą swoją filozofię. Na starość zatapia się w niem całkowicie. Bóg osobisty staje się dla niego prawdą prawd, prawdą najprzedniejszą, najgłębszą i najświętszą («Panteon» II, 178). «Żywostan» roztapia się w «bożostanie». Świat «tamten» tryumfuje nad światem «tym». Filozof wznosi się nad wszelką przypadkowość, osiąga różnojednię najwyższą i ostatnią, staje u Zenitu!

Czy przez to samo rozwiązał swoje zadanie najwyższe? — Oto pytanie, jakie się narzuca. — Trentowski pogodził w swoim systemie wszystkie sprzeczności, to prawda. Jednakże nazbyt sobie ułatwił drogi, prowadzące do rozwiązania największego zadania całej filozofii. Nie jest możliwą rzeczą syntetyzować przedmioty bez ich szczegółowego poznania. Polski filozof, jednak, pogardził szczegółami, ceniąc jedynie «wyższy pogląd w naturę». Wolał on «marzyć prawdy wielkie, święte, zbawiające, od badaczów przyrodzenia czczemi hipotezami zwane, niż tuczyć się żołędzią pewności i nieomylności li empirycznej, której braknie jenjuszu, ducha i natchnienia» («Panteon» I, 259—260). Stąd wynikło w Panteonie takie, naprzykład, przedstawienie mineralogii: «Kruszce wyobrażają słońca, kamienie planety, a żelazo, będące kruszcem i kamieniem na poły, zabiera tu miejsce komet. Platyna, kruszec najszlachetniejszy, stoi na krańcu kruszcowego świata i jest w nim słońcem słońc, a dyament sadzi się na krańcu kamienistego świata i ukazuje się w nim planetą królem. Tym sposobem tworzy się tu całokształt nieorganicznych ciał stałych podobny do igły magnesowej. Południowym jego biegunem jest platyna, północnym biegunem dyament, a środkiem pomiędzy nimi żelazo. Za platyną idzie ku środkowi złoto, srebro, merkuryusz, cyna, cynk, miedź, wszelaki kruszec, zbliżający się coraz bardziej do żelaza, a za żelazem następują: nikiel i inne półkruszce, po nich zaś kamienie coraz twardsze, ściślejsze i przezroczystsze, coraz szlachetniejsze, aż do dyamentu. Igła ta magnesowa stać się powinna podstawą umiejętnego mineralogii wykładu. Ona sama jest tutaj pomysłem wyższym; reszta treści zaś li empiryczny opis» («Panteon» I, str. 264).

Taki stosunek do nauk przyrodniczych rozstrzygnął o wartości osiągniętej przez Trentowskiego różnojedni. Nie jest ona bynajmniej syntezą rzeczywistości, ale raczej dowolnem połączeniem pojęć, zapożyczonych od romantycznych filozofów niemieckich. Trentowski stwo-

rzył daleko więcej nowych słów, niż pojęć. Jego styl najeżony jest neologizmami, najczęściej uformowanymi w sposób zupełnie dowolny.

W każdym razie wstęp do «Chowanny» stanowi pierwsze opracowanie systematyczne polskiej terminologii filozoficznej. Jest to wielką zasługą naszego autora. Był on jednym z pierwszych pionierów nowożytnej myśli filozoficznej u nas. Pracował z zapałem i dużem poświęceniem. Wśród warunków najgorszych nie upadł na duchu, lecz walczył mężnie z wrogami myślenia samodzielnego. Towiańczycy i mistycy wszelkiego pokroju mieli w nim zawsze zaciętego wroga. Kiedy zaś po roku 1851, w dobie reakcyi powszechnej ze sfer klerykalnych padło w kraju hasło:

«Precz z Filozofią! sprośna to niemczyzna.
Nic dla niej Wiara, Cnota i Ojczyzna!»

(«Panteon» III, 284),

filozof nasz podjął rzuconą sobie rękawicę i w walce nie ustał aż do śmierci. Systemu oryginalnego nie stworzył; ale posiadał wielki pęd do samodzielności. Pogardzał wszelką zależnością myśli. Żadnych mistrzów nad sobą nie uznawał i sam nie pragnął zostać dla nikogo mistrzem. Młodzieży nie przestawał nawoływać do samodzielności. Na starość jeszcze wołał w przedmowie do Panteonu: «Ja żądam nie duchowych jeńców nowej szkoły, lecz zdolnych uczniów z szerokiego świata, którzyby przyjęli rzecz, a zamieniwszy ją w krew i soki własne, nadali jej ulepszenie, lub wyższego przeobrażenia piętno; — którzyby, stanąwszy na ramionach mistrza, widzieli i szli nierównie dalej od niego. Rozbudzenie ducha narodowego, którego Bóg uposażył tak szczodrze, a który, niestety, w braku szkół pożądnych i własnych, tudzież przez zrozpaczenie i lenistwo zaniedbał się sam i puszczenie go ubitą ode mnie, oraz od innych drogą postępu: — oto gorące życzenie moje!»

To dążenie szlachetne i śmiałe, połączone z uwielbieniem rzeczywistości, woli i czynu najlepiej usprawiedliwia «polskość» filozofii Trentowskiego, którą on sam tak często podkreślał z naciskiem. Cechy te pozwalają nam zrozumieć wyznanie Zygmunta Krasińskiego, że «pierwiastku polskiego nigdy w nikim tak nie czuł i nie doznał», jak właśnie w Trentowskim. (Korespond. Lwów. 1882. III, str. 200).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. **Dzieła Trentowskiego:** 1). «Eufonia, jako zasada języka polskiego» (Pamiętnik umiejętności moralnych i literatury. T. IV. Warszawa, 1830, str. 61—75). 2) «Grundlage der universellen Philosophie». Karlsruhe und Freiburg. 1837. 3) «De vita hominis aeterna». Friburgi Brisigavorum 1838. 4) «Vorstudien zur Wissenschaft der Natur, oder Uebergang von Gott zur Schöpfung». Leipzig, 1840. 2 t. 5) «Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej», Poznań, 1842. 2 t. w 4-ch poszytach; T. I, wyd. 2-e Poznań, 1845—6. 6) «Stosunek filozofii do teologii». Rok 1843, I, 1—94. Poznań. 7) «Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem». Poznań 1843. 8) «Myślini, czyli całokształt loiki narodowej». Poznań 1844. 9) «Demonomania, czyli nauka nadziemskiej mądrości» (pierwotnie w «Orędowniku», osob. Poznań 1844—5). 10) «Oblubienica Messeńska», tragedya, przełożył B. F. Trentowski. Wilno 1844, nakł. T. Glücksberga. 11) «Ułomek z Teozofii». («Rok» poznański) 1845. 12) «Czy można uczyć się filozofii narodowej od ludu», (tamże). 13) «Urywki polityczne». Paryż («Teraźn. i Przyszł.» 1845; w odbitce oddzielnej, Paryż 1845. 14) «Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia, przez Ojczyźniaka». Paryż «Teraźn. i Przyszł» 1847; oddzielna odbitka, Paryż, księgarnia słowiańska, 1848. 15) «Schilderung der jüngsten Ereignisse in Krakau». Frankfurt a. M. 1848. 16) «Przedburza polityczna». Freiburg w Bryzgowii, 1848. 17) «Trzy wskazówki dążeń i usiłowań moich w Paryżu». Paryż 1860. 18) «Program do pozyskania godnej nas i czasu naszego historyi polskiej». Paryż 1863. 19) «Księgi zasadnicze rodu ludzkiego. Poradnik kieszonkowy, zawierający zasady wychowania rodu ludzkiego, zastosowane do «Chowanny polskiej». Lipsk 1865. — Po śmierci Trentowskiego wyszły: 20) «Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen». Freiburg in B. Leipzig 1873. i 21) «Panteon wiedzy ludzkiej lub pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii», Poznań 1873—1881, 3 t.

Prócz tego Trentowski pomieścił wiele artykułów i recenzyi w pismach peryodycznych. W «Orędowniku naukowym», Poznań 1841—5, w «Bibl. warszawskiej», III, 388—422; IV, 25—62; w miesięczniku: «Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych». Poznań 1843—46; w przeglądzie politycznym: «Teraźniejszość i przyszłość». Paryż 1843—47, którego był redaktorem; w «Tece wileńskiej», Wilno 1857 r. Jeden z jego artykułów, przesłanych do «Teki wileńskiej», p. t. «Hegel i Kremer», wyszedł dopiero w 1872 r. w czasopiśmie «Na dziś». Kraków 1872.

Poza tem opracował dział filozoficzny i mitologiczny w «Słowniku języka polskiego». Wilno 1861. Por. Bibliogr. w «Złotej Przędzy» t. III, zwłaszcza str. 227.

II. **O Trentowskim pisali:** 1) Kozłowski Feliks: «Uwagi krytyczne nad Chowanną Trentowskiego». Poznań. Nakład i druk W. Stefańskiego, 1844. 2) Tenże: «Początki filozofii chrześciańskiej, włącznie z krytyką filozofii B. Trętowskiego». Poznań 1845, 2 t. 3) J. I. Kraszewski: «System Trentowskiego treścią i rozbiorem analityki loicznej okazany». Lipsk 1847, wyd. 2-gie Bruksela 1862. 4) Ks. Krupiński Franciszek: «Historya filozofii Schweglera. Dodatek o filozofii w Polsce». Warszawa 1863. 5) Tenże: «B. F. Trentowski» («Tyg. illustr.» 1870, V, 109). 6) Hankiewicz Klemens: «Życie, pisma i system filozoficzny

B. Trentowskiego», Stanisławów 1871, 24 str. 7) Chmielowski Piotr: «Filozof w więzach reakcyi». («Ateneum» II, Warszawa 1889). 8) Dr Skórski Al. podaje rozbiór Chowanny w rozprawie: «Śniadecki na polu pedagogicznem». Lwów 1892. 9) Struve Henryk: «Wykład systematyczny logiki. T. I. Historya logiki u obcych i w Polsce». Warszawa 1868—70. 10) Tenże: «Historya filozofii w Polsce». Zeszyt I, Warszawa 1900. 11) Tenże: «Wstęp krytyczny do filozofii«. Wyd. 2-gie. Warszawa 1903. 12) Wróblewski Kazimierz: «Bronisław Trentowski, szkic biograficzny. Lwów 1899. 13) Szycówna Aniela: «Bronisław Trentowski» («Nowe Tory» 1907). 14) Massonius Maryan: «Album biogr. zasłużonych Polaków i Polek w. XIX». T. I, Warszawa 1901. 15) Kraushar Aleksander: «Pierwociny literackie Trentowskiego», (Warszawa. Księga zbiorowa: «Na powodzian» 1904 r.). 16) Kurpiel A.: «Autobiografia Bron. Trętowskiego» (Pam. Liter. 1902). 17) Zieleńczyk A.: «Historyozofia Trentowskiego» (Bibl. Warsz. 1910, luty). 18) Struve Henryk. «Historya logiki, jako teoryi poznania w Polsce». Warszawa 1911 r.

A) Chowanna

czyli system pedagogiki narodowej, jako umiejętności wychowania, nauki i oświaty, słowem, wykształcenia naszej młodzieży.

(Z wydania I-go, Poznań, 1842).

Sam tytuł zapowiada, że Chowanna jest systemem pedagogiki. Z «Przedsłowia», umieszczonego na czele, dowiadujemy się, że system ten ma posiadać charakter filozoficzny. W istocie, całe to dzieło zbudowane jest na zasadniczych pojęciach filozofii Trentowskiego. Po wyłożeniu swojej terminologii filozoficznej, autor zastanawia się nad istotą i celem pedagogiki i dochodzi do wniosków następujących. Pedagogika jest systematyczną umiejętnością, wykrywającą środki rozbudzenia bóstwa, drzemiącego w duszy dziecięcia, aby je w bóstwo *in actu* zamienić. Środki te zawarte są w «trójcy pedagogicznej», t. j. w wychowaniu, nauce i oświacie. Wychowanie kształci naszą powierzchowność, nauka naszą duchowość, a oświata jedno i drugie, czyli jaźń. Jednością «trójcy pedagogicznej» jest wreszcie wykształcenie. Pedagogika winna unikać nadewszystko jednostronności. Wpadnie w nią, o ile będzie zwracać uwagę li tylko na ciało wychowańca (pedagogika empiryczna), albo li tylko na ducha (pedagogika spekulacyjna). Pedagogika filozoficzna winna łączyć empiryę ze spekulacyą i kształcić całość doczesną i wieczną swego wychowańca.

Następuje podział całego systemu na trzy wielkie części: — 1) nepiodykę, czyli naukę o dziecięciu, które stanowi przedmiot pedagogiki wszelkiej; — 2) dydaktykę, czyli naukę o podmiocie pedagogiki: — o nauczycielu; — wreszcie 3) epikę pedagogiczną, czyli historyę wychowania całego rodzaju ludzkiego.

Nepiodyka rozpada się znowu na trzy części. Przedewszystkiem więc poddana jest badaniu realność wychowańca, czyli jego ciało. Trentowski rozwija swe poglądy na wychowanie fizyczne. Radzi kształcić zmysły dziecięcia, ćwiczyć jego pamięć, doskonalić rozum, będący «stokiem całej zmysłowości». Poczem przechodzi do idealności wychowańca. Ostrzega przed niebezpieczeństwem wybujałej fantazyi, każe jednak kształcić ideały i idee w podrastającym już chłopcu. Największą uwagę jednak zwraca na kształcenie jaźni. Od wszechstronnego jej rozwinięcia zależy bowiem rzeczywistość, samodzielność, a nawet «boskość» wychowańca. Jaźń jest trojakiego rodzaju: — poznająca, tlejąca i działająca. Pierwsza daje nam poznanie prawdy; — druga — uczucie dla prawdy, piękności i cnoty. Ale na najwyższy stopień człowieczeństwa wprowadza nas dopiero jaźń działająca, będąca wolą, przedsięwzięciem i wykonaniem. Osiągnięcie jej stanowi o moralnym charakterze wychowańca. Ugruntowanie charakteru moralnego — to cel najwyższy całego wykształcenia.

Dydaktyka zastanawia się nad kwalifikacyami pedagogicznemi wychowawców, więc przedewszystkiem rodziców, następnie zaś ochmistrzów, nauczycieli szkół średnich i profesorów uniwersytetu. Nie zapomniał Trentowski również o proboszczu wiejskim i bakałarzu, «jako nauczycielach najznakomitszego wychowańca t. j. ludu». — Drugi oddział dydaktyki podaje klasyfikacyę nauk. Oddział trzeci zawiera wykład metod nauczania. Trentowski między innemi podaje tu własną metodę nauczania czytania. Metoda ta została z czasem rozwinięta i udoskonalona przez Promyka.

Epika pedagogiczna zawiera historyę szkolnictwa od czasów najdawniejszych, aż do epoki współczesnej Trentowskiemu. Szkolnictwu polskiemu poświęcił autor paragraf osobny. Skreślił on tu obraz upadku szkół w wieku XVII i odrodzenia się ich w wieku XVIII. Ciekawe są kartki, poświęcone uniwersytetowi Warszawskiemu, ze względu na to, że autor opierał się tutaj na własnych swych wspomnieniach.

---

a) Wychowanie, nauka i oświata.

(Poznań 1842. T. I, str. 14—21.)

763) 1. Czem jest wychowanie? Jest, że tak powiem, wiosennem ludzkości tchnieniem, owiewającem lekko i mile młodego człowieka, jest wodą ogrodnika, rosą krzepiącą kwiat i lejącą w niego cudowną siłę wzrostu! Tylko w domu rodziców, tylko w ziemskim raju i pod okiem Boga Ojca może się udać dobre wychowanie dzieci. Każde dziecię jest świeżo urodzonym Adamem lub nową Ewą, potrzebuje więc raju i boskiej opieki! Jeżeli raj ten jest czeluścią piekła, jeżeli bogi, czuwające nad młodem bóstwem, są rodziną szatana, biada dziecięciu! Ro-

dzice są wzorem doskonałości, świętym dziecka ideałem! Ich bezbożność, dzikość, złość, głupota, wykwintność, ich ludzkość, rzetelność, dobre lub złe obyczaje stają się biednej dzieciny przymiotem. Dom rodzicielski jest całym światem dla młodego anioła, atmosfera tego domu jest jego żywiołem, jest kwasorodem, którym żyje i krew swą różuje, który w ciało i duszę swą zamienia. Wielka jest władza pierwszych wrażeń; te wrastają w istotę dziecięcia jak ślady noża w młode drzewo. Im młodsze dziecię, tem większa biernej jego jaźni potęga. Wychowanie leży przeto wyłącznie w ręku świętych, lub przeklętych Penatów, w ręku ojca, matki, niańki, ochmistrzyni, nauczyciela i jest granitową Egiptu opoką, na której przyszła stać będzie ludzkości dziecięcia piramida! Dobrze wychowany człowiek jest, mimo braku nauki i wyższych zdolności, całe swe życie dobrze wychowanym człowiekiem; idzie śmiało w lepsze towarzystwa, pływa w nich, jak zwinny, złoty pstrąg w wodzie, lub jaskółka w powietrzu i nie potrzebuje się w oczach tonu za swą rubaszność rumienić! On jest nadobnym narcyzem, jednakim w ogrodzie króla i wieśniaka. Wonność pewna go otacza i stąd też miłym jest on gościem, gdzie tylko zawita. Gracye są jego towarzystwem nieodstępnem i zdobywają mu serce, choć jeszcze i słowa nie wyrzekł. Czem jest piękność oblicza lub strój ciała dla zewnętrznego człowieka, tem jest dobre wychowanie dla mieszkającego w nas Parysa. Dobre wychowanie jest blaskiem tęczy bóstwa naszego, rokującym nam życia pogodę! Komu na niem zbywa, ten nie zdoła, choćby był największym geniuszem, choćby go wszystkie muzy i boginie Olimpu za rękę wiodły, ukryć niedostatku swego; nie zdoła tego całą swą potęgą zdobyć, co bez własnego przewinienia w rodzicielskim Edenie utracił! Jeżeli pragnie gwałtem uchodzić za dobrze wychowanego, staje się tylko śmiesznym i niezgrabnym pawianem. Wychowanie możemy li w czasie dzieciństwa otrzymać, nigdy później. Czyli jest dobre, czyli jest złe, staje się drugą naturą naszą, i doświadczony wzrok znawcy ludzi postrzega natychmiast, czy osoba z nim po raz pierwszy w stosunek wchodząca w pałacu, karczmie, chacie lub stajni wychowaną została. Jakie nasze wychowanie, tak śród ludzi występujemy, a jak występujemy, tak nas też przynajmniej w pierwszych chwilach przyjmują! Wychowanie jest

blaskiem sobistości [czyli jaźni, czującej się bóstwem, wiecznej istoty w człowieku. Patrz «Chowanna» I, XXXV] naszej gwiazdy, barwą istoty naszej kwiatu, złotem naszego bóstwa, oblewającą nas gloryi atmosferą; — kształci w prawdzie nasze ciało i duszę zarazem, czyli jaźń całą, ściąga się przecież szczególniej na ciało i dla tego jest pedagogicznem t w i e r d z e n i e m i pedagogiczną r e a l n o ś c i ą, czyli rzeczą fundamentalną. Zewnętrzność jest nadewszystko celem wychowania, ją należycie wykształcić jest jego staraniem! Środkami zaś są: ćwiczenia gimnastyczne, taniec, troskliwe udoskonalenie ruchu wszystkich ciała członków, obudzenie umysłu do przystojności, słowem, cała koterya *[tak!]*, której świątynią i życiem jest salon! Wychowanie nie jest jednak h o d o w a n i e m lub t r e s o w a n i e m. Hodujemy roślinę, tresujemy zwierzę, wychowujemy człowieka. Wychowanie jest właściwie ubraniem bóstwa człowieczego we wdzięki Gracyi i li człowieka własnością. Wbrew tej prawdzie wiele rodziców h o d u j e lub t r e s u j e swe dziatki i mniema, że to d o b r e w y c h o w a n i e! We wszystkich krajach jest dobre wychowanie jednakie, bo tylko jednakiem być może. Dobrze wychowany w Polsce, jest zatem dobrze wychowanym we Francyi, w Niemczech i wszędzie. Dobre wychowanie jest owocem cywilizacyi, nieznane jest przeto u ludów i rodzin dzikich. Miasto lub wieś, gdzie braknie dobrego wychowania, jest knieją dwunożnych wilków lub niedźwiedzi.

2. C z e m j e s t n a u k a? Jest, że tak powiem, nieprzyjemnym wiatrem jesiennym starej ludzkości, co młodego człowieka oblewa chłodem, by rozpalone bóstwa jego żelazo w stal zamienić i tym środkiem prędzej go przywieźć do celu! Ludzkość jest, jak świat, podeszłą wiekiem matroną, uczyniła już w umiejętności i sztuce tak olbrzymie postępy, że dziś niepodobieństwem jest zupełnem jednemu człowiekowi zdobyć cały ten Indostan bogaty i zrobić go płodną głowy swej kopalnią! Rodzice zdołają dziecię wychować, ale nie zdołają sami je we wszystkiem, co mu kiedyś przydatnem być może, nauczać; potrzebują więc obcej pomocy i biorą ochmistrzów lub ochmistrzynie do swego domu, albo też wysyłają wychowańca do publicznej szkoły. Nauka jest względem wychowańca cherubinem z mieczem ognistym! Przez nie utraca młody Adam i młoda Ewa raj swego

dotychczasowego szczęścia, zstępuje na padół płaczu i musi biedzić się z pracą. Dziecię ma przynieść z sobą dobre wychowanie do szkoły, ponieważ tu wychowanie jest rzeczą podrzędną, nauka zaś głównym celem. Nauka bogaci wprawdzie głowę wychowańca, nie jest przecież i na jego serce bez dobroczynnego wpływu; pod otwartą głową bije zazwyczaj i otwarte serce! Dobra głowa przemienia się zwykle w dobre serce, jak przyczyna w swój naturalny skutek! Myśl bogata jest rodzicielką uczuć bogatych! Wychowanie jest tylko coraz więcej prawem przystojności, zawarowaną dzieci igraszką, nauka jest już ich znojem; wychowanie opiera się na filarach przyzwyczajenia, nauka jest trudną zdobyczą i wymaga usilności; wychowanie stoi chętnie pod czepcowem berłem matki, nauka pod surową buławą ojca. Nauka także dotyczy się zarówno ciała i duszy, a przeto całej jaźni wychowańca, ponieważ nie sama umiejętność, ale także sztuka i rzemiosło, które po większej części tylko fizyczność naszą zatrudniają, są jej przedmiotem. Wewnętrzność człowieka, t. j. dusza, jest tu jednakże szczególniej na względzie, bo wszelka nauka, nawet zupełnie mechanicznego rzemiosła, rozwija duch ludzki z całym jego zdolności gordyjskim węzłem. Jednem słowem, wychowanie kształci naszą powierzchowność, nauka naszą duchowość; wychowanie rozwija bierność naszej wsobistości, nauka jej czynność. Wychowanie i nauka stoją zatem w zupełnym względnej różni kontraście i są jej przeciwnymi krańcami. Jeżeli wychowanie jest twierdzeniem, nauka jest przeczeniem. I tak się też ma rzeczywiście. Człowiek np. naukom poświęcony i w księgach zagrzebany nie robi sobie wiele z dobrego wychowania, uważa je za fraszkę, przeczy je *[tak!]* tedy! Jak ciało do duszy, tak wychowanie do nauki. — Nauka ma zazwyczaj publiczną szkołę za swój kościół, znajduje przecież i w domu rodzicielskim swe ołtarze; stąd nauczyciel publiczny i nauczyciel prywatny. Szkoła przynosi więcej korzyści wychowańcowi, mającemu być kiedyś obywatelem, żołnierzem, ogniwem małem w wielkim łańcuchu państwa, ponieważ wezwyczaja do towarzystwa i jego cnót wszystkich; nauka zaś domowa jest lepszą dla królewicza i takiego młodzieńca, który ma z czasem stanąć na czele rządu, bo go do samotności, przestania na sobie, do tonu

pańskiego sługom szczególniej wszechmocnością swą groźnego, wezwyczaja i od gminu oddala. Bóg siedzi wszędzie samotny w swem niebie i rządzi ziemią; człowiek zaś podaje chętnie dłoń bratu i jest na łonie jego przyjaźni szczęśliwy. Ale i szkoła kształci czasem niebezpiecznego królika. Kto był np. prymusem przez wszystkie klasy i został w końcu wieńcem książęcia młodzieży ukoronowy, jak się to nieraz na Zoliborzu w Warszawie zdarzyło, kto musiał rówieśników swoich trzymać w oddali i rygorze, zastępować miejsce profesora i ciszy muz szkolnych pilnować; ten nabył carskiego taktu, wzroku rozkazującego i imponującej powagi, ten został nawet i w późniejszem życiu tureckim baszą. Taki człowiek unika rozkoszy towarzyskich, ponieważ te nie stały mu się w jego młodości drugą naturą. Stąd też stopnie w szkole, przy całej pożyteczności, nie w każdym razie są godne pochwały.

3. Czem jest wreszcie oświata? — Jest wychowaniem i nauką w jedni, a tem samem rzeczywistością obojga. Oświata nie ma szczególniej ciała, jak wychowanie, ani szczególniej duszy, jak nauka, na względzie; ciało i dusza społem, czyli jaźń wychowańca bez względu jest jej przedmiotem. Jej celem jest kształcenie samodzielności, wolności, całej boskości, czyli właściwej sobistości wychowańca. Sobistość ma się tu stać osobistością, osobą, ma zarumienić się coraz żywszym i wyraźniejszym kolorem. Oświata jest zatem kardynalną rzeczą dla jenialnego pedagoga, który nie proste tylko narzędzie, ale samodzielnego i wolnego, jak sam, wykształcić pragnie człowieka! — Nawet najpłytszy ochmistrz domowy i profesor zgodzi się na to, że wykształcenie jaźni i sobistości młodzieńca najświętszą jest rzeczą w domu rodziców i szkole. On sam wszakże zaszczepia w swych wychowańcach głęboki szacunek dla jaźni i sobistości, przynajmniej dla własnej, przynajmniej dla tej, którą on sam w sobie czuje! Ale niestety, w tej samej godzinie pracuje on z największą usilnością, żeby wychowańcy niczem innem, tylko echem jego jaźni, piłką jego sobistości stać się mogli. Nie cierpi w nich nic oryginalnego, wszystko ma tu być jego dziełem i obrazem! W sobie sam pielęgnuje jaźń i sobistość, o ile tego potrzeba wymaga i o ile jej *[tak!]* mieć musi, chcąc obcą wykorzenić i własną na jej miejscu

zasadzić! Każdy człowiek pragnie mniej więcej w sobistości innych zaszczepić dla siebie kolonią, i jaźń własną zrobić szpikiem pacierzowym każdego ze swych znajomych i przyjaciół. Herakles świat zdobywa i sądzi, że jedynie Heraklidy godnymi są panowania nad zdobytym przez niego światem; Bonaparte rozdaje tylko Bonapartystom korony, Luter rozradza się w Lutrach, Hegel w Heglistach! Równie, tak zwany, mąż wielki, jak maluczki, podobnym koniecznie być chce nędznej musze, która nieskończoną znosi jaj mnogość i której każde jaje zamienia się w muchę, w wierny obraz muchy macierzy! Wszelki żyjący twór w naturze jest samolubem! *Prima charitas ab ego* — jest jednem z praw natury! A więc i pedagog zwyczajny chciałby w swym wychowańcu ujrzeć samego siebie i na woskach jego sobistości rodzinną pieczęć własnej jaźni wycisnąć. Oby niebo nie dozwoliło udać się tej pracy! I nie szczęści się też jego praca ku szczęściu ludzkości! Tylko mierność, niezdołająca się wydrzeć niewolniczym prawom natury, którym i każdy zwierz ulega, wypiera obcą mierność i tron jej z tryumfem zajmuje, tylko mierna sobistość pochłania mierną sobistość; dla tego też naśladowca znajduje najłatwiej naśladowców! Drzewem, na którem obrazek wyryłeś, odtłoczysz kilka tysięcy rycin; kamieniem lub miedzią ledwie ich część dziesiątą! Smutnąby też było rzeczą, gdyby ziemia cała była w końcu dziedzictwem Krupów, jak każdy Krupa, lub Mroczków, jak każdy Mroczek tego życzy! Umarłe morze obrzydliwej tożsamości nauczycieli i uczniów, ojców i synów, matulek i córulek, zalałoby wtedy smugi ludzkości, i mierność byłaby naszym jeniuszem! Zaczem nie jak zwyczajny pedagog, ale jak Bóg, nie jak ochmistrz ziemski, ale jak ochmistrz niebieski, kształć wychowańca na twe podobieństwo! Bóg jest naszym ochmistrzem najwyższym! On jest samodzielnością, leje więc w istotę swych wychowańców samodzielność! On jest wolnością, sobistością, jaźnią samego stworzenia, tchnie więc w nas iskierkę wolności, sobistości, jaźni! Jeżeli tedy samodzielność, wolność, sobistość, jaźń, słowem, bóstwo święte twego wychowańca ochraniasz, jeżeli nie starasz się bóstwa tego stłumić, ale je podnieść, ale rozwinąć mu silne skrzydła; — wiedziesz chłopca w kraj obiecany oświecenia! Człowiek nie jest ani gadem, ani płazem, ani zwierzem, ani rośliną. Drżyj zatem przed

pacholęciem, które rózgą sieczesz! Przez jego usta wyda Bóg kiedyś względem ciebie sąd swój ostateczny! W stajni urodził się Chrystus; jeniusz jest prawie zawsze wychowańcem obucha mierności. Bracie, nie bądź obuchem, bo młot kowalski spaść może na twą głowę i roztrzaskać na wieki wieków twą czaszkę, nie bądź tyranem, bo nie znajdziesz miłosierdzia! Bądź miłością i wolnością, siej miłość i wolność, a miłość i wolność będzie twem żniwem! Dla tem lepszego pojęcia oświaty stawim tu w kilku wyrazach porównanie tejże z obu jej połowicami, t. j. z wychowaniem i nauką. Wychowanie jest praktyką, nauka teoryą, oświata praktyką i teoryą społem, czyli syntezą [różnojednią praktyki i teoryi. Patrz: *Grundlage d. univ. Phil.* Str. 218]; wychowanie jest empirycznej, nauka spekulacyjnej, oświata filozoficznej natury; wychowanie jest rozłogą [substancyą], nauka przyczynowością, a oświata rozświatem [«rozłogą z przyczynowością w jedno stopioną, kongruencyą». «Chowanna» I, str. XXI] Boga w człowieku! Wykształcenie jest ich Parabramą, t. j. całością. Wychowanie, nauka i oświata są trzema gwiazdami w konstelacyi wykształcenia. Bądź wychowujesz, bądź nauczasz, lub oświecasz młodzieńca, zawsze kształcisz tylko jego jaźń i sobistość!

---

b) Rzeczywistość wychowańca.

764) *T. I. str. 71—80.* 1. Twój wychowaniec ma zostać realnym człowiekiem. Tak uczy empirya wszelka, bądź naturę, bądź kronikę, bądź też biblią, źródłem mądrości swej mająca i rzecz swą usprawiedliwia następnym sposobem. Nie ćwicz za wiele rozumu twych dzieci, bo staną się nieznośnymi mędrkami i stracą miłość swych spółrówienników, a później swych spółobywateli! Wkrótce zapragną zdeptać wszystko stare i prochem wieków pokryte, rozbratają się z Bogiem i ludźmi, zabrną za głęboko i skończą wreszcie w torturach hiszpańskiego Autodafé lub też śród Syberyi. Nie wykwintniaj *[tak]* ich serca, ani podnoś ich uczuć, bo przy lada nieszczęściu szlochać będą i wzdychać, jak arkadyjscy pasterze, lub też zapalać się płomieniem tam, gdzie

zimnym lodem być potrzeba. Gdzie głowa słońcem, a serce wulkanem, tam życie burzą na morzu nieznanem! Kto żegluje przeciw silnym czasowego ducha bałwanom, rostrzaska swój okręt o ukryte skały podwodne; kto wstrząsa drzewo, na którem gniazda robaków, temu spadnie czerw na głowę i oczy wygryzie! Ludzie niecierpią tego, kto od nich więcej wie, myśli, lub czyni; wiedz, myśl i czyń przeto niewiele! Zazdrość już jest zawiścią, a zawiść nienawiścią! Dla własnego więc szczęścia nie pragnij być orłem; bądź lepiej zwyczajnym jędykiem i żyj z całem jędyków stadem w pokoju! I dlaczegóż masz się mozolić? Najlepszej rzeczy nie wolno ci, jeźli masz rozum, ani wykonać, ani powiedzieć! Złoto nie leży na rynku, ale śpi w ciemnicach skrzyni, lub w głębokich matki naszej ziemi komnatach! Wystrzeliłeś nauką nad innych, głowa twa staje się tarczą do celu i odbijać musi zatrute strzały; pokazałeś się lwem, przychodzi osioł śród snu twego, i uderza cię w czoło kopytem! «Wielka mądrość, wielkie imię — wielkie nic! Rozum, czczy dymie!» Człowiek jest jednem małem ogniwem w łańcuchu towarzystwa, małem kółkiem w idącej wolno machinie państwa. Rób, co ci los przeznaczył, uprawiaj rolę, lub szyj buty, bądź pilny w twem zatrudnieniu i o nic więcej nie pytaj! Czyli Moskal, czyli Polak w ojczyźnie panuje — jedno dla ciebie; ty ulegasz temu, kto ma władzę i posłuszny jesteś zwierzchności. Dajcie mi, mówisz, zwierzchność inną, a rozkazy jej będą mi równie święte! Ojczyzna jest rzeczą wyborną, ale nie ta, co kipi gorącą pianą we łbie szaleńców. Wiele żab, ropuch i węży znajduje się wprawdzie na ziemi, ale ty nie jesteś bocianem, byś płaz ten wytępiał. O, nie wierz temu, iż człowiek jaki jest w stanie świat polepszyć i ludzi poprawić! Jest to twarog, z którego nic więcej zrobić nie możesz, tylko ser, a w tym serze robaki! Im więcej robaków, tem lepszy ser! Tak było, jest i będzie na świecie. Gmin jest i być musi gminem! Ludzkość to tłuszcza, mędrzec największy, kto ma rozum! *Mundus vult decipi, ergo decipiatur*, rzekł Kagliostro i miał pewnego rodzaju na znajomości ludzi opartą słuszność...

Miej więc dwa główne życzenia dla twych dziatek! N i e c h s i ę s t a n ą t o w a r z y s t w u u ż y t e c z n e m i; czego nie dopniesz, skoro ich w lubych przesądach świata nie wychowasz;

i n i e c h a j b ę d ą s z c z ę ś l i w e m i, czego nie pozyskasz, tylko przez wdrożenie ich do zwyczajnego biegu rzeczy! Faustyn Więckowski, jeden z politycznych męczenników, kończył swe listy do przyjaciół słowem: ż y c z ę c i d o b r e g o h u m o r u. Miał słuszność! Nie gniewać się, ale śmiać z błaznów!... Lepiej wychowaj syna ministrem, niż filozofem! O, niech tylko wolnym będzie od marzeń! Kto w marzeniach żyje, ani jest ludziom użyteczny, ani szczęśliwy. Państwo idei nie jest z tego świata. Tu lepsza władza, pożytek i użytek, niż wielkie imię... Uważaj świat za to, czem jest i bierz od niego, co ci daje! Mądremu, są jego jabłka zawsze słodkie, głupcowi — zawsze gorzkie... Daj synowi twemu tyle, ile mu trzeba, by na chleb zarobił i żył swobodnie, a córce twej tyle, ile tego potrzebuje dobra gospodyni, żona i matka. Syn twój i córka twoja niech będą realnymi ludźmi, a będą towarzystwu użytecznymi i znajdą szczęście na ziemi. Szczęście jest w naszem ręku. Mędrzec je trzyma silnie, trzyma jak sokół łup zdobyty; głupiec podobny jest do psa w bajce Ezopa, co opuszcza mięso, rozdziawiając paszczę za odbitą w wodzie mięsa postacią!

Tak uczy Empirya, pożytek jedynie na oku mająca i na doświadczenia szczudle wsparta. Spekulacyjne myślenie zowie jej głos dziką muzyką szatana, rozstrojoną melodyą gwaru piekielnego! Głos ten jest przecież prawdą, chociaż jednostronną. Jest to prawda doświadczenia, prawda pierwsza, t w i e r d z ą c a. Na tej drodze można być szczęśliwym, ale tylko ziemską szczęśliwością. Ciało tu szczęśliwe, — nie dusza!

2. T w ó j w y c h o w a n i e c m a z o s t a ć i d e a l n y m c z ł o w i e k i e m. — Tę zupełnie poprzedzającej przeciwną zasadę wprowadził K a n t po raz pierwszy w umiejętność naszą, a za tym sławnym mądrości bohaterem poszli wszyscy dotychczasowi pedagogowie niemieccy, z których prawie żaden, wyjąwszy Jean Paula i filozofów, co pedagogikę napisali, głowy własnej nie posiadał. Głośną jest zasada ta przeto w Niemczech, głośną, gdzie słońce niemieckiej filozofii zajrzało. Na jej usprawiedliwienie to, co następuje. Idea nasza, prawią nam w myśleniu osowiałe Niemcy, jest naszym światem prawdziwym, naszem życiem istnem, naszą rzeczywistą szczęśliwością, naszem niebem. Uniesienie się na jej skrzydłach sokolich w krainy

wyższe jest godnym zazdrości stanem, jest bóstwem, które się w nas poczuło i w górną ojczyznę swą gwiazd wzleciało. Szyller mówi: Rozkosz jest słodkim robactwu twarogiem Cherub zaś stoi przed Bogiem! Jean Paul mówi: — Zaklinam Cię, bracie, na Boga! Daj mi lepiej najsubtelniejszą, najzjadliwszą truciznę ideałów, niż rozumną rzeczywistość, bym krótkiej chwili tej nie przechrapał, jak pijanica, ale przemarzył i marząc zmarł słodko! Nawet stary Sokrates miał powiedzieć: «Dzięki wam Bogowie nieśmiertelni, wielką, wielką mam ideę! Za nią oddałbym chętnie życie, życie własne, ale nie cudze, bo własne tylko mojem jest dziedzictwem!» — Szczęście nasze leży w nas samych, a nie w świecie zewnętrznym, t. j. leży w naszej idealności, a nie w naszej realności. Ta jest rajem utraconym, jest płaczu padołem! Jej rozkosze żyją krótko, jak jątki i kończą się boleścią. Rozkosz błyskawicą, boleść — wlokącym się za nią koniecznym grzmotem. Ideały, przeciwnie, są złotemi gwiazdami na duszy naszej błękicie, są czarodziejskim płomieniem, przejmującym nas niewypowiedzianą błogością! Największy nawet szaleniec jest jeszcze szczęśliwy, szczęśliwy, jak ojciec nasz w niebie! «Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły poczciwe! Dla ciebie zjadłe smakują trucizny, dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!» Samoluby, tchórze, wszelkie nędzniki palą kadzidło dawnym narodu ustawom i trzymają się starego porządku, co mchem wieków porasta; boski człowiek walczy za nowością, za postępem. Chrystus każdy jest koniecznie zbawicielem, drugim stwórcą świata! Opatrzność i szczęście sprzyjają śmiałości. Kościół wojujący miał swem hasłem: *Sanguis martyrum est semen ecclesiae!* Zaprawdę, krew przelana jest płodnem nasieniem, z którego żniwo obfite wyrośnie. Kości nasze zamienią się z czasem w mścicieli!... Wieszcz polski woła od dawna: «Młodości, ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca ludzkości całej ogromy przenikaj z końca do końca!»... Cel walki naszej jest boski i zwycięstwo bliższe, niźli się spodziewasz. Zimny matematyk nie jest rachmistrzem przyszłości; oko ostrowidzowe rozumu jest tu okiem kreta; tu szczęście i poezya grają rolę! Struchlał wróg, czego się nie spodziewano, stracił głowę, opuścił ręce i nasza wygrana! Mają tylko urodzone książęta, a nie jeniusze, tylko ukoronowana niemoc zamiast dzielności światem poruszać i przy-

szłość sprowadzać? Przyszłość jest zawsze ideą skrzydlatą względem jędyczej teraźniejszości; kto ideę tę ujrzał, ukochał i zrealizował, stał się dobroczyńcą ludzkości, prawdziwym bohaterem! Teraźniejszość nie jest niezłomną opoką, ale kruchą stalą! pęknie, skoro ją ciężkim uderzysz młotem. Odwaga łamie żelaza, rozwala piramidy! Kto czeka naturalnego rozwikłania się ludzkości, ustawicznie się namyśla, jest niedołęgą, wlekącym się, jak ślimak; jeniusz zrobi trzy kroki Jowisza i stanie u celu! Szczęście przyszłe rodzaju ludzkiego zapali, natchnie, podniesie twego wychowańca; on porwie za broń, zdobędzie ziemię obiecaną i stanie się wielkim człowiekiem. On nie należy do teraźniejszości, w której ty żyjesz; przyszłość jest jego teraźniejszością, jego światem! Kształć go przeto dla przyszłości, dla idei; zrób go idealnym człowiekiem!

Idealność tchnie w nas niebiańskim entuzyazmem, odrywa nas od poziomu i pożytku, zapala nas górną szlachetnością i puszcza nas w obłoki błogich nadziei! Kto nie ma do niej umysłu, jest żującym trawę wielbłądem. Ale ta idealność jest w swym zupełnym rozbracie z realnością — prawdziwą chorobą i wielkiem człowieka nieszczęściem. My, Polacy, przynajmniej, miejmy się tu bardzo na ostrożności, ponieważ ona nas często za wysoko unosi i strąca później w błot oparzeliska! Kto z ziomków naszych np. zrozumiał Hegla, idealności kapłana najwyższego, ten pocałował go, jako nowego papieża w sandały i zobaczył, że ma nie napróżno własną głowę na karku! Napoleon już powiedział: *Les Polonais font tout par enthousiasme et rien par système!* Biada nam, skoro to prawda! I prawda jest, jak się zdaje! Emigracya nasza np. była w nieutulonym żalu po ojczyzny stracie; wielu zaczęło kląć czczą nadzieję i upadać na duchu! Wtem Mickiewicz wydaje swego «Pielgrzyma polskiego» i robi, o cudo, wychodźcę naszego apostołem wolności świata! Cel to szczytny, boskie nasze przeznaczenie, wyniosła, ale niebezpieczna idea, idea, której braknie wszelkiej realności! Ale każda idea zapala i podnosi, jak piękności bogini, młodzieńca! Wychodźcy nasi przebierają się zatem po większej części w czamarki; to dobrze! Ale wychodźcy ci robią wycieczkę do Szwajcaryi, wtargują *[tak!]* do Sabaudyi, pragnąc gnuśnych zrokoszować Włochów i pokry-

wają się śmiesznością! Szyderstwo świata było też wieńcem tych wypraw gęsiogłowych! Wkrótce przedzierają się oni nawet do zaryglowanej ojczyzny, rozbijają, jak złoczyńcy, Moskalów po lasach! Zgroza wielka! Anielskim płomieniem owionieni Szaleńcy giną od nędznego strzału wroga, lub kończą na szubienicy! Jaka szkoda tego heroizmu! I cóż dobrego zrobili? Nic zgoła; rózga nad krajem wisząca stała się tylko dotkliwszą. To są owoce odosobnionej idealności, idealności bez realności, bez rozumu! Śpiew jej jest przecież prawdą, chociaż jednostronną; jest śpiewem zdradliwej syreny. Jest to prawda rozognionej umysłowości; prawda druga, p r z e c z ą c a. Na tej drodze można być szczęśliwym, ale tylko duszy szczęśliwością. Dusza tu się raduje, ciało cierpi!

3. Filozofia, kojarząca wszędzie fizykę z metafizyką, empiryą ze spekulacyą, doświadczenie z umysłowością, a przeto i realność z idealnością, wystawia wreszcie następną pedagogiczną zasadę: W y c h o w a n i e c t w ó j m a z o s t a ć r e a l n ą i i d e a l n ą i s t o t ą w j e d n i, c z y l i m a z o s t a ć r z e c z y w i s t y m c z ł o w i e k i e m. Ani realność, ani idealność, ale oboje społem, ale Rzeczywistość jest prawdą równie człowieka, jak wszelkiej innej istoty, jest naszem pełnem i prawdziwem człowieczeństwem, ludzkością całą w nas zawartą, naszem bóstwem. Realny człowiek, co poluje za pożytku kuropatwą, jest mimo całej prawdy, w empirycznej mądrości leżącej, moralnym szatanem; idealny zaś człowiek, co szlachetności czystej nektarem się przepełnił, jest mimo całego uwielbienia, na które zasługuje, moralnym aniołem; pierwszy przeto dobrem i złem twierdzącem, drugi dobrem i złem przeczącem, a zatem niedobrą istotą; pierwszy jest nam nieszlachetny, drugi niepożyteczny; precz tedy z obudwoma! Ludzkość gardzi nietylko zwierzęciem, ale i szaleńcem, szatan godzien w jej oczach p o g a r d y, a anioł, co półwaryatem i półgłówkiem się okazał, jest albo jej litości, albo jej śmiechu przedmiotem! Człowiek zaś rzeczywisty, co jest realnym i idealnym człowiekiem, szatanem i aniołem w jedni, a przeto bogiem ziemi, karzącym i wspaniale przebaczającym, zmysłu i umysłu, czyli m y s ł u zwolennikiem, co godzi za szlachetnym pożytkiem i pożyteczną szlachetnością, czyli za istnem dobrem w księżycowej pełni;

jest prawdziwym człowiekiem, a przeto bóstwem na ziemi, Bogiem-człowiekiem. Rzeczywisty człowiek ma szatana i anioła swymi sługami. Realny człowiek jest machiną, idealny — sprężyną, machinę tę poruszającą, a zatem elastyczną machiną; ów leniwcem śród łożyska spokojnego i paszy, ten wiecznie ruchomym i podmuchom marzeń posłusznym wiatrakiem. Pierwszy jest niewolnikiem żołądka, drugi poddańcem swych widziadeł; ów zapomniał o niebie, ten o ziemi, — ów czarnym jest, ten białym upiorem człowieka! Rzeczywisty człowiek wie, że jest półszatanem i półaniołem, że mu przeto surowość, równie, jak miękkość, kara i przebaczenie, bicz i lutnia potrzebne; wie, że żyje na ziemi, a ta jest piekłem i niebem w wiecznym sporze i w wiecznem przymierzu; pielęgnuje zatem realność i idealność z równą miłością i zdobywa w końcu kraj nowy Kolumba: Rzeczywistość! W kraju tym jest on panem i rządzić potrafi. Historyczna nieśmiertelność, mądrość, stanu towarzyskiego dostojność i sława są jego świetnym orszakiem, a on jaśnieje ich purpury blaskiem. On jeden zdoła przyszłość najbliższą w teraźniejszość obrócić, ponieważ teraźniejszość jest jego lalką, środkiem do celu w ręku jego złożonym, on solą ziemi i ludzkości, co ją przy życiu utrzymuje, on robi ją lepszą, bo wie, jak ją prowadzić! Lud, choć dobry i poczciwy, to wieczne dziecko! Jemu, t. j. rzeczywistemu człowiekowi powierza opatrzność wychowanie rodu naszego, bo on nie jest ani ślepym realności puszczykiem, ani idealnym ptakiem feniksem! Rzeczywisty człowiek jest wreszcie obrazem i zastępcą Boga na ziemi, ponieważ Bóg także nie realną i nie idealną tylko, ale rzeczywistą jest istotą. Wychowywuj więc twe dziecię na rzeczywistego człowieka, a wieść je będziesz do jego prawdziwego celu, do przeistoczenia jego bóstwa *in potentia* w bóstwo *in actu!* Kąp je w strumieniu realności, ale nalej mu zawsze po kąpieli kielich idealności wina, a przejrzy rzeczywistości okiem!

---

c) Niebezpieczeństwa wybujałej fantazyi, czyli umu.

765) *T. I. str. 349—353.* Um młodzieńczy zdradza sam siebie myślami oryginalnemi, śmiałemi postaciami mowy i ochotą do pisania wierszów. Ledwie wziął młodzian umny

pióro do ręki, a już oblewa go zewsząd ciągła, długa, siedmiofarbna błyskawicza ideałów pożoga! On nie widzi gwiazd na niebie, ale wyspy złote, pływające wśród eterowego morza! Jutrzenka jest mu cichym różanym potopem; chmura grzmiąca — powietrznym wulkanem; ciepłego wiatru tchnienie słodkim pocałunkiem wiosny i szeptem dziewiczym jej miłostek; oczy kochanki, ach to niebiańskich okien para, z której wyglądają aniołów tysiące! Ale nie tylko mową swą jenialną um się mimowolnie odsłania; ma on także zewnętrzne znaki. Umny chłopiec doznaje częstokroć największej radości i sam nie wie, lub też przynajmniej nie powie ci, z jakiego powodu. Nagle także porywa go melancholia, jakaś tęsknota nieznana, lub ciężki smutek, chociaż nie było do tego żadnej zewnętrznej przyczyny. Zatapia się chętnie w siebie samego, bawi się drzewem dyamentowem swego marzenia, nic nie widzi, nic nie słyszy, i ochmistrz obwinia go zwykle o brak uwagi! Skoro mu w dumaniach jego kto przeszkodzi, okazuje się on niecierpliwym, nawet grubianinem! Samotność mu najmilsza na świecie; idzie na przechadzkę w puste okolice, do lasu odległego, do zwierzyńca, na pola, kołyszące się kłosów morzem. Nocny spacer ma najwięcej wdzięków dla niego. We wszystkich rzeczach okropnych, a przynajmniej przeraźliwych, np. w burzy morskiej lub powietrznej, w wyciu psów i wilków, w jęczeniu puszczyka, w poświście gwałtownego wiatru i t. p. znajduje on przyjemność. Powiastki najniedorzeczniejsze o upiorach, duchach i nocnych strachach, są dla niego muzyką z nieba. W cyganie, żydzie, hieromancie, w każdym szarlatanie widzi on wielkiego człowieka. Ksiądz bernardyn, każdy mnich jest mu drugim Chrystusem i przejmuje go pewnem świętości uczuciem. Jest on nadzwyczaj nabożny i modli się często, zwłaszcza do Najświętszej Panny; myśli najchętniej o rzeczach, które jego wiek i władzę pojęcia przechodzą. Jego zdania noszą piętno apodyktyczności, i pragnie nawet ojca swego, lub nauczyciela reformować. W ochmistrzu nienawidzi on pedanta, i wszyscy ludzie, nie wyjąwszy samych rodziców, są w jego oczach nieznośnymi nudziarzami. Unika zgromadzeń i jest, jak święty jaki bramin na pustyni, najszczęśliwszy sam z sobą. O nim powiedzieć można, jak o stoiku: *sufficit sibi!* Jego mowa jest proroczą, jego oko

wilgotne, ale wnet rozpalające się pożarem; jego cała istota jest tajemniczą. Słowem, to Jan apostoł w dzieciństwie! Młodzian, niewiele umu mający, gra w karty, w bilard, w kręgle; oddaje się chętnie najnędzniejszym rozrywkom, byle czas spędzić i nudę oddalić; rzuca się w najróżnorodniejsze towarzyskie strumienie i używa życia; młodzian zaś celujący umnością gardzi tem wszystkiem i zostaje w domu przy swej siwogłowej głupiej piastunce, która mu o cudach rozprawia, lub też np. przy starym karbowym, opowiadającym mu czyny swe bohaterskie, którymi niegdyś słynął, jako konfederat barski!

Jeżeli wychowaniec twój ma zawiele umu, staraj się wszelkimi sposoby ująć w silne tamy wzbierające to i grożące potopem duszy jezioro. Um rozhukany jest niebezpieczeństwem dla nas samych i dla innych... Wolter już zrobił w swych listach do Fryderyka Wielkiego tę uwagę, iż tylko umni młodzieńcy byli królobójcami... Wściekłość umu francuskiego, co chwila przeciw Ludwikowi Filipowi wybuchająca, napełnia całą Europę zgrozą. Um, występujący za pewne szranki, odpycha od siebie rozsądek i umysł, robi nas szaleńcami, fanatykami, cudotwórcami i jest pochodnią, świat ogniem piekielnym zapalającą. To Helena, przed którą słońce piękności, a za którą pożar Troi! Kto od młodu przyzwyczajony do czarodziejskiego świata marzeń, temu biada na ziemi; ten będzie nawet w niebie malkontentem, zrobi spisek przeciw Bogu i zostanie, jako duch zły przed czasy, w otchłań ciemności wiecznej, w to stare, pierwsze i ostatnie polityczne więzienie strącony! Pomimo całej ważności umu jest on, jak właśnie widziemy, w swem wezbraniu straszliwy. Trzymaj go przeto, jak rzekę, której dowierzać nie można, w oznaczonych brzegach, a jeżeli swywolić poczyna, ściśnij jego koryto potężnemi grobli kamiennej ramionami! Jakim sposobem? Piękny jest wprawdzie kraj marzenia, jak ogień bengalski; ale ogród rzeczywistości, pełen uroczego kwiecia, jeszcze piękniejszy. Wiedź zatem wychowańca twojego, którego um szumieć i kipieć poczyna, do tego edenu i odsłoń przed jego okiem prześliczne róże i lilie, wszystkie stokrocie drogich, żywych klejnotów; niechaj się on w nich rozkocha, a znikną jego widma, jak nocne cienie przed spojrzeniem słońca! Już nie jeden sztukmistrz zrzekł się swego ideału i porwał za słodką rzeczywistość; oddał chętnie

swą madonnę za ukochaną niewiastę! Niechaj więc umny młodzieniec ogniem miłości zagoreje i ujrzy w jakiej urodziwej dziewicy świat swych ideałów! Ten żywy jego ideał rozpędzi w nim zwolna wszystkie ideały trupie i przyprowadzi go do rozsądku! Jest to ideał przeciw ideałom! Kobieta oplącze najłatwiej zapaleńca w swe więcierze i wyciągnie go, jak rybę z morskich topieli, na brzeg rzeczywistości! Ona jest rzeczywistości aniołem stróżem! — Ale rzeczywistość ma w sobie jeszcze więcej pereł. Temi perłami są góry, gaje, Szwajcarya, Włochy, Krym i wszystkie wdzięki przyrodzenia; miasta wspaniałe, sioła romantyczne i wszystkie utwory ludzkiej sztuki; chęć poznania natury, państwa, człowieczego towarzystwa, i wszystkie umiejętności, mające świat żywy swym przedmiotem. Podróż tedy za granicę, pielgrzymka po własnym kraju i obcowanie z ludźmi, są tarczą Achillesa przeciw wrzącemu bojem umowi. W cerkwiach tych starego doświadczenia um młody nie będzie mógł rozprzestrzeniać się bez granic, skurczy się i zwinie w kłębek przed słońcem rzeczywistości, roztaczającem smugami światła jasne swe warkocze, znikną blade płomyki jego marzenia! W hierarchii istot prawdziwych grają widma smutną rolę i zawstydzone w końcu uciekają przed nieznośnym uśmiechem szyderstwa, lub litości. — Jeżeli żądasz młody um okiełznać, oddaj go w ręce rozumu! Rozum walczy z umem zawsze zwycięzko, a pojęcia rozpraszają ideały. Oddalaj więc od wychowańca twego wszystko, co jego um zachwyca i zrób rzeczy rozumowe jego duszy pokarmem! Zgłodniały um jego straci swe siły! Gramatyka, matematyka, logika, te najzaciętsze nieprzyjaciółki umowości, niechaj się staną dla wychowańca twego codziennem ducha ćwiczeniem! Za każdym razem, skoro wpadnie w gorące ekstazy, oblewaj go chłodem ścisłego myślenia; pokazuj mu sprzeczności i niedorzeczności jego mniemań, jego popełnione krzyże i kółka loiczne, wkładaj mu na rozpalone, czułe skronia *[tak]*, cierniową koronę, uwitą z mnogich i śmiesznych od niego samego wyrzeczonych przeciwieństw! Od jego śmiałych i jenialnych porównań wymagaj ciągle, tak zwanego, *tertium comparationis!* Filolog, którego czaszka zimnym uczoności lodem wypełniona, niechaj zostanie jego ochmistrzem! Ten zdoła wytrzeć i wyszorować skoro tego pragniesz, um z jego duszy aż do dna

i dokaże tu cudu. Wprowadzaj wychowańca twojego w grona ludzi dowcipnych! Dowcip nienawidzi umu, jak pies kota i chłoszcze go natychmiast ostrym biczem satyry i epigramatu. Przygotowywuj przebujałemu umowi najróżnorodniejsze zawstydzenia i zwracaj go ku istotnemu światu! Tym sposobem poobcinasz mu zwolna pegazowe loty!

---

d) Samodzielność umysłu.

766) *T. I. str. 415—417.* Umysł, ten król Elfów, Sylfów i Gnomów najwyższego rodzaju, ten mocarz najpotężniejszy w całej krainie duchów, nie potrzebuje właściwie żadnego wodza, żadnego ochmistrza! On musi być własnym swym wodzem i ochmistrzem, ponieważ jego istotą jest niepodległość i oryginalność! Dusza podobna jest do czarodziejskiego lasu w «Jerozolimie wyzwolonej» Tassa, a umysł, budzący się, do iskierki ognia pod lasu tego podnoże pełne suchego liścia i łomu rzuconej. Jeżeli przyjdzie wiatr pomyślny, to cały las pożarem rozgoreje; jeżeli zaś złowrogi, to iskra prędzej lub później zagaśnie! Całą więc sztuką pedagoga jest rozdmuchać ów wiatr pomyślny, stać się dla młodego umysłu życzliwym Eolem, a resztę jemu samemu pozostawić. Dawaj częstą sposobność do zbudzenia i rozpalenia się młodego umysłu, ale nie zostań jego b a k a ł a r z e m! Żaden bakałarz nie wykształcił poety ani krytyka, a tem bardziej człowieka umysłowej spekulacyi! Wychowaniec, co przywykł, jak biała mysz na łańcuszku cygana, tańcować wedle taktu mu od rodziców lub ochmistrzów ściśle wymierzonego, zostanie nawet później służalcem innych i nie przyjdzie do poczucia własnej sobistości; on był ciągle b i e r n e m stworzeniem, dzieckiem, — jakimże tedy sposobem zasmakować może w c z y n n e j i zupełnie s w o b o d n e j działalności młodzieńczego ducha? Tutaj pokazuje się szkodliwość klasztornego i jezuickiego wychowania, gdzie chłopcy jedynie tak śpiewać muszą, jak im pierwej zagrano na duchownej pozytywce. Jest to wychowanie szczygłów, lub gilów, ale nie ludzkich duchów! Wiele polskich rodzin oddaje dzieci swe na wychowanie jezuitom ku niesławie przyszłej wieku naszego i k u n o w e j o j c z y z n y z g u b i e do

austryackiej Polski świeżo zaprowadzonym. Niejedna czyni jeszcze więcej i wysyła krew swą świętą, krew polską do Frejburga w Szwajcaryi, do tego żyworodnego korzenia nowych jezuitów! A to dlaczego? Tu, — prawi ciemnota staropolska, która kraj zamordowała — syn mój będzie raz na zawsze zabezpieczony od kacerstwa! O, bracia drodzy! Czyliż duch rozbudzony nie jest z natury swej kacerzem? Nie chcecie więc rozbudzić ducha w waszych młodzieńcach i wypalacie mu *[duchowi]* przed czasem oczy rozpalonem żelazem! I któż zabił Polskę, przynajmniej pod względem umysłowości, jeżeli nie jezuici, tyle wpływu na naszych królów i wyższą szlachtę, na nasz lud wywierający? I któż wyparł naszą literaturę złotą i zaraził ją łacińskim makaronizmem? I któż opóźnił oświatę naszego narodu, przynajmniej o trzy wieki? Jezuita to, jak mówią, dyabeł szpakami karmiony, tysiąckroć tedy niebezpieczniejszy od dobrodusznego wroga, którego wnet zdobędziesz gorzałą, lub arakiem! Umysł nie grozi religii, i owszem, on ją pochodnią swą rozjaśnia, on ją broni przeciw półgłupcom i półmędrkom. Gdzież zakwitła piękniejszym stulistnej róży kwiatem teologia równie protestancka, jak katolicka, jeżeli nie w Niemczech, w tym kraju umysłowości? Jakimże innym sposobem zdobędziecie świętego ducha, jeżeli nie duchem? Umysł nie jest religii, ale interesu bezbożnego, t. j. nie Bogu, ale światowej władzy poświęconego duchowieństwa, jest ziemskości, nikczemności biczem i wrogiem; jest chłostą dogmatów, w których duch zagasł, i tylko jeszcze litery szkieletem trupim świecą! — Dziewczęta przychodzą pierwej od chłopców do dojrzałości duszy. Czemu? Ponieważ ich dusza nie jęczy tyle pod jarzmem bakalarki i dogmatyki, jak dusza naszej młodzieży męskiej w większej części szkół publicznych; ponieważ mamy jawnych i ukrytych jezuitów, ale, Bogu dzięki, nie jezuickich mniszek klasztory; ponieważ wreszcie dziewczęca dojrzałość duszy leży w rozumie i nie potrzebuje umysłowości! Umysłowość rozkwitła w Niemczech. Odkąd? Od chwil kacerstwa, czyli od chwil oswobodzonego od tortur średnich wieków ducha!

Wszelki dogmatyzm, wszelkie bakalarstwo i ochmistrzostwo jest dla młodego ducha grenlandzką śmierci zimą!

---

e) Wezwanie do pracy oświetlonej nad ludem.

767) *T. II. str. 130—150.* Biedny, nieszczęśliwy ludu! Ty uprawiasz twarde ugory, bagna osuszasz, lasy karczujesz,.. wszystkie kraje w ogród zamieniasz i, że tak rzekę, dziką ziemię cywilizujesz! Ty śród pracy najcięższej wydobywasz z łona matki naszej ogólnej owoce i dla wszystkich klas społeczeństwa chleb przysposabiasz. Ty dajesz żołnierza na obronę ojczyzny, i pieniądz na jego zapłatę, i wełnę na jego pokrycie, i suchary na jego wyżywienie, i żelazo na jego bagnety. Z podatków, które złożyłeś, murują królowie pyszne swe stolice i pałace, żyją urzędnicy, uczeni i sztukmistrze. Ty jesteś jądrem i spichlerzem państwa; bez Ciebie ludzkość nie mogłaby uzłocić się dzisiejszej cywilizacyi bogatym plonem. Znaczenie twe wielkie uznano już powszechnie. Patryoci i demokraci każdego kraju śpiewają na twą cześć wspaniałe hymny, piszą i drukują dzieła pełne uwielbień dla Ciebie, prawią gorące mowy w twej obronie, obudzają w Tobie własne uczucie i podsycają Cię do walki przeciw srogim Twym ciemiężcom; lecz wszystko to daremnie! Ty nie znasz jeszcze twej godności i jesteś dotąd bez wychowania, bez oświaty. O, patryota, a mianowicie demokrat *[tak]* więcejby przyłożył się do Twego szczęścia, niż to dzieje się zwykle, gdyby osiadł śród Twych ustronnych wiosek i nauczał Twe dziatki. Cóż Ci pomogą jego pisma głębokie, których Ty nie rozumiesz; jego wymowne serdecznego głosu wylewy, których Ty nie słyszysz? Jak wiele czynisz Ty dla ludzkości, tak mało czyni ludzkość dla Ciebie! Tyś skazany wraz z Twym wołem na wieczną najgrubszą pracę i ledwie, że minutę wolną znajdziesz, w której odetchniesz i siły Twe pokrzepisz. Ale myśleć o przeznaczeniu człowieka, o uszlachetnieniu własnej istoty, o najważniejszych i najświętszych interesach rozumnego stworzenia, do tego nie masz ty czasu, jesteś więc ciągle w stanie półdzikości! Biedny, nieszczęśliwy

ludu! Ty nie znasz wcale prawdy i piękności, nie znasz bliżej samej nawet cnoty, nie znasz nic z tego, co los śmiertelnym uprzyjemnia i słodzi; ty nie pijesz nektaru z kielicha wyższej oświaty. Ciemnota, niewiadomość, przesąd, zabobon, dzikość, zwierzęcość, oraz ich towarzyszki nieodstępne, bieda z nędzą, to niecne bóstwa Twe domowe!... Tyle napisano już pedagogik. Żadna z nich jednak nie poświęciła ani jednego paragrafu wychowaniu Twemu. I niedziw, zowią Cię tak często pogardliwym motłochem! Biedny, zapomniany ludu! Stan Twój godzien jest litości. I któż pomoc przynieść Ci może? Nie monarcha Twój, bo ten nie stoi z Tobą w żadnem bezpośredniem dotchnięciu *[tak]* i zwykle czem innem jest już zanadto zajęty. Ani też filozofowie, uczeni i inni ludzie umiejętności dopomódz Ci zdołają, bo Ci, oddani całkowicie swej nauce, nie piszą dla Ciebie i nie myślą o Tobie. Któż więc może być Twym dobroczyńcą i ojcem? Nie kto inny, tylko skromny ksiądz proboszcz, co zna Cię bliżej i żyje z Tobą! Wszakże jego obowiązkiem być nauczycielem i wychowywaczem ludu! Jest Twem słońcem, powinien Cię przeto promieńmi swymi rozegrzać i oświecić...

O, nieszczęśliwy ludu polski! Dziki jesteś śród wieku najucywilizowańszego i śród otaczającej cię dokoła oświaty powszechnej żyjesz w barłogu, w ustawicznej biedzie, w najokropniejszej nędzy! Duch twój śpi snem północnym; ty jesteś, przebóg! zwierzem. Ach, księże proboszczu polski, miej litość nad twoją owczarnią i czyń wszystko ku polepszeniu tego tak smutnego jej położenia; czyń, co tylko w twej mocy! Tu łatwo zasłużyć na niebo! Księże Dobrodzieju, bądź nie tylko tytularnym, ale i rzeczywistym dobrodziejem!...

Ksiądz pleban ma ważnego pomocnika wychowania w nauczycielu wiejskim, czyli w tak zwanym bakałarzu... Bakałarz jest dla księdza plebana równie znakomitą osobą, jak ochmistrz dla troskliwego o dobro swych dziatek ojca. Ksiądz pleban stara się więc, ile mu podobna, o wybornego bakałarza. Tym jest młody człowiek, co skończył klas przynajmniej cztery, był w pedagogicznem seminaryum, kocha swe powołanie i daje się chętnie nauczać w rzeczach, które niedobrze rozumie.

---

f) Wspomnienia z Uniwersytetu warszawskiego.

768) *T. II. 1073—1076.* Uniwersytet warszawski stworzony został r. 1816. Jego rektorem był ciągle ksiądz Szwejkowski, człowiek równie francuskiego, jak niemieckiego wykształcenia, patryota z roztropnością, mówca niepospolity, urzędnik z najszczęśliwszym taktem i dla cnót tych kochany od młodzieży. Drugą ważną i zacną osobą był Zabellewicz, kurator uniwersytecki; ale obowiązek jego był przykry, bo jako stróż karności, a nadto naczelnik nienawidzonych inspektorów, nie mógł się akademikom podobać. Znakomitych profesorów imiona są: Maciejowski, Bentkowski, Brodziński, Bandkie, Skarbek, Skrodzki, Kitajewski, Garbiński, Frączkiewicz, Szyrma i Woelke. Wydziałów było pięć: teologiczny, prawa i administracyi, lekarski, filozoficzny, nauk i sztuk pięknych. Ostatni był filologią i pewnego rodzaju politechniką zarazem. Za Stanisława Potockiego wydział teologiczny należał ściśle do uniwersytetu, i młodzi teologowie odwiedzali prelekcye w sukniach cywilnych, jak to jest w Niemczech od wieków. Lecz duchowieństwo wrzeszczało przeciw tej cywilizacyi, utrzymując, że teologowie zarażają się od innych uczniów wolnomyślnością, że odwiedzają prelekcye wedle woli, nawet im niebezpieczne, że sprzysięgają się na zniesienie celibatu. Potocki nie zważał na takie brednie, ale Grabowski odział teologów w czarne sutanny i przeniósł ich do księży Paulinów. Tym sposobem znikł wydział teologiczny i zamienił się na zwyczajne Seminaryum, które z misyonarskim u Świętego Krzyża o palmę pierszeństwa w fanatyzmie walkę rozpoczęło.

Uniwersytet warszawski miał trzy organiczne błędy: naprzód, że polegał niemal na popisie i chęci blasku, na deklamacyi; powtóre, że nie dopuszczał prywat-docentów, a tymsamym spółzawodnictwa profesorskiego, co go podobnym do zwyczajnej szkoły wyższej robiło; a po trzecie, że nie miał właściwej filozofii, ani nawet jej wyobrażenia. Błąd pierwszy przedstawił się najjaśniej w Osińskim, który, karmiąc uczniów, a nawet publiczność warszawską pięknobrzmiącą płytkością La-Harpa, zaraził pół Polski deklamacyą i utrzymywał ją przy nędznej swej klasyczności; a błąd drugi odsłonił się jawnie

u Zinserlinga, który, poróżniwszy się z młodymi Pijarami o wymuszane honorarya, przyszedł do katedry, nakrył głowę, odwrócił się twarzą do ściany, wziął zegarek w rękę i, patrząc na niego ledwie co pięć minut, wyrzekł lub podyktował głosem najdziwaczniejszym i coraz innym jedno słowo z książki drukowanej, którą uczniowie przed sobą trzymali. Ach, była to prelekcya niepodobna do wytrzymania! Chodzić przecie na nią potrzeba było, gdyż kara groziła, a skarżyć się niepodobna, ponieważ Zinserling, wróg wolności, zowiący bohaterów Grecyi i Rzymu waryatami z domu warszawskich Bonifratrów, miłość zaś ojczyzny wprost głupstwem, stał w wysokiej łasce u Rządu.

Uniwersytet, nieposiadający filozofii prawdziwej i swobodnej, jest stonogiem bez głowy, ciałem olbrzyma bez duszy, ogniem bez pożywnego korzenia, słońcem bez środka ciężkości; nie jest on właściwym uniwersytetem, ale najwięcej szkołą wyższą, albo raczej sklejonym po partacku z kilku szkół wyższych dziwotworem. Ta uwaga tyczy się uniwersytetu warszawskiego. Szyrma czytał filozofię. Był to człowiek godzien ze wszech stron wysokiego szacunku, ale filozof w angielskim znaczeniu; nie wiedział zatem, czem jest filozofia. Gdybyć mu przynajmniej dozwolono wykładać po polsku, ale i to się nie stało. Przeznaczono mu jakąś loikę i antropologię po łacinie napisaną z XV lub XVI wieku i na tem skończyła się cała filozofia. Brak filozofii na uniwersytecie jest okropnym błędem, którego skutki nader niebezpieczne. Młodzież ze wszystkich stron, wyjąwszy filozofię, oświecana, zaczęła myśleć, a nie mając właściwego przedmiotu myślenia, wdała się, jak to zwykle, zanadto w politykę i zaczęła sił ducha swego próbować na religii. Wnet opanował ją patryotyzm i libertynizm bez granic. Skutki tego patryotyzmu pokazał dzień 29 listopada r. 1830. Widziano w Warszawie młodych jakobińskich Kyników, jak np. starszego Cyprysińskiego. Zwierzchność zwróciła uwagę na bezbożność, zakorzeniającą się śród akademickiej młodzieży, ale nie umiała złemu zaradzić i dowiodła, że nie wie wcale, co pedagogika, że nie zna ani zdala psychologii i antropologii. Kazano akademikom spowiadać się i komunikować pięć razy na rok. Czynili to, bo musieli złożyć otrzymane przy komunii kartki w Kuratoryi. Ale co działo się między nimi? Włosy powstają chrześcijaninowi na głowie, na

samą myśl tych szyderstw z religii i bluźnierstw przeciw Bogu! Pogarszają ten stan sami członkowie Komisyi oświecenia, którzy, niby dla dobrego przykładu, chodzą do akademickiego kościoła, wzdychają, biją się w piersi, kiwają głową, padają krzyżem, płaczą, klamki ode drzwi całują, a za to wszystko spotyka ich w nagrodzie pogarda, która kilkakrotnie staje się nawet jawną. To przydało do jakóbinizmu jeszcze obrzydliwsze od niego faryzeuszostwo. Przeznaczono profesora religii, i każdy akademik musiał go rok cały słuchać. Ksiądz wykładał nieźle, ale budował wszystko, jak zazwyczaj, na samej wierze; wiary zaś nie było, i dlatego prelekcye jego dawały li coraz to nowy materyał do szyderstwa. Nie znano wówczas w Warszawie tej starej jak świat prawdy, że gdzie teologia ustaje i pokazuje się zupełnie bezsilną, tam zaczyna być skuteczną filozofia i działa istotne cuda! Młodzież szukała przekonania, pragnęła pojęć i idei, goniła za myślą, a dano jej, jakby na urągowisko, zakonne egzorcyzmy! Byłem naówczas uczniem Uniwersytetu warszawskiego i stawałem nieraz między mymi spółtowarzyszami w obronie religii, cierpieć nawet z tego powodu musiałem; ale cóż zrobi jeden uczeń! Gdybym był wtedy tem, czem dziś jestem i gdyby mi dano katedrę filozofii, wywiódłbym uczniom wszystkie prawdy chrześcijańskie z ich własnej samodzielnej jaźni, nauczył kochać je gorąco i pokazał w końcu, że prawdy te znajdują się w biblii, którą potępiliście dla tego, żeście mądrości jej nie pojęli. Zreformowałbym młodzież w przeciągu lat trzech, a z nią, jak naturalna, i kraj cały. Dowiódłbym wszystkiego, nawet dziewiczości Maryi! Wszakże każde święte Logos jest dziecięciem boskiego ducha i rodzi się niepokalanie, t. j. z czystej piersi! — Oby ten przykład jakobinizmu śród młodzieży roztworzył duchowieństwu polskiemu raz oczy i przekonać je zdołał, że filozofia jest teologią wyższej potęgi i, że jej wieczną jest misyą nie w Indyach, nie śród dzikich, dzieci lub niewiast, ale śród niby oświeconych półmędrków zaszczepiać prawdę, a przeto Chrześcijaństwo!

Uniwersytet warszawski przestał istnieć w r. 1830. Wydał 13 doktorów i 1113 magistrów. Jako czternastoletni chłopczyna zdziałał nadzwyczaj wiele, i godzi się zapłakać nad jego tak wczesnym zgonem.

B) Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem (1843).

769) *Str. 115—139.* a) Filozofia polityczna. Leżą już za nami obrazy dwu wielkich, wiecznych, ciągle w świeżej postaci występujących politycznych stronnictw: — obrazy Historyzmu i Radykalizmu. Że stronnictwa te są polarnemi, walczącemi ze sobą na zabój przeciwieństwami, przekonywa się każdy na pierwsze spojrzenie. W przeciwieństwach takich niema prawdy; w nich objawia się li jednostronność. Ta okoliczność wywołuje Filozofią polityczną na widownię ludzkiej mądrości. Filozofia daje nam wszędzie wszechstronność, stosowną do rozwikłania ducha ludzkości i oświecenia publicznego; dać ją więc powinna i na tych błoniach życia...

...Radykalizm pragnie rewolucyi i zapala do niej masy ludowe. Rzecz naturalna, bo rewolucya jest także najśpiczastszą ostatecznością. Rewolucya, jest zaiste, prawem człowieczeństwa, prawem równie Rządu, jak ludu, ale tylko prawem przeciw szalonemu bezprawiu, prawem rozpaczy. Tam jedynie, gdzie niepodobna rozwiązać gordyjskiego węzła, trzeba go rozciąć mieczem. Gdzie jedna jednostronność panuje nad drugą po tyrańsku; gdzie nie pomogą już żadne środki rozumne; tam gwałt i przemoc ma poprzeć dobrą sprawę. Jak wojna, tak i rewolucya nie jest wśród ludzi naturą, lecz nienaturą. Taki środek do celu nie jest mądrością Boga-człowieka, lecz wściekłością zwierza-człowieka, w którego i bóg-człowiek zamienić się w końcu musi, gdy inaczej bronić wysokiej swej dostojności nie zdoła. Rewolucya to moc fizyczna, prawo lwich pazurów i tygrysich zębów. Rewolucye śród społeczeństwa są tem, czem nawałnice gradowe śród atmosfery, t. j. pożytecznym nieraz i elektryzującym życie wyjątkiem, nie zaś prawidłem. Gdzie panuje polityczno-filozoficzna wszechstronność i różnojednia wszystkiego; tam rewolucya nie jest koniecznością, ani potrzebą, ani nawet podobieństwem. Filozofia tedy poleca na miejsce rewolucyi ciągłą, postępującą zwolna, lecz zawsze naprzód Reformę. Tylko reforma godna jest Boga-człowieka. Bóg też wiedzie ludzkość od reformy do reformy, a rewolucyą robi rzadkiem wydarzeniem. Reforma odbywa się na sejmie śród rozpraw rozumnych i nauczających, jak przystoi na człowieka; rewolucya zaś to ślepy, okropny pożar państwa! I jakież być mogą skutki rewolucyi radykalnej? Wkrótce zniszczy krwawe jej dzieło kontrrewolucya, bo historyzm równie jest silny, a choć przegra sprawę, występuje na nowo do boju. Pewniej, niezachwianiej, wieczniej działa tu stósowna do czasu reforma, która jest dziełem stron obu.

Ludzkość ma rozwijać się sama przez się, nie zaś przez królów, księży i szlachtę! Skoro tak jest, czemuż występujecie z radykalną waszą teoryą, narzucając się na rozwikłaczów tej samodzielnej ludzkości? Czy to sprawiedliwa i loiczna popełniać samemu ten błąd, który zarzucamy stronie przeciwnej? Nie jestże tu raczej widoczna wasza chęć panowania, chęć przewrócenia wszystkiego do góry nogami? Gdyby się zamiary wasze udały, wnet, jak to już nieraz się zdarzyło, przeistoczywszy się w nowych królów, księży i arystokratów, rzeklibyście do tłuszczy, która was wyniosła, iż jesteście jej głową i duchem; iż ona tylko pod waszym sterem rozwijać się może. — Ludzkość jest pojęciem bez rzeczywistości, oderwaniem umysłowem, czczą ideą. Ona nie zdoła rozwijać się sama przez się, gdyż braknie jej przeświadczenia. Rzeczywistość i przeświadczenie ludzkości stanowią jednostki, a jednostki najjenialniejsze, przedzierając się naprzód, wiodą tłumy za sobą. Ludzkość przeto rozwija się nie sama przez się, ale za pośrednictwem jeniuszów, odgadujących zbiorową jej myśl, chęć i wolę. Kto czuje się dzielnym i prawdziwym politykiem, niech napisze system polityki dla swego państwa i czasu, a zakieruje narodem. Czekać tu na objaw myśli narodowej i wsadzić tymczasem ręce w kieszeń byłoby nierozumem. Choć twoja myśl nie zostanie przyjętą; to wprowadzi kogo innego na szczęśliwszą drogę. — Wreszcie jeniusze teoretyczne i praktyczne są organami woli wyższej i, biorąc rzecz ściślej, wysłańcami niebios. Nie człowiek ten lub ów, lecz Bóg sam rozwija ludzkość przez niego!

Wołacie: znieść gmin mocą rozszerzonej oświaty i powszechnego ukształcenia. Prześliczna to, porywająca silnie i niemal zupełnie nowa idea, lecz, niestety, niepodobna do urealizowania. Gmin okazuje się nie tylko śród zaniedbanego pod naukowym

względem ludu, ale także śród stanów wyższych, a zgoła wszędzie tam, gdzie budzi się duch sobistości i egoizmu, gdzie działa zwierz-człowiek. Gdyby oświata i ukształcenie były doskonałem lekarstwem przeciw gminowi, nie znalazłbyś gminu przynajmniej w stanie uczonym. Tymczasem tak nie jest. Również tutaj spostrzegasz mnóstwo spraw i czynów, gminnością swą oburzających. Ten np. był przyjacielem światła i postępu; ów apostołem wolności. Dano im urzędowania, lub podwyższono pensyą i obadwaj zmienili dawniejsze swe przekonania. Profesorowie sławnych uniwersytetów niemieckich nie mogą się obejść bez rządowego Kuratora! Gdzie brak charakteru, brak boskości istoty, brak jaźni wyższej, dzielniejszej; tam, — przy największej nawet inteligencyi i uczoności, — objawia się gmin. Słowem, gmin jest słabością ludzkiej natury; jest grzechem pierworodnym społeczeństwa, złem koniecznem, stanowiącem warunek wolności. Nad gmin wznieść się można li własną pracą i szczytniejszym jaźni polotem. Potrzebaby człowieczą naturę przerobić zupełnie; zamienić ludzi w archaniołów bez żądzy, chęci, woli, namiętności; a zdołałbyś gmin zabić. Skoro to niepodobieństwem; przeto gmin, jak był i jest, tak będzie na wieki! Właśnie gmin ten przebrzydły wali całą teoryą radykalną o ziemię i zamienia ją w cudne, ale czcze marzenia! — Pragnąc tem silniej upowszechnić oświatę i ukształcenie śród ludu, radzicie przeistoczyć kościoły w szkoły polityczno-pedagogiczne. O, przyjaciele bezmyślni! Czy zdoła istnieć ciało bez duszy? Również nie zdoła istnieć państwo bez religii. Kościoły są ustawą religijną; nie godzi się więc, już wedle zasad waszych, zamieniać ich w ustawę polityczną. Byłoby to największem w świecie zmięszaniem religii z polityką. Najdoskonalsze prawa ziemskie, czyli polityczne nie zastąpią praw religijnych w sumieniu ludzi od Boga głęboko wyrytych, a od kościoła pilnie żywionych. Znieś kościoły, a zniesiesz z nimi religią i twój duch ludzkości przeistoczy się wnet w ducha zwierzęcego.

C) Myślini,
czyli całokształt loiki narodowej.

(Poznań 1844).

Najważniejsze to dzieło filozoficzne Trentowskiego rozpada się na trzy części: analitykę, dialektykę i systematykę. Analityka jest właściwie wykładem metafizyki autora, oraz opartej na tej metafizyce teoryi poznania. Dialektyka jest wykładem logiki formalnej, opracowanej podług wymagań dialektycznej metody Trentowskiego. Wykład systematyki jest zwięzły i zasadniczo nie różni się od zwykłego traktowania tego przedmiotu w logice formalnej.

Przedsłowie.

770) *Str. I–XI.* Ktokolwiek z rodaków zastanawiał się nieco głębiej i dłużej nad dotychczasową filozofią europejską, a nie przysięgając na ślepą wierność temu lub owemu zagranicznemu, ani nawet, jak to dziś jeszcze dziać się zwykło, heglowskiemu systemowi, spojrzał na nią własnem, samodzielnem, polskiem okiem; ktokolwiek przewędrował w kilku kierunkach rozległe obszary ludzkiego poznania i nabył o nich należytego wyobrażenia; ten przekonać się musiał, że dotąd umiejętność obrabiała dwa światy wprost sobie przeciwne. Światami tymi są: Materyalizm i Spirytualizm, Realizm i Idealizm, Empirya i Spekulacya, Fizyka i Metafizyka, słowem, zewnętrzność i wewnętrzność stworzona. Powtarzam tu stworzona, bo stwórczego, czyli transcedentalnego boskiego ich jądra nie znano wcale. Pod dwa te kardynalne światy podciągają się wszystkie drobniejsze należące do nich świeciki i odcienia, jak np. Intellektualizm i Racyonalizm, Racyonalizm i Mistyka, Naturalizm i Supernaturalizm, praktyka i teorya, proza i poezya we wszelkiej nauce. Pierwszemu z tych światów hołduje, biorąc rzecz w ogóle, szczep indo-romański, a drugiemu — indo germański. Oprócz tego są w każdym kraju Eksperymentyści, co budują swą mądrość li na doświadczeniu, i Ideologi, którym czyste myślenie stanowi kastalską prawdy i wiedzy krynicę. Gdzie duch ogólny nie rozwinął się zupełnie, tam przynajmiej przemysł i nauka zabierają się do boju. W pedagogice widzisz szkoły realne i uczone. Dwójca ta była i jest wszędzie. Już dawniej przedarła się z obrębów

umiejętności na święte błonia religii, objawiając się tu, jako Hierologia i Libertyństwo, a dziś przechodzi także na widownię politycznego życia w postaci Historyzmu i Radykalizmu.

Autor tej książki, poświęciwszy się oddawna filozofii i poznawszy ją od początku do końca w najrozliczniejszych barwach, uderzony został tą umiejętną, wszystko przenikającą, wszędzie widoczną dwójcą. Dziękuje on niebu, że dozwoliło mu urodzić się i być Polakiem. Francuz albowiem... widząc li w Empiryi prawdę, a w spekulacyi czcze umu widziadła; Niemiec znowu, mianując czystą ideę prawdą, naturę zaś i cały świat zmysłowy złudzeniem; zaczem jeden i drugi nie pojmując wcale umiejętnej dwójcy, nie mógł otrzymać od niej głębokiego wrażenia. Polak zaś, z Łaski myślącego Stwórcy narodów i rozdawcy różnych przyrodzonych usposobień opatrzon zarówno cielesnem, jak niecielesnem okiem, wrażenia tego doznał, gdyż było to dlań rzeczą możebną. Francuz, gdy go kiedy wieść dojdzie o naszej umiejętnej dwójcy, przezwie ją zarozumiale porodem słowiańskiej duszy, którą wpływ germańskiej spekulacyi mrzonkami zapłodnił, a Niemiec rzeknie o niej ze znaną metafizyczną swą dumą, że to owoc przeświadczenia, nieoswobodzonego całkowicie od zmysłowości i stąd uglądającego w niej wiedzy potęgę, zdolną równoważyć się z umysłem. Rzeknie podobnież i rodak duchem sfrancuziały, lub zniemczony. Tak tedy ani jeden, ani drugi nie potrafi tu ujrzeć rzeczywistości i prawdziwego nauk stanu. Nie dziw! Nie mają oni oka polskiego; nie pojmują, że Bóg stworzył szczep indo-słowiański nie bez ważnej przyczyny, że przeznaczył mu spojrzenie w świat nowy, dotąd nieznany, ku uświetnieniu samego siebie i pomnożeniu europejskiej mądrości świeżą, rozległą, trzecią dzielnicą.

Badając naturę panującej wszędzie dwójcy, spostrzegł w niej autor Antynomią, t. j. przeciwieństwa polarne, czyli lice i ręby. Wnet przeciwieństwa antynomii tej okazały się mu jednostronnościami i ostatecznościami, zaczem półprawdą i półfałszem. Przekonanym będąc, że nie w ostatecznościach, nie w krańcach, nie w twierdzi lub przeciwtwierdzi,

lecz w przeniknięciu się ich wzajemnem, czyli we spółtwierdzi, leży pełna, istotna prawda, usiłował zlać lice i ręby te w umiejętną całość. Oto najpierwszy powód do jego filozofii. — Dotąd Empiryk opiłowywał daną sobie trafakami *[tak]* realność, a Metafizyk wywijał z kłębka swej głowy idealność, nie pytając się o siebie nawzajem, nie chcąc zgoła nic wiedzieć o obcym sobie, wbrew przeciwnym i z góry potępionym przedmiocie. Autor był pierwszy, co okazał, że Empirya jest jedną, a Metafizyka, czyli Spekulacya drugą równie konieczną i od prawdy przedwiecznej uprzywilejowaną umiejętności biegunową ostoją; że obie przeniknąwszy się na wylot, jak ciało i dusza, stanowią umiejętność całkowitą, organiczną, żywą, równikową, czyli filozofią. Tak tedy obok Empiryi i Spekulacyi stanęła filozofia, jako umiejętność trzecia, udzielna, mająca dwie stare poprzedniczki swemi czynnicami, a przecież od nich odrębna, występująca w zupełnie nowem, jeszcze przed niedawną dobą ani nawet przeczuwanem znaczeniu. Realność stopiła się z idealnością i rozbłysła jako Rzeczywistość. Praktyka skojarzyła się z teoryą i rozzieleniła się Syntezą [różnojednią praktyki i teoryi]. Zewnętrzność i wewnętrzność przedzierzgnęły się w całość. Doświadczenie uścisnęło się po bratersku z czystem myśleniem i przeobraziło się w prawdziwe Poznanie. Hasło: *a posteriori*, tudzież hasło: *a priori*, spotkały się po przyjacielsku w haśle trzeciem: *a totali*. Dwa światy dotychczasowe okazały się oderwańcami bez istnienia za ludzkim mózgiem, a obok nich stanął świat trzeci, tak wogóle, jak przez wszystkie najdrobniejsze rozstępy, rzeczywisty i pochłonął je w sobie. Miejsce powszechnej dwójcy zajęła powszechna Trójca. Panowanie głupiego, albo Bartka, albo Maćka ustało. Roztworzył się widok oryginalny, wielki i nader spaniały. Wszechświat nie był już ani li wszystkością empiryczną, ani też li jednością spekulacyjną, jak dawniej, ale filozoficzną obojgu całością, t. j. organicznym żywotem, kulą bez granic, przedstawiającą człowieka *in potentia*, w której materya, żeniąc się z duchem, rodzi pojedyńczości i rozmnaża je w nieprzeliczone miryady. Każda pojedyńczość, choć jest całością w pewnej kropli, powstaje i znika; całość zaś sama trwa wiecznie. — Autor,

ujrzawszy okiem polskiem ten świat trzeci, świat rzeczywisty, starał się w najpierwszych dziełach dać o nim wyobrażenie i malował go, ile mógł, wiernie. Pisał po niemiecku wprawdzie, lecz o świecie polskim, trzecim, o którym tak romańskie, jak germańskie plemię nigdy nie słyszało.

Przedstawiając w dziełach swych świat ten trzeci, przekonał się autor wkrótce, że Całość Rzeczywistości, topiąca w sobie realną wszystkość i idealną jedność, czyli wszechmateryę i ogólnego ducha, że ta szczytna, wszelki um najbujniejszy ogromem swym korząca Rotunda Wszechistnienia, że ten żywotny bezmiar bez granic nie był Stwórcą, lecz tylko Stworzeniem. Stworzenie takowe, przy całym swym boskości majestacie, jest pochodniej *[tak]* natury; jest wiecznością objawioną, lecz nie wiecznością samą; jest li czasem bez początku i końca, wyczyniającym się w nieskończonej przestrzeni wciąż nowym żywotem. Jego pierwiastkiem jest Stwórca. Powstało więc pytanie: czem jest Bóg? Skoro owa Całość Rzeczywistości, przeniknięta wszechmateryą i wszechduchem w wiekuistym swym żywocie nie jest Bogiem, lecz jedynie godnem jego dziełem, t. j. wszechświatem; to i Bóg nie jest nią, być nią nie może, różnić się od niej musi. Również ten Holoteizm byłby Panteizmem. I okazało się nareszcie, iż Bóg jest pierwiastkową, bezwarunkową, świętą Całostką Wszechrzeczywistości, niejako *Ilias in nuce*, albo raczej Homer sam; Całostką, która, tchnąwszy bytem swym za siebie, czyli wyrzekłszy wszechmocne słowo, otoczyła się, jak słońce słońc, nieskończoną promienistą gloryą, t. j. stworzyła Całość Rzeczywistości, a na samym końcu podobną do siebie, lecz Zawarowaną Całostkę, zowiącą się na ziemi tej człowiekiem. Jak człowiek Boga, tak znowu Bóg człowieka jest obrazem i podobieństwem, a odtworzycielką i zawornicą istniejącej całości jest Całostka. Jak człowiek, tak Bóg jest indywiduem, lecz pierwszy stworzonem, a drugi stwórczem. Absolut nie jest ogółem, jak go dotąd mylnie pojmowano, ale pierwiastkową pojedyńczością, tworzącą ogół i szczegóły, a w końcu podobną do siebie pojedyńczość, czyli człowieka. Tylko na czele i na ostatecznej iglicy powszechnej Całości stoi Indywiduum. Między jednym a drugim krańcem leżą tu albo łomy, albo kawalce. Indywiduum prawdziwe ma świadomość siebie, rozum i wolną wolę, a jako całostka jest środkiem w sobie, ogniskiem i sercem Całości. W Bogu też przegląda się wszechświat na wieczności piersiach, a w człowieku na łonie czasu. Świat nie wie sam o sobie; lecz wie o nim w niebie Bóg, a na ziemi człowiek. Człowiek jest przejściem, albo raczej powrotem świata w Boga, wstęgą cudowną między niebem a ziemią. Istotą każdej rzeczy jest Słowo Boże, a istotą człowieka Tchnienie Boże, t. j. wolne, świadome siebie bóstwo, czyli Jaźń. Jaźni niema ani w naturze, ani w duchu; ona jest tylko w Bogu i w człowieku. W naturze i w duchu zastępuje miejsce jej słowo Boże, które leży tu martwo, jak litera w książce i dopiero, stawszy się słowem człowieczem, czyli zabrzmiawszy w czasie, przychodzi do niebiańskiego swego pojęcia i występuje, jako nasze poznanie istotne, jako filozofia. Realność i idealność są już w Bogu i stanowią w Nim transcendentalną tożsamość, czyli Rzeczywistość stwórczą; za istotą Boga przenikają się nawzajem i rozbłyskują wciąż, jako Rzeczywistość stworzona. Li w głowie człowieczej istnieje między niemi różnica, wiodąca do krain natury i krain ducha. Tożsamość ich zachodzi tu w transcendentalnem Słowie Bożem, które jest filozofii przedmiotem i wymawia się przez nią w czasie. Również w człowieku ukazują się one pod postacią ciała i duszy, a tożsamość swą pozyskują w transcendentalnej jaźni. Jaźń ludzka nie jest ciałem, ni duszą, lecz inną zupełnie, od obojgu różną istotą; a znowu jest ciałem i duszą, biorąc rzecz transcendentalnie. Ona jest realno-idealnem, czyli rzeczywistem bóstwem, które oblókłszy się w światową materyę, staje się ciałem, a odetchnąwszy, iż tak rzekę, światowym duchem, robi się duszą. Jaźń stanowi w nas świat trzeci, boski, a objawem jej nie jest duch fizyczny, czyli siła, ani ruch metafizyczny, czyli myślenie, ale wola, przedsięwzięcie i czyn moralny, dzielność charakteru, miłość prawdy, piękności i cnoty, świętość, religia i polityka, zdolność do poświęcenia się i największych ofiar dla Dobrego. Jak jaźń ludzka różni się od ciała i duszy, czyli od należącego do siebie zewnętrznego i wewnętrznego świata, tak Bóg różni się od natury i ducha, czyli

od wszechświata, który jest Jego dziełem. Jak jaźń panuje nad ciałem i duszą; tak Bóg, ta jaźń kardynalno-środkowa w Całości, włada wszechświatem. — Tym sposobem świat trzeci, świat, którym jest Całość Rzeczywistości, ujrzał się w swym świętym i wiekuistym rdzeniu. Materya i duch stały się li czasowymi jego czynnikami, lub rozkładnikami, on zaś sam strojącą się w tę znikomość Przedwiecznością. Jego iścizną są: Bóg w niebie, Słowo Boże na ziemi i jaźń w człowieku. Realizm i Spirytualizm, Empirya i Spekulacya utraciły przeto dotychczasową tęczową maskę omamienia, bo wykryło się jawnie, iż trudniły się li zewnętrzną, lub wewnętrzną czasowością, a filozofia przekonała się, że przedmiotem jej właściwym jest jądrowa, zasadnicza transcendentalność, to wiekuiste źródło wszelkiej czasowości, czyli świat trzeci, boski. Całostka okazała się alfą i omegą całości, a całość dziełem, Słowem, Tchnieniem całostki naczelnej, mającem się rozbudzić, rozegrzać i zagoreć przeświadczenia swego płomieniem na łonie czasu w całostce końcowej. Między całostką Bogiem, a całostką człowiekiem, pomimo wzajemnego podobieństwa, niezmierna zachodzi różnica. Pierwsza jest bezwarunkowa i siedzi na tronie przedwieczności, druga jest zawarowana i żyje wprawdzie wiekuiście, lecz tylko w czasie, t. j. w przedświecie, w świecie i w pozaświecie. Między krańcowemi całostkami i całością wielka także różnica zachodzi, atoli nie antynomia, nie polarna przeciwność, gdyż we wszystkich trzech, lubo w innym rodzaju, stapiają się lice i ręby, t. j. realność i idealność, tudzież wszystkie trzy tworzą Rzeczywistość. — Tak tedy świat trzeci przeobraził się nareszcie w świat boski, transcendentalny. Jak materya i duch są w świecie wiekuiście czasowym, niebonośnym balonem, — duch jest tu niejako spirytualnym gazem, dźwigającym taftę, — tak boskość znowu jest wiekuistym w świecie ziemionośnym Atlasem. Ponieważ Świata Boskości nie zna ani szczep romański, ani szczep germański; ponieważ pierwszy mięszał *[tak]* Boskość wciąż z Realnością, a drugi z Idealnością; ponieważ zgoła samo Chrześcijaństwo, — które uprawiali dotąd samodzielnie, a więc usposobieniem swem przyrodzonem jednostronnili Romanie i Germanowie, a któremu Słowianie mają

przywrócić wszechstronność, widziało Boga li w duchu, i dla tego Francuz np. mniemał, że jedynie Kościół naucza Spirytualizmu, a Niemiec sądził, że jego Spirytualizm, t. j., że jego idea, że jego duch ludzki jest transcendentalnością; ponieważ, mówię, świat nasz trzeci romańskiemu i germańskiemu plemieniu w swej czystości, udzielności, odrębności i samodzielności był nieznany: przeto Bóg zachował go, jak się zdaje, dla poczynającego dziś pracować na polach umiejętnych słowiańskiego szczepu, pod którym jednakże nie godzi się rozumieć Waregszczyzny i wszystkiego, co pochodzi od złotej hordy. Filozofia zatem, dająca po raz pierwszy nowy świat ten trzeci i wyzywająca teologię, ażeby Chrześcijaństwo z nowej, nie ze spirytualnej, jak dotąd, lecz z filozoficznej, transcendentalnej, jaźniowej strony pojęła, musi być słowiańską, a że objawia się dziś po wszystkich polskich głowach lepszych, polską. Jakoż świat nasz boski zowie np. Bochwic objawieniem Bożem, a Wroński Achromatycznością, i obadwaj uglądają *[tak]* w nim jedyną prawdę istotną, zdolną zaspokoić równie religijne, jak filozoficzne przeświadczenie. Znamieniem historycznem Polaków jest Religijność, a nadto wcale odmienna, niż u innych chrześcijańskich ludów. Było to przeczucie i uwielbienie nieświadome świata boskiego, który ninie *[tak]* przychodzi do wiedzy o sobie i tchnąć może w naród nasz zupełnie nowem życiem i świeżą siłą, oraz przenieść oświatę europejską w najwyższą, istnie niebiańską sferę. Oto powody, czemu autor mianuje filozofię swą, którą w Chowannie i innych pismach polskich dalej rozwijał, mądrością narodową. Że świat boski jest równie rozległy, równie mnóstwa filozoficznych systemów zdolny, jak świat realny, lub idealny; że jest ważnem, nadającem mądrości ludzkiej inną zupełnie postać odkryciem; że wiedzie Chrześcijaństwo do uznania w duchu Świętym, którego ono troskliwie od ducha światowego odróżnia, boskości, czyli jaźniowości, do poznania samego siebie w rdzeniu swej istoty i do najświetniejszego tryumfu; dość tu na spomnieniu. Każdy z ludzi jest o tyle wielkim, o ile wolę swą umiał zjednoczyć z wolą Boga, rządzącego światem, czyli, o ile stał się woli Bożej wyrabiaczem, lub, jak Pismo mówi, narzędziem. Wolność

nasza tu nie cierpi, bo zawisło od nas samych chcieć iść za wolą Bożą, którą uglądamy, lub nie. Bochwic i Wroński, a po części także Cieszkowski *[słowa te pisane na cztery lata przed pojawieniem się «Ojcze nasz» Cieszkowskiego]*, szukają zniesienia Antynomii i *[szukają]* wiecznej syntezy. Bez miłości własnej zatem rzec może autor, że naród polski jest pełen młodzieńczego żywota i krzepkiego, olbrzymiego zdrowia, że czeka go najświetniejsza przyszłość, skoro dziś do odkrycia świata Boskości przychodzi i duchem swym prześciga zachodnią Europę.

771) *Str. XXXII—XXXIV.* Choć może Przedsłowie to, — sądzi się tu wedle doznanego już doświadczenia, — wydawać się komu będzie niemałej zarozumiałości, lub zgoła samolubnej próżności pieśnią, autor jednakże pisał je z najgłębszą skromnością i pokorą. On nie niesie, jak np. prorok Towiański, nowego Koranu, budzącego ciemny fanatyzm i wymagającego ślepej wiary, starającego się nie o przekonanie głowy, lecz o zdobycie woli, co także Jezuici czynić nawykli; nie żąda loiką tą nikogo usidlić w rozstawionych swych sieciach! Jego zamiarem jest, równie teraz, jak i dawniej, li rozbudzenie polskiego ducha, dla którego niepospolitej zdolności, świeżości, twórczości i mocy ma rzetelny szacunek. Nie utworzenie Szkoły filozoficznej, która jest także sektą, kastą, cechem, średniowieczną szczególnością, stronnictwem, lecz samodzielność i wolność ogólnej myśli narodowej cięży mu na sercu. Nie uczniów i zwolenników, lecz spółzawodników w umiejętności wyższej, spółpracowników w jednymże celu pragnie on wywołać. On wie dobrze, iż jego usiłowania, jeżeli go inni nie poprą, skończą się na niczem, już dlatego, że byłoby to znakiem, iż naród nasz jeszcze nie dojrzał do przyjęcia filozofii, lub też nie otrzymał z niebios do niej usposobienia. Dlatego prosi on ziomków z duchem samodzielnym o pomoc w rozpoczętym boju przeciw ciemnościom i woła do nich uroczyście: «Mędrcy polscy, zabierzcie się do pióra i pracujcie dla ukochanego narodu, bo wielka na was leży odpowiedzialność! Wy roztwierajcie mu bramy przyszłości! Zdejmijcie mu z oczu przepaskę starą, ażeby ujrzał świetne

słońce posłannictwa i przeznaczenia swego. Mędrcy polscy, oświecajcie naród, ażeby wiedział, czem był, czem jest i czem być powinien; oświecajcie go, bo noc duchowa jest jedną z najokropniejszych śmierci. Prawcie mu co godzina, że wielka, spaniała, wiekuista Boskość stanowi jaźń jego, że więc nie umrze i umrzeć nie może, że niema dlań śmierci, chyba, że sam ze chce zagładzić w sobie nieśmiertelność nierozumem, ospałością moralną, tchórzostwem, brakiem własnego uczucia, niezdolnością do ofiar i podłymi czyny. Mędrcy, uczcie lud polski, tak zdolny z natury, myśleć, a przestaną go dusić rozliczne przeklęte zmory; uczcie go myśleć, a pozna sam siebie; uczuje swą godność i nie będzie bił czołem przed marnym blaskiem, tytułem, ludzką łaską i innymi bałwanami; uczcie go myśleć, bo myśl idzie przed uczuciem i czynem, a świetne myśli wiodą do świetnych dzieł. Uczcie lud myśleć, wy Rozumni, już z roztropności, a choćby li przez wzgląd na samych siebie, gdyż w dziedzinie rozumu Najrozumniejszy będzie zarazem Najjaśniewielmożniejszym! Wy zaś inni patryoci, podawajcie dłoń pomocną narodowym mędrcom, bo mądrość potrzebniejsza jest dziś bardziej, niż kiedykolwiek Ojczyźnie! Gdy będzie ogólna światłość, nastąpi ogólny dzień moralny naszego Zbawienia. Jeniusz narodu poczuje swą nadziemskość, i Bóg będzie z nim! — Nowego roku, drodzy bracia Ziomkowie!

Frejburg w Bryzgowii, dnia 1 stycznia 1844 r.

D) Demonomania,

czyli nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci. 1844 r.

O mistykach, potępiających filozofię.

772) *Str. 247—253.* Ród ludzki ma coraz bardziej gangrenieć, głupieć i nikczemnieć! Piękny to, rozkoszny, pełen nadziei widok na przyszłość! Nie lepiejże dziś już w łeb sobie wypalić? I myśl ta nietoperzowska, z historyą niezgodna, ma być chrześcijańską! Czyliż nam wiara nie przyobiecuje, że przyjdzie raz Królestwo Boże? — Filozofia, umiejętności i nauki mają

być skutkiem utraty pierwiastkowego jasnowidzenia, a później rozstania się z wiarą; mają być porodami grzechu pierworodnego, Złem, które pycha i zarozumiałość wykarmiły, słusznie zakazanym od Boga owocem ziemskiej, znikomej i zwodniczej wiadomości! Moi Panowie! To, co nam prawicie, jest najokropniejszem bluźnierstwem przeciw Duchowi Świętemu. Inaczej nie pojmuję, jakby przeciw Niemu bluźnić można! Nie jest On ciemnotą waszego szaleństwa, lecz światłością zdrowej, Bogiem przepełnionej jaźni. Czem byłaby ludzkość dzisiejszej Europy bez filozofii niepodległej, bez umiejętności i nauk swobodnych? Indyami, Chinami, Japonią lub Tybetem, to jest zbiorem państw zwierzęcej stagnacyi! Wszakże w Azyi panuje wciąż wiara, a nawet milionkroć silniejsza, niż u nas, bo trwa od tak wielu wieków bez najmniejszej zmiany. Wiara bez światłości jest ciemnością i prowadzi przed ołtarze sprośnych Molochów. Takiej wiary wy uczycie! Filozofów oskarżacie o pychę i zarozumiałość, sami zaś chlubicie się pokorą. Piękna mi pokora! Nie jestże to pycha i zarozumiałość prawdziwie szatańska trudnić się samemu oczywistą głupoty teoryą, a potępiać wyroby mądrości całego w jeniuszów swych kwiecie występującego człowieczeństwa? Nauki są piekielnymi demonami, co w ludzi wstępują! Nam się zdaje, że li o nauce waszej da się to sumiennie powiedzieć, bo wy jedynie wpędzić pragniecie demonów w nas wszystkich... — Wrzeszczycie przeciw filozofii, że jest niczem, albowiem tu wciąż system wypiera system! Zarzut ten, czyniony jej już przed tysiącami lat od niedołęstwa, przed tysiącami lat okazał się li złośliwą niemocą. Kto go czyni, nie wie, co mówi i czego żąda. Filozofia jest wiecznie jedna, jak prawda, i nie zmienia się nigdy, lecz ciągle postępuje, ciągle staje się wszechstronniejszą. Tylko w wiecznie płynącym czasie objawić się zdoła całkowicie wszelka wieczność; tylko przez czasową skończoność wymawia się nieskończoność wieczna. Wieki wraz z rozliczną i różnorodną ich mądrością są li postępnymi krokami filozoficznego objawu. Sam Bóg przeznaczył filozofii i każdej istotnej umiejętności los taki, bo jedynie postęp jest żywotem człowieczeństwa i godnem boskości jego przeznaczeniem. Myśl ludzka nie stoi, lecz biegnie. Ona nie jest wiecznie jednaką myślą małpy lub papugi. Stagnacya jest zwierzęcością. Co nie

rozwija się ciągle, nie ma historyi, a co nie ma historyi, niżej stoi od człowieczeństwa. Zaiste, ród wilków i niedźwiedzi ma po wsze czasy tęższamą filozofię! Tu system nie wypiera systemu! Takiejże więc filozofii pragniecie i na ludzkości łonie? — Sami krzyżujecie się z sobą, a nie wiecie o tem. Wyklinacie filozofię, umiejętność i naukę; a wszelakoż filozofujecie, układacie marzenia wasze umiejętnie, krasicie je prawdziwemi myślami i pragniecie innych przekonać. Czegóż sprzeczność ta dowodzi? Oto, że duch nie opuścił was zupełnie, ale, że Duch Święty przeistoczył się tu w duch przeklęty! Ileż filozofii w waszej nauce! Tu tylko cel fałszywy. Jedynie dzielna loika, wystawiwszy wszechstronny sprawdzian poznania *(criterium cognitionis)*, stać się może tarczą przeciw waszym i podobnym doktrynom. Po sprawdzian taki odsyłamy do polskiej «Myślini...» — Wykrzykujecie: «Precz z erudycyą, doktryneryą, autorską bazgraniną! Żadna księga ludzkości nie zbawiła! «Szaleni wychowańcy ciemnego piekła! Myśl rodzi nowe idee, nowe dążności, nowego ducha czasu; myśl jest światłością, rozbiegającą się równie szybko, jak promienie słońca, jest płomienistym mieczem Cherubina, dzielniejszym od najostrzejszej angielskiej stali, jest potęgą największą na ziemi, bo wydobywającą się z niebios; myśl odkrywa wszędzie cel i środek do niego, idzie przed uczuciem i ręką; myśl podnosi nas do Boga, do żywota wiecznego i lepszą przygotowywa nam przyszłość. Bez myśli staje się człowiek kijem, a narody dębowym lasem, który wycina, kto tylko zapragnie. Jak dusza nad ciałem, tak myśl panuje nad tygrysimi pazurami i bydlęcymi rogi. Myśl wymawia się w słowie, lecz, że to nie sięga daleko, przechodzi w księgi i rozbiega się po świecie. Wynalazek druku uzbroił ducha ludzkości równie silnie, jak wynalazek prochu jej ciało. Nie człowiek, lecz bezmyślny zwierz może być ksiąg wrogiem! — Co chwila grzmicie dzikim, tygrysim rykiem: «My ludźmi czynu!» Jaki i gdzie wasz czyn?... Kto nie działa dla ludzkości i świata po ludzku, nie działa dla Boga i nieba. Taki szaleniec działa dla szatana, który go opętał. — Nauka wasza ma być zgodna z Chrześcijaństwem! Zaprzeczamy temu jaknajuroczyściej. I owszem, widzimy w niej nieświadomą ironię Chrześcijaństwa oraz wszelkiej re-

ligijnej wiary. Chrześcijaństwo nie ma na celu wpędzania w ludzi szatanów i nie wiedzie nikogo do szaleństwa. Czyli sądzicie, że nauka Zbawiciela polega li na cudach? Czy leczenie opętanych jedyną jej treścią? O, nie! Ona daje nam wszechstronną światłość, zdolną zaspokoić nie tylko bujny wasz um, lecz także rozum, rozsądek i umysł, a nadewszystko umysł religijny. Zamiarem waszym ma być dawanie żywego świadectwa nauce Chrześcijańskiej! Nie; dajecie li świadectwo opętańcom, lunatykom, sobowtórom, przeszkodom i innej dziatwie umu, w które świat nie wierzył dla tego, że ich nie pojmował. Jeżeli Chrześcijaństwo, o czem żaden jego wyznawca nie wątpi, wiekuistą jest prawdą, to li samodzielna filozofia, rozbijająca mury ciemnoty i libertyństwa, zgłębiająca tajemnice Boże tak w przyrodzeniu, jak w piersi człowieczej, może dawać mu świadectwo. I dała mu je po raz ostatni przeciw francuskim Encyklopedystom przeszłego wieku; daje dziś także, walcząc przeciw Straussom i Feuerbachom[1]).

E) Panteon wiedzy ludzkiej,

lub pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii.

(Poznań 1873—1881).

Wielkie to dzieło jest rozwinięciem środkowego rozdziału Dydaktyki z pierwszego wydania «Chowanny». Składa się z trzech tomów i zawiera system wszystkich nauk, wyłożonych podług zasad przyjętej przez Trentowskiego klasyfikacyi. Filozof nasz rozróżnia tu trzy wielkie działy nauk i umiejętności: 1) teologię, lub nauki, odnoszące się do tamtego świata, 2) kosmopeję, lub nauki, odnoszące się do tego świata i 3) filozofię, lub nauki, odnoszące się do tamtego i tego świata zarazem. W teologii stara się ugruntować pojęcie Boga osobowego. Wykład nauk przyrodniczych, społecznych i historycznych nie stoi na poziomie wiedzy ówczesnej, razi dziwactwami, choć zawiera wiele myśli trafnych i głębokich. Wykład filozofii ma za zadanie osiągnąć syntezę najwyższą tego i tamtego świata. Całość tchnie duchem religijnym i nie jest wolna od mistycyzmu. Odnosi

[1]) Dawid Strauss, uczeń Hegla, autor dzieła: «Das Leben Jesu, kritisch bearbeitet» (1835). — Ludwik Feuerbach wyprowadził z nauki Hegla jaknajskrajniejsze wnioski *(Przyp. Wyd.)*.

się to zwłaszcza do rozdziałów T. II, poświęconych mesyanizmowi polskiemu. Jeśli Trentowski i w «Panteonie» nie przestaje zwalczać Towiańskiego, to tylko dlatego, że doktrynie uczuciowej mistrza Andrzeja przeciwstawia racyonalizm mistycyzmu własnego.

Modlitwa do Boga.

773) *T. I. str. 102—103.* Teraz nakoniec zwracam się ku Tobie, Ojcze nasz, Boże! Gdy zapuszczę oczy w głębokości pełnego gwiazd nieba i uglądam palące się na niem rozległe, nieprzeliczone światy, wobec których ziemia a matka nasza lichym i maluczkim jest tylko zaściankiem; — gdy duszą widzę po wszystkich tych wyspach złotych mieszkające człowieczeństwa różnostopniowego rozwoju i znaczenia pospołu z wiedzą i umiejętnością swoją; — gdy pomyślę, żeś tę niezmierność stworzył i rozwiesił tak spaniale: — czuję Twą wielkość, a własną maluczkość; — czuję żywo i ze wstydem, żem ziemski, nędzny, podły robaczek! Padam na kolana, a przejęty aż do szpiku mych kości niewypowiedzianym dreszczem, korzę się przed Tobą i modlę się do Ciebie.

Ale Ty, Ojcze miłościwy, ruszywszy się w mej piersi i łysnąwszy we mnie światłości Twej łyskawicą, podnosisz mię rychło. I czuję, żeś we mnie sam! I czuję, że we mnie nieskończoność istna, szersza bez miary, niż na gwiazdowem, wszędy mi granice pokazującem niebie. I czuję w sobie prawdziwą, dłuższą od bezpoczątkowego i bezkońcowego czasu, który skurcza się wciąż w chwilkę płynącą, szerszą niż w bezmiarze gwiazd wieczność. I czuję, żem całego istnienia tego jedno ognisko i przeświadczenie; że ono wszystkie jest we mnie! I czuję, żem zacniejszy i większy, niż całe wojsko tych ogromnych światów. A doznaję niewypowiedzianego zbawienia i, wdzięczności pełen, modlę się do Ciebie wesela duszy hejnałem.

Gdy atoli pomnę, że wielkość ta moja li stąd pochodzi, iż Ty, o Panie, we mnie jesteś i myślisz; że ona nie moja, lecz Twoja; — pycha moja zamienia się wnet w pokorę. I ja, robaczek ziemski, rzucam się znowu na kolana, a w rzewnej modlitwie czynię Ci dzięki gorące, żeś we mnie wstąpił i zrobił jednym z Twych ołtarzy.

Panie! Łaska Twa na mnie widoma. Robisz mię Twym

językiem i prawdy Twej kapłanem. Dałeś mi nowe myśli, przyszłością brzemienne, i kazałeś mi je wypowiedzieć, jak to uczyniłem. Daj mi przeto i siłę do dalszego ich roztoczenia w dziele, aby ku czci i chwale Twej przekonały i zdobyły dzisiejszy świat, a przyczyniły się do jego zbawienia!

Dałeś mi, o Panie, miłość, a oderwałeś mnie i rzuciłeś daleko od kochania mojego! Spraw tedy, ażeby praca moja dostała się do kochania mojego, a przyniosła mu, drogiemu narodowi, pożytek i swobodę, mądrość, potęgę i chwałę! Spraw to, Panie, nie przez wzgląd na mnie i tęsknice moje, ale przez wzgląd na krzyżowe męki i cierniową koronę jego! Amen.

Opracował: BOGDAN NAWROCZYŃSKI.

XCIV.

KREMER JÓZEF.

(1806—1875)

Józef Kremer pochodził z rodziny mieszczańskiej, prawdopodobnie niemieckiej. Za młodu pisał się Kraemer. Ojciec jego był szewcem; a że był to człowiek zacny i pracowity, to też powodziło mu się dobrze, dorobił się nawet majątku, miał bowiem w Krakowie dwie kamienice w rynku i duży ogród. Ożeniony był z Anną z Erbów. Oprócz Józefa miał jeszcze dwóch synów: Karola i Aleksandra. Najstarszego, Józefa, matka kochała bardzo, a pieściła go tem więcej, że było to dziecko chorowite i wątłe. Sama była osobą bardzo nabożną i w tym też duchu oddziaływała silnie od najmłodszych lat na syna. Stosunek jego do matki był zawsze jak najlepszy; wpływowi jej poddawał się chętnie i zawsze zachował najlepszą o niej pamięć. Jeśli w indywidualności jego zobaczymy dużo rysów kobiecych, jeśli na każdej stronie pism spotkamy u niego kult dla zacności życia rodzinnego, dla religijnych obrzędów, jeśli znajdziemy w nim człowieka, przy wielkiej egzaltacyi słownej, wolnego od wszelkich protestów wewnętrznych przeciw utartym i uświęconym sposobom życia, człowieka nietylko o przekonaniach, ale o charakterze konserwatywnym i uległym, należy odnieść te jego rysy do wpływów życia i atmosfery domu rodzinnego a przedewszystkiem do wpływu matki.

Kremer z rozrzewnieniem wspominał, jak go matka w każdem zmartwieniu albo przewinieniu dziecięcem posyłała do kościoła Panny Maryi, żeby się tam przed ołtarzem wypłakał i uspokoił; sam twierdził, że matka zaszczepiła w jego duszy te uczucia, które uważał za szlachetne i poczciwe.

Ojciec, człowiek niewykształcony a ceniący wykształcenie u drugich, pragnął, żeby dzieci pokończyły wyższe studya — toteż na szkoły synów łożył i przyrzekł ich i za granicę wyprawić, jeśli który naprzód uzyska doktorat w kraju.

Pierwsze nauki pobierał Kremer w domu a następnie oddano go

do liceum św. Anny. Jednakże nauka szła mu oporem, gdyż klasę pierwszą, trzecią i piątą «repetował». Powodem tego musiały być nietyle braki intellektualne, ile raczej brak pilności. Zamiast uważać w szkole, Kremer czytywał pod ławką podróże i opowiadania historyczne. Prócz tego, lekarze przestrzegali, żeby wątłego chłopca zbytnio nie przeciążać nauką.

To też i korzyści intellektualne, jakie wyniósł z liceum nie były wielkie, tem bardziej, że stan szkolnictwa był w tych czasach w Krakowie smutny. Książę Józef Poniatowski oddalił bowiem w r. 1809 nauczycieli Niemców, rozkazem dziennym, a zamianował na stanowiska profesorów ludzi, których znalazł na prędce pod ręką, przeważnie wysłużonych wojskowych. Pedagogowie ci mało pilnowali nauki i mało umieli, jak na to, żeby z pożytkiem prowadzić młodzież. Bywało, w toku godziny rzucał sam nauczyciel znudzony lekcyą książkę, a opowiadał chłopcom o przebytych kampaniach, lub kreślił polityczne horoskopy na przyszłość.

Tak więc i Kremer przepróżnował pierwsze lata studyów licealnych. Dopiero w piątej klasie zwrócił na niego uwagę profesor matematyki Augustyn Frączkiewicz, zajął się nim i zachęcił do pracy. Od tego czasu młody Kremer celował pilnością. Wpływ na niego wywarł też wówczas katecheta ks. Jan Mastelski, autor rozprawy p. t. «O wpływie religii na dobro człowieka». W r. 1823 złożył J. Kremer egzamin dojrzałości i zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, na wydział prawniczy. Nie kierowało nim przy tem szczególniejsze zamiłowanie do nauki prawa, tylko chęć uzyskania wyższego stanowiska w społeczeństwie, bo prawnikom otwierały się wówczas duże widoki.

Uniwersytet krakowski stał podówczas nizko: profesorowie po większej części nie pracowali naukowo, tylko ubiegali się o urzędy i zajęci byli zawodami praktycznymi; przeważnie adwokaturą; zamiast samodzielnie opracowanych wykładów, czytywali przestarzałe skrypta: młodzież uczyła się dla chleba; stopnie rozdzielano bez żadnej ścisłości; liczba słuchaczów zmalała, bo zabroniono przystępu do uniwersytetu młodzieży pochodzącej z Królestwa.

Przed trzyletniem studyum ściśle prawniczem, musiał Kremer, zwyczajem ówczesnym, słuchać przez dwa lata wykładów filozoficznych a mianowicie historyi, języków klasycznych, literatury polskiej i filozofii.

Łaciny uczył go na tych kursach, a oprócz tego prywatnie, Jerzy Samuel Bandtkie, a że pewne zamiłowanie do studyów filologicznych zdołał w uczniu obudzić, o tem świadczyć może rozprawa Kremera z r. 1859: «O źródłosłowie wyrazu ślachta, szlachta».

Literaturę polską, retorykę i teoryę poezyi wykładał Paweł Czajkowski, autor kilku rozprawek treści estetycznej i poematów, drukowanych w «Rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego». Styl tych rozpraw Czajkowskiego jest komicznie przesadny, napuszony, pełen pretensyonalnych ozdób, niejasny a sztuczny. Takiego stylu wy-

magał Czajkowski od słuchaczów; wpływ nauczyciela odbił się w pismach ucznia. Do końca życia Kremer pisał stylem odświętnym, namaszczonym i usilnie wzniosłym, stylem, który dziś razi jak przesadnie brzmiąca deklamacya; mimoto przez długi czas uchodziły pisma jego za pierwszorzędne wzory prozy polskiej.

Dla profesora Czajkowskiego napisał pierwszą swą większą rozprawę na temat działalności artystycznej malarza Michała Stachowicza, zmarłego w r. 1825-ym. Czajkowski obsypał za nią słuchacza pochwałami i zachował sobie tę rozprawę na pamiątkę.

Katedrę filozofii zajmował wówczas w Krakowie Józef Emanuel Jankowski, doktor prawa. Wykładał filozofię Kanta na podstawie drugorzędnych opracowań i sprawozdań. Sam niewiele czasu poświęcał badaniom naukowym, bo zajęty był zawodem adwokackim. Mimo to, i mimo, że powszechnie ceniony zwolennik Locka a zacięty przeciwnik filozofii niemieckiej, Jan Śniadecki, gorąco naukę Kanta zwalczał, Kremer zajął się na uniwersytecie krakowskim lekturą «Krytyki czystego rozumu» i wedle świadectwa współczesnych, miał między kolegami gorąco bronić głównych tez tego dzieła. Śladów przejęcia się krytycyzmem Kanta nie można jednak w jego pismach odnaleźć.

Obowiązkowo słuchał Kremer wykładów prawniczych, które go mało interesowały. Profesorowie na tym wydziale podobnież mało się prawem zajmowali. Jedyny z nich, Feliks Słotwiński, zostawił kilka obszerniejszych dzieł prawnych, reszta trudniła się adwokaturą i urzędami w Rzeczypospolitej. Romanista Boduszyński bawił się naukami przyrodniczemi.

Słuchacze, a podobno i Kremer, wyuczali się sumiennie, co pół roku, dyktowanych skryptów, ale o studyum samodzielnem mowy nie było. Tym trybem ukończywszy uniwersytet, złożył Kremer w r. 1828 egzamin ustny a następnie nadesłał pismienne opracowania tematów egzaminacyjnych i został w ten sposób magistrem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wakacye, podczas studyów uniwersyteckich, spędzał pożytecznie. W rok po wstąpieniu na uniwersytet, odbył podróż dalszą wraz z dwoma kolegami: teologiem Feliksem Leopoldem i prawnikiem Michałem Rostafińskim. Wózkiem góralskim zajechali młodzi z Krakowa przez Wiedeń i Semering aż do Brucku nad Murem, a stąd puścili się pieszo przez Styryę i Karyntyę do Wenecyi i Florencyi.

Ten krótki pobyt we Włoszech nie miał większego znaczenia dla rozwoju estetycznego Kremera, bo brakło mu jakiegokolwiek przygotowania z zakresu historyi sztuki i jej teoryi. Sam pisze w notatkach autobiograficznych o swym pierwszym pobycie włoskim ogólnikami nic nie mówiącymi: «Ojciec... pytał mnie, czylibym miał ochotę nadchodzące wakacye przepędzić na podróży i po jakim kraju? Uszczęśliwiony, odpowiedziałem, że zawsze marzyłem o Włoszech. Ojciec, mimo znacznych kosztów takiej podróży, zezwolił, a ja puściłem się do Włoch. Nie będę się tutaj rozwodził, jak ten kraj szczęsny, naturą

cudowną i zabytkami sztuki, działał na młodą moją a tak gorącą wyobraźnię, lubo wyznać winienem, że gdy go później odwiedziłem, Italia owa, choć do starszego i wytrawniejszego umysłu, przemawiała wprawdzie inaczej, ale nie mniej potężną i bogatą treścią».

Podczas następnych wakacyi, udał się Kremer do Warszawy i tu zawarł znajomość osobistą z Kazimierzem Brodzińskim. Nie wiadomo, czy i jak Brodziński na Kremera oddziałał, bo w autobiograficznych notatkach Kremera jest tylko ogólnikowa wzmianka o tem, że odwiedziny u Brodzińskiego były dlań najważniejszem zdarzeniem podczas pobytu w Warszawie i że Brodziński «oczarował go swoją słodyczą i dobrocią, które tchnęły z każdego jego słowa».

Po ukończeniu studyów w Krakowie udał się Kremer, za zezwoleniem ojca, na uniwersytet berliński. Tu poznał mistrza, którego naukę miał pracami swymi w Polsce głosić. Tu bowiem od roku 1818 wykładał filozofię Hegel (1770 – 1831) głowa idealistów niemieckich. Jeżeli filozofia jego przyjąć się mogła w Niemczech, po Kancie, i znaleść tylu zwolenników nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, która przeszła przecież długie wieki myśli filozoficznej, to mniej dziwną jest rzeczą, że się ta filozofia przyjęła w umyśle Kremera przyuczonym do gry słów a nie wyszkolonym, skłonnym do szanowania tego, co legalnej czci już zażywało, w umyśle, który się po raz pierwszy spotykał z filozofią z żywych ust filozofa. Prócz Hegla, wykładali równocześnie w Berlinie filozof i teolog Schleiermacher, historyk i estetyk Raumer, geograf Ritter a z prawników Gans i Savigny.

O wpływie ich na Kremera nie można wiele powiedzieć. Wiadomo natomiast, że go w Berlinie doszła wieść o śmierci matki, wieść, która nim silnie wstrząsnęła. To też wakacye 1828 roku spędził u rodziny w Krakowie a na zimę wrócił znowu do Berlina. Na wiosnę 1829 wybrał się na letnie półrocze do Heidelberga, żeby tam słuchać prawników Mittermayera, Thibauta i sławnego historyka Schlossera. Pobyt w Heidelbergu uważał Kremer zawsze za najpiękniejszy okres swej młodości.

Pobyt ten nie trwał jednak zbyt długo, bo już na jesień 1829 wybrał się Kremer w podróż do Paryża, wziąwszy listy polecające do tamtejszych uczonych od profesorów heidelberskich. Szedł pieszo, z tłumoczkiem na plecach, w towarzystwie kolegi, przez Księstwo Badeńskie i Szwajcaryę, tak, że dopiero z końcem roku 1829 stanął w Paryżu. Trafił na okres burzliwy zarówno w dziejach kultury duchowej jak i polityki. Nadchodziły dni rewolucyi lipcowej. U steru stał Karol X. i reakcyjne ministeryum Polignaca. W tajemnicy przed policyą zbierali się po domach prywatnych Saint-Simoniści i głosili zniesienie rodziny i prawa spadkowego, głosili, że państwo powinno każdemu dostarczać środków do życia w miarę jego zdolności i pracy. Wierzyli w rychłe uszczęśliwienie ludzkości ze zgodą jej, lub nawet wbrew jej woli.

W filozofii rodził się pozytywizm. A. Comte miewał wykłady w Ateneum Królewskiem a w r. 1830 wyszedł jego pierwszy tom filozofii pozytywnej. Na katedrze filozofii siedział Wiktor Cousin, a w wykładach jego ówczesnych, po oratorsku opracowanych, widoczny był wpływ Hegla, którego on pierwszy do Francyi wprowadził.

W literaturze ukazywały się pierwsze prace W. Hugo, Aleksandra Dumasa, Alfreda Vigny, Sainte Beuve'a, Musseta.

W malarstwie i rzeźbie, buntowała się młodzież przeciw «eunuchom klasycyzmu», jak powiada pani George Sand. Gericault i Delacroix zrywali z płynną i powłóczystą linią J. L. Davida i Thorwaldsena.

Dwudziesto i trzy letni Kremer na chwilę stracił grunt pod nogami. Zaczął bywać na zebraniach Saint-Simonistów. «Kazania Saint-Simonistów, powiada w swej autobiografii, tchnęły szlachetnością, wzniosłą miłością ludzi, a wypowiedziane ze świetnym talentem, z porywającą wymową, czyniły na mnie nadzwyczajne wrażenie, podobnie jak na wszystkich słuchaczach, których, choć ludzi światowych, te mowy często do łez rozrzewniały. Byłbym się może dał uwieść tym naukom, gdyby nie Romuald Hube. On był starszym, wytrawniejszym, wykazywał mi słabą stronę i błędy tej nauki, przekonał mnie zupełnie i uchronił od zawrotów umysłowych... Uspokojony w sobie nie przerywałem pracowitego mojego życia».

Romuald Hube był wówczas profesorem prawa w Uniwersytecie Warszawskim i namawiał Kremera, żeby, zamiast się wdawać ze zwolennikami przewrotu, starał się raczej o katedrę prawa w Warszawie. Do katedry tej nie doszło, ale wykładów na wydziale prawnym słuchał Kremer w dalszym ciągu. Szczególnie zajęły go prelekcye Say'a z dziedziny ekonomii politycznej. Say głosił w nich zasadę wolnej konkurencyi, solidarności narodów na punkcie interesów ekonomicznych i niezawisłości rozwoju gospodarczego od polityki i administracyi.

Poza tem słuchał wówczas Kremer historyi powszechnej na wykładach Guizota a literatury i estetyki u Villemaina, który, wiążąc działalność poszczególnych pisarzy francuskich z całem życiem umysłowem i społecznem danej epoki, wyprzedzał w pewnej mierze H. Taine'a, a stał się wzorem dla późniejszych prac estetycznych Kremera.

Trzydniową rewolucyę z ostatnich dni lipca 1830 przebył Kremer w Paryżu. Wrażenie, jakie na nim te dni wywarły, maluje sam ogólnikiem krótkim a niejasnym: «Owe trzy dni wywrotów będą dla mnie zawsze pamiętne. Wśród zachwytu i szału takie panowało umiarkowanie i szlachetność w ludzie, że mi się objawiał charakter tego ludu paryzkiego z zupełnie nowej i nieznanej mi dotąd strony». W każdym razie rewolucya go nie pociągała. Raczej skłaniał się sympatyami w stronę prawowitej władzy pobożnego Karola X.

Nie długo potem wyjechał Kremer z Paryża, ażeby wrócić na stałe do kraju. Przed powrotem wstąpił do Londynu, ale i tu długo nie bawił i wiele nie widział, bo krótko tylko pisze o Londynie

i to z pewną niechęcią: «Londyn w porównaniu z Paryżem zdawał mi się olbrzymem przepotężnym, ale hardym, zimnym, rozsądnym. Chodząc po tych jego ulicach, patrząc na te jego budowle publiczne, ogromne, jakby na całą wieczność zbudowane, mimowolnie przychodził mi na myśl obraz starego Rzymu, jakim był za czasów pierwszych imperatorów». Nie bardzo to trafnie uchwycone, ale ciekawe, jako próbka osobistych wrażeń i języka, w którym tylko niepoprawna składnia razi.

Z Londynu przez Hamburg i Berlin powrócił Kremer z końcem listopada 1830 do Krakowa. Po powrocie uzyskał stopień doktora praw w Uniwersytecie Jagiellońskim z uwolnieniem od rozprawy pismiennej, a tylko na podstawie świadectw zagranicznych. Jednakże urzędu żadnego nie objął, bo równocześnie wybuchło powstanie listopadowe a więc młody doktor zaciągnął się do wojska jako kanonier i wziął czynny udział w bitwie pod Grochowem. Otrzymawszy rany w głowę i w ramię wrócił do Krakowa. Teraz było mu trudno uzyskać posadę rządową, więc skorzystał ze sposobności i objął miejsce guwernera w domu Tadeusza Skrzyńskiego w Zagórzanach koło Gorlic w Galicyi. Było mu tam bardzo dobrze. Wolne od obowiązkowych zajęć chwile zaczął poświęcać studyom filozoficznym i pracował nad wykształceniem stylu. W tym celu studyował pisarzów wieku złotego, chcąc się zapoznać z językiem wolnym od obcych naleciałości późniejszych.

W Zagórzanach zawarł Kremer blizką znajomość z Wincentym Polem, którego poznał w Krakowie i spędził z nim dwa miesiące na wycieczkach w góry okoliczne.

W r. 1835 zaprosił Kremera A. Z. Helcel, na współpracownika, z zakresu filozofii, do nowo założonego w Krakowie «Kwartalnika naukowego», który był pierwszem polskiem pismem ściśle naukowem po r. 1830. Pod wpływem tego zaproszenia powstała pierwsza praca filozoficzna Kremera: «Rys filozoficzny umiejętności», drukowana w pierwszych czterech tomach «Kwartalnika».

Praca ta dzieli się na trzy główne części: 1. zasada logiki. 2. zasada filozofii natury, 3. zasada filozofii ducha.

Mimo że Helcel wzywał w Kwartalniku do twórczości samodzielnej, Kremer ograniczył się w swojej pracy do rozwinięcia zasad filozofii Hegla w zastosowaniu do nauk poszczególnych.

Metodę dyalektyczną opiera Kremer na relatywizmie naszego poznania. Powiada, że poznać dobrze potrafimy rzecz jakąkolwiek dopiero wtedy, gdy znamy jakąś rzecz wprost jej przeciwną. «Wyobrażenie więc o rzeczach, zawsze dojdzie najwyższego stopnia pewności, jeżeli umysł uchwycić zdoła z ogromu istot przedmiot odwrotny temu, który jest celem badań jego i tą drogą o nim prawdziwego nabędzie pojęcia». A gdzie indziej mówi: «każde więc z tych pojęć z osobna i oddzielnie uważane, żadnego o sobie wyobrażenia nie daje; przez porównanie zaś obu tych połowic, nabywa umysł logicznej pewności

obu pojęć, która, gdy nie była ani w pierwszem ani w drugiem pojęciu z osobna wziętem, będzie zaiste pojęciem trzeciem, łączącem oba pierwsze». Oto jak dochodzi Kremer tezy, antytezy i syntezy. Zwraca uwagę w tym ustępie nieścisłość terminologii, którą znajdziemy u niego na wielu miejscach. W dalszym toku stara się zastosować do faktów zasadę dyalektyczną i czyni to zupełnie w duchu Hegla. Odbiega od niego twierdząc, że filozofia powinna być oparta na spostrzeżeniach i faktach. Hegel, jak wiadomo, twierdził, że jeśli się fakty z filozofią nie zgadzają, to tem gorzej dla faktów. Mimo tego śladu wpływów Comte'a, Kremer w praktyce zostaje dalej na stanowisku Hegla, badania experymentalne nazywa «sromotą myśli» a kończy zasadę logiki objaśnieniem pojęć istnienia, istoty i pojęcia logicznego, którego wyższym stopniem jest idea bezwzględna.

We filozofii natury ogranicza się Kremer do skróconego referatu z odnośnych ustępów Hegla a podobnie trzyma się swego mistrza w filozofii ducha; ducha zwie Kremer rzeczywistością powszechną i powszechnością rzeczywistą. Gra wyrazów charakterystyczna dla szkoły Hegla,

Drugą część tej filozofii Ducha p. t. «Fenomenologia Ducha» wydał Kremer też osobno w odbitce r. 1837 w Krakowie.

Ciekawe jest w tej pracy to, że Kremer, tak skrajnie prawowierny w pismach późniejszych, tutaj zapędził się w hegliźmie swym aż do poglądów panteistycznych. Czy sobie sam zdawał sprawę z tego, że staje przez to w opozycyi do nauki kościoła, czy też, jak starzy i nowi Gnostycy, był przekonany, że wykłada prawdy objawione a tylko metodę wykładu przyjmuje od Hegla, rozstrzygnąć nie podobna. To drugie wydaje się jednak bardziej prawdopodobne ze względu na jego duchową przeszłość i przyszłość i ze względu na mętny, pełen nieścisłości i przenośni sposób pisania i myślenia, który jemu samemu musiał granice pojęć zacierać.

W roku 1837 porzucił Kremer Zagórzany na zawsze i powrócił do Krakowa, żeby sobie tu poszukać stanowiska odpowiedniego zdolnościom, kwalifikacyom i ambicyi. Starać się tedy zaczął usilnie o posadę rządową, ale ponieważ nie chciano mu jej udzielić z powodów politycznych, przeto objął kierownictwo pensyonatu i szkoły prywatnej dla chłopców po długoletnim jej kierowniku L. Królikowskim, któremu rząd nakazał z powodów politycznych opuścić Kraków. Przez protekcyę uzyskał dla swego instytytu upoważnienie rządowe i poświęcił się na szereg lat pracy pedagogicznej i dydaktycznej. Miał być doskonałym pedagogiem; młodzież wspominała z żalem jego łagodność, serdeczność i dobroć.

Równocześnie został czynnym członkiem «Towarzystwa Naukowego Krakowskiego», które założono w r. 1815 na wzór warszawskiego «Towarzystwa przyjaciół nauk». Towarzystwo to, podzielone na szereg sekcyi, gromadziło wszystkich, którzy się podówczas w Krakowie odznaczali bądźto na polu naukowem, bądź artystycznem. Kremer od-

czytał na posiedzeniach Towarzystwa szereg rozpraw, z których nie zachowała się żadna a z tytułu znane są tylko niektóre. I tak w r. 1841: O metodzie i systemacie geografii fizycznej, w r. 1843: Stanowisko Rittera w geografii, w r. 1845: Związek filozofii Indów z ich sztuką piękną, w r. 1847: Zasady tegoczesnej filozofii natury. Z lat pomiędzy 1833 a 1840 i od 1845 – 1848 sprawozdań drukowanych niema, zaczem o działalności Kremera w tych czasach na tem polu nie wiadomo.

Obok tych drobniejszych rozprawek zajął się Kremer w Krakowie szerszem opracowaniem swych poglądów estetycznych i dokonał tego, wydając w r. 1843 pierwszy tom «Listów z Krakowa», który opracowywać zaczął w roku 1841.

Listy z Krakowa miały zawierać trzy wielkie części. 1. Wstępne zasady estetyki. 2. Dzieje artystycznej fantazyi i 3. Rozbiór pojedynczych sztuk pięknych. Jednakże Kremer opracował w ogóle tylko dwie pierwsze części; trzeciej nie napisał wcale.

Praca jego jest pierwszą w Polsce historyą sztuki i estetyką ogólną. Przed nią mieliśmy tylko przeróbkę historyi sztuki starożytnej Winkelmana, dokonaną przez Stanisława Potockiego w r. 1815, p. t. «O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski». Wprawdzie dziś te Listy mają tylko historyczne znaczenie, jednakże w swoim czasie stały na poziomie współczesnej nauki a ze względu na styl, odpowiadający duchowi epoki, i popularną formę listów, przyczyniły się wielce do obznajomienia publiczności polskiej i z problemami estetycznymi i z wieloma faktami z zakresu historyi sztuki. Oto, jak się Kremer w nich zapatruje na początek sztuki: Dusza ludzka nieśmiertelna, posiadająca pierwiastek nieskończoności boskiej, tęskni do nieskończoności i pragnie ją sprowadzić na ziemię. Dlatego stara się człowiek treść nieskończoną czyli idee nadzmysłowe a poznawalne tylko rozumem jak np. miłość, rodzina, rodzicielstwo, męstwo, rozsądek i t. p. wcielać w formy zmysłowe i w ten sposób powstają dzieła sztuki, które zadowolenie dają dla tego, że zaspokajają tę tęsknotę do nieskończoności. Idea wcielona w materyę to ideał a piękno to idea przeglądająca przez materyę. Dzieło sztuki tem jest wyższe, im mniej w pewnych granicach do zmysłów przemawia a im więcej zawiera nadzmysłowych pierwiastków. Stąd hierarchia sztuk. Najniższą jest architektura, potem rzeźba, malarstwo; wyższa — muzyka, bo dźwięki nie są zgoła materyalne a najwyższą — poezya.

W r. 1844 drukuje Kremer w «Dwutygodniku literackim» wydawanym przez Kurowskiego rozprawkę o Dziewicy Orleańskiej Szyllera, z okazyi wystawienia jej na scenie krakowskiej. Zachwyca się strojami, maszyneryą i dekoracyami a w uwagach ogólnych gani repertuar za zbytek sztuk treści lekkiej. Trafnie przepowiada piękną przyszłość młodemu podówczas Królikowskiemu i Rychterowi.

W tymże roku ożenił się Kremer z panną Maryą Mączyńską i żył z nią szczęśliwie aż do śmierci.

W r. 1847 zmarł Emanuel Jankowski, profesor filozofii w Uniwersytecie krakowskim. Na następcę jego upatrzono Kremera a że nie miał jeszcze stopnia doktora filozofii, przeto powierzono mu wykłady jako tymczasowemu zastępcy profesora.

Doktorat uzyskał Kremer w r. 1849 na podstawie pracy p. t. «Wykład systematyczny filozofii obejmujący wszystkie jej części w zarysie».

W następnym roku minister oświaty hr. Thun zamianował Kremera profesorem zwyczajnym filozofii w Uniwersytecie, a profesorem estetyki i historyi sztuki w Szkole sztuk pięknych. Wobec tego Kremer zamknął swój pensyonat a oddał się w zupełności pracy na nowych stanowiskach, na których pozostał aż do śmierci. Na popularność musiał dopiero pracować. Zrazu go młodzież nie lubiła; raził ją jego konserwatyzm i duch religijny. Doszło do tego, że w r. 1848 młodzież wyprawiła doń deputacyę z prośbą, żeby się zrzekł katedry filozofii na rzecz Karola Libelta a starać się zaczął o katedrę filozofii prawa. Przystał Kremer, o ile Libelt w tych warunkach katedrę przyjmie. Libelt jej oczywiście nie przyjął, zaczem Kremer przy katedrze filozofii pozostał. Jako profesor wykładał w uniwersytecie historyę filozofii, logikę, psychologię i etykę. Wykładał, jak pisał; obrazowo, obszernie, wymownie, a to mu za najwalniejszą zasługę poczytać należy, że się nauką zajmował nie ubocznie, jak jego poprzednicy, ale zawodowo i silnie też oddziaływał na młodzież i czytającą publiczność. Pośród słuchaczy jego był Jan Matejko oraz wielu z pracujących później na polu nauki w Polsce.

Pierwszy tom jego «Wykładu systematycznego filozofii» z r. 1843 obejmował tylko fenomenologię i logikę; w r. 1852 wydał Kremer tom drugi tej pracy obejmujący filozofię natury i ducha.

W wykładzie filozofii został Kremer heglistą, podobnie jak nim był w swej pierwszej rozprawie. Mimo to, oświadcza, że filozofia powinna być oparta na badaniach szczegółowych, powinna się liczyć z faktami, a nie snuć roztrząsań oderwanych niezależnie od doświadczenia. Wygląda to na ślad wpływu Comte'a — nie przeszkadza jednak autorowi zadowalać się znowu w treści dzieła najczystszą dyalektyczną dedukcyą, grą słów i gromadzeniem frazesów pozbawionych ścisłości i związku z rzeczywistością.

Sprzeniewierza się też Kremer Heglowi, kiedy odmawia jego, a temsamem i swojej, filozofii miana nauki bezwzględnej i ostatecznej, kiedy wierzy w jej rolę tylko przejściową. Co więcej, nie identyfikuje z Heglem myśli i bytu, tylko uważa, że myśl w swym rozwoju odzwierciedlać może rozwój bytu i myśli bezwzględnej. Dualizm ten to wpływ dualizmu chrześcijańskiego, gdyż, przejęty zasadami nauki Kościoła, Kremer nietylko nie usiłował jej przystosowywać do wymagań rozumu, ale raczej wszelkie poglądy filozoficzne, które skądkolwiek przejął, usiłował do nauki katechizmu przykrawać.

To też chroni się teraz panteizmu heglowskiego, a za Descartes'em dowodzi nieśmiertelności duszy z tego, że w człowieku tli myśl

o nieśmiertelności, która ani z niego samego bez przedmiotu rzeczywistego wyróść, ani mylną być nie mogła. Przyjmuje istnienie nietylko idei, ale osoby bezwzględnej, w której dopiero podmiot i przedmiot spływają w jedność, podczas, gdy poza nią wszędzie są te dwa czynniki rozdzielone.

W porównaniu z pierwszą pracą filozoficzną skłania się Kremer w tem dziele więcej do indywidualizmu i jest zdecydowanym i gorącym teistą a wrogiem panteizmu.

Kremer na katedrze filozofii stanął otwarcie do walki z racyonalizmem a w obronie religii. Jako zakończenie wykładu systematycznego filozofii zamierzał wydać tom jego ostatni, teozofię, ale nie dokonał tego zamiaru, zwłaszcza, że myśl filozoficzna uległa wtedy zbyt wielkiej i szybkiej ewolucyi. Kiedy się Kremer mógł do pisania tej pracy zabrać, już było nie na czasie wydawać teozofię, wobec potężnego rozwoju materyalizmu i pozytywizmu, wobec tego, że filozofia Hegla już należała wówczas do przeszłości.

Prócz tego w roku 1852, zaraz po wydaniu drugiego tomu wykładu filozofii, zajął się Kremer znowu działalnością na polu estetyki i to go oderwało na czas długi od ogólnych zagadnień filozoficznych i dyalektyki.

W roku 1852 ponownie zwiedził z żoną Włochy, a po powrocie wydał w r. 1855 w Wilnie dwa dalsze tomy «Listów z Krakowa» wraz z nowo opracowanym pierwszym, a oprócz tego przystąpił do pracy nad popularnym wykładem historyi sztuki, który też wydał p. t. «Podróż do Włoch». Wilno Tomów V, r. 1859—64. Ogłosił też w tym czasie szereg prac drobniejszych z zakresu estetyki i historyi sztuki.

«Podróż do Włoch», to rodzaj bardzo rozwlekłego przewodnika po galeryach włoskich, książka, w której autor uwagi historyczne, estetyczne, psychologiczne, czysto opisowe, przerywa anekdotami, dygressyami do czytelnika, wspomnieniami osobistemi, słowem, daje *silva rerum* wywołanych przez nagromadzone w włoskich zbiorach dzieła sztuki. Zamiast podziału rzeczowego spotyka się w tem dziele szereg luźnych skojarzeń. Stanowisko estetyczne jest takie samo jak w «Listach z Krakowa». Najwięcej uwag nad treścią zdarzeń przedstawionych na obrazach, najmniej zainteresowania się ich formą, ich stroną czysto malarską.

Dzieło to znajdowało się do niedawna w Polsce w każdym domu zamożniejszym i w niejednym pensyonacie. Styl w szczególności stawiano młodym jako wzór do naśladowania. Dziś ta «Podróż» ma już tylko wartość dokumentu epoki.

W r. 1868 wydał Kremer w Poznaniu swe wykłady krakowskie o Grecyi starożytnej i jej sztuce, zwłaszcza rzeźbie. Pierwszy to u nas podręcznik do historyi sztuki starożytnej, tak jak «Podróż do Włoch» pierwszym była u nas podręcznikiem do historyi sztuki włoskiej.

Dalszym ciągiem tej pracy jest artykuł Kremera, ogłoszony

w roku 1868 w «Kółku domowem» p. t. «Sztuka w starożytnym Rzymie».

Sztuką bizantyjską zajmuje się Kremer w rozprawie drukowanej jeszcze w r. 1856 w «Czasie» krakowskim, p. t.: «Kilka słów o epoce, w której rozkwitła sztuka bizantyjska».

Gotykowi poświęcił kilka prac a mianowicie: «O tryptyku z wystawy archeologicznej krakowskiej i kilka z tego powodu uwag nad architekturą i rzeźbą gotyckiego stylu». Wilno 1859. «Kraków wobec Polski i Sukiennice jego». Kraków 1870 i wraz z tą pracą drukowaną rzecz p. t.: «Słowo o Bramie Floryańskiej w Krakowie».

Są to znowu pierwsze u nas monografie z zakresu historyi polskiej sztuki, które omawiają zabytki w związku z duchem i kulturą epoki. Kremer interesował się przeszłością sztuki w Polsce a należał do tych, bardzo jeszcze nielicznych, którzy w owych czasach wierzyli w jej przyszłość.

Monografii z zakresu estetyki zostawił nie wiele. W r. 1861 w książce zbiorowej poświęconej Wójcickiemu zamieścił rozprawkę «O przenośniach i porównaniach», a w zbiorowej książce wydanej w Krakowie w r. 1869 p. t. «Kłosy i Kwiaty» wydrukował krótkie studyum «O wdzięku». Więcej prac tej treści nie zostawił.

Przy końcu życia świadom był Kremer, że filozofia Hegla już nie jest na czasie. W rozprawie swej z r. 1867 p. t.: «Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii» zwalcza Hegla otwarcie; już w roku 1859 w drugim tomie «Podróży do Włoch» wyrażał się ironicznie o skrajnych idealistach niemieckich. Sam nie miał zdolności twórczych na polu filozofii, heglistą został, rzec można, przypadkiem, to też i teraz nie zdołał się z pod naśladownictwa wyzwolić: w rozprawie wyżej wymienionej odtwarza poglądy Emanuela Hermana Fichtego zawarte w jego «Anthropologie».

Po śmierci Kremera ukazał się jego «Nowy wykład logiki» i «Początki logiki dla szkół średnich». W logice już Kremer zgoła nie jest Heglistą. Określa ją jako «naukę o czynnościach i środkach poznania prawdy» i, nie wdając się w rozbiór kwestyi epistemologicznych, rozwija dokładnie system logiki formalnej. Pierwsza część logiki jego mówi o prawach zasadniczych myślenia, o pojęciu, sądzie i wniosku, drugą stanowi metodologia pouczająca w krótkości o definicyi, podziale, dowodzie i systemie logicznym. Indukcyę omawia autor pobieżnie, mimo, że często w ostatnim okresie swej działalności pisał o dużej roli empiryi i nauk empirycznych dla filozofii.

Początki logiki dla szkół średnich są dokładnem streszczeniem pierwszej części «Nowego wykładu logiki».

Że Kremer pisywał tylko referaty z dzieł filozoficznych tego lub innego kierunku, ale sam filozofem nie był, gdyż nie poddawał krytyce zasad swego poglądu na świat, o tem świadczy, podobnie jak wszystkie prace poprzednie, także jego ostatnia rozprawa.

Umarł bowiem pracując nad rzeczą: «O najważniejszem zadaniu

filozofii w obecnym czasie». Tem najważniejszem zadaniem filozofii ma być, zdaniem jego, zwalczanie sceptycyzmu religijnego, przemożenie niedowiarstwa, negacyi, ateizmu. Prądy te napawają go strachem i niepokojem o byt narodów. Filozofia ma walki z nimi dokonać dowodząc tezy o istnieniu duszy różnej od ciała, o jej nieśmiertelności i tezy o istnieniu Boga. Na tym punkcie rozwoju stała już filozofia scholastyczna. Dalszych jej etapów Kremer nigdy na prawdę we własnej duszy nie przeszedł.

Umarł dnia 2-go czerwca r. 1875 otoczony powszechną czcią i wdzięcznością za pracę naukową literacką, i działalność publiczną. Był bowiem przez pięć lat sekretarzem Towarzystwa naukowego krakowskiego, następnie jednym z dwunastu członków założycieli Akademii Umiejętności w Krakowie i dyrektorem jej wydziału historyczno-filozoficznego; należał do gron założycieli «Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych» w Krakowie. Był też członkiem honorowym «Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem», «Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu», członkiem rzeczywistym «Towarzystwa archeologicznego w Wilnie», kilkakrotnie dziekanem a w końcu rektorem Uniwersytetu Krakowskiego.

BIBLIOGRAFIA.

Wydania zbiorowe. Wszystkie ogłoszone drukiem i zachowane w rękopisie prace Józefa Kremera wydał profesor Henryk Struve w wydaniu zbiorowem p. t. «Dzieła Józefa Kremera», z dodaniem życiorysu i rozbioru prac, oraz notatek uzupełniających. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1881 tom XII. Na materyale tej bardzo sumiennej i z pietyzmem dokonanej edycyi oparty też jest i żywot powyższy.

Biografie i studya krytyczne. Jako tom wstępny do zbiorowego wydania dzieł dodał prof. H. Struve «Życie i prace Józefa Kremera»; Stanisław Brzozowski: «Józef Kremer jako pisarz, filozof i estetyk», szkic krytyczny w wydawnictwie: «Książki dla wszystkich». Warszawa 1902; Władysław Witwicki: «O Józefie Kremerze. W setną rocznicę urodzin». «Nasz kraj», tygodnik illustrowany. Lwów r. 1906, zeszyt 10, 11 i 13; K. Wł. Wójcicki: «Życiorys Józefa Kremera» w Kłosach, tom VIII, str. 58—79, r. 1869; «Wspomnienie pośmiertne» w Kłosach, t. XX, str. 366, r. 1875; H. Struve: «Józef Kremer i Karol Libelt — charakterystyka ich dążności filozoficznych». Kłosy, tom XXI, r. 1875, str. 49, 73, 87, 107; Tenże: «Wykład systematyczny logiki». Część wstępna historyczna r. 1870, str. 231 i nast., 268 i nast.; Tenże: «Die philosophische Litteratur der Polen», w zesz. 9 i 10 czasopisma «Philosophische Monatshefte» z r. 1874 i 1875; Ohrysko Józafat: «Pisma zbiorowe» 2 tomy. Petersburg 1859. W tomie I-ym «Uwagi o Listach Kremera» przez A. N.; Zdanowicz Aleksander: Sprawozdanie o dziele pod tyt.: «Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części w zarysie przez Józefa Kremera». Wilno, Zawadzki 1854; Władysław Nehring: «Kurs literatury polskiej». Poznań 1866; Piotr Chmielowski: «Historya literatury polskiej«, tom IV, str. 11—14, 22; Krupiński: «Kremer i Libelt». Tygodnik illustrowany, r. 1875, serya 2, Tom XVI, str. 118, 136. Tenże: «Przekład historyi filozofii Schweglera» 1863. «Dodatek o filozofii w Polsce» str. 461 i nast.; Maurycy Straszewski: «Józef Kremer i Karol Libelt» (wspomnienie pośmiertne). Przegląd Polski, r. X, tom 2, r. 1875, str. 129.

A) Filozofia ducha ludzkiego.

Wydanie Struvego. Tom II, str. 275 i nast.

2. Fantazya.

774) Jeżeli wyobraźnia o tyle się uczyniła niezależną od przedmiotu zewnętrznego, iż obrazy świata zmysłowego wedle woli swojej zdoła wywołać z głębokiego szybu duszy, toć fantazya jest jeszcze wyższym stopniem wyzwolenia ducha, bo ona jest twórczą; ona już nie trzyma się wyobrażeń, których źródłem jest świat zewnętrzny, lecz albo tworzy nowe, albo wzięte z rzeczywistości tak łączy, wedle własnej potęgi swojej, iż, w tem nowem połączeniu, te wyobrażenia nabywają nowego znaczenia, różnego od treści, jaką miewają zwykle w świecie zewnętrznym.

Tłem i osnową fantazyi jest wprawdzie świat przyrodzony, ale ona go przerabia, przetapia, a tak stwarza nowe postaci, których nie ma w rzeczywistości, w świecie codziennym, ułomkowym; ale które w sobie zamykają, jakby pod osłoną, całe brzemię prawdy wiekuistej. Fantazya przybiera idee bezcielesne w figury żywe, w nich duch materyalizuje się w formach z natury wziętych, i w nich się promieni. Stąd, pod tchem fantazyi, lada przedmiot nabiera nieskończonej treści a znaczenia, z niego patrzy na nas duch wiekuistości, którą wlała w niego ta potęga czarodziejska.

Tak w fantazyi głównie widzimy dwie strony, bo treść duchową i postać, która ją przyoblekła. Im potężniejsza będzie fantazya, tem też treść będzie głębsza, tem też połączenie między tą treścią a postacią zewnętrzną jest ściślejsze, bo tem silniej postać wyrażać będzie tę treść duchową. Podobnie też wśród swobody nieskończonej tworzenia, wśród polotu najwyż-

szego natchnienia, myśl króluje i trzyma wodze, by fantazya nie przepadła w mglistych krainach marzeń. I rzeczywiście, jeżeli tu chodzi o wyrażenie pierwiastku wiekuistego, który przebywa w człowieku, a pierwiastek ten jest siebie świadom, przeto w fantazyi winna przebywać ta świadomość siebie, — fantazya tedy nie powinna poddawać się obcym, demonicznym, bezrozumnym potęgom.

Fantazya prawdziwa jest dopiero matką sztuki pięknej, ona zradza piękność; bez fantazyi sztuka stanie się rzemiosłem mechanicznem i odwrotnie bez świadomości siebie, bez rozsądku, stanie się niedorzecznością.

§ 470.

Lubo rodzaje fantazyi są niewyczerpane, bo każdy, kto ją posagiem odebrał, ma swoją własną indywidualną fantazyą, toć przecież możnaby je podzielić różnym trybem. Niektóre z tych podziałów wymienimy tutaj.

Naprzód nasuwają się nam różne rodzaje fantazyi, wedle różnego rodzaju samej piękności, piękność zaś może być albo pełna prostoty, albo wzniosła, albo wdzięczna, albo komiczna i t. p.

Następnie znowu podzielić można fantazyą wedle różnego się jej odnoszenia; jeżeli fantazya odniesie się na zewnątrz, wtedy stanie się architekturą, rzeźbą, malarstwem; jeżeli się odniesie do wnętrza duchowego, do uczucia drgającego w głębinach duszy, a wyjawiającego się tonem, już wtedy zrodzi muzykę; albo nakoniec, jeżeli się odnosi niby na zewnątrz, bo do zapatrywania się, zatem do zewnętrznego świata, a tak i kreśli i buduje i maluje, a przecież te kształty nie zradzają się zewnątrz, ale żyją wewnątrz człowieka; wtedy taka fantazya jest fantazyą poety. Fantazya atoli z kolei okazuje jeszcze indywidualną dążność umysłu np. kierunek do historyczności, a wtedy wyjawia się przez malowanie historyczne, epopeję i t. d.; albo ma dążność religijną, wtedy wystąpi muzyką religijną, architekturą kościelną, psalmem; albo też może mieć upodobanie w niższych sferach rzeczywistości, wtedy stwarza powieść, malowanie obyczajowe, muzykę światową i t. d.

Jest jeszcze inny podział fantazyi, wypływający z różnego rodzaju jej ułomkowości; będzie to wtedy, gdy z pierwiastków,

stanowiących jej istotę, okaże się jeden przeważający z uszczerbkiem drugiego. Jakoż gdy fantazya bierze przedmiot rzeczywisty, i w niego wlewając nieskończoność idealizuje go i uduchownia (§ 469), na tem znać, iż fantazya ułomkowa albo przychylać się będzie na stronę rzeczywistości, albo na stronę idealną; w razie pierwszym fantazya stanie się tylko kopiowaniem natury, niewyrażając w dziele duchowego pierwiastku; w razie drugim nie zdoła dla pierwiastku duchowego wynaleść formy, nie zdoła go wcielić w postać odpowiednią i t. p.

§ 471.

Dotknęliśmy się powyżej niektórych zasad, mogących być podstawą podziału fantazyi. Wszakże jest jeszcze jedna z tych zasad, którą tutaj dla jej ważności dokładnie rozwiniemy; jest to różny stopień, różna miara fantazyi. Jak tam (§ 470) we wszystkich podziałach mieliśmy na względzie jakość fantazyi, tak tutaj przedmiotem będzie moc i potęga fantazyi, zatem różnica ilościowa; ale ta ilościowość tutaj, jak zobaczymy, przechodzi na jakość, na rodzaj. Tutaj przedewszystkiem okaże się nam różnica t a l e n t u a g e n i u s z u. Określenia niniejsze będą jedynie zastosowaniem tego do fantazyi, co się w antropologii w ogólności rzekło o talencie i geniuszu (ob. Antrop. § 422).

Z tego cośmy powiedzieli widać, jeżeli fantazya nie będzie zupełną, jeżeli zostanie poniżej swojego szczytu, już tem samem będzie niedostateczna. Fantazya takowa będzie wprawdzie talentem, ale nie zdoła wznieść się do genialności. Jakoż, jak wiemy, fantazya na tem zależy, aby dla treści nieskończonej, wiekuistej, stworzyć postać, aby tę treść wcielić w formy zmysłowe, aby obie te strony stopić w jedność. W talencie znajdujemy wprawdzie tę jedność, ale treść u niego jest treścią obcą, pożyczoną od geniuszu; talent czuje tę treść, przyswoił ją sobie, lecz właśnie gdy ona nie zrodziła się we własnych głębiach jego, gdy jest córą obcego ducha, gdy jest jedynie przyswojona, więc i treść i forma będzie niedostateczna. Na pozór dzieło jego będzie się zdawało być wypadkiem geniuszu, ogrzeje, zachwyci nawet podziwieniem, ale będzie mu brakowało pierworodnej twórczości, r o d z i m o ś c i; treść ta właśnie dla tego, iż jest zewnątrz znalezioną, a nie stworzoną przez talent, nie będzie

rzeczywiście jego własną treścią. Zatem idzie, iż lubo forma z łatwością przyjdzie i stanie jakby na rozkazanie, przecież gdy tej formie treść jest obcą, więc i forma będzie jedynie dobraną do tej treści; treść i forma nie przenikną się w zupełności; okaże się przeto, iż obie te strony nie urosły równocześnie, że się nie zrodziły jakby błyskawica w głębinach ducha; nie przekroczą tedy właściwego niedostatku swojego.

Inaczej się dzieje z geniuszem. Chociaż talent wśród tworzenia okazuje łatwość, przecież jego tworzenie jest jeszcze skutkiem niewolenia siebie, boć treść jest przyuczona, dla której ma utworzyć formę. Geniusz zaś tworzy i stwarza, bo to jest dla niego koniecznością, która go prze i niewoli, której się oprzeć nie zdoła; twórczość jest jego naturą. Talent siebie niewoli, geniusz jest niewolony przez wyższą potęgę. Geniusz zrazu nie ma świadomości czem go Bóg uczynił; ten pierwiastek Boży pracuje w nim, robi; ten pierwiastek głęboki nagli do zrodzenia osnowy swojej, miota nim; rzekłbyś, że demon obcy posiadł ducha (Antrop. § 422). Gdy potrącenie nie idzie już, jak u talentu, od zewnętrznego świata, ale pracuje i robi we własnych ducha toniach, przeto geniusz nie idzie za wzorami, ale sam staje się wzorem dla wieku swojego i rozpoczyna nową epokę. Jak geniusz polityczny jest wyrazem czasu swojego, tak fantazya, spoczywająca na dnie całej epoki, zbiera się w przepaściach geniuszu i stamtąd, niby wulkan, wybucha płomieniem. Jednakże i człowiek genialny pracuje i kształci się; jemu też potrzeba wytrwałości, zanim dzieła sztuki przez niego zrodzone staną się wiernym wyrazem onej potęgi wewnętrznej. Geniusz pracujący nad sobą przeczuwa, że dzieła jego jeszcze nie odpowiadają tej potędze, która zakipiała w nim i dźwignęła się olbrzymem. Stąd rozdwojenie się ducha, stąd niezadowolenie, będące pierwotnie jego nieszczęściem; stąd silenie się i łamanie aby dzieło stanęło na równi z ową demoniczną potęgą.

§. 472.

Jest jeszcze jeden podział fantazyi, zasługujący z tego powodu na uwagę, iż stanowi przejście do następujących zjawisk psychologicznych; są to różne rodzaje fantazyi, które się objawiły w różnych epokach rodu ludzkiego. Pod tym względem

spotykamy 1) fantazyą wschodnią, której cechą jest symboliczność; 2) klassyczną; 3) romantyczną, która miała miejsce w świecie chrześcijańskim.

Wiemy, iż powołaniem fantazyi jest, aby treść duchową, nieskończoną, wiekuistą przelała w formę z natury wziętą. Lecz, gdy zrazu człowiek nie uznaje jeszcze siebie, gdy sam nie zna jeszcze wiekuistego pierwiastku, który tętni i żyje w postaci ludzkiej, więc też nie wie, iż w tej postaci nieskończoność, wiekuistość znajdzie najstosowniejsze wyrażenie swoje; nieznając tedy wiekuistości w osobowości ludzkiej, a z drugiej strony będąc partym przeczuciem, że są prawdy, które rządzą światem, wyraża je tedy w formach nieosobowych, więc w kształtach natury nieorganicznej, dalej w roślinnej lub zwierzęcej; słowem w postaciach natury bezświadomej. Widzimy tutaj pomyłkę fantazyi, bo z jednej strony człowieka prze wiekuistność w duchu jego zamknięta, a z drugiej strony on, nie będąc świadom tej treści w nim panującej, nie zdoła znaleść dla niej formy odpowiedniej; a tak czem innem jest ta forma sama przez się, a czem innem, wedle nadanego jej znaczenia; tak zradza się symbol (bezświadomy).

Widzimy z tego, iż fetysz, bałwan, nie jest symbolem, bo tutaj nie ma różnicy między tem, czem on jest, a znaczeniem do niego przywiązanem. — Ten fetysz, ten kamień, ten bałwan strugany nie jest wyrazem czegoś, ale materyalnie jest sam uważany za potęgę (bywa przeto bity, w błoto wrzucany, gdy się polowanie nie uda, to znów uraczony w nagrodę szczęśliwych łowów). Symboliczność dopiero zjawia się w Indyach; tutaj duch szamoce się niby we śnie i marzy, a ten niepokój w duszy jest właśnie skutkiem tego rozdwojenia wewnętrznego. Przecież sztuka symboliczna rozwija się najpiękniejszym kwiatem w Egipcie (tutaj Apis, wół żywy tak jest symbolem, jak posągi Ozyrysa, Anubisa, Izydy i t. d), tutaj nietylko kształty z natury wzięte, ale złożone z kilku istot stają się symbolem; symbolem są barwy (np. bogi malowane są niebiesko); również i figury geometryczne, wyrażające się w architekturze, lub w tańcach miały także znaczenie symboliczne. Do symboliczności należą i mity w pierwszych ich początkach; mity pierwotne choć już niby uosobiają bogów, przecież nie zdołają ich zupełnie wyzwolić od potęg na-

tury, bezosobowych (np. Mythus Perski o Ormuzdzie i Arymanie; oba te bóstwa są pierwiastkiem dobrego i złego a zarazem światłem i ciemnością).

Drugą epokę stanowi świat klassyczny, bo Grecya i Rzym. W Grecyi Bogi stare, wyrażające ślepe potęgi przyrodzone, spadły z tronu świata, (Uranus, Saturn, Gea). Przecież tutaj duch i natura nie rozwiodły się do dna; duch udziela się materyi, a materya uzmysławia ducha; obie te potęgi przenikają się wzajemnie miłością i harmonią. W Grecyi człowiek wprawdzie odróżnia ducha od materyi, przecież zdoła jedynie pojąć ducha w formie zmysłowej; stąd też wiekuistość jego niby promień jasny, biały w pryzmacie, rozszczepia się na wiele bogów; ale te bogi, właśnie dla tego, że są osobami, więc występują w kształtach ludzkich. Tutaj z jednej strony widzimy pierwiastek przyrodzony a z drugiej wiekuistość i nieskończoność. Pod względem pierwszym bóstwo rozdziela się na wielość bogów i bogiń, które wyrażają w części potęgi przyrodzone, a w części znowu mają cnoty i słabości ludzkie; pod względem drugim to tło naturalne, przyrodzone, jest idealizowane; bogi są jestestwami nieskończonemi, królują nad światem, w pokoju głębokim, nie zamąconym boleścią, i same na sobie oparte używają żywota niebiańskiego i szczęśliwości bez granic. To uduchownienie natury przez Greków było powodem, iż pierwiastkowe ich bóstwa, będące czystem wyrażeniem potęg przyrodzonych, bezświadomych, zostały albo na mglistym rąbku mitologii, albo zeszły na półbogów (Satyry, Fauny, Centaury, Syreny, Sfinxy i t. d), albo też zamieniły się na głuchą moc «fatum», co jako moc nieodgadniona, zawisła ciemną, złowieszczą chmurą, nad tym pięknym światem greckim. Fantazya Greków widzi naturę uduchowioną, a ducha żyjącego jeszcze w harmonii ze światem materyalnym. Duch panujący w świecie greckim, chociaż już jest duchem, nie przerósł jeszcze natury; przyroda w kształtach piękności zdoła wyrazić całą treść właściwą Grekom. Treść ta zdoła się jeszcze pomieścić w postaciach natury; tutaj zatem z jednej strony treść, a z drugiej wyrażenie jej, są sobie zupełnie odpowiednie; tutaj fantazya jest zupełnie tem, czem wedle istoty swojej być winna, ona znajduje odpowiednie dla treści ducha wyrażenie. Stąd też ta artystyczność mistrzowska Greków!

Inaczej się dzieje u Rzymian, tego ludu ulanego ze spiżu. Tutaj piękność, wzięta spuścizną od Greków, traci idealność swoją, bo fantazya Rzymu zwraca się raczej ku wspaniałości uroczystej a pełnej przepychu, nią się odziewa; pogromcy ludów sprowadzają do siebie bóstwa całego rzymskiego świata, lecz niezdołając poznać fantazyi innych ludów, skrzepłą prozą przypatrują się jej dziełom i pytają o znaczenie tych obcych im bogów, a wydobywszy z nich tę treść, temsamem już zabijają onę fantazyą innych ludów, która te bogi stworzyła. Tak rozpadła się treść i forma, rozwiodła się piękność w sobie; z jednej strony została treść niby abstrakcya zimna, z drugiej niby łupina i zwłoki bez ducha. Tym trybem Rzymianie nauczyli się pochwycić treść, myśl abstrakcyjną, często prozaiczną i rozsądkową, i wciskać ją w formy wymyślane, wyszukane a również mroźne jak owa treść, a tak fantazya rzymska zdobywa się na jałową allegoryę. Więc było głucho, pusto, samotno w sercu ludzkiego rodu; cała treść przyrodzona była wyrzucona z serca; a boleść z czczości zrodzona i rozpacz i powątpiewanie zamieszkały w piersiach człowieka, niby w próżnej, zrabowanej świątnicy. Gdy martwa cisza i głuchota zaległa świat, Bóg żywy, Bóg miłości nieskończonej zstąpił wiarą w serce człowieka a wiara urosła w olbrzymią postać archanioła; więc inna nowa piękność teraz rozpaliła fantazyę; była to sztuka chrześcijańska, co roztuliła całą swoją treść nieskończoną. Człowiek w sobie samym, niby w chacie ziemskiej, przyjmując Pana Nieba i Ziemi czuje w sobie nieskończone znaczenie wewnętrzne istoty swojej. Duch przeto wycofnął się z natury, ze zmysłowości; człowiek nawrócił do siebie, więc jakby lira brzmi wewnętrzna muzyka serca a natura i świat zmysłowy ułomny, nie wystarczy duchowi, w którym już odezwała się wiekuistość całą potęgą swoją.

Tutaj fantazya rozdziela się znowu na dwie epoki. Pierwszą stanowią średnie wieki; w nich cofa się prawdziwe znaczenie rzeczywistości i natury, i ustępuje miejsca legendom, owym wieściom czarownym, któremi je przyodziała fantazya ludu, co też ożywiła duchami doliny i góry, bory i skały i stare zamczyska, i wody i głębie ziemskie. Ta fantazya rodzima ludu sama staje się teraz przedmiotem a materyałem dla fantazyi artystycznej.

Lecz wśród tego odwrócenia się od natury niekiedy zabrzmi w serca głębinach pieśń tęsknoty rzewnej, za utraconym rajem ziemskim i temi rozkoszami, co kipią z czary ziemskiego żywota; a tak zradza się początek nowej epoki, bo fantazya nowożytna; cicho i pokornie, niby fiołki po zimie, puszczają się teraz pączkiem ziemskie uczucia. Obok postaci świętych mężów i męczeńskich niewiast, na miejscu dawnego złocistego tła, zjawiają się na obrazach: malowany gaik, kwiatki, życie domowe lub zwierzątko, a w pieśniach występuje malowanie obrazków natury. W końcu dopiero XV. wieku już natura pełną siłą wstępuje w życie człowieka. Kopernik na skrzydłach orlego geniuszu nurza się w przepaściach niebios; Kolumb odkrywa nowy świat i nową naturę; Bako uczy, jak się zabrać do poznania przyrody; Rafael i Leonard jednoczą w żywe postacie niebo z ziemią a późniejsze niderlandzkie mistrze malują rzeczywiście żywot codzienny; nauki badające przyrodę się budzą. Wtedy zajaśniała prawda, że i natura sama zrodziła się z ciepłej dłoni wiekuistego ojca; a tak człowiek obchodzi pogodzenie się swoje z naturą; nie patrzy się więcej na nią przez poświatę legend, ale nauczywszy się jej tajemnic, bierze z niej już wprost osnowę dla fantazyi swojej; jest to, jak się rzekło, fantazya nowożytna.

B) Listy z Krakowa.

Wydanie Struvego. Tom I. str. 123 i nast.

List VIII.

775) Jeżelim powyżej (List IV) dowodami skądinąd wziętymi dowiódł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze samej istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się też nie wyrazi w ich kopiach przez sztukę utworzonych. — Ze stosunku sztuki do religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym, przyznasz mi, iż miałem słuszność, gdym nazwał sztukę piękną pierwszą nauczycielką ludów (List II); bo gdy człowiek najprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc też łatwiej mu ujrzeć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie

duchowej wiary jak w religii, lub we formie duchowej myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wypływem nieskończonej istoty człowieczej, więc też już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów, pragnących koniecznie zgadnąć, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać luba kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiódł go krechą i malarstwo się zjawiło. Tam na skorupie żółwia naciągnione struny miały zrodzić lutnię, ówdzie znów ludzie zaczęli mieszkać w jamach wygrzebanych w górach, później na dwóch żerdziach widłowatych zaczepili trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę. Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żałując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jej pierwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kiełki swej przyszłej okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ćmie odległej przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszczą ze zwierzem i własnem barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojej twarz i piersi malował różnobarwnemi krechami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżej była dziecięctwa swojego, gdy do niej Europa zawinęła; mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wie, może nawet w jakiej rozochoconej i rzewnej chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kolebki swojej. — Ale Europa za pierwszem się z nią poznaniem, rabując złoto jej, wycinała żelazem, jak teraz dobijając, morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów-bohaterów świetniej jeszcze może płynęło, niż onym pod Troją mężom, lecz skonało jak długa epopeja, która nie znalazła Homera, której nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te umierając w głuchych lasach swej ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpień swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnóża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlecze dziś to spodlone życie, goniąc za zwierzem jako za mo-

netą, dającą im w zamian trunek, jedyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawnej świetności, ród starej daty, ale i te rozsypańcy przeminą ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. — Mamy się przecież czem pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości przechowuje nam wszystkiego po kawałku; znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biedy i nędzy ludzkiej w jednym najmniej egzemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się do Azyi, co w zgrzybiałości swojej już zdziecinniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacytem lub Cezarem o młodej, barbarzyńskiej Europie i jej sztukach. — Mamy tuż niedaleko, bo pod bokiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiacze o wynalazku sztuk pięknych najczęściej o architekturze i początkach jej wspominają, naród ten od lat tysiąców zachował tę biedną pierwiastkową architekturę swoją. A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abissynii, onej Szwajcaryi afrykańskiej, i usłyszawszy po raz już ostatni, śpiewy jej rzeźkich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłej Afryki, widzi pod sobą rozwleczone niezmierzone borów szmaty; ku nim przewalają się wody abisyńskich Alp i w nich przepadają; ale skwarne bory wyziewają je napowrót wilgotną strzeżogą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jestto kraj, czyli raczej bezmierna puszcza Kolla. Zaledwie zstąpisz do onej kniei, a już jej pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami wkoło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity

w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiem przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby kamieniem cięży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutej wody, najeżone plugawem zaroślem, odziane zielonym kożuchem, dyszą jadowitą parą, zgniłą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodylów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat wkoło przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby skorpionów się zagmerzą, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinę sunie się to jeleń, to dzik, to szakal zaświeci krwawem okiem w ciemnych krzewach, to znów usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jestto zgłodniała hyena, trupów chciwa; ale w dali gdzieś lew zagrzmiał, wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy znagła słyszeć trzaski i łomot roztrąconych i łamanych konarów, wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców, toruje sobie gościniec przez puszczę. Indziej znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem, na oślep, rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem pierzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wicher, w puszczy gore; trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi wężem, lub słupem stawa. Słychać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając wkoło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechylają ich konary, wiążą je z sobą, splatają i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpierają ją ściętem drzewem młodem, niby kolumną, i na nich rozwieszają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym rój ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje.

Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwierzowi dzikiemu. Rybołówczy i myśliwy ród nie zna rolnictwa ani pasterstwa nawet. Gdy zaś deszcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór abissyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosięgłych. Tu inny budownictwa rodzaj. Bo z dołu, na ledwie okiem dosięgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większej lub mniejszej liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojej; tam żywią się tem, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodylów, strusiów i koni rzecznych, dlatego też nazywają się Hylo elephantostruthio phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko i zabierają się do budowania letniska swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju. Właśnie wtedy schodzą pograniczni im Abissyńczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallów, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szerzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecię czy kobieta, czy starzec. Czasem Szangalla cichaczem podszedłszy wojska abissyńskie, do nogi wycina wrogów, kąpiąc się we krwi ich a częściej zaraza okropna tyfus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najeźdźców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do samych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jest to wiernym wizerunkiem człowieka drzemiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciej baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch

tysięcy lat żyją w onej Kolli lesistej — od c
toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich
tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieni
Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by
pięknych kolebką, ani też te ich chaty z gałęzi i sko
jaskinie i jamy nie są zarodem architektury; bo gdy
były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu
dziestu wieków. Bo gdzie się sztuki piękne zjawiły, tam o
ożył, tam i on postępuje, rośnie w siebie i przeobraża się ciągle
a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony, z prostej potrzeby fizycznej, jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatem też w niem nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura, jako sztuka, wtedy się dopiero zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jej formę, przemawiającą o duchu jego. Dlatego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron. Jedna jest techniczna, mająca na celu jej dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onej techniczności za kanwę, na której rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobili czemś owe nory swoje, gdyby im nadawali jakiś kształt, niekoniecznie wypływający ze samej potrzeby materyalnej, lecz z upodobania, z fantazyi, już by tem wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego i wtedy też moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie są zarodem, choć słabym, sztuki. Budowanie jakiekolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą ani początkiem jej, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem to tak to owak chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami — albo parobek krakowski przypinający pawie piórko do czapki, bliżej są sztuki pięknej, niż one budowania urosłe ze samej potrzeby cielesnej.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą i najczęściej pochodzi z mniemania iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne. Ale bez prochu, sztuki drukarskiej

Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwierzowi dzikiemu. Rybołówczy i myśliwy ród nie zna rolnictwa ani pasterstwa nawet. Gdy zaś deszcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór abissyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosięgłych. Tu inny budownictwa rodzaj. Bo z dołu, na ledwie okiem dosięgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większej lub mniejszej liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojej; tam żywią się tem, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodylów, strusiów i koni rzecznych, dlatego też nazywają się Hylo elephantostruthio phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko i zabierają się do budowania letniska swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju. Właśnie wtedy schodzą pograniczni im Abissyńczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallów, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szerzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecię czy kobieta, czy starzec. Czasem Szangalla cichaczem podszedłszy wojska abissyńskie, do nogi wycina wrogów, kąpiąc się we krwi ich a częściej zaraza okropna tyfus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najeźdźców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do samych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jest to wiernym wizerunkiem człowieka drzemiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciej baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch

tysięcy lat żyją w onej Kolli lesistej — od dwóch tysięcy lat toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła się na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by były sztuk pięknych kolebką, ani też te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem architektury; bo gdyby nim były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków. Bo gdzie się sztuki piękne zjawiły, tam duch ożył, tam i on postępuje, rośnie w siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony, z prostej potrzeby fizycznej, jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatem też w niem nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura, jako sztuka, wtedy się dopiero zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jej formę, przemawiającą o duchu jego. Dlatego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron. Jedna jest techniczna, mająca na celu jej dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onej techniczności za kanwę, na której rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobili czemś owe nory swoje, gdyby im nadawali jakiś kształt, niekoniecznie wypływający ze samej potrzeby materyalnej, lecz z upodobania, z fantazyi, już by tem wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego i wtedy też moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie są zarodem, choć słabym, sztuki. Budowanie jakiekolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą ani początkiem jej, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem to tak to owak chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami — albo parobek krakowski przypinający pawie piórko do czapki, bliżej są sztuki pięknej, niż one budowania urosłe ze samej potrzeby cielesnej.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą i najczęściej pochodzi z mniemania iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne. Ale bez prochu, sztuki drukarskiej

i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył, nie znając tych tak wielkiej wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznej, koniecznej istoty. Sztuki pięknej tak jak miłości i mowy nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli, definicyę miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał. Miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem, czyli ja przypadkiem nie wiem, jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biedę *der*, *die*, *das* wymyślił, a mówił doprawdy. Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jej stosunku do religii i filozofii, tudzież dotknąwszy o ile słusznie o początku sztuk mówić można, pozwolisz mi bym w liście przyszłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczym jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonej w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę też mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięźlej, krócej, i treściwiej, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumiesz.

C) O najważniejszem zadaniu filozofii.

Pisma pomniejsze. Tom. XII. Wyd. Struvego, str. 7—26.

776) Nie mamy się już czego łudzić. Społeczeństwo nietylko w innych krajach, ale i wśród nas samych przebywa obecnie, pod względem religijnym, ciężkie przesilenie.

Nie tylko w świecie katolickim, ale i we wszystkich innych kościołach chrześcijańskich — coraz otwarciej, coraz jawniej występuje przecząca niewiara. Co więcej — nawet wśród żydów, tak zwana oświata a wrzekoma cywilizacya wylęgła odstępstwo od pradziadowej, poważnej Mojżeszowej wiary.

Przyznamy, że to, co było jeszcze za przeszłego pokolenia nietykalnem, świętem, stało się dziś obcem, obojętnem dla wielu serc ludzkich.

W tem opustoszałem sercu dziś ciemno, głucho, mroźno. — Dawniejszy sceptycyzm, jeszcze się kryjący, a indyferentyzm chłodny już w obecnym czasie stał się zaczepnym wszelkiej wiary wrogiem.

Tu usposobienie bezreligijne już wydaje zatrute owoce. Umysły najczęściej nieopatrzne — a takich są liczne tłumy — przełamawszy zapory swojej religii, rzucają się na oślep w nocne otchłanie ostatecznej negacyi.

Zaprzeczywszy nauce wiary, przeczą istnieniu Boga. Brak wyznania stał się u nich zwątpieniem o istnieniu samego Boga, a nawet wprost wyznaniem, że Boga nie ma; ich wyznaniem jest b e z b o ż e ń s t w o, a t e i z m. Człowiek tak zwany «bezwyznaniowy» zrywa z Kościołem, na którego łonie się zrodził; człowiek ateista zrywa ze wspólnością jestestw rozumnych, zrywa z godnością ludzkiej istoty, zrzeka się wysokiego znaczenia człowieka i spada poniżej zwierząt.

Zaiste — przekonanie, że istnieje Bóg, i przekonanie o trwaniu duszy naszej po śmierci ciała, najściślej ze sobą się wiążą. — Kto nie przypuszcza bytności wiekuistego Boga, nie może przypuszczać że duch ludzki po skonaniu ciała żyć może wiecznym żywotem. Ateizm jest przeto ostatniem słowem negacyi, jest upiorem, wysysającym krew duchową ludzkiego społeczeństwa.

Zaprawdę — nie mamy się czego łudzić. Ateizm napoczął społeczeństwa Europy — wżera się rakiem coraz głębiej w umysły wszystkich warstw, przemawia coraz butniejszem zuchwalstwem wśród ludzi. — Wobec niego bytność Boga jest czczem marzeniem, a gdy się odezwiesz o nieśmiertelności ducha ludzkiego nazwie cię litośnie zabobonnym prostaczkiem i strzeli jadowitym sarkazmem.

Nikt nie zaprzeczy, że takie jest po większej części usposobienie świata. Lepiej uznać fakt choćby najsmutniejszy, lepiej zajrzyć śmiało w oczy potęgom wrogim i zażegnać złe, niż

zwodząc siebie — wmawiać w siebie i w innych, że złego nie ma. — Z tem usposobieniem przeczącem trzeba nam stanąć do otwartej walki — do walki na życie i śmierć; oświadczam jawnie, że to usposobienie zaprzeczające bytności Boga — to zaprzeczenie trwania ducha ludzkiego po śmierci ciała, zniewoliło mnie głównie do niniejszej rozprawy mojej.

Z radością serca wyznaję, że te objawy niewiary a zwłaszcza bezbożeństwa, bywają w naszym kraju mniej groźne, mniej jaskrawe. Być może, że nas jeszcze broni od śmiertelnej choroby nasze usposobienie ciepłe, uczuciowe, serdeczne, co się mimowolnie wzdryga w obec tej czczości a próżni w duszy; być też może, iż w nas przebywa głęboki ostrzegający instynkt, wróżący nam, jako dla naszego społeczeństwa, tak rozbitego, tak schorzałego — bezreligijność a ateizm byłyby samobójczym ciosem, — a ze wszystkich ciosów nam zadanych już ostatnim, śmiertelnym.

Lubo atoli przyznaję, że ta dążność negacyjna, zatruwająca ludy współczesne u nas dopiero łagodniej, wstydliwiej, niż w innych krajach, daje się we znaki, przecież nie sądźmy z lekka tych objawów, stójmy na straży ojczystego domu, pomyślmy — póki jeszcze czas — o obronie jego. Zaiste, jedno i to samo złe, choć w dwojakiem przybraniu, choć w dwojakim kształcie, z dwóch odwrotnych świata stron, niby od dwóch wrót, dobywa się do rodzinnej zagrody naszej. Nie dziw przeto, że wśród nas każdemu uczciwemu a myślącemu człowiekowi, przewidującemu tę walkę, ciężko na sercu, że mu w tej atmosferze dusznej brak swobodnego, wolnego oddechu. Bo każdy uczciwy a myślący człowiek przekonany jest o tem wysokiem żywotnem znaczeniu uczuć religijnych, o którem poniżej nam mówić przyjdzie.

Są ludzie zacni a mądrzy, którzy widząc tę powódź negacyi, zalewającą obecnie Europę, nie tracą nadziei w lepszą przyszłość świata. Oni ufają tej opatrzności wiekuistej, co jest logiką wszechrzeczy, wodzącą ludzkość przez wieki wieków. Oni nie wątpią, jako ta dążność negacyjna jest tylko przemijającą zarazą, z której się ludy wyleczą, wyzdrowieją. Oni stoją przy tem niezłomnem przekonaniu, że w ludzkich dziejach jedynie zło a kłam przepada, — ale że prawda jest wszechmocnej

potęgi, więc ona przemoże złe demony nurtujące społeczeństwo; ci ludzie zacni wiedzą, że prawda nie przepada nigdy, bo lubo się niekiedy wydaje, jakoby umarła i była pogrzebiona, jednak ta prawda kiedyś wstanie zmartwych, a w postaci nowej — choć przerodzonej ale odrodzonej a promiennej — wzniesie się znowu tryumfem i zapanuje nad światem.

Mężowie tego przekonania mają pełną słuszność za sobą. Jednak prawda, którą oni wyznają, choć niewywrotna, niewątpliwa, przecież nie zdoła ukoić w zupełności naszych obaw bolesnych o naszą własną przyszłą dolę. Historya nie zna pośpiechu. Historya gospodarzy na wielką stopę — w obliczu jej liczne pokolenia i wieki całe są drobnostką zdawkową, nie mającą znaczenia, gdy chodzi o przeprowadzenie żywotnej idei, o ziszczenie jednej z wielkich wiekuistych prawd w dziejach ludzkiego rodu. Lubo i my wierzymy, że świat kiedyś wydobrzeje i wyleczy się z tej negacyi zgubnej i że żywioły dodatnie, zbawcze, stanąwszy na ich miejscu, znów obejmą rządy w sercach ludzkich, jednak przewidujemy, niestety z równą pewnością, iż zanim się spełnią te nasze nadzieje, zanim nastąpi ten pożądany zwrot, jeszcze ciężkie próby a straszne gromy spadną na państwa i narody. Otóż jest temu blizko lat dwieście, gdy Leibnitz, największy geniusz swojego czasu, — jakby w jasnowidzeniu ducha — wypowiedział te prorocze słowa, jako «zdania przeczące bytności Boga i przeczące nieśmiertelności duszy człowieka, zgotują Europie straszne powszechne wywroty». Zdarzenia ostatnich czasów, świeże, przerażające świat, stwierdzają wróżbę wielkiego człowieka. Naród potężny, świetny, negacyą tych praw od wieku go toczącą, przypłacił wybuchem szalonym, potwornym, gruchoczącym społeczeństwo i wielowiekową sławę — wybuchem stokroć okropniejszym i sromotniejszym niż wszystkie tak liczne klęski w nieszczęśliwej wojnie poniesione. Strachy nas przejmują, gdy pomyślimy o naszem rodzinnem społeczeństwie. Pytamy, czyliby ono zdołało przetrzymać tę grożącą mu chorobę negacyi? Czylibyśmy mogli ją przebyć szczęśliwie i wraz z innymi ludami doczekać się owego spodziewanego a zbawiennego zwrotu?

Dzieje powszechne świata nas uczą, że każdy naród tylko

tak długo żyje, dopóki mu nie zabraknie treści duchowej, dopóki w duszy jego nie zgaśnie Bóg.

Wiedza o Bogu jest duszą duszy naszej, gdy ta wiedza zamrze, umiera naród, bo mu już nie starczy wątku żywota — bo niema Boga w sercu!

Z tej prawdy wypływa druga, t. j. prawda, że im naród głębiej przenikniony jest religią, tem jest znakomitszym. Historya świadczy, iż właśnie te narody, które najwyżej wzniosły się w dziejach, były narodami najwięcej religijnymi. Jakoż głębokie uczucia religijne wzmagają, potęgują jeszcze treść przyrodzoną narodu, tę treść, którą on żyje, która jest wątkiem jego historycznego rozwoju.

D) Podróż do Włoch.

Wenecya (dalszy ciąg).

Wydanie Struvego, str. 169 i nast. T. I.

777) Prawiłem wam dotychczas o placu Św. Marka, jakby na nim życia nie było, jakby ten lud włoski, co tak ciepły i ruchawy, rześki i bystry, nie istniał na świecie; — i zaiste sam jedynie duch piękności, przemieszkujący w tych okazałych budowaniach dawał nam wyłącznie posłuchanie; przecież na tym placu żwawo i ruchawo, tłumnie i gwarno, świecisto i wesoło.

Gdy drzewo kona, usychają naprzód liście i drobne gałązki, potem więdnieje życie w tym i w owym konarze, nakoniec całe drzewo jest istnej śmierci obrazem; lecz lubo to drzewo stało się wizerunkiem skonu, jeszcze w głębi jego pnia, jeszcze w jego rdzeni, w jego sercu żyje ostatkami życie; podobnie, gdy człowiek umiera, skrzepną naprzód członki od serca odległe; zmrok, wysłannik nadchodzącej nocy, zalewa oczy; zmysły, wiążące nas z materyalnym światem, gasną po jednemu; lecz choć już śmierci godzina wybiła, przecież serce dygoce, i puka uczuciem, miłością i ostatniem świata pożegnaniem, a zarazem to umierające serce drga w sobie wiekuistości tęsknotą. Wszak i w epokach historyi, gdy cnota schodziła ze świata, gdy rak zepsucia już toczył mniej zacne społeczeństwa członki; jeszcze wtedy

szczupłe grono najszlachetniejszych ludzi przechowywało cześć dla tego, co uczciwe, co dobre i święte na ziemi; w ich piersiach, niby na ołtarzu Bożym, gorzał jeszcze płomień wiekuistych prawd, i świecił jasnością nieumierającego nigdy zakonu. Podobnie dziś dzieje się z Wenecyą. Dalsze jej ulice, uliczki kanały i wyspy dziś ciche i samotne, bezduszne, dalsze domy i pałace, rynki stoją martwem pustkowiem; lecz na placu Św. Marka, na tem starem forum Wenecyi, w tem jej sercu wre życie ciepłe, i kipi rześkość ochocza; tu gwarnie i radośnie.

Patrzmyż, co się święci tu na ziemi, na tym placu sławnym gdy wieczór zapala gwiaździste lampki swoje i zaczyna stroić niebo mroczne w te tysiączne nocne kagańce swoje. Arkady, poziemia Prokuracyi starych i nowych i tej nowej Fabrica, co je łączy z sobą, goreją światłem, istnym żarem jasności. Bo sklep przy sklepie bucha światłością gazu; więc jakby powódź słonecznych promieni zalewa arkady, a rozpływa się, jeszcze poza arkady, po posadzce marmurowej samego placu. Krom tego atoli, jeszcze na samym placu, bo od wieży zegarowej, stanęły gęstym i nieprzejrzanym rzędem wysokie strojne i zdobne bronzowe świeczniki, kształtu starożytnych kandelabrów, a każdy z nich pali się snopami gazowego ognia, a każdy, sadząc się by był świetniejszy niż sąsiady jego, rad udawać jakieś małe promieniste słońce. Więc też i niedziw, że tutaj późnym wieczorem tak widno jak wśród południa, tylko że oświecenie fantastyczniejsze, poetyczniejsze. Sam tylko kościół św. Marka tworzący czwartą stronę placu, otulił się lekkim przejrzystym mrokiem: jego niże, olbrzymie jego wieżyczki i floresy i cały ród kolumn kosztownych, i stare złociste mozaiki, migocą się w cieniu, i grają niby fantasmogorye magiczne, niby wspomnienie z dalekich lat, niby widzenia, co się niekiedy we śnie pojawiają biedakowi znękanemu dziennym trudem. Zresztą cała przestrzeń placu przystrojona, oświetlona jasno, rzęsisto, bogato jako istna sala balowa.

A jaka to sala balowa? O okazalszą trudno na świecie całym. Brak turkotu pojazdów i koni, których niezna Wenecya, uczyniłby złudzenie zupełne, gdyby ogrom tej wrzekomej sali nie przypominał że to rynek, choćby rynek najwspanialszy na ziemi.

Goście już oddawna zebrani — wszak od pierwszych chwilek, gdy słońce zabierało się do snu, przypływały na plac św. Marka liczne a strojne tłumy pięknego a wykwintnego świata. Boć to tak się dzieje co wieczór od wielu wieków, o ile tylko zawistne słoty i owe wszystkie ślepookie potęgi natury nie zderzą się ze zwyczajem ludzi i nie zniweczą ochoty serdecznej. I pod kolumnami i od ściany pałaców dłuży się rząd nieskończony krzesełek — i znów drugi ich rząd — a wśród nich rozsypany cały ród stołów i stolików; wszak i za filarami, niby już na placu samym, jeszcze cisną się wiankami krzesełka i stoliki.

A stoliki wszystkie, i wszystkie te setki krzesełek zajęte już oddawna przez ludność elegancką — a garsony skoczne, czupurne, wylatują z kawiarń, niosąc stosy lodów, sorbetów, czekolady i inne płody gastronomicznej sztuki. A przy stolikach krzyżują się gawędy wielojęzycznej Europy. Tu słyszysz szeplenienie piękności angielskiej, o dużych błękitnych oczach, włosach złocistych a płci lśniącej bieli; tam znowu płonie głębokie wejrzenie dumnej córy Wenecyi; marmurowy jej profil tak blady, szlachetny, a przecież tak wrzący życiem pełnem treści serdecznej.

Gdy tak jedna część publiczności usiadła grupami pod sklepieniem arkad, część druga, a nierównie liczniejsza, przechadza się ich środkiem, a przechadza się zwolna, poważnie, bo tak składniej i milej, tak zręczniej im odprawić przegląd siedzących i widzieć wszystkich i być widzianym. Zresztą w tym tłumie wszelki pośpiech byłby niepodobny. Dlatego ta ludność, tak zdobna i modna, w tej wędrówce podzieliła się na dwie rzeki, mijające się nawzajem: jedni posuwają się w dal; a tamci, ciągnący się wzdłuż filarów, z powrotem wracają, aby, doszedłszy do końca arkad, zmienić role swoje. Jednak i te kolumnady, choć tak szerokie, choć tak długie, bo obejmują trzy strony placu całego, przecież nie starczą; więc i na placu samym jeszcze w koło ustawione stoliki; tam siedzą grupami lub stoją, lub się zwolna przechadzają wśród tych pałaców tak okazałych, pod tem niebem tak czystem i spokojnem. Więc grona po gronach i dam i ichmościów. Damy, jak wszędzie i zawsze, w stroju co do barwy i kroju mniej więcej zgodnym z estetyką a artystyczną fantazyą; ichmoście zaś, jak wszędzie w dzisiejszej

Europie, w ubraniu potwornem, bezbarwnem, abstrakcyjnem. Niekiedy tylko wesoły rybak wenecki, lub ktoś inny z ludu, zabłąkawszy się w to wytworne towarzystwo, odznacza się fantastyczną zwiesistą czapką czerwoną, pyszniąc się herkulesową postacią; lub madziarskie huzary, co gdzieś na lądzie zostawiwszy konie, czamarowani złotem, brzęcząc ostrogami i szablą na posadzce marmurowej, przerywają ckliwość ubiorów właściwych dziś płci męskiej, więc mniej pięknej połowie ludzkiego rodu. Czasem przesuwa się głośne grono niewiast z ludu, a ich opalona lecz radosna, śmiejąca się twarz a charakterystyczny strój, dodają ciepła i życia tym zastępom ruchomym wytrefionej publiczności. Ale już najdzielniejszym pierwiastkiem tego życia i ruchu są owe wrzaskliwe, nigdy nie milczące, nigdy nie spoczywające demonki, co się niby w przekupniów bawią, — a jest ich gatunków bez liku i miary. To jakby podsadziste i kolosalne motyle migocą się kwieciarki; na głowie kapelusz słomiany ogromnych wymiarów, z niego powiewają długie wstążki; na lewym ręku koszyczek zgrabny, w nim cały skład kwiatów wonnych, barwnych, w prawym ręku kwiat i bukiet; więc skoczy, sunie, dygnie, uśmiechnie się, i zanim się obaczysz, już masz kwiat w ręku; przecież ten bukiet nie ochroni ciebie od drugiej a nawet od trzeciej córki Flory, zwłaszcza w razie, gdy jaką białogłowę prowadzisz. Lecz nie ma się bardzo srożyć, bo to zwyczaj i miły i wdzięczny a — te kwieciarki, choć najczęściej same setnych i niezbyt lekkich kształtów, tak się gładko i lekko sprawują, tak sobie zgrabnie poczynają, że nie żal, choćbyś z całą kollekcyą bukietów do domu wracał. Zaledwie mignęły ich kapelusze słomiane, zaledwie furkły wstążki i uleciały fartuszki jedwabne, a już znowu staje przed nami drab jak posąg, z czapką wenecką czerwoną na kruczych kędziorach, i ofiaruje gondolę w miniaturze, z drzewa misternie wyrobioną: jest tam i owa buda czarna i dziób żelazny i ławeczki, nawet dwa wiosła, a nawet w budce poduszki skórzane i szybki w oknach; więc deklamuje co gardła i perswaduje, że to najprześliczniejsza pamiątka z Wenecyi, którą zabrać możesz do kraju swojego. Jeszcze ten nie skończył buńczucznych panegiryków swoich, a już obok niego chłopiec trzyma na wyfiokowanej desce suche konfitury, nadziane na biało strugane

drewienka; a pokazuje jakto, niby brylanty i dyamenty, na owocach świeci i migoce cukier: a chłopiec dowodzi, że to iście, owa ambrozya, którą niegdyś król wysokiego Olimpu zajadał w gronie wesołych, śmiejących się bogów, popijając nektarem. «Zapewne pan skosztujesz moich pomarańczy», woła trzeci, niosąc przed sobą na ramionach kosz pełny tych złocistych darów południa; ten sobie jakoś praktycznie postąpił, bo w koszu kilka przedziałów, a nad każdym z przedziałów sztandarek papierowy z ceną owoców w nim objętych. Kupiłeś pomarańcze. «Mam prześliczne nożyki, których doskonałość zupełnie nadaje się do pomarańczy», woła znów inny, pokazując zbiorek dość licznych scyzoryków. Ten jego sklep chodzący obejmował wszystkie materyały do pisania. A choć ten towar jego nieosobliwy, tak jednak umiał smacznie ułożyć i tak artytycznie ugrupować, a tak wie jakto pokazać i zachwalać ten biedny handelek swój, żeć się iście zdaje, jakobyś widział utwory najwyższego ukończenia; a był to ładny chłopczyna, a tak mu też jakoś mądrze i figlarnie z oczu patrzało, że trzeba było koniecznie bliżej rozpatrzyć się w jego magazynku wędrownym. Ze zwinnością Pinettego pokazuje wielobarwne i różnowonne laki i ołówki, kałamarze, nożyczki, pieczątki, piaski złociste, noże ze słoniowej kości, a nadewszystko już rozwodzi się nad wyborem swojego papieru listowego. Więc naprzód roztasował listy z przyczółkami widoków weneckich — ale znać że ich artysta miał więcej odwagi jak szczęścia: *honneur au courage malheureux*. Nie kupisz. — Więc rozkłada nasz Włoszek cały zbiór innego papieru i milczy — ale oczy mu się coś śmieją — to nie bez kozery, bo to iście papiery symboliczne. Jakoż nietylko znajdziesz żółtawe, zielonawe, zlekka różowe, i szare i błękitnawe — a każda barwa, jak wiecie, coś gada coś znaczy, lecz, co więcej, każdy list na czółku ma jakiś kwiatek lub ziółko.

Te roślinki, te istotki, tak nieśmiało niewinnie, mistyczne, idą jednak w posły od serca i niby giest, lub rumieniec, lub westchnienie z cicha prawią, czego usta wymówić się lękają. Rozpatrz się w tych listach zagadkowego przeznaczenia. Rozumie się, że najprzód klassycyzmu nie braknie, więc zaraz na pierwszej kartce w pełnym przepychu rozkwitła róża — w jej liściach, jak w wonnem łóżeczku, całe gniazdo śpiących amorków, co się otuliły, niby w kołderki, w motyle skrzydełka swoje. Na innej ćwiartce ogadane oddawna niezapominajki — mdłe biedaczki, mają łezkę rosy w oczku i milczą i czekają. Dalej fiołek, co to wstydliwą główkę pod trawkę chowa, a za to nęci mocnym zapachem, jakby wołając, żeby przecież o nim pamiętano; — i znów przedpotopowy sztywny klassyk — tulipan, co egoista dumny swoją barwą i starożytnym rodem, lecz bez zapachu i wdzięku. Tuż po nim na żółtawym papierze chwiejąca, się i niestała w swoich sentymentach, trzcina wodna; znać, że ją jakiś nowy wiatr zawiał, bo się zwraca obcesem w inną stronę — to będzie istny przytyk do kogoś. Na innej ćwiartce welinu jakiś nieszczęśliwy słonecznik z ciemnem opalonem obliczem, o żółtych płomienistych liściach — on cały jakby w sznur powykręcany, widać jakto on zwracał się za miłością swoją, za jakiemś tam słońcem swojem. Słońce jednak na niebie wysokiem nie wie nawet o jego czułościach, które nieodstępne dla niego — a on nieboraczysko, ze swojem kochaniem bez nadziei, umrze na ziemi, wśród ubogiej zagródki swojej. A to znów nowa czyli stara myśl, bo arcyprozaiczna, arcypraktyczna — jakoż ten tu list, nie ofiaruje kwiatów żywota, lecz za to zwój kłosów zbożnych, z których będzie chleb, a może i z masłem. I znów inna winietka romantyczno-fantastystyczna — pokrzywa kwitnąca... I jeszcze inne, i jeszcze inne godła. Dziwna przecież, że nie mogłem nigdzie znaleźć białej lilii. Kto wie, może wszystkie już wykupione. Co do mnie, nie będąc już młodym, nie mając już potrzeby onych rozmów na hieroglify, ani żadnych malowanych dragomanów dla afektów i sentymentów, nie kupiłem tych listów; lecz, wynagradzając jako tako filutkowi czas stracony, nabyłem wielce od niego zachwalony kałamarz podróżny, zamykany niby arcy szczelnie. Przecież ten kałamarzyk, jak się później w drodze pokazało, nie odpowiadał wcale swojemu zadaniu; złośliwy zdrajca zawsze podstępnie się roztwierał. Zwyczajnie jak łotrzyk, nie wierzył, że każdy prawy kałamarz jest na to, aby służył, jak może, poczciwej sprawie, aby nie czernił, nie walał, nie plamił. Zatem też między nami na tem się skończyło, żem mu wypowiedział urząd — a tak poszedł w rupiecie wymietne.

Iście bal najzupełniejszy! Teraz nawet zabrzmiała muzyka.

Prawda, gdym się zatapiał w towarach koczującego sklepu, kapela wojskowa stanęła na środku placu św. Marka. Lud, co tak kocha muzykę, otoczył ją gęstem kołem. Więc nie widać grających, ale ich stanowisko odznaczają latarnie świeciste, wysokie, ustawione teraz wieńcem wielkim oświecając im nuty. Muzyka wyborna. Kapela gra jedną z tych starych melodyj madziarskich, co tak dziwnie, tak głęboko przejmują. Zrazu brzmi dzikością ognistą, szaleje namiętnością wrzącą, zmysłową, porywa zapomnieniem siebie; przytem zuchwała, butna i sroga. Wnet atoli te tony straszne miękną i rzewną żałością płaczą; — znów dźwięki przenikliwe, niby rozpacze czystej miłości, niby jęki niewieście przeszywające serce wskróś — i szlocha i skarży się ta muzyka, i boli i kwili, przedzierając się w głąb duszy słuchacza. Aż oto, jakoby anioł pociechy, powiewając skrzydłami nad grobem miłości, ochładza rany i bóle, i łagodzi cierpienia i goi żale — już anioł zcałował łzy gorące. Kończy się ta dziwna melodya jakimś tryumfem uroczystym, pogodzeniem ducha z sobą i z niebem, i zaślubieniem go z tem, co nieskończonem, nadświatnem. Tak, zdaje się, że tutaj sztuka rodzima, że uczucia natchnieniem zgadły, że patos, — ta moc, co unosi człowieka do czynów, co nim włada wszechmocnie, a porywa urzeczeniem, — znajduje ukojenie swoje i ukołysanie w prawdach przedwiecznych; że dźwięki pojedyncze fałszywe, rażące serca, spływają i topnieją harmonią w muzyce wiekuistej.

Bo zawsze a zawsze w tej sztuce tonów schodzą się dwa światy, bo nie tylko ducha i natury, ale i myśli i dźwięków. Wszak ta sama muzyka jeszcze okazuje, że, wcielając się w tony, godzi ziemskie uczucia, życie doczesne z żywotem wieczystym, z zakonem, co króluje nad światem. A to jest właśnie jednym z najważniejszych pierwiastków każdej muzyki prawdziwej.

Opracował: WŁAD. WITWICKI.

XCV.

LIBELT KAROL.

(1807—1875).

Filozof, matematyk, historyk, ekonomista i przyrodnik, pedagog, działacz narodowy i polityczno-społeczny, przyszedł na świat w Poznaniu, dnia 8 kwietnia 1807 roku. Pochodził z rodziny mieszczańskiej; ojciec jego, Stanisław, był szewcem. Własną, twardą pracą zdobył olbrzymią wiedzę i przodujące stanowisko w życiu umysłowem i politycznem Księstwa Poznańskiego. Utraciwszy wcześnie ojca, już od najmłodszych lat zarabiać musiał na życie. Pobierał nauki początkowo w szkole miejskiej, a następnie w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Odznaczał się już wówczas wielkiem rozwinięciem umysłowem, z szczególnem zaś zamiłowaniem studyował matematykę.

W ostatnich latach swego pobytu w gimnazyum dostał się, jako nauczyciel domowy, do domu Pantaleona Szumana, wybitnego podówczas działacza politycznego w Poznańskiem. Za jego też staraniem i przy pomocy ks. Antoniego Radziwiłła, otrzymał stypendyum rządowe na odbycie studyów uniwersyteckich. Ukończywszy w r. 1827 gimnazyum w Poznaniu, udaje się na uniwersytet berliński, gdzie rozpoczyna studya głównie nad matematyką, naukami przyrodniczemi i filozofią. Filozofię wykładał wówczas w Berlinie Hegel. Jak prawie wszyscy Polacy, studyujący w tym czasie w Berlinie, tak i Libelt uległ urokowi i władzy tego olbrzymiego umysłu. Hegel też wywrze wpływ przeważny i trwały na całą jego pracę w dziedzinie filozofii. Wśród polskiej młodzieży akademickiej w Berlinie zajmował wybitne stanowisko. Już wówczas skrystalizowały się w nim szczere i szeroko pojęte przekonania demokratyczne, których się nie wyrzekł przez całe życie. Był też przywódcą demokratycznego odłamu młodzieży, gdy tymczasem Stefan Garczyński stał na czele młodzieży arystokratycznej. Wszystkich jednak zjednywał sobie Libelt szczerością, serdecznością i niezwykłemi zaletami charakteru. Biograf jego, H. Szuman, opowiada, na dowód wpływu jaki Libelt wywierał, historyę uzdrowienia przezeń

z melancholii pewnego młodego Saksończyka, którego mu w opiekę oddał Hegel. Z prac jego organizacyjnych ówczesnych, zasługuje na uwagę założenie w Berlinie Towarzystwa Biblioteki polskiej, stanowiącej ognisko życia umysłowego młodzieży polskiej. — Kolegował Libelt w Berlinie z Józefem Kremerem, a poznał się również w r. 1829 z przejeżdżającym przez Berlin Mickiewiczem, który go zraził do siebie znanym sądem o Heglu.

W r. 1830 otrzymał na podstawie rozprawy *De pantheismo in philosophia* (Berolini 1830) stopień doktora filozofii i udał się na dalsze studya do Paryża. Niebawem po jego przybyciu wybuchła tam rewolucya lipcowa i wywarła na nim silne wrażenie, wzmacniając jeszcze jego demokratyczne i wolnościowe zasady. Przyczyniło się do tego również zawarcie znajomości z tak wybitnymi ludźmi, jak Lafayette, Thiers, Guizot i t. p. Powstanie listopadowe przerwało pobyt Libelta w Paryżu. Na wiadomość o niem śpieszy do kraju, wstępuje, jako prosty szeregowiec, do pułku artyleryi i odbywa całą kampanię 1831 roku. Za męstwo okazane w kilku bitwach, odznaczony zostaje krzyżem *Virtuti militari*. Po upadku powstania przechodzi granicę galicyjską z korpusem Różyckiego i dostaje się dwukrotnie do więzienia. Za udział w powstaniu pozbawiony został przez rząd pruski prawa starania się o posadę nauczycielską; opuściwszy więc więzienie osiada na wsi, w Kujawkach w powiecie wągrowieckim, ożeniwszy się wprzód (w r. 1835) z Maryą Szuman, bratanicą swego dobroczyńcy, Pantaleona Szumana. W tym czasie rozpoczyna też działalność publicystyczną, umieszczając swe prace w ówczesnych pismach poznańskich («Przyjaciel ludu», «Tygodnik literacki», «Dziennik domowy», «Orędownik»).

Księstwo poznańskie znajdowało się podówczas w niekorzystnych stosunkach politycznych. O ile po r. 1815 położenie Polaków wydawać się mogło znośnem — o tyle, po upadku powstania listopadowego, nastała epoka bezwzględnej, konsekwentnej reakcyi i germanizacyi. Ustąpił ze swego stanowiska książę Radziwiłł, a miejsce namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego zajął Flottwell, pod którego rządami nie mogło być mowy o jakiejś owocnej działalności politycznej lub kulturalnej. To też ruch umysłowy w Poznańskiem przedstawia się w tym czasie bardzo słabo. «Jedna gazeta wychodząca dwa razy tygodniowo, miesięcznik «Mrówka Poznańska», a po jej upadku «Weteran»: oto cały zasób czasowego piśmiennictwa z owej epoki» — powiada Libelt w życiorysie Jędrzeja Moraczewskiego. Powoli jednak zaczął się ruch i na tem polu. Na wzrost jego wpłynęły przedewszystkiem pisma emigracyjne polskie, które czytane i rozpowszechniane w kraju, budziły zainteresowanie się kwestyami politycznemi, nowem oświetlaniem przeszłości i współczesnych wypadków. Zaczęły budzić się podobne potrzeby i w kraju, i w tej chwili właśnie wystąpił Libelt, ażeby piórem i czynem współpracować z Emigracyą w odrodzeniu umysłowem i politycznem narodu. Związek jego działalności z pracami Emigracyi, a zwłaszcza demokratycznego jej odłamu, jest niewątpliwy i stąd liczne przeszkody, jakie miał do zwalczenia zarówno ze strony pilnie śledzącego go rządu pruskiego, jak i umiarkowańszych żywiołów społeczeństwa własnego.

Po wstąpieniu na tron pruski króla Fryderyka Wilhelma IV, i ustąpieniu Flottwella z namiestnictwa, polepszyła się nieco sytuacya polityczna w Poznańskiem. W maju 1840 roku, przenosi się więc Libelt do Poznania i rozpoczyna przedewszystkiem szeroką działalność publicystyczną. Słusznie twierdzi drugi jego biograf, dr. Wiktor Hahn, że był on «właściwym i prawie jedynym działaczem na tem polu. Niema prawie wówczas czasopisma, w któremby nie pomieszczał swych prac z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy, a jakkolwiek istotnym redaktorem nie był (z powodu zakazu rządu), na kierunek ówczesnego ruchu wywierał wpływ przeważny».

Z prac jego w tym zakresie wymienić należy przedewszystkiem współpracownictwo w czasopiśmie naukowem «Rok», wydawanem od roku 1843 pod redakcyą Jędrzeja Moraczewskiego. W «Roku» zamieścił Libelt rozprawy: «O odwadze cywilnej» (1843), «O szkole realnej» (1843), «O miłości ojczyzny» (1844), «Demokracya, Demagogia i Arystokracya» (1845) i t. p. W rozprawach tych, jako prawdziwy nauczyciel narodu, pouczał go o elementarnych, podstawowych zasadach demokracyi i wolności, równości i braterstwa, widząc przyszłość narodu tylko w integralnej realizacyi tych haseł. Rozwijał je i uzasadniał, z ich stanowiska oceniał położenie i potrzeby narodu, przekonywał o konieczności postępu i wyzbycia się starych nałogów, gromił wyzysk i kastowość, przed oczy stawiał wzory cnót obywatelskich. Nie zaniedbywał jednak i pracy czysto naukowej. Uważał się przecie przedewszystkiem za filozofa i marzeniem jego życia było pozostawić narodowi skończony, zamknięty system filozoficzny, na narodowych, ludowych pierwiastkach oparty, w dorobek filozoficzny i kulturalny Zachodu wnoszący nową, nieznaną dotychczas, polską filozofię. W r. 1845 wydaje też pierwszy tom swej «Filozofii i krytyki» p. t. «Kwestya żywotna filozofii. O samowładztwie rozumu». Nie zaniedbał i bezpośredniego oddziaływania na społeczeństwo, zapomocą żywego słowa, do czego miał również niepospolite kwalifikacye jak: jasność i ścisłość myślenia, żywy temperament i niezwykły dar wymowy. Ponieważ rząd nie byłby pozwolił, zwłaszcza Libeltowi, na wygłaszanie prelekcyi o rzeczach polskich, ogłosił więc Libelt w kwietniu 1841 r. szereg publicznych wykładów o literaturze niemieckiej. Zainteresowanie się niemi było oczywiście wielkie; bywały na nich tłumy publiczności, nietylko z Poznania ale i z prowincyi. Libelt do wykładów o literaturze niemieckiej potrafił wpleść wzmianki o Reyu, Kochanowskim, Mickiewiczu i t. p., co im dodawało jeszcze więcej uroku. Za przykładem i inicyatywą Libelta poszli i inni uczeni poznańscy, wygłaszając wykłady z rozmaitych dziedzin wiedzy. I tak: Jędrzej Moraczewski mówił o «Dziejach słowiańskich i polskich aż do końca

XV w.» i o estetyce, Teofil Matecki o fizyce i chemii, a adwokat Jakób Krauthofer o encyklopedyi i metodologii prawa. W ten sposób starano się na małą skalę zastąpić brak uniwersytetu w Poznaniu. Zwróciło to jednak rychło uwagę rządu i wykłady zawieszono, Libelt zaś, za urządzanie tych prelekcyi, otrzymał dymisyę z posady nauczyciela matematyki w gimnazyum poznańskiem, którą objął był na krótko przedtem.

Nie zasklepiał się jednak Libelt w pracy czysto oświatowej i kulturalnej; rozumiał, że aby była skuteczną i owocną musi być oparta o rozległą działalność polityczną, że bez zasadniczych, elementarnych swobód politycznych, musi się potykać i rozbijać o nieprzezwyciężone przeszkody, zwłaszcza u narodu pozbawionego niepodległości. Stąd też obok działalności publicystycznej i nauczycielskiej, rozwija Libelt żywą akcyę polityczną i kieruje się w niej zasadami emigracyjnego Towarzystwa demokratycznego i działa w łączności z niem. Ulega też jego iluzyom. Już około r. 1839 wchodzi Libelt do komitetu, którego zadaniem ma być przygotowanie powstania w Poznańskiem, powstania opartego głównie na ludzie. W komitecie tym pracuje przez lat kilka; wreszcie z końcem r. 1845 praca ta zaczyna przybierać realniejsze kształty. Przybywa w Poznańskie Mierosławski i z polecenia Centralizacyi przystępuje do zorganizowania rządu narodowego, w którego skład wchodzi i Libelt. Termin wybuchu wyznaczono na dzień 21 lutego 1846. Rząd pruski jednak odkrył spisek wcześniej i zarządził aresztowanie wszystkich członków komitetu, między innymi Libelta. Przez cały rok przesiadywał on w rozmaitych więzieniach, wreszcie w lutym 1847 r. wywieziono go do Moabitu pod Berlinem. Pół roku znowu czekać musiał na sąd; nie złamało go jednak więzienie, owszem, potrafił w niem nawet pracować. Przygotował wówczas do druku swój «Fejleton polityczno-literacki» zawierający rozmaite artykuły polityczne, społeczne i literackie, jak również opracował «Dziewicę orleańską», ustęp z dziejów Francyi.

Dnia 2 sierpnia 1847, rozpoczął się w Berlinie proces sądowy i trwał przez cztery miesiące. W dniu 7 września wygłosił Libelt mowę obronną, w której nie zaparł się swych przekonań politycznych ani swego udziału w ruchu rewolucyjnym, żadnego też ze swoich towarzyszy nie zdradził. Mowa ta dochowała się w całości w dziele Juliusa: *der Polenprozess*, a wyszła również w osobnej odbitce p. t. *Vertheidigungsrede vor dem Kammergerichte zu Berlin in der Sitzung am 7 September* (Berlin 1847) Wyrokiem z dnia 2 grudnia 1847 r. Libelt skazany został na 20 lat więzienia. Niedługo jednak pozostawał w więzieniu. Uwolniła go rewolucya, która wybuchła w Berlinie w marcu 1848 r. Dnia 20 marca wskutek prośby Polaków berlińskich, a bardziej jeszcze z obawy przed groźną postawą tłumów, król pruski ogłosił amnestyę więźniów, i Libelt wypuszczony został na wolność. Więźniów politycznych, pomiędzy którymi był Libelt i Mierosławski, wyprowadził tłum w tryumfie z więzienia i uformowawszy się w pochód ruszył przez ulice Berlina. Entuzyazm rósł i wśród okrzyków: «Niech żyje wolność i braterstwo»! — tłum wyprzągł konie od powozów, w których siedzieli polscy rewolucyoniści i zaciągnął je aż przed zamek królewski. Tu zmuszono króla do ukazania się na balkonie, oddania hołdu Polakom i do obietnicy nadania konstytucyi. Przemawiali Libelt i Mierosławski, dziękując ludowi za uwolnienie i nawołując do braterstwa. Zaczęły się gorące dni. Zaraz nazajutrz zorganizowano w Berlinie komitet, do którego weszli: Libelt, Mierosławski, pułkownik Biesiekierski i inni, a którego celem było wyjednanie u rządu ustępstw dla Księstwa poznańskiego. Równocześnie powstał w Poznaniu Komitet narodowy, który wysłał do Berlina deputacyę celem porozumienia się co do solidarnego działania z rodakami. Król Fryderyk Wilhelm przyrzekł deputacyi mianowanie komisyi, mającej się zająć reorganizacyą Księstwa w duchu potrzeb narodowych. Niebawem komisya ta rozpoczęła narady w Poznaniu. Libelt przybył tam w dniu 27 marca, witany entuzyastycznie przez tłumy publiczności. Wszedł zarówno do Komisyi reorganizacyjnej, jak i do wybranego poprzednio Komitetu narodowego, który niezależnie od prac Komisyi rozpoczął przygotowania do powstania. Spodziewano się wojny niemiecko-rosyjskiej, w którejby pułki polskie mogły stanowić przednią straż armii niemieckiej. Pod wodzą przybyłego w Poznańskie Mierosławskiego tworzono organizacye wojskowe i układano plan kampanii. W trakcie tego przyjechał do Poznania jenerał Willisen z instrukcyami królewskiemi i rozpoczął rokowania z Komitetem. Wyjawiła się w całej pełni dwulicowa polityka rządu. Willisen obiecywał oddanie urzędów w Księstwie w ręce polskie, ale o wojnie z Rosyą nie wspominał; owszem przeciwnie zażądał rozpuszczenia oddziałów powstańczych lub przynajmniej znacznego zredukowania ich. Komitet przyparty koniecznością zgodził się na te żądania, zawarł ugodę w Jarosławcu, rozpuścił wojsko, i tym sposobem nietylko zrezygnował z wojny z Rosyą ale i rozbroił się wobec Prus. To też rząd zaczął powoli wycofywać się z wszystkich obietnic, a wojska pruskie zaczęły prowokować nieliczne oddziały polskie rozlokowane we Wrześni, Książu i Miłosławiu. Po kilku mniej lub więcej nieudałych potyczkach, w maju 1848 r. oddziały polskie przestały istnieć, w Księstwie zaś zapanował stan, w jakim znajdowało się ono przed rewolucyą marcową.

Libelt brał udział we wszystkich pracach Komitetu, podpisał też ugodę jarosławiecką, czem ściągnął na siebie wiele niechęci i nieprzyjemności. To stanowisko Libelta wytłumaczyć sobie można poprostu brakiem wiary w powodzenie powstania i obawą przed daremnym rozlewem krwi, wszelkie względy małostkowe upadają wobec bezwzględnej szczerości jego przekonań, ofiarności i poświęcenia, jakiem się odznaczał przez całe życie. Według Henryka Szumana zasługą Libelta było, że w wypadkach 1848 współdziałały ze sobą wszystkie warstwy społeczeństwa i że ruch powstańczy nie zwrócił się przeciwko szlachcie. — W tym czasie bierze Libelt udział w licznych zjazdach i kongresach

w rozmaitych miastach Europy i tak: we Wrocławiu na zjeździe polskim, gdzie uchwalono założenie Ligi polskiej w Poznaniu, we Wiedniu, na zjeździe słowiańskim w Pradze, gdzie należy do redakcyi «Manifestu słowiańskiego Kongresu do Europy» w którym jego postępowe i demokratyczne idee znalazły pełne odzwierciedlenie. Po zbombardowaniu Pragi przez wojsko austryackie (w czerwcu 1848 r.) wyjechał Libelt do Karlsbadu, gdzie go nawet przez jakiś czas więziono. W październiku tego roku wybrany został posłem do parlamentu frankfurckiego. Na jednem z posiedzeń wygłosił wspaniałą mowę, protestującą przeciwko zaborowi krajów polskich przez Niemcy i żądającą, aby o wcielaniu krajów nie niemieckich do związku państwa niemieckiego zdecydowały sejmy tych krajów jako najwyższe instancye. Parlament odrzucił ten protest iwnioski, wobec czego Libelt złożył mandat i wyjechał z Frankfurtu.

Powróciwszy do kraju, oddaje się Libelt w dalszym ciągu pracy publicznej, ustawicznie hamowanej i uniemożliwianej przez wrogi nastrój rządu pruskiego. Wchodzi do zarządu Ligi polskiej, stowarzyszenia politycznego, mającego na celu wywalczenie dla narodu zasadniczych praw i swobód politycznych. Działalność Ligi trwała jednak niecałe dwa lata, gdyż w r. 1850 została przez rząd rozwiązana, Taki sam był koniec założonego przez Libelta w r. 1849 «Dziennika Polskiego, pisma poświęconego polityce i sprawie narodowej na zasadzie wolności, równości i braterstwa». Pismo to przestało wychodzić w czerwcu 1850 r.

W ten sposób odsunięty od wszelkiej działalności publicznej, przenosi się Libelt w r. 1850 na wieś do majątku żony swej, Czeszewa, gdzie przebywał już do końca życia. Zajęty gospodarstwem, nie zaniedbywał jednak pracy naukowej, nie przestał interesować się życiem publicznem, brał nawet jeszcze udział w pracach rozmaitych towarzystw. Wydaje wówczas trzy dalsze tomy «Filozofii i Krytyki» t. j. «Estetykę i System umnictwa czyli filozofii umysłowej», dalej «Pisma pomniejsze» w 6 tomach, gdzie zawarte są wszystkie niemal jego artykuły o najrozmaitszych kwestyach, rozproszone po czasopismach, «Humor i prawdę w kilku obrazach» i «Żywot Jędrzeja Moraczewskiego».

Nie było jednak danem Libeltowi zażywać wczasów wiejskich. W roku 1859 bowiem wybrany zostaje posłem na sejm pruski z okręgu wągrowiecko-gnieźnieńskiego i znowu oddaje się pracy publicznej pełniąc obowiązki poselskie do r. 1870 jako prezes Sejmowego Koła polskiego w Berlinie. Powstanie styczniowe zabrało mu ukochanego syna Karola, który zginął w potyczce pod Osówkiem w kwietniu 1863 r. Zaledwie zdołał ochłonąć po tej stracie, umarła mu żona, z którą żył przez długie lata, w miłości i harmonii. Wszystkie te ciosy (a i upadek powstania styczniowego nie był najmniejszym z nich), znosił mężnie i nie ustawał w pracy publicznej. Jako prezes poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, w którego założeniu brał czynny udział, zajmował się żywo zwłaszcza wydziałem literackim. Wszystkie niemal

instytucye ubiegały się o to, żeby go mieć wśród swych członków. Akademia Umiejętności w Krakowie mianowała go członkiem zagranicznym, Towarzystwo naukowo-literackie zaś we Lwowie zaprosiło go w r. 1869 do wygłoszenia kilku odczytów. Pobyt Libelta w Krakowie i we Lwowie zwłaszcza, wywołał cały szereg entuzyastycznych manifestacyi i objawów czci dla wybitnego filozofa, niezrównanego publicysty, niezmordowanego szermierza idei demokratycznej. Uczczono go nietylko jako człowieka, ale jako przedstawiciela dzielnicy Wielkopolskiej, dźwigającej się — za jego przeważnie sprawą — ku postępowi i świadomości narodowej.

Pod koniec życia przeniósł się Libelt na poblizki folwark Brdowo oddawszy Czeszewo synowi swemu Pantaleonowi. Mimo rozwijającej się choroby sercowej i ataków apoplektycznych pracował dalej w «Tygodniku Wielkopolskim» i przystąpił do nowego wydania swych pism (Poznań 1874), których wyszło jednak tylko 6 tomów. Umarł w Brdowie dnia 9 czerwca 1875 r.

Działalność piśmiennicza Libelta zdumiewa przedewszystkiem bogactwem i wszechstronnością. W załączonym poniżej spisie jego dzieł znajdują się prace z najrozmaitszych dziedzin: filozofii, estetyki, literatury, polityki, ekonomii, pedagogii, matematyki, nauk przyrodniczych i archeologii, w każdym zaś z tych działów, rzeczy istotnej wartości. Połowę tej spuścizny stanowią prace filozoficzne, i jakkolwiek dzisiaj bardziej może interesować mogą inne strony jego działalności — to jednak i tutaj znaleźć można wiele myśli i poglądów, mających trwałe znaczenie. Libelt jest heglistą raczej w metodzie, niż w zasadach swej filozofii. «Pisma moje — powiada — stoją niejako na rozdrożu pomiędzy idealizmem a realizmem» («Filizofia i krytyka», wyd. II, t. I, str. XVII). Przyznaje, że jest uczniem Hegla, ale nie może przyjąć ostatecznych konsekwencyi jego filozofii t. j. samowładztwa rozumu. Rozum jest dla niego nie jedyną, ale jedną z władz, którą sprowadzić trzeba na stanowisko współrzędne z innemi władzami ducha ludzkiego, t. j. przedewszystkiem z wyobraźnią i wolą. «Istota rozumu jest krytyczna, rozdzielająca, rozbierająca. Ona nie może wypełniać sama jedna istoty ducha, bo nie buduje ale niszczy». Niszczy przedewszystkiem albo przynajmniej rozwiązać nie może tego, co dla Libelta i większości ówczesnych filozofów polskich było kamieniem węgielnym wszelkich systematów, t. j. osobowości Boga i nieśmiertelności duszy. Jednak nietylko o to chodzi. Libelt zdaje sobie doskonale sprawę z granic rozumu poznającego. Wie, że może on być jedynie «oświecicielem», a niema w nim ani «stworzyciela» ani «odkupiciela», że może tylko w i e d z i e ć, ale nie s t w a r z a ć, tworzyć życie *in potentia* nie *in actu*. Z tej obawy przed abstrakcyą, tęsknoty do czynu i zmysłu rzeczywistości, płynie potrzeba innego stanowiska filozoficznego. Teoretycznie uzasadniał ją metodą swego mistrza Hegla. Wszak po każdej tezie musiała następować antyteza. Antytezą filozofii niemieckiej miała być filozofia słowiańska, oparta na pierwiastkach ludo-

wych. I tu następuje rozminięcie się z Heglem. Naczelne miejsce w systemacie Libelta zajmuje nie rozum, ale «um». Rozum to — według niego — rzeczownik od «rozumieć» — «um» od «umieć». Rozum to władza teoretycznego poznania, tworzenia i kombinowania pojęć, której dziedziną nauka — «um» to władza czynna, twórcza, działająca w życiu i w sztuce. Taki też charakter ma mieć filozofia słowiańska. Libelt zdaje sobie sprawę z wartości i wagi filozofii dla życia; ale właśnie dlatego chce ją ściągnąć z katedry i wprowadzić w życie, odebrać jej charakter czegoś, co już było, co się traktuje tylko historycznie, co niema żadnego związku ze sprawami ludzkiemi — chce żeby się stała prawdziwą mistrzynią życia, podstawą, na którejby się ono oparło, pomocą w rozwiązywaniu wszelkich t. zw. zagadnień praktycznych. W tak pojętej filozofii musi wystąpić motyw narodowy, jako zasadniczy i integralny. I dlatego to Libelt pragnie stworzyć filozofię słowiańską, oprzeć ją na pierwiastkach narodowych, najczyściej przechowanych w ludzie. Nie można ich bowiem znaleźć w inteligencyi, wśród uczonych narodu, gdyż oni przedstawiają wiedzę ogólną, bezkształtną, bezbarwną. Rzeczywisty pierwiastek narodowy, tchnienie ducha narodowego znajduje się wśród samego ludu, nietkniętego inteligencyą, amalgamującą narody i zacierającą narodowe odcienia. Na tle tych pierwiastków, skodyfikowanych przez Libelta w «dekalogu filozofii słowiańskiej» — rozwinąć się musi filozofia polska. Nie będzie ona (jakby się zdawać mogło) apologią ciemnoty czy demonologii ludowej, przeciwnie, oprze się o jaknajszerszą wiedzę, ale przesiąkniętą narodowością. Takie były zamiary Libelta. Nie zdołał jednak przeprowadzić ich nawet formalnie, bo zostawił tylko System umnictwa i Estetykę, nie mogąc z powodu nawału innych zajęć wykończyć swego systematu. W spuściznie tej filozoficznej są oczywiście rzeczy rozmaitej wartości: przestarzałe, do przeszłości należące, obok nowych i płodnych. «W całości swej — przytaczam słowa Chmielowskiego — nie może być przyjęta za podstawę do dalszych prac na polu filozofii i teoryi sztuk pięknych. Zapatrujemy się na nią jako na cenny zabytek przeszłości, jako na owoc trudów długoletnich umysłu samodzielnego, a wielce utalentowanego, jako na zbiór wielu spostrzeżeń trafnych, wielu obrazów pięknych, wielu myśli wzniosłych, ale nie połączonych z sobą w taki sposób, iżbyśmy w nich mogli znaleźć wyjaśnienie wszystkich objawów wszechświata, wszystkich zjawisk piękna».

W powyższej, krótkiej charakterystyce Libelta, jako filozofa, pragnęliśmy zwrócić uwagę na te właśnie momenty, które, naszem zdaniem, mają znaczenie trwałe, a mianowicie: jego krytykę rozumu i pojęcie filozofii. Do zasług Libelta należy również zwrócenie uwagi na wyobraźnię, jako na czynnik kształtujący, i jej wielką rolę w życiu. Z ogólnem stanowiskiem filozoficznem Libelta łączą się jego poglądy polityczno-społeczne. Jeżeli znamionami filozofii słowiańskiej mają być pojęcia ludowe, nawet tak trącące mistycyzmem, jak związek świata

ziemskiego z nadziemskim, »wewnętrzne pochwycenie prawdy» i t. p. — to i w życiu państwowem, polityczno-społecznem czy narodowem, lud musi być uznany za podstawę i najważniejszy czynnik twórczy. Libelt jest też demokratą z krwi i kości, jednym z najczystszych i najgłębszych pionierów myśli demokratycznej u nas. Podczas przyjęcia go przez Towarzystwo demokratyczne lwowskie w ten sposób określił swoje stanowisko: «Całe życie wyznawałem zasadę demokratyczną; wiara moja polityczna była i jest zawsze demokratyczna. Dowodzi tego wszystko, co działałem i fakt ten, że byłem członkiem Towarzystwa demokratycznego polskiego do r. 1846. Uważałem zawsze, że lud jest podstawą i siłą społeczeństwa, że przywrócić mu należy prawa, przywłaszczone przez mniejszość. Na zasadach wolności, równości i braterstwa, wyrobić trzeba ludowi temu samorząd taki, aby rządził się sam, zapomocą organów przez niego wolno wybranych, aby, gdy stanowić trzeba o jego majątku, krwi i życiu nawet, sam o tem stanowił, a nie kto inny. Tak pojmowałem i pojmuję demokracyę». Zasadom tym pozostał wierny przez całe życie, i rozwijał je w długim szeregu rozpraw i artykułów, w całej swej działalności politycznej, społecznej i pedagogicznej. Umiał przytem zaletami swego charakteru i umysłu, swą wielką tolerancyjnością i bezstronnością zjednywać sobie przeciwników politycznych, a często zaprzęgać ich nawet do wspólnej, solidarnej pracy. To wszystko zjednało mu olbrzymią popularność i znaczenie, szczególniej wśród społeczeństwa wielkopolskiego. Nazywano go tam dyktatorem, patryarchą i tem też rzeczywiście był, a przedewszystkiem oddanym, troskliwym, czujnym, wszechstronnym i głębokim nauczycielem swego narodu.

BIBLIOGRAFIA.

I. Wydania pism. «Analiza spektralna», przez ... (Odbitka z Przeglądu Polskiego), Kraków 1869. — «Dwaj bracia Śniadeccy», Odczyt w Kole towarzyskiem poznańskiem, dnia 12 stycznia 1866 r. Poznań 1866. — «Dziewica Orleańska«, ustęp z dziejów Francyi, napisał ... (Tłómaczenie z Görresa, pomnożone według Micheleta), Poznań 1847. Toż, wydanie drugie, Poznań 1852. Toż, wydanie trzecie. Warszawa 1874 (W tomie I. Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej). «Dziennik polski polityczny», Poznań od 7 czerwca 1849 i 1850 r. Redaktor Dr. Libelt w r. 1850, współredaktor Berwiński Ryszard. Pismo poświęcone polityce i sprawie narodowej na zasadzie wolności, równości i braterstwa. Ustał z dniem 30 czerwca 1850 r. — «Felieton polityczno-literacki», Poznań 1846. (Obejmuje: Polska i reformatorowie (ulepszenia stosunków ludu); Kompozycye Dobrzyńskiego; Jenerał Jackson; Wojna meksykańska; Proces czeladzi stolarskiej w Paryżu; Pauperyzm; Lady Stanhope; Stosunki religijne w Ameryce; Buellow-Kummerow; Sprawa konstytucyjna w Prusiech; Demokracya XIX wieku; Reformy Judaizmu; Kilka recenzyi). — «Kwestya żywotna

filozofii». O samowładztwie rozumu. Część krytyczna. Poznań 1845 (Tom I. Filozofii i krytyki). — «Filozofia i krytyka». Tom II: Estetyka czyli Umnictwo piękne. Część ogólna. Poznań 1849. Toż samo. Tom III i IV: System umnictwa czyli Filozofii umysłowej. Tomów II. Poznań 1849—50. — «Estetyka czyli Umnictwo piękne». Tom I. Część ogólna. Tomu I. wydanie drugie poprawne. Petersburg 1854. Tom II. Część I i II. Piękno natury plastyczne. Petersburg 1854—55. — «Humor i prawda w kilku obrazkach». Petersburg 1852. (Treść: Kobieta i uczoność; Kobieta i rozsądek; O fałszowaniu win; Jak się przedstawia dzisiejsza massa literatury niemieckiej; Arystokracya pieniędzy we Francyi; Posłuchanie; Ustęp z czasów Napoleona; Gra w szachy; Cierpienia narzeczonych). — «Wcielające się idee czasu». (Osobne odbicie z Przeglądu Polskiego). Lwów 1869. — «Kanał Suezki i jego cywilizacyjne znaczenie». (Przedruk z Rocznika Towarzystwa nauk. pozn.). Poznań 1871. — «O kometach i gwiazdach spadających». Wykład popularny, według odczytu mianego we Lwowie w kwietniu 1869 r. Lwów 1869 (nakład wydawnictwa «Mrówki»). — «Koalicya kapitału i pracy». Poznań 1868. — «De pantheismo in philosophia». Dissertatio inauguralis... Berolini 1830.

Pisma Pomniejsze. Tom I i II. Pisma polityczne. Oddział I i II. Poznań 1849. — Toż, tom III. Rozprawy naukowe. Poznań 1850. — Toż tom IV, V, VI. Pisma krytyczne i różne. Poznań 1851. (Zawierają: I. O odwadze cywilnej. O miłości ojczyzny. Pomysły o wychowaniu ludu. Polska i reformatorowie. Wojna meksykańska ze Stanami Zjednoczonemi. Jenerał Jackson i Lord Grej. Pogląd na stosunki religijne Ameryki północnej. Proces stolarski w Paryżu. Pauperyzm. Sprawa konstytucyjna w Prusach. — II. O organizacyi stosunków rolniczych we Francyi. Demokracya, demagogia i arystokracya. Jezuityzm nowoczesny. Cztery rozprawy pana Bülow-Kummerow. Demokracya XIX w. Reformy Judaizmu. Towarzystwa i towarzyskość. O emancypowaniu się stosunków familijnych. O politycznem znaczeniu kobiet. O kierunku pism czasowych. Kolej oświaty. O posłannictwie dziejowem narodów. — III. Rozprawy naukowe: Kurs literatury niemieckiej. Ludy germańskie uważane w spełnianiu dziejowego posłannictwa. Myśl, słowo i czyn. O astronomii w Polsce. Potęga muzyki. Filologia, filozofia i matematyka, uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania. O filozofii przedmiotowej. Rozmowy perypatetyczne o rzeczach filozofii. — IV. Pism krytycznych I. Rozbiory, po największej części dzieł niemieckich z polityki i ekonomii politycznej. — V. Pism krytycznych II. Rozbiory przeważnie dzieł polskich. — VI. Pisma różne: O szkole realnej. Nauczyciel pod względem narodowym. Prelekcye w Poznaniu. Prelekcye Mickiewicza. O Stowarzyszeniach. Towarzystwo naukowej pomocy. Towarzystwo agronomiczne prow. W. Księstwa Poznańskiego. Projekt upowszechnienia dzieł dla ludu. Kobieta w Ameryce. Lord Brougha mo niewoli Negrów. Hoene-Wroński. R. Lenoir. Śmiertelność między ludźmi. Filozofia angielska. Wspomnienia z nad jeziora Boden). — «Rozprawy

o odwadze cywilnej, miłości ojczyzny i wychowaniu ludów», Kraków 1869. — «System umnictwa czyli filozofii umysłowej». II Części. Wydanie drugie, powiększone. Poznań 1857. — «Vertheidigungs Rede vor dem Kammergerichte zu Berlin in der Sitzung am 7 September 1847. (Przedruk osobny z dzieła: Julius: Der Polenprozess etc.) Berlin 1847. — «Wykład matematyki dla szkoł gimnazyalnych. (Ułożony według Ohma i Telkampfa). Tomów II. Poznań 1844. — «Znaczenie całkowitego zaćmienia słońca, przypadającego w dniu 18 sierpnia 1868 roku». — Rzecz odczytana na publicznem zebraniu Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu, dnia 13 czerwca 1868. Poznań 1868. — «Żywot Jędrzeja Moraczewskiego przez ... i zdanie Joachima Lelewela o Dziejach Rzeczypospolitej Polskiej Jędrzeja Moraczewskiego». Poznań 1855.

Dzieła: Filozofia i krytyka przez ... Drugie wydanie, Poznań 1874—75. Tom I: Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej. Część krytyczna. Tom II: System umnictwa czyli filozofii umysłowej. Część pierwsza. Tom III: Część druga. Tom IV, 1875: Estetyka czyli Umnictwo piękne. Część ogólna. Tom V: Piękno natury, Część pierwsza. Tom VI: Estetyka czyli Umnictwo piękne. Piękno natury plastyczne. Część druga, Poznań 1875 (Żupański miał wydać 3 serye, każda po 6 tomów, lecz zaniechał wydawnictwa). — «Psałterz floryański i Biblia królowej Zofii. Dwa najdawniejsze pomniki piśmienne starożytnej polszczyzny». Poznań 1872.

W nowszych czasach ukazały się następujące wydania pism Libelta: «Wybór pism» ze wstępem Dr. W. Hahna, Warszawa 1908 (wydawnictwo «Książki dla wszystkich» Arcta, 3 tomiki zawierają: «Pomysły o wychowaniu ludów», «O odwadze cywilnej» i «O miłości ojczyzny»). — «O miłości ojczyzny». Opracował Dr. Wiktor Hahn, Brody 1907 (Księg. Westa). Toż samo ze wstępem Wł. Korotyńskiego. Warszawa, 1907 (Tania Biblioteka dla wszystkich).

II. Prace o życiu i pismach Libelta. Dział ten jest ogromnie ubogi. O życiu Libelta mamy właściwie tylko dwie prace: t. j. H. Szumana: «Rys życia i działalności Karola Libelta», Poznań 1876 (przedruk z «Dziennika poznańskiego») i opartą na niej rozprawą W. Hahna: «Karol Libelt» (w setną rocznicę urodzin). Lwów 1907 i tegoż: «K. L. we Lwowie w r. 1869». Lwów 1907. O pismach Libelta mamy kilkanaście rozprawek, które tu kolejno podaję: Tyszyński o «Filozofii i krytyce» w Rozbiorach i krytykach, tom I. Petersburg 1854. Tamże tom III o «Humorze i prawdzie»; o «Estetyce» Libelta wreszcie w «Pismach krytycznych», tom I, Kraków 1904. — Krupiński: «Kremer i Libelt», Tygodnik illustr. 1875; tenże: «K. Libelt», Tyg. illustr. 1870; tenże w dodatku do Historyi filozofii Szweglera (Warszawa 1863) p. t. «O filozofii w Polsce». — Struve: «J. Kremer i K. Libelt, charakterystyka ich dążności filozoficznych», Kłosy 1875. — Dr. A. Molicki: «Stanowisko filozofii K. L. i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich». Lwów 1875. — Straszewski: «J. Kremer i K. Libelt» Przegląd polski 1875/6. — Chmielowski: «Filozofia

i krytyka przez K. L.», Gazeta polska 1876. — St. Koźmian: «K. L.». Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań, tom IX. — Jarochowski: «Literatura poznańska». Poznań 1880. — Nehring: «K. L.» Allgemeine Encyklopädie der Wissenschaften und Künste von Ersch u. Gruber, 1889. — W. Hahn: «K. L. jako pedagog», Muzeum 1907. — Tenże: «K. L. jako krytyk literacki». Pamiętnik literacki 1907. — Wład. Witwicki: «K. L.» Przegląd filozoficzny, 1908.

A) Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej (1845).

(Filozofii i Krytyki tom I, wydanie II, Poznań 1874).

Jest to «część krytyczna» systematu filozoficznego Libelta. Zawiera krytykę rozumu jako nie wypełniającego całkowitej istoty ducha. Następnie określa «ostateczne wypadki filozofii samego rozumu» t. j. daje krytykę systematów Kartezyusza, Spinozy, Leibnitza, Kanta, Fichtego, Schellinga, Hegla i jego szkoły. Z kolei zastanawia się Libelt nad kwestyą czy możliwa jest filozofia narodowa, gdzie szukać jej pierwiastków i formułuje słynny «dekalog filozofii słowiańskiej». Wreszcie rozpatruje filozofów polskich stanowiących — według niego — przejście do filozofii słowiańskiej t. j. Cieszkowskiego, Trentowskiego, Bochwica, Królikowskiego, Hoene-Wrońskiego i Bukatego, przyczem poświęca osobny rozdział mistycyzmowi, mesyanizmowi, Mickiewiczowi i nauce Towiańskiego. Dajemy tu ostateczne wnioski krytyki rozumu, dekalog i wreszcie rzecz o «filozofii czynu».

778) *Str. 15—18.* Nie wyprzedzając jednak tego, coby już do części organicznej naszego pisma należało, bierzemy rozum w znaczeniu, w jakim go mieć chce filozofia niemiecka, w znaczeniu d u c h a (raczej d u c h o w o ś c i) będącego p o j m u j ą c y m s i ę r o z u m e m — i wyprowadzamy ztąd konieczne następstwa.

a) J e d y n o w ł a d z t w o r o z u m u. Ponieważ rozum sam całą istotę ducha wypełnia, niema więc nic duchowego, prócz rozumu. Świat społeczny i świat natury, są manifestacyą samego rozumu, materyał zaś tej manifestacyi jest przypadkowy, przemienny, bez ceny, bez znaczenia.

Rzeczywistością świata widomego jest rozum, sama wiadomość jest niczym, — jest kawałkiem drzewa i kawałkiem gałgana przy tronie rozumu [1]). Przed rozumem w pył się obraca

[1]) P l u n d e r, jak się Michelet wyraża. *(Przyp. Aut.).* Libelt powołuje się tu na filozofa niemieckiego K. L. Micheleta. *(Przyp. Red.).*

wszelka materyalność. Instynkt, uczucie, wyobraźnia, i wszystko, co z tych antyrozumowych pierwiastków wypływa, ciemnością jest, i nie ostoi się przed rozumem. Przeczucia, proroctwa, natchnienia, jasnowidzenia i t. p. jeżeli nie są fałszerstwem, są słabym przebijaniem się ducha w omacku materyi — skutkiem krwi lub słabości nerwów i dlatego nie mogą iść w porównanie z jasnem widzeniem pojmującego się rozumu. Wiara ludu i jego tradycya są podobnie spaczoną, początkową wiedzą prawd żywotnych, — uwikłaną w cudotworną fantazyą ludzi. — Religia sama, by też i chrześcijańska — ślepa jest i sam rozum tylko ją do godności i uzacnienia dowieść może. Niema zatym innego pierwiastku wiekuistego ducha prócz rozumu, i dlatego rozum wszystko owładnąć musi, i wszystko podciągnąć pod prawa swoje, wszystkiemu nadać sankcyę, a co tej sankcyi nie ma, bytu nie ma, niczym jest. Takie jedynowładztwo rozumu jest czystym d e i z m e m żydowskim jest to B ó g I z r a e l a wyłączający wszystkich innych bogów, sam bez troistości osób w sobie. Trójca chrześcijańska ma tę głęboką prawdę, iż jest zniesieniem samej nieograniczonej władzy Boga. W jednym Bogu są trzy osoby: S t w o r z y c i e l a, O ś w i e c i c i e l a i O d k u p i c i e l a, czym zniesione jedynowładztwo, któreby musiało być zatraceniem świata. Duch filozofii niemieckiej, jako pojmujący się rozum, jest pojęty jedynie jako O ś w i e c i c i e l, niema w nim ani S t w o r z y c i e l a, ani O d k u p i c i e l a. To co filozofia za trójcę w Bogu podaje, jest abstrakcyą, nie trójcą indywidualnego żywota trzech osób.

b) K r y t y c y z m r o z u m u. — To jedynowładztwo rozumu i nadawanie wszystkiemu sankcyi, robi bezpośrednio stanowisko jego krytycznem i nadaje właśnie wysoką jego wartość. Rozum wszędzie szuka siebie, a gdzie siebie nie znajduje, p r a w d y nie znajduje, ale f a ł s z, nie s ą d, ale p r z e s ą d. Rozum więc pochodnią prawdy i przy jej świetle świat odróżnił ciemność od jasności, istotę prawdy od pozoru prawdy. Jest to, jak się rzekło, duch oświeciciel, który z nami jest po wszystkie wieki, i naucza nas wszelkiej prawdy. Atoli dwie ujemne stronyz tej krytycznej natury rozumu podają się bezpośrednio:

a) Rozum, który wszędzie tylko siebie szuka, niema i nie

potrzebuje pierwiastku organicznego, którymby coś kształtował, tworzył, z siebie do pojawu wyprowadzał. Rozum więc sądzący i wnioskujący, dociekający i pojmujący — jest w tych wszystkich przedmiotach tylko wiedzeniem siebie, ale jest bezmocen stać się stworzycielem. On siebie wie i pojmuje w przeszłości — ale on tej przeszłości potęgą swoją nie zbudował, bo dopiero przez to, że się stało, pojął się, iż się tak stać musiało, ale przed czynem tego pojęcia nie miał; — on siebie wie w teraźniejszości, ale i tej nie stworzył, bo ona jest dzieckiem przeszłości, która się przed wiedzą jego rozwinęła; — on siebie wiedzieć może nawet w przyszłości, ale jak wedle tej wiedzy tę przyszłość zbudować, do tego niema potrzebnego żywiołu. W ogóle więc rozum nie jest i nie może być budującym, organicznym.

b) Jeżeli jednak przeszłość zbudowała się i przyszłość się wciąż buduje, więc musi być inny pierwiastek ducha, mający siłę wywołania świata widomego do życia; — rozum, który wszystko zanegował, i ten twórczy pierwiastek w duchu zanegować musiał. Duch oświeciciel zanegował ducha stworzyciela. Negacya ta, nietylko jest pominięciem, niedopatrzeniem tego pierwiastku twórczego w duchu — ale jest jego nieuznaniem; a za tem *dissolucyą* tego wszystkiego, cokolwiek siłą onego pierwiastku twórczego ukształtowało się. Najokazalszy tego dowód, bo na wielką skalę, mamy w protestantyzmie, gdzie rozum nurtujący podminował całe fundamenty wielowiecznego gmachu chrześciaństwa, i wszystkie kształty i formy, siłą twórczą ducha kształtującego do żywota powołane, rozwiązał, zulotnił. Nic a nic z całego chrystyanizmu nie zostawił, prócz nagiej idei — bez ciała, bez kształtu.

c) Abstrakcya rozumu. Rozum, jako rozwiązujący wszystkie kształty, a do tego jedynowładny, byłby straszliwą potęgą, i rozwiązałby cały świat kształtów, byłby, jakom to rzekł, zatraceniem świata. Ale ta negacya i to jedynowładztwo obraca się w sferze samej bezwładnej myśli, wszędzie się znajdującej i wszędzie się wiedzącej, ale nic nie tworzącej. — Rozum, że niema pierwiastku kształtującego, nie tylko nie może nic stworzyć, ale nie może i nic rozwalić, sam nie ma siły, aby wyjść z siebie do czynu. Ztąd to protestantyzm rozwiązał

się w teoryi, ale w praktyce stoi silnymi jeszcze korzeniami, ujęty w sercach ludu i teorya rozumu go nie rozwali, jeżeli się nie oblecze w ciało ukształtowane, nie nabierze żywota, ażeby z tym, co ma kształt i żywot, poszła w zapasy. Kiedy chrystyanizm rozwalał poganizm, nie rozwalał go myślą ale wiarą, która na sercach ludzkich dla tej nowej religii kościół zbudowała — kościół żywy, nie kamienny — kościół w krwi i ciele, dla tego kościół wojujący i tryumfujący.

Tego żywota z krwi i ciała nie ma rozum, nie ma żadna idea jego. Jest on myślą pełną wiedzy i to jego stanowi wypełnienie *(konkretyzm)*, ale nie ma żadnego pierwiastku w sobie, aby z tej martwej wiedzy ruszył się, wyszedł z siebie — bo ruch, wyjście, działanie, czyn — są to materyalne pojęcia, niegodne rozumu — będącego poważnym, wiecznym spokojem wiedzy. I dla tego to nazwaliśmy rozum, mimo jego pełni wiedzy, abstrakcyą. Abstrakcyą w naszem znaczeniu jest to, co się oderwało od wszelkiego kształtu, od wszelkiej materyalności i dla tego jest martwe, jest życiem *in potentia*, ale nie żywotem, nie życiem *in actu*. Pod tym względem abstrakcyą jest i absolutna idea Heglowska, jako najwyższa pełnia wiedzy, najwyższe *concretum*, — i najniższa idea bytu *(das Sein)* żadną a żadną wiedzą nie wypełniona.

Z tego rozwinięcia i rozjaśnienia istoty rozumu pokazuje się, że jeżeli istotą bezwzględnego ducha ma być rozum, najwyższemi jego kategoryami mogą być takie tylko kategorye, w których nie ma jeszcze wyjścia ducha z siebie do kształtu, do czynu, do żywota. Takimi kategoryami są: subjektowość, objektowość i subjekt-objektowość, ta ostatnia nie jest osobą, jak to chcą mieć filozofowie niemieccy, ale jest istotą wiedzącą się, bezwzględną. Istota już jest istnieniem wypełnionem, ale jeszcze nie jest osobą. Bóg pojęty jako duch, ma wyższe kategorye, które częścią znachodzimy z imienia tylko w filozofii niemieckiej, jak indywidualność i osobowość, nieśmiertelność i żywot wieczny — częścią nie znachodzimy ich wcale, jak kategorye tworzenia, odkupienia i oświecenia, oddawna złożone w pojęciu jedynego Boga, w troistości osób.

779) *Str. 87—89.* Wszakże, przypatrując się bliżej jego [*t. j. ludu*] pojęciom, pokazuje się jeszcze, że duch i Bóg nie są u niego idee martwe, bezkształtne, ale i owszem w pełni żywota pojęte i upostaciowane. — Bóg i cały świat duchów zapełniają świat ziemski i kierują i opiekują się sprawami i żywotem ludzi; od nich pochodzi wszelka pomoc. Życie bogobojne, ascetyczne, post i modlitwa prowadzą człowieka do bezpośredniej styczności ze światem duchów; nie tylko czuje on ten świat, ale i ogląda zmysłami swoimi. Sama nauka i sztuka nie prowadzi do Boga, ale do szatana (Twardowski). Szatan jest duch złego, ale w prochu przed Bogiem. Niema więc *dualizmu.* — On wtenczas dopiero ma przystęp do człowieka, gdy go Bóg opuścił.

Nieśmiertelność jest osobowa, indywidualna, czynna. — Dusze po śmierci, albo wypłacają się z grzechów przez pokutę, w czym im człowiek dopomódz może: albo wstępują w zastępy duchów ubłogosławionych, którym opieka nad światem oddana. Jest hierarchia duchów, jak jest hierarchia ludzi. Żywot wieczny jest zatym owym pobytem w królestwie bożem, pełnym życia duchów błogosławionych i nieustannego związku z ludźmi na ziemi. Natura jest święta, jako dzieło boskie. Zwierzęta, twory i żywioły czują i słuchają Pana, stwórcę swego. — W naturze złożony skarb tajemnic. Człowiek za pomocą Boga wywiera władzę swoją nad żywiołami, czyli ma moc czynienia cudów.

Oto w zarysie duchowe pojęcia ludu. Filozofia słowiańska może te pojęcia rozwinąć, podnieść do umiejętności, ale nie może być tym pojęciom przeciwną. Filozofii takiej znamiona będą zatym następujące:

1. Pierwiastek jej nie musi zrywać tej jedności świata widomego ze światem niewidomym, ale i owszym, położyć ten związek dwóch światów za zasadę.

2. Musi odrzucić samowładztwo rozumu i na równi z nim położyć wewnętrzne, bezpośrednie pochwycenie prawdy, mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym.

3. Musi duchowym pojawom swoim dać wyobrażalność to jest pojmować ducha, jako ukształtowaną indywidualność, jako osobę.

4. Istotą ducha musi być żywot — czyn — rzeczywistość.

5. Wszelki *dualizm* jako taki zniesiony. Złe ustępuje przed dobrym, ciemności przed światłem. Ród ludzki wyniesiony do godności i szczęśliwości przez urzeczywiszczenie piękna, prawdy i dobra w świecie rzeczywistym. Natura shołdowana i uszlachetniona przez ducha ludzkiego.

6. Wszelkie dobro materyalne pochodzi od Boga, nie od ludzi. W tym leży uszlachetnienie materyi, oraz przeobrażenie własności prywatnej na lennictwo boskie, które przejął ród ludzki. Zasługami nie tylko pracy ale i żywota, nabywa człowiek prawa do tej lenności.

7. Braterstwo wszystkich członków narodu, polega na jedności myśli boskiej, którą naród, jako osobna narodowość, reprezentuje; różność społeczna czyli hierarchia, polega na możności zasług pojedyńczych osób w realizowaniu onej myśli.

8. Władza jest to myśl boża, uosobiona, by mogła być twórczą, wyjść z siebie, i urzeczywiszczać się. Naród jest wcieloną wiedzą bożą, zatym najwyższą i jedyną władzą i tę władzę przelewa na jednostki wolą swoją. Jednostki władzy są czynnikami woli bożej, najwyższa jednostka, najwyższym czynnikiem. Nie ma innego charakteru władzy nad wykonawczość woli bożej, czyli posłannictwa narodowego. Ponieważ ta myśl boża dysze w każdym członku narodu, ztąd uległość władzy naturalna, i oburzenie konieczne, gdy władza nie działa w myśli bożej.

9. Religia Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim stosunku ze światem niewidomym, a bliżej religia katolicka, zniżająca samowładztwo rozumu, przypuszczająca obok niego wewnętrzny, bezpośredni pogląd ducha, jest religią słowiańską. Wszakże będzie to religia postępowa w zgodzie z filozofią.

10. Umiejętność, a w szczególności filozofia, była dotąd *scholastyczną* t. j. nie wyszła po za szkołę, odtąd powinna być *popularną* t. j. ludową, kojarząc się z myślą bożą, która jest w ludzie i rozwijając takową przez czyn.

780) *Str. 107—112.* «Duch dobiera się trzeciego i ostatniego stanowiska, przechodząc do całkowitej rzeczywistości, do czynu[1]). Tu dopiero jest zupełny objaw ducha, zupełna jego

[1]) Cały ten ustęp przytacza Libelt z dawniejszej swojej rozprawy p. t. «Myśl, słowo i czyn», Przegląd Naukowy warsz. 1843. *(Przyp. red.).*

przedmiotowość. Czynami rozwijają się dzieje, a w dziejach rozwija się duch dziejowy, ów wielki proces sprawiedliwości boskiej. Czynami rozwija się życie człowieka i daje pojaw ducha człowieczego. Czynami wreszcie upostacia się wszystko w ludzkości: religia upostacia się w kościół, prawo w państwo, moralność w życie społeczne i familijne, prawda w umiejętność i t. p. Myśl staje się tu kształtem, słowo ciałem. Myśli i słów dla tego tylko taka jest potęga, że są wstępem do czynu, że są możebnością czynu. Ale potęga czynu jest najwyższa. Myśli w nicość przemijają, słowa z wiatrem ulatują, ale czyn zostaje, jako piękno niezatarte duszy, i przechodzi z nią do żywota wiecznego. Dokonanych występków i zbrodni żadną siłą nie wymażesz z biografii życia twego ani z kart historyi nie wydrzesz... Nieustające przekonanie dokonanego złego lub dobrego jest to kara lub nagroda, którą człowiek przenosi z sobą po za grób».

«Czyn jest ostatecznym celem myśli, nim dokonywa się jej żywot, staje się wrytą na wieczność. Czynem przechodzi myśl do rzeczywistej nieśmiertelności, do obszernej niemej krainy umarłych. Co się stało, już się nie odstanie: jest straszliwe godło każdego czynu; napis płomienisty nad bramą do wieczności; fatum niewzruszone i nieubłagane, panujące światu».

«Czynem Boga jest stworzenie świata i twórca człowiek czynem tylko tworzy wszystko. Przez czyn stanie się wszystko, co tylko się stać może, ale bez czynu nic się nie stanie. Czyń co możesz a będzie, co może, jest wielka prawda, którą bodajby każdy wziął *za dewizę* działań swoich. Bez czynu byłby świat bez ducha, byłaby sama wegetacya natury, życie kamieni, roślin i zwierząt, a niebyłoby nigdzie żywota. Sameby żyły i trwały prawa przyrodzenia, odwieczne, konieczne, i zawsze te same, a nierozwijałyby się prawa wolnego ducha, ducha mądrości nieskończonej w postępie. Nie byłoby w narodach, ani w ludzkości, żadnej budowy boskiego architekta, nie wznosiłyby się państwa, religie, umiejętności; świat ziemski leżałby odłogiem, samemu przyrodzeniu zostawiony».

«Duch więc w ludzkości przez czyn się pojawia. Myśl i wiedza są marami niewidzialnymi tego ducha. Czyn je dopiero obłóczy w ciało, ubiera w kształty zewnętrzne i nadaje rzeczywistość. Czynami kroczy duch postępu naprzód i pojawia się w ludzkości».

«Wszystko dopiero przez czyn staje się prawdą, bez czynu myśl każda, wiedza każda jest czczością. Bez czynu miłość chrześcijańska jest kłamstwem i wiara bez uczynków nie zbawi. «A bądźcie czynicielami słowa, a nie słuchaczami tylko, oszukującymi samych siebie. — Albowiem jak ciało bez ducha jest martwe, tak i wiara bez uczynków martwą jest». (List św. Jakóba). Czynem też tylko pokazujesz, że kochasz rzeczywiście kraj swój. Kto mu skąpi ofiar, kto nic dlań nie czyni, kto chce by się tam dobrze działo, bez jego dołożenia się, ten nie ma i za grosz miłości kraju swojego. Wszystkie cnoty towarzyskie, wszystkie nauki i zdolności ludzkie czynem się objawiają i stają się prawdą: bez czynu martwe są i bez znaczenia. Są, jakby ich nie było».

«Pewien podróżny z ostatnich czasów wojen hiszpańskich, powiada, że są między Baskami ludzie niezaradni, których tam Olojaderos zowią. Kiedy mu się wóz wywróci, będzie go obchodził, biadał i wyrzekał, wołając: oloja! oloja! a nie dołoży rąk, ani starania, by wóz nazad postawił. Takich Olojaderów, co wyrzekają w przygodzie i myślą, że im się samo co zrobi, znachodzimy wszędzie i gęsto między ludźmi. Ci nie wiedzą co jest czyn, nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, że się nic bez czynu nie stanie. Dla tego ich żywot życiem tylko, niedołężność ich charakterem».

«Każdy czyn sam przez się jest potęgą, już dla tego, że jest zupełną rzeczywistością. Więc i czyny jednego człowieka mogą być wielkie. Ale, jak myśli zestrzelone w jedno ognisko wiedzy ludu, potężnieją; jak owe allah! Mahometanów grzmiące z tysiąców piersi, groźne jest i straszliwe; tak olbrzymieją i rosną w potęgę połączone czyny ludzi. Pracą ludów, niby mrówia na ziemi, zmienioną została ziemi powierzchnia, i potężne żywioły shołdowane; pracą wieków doszły umiejętności do dzisiejszego stopnia rozwoju. Człowiek wzbił się wiedzą w niebiosa, sięgnął aż na łono wszechmocności i odgadł odwieczne prawa przyrodzenia. Długim szeregiem czynów dobrały się narody dzisiejszych swobód i dobierają wciąż na pod-

stawie coraz rozleglejszej. Czas i usilność przemaga wszystkie trudności. Czego jeden nie dokaże, dokaże dziesięciu, dokażą tysiące, dokaże naród cały. Jest to pojęcie nowoczesne, które się naprzód w przemysłowej Anglii obudziło. Ono wywołało owe rozliczne stowarzyszenia, towarzystwa, związki, assocyacye, tak błogie i olbrzymie w skutkach materyalnych i moralnych. Traktaty i związki narodów na tym samym pojęciu są oparte».

«Każda rzeczywistość dla tego jest tak silną i pełną, że jest wszystkich następnych rzeczywistości rodzicielką. Jeżeli myśl i słowo, nie będące jeszcze zupełnymi rzeczywistościami, były już ważne w skutkach swoich, o ile zatym więcej czyn, z którego popiołów powstający nowy Fenix, jest jako pierwszy, zupełną rzeczywistością. Nic dziwnego, że w tę stronę zajdziesz, w którą kroki twoje stawiasz; że zatym, wedle staropolskiego przysłowia, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Są czyny w życiu ludzkim, na których się uwiązała i z których się wysnuła cała następna kolej żywota. Podobnie na polu bitwy odbywa się wielki czyn dziejowy; losy ludów się tam ważą, i cała ich przyszłość rozstrzyga. Czyny zatym z natury swojej wytknięte są palcem nieskończonej mądrości rządzącej światem i oraz mądrością ludzką uwarunkowane».

»To tyż jest różnicą czynu od trafunku, przygody, zdarzenia i od czynu bez namysłu spełnionego. Przegrana lub wygrana na polu bitwy, sama przez się byłaby rzeczą obojętną, byłaby krwawym igrzyskiem ludów, walką gladiatorów, gdyby w ten czyn nie był zstąpił duch dziejowy i nie napełnił go brzemiennością następstw nieobliczonych; gdyby cała myśl i żywot cały dwóch wojujących narodów nie były się zebrały punktem ciężkości na polu boju i kule nie nosiły ich losów. Przystąpienie twoje do ołtarza, abyś się tam obrządkiem religijnym powiązał z oblubienicą, przyszłą towarzyszką życia, jest ceremonią, formą tylko, atoli przez myśl religii, co się w te obrządki obleka, przez myśl ślubujących, którą do tych obrządków przywiązują, akt ten stał się sakramentem i losy dwóch ludzi w nieprzejrzanej kolei następstw rozstrzyga. Czyn zatym nie jest i nie może być trafunkiem, ale jest wypływem woli nieprzymuszonej, wypływem namysłu i rozwagi, objawem mądrości człowieka. Czyny bez tych przymiotów, tak nazwane czyny powszednie, mechaniczne, nie są czynami. Stoją na równi z trafunkami, których chyba Bóg a i człowiek używać może, i używa do opatrznych celów swoich».

«W czynie jest pełnia ducha, jest tchnienie zupełnej wol i zupełnej wiedzy, jest palenie się żywej, przytomnej myśli; — w trafunku jest prawo konieczności, następstwo, sprowadzone zbiegiem nieprzewidzianych okoliczności, bez wiedzy, woli i myśli. Tu i tam jest życie duchowe, ale w dwóch różnych stosunkach duchowości do przypadkowości; tu życie czynne bez mądrości, wola puszczona na wiatr przypadku; tam żywot działającego w mądrości ducha, panowanie woli i rozumu nad przypadkiem; — tu objaw, tam pojaw i rozwój. Po takich to czynach, któreby czynami wiedzącego i kierującego wszystkim ducha nazwać można, rozwija się i idzie postępem naprzód wszelka duchowość. Tu oraz wyraźnie pokazuje się, że nie wszystko, co się dzieje, jest historyą, jak nie wszystko, co człowiek działał za życia, do historyi jego życia należy; że zatem zadanie historyka i biografa jest jedno z największych: «wykryć z przeszłości te właśnie wypadki, które wywołała myśl żywotna męża, narodu i wieku; i po których się żywot człowieka, żywot narodu, żywot ludzkości, a w nich żywot nieskończonego ducha rozwijał.»

«Myśl, słowo i czyn, są więc w ludzkości trzy stopnie przed ołtarzem Jehowy, po których on do ludów zstępuje i po których na odwrót człowiek wstępuje do nieśmiertelności, dobiera się niebios, lub piekieł. Czynem dopiero człowiek staje się podobnym Bogu w przymiocie jego wszechmocności, bo i on jednym woli swojej niezłomnej orzeknieniem, jednym s t a ń s i ę, przeprowadził myśl i słowo w rzeczywistość nowego ludzkiego świata, w którym się także duch jego odtłacza. Czyn jest całkowitością ducha, bo tkwi w nim i myśl i wiedza; jednak, zanim się coś stanie czynem, rozjaśni się wprzódy myślą u jednego, potym stanie się przez słowo wiedzą między wieloma, a dopiero w czyn upostacia. Po czynach, jak po hieroglifach, odgadujesz przeszłość, z nich wskrzeszasz żywot narodów, że jak Piotrowiny powstaną z martwych, przemówią do ciebie językiem swego czasu i dadzą świadectwo prawdzie. Po czynach sądzisz męża i ciebie po czynach sądzą. Straszliwy sąd Boga będzie głównie sądem z czynów twoich. Tak, co zostało końcem,

stało się znowu początkiem, czyn uwydatnia myśl, i zażega myśl nową, wiodącą znowu do czynu. Stąd historya nauczycielką przyszłości, a doświadczenie skazówką mądrości.»

«Myśl była jak błyskawica, połyskująca w ciemnych chmurach ciała ludzkiego; słowo było jak grzmot rozlegający się z piersi na świat między ludzi, czyn jest jak piorun, co uderza, pali i zabija. I znowu myśl jest, jak nasienie rzucone w ziemię ciała naszego, słowem puszcza dźbło na zewnątrz, i stroi się barwą i kwiatem, czynem wydaje owoc, będący znowu nasiennikiem czynu. Myśl jest czyn niestworzony, czyn w możebności; słowo jest czyn w objawie; czyn dokonany jest czyn rzeczywisty, którym duch teraźniejszość wtrąca w przeszłość, a kroczy do przyszłości».

Takie było zawsze znaczenie czynu. — Wszelako wypadki przeszłości są czynami, ze względu na rozwiniętego przez nie ducha w jednostkach i narodach; wypadki zaś przyszłości będą czynami ze względu na rozwijające się przez nie jednostki i narody w duchu. I to jest wyższe stanowisko filozofii nowej nad dawną, że ta tu robi wiedzę ducha zawisłą od wiedzy ludzkości — tamta zaś uważa ducha w pierwotnej pełni wiedzy i mądrości, niezawiśle od ludzkości, będącej tylko częścią jego objawienia, i dla tego stopniowym rozwijaniem się onej wiedzy, która całkowicie żywie i pulsuje w duchu wiekuistym.

Z tego to nakoniec względu filozofia nowa nie może pominąć tego, co się już w ludzkości objawiło i wciąż objawia. Wszystka zatym rzeczywistość wejść musi w zakres tej filozofii, a raczej filozofia w nią, ażeby poznać, co jest żywotne, a co martwe, odczepić i odrzucić wszelkie narosty, co przyciskają wzrost sił żywotnych — i dopiero żywot z żywota wyprowadzać. Filozofia przez takie zstąpienie do rzeczywistości zróść musi z wolą ludzką, zróść z władzą, zgoła stać się musi, co już mędrzec grecki, jako senne marzenie szczęśliwości ludzkiej przepowiedział — aby rządzący byli filozofami a filozofowie rządzcami.

Filozofia tak pojęta na jawie, w istnych stosunkach życia ludzkiego może o sobie wyrzec: *philosophia sum ut secundum res de rebus judicem*, filozofią jestem, abym z rzeczy

o rzeczy sądziła, czyli abym z rzeczywistości wychodząc, do rzeczywistości naprzód kroczyła.

B) System umnictwa czyli filozofii umysłowej (1849—50).

(Filozofii i krytyki tom II i III, wydanie II, Poznań, 1874).

«System umnictwa» łączy się organicznie z poprzednią «częścią krytyczną» filozofii Libelta. W tej ostatniej dał on krytykę istniejących poglądów filozoficznych i wskazał na czem powinnaby się oprzeć filozofia narodowa polska. W «Umnictwie» stara się sam tę filozofię polską stworzyć. Za podstawę jej bierze pierwiastek ludowy, uosobiony w wyobraźni, jako sile twórczej, obrazującej, kształtującej, budującej. Ona to jest tym «umem», który w przeciwieństwie do rozumu jest władzą twórczą, działającą w życiu i sztuce. Z «umu» wyprowadza Libelt trzy zasadnicze prawdy umnicze: potęgę wyobrażającą, twórczą i nieograniczoną (Bóg) — przedmiotowość wyobrażoną i wciąż wyobrażaną czyli stworzoną i wciąż stwarzaną (świat) — nareszcie potęgę wyobrażania ograniczoną i przedmiotowość uwarunkowaną w połączeniu czyli wyobrażenie wyobrażające (człowiek). Obok tych trzech prawd umniczych konstruuje Libelt trzy potęgi umnicze, czyli um w trzech różnych działaniach swoich. Są to: obraźnia, potęga umu bezwzględna, wyobraźnia, potęga umu względna i przeobraźnia, potęga umu przedmiotowa. Działanie tych trzech potęg umniczych wyróżnia się według tego czy się odbywa bez materyału, na materyale czy wreszcie w materyale. Obraźnia jest atrybutem Boga, jest to «umność» boska; działanie jej jest stwarzaniem czyli wyprowadzaniem form z niczego, form pierwotnych. Wyobraźnia jest atrybutem człowieka działanie jej jest tworzeniem czyli wyprowadzaniem form nowych (pochodnych) z danego już materyału form pierwotnych. W tych formach pochodnych objawia się potęga człowieka, jako twórcy, potęga jego wyobraźni. Przeobraźnia wreszcie jest atrybutem natury; jej działanie nie jest ani tworzeniem ani stwarzaniem — jest to stan tworzenia się form samych przez się, w materyale stworzonym. Natura niczego nie stwarza, niczego nie tworzy, ale w niej się wszystko tworzy bez wiedzy i woli, którą ma tylko Bóg bezwzględnie i człowiek względnie. Tworzenie się jest nieustannem przeobrażaniem się form raz danych, wedle danych prawideł — jest rozwijaniem się tworów natury i przechodzeniem jednych w drugie. Dlatego formy te są przechodne — w nich objawia się potęga przeobraźni, będąca nieustającą metamorfozą form. Widzimy więc jak w systemacie Libelta ciągle powtarzają się trójki heglowskie: duch bezwzględny, duch jednostkowy i przedmiotowość czyli Bóg, człowiek i świat wraz z potrójnymi ich atrybutami, których działanie znowu jest potrójne. Jakiż jest tedy stosunek pomiędzy temi «trzema wielkiemi rzeczywistościami»?. Jest tylko jeden Stwórca,

jedna prawda najwyższa: Bóg. Ponieważ zaś jest Stwórca, więc jest i Stworzenie. W Bogu zatem jest świat i ludzkość, bo jest przez niego; w ludzkości jest Bóg i świat, bo ludzkość jest obojga wyrazem: w świecie wreszcie jest Bóg i ludzkość, bo Bóg jest jego Stwórcą, a ludzkość współtworem i współtwórcą. W tym samym stosunku pozostają do siebie potęgi będące istotą tych rzeczywistości. Stąd więc w Bogu muszą być formy przeobrażne i wyobrażne, w człowieku obrażne i przeobrażne, w świecie zaś formy wyobrażne i obrażne. Z kolei wykazuje Libelt szczegółowo w jaki sposób objawiają się owe formy w naturze, ludzkości i Bogu. Otóż w naturze tworzą one siły, gatunki i kształty, w ludzkości: ideały, ustawy i czyny, w Bogu: wszechmoc, nieśmiertelność i czas. Pierwsze trzy naczelne (t. j. siły, ideały, wszechmoc) są obrażne, drugie trzy (t. j. gatunki, ustawy, nieśmiertelność) są wyobrażne, trzecie trzy (t. j. kształty, czyny, czas) są przeobrażne. Tyle co do form pierwotnych. Formy pochodne przedstawiają się jak następuje: 1) wzięte z form pierwotnych boskich: uczłowieczenia (antropomorfizm) czyli człekokształty, uświatowienia (kosmomorfizm) czyli światokształty i uduchowienia (hieromorfizm) czyli świętokształty. Formy te powstały przez przeniesienie formy najniższej (t. j. kształtu) na trzy formy najwyższe t. j. wszechmoc, nieśmiertelność i czas; 2) wzięte z form pierwotnych ludzkości t. j. ideałów, ustaw i czynów przedstawiają się jako pięknokształty (królestwo sztuk pięknych), całokształty (systemy umiejętne i organizacye społeczne) i dziejokształty (świat pamiątek i dziejów); 3) wzięte z form pierwotnych natury: ciałokształty (przenoszenie kształtów na siły natury), pracokształty (np. porządki nauk przyrodniczych) i twarokształty (formy pochodne kształtów np. mowa). Część druga «Systemu umnictwa» zajmuje się objawami form przechodnich, którymi są: 1) w naturze: atom (przejście z niczego do czegoś, z nicości do życia, z potencyi do kształtu przez działanie wszechmocy), płciowość (forma przechodna tworząca gatunki) i ruch, którego czynnikami są atrakcya i repulsya — 2) w ludzkości: natchnienie (zstąpienie wszechmocy na pomysł, bezpośredni związek ducha bezwzględnego z duchem jednostkowym), społeczność i objawienie — 3) w boskości wreszcie: wszechobecność, wszechrozwój i wszechmożność.

Przytaczamy z «Systemu Umnictwa» rozdział p. t.

Zasada filozofii wyobraźni.

(Filozofia i krytyka tom II, str. 17—23).

781) Każda filozofia szuka dla siebie zaczątku, i ogląda się za takim pewnikiem, któryby położyć mogła za podwal całego gmachu architektonicznego. Początek jej powinien być nie tylko pewnikiem, ale oraz zasadą, płodną we wszystkie następstwa umiejętności; powinien być jej jądrem nasiennym, z którego się całe rozłożyste jej drzewo rozwinie. Widzieliśmy

już na wstępie, gdzie tego pewnika każdy filozof szukać musi, i że go tylko w źródle własnej wiedzy znaleść może. Nie musi to wszakże być wiedza jednostkowa, osobna, szczególna; ale taka która oraz jest wiedzą każdej innej jednostki wiedzącej się. Z tego względu każdy pewnik, musi być ogólnikiem, z wiedzy ogólnej wypływającym. Filozofia myślenia znalazła, że tak powiem samą siebie, wypowiedziawszy pewnik swój w zdaniu «ja myślę». Podobnie filozofia wyobraźni siebie samą znaleźć musi i wypowiedzieć jądrową treść swoją, a razem pewnik swój, mówiąc: «ja wyobrażam». Słówko zatym «wyobrażam» będzie pewnikiem i fundamentem całej filozofii wyobraźni.

Rozpatrzmy się w jego znaczeniu, aby się przekonać, czy rzeczywiście jest taka jego ogólność iż wszystkość w sobie ogarnia. Jeżeli jest rzeczą pewną, iż każdy człowiek jest myślący, równie musi być prawdą niezawodną, że każdy człowiek jest wyobrażający; bo żadna myśl nie przychodzi do bytu bez wyobrażenia. Już Arystoteles[1]) wypowiedział, że bez obrazu wyobraźni dusza myśleć nic nie może. Choćby nic więcej, każdy wyobraża sobie przedmioty zewnętrzne, które przez wrażenia drogą zmysłów odebrał; wyobraża sobie siebie i sobie podobnych ludzi, wyobraża sobie istoty wyższe i doskonalsze, wyobraża sobie nareszcie Boga — bez względu na to, jakie to wyobrażenie; — zgoła nie ma człowieka na świecie, któryby sobie czego nie wyobrażał, a zatym nie mógł powiedzieć: «wyobrażam». Czy świat natury, który nas otacza, to jest czy zwierzęta, rośliny, kamienie, podobnie wyobrażają sobie przedmioty, nie wiemy tego; ale to wiemy, że siebie wyobrażają; każda rzecz, kamień każdy, ziarnko piasku, przedstawia się i wyobraża tym, czym jest; a natura cała jest niezliczonością takich wyobrażeń. Bóg nareszcie sam, z tego samego powodu, co i człowiek jest myślący i wyobrażający zarazem. Każdą myśl jego staje się ciałem, czyli przeobraża się w ciało. Świat nieskończonych tworów, co wyszedł z łona jego wszechmocności, jest wyobrażeniem mądrości jego, a pierwotwory, czyli ideały tworów, są istnymi wyobrażeniami Boga. Przed poczęciem się światów wciąż się poczynających, Bóg je już wyobrażał, i wyobraża

[1]) Arist. de anima III, 7.

wciąż te słońca i planety, które się w niezmierzoności czasu i przestrzeni poczynają i tworzą. Bóg wyobraziciel jest, jako taki, Stwórca nieba i ziemi i wszystkich rzeczy. Nie to, że Bóg jest, stanowi jego potęgę; ale to, że jest Stwórcą świata; — że go wyobraził. Bóg zatym przedewszystkim wypowiada o sobie «wyobrażam». Co jest przeszłość cała? oto wyobrażenia dokonane; teraźniejszość jest nieustannym przeobrażaniem, przyszłość rozwija się z jednych wyobrażeń do drugich. Nic nie było i nie będzie, coby albo samo siebie nie wyobrażało, a tym samym nie dawało świadectwa, że z wyobrażenia duchowego powstało, albo coby samo nie było wyobrażającym.

Jako więc myśl jest wszędzie i zawsze, czy to jako przedmiotowa, czy jako podmiotowa; podobnie wszędzie i zawsze jest wyobrażenie, czy to przedstawione, czy przedstawiające. Z tej ogólności wyobrażenia, zachodzącego, tak w duchu jednostkowym, jak w bezwzględnym, oraz we wszelkich duchowych pojawach, — bo tym właśnie pojawieniem się wyobrażonych — wynika, że wyobrażanie jest ogólnikiem i pewnikiem, podobnym jak myślenie; a z tak ogólnej natury jego wnosić można, że równie obfitą będzie z niego roztocz filozoficzna, jak z myślenia, skoro więc duch wszędzie i zawsze wypowiada o sobie «wyobrażam», tym samym orzeka, że istotą jego jest wyobrażanie, czyli tworzenie; bo nadawanie form i kształtów jest tworzeniem. A że istotą jego jest także myślenie, stąd myślenie i wyobrażanie, są dwie współistotne jego istnienia potęgi, i nazywamy je rozumem i wyobraźnią.

Jeżeli wyobraźnię, która dotąd tylko psychologiczną władzę ludzką wyrażała, weźmiemy w ogólnym znaczeniu, i nazwiemy ją umem, jak to niektórzy z pisarzy narodowych, występujący na polu filozofii, uczynili; jeżeli myśl, jak jest rzeczywiście, weźmiemy za treść i istotę rozumu, — natenczas wyraz umysł, oznaczałby przeniknienie się myśli i umu, czyli dwójcę istoty ducha, wyrażającą potęgę treści i formy razem; — jednię z dwóch biegunów polarnych, ku wyprowadzeniu do bytu wszystkiego życia, której tylko iskry elektrycznej — woli — nie dostaje, aby byt ten stał się rzeczywistością.

Umysł zatem, jako jednia myśli i umu, jest wyższą potęgą od rozumu i od wyobraźni, jest już możnością, potencyą wszystkiego, jako dwójca treść i formę ogarniająca; gdy tymczasem treść sama przez się, i forma sama przez się, nawet możnością nie jest. Jedna i druga jest oderwaniem (abstrakcyą).

Umysł, będący tylko potencyą, stanie się rzeczywistością — stanie się duchem myślącym, wyobrażającym i działającym, gdy z nim łączy się wola, będąca ogniskiem żywota. Wtedy duch pojętym dopiero będzie w zupełności, jako trójca trzech potęg współistotnych sobie, jako najwyższa doskonałość i rzeczywistość.

Stanowisko, któreśmy obrali, ma tylko umysł, a w szczególności um, albo wyobraźnię za przedmiot. A że się we filozofii woli dobierzemy samego ducha, sądzimy więc, że nas o dualizm nikt nie pomówi.

Ponieważ um jest najogólniejszą nazwą potęgi ducha wyobrażającej, na wszystkich jego stanowiskach; przeto filozofią wyobraźni, zamiast ją z grecka nazywać Morfologią, będziemy mogli nazwać stósowniejszym wyrazem Umnictwa, czyli filozofii umniczej; a że jest na stanowisku dwójcy ducha, będzie oraz nosić nazwę filozofii umysłowej.

Wzięliśmy za pierwiastek wstępny do filozofii wyobraźni słowo «wyobrażam», można było za nie położyć także słowo «umiem», w którym się um jako źródłosłów znajduje. Rzeczywiście myśl dopiero wtenczas, kiedy przez um przejdzie, czyli kiedy wyobrażoną zostanie, staje się taką, o której powiedzieć mogę, że ją umiem, że jest moją własnością, moją przedmiotowością. Wszelka umiejętność dopiero więc z umysłem się poczyna, ani rozum sam, ani wyobraźnia sama jej nie daje. Umienie jest takim samym ogólnikiem, co wyobrażenie. Niema człowieka, któryby czegoś nie umiał. Z tego rodzaju umieniem rodzi się dziecię każde i niepouczone przez nikogo, chwyta pierś i ssie z niej pokarm. Nietylko zaś człowiek, ale i rzecz każda i zwierzę każde wypowiada o sobie: «umiem», bo każde ma pewne własności, stanowiące jego umiejętność. W najwyższej atoli potędze umiejętność jest u Boga.

Filozofia umnicza ma krom pierwiastku swego, z którego się wysnuwa, inny jeszcze potężniejszy podwal, którego filozofia

rozumu mieć nie mogła. Powiedzieliśmy już, że względnie rozum jest pierwszy, a wyobraźnia drugą; następnie że wyobraźnia daje formę, wyraz obłocz dla myśli; w końcu, że niema myśli bez wyrazu ni wyrazu bez myśli. Z tego zatym wypada, że cała wyobraźnia jest tylko obłoczą rozumu, że jest kształtowaniem myślenia, że przeto teorya myślenia musi być podstawą teoryi wyobrażania. Umnictwo ogólne niczym innym nie jest, jak tylko obleczeniem w szaty nagiej loiki myślenia. Wszystkie jej prawidła znaleźć się dlatego w umnictwie ogólnym muszą, bo wiecznotrwałe posady myślenia, muszą mieć odpowiednie i wiecznotrwałe posady wyobrażenia. Już zatym Arystoteles, Hegel i inni myśliciele, utorowali nam drogę do filozofii umniczej, a narodowy do niej ubił nam gościniec Trentowski, w pięknym całokształcie logiki narodowej. Kładziemy ją też w głównych działach jako podwal naszej filozofii wyobraźni. Umnictwo nasze oprze się na Myślini, jako na węgielnym swoim kamieniu, i na odwrót. Myślini znajdzie w umnictwie próbę działania swego. Jedna filozofia przez drugą się utwierdzi i okaże prawdziwość wypadków swoich, będzie to, jak gdyby próba mnożenia przez dzielenie i dzielenia przez mnożenie, jeżeli się wielkie rzeczy z małymi porównać godzi.

Myślini bierze za wstępień słówko «jestem» jako prawdę najpierwszą ze wszystkich prawd. Nic nad to ogólniejszego. Kto wypowiada jestem, wypowiada tym słowem wiedzę siebie, a wiedza jest myślą; wypowiada zatym «myślę» — początek filozofii rozumu. Kto wypowiada jestem, wypowiada oraz «wyobrażam», bo gdyby siebie nie wyobrażał, nie wiedziałby o tym, że jest — początek filozofii wyobraźni. Kto nareszcie wypowiada jestem, wypowiada: mam wolę; bo gdyby woli wypowiedzenia tego wyrazu nie było, nie przyszłoby wcale do wyrzeczenia «jestem» — początek filozofii woli. Słówko jestem, jest więc pełnym znaczenia i zawiera w sobie trzy pomienione pierwiastki: myślę, wyobrażam, chcę. Trentowski kładąc ten wyraz za podstawę loiki, uchwycił za wstępień samej rzeczywistości, za wstępień samego ducha, bo też rzeczywiście tylko duch o sobie powiedzieć może «jestem», jako Bóg w starym testamencie o sobie wyrzekł «jestem, który jestem». — Tym zaraz początkiem wyróżnił autor

filozofię swoją od filozofii niemieckiej czystego rozumu i położył dla swojej budowy pełny i żywotny fundament. Grunt, który obrał, jest gruntem samej rzeczywistości, a niebawem odsłoniły mu się na nim trzy wielkie rzeczywistości: Bóg, świat i człowiek, dające trzy myśli logiczne, trzy prawdoświeci: stnienia, istnienia i istnio-stnienia. Tym sposobem autor logiki od ducha zstąpił nazad do myśli, od rzeczywistości do abstrakcyi. I musiał to uczynić, bo pisał system myślenia, nie rzeczywistości i pomylił się, jeżeli słówko «jestem» miał za wstępień do logiki.

Filozofia umnicza, mająca wyświecić sam tylko pierwiastek kształtujący ducha, nie mogła wyjść ze wstępnia, będącego bezpośrednim orzeczeniem się samego ducha. Lecz jako w pełnym pierwiastku ducha, słówku jestem, znalazł się pierwiastek umnictwa, tak na odwrót w słówku «wyobrażam», musi się odbić pełnia pierwiastku ducha; bo duch w każdej osobnej potędze swojej, w każdym osobnym kierunku, wiedzieć się musi jako taki, i dlatego «wyobrażam» znaczy tyle, co: «jestem wyobrażającym». Znane prawidło gramatyczne, rozwiązujące każdy czasownik, na łącznik *(kopułę)* i omówcę *(predykat)* wypłynęło z instynktowego, że tak powiem, pojęcia owej pełni ducha, która się wypowiada w słówku: jestem.

Rzecz bardzo naturalna, że skoro pierwiastek «wyobrażam» mieści się w pierwiastku «jestem», i skoro jest tej samej rozciągłości i ogólności, choć nie tej samej iściny i głębi, — że nas do tych samych doprowadzić musi rzeczywistości ukształtowanych, i odkryć trzy prawdy umnicze, jako kształtoświeci, odpowiednie trzem prawdoświeciom loicznym. Jakoż pojrzawszy głębiej w znaczenie słowa «wyobrażam» i biorąc je w zrozumieniu bezwzględnem, odkrywamy nasamprzód podmiot *(subjekt)* wyobrażający, czyli w ogóle potęgę wyobrażającą, potym przedmiot *(objekt)*, przez nią wyobrażony, czyli w ogóle przedmiotowość.

Subjekt wyobrażający może tylko być jeden, bo gdyby był drugi, każdy z nich byłby tylko albo toż samo wyobrażającym, a zatym byłaby zawsze tożsamość potęgi wyobrażającej subjektowej; — albo każdy z nich co innegoby wyobrażał, a natenczas potęga wyobrażająca nie byłaby potęgą

bezwzględną, ale względną, częściową. Przedmiotowość wyobrażona, może być także tylko jedna, jako całkowity obraz potęgi wyobrażającej, ale w sobie może być nieskończenie rozliczna i następna. Różnica między subjektem a objektem umniczym jest jeszcze i ta, że w pierwszym jest wiedza wyobrażania nieograniczona; w drugim zaś wiedzy niema, jako w dziele wyobrażonym. Ale, że przedmiotowość jest rozlicznością i następstwem, mogą być i takie przedmioty, które są nietylko wyobrażonymi, ale oraz względnie wyobrażającymi. Przyjęcie tego rodzaju przedmiotowości jest nawet konieczne, albowiem subjekt bezwzględnie wyobrażający, nie wyobraziłby się do zupełności, gdyby oraz i potęgi swojej wyobrażania nie wyobraził. A zatym, obok przedmiotowości tylko wyobrażonej, będącej tylko przedmiotem, obrazem, musi być przedmiotowość i wyobrażona i oraz względną potęgę wyobrażania mająca; — musi być objekt względny, będący oraz względnym subjektem, musi być obraz obrazujący zarazem. Taki objekt-subjekt, leży także w znaczeniu wyrazu wyobrażam, bo w nim jest i znaczenie czynne wiedzącego się subjektu i znaczenie niewiedzącego się objektu, który się tylko przedstawia tym, czym jest, nie wiedząc o tym, czym jest.

C) Estetyka czyli Umnictwo piękne (1849).

(Filozofii i krytyki tom IV, V, i VI, wydanie II, Poznań 1875).

Estetyka Libelta dzieli się na trzy części: część ogólną (tom IV), piękno natury (tom V) i piękno natury plastyczne (tom VI). We wstępie do części ogólnej traktuje Libelt o historycznym rozwoju sztuk pięknych i daje przegląd teoryi estetycznych w Niemczech i Polsce.

Własną teoryę piękna opiera Libelt na zasadach swej filozofii umysłowej. Istotę ducha stanowią trzy pierwiastki: rozum, wyobraźnia i wola, które w działaniu swem tworzą prawdę, piękno i dobro. Sztuka jest według niego to działanie ducha, mocą którego świat wnętrza, świat ideałów, doskonałości bożej urzeczywistnia się, przelewa się w słowo, w ton, farby, kamień. Piękno zaś jest harmonią znaku i znaczenia, jednością formy i treści w materyale zewnętrznym w którym się ideały realizują; jest ono ideałem w rzeczywistości (w świecie i w życiu), którego pierwotwór tkwi w nas — przeglądaniem ducha przez materyę. Dzieło nakoniec będące wyrazem tak pojętego piękna jest sztuką piękną albo dziełem pięknem. Sztuki piękne stanowią przejście od religii do filozofii, wy-

przedzały wszędzie filozofię, przeczuwając prawdy, które później uzasadniała i kodyfikowała wiedza — są więc «pierwszym, odwiecznym pojawem twórczego ducha, pojawem ducha w całkowitej jego doskonałości, której to twórczości i religii i filozofii braknie» (tom IV, str. 75). Następnie zastanawia się Libelt nad rozmaitemi cechami sztuki.

Przedstawia mu się ona naprzód jako myśl wdrażająca się w materyał, niejako dusza martwego materyału; dalej jako konieczny popęd ducha, który się wydobywa na zewnątrz i w którym łączą się zarówno cechy indywidualne jak i zbiorowe. Sztuki bowiem są wyrazem wieku, charakteru narodowego i indywidualności «sztukmistrza»; widzimy tu echa teoryi Taine'a o rasie, środowisku i momencie jako trzech «przyczynach» sztuki. Nakoniec traktuje Libelt sztukę jako dzieło, działanie, tworzenie. Jakkolwiek poczucie piękna jest każdemu człowiekowi wrodzone, to jednak rozmaite są jego stopnie; stąd znowu trzy «stanowiska»: podziwu, miłości i czci. Na tem kończy się pierwszy rozdział części ogólnej traktujący o stanowisku człowieka do sztuki. Drugi rozdział zajmuje rozpatrzenie stosunku sztuki do natury. I tutaj tok myśli Libelta jest następujący: Piękno natury jest zasadniczo różne od piękna sztuki, gdyż rzeczą główną w naturze jest celowość i użyteczność, piękno zaś podrzędne. Wprost przeciwnie ma się sprawa ze sztuką, gdyż ona niema innego celu tylko piękno czyli jest sama sobie celem. Ta właśnie niezawisłość od celów i pożytków stanowi trwałość niespożytą sztuk pięknych, a w trwałości leży wyższość piękna sztuki nad pięknem natury, które przemija. Wyższość ta okazuje się i w tem, że sztuka jest dziełem człowieka, dziełem samowiedzy ducha, wyższego od tworów natury, że jest prawdą, a nie zmyśleniem, uwydatnieniem ducha a nie naśladowaniem natury. Po rozpatrzeniu z kolei stosunku sztuki do Boga przechodzi Libelt do ustanowienia rozkładu i systemu sztuk pięknych. Podział ten ogólny jest dwojaki: 1) sztuk między sobą i 2) rozwoju ich w czasie; w szczegółowym systemacie zaś przedstawia się jak następuje: 1. Sztuki formalne albo plastyczne (architektura, snycerstwo, malarstwo) 2. Sztuki treściowe albo idealne (muzyka, poezya, wymowa) 3. Sztuki społeczne albo żywotne (idealizowanie natury, estetyczne wychowanie człowieka, idealizowanie społeczności). Architektura dzieli się na: budownictwo symboliczne (świątynie, kościoły, muzea i t. p.), pomnikowe (pamiątki, grobowce) i pożytkowe (mieszkania i gmachy publiczne). Skulptura na: rzeźbiarstwo czyli skulpturę ozdobową, snycerstwo czyli skulpturę posągową, i płasko- i wypukło-rzeźbę czyli skulpturę dramatyczną. Malarstwo na: naturalne, idealne i dziejowe. Muzyka na: harmonię, melodyę i operę. Poezya na: epos, lirykę i dramat. Wymowa na: dydaktyczną, panegiryczną i retoryczną. Idealizowanie natury na: ogrodnictwo, strój (upiększenie ciała) i ozdobność (upiększenie życia). Wychowanie estetyczne człowieka na: gimnastykę i taniec, pięknoznastwo (wykształcenie estetyczne ducha) i dramaturgię (wykształcenie estet. życia). Idealizowanie społeczności wreszcie na: kult religijny, polityczny i narodowy. Część ogólną Estetyki zamyka

przegląd estetycznych potęg ducha t. j. zmysłów, wyobraźni i umysłu estetycznego.

Część druga i trzecia obejmuje piękno natury plastyczne. Trzy pierwiastki: prawdy, piękna i dobra, które w sztuce przedstawiały się jako treść, forma i rzeczywistość, w naturze przedstawiają się jako rozmiary, kształty i wyraz (koloryt). Stąd też trzy działy tej części Estetyki: architektoniki, skulptury i malarstwa natury. Kryteryum piękna jest uwydatnienie się właściwości jakiegoś tworu w naturze (n. p. drzewo, okrywające się zielenią na wiosnę); jest to bowiem uwydatnienie się duchowości (ideału bożego) — stąd działanie na duchowość człowieka i powstawanie upodobań, wrażeń estetycznych. Opierając się na tej zasadzie rozważa Libelt powyższe trzy działy piękna natury plastycznej. I tak w rozdziale o architektonice mamy opisy ogólnych powierzchni ziemi i ich rodzajów a więc: określonych jedynie konturami i liniami jak pustynie, stepy, kształty pagórków, gór, lodów i t. p. Dział ten nazywa się architektoniką właściwą. Następnie takie twory natury, które są nietylko konturem ale kształtem swym przytrzymane do ziemi i żywotem przez nią uwarunkowane jakoto rośliny rozmaite, grzyby, mchy, porosty, paprocie, trawy, kwiaty, krzewy i drzewa. Ta część nazywa się architektoniką ornamentalną. W skulpturze natury mamy rozpatrzenie różnych proporcyi i kształtów w naturze począwszy od skamieniałości i zwierzokrzewów aż do człowieka. Libelt rozwija tu powstawanie świata z chaosu opierając się na Genezis Mojżeszowej i zwracając uwagę na doskonalenie się form, które w człowieku osiągnęło najwyższy stopień. Doskonałość formy ludzkiej stanowi jednak przedewszystkiem duch. Libelt rozważa piękno ludzkie pod względem płci, wieku, ras, narodowości, rodów, charakterów fizyognomii i t. p. W trzeciej i ostatniej części t. j. w malarstwie natury znajdujemy wyjaśnienie piękna natury pod względem jego wyrazu (kolorytu). Jest tam więc mowa o pięknie świateł i cieniów, farb i kolorów, światła i barw w połączeniu. Takie też tytuły noszą poszczególne paragrafy tej części.

Co do ogólnej wartości Estetyki, to zaznaczyć należy, że będzie ona chyba najtrwalszem z dzieł Libelta, zwłaszcza ta jej część, która traktuje o pięknie plastycznem natury i o proporcyach ciała ludzkiego. Jednak i w ogólnych poglądach, w poszczególnych uzasadnieniach i wywodach teoretycznych znaleść można wiele wartości nieprzestarzałych, jakkolwiek uderza tu niewątpliwie pewna niejednolitość. Obok bowiem twierdzeń trącących średniowiecznym teologizmem, mamy częstokroć wywody zupełnie wyprzedzające ówczesny stan nauki.

Podajemy rozdział p. t. «Wyobrażenie — Sztuka» oraz dwa ustępy z rozdziału II, w którym Libelt rozpatruje «Stanowisko sztuki do natury».

782) Wyobrażenie — Sztuka. (Estetyka, tom IV, strona 69—76). Bóg jest duchową siłą atrakcyi. Jak do słońca ciążą planety, tak około Boga toczą się i krążą wszystkie duchy. On je przyciąga do siebie, jak planeta przyciąga do siebie wszystkie

ciała, że nań spadają. On łączy duchy w upostaciowania i kształty duchowe, podobnie jak siłą spójności tworzą się i utrzymują kształty ciał. I owa tęschnica ducha w nas — przez serce występująca, jako miłość Boga, przez rozum, jako dążność poznania Go — niczym innym nie jest, tylko owym pociągiem i skutkiem owej atrakcyi duchowej.

Ale krom tych dwóch kanałów, którymi się pociąg ten objawia, i na zewnątrz jako religia i filozofia upostacia, jest jeszcze trzecia droga dla życia człowieczego i trzecie upostaciowanie się jego duchowości.

Wyobraźnia jest tą trzecią władzą duszy i jej daną jest siła twórcza. Rozprowadziliśmy już poprzednio stanowisko wyobraźni, dotąd mało poznane. Ni rozum, ni serce utworzyć coś zdolne mimo, że odtąd albo jednemu, albo drugiemu przypisywano jedyną siłę twórczą, mimo że panowanie rozumu stało się wszechwładne. Dziedziny czucia i dziedziny myśli są niezawodnie wielkimi potęgami ducha ludzkiego, ale są potęgami jednostronnymi i dlatego z twórczości, z czynu obrane. Potęgą twórczą w nas jest wyobraźnia, stanowiąca jedność zmysłowych wrażeń i umysłowej wiedzy — łącznik uczucia i myśli — spój serca i rozumu. Twierdzenie to nowe udowodnić nam wypada.

Człowieka życie jest utkwione w materyi. Duch tylko w niej i przez nią działać może. Przez wpływ na materyą może się jedynie obudzić duch w niej utajony; a wpływ na materyą nie może znów być inny, tylko przez materyą. Stąd wynika ta konieczność, że, aby się obudził duch w człowieku, potrzeba dla niego zewnętrznego świata, któryby na niego wpływał i potrzeba ciału człowieczemu takiej organizacyi, którąby wpływy te, jako wrażenia na siebie mógł przyjmować. Pięciu zmysłami stoi człowiek otworem na wrażenia zewnętrznego świata. Wrażenia te przyjmuje wyobraźnia, i w tej chwili stają się wiedzą, jako wyobrażenia.

Wyobraźnia jest więc naprzód bierna, wystawiona na działanie zmysłów i na odbijanie się na niej obrazów natury, i sprawująca, że je człowiek, jako całość i jedność wyobrażenia pojmuje. Przez zmysły nasze n. p. z przedmiotu naturalnego konia, wpływają tyloliczne wrażenia, maści, kształtu, ruchu, rżenia

twardości lub miękkości włosia, kopyt i skóry i t. p. ale jedność tych wszystkich wrażeń, w której właściwie leży obraz konia, żadnym osobnym zmysłem nie wraża się. Tę jedność daje wyobraźnia. Wrażenia owe pojedyńcze wpływały na nerwy i obudzały czucie, jedność dopiero tych wrażeń daje obraz, czyli wiedzę konia.

Więc i w tej bierności wrażeń od zewnętrznego świata, wyobraźnia, którąby na tym stopniu nazwać można imaginacyą, pokazuje się w sile twórczej. Ona to daje, czego zmysły nie dają, to jest: jedność obrazu zewnętrznego, całkowitość przedmiotu. Popędem tej twórczości dopełnia ona tam nawet obraz, gdzie zmysły nie wystarczają, w zmroku n. p. lub w oddaleniu. Wszystko, a wszystko, co w pamięci, lub pojęciu naszym jest wrysowane, czy to rzeczywistymi, to jest: pojedynkowymi, czy też ogólnymi rysami, siłą twórczą wyobraźni tam narysowanym zostało. Z niej dopiero pojedyncze obrazy, n. p. mego przyjaciela, przechodzą do uczucia (pamięci), do serca, a ogólne obrazy, n. p. człowieka w ogólności — do myśli, do rozumu.

Atoli wyobraźnia jest nietylko bierna, ale i czynna, twórcza, to jest nie tylko tworzy przedmioty z wrażeń zewnętrznego świata, drogą zmysłów do niej dochodzących; ale jest oraz otworzona wrażeniom samego ducha wewnątrz się objawiającym. Wyobrażenie na tej drugiej potędze twórczości możnaby nazwać fantazyą.

Lecz jak imaginacya, i fantazya sama przez się nic nie tworzy, jako instrument sam nie zagra, choć w nim złożona cała potęga tonów. Imaginacya, to eolska harfa, po której stronach powiew wiatru tony wydobywa; fantazya, to lutnia, z której Orfeusz natchnienia swoje wylewał, nimi piekło zwalczył i świat z barbarzyństwa wyprowadził. Imaginacya tworzy, tknięta wrażeniami świata zewnętrznego, a zatym wrażeniami ciała. Jakim wpływem, jaką drogą budzi się siła fantazyi?

Rozwiązanie tego pytania odnosi się do innego, jakie mogą być wrażenia ducha — ducha bezzmysłowego, a więc bezwrażliwego?

Duch w nas jest tchnieniem ducha stworzyciela. Wrażenia więc tego ducha nie mogą być inne, tylko takie, które się odnoszą z ducha do ducha, a przedewszystkiem z Boga na człowieka. Ten stosunek bezpośredniej styczności ducha nieskończonego z duchem tej samej natury w żywocie naszym nazwaliśmy wyżej objawieniem, stan zaś ducha naszego, w którym się to objawienie dzieje, natchnieniem.

Natchnienie, to wyraz wielkiego znaczenia, znajdujący się we wszystkich językach i we wszystkich świadczący znaczeniem swoim o bezpośrednim związku Boga z człowiekiem. Wyraz pochodzący z czasów, gdzie ludy ten związek czuć i pojmować umiały — ale w następnych wiekach panowania samowładnego rozumu wyraz sponiewierany i wymieciony z dziedziny filozofii idealnej i materyalnej, — zostawiony samym mistykom i zaledwie poetom jeszcze przyznawany. Wyraz ten wróci do swojego pierwotnego znaczenia i odbuduje nową filozofią — filozofią twórczą, filozofią czynu.

Natchnienie jest więc tym stanem nadzwyczajnym ducha w nas, co siłę twórczą fantazyi wywołuje i ogniem niebieskim rozpala.

Imaginacya ma za materyał świat cały zewnętrzny, wszystkie kształty i postacie tworów bezlicznych. Cóż będzie materyałem fantazyi? Cały świat ducha — nieskończoność bóstwa — duch w najwyższych doskonałościach swoich — czyli ideały.

Natchnienie, jako zstąpienie ducha stworzyciela na ducha tworu, ogarnia razem serce, rozum i wyobraźnię. Wszystka miłość, wszystko poświęcenie i czyn wszystek z natchnienia płyną; natchnieniem rozświecają się prawdy i połyskują ideały doskonałości boskich. Natchnienie zatym jest w religii, jest w umiejętności, jest w historyi.

I ideały więc dziećmi są natchnienia, twórczą siłą fantazyi do bytu wywołane. — Ale i natchnienia duchowe muszą się przeoblekać w kształty materyalne, inaczej duchowość nie dałaby się ująć w utwory wyobraźni. Tym tylko sposobem wrażenia ducha, ubrane w skończone kształty i formy, przejść mogą do wiedzy człowieka. Jakoż wyobraźnia będąc oraz imaginacyą, jest spiżarnią gotowych form i kształtów, z wrażeń rzeczywistego świata nabytych, i z tego to dopiero materyału twórczość wyobraźni, czyli fantazya, wyprowadza utwory swoje, *tchnieniem natchnienia* do życia wyprowadzone. Wszystkie płody fantazyi nie mogą mieć innych żywiołów. Ciałem są wrażenia

zewnętrznego świata, w imaginacyi złożone: duchem, co to ciało, w oryginał duchowy, czyli w sztukę ukształca, jest natchnienie.

Jak nie można pojąć ducha bez materyi, tak i natchnienia nie można pojąć bez materyału, którymby zawładło. W tej samej chwili, kiedy na nas wstępuje i wyobraźnię uderzy, rozświetliło się obrazem w duszy sztukmistrza i jest mu ideałem, który dopiero w utwór zewnętrzny przelewa.

Moore w pamiętnikach swoich o Byronie powiedział, że nie ma takiego szczęścia na ziemi, któreby się porównać dało z tym uczuciem, jakiego doznaje człowiek w chwili tworzenia nowego pomysłu; że ta kreacya umysłowa jest najwyższym szczeblem rozkoszy intellektualnej, rozkoszy prawdziwie boskiej. — Rodzi ją natchnienie, będące samo przez się najwyższym uczuciem w człowieku, ale że dopiero staje się myślą i wiedzą, gdy się w kształt pewny przeoblecze, przeto i fantazya, będąca narzędziem natchnienia, jest przejściem od czucia do myśli.

Wyobraźnia jest przeto, jak Janus dwugłowy, jak księżyc dwulicy, jednym obliczem obrócony do ziemi, drugim do niebios — jedną stroną odbiera wrażenia świata, drugą wrażenia ducha — i jest następnie trzecim kanałem, którędy zstępuje na człowieka objawienie.

Ideały, siłą natchnienia w duszy sztukmistrza objawione i pod wpływem i ciepłem tegoż natchnienia w zewnętrzne, dotykalne kształty upostaciowane, są sztuki piękne. Pod tym względem sztuka jest bezpośrednio fantazyi, czyli wyobraźni twórczej utworem. A jako tamta była jednością uczucia i myśli, tak i sztuka, będąca w dalszym rozwinięciu wynikiem jednego i drugiej, na odwrót i na uczucie i na myśl oddziaływać musi. Sztuki piękne są dla tego przejściem od religii do filozofii, jak to zaraz zobaczymy.

Najsilniejszą i najpotężniejszą jest wiara, dopóki jest w pełni i krzepkości żywota swojego, jaką była n. p. wiara chrześcian w pierwszych trzech wiekach po Chrystusie. Bo w takiej wierze duch człowieka jest u Boga, istnością całą utopiony w jego istności, w nim znajdujący wszystko i jedyne zadowolenie. W takim stanie żywej wiary małe zostawione pole natchnieniom innego rodzaju. Ogniem wiary cała wyobraźnia zajęta, i w tym ogniu spalone wszystkie obrazy zewnętrznego świata.

Bóstwo potęgą swoją objęło umysł człowieka i przed nią w proch człowiek upada. Wszystkie początkowe religie były bez wyobrażeń sztuki. Czczono żywioły, słońce, gwiazdy, zwierzęta, jako potęgi bóstw, a czczono ofiarami pod gołem niebem. Świątynie i bożyszcza już są późniejsze.

Lecz o ile ogień wiary stygnie, o tyle fantazya ludu zaczyna działać, i im religia jest mniej duchowa, tym stan taki prędzej następuje. Bóstwo niewidzialne uzmysławia się, rozmnaża się przez fetysze, i uozdabia i uzacnia się świątynią.

Dopóki się człowiek nie wiedział duchem, osobnym od ciała, ale się wiedział nieśmiertelnym człowiekiem w nierozerwanej jedności z ciałem, póty wiara jego musiała być zmysłowa, i bóstwa jego zmysłowe. Wyobraźnia musiała ulegać wrażeniom zewnętrznym i wewnętrznym. Poeci poczęli być twórcami i nauczycielami religii, a sztuki piękne stały się przedmiotem czci i uwielbienia. Religia je bezpośrednio wywołała. Lecz wiara zmysłami uczepiona i nimi na zewnątrz występująca, wietrzeje i słabnie i długo utrzymać się nie może, bo ona w koncentracyi tylko silna. Bóg pojęty w jedności ciała i ducha, tak jak człowiek był pojęty, nie zadowalał więcej człowieka, odkąd się człowiek duchem wyłaniać zaczął z onej jedności z ciałem. Upadła cześć bożków, upadła wiara, a z nią sztuki piękne. Myśl skierowana w siebie i badająca, przygniotła fantazyą, a wywołała pojęcie oderwane od zmysłowości, czyli filozofią. Tak było w świecie pogańskim.

Podobnie Chrystyanizm dopiero wywołał sztuki piękne, kiedy wiarą swoją na zewnątrz wystąpił; kiedy ową przepaść jaka się rozwarła była między duchem i ciałem, wieki następne zasuły; kiedy znów zmysłowa strona przemogła, i człowiek zatęsknił do Boga razem zmysłami i duchem. Jak przed chrześcijaństwem, tak i teraz, wiara z tego powierzchownego stanowiska musiała przejść w filozofią, to jest: duch musiał skoncentrować się w sobie, będąc zbyt w materyalności rozpryśnięty i osłabiony. Reformacya rzeczywiście już jest filozofią, nie jest wiarą, ale badaniem Pisma św. Protestant wierzy tylko, przeciw czemu nie protestuje rozumem swoim; odrzuca sercem, co rozumem odrzuca. Przy tej posusze rozumu musiały kastal-

skie źródła fantazyi wyschnąć, a otworzyło się szerokie pole filozofii niemieckiej.

Sztuki piękne wszędzie wyprzedzały filozofią. Wprzódy brzmiały w uściech rapsodów greckich pieśni Homerowe, zanim się jońska ocknęła filozofia. Już Ateny i Syrakuzy były strojne, niby mieszkania samych bogów, zanim w nich nauczał Plato i Pitagoras. Horacy, Owidyusz i Wirgili poprzedzili Senekę i Lukrecyusza, a Antoninowie filozofa na tronie, Marka Aurelego. W średnich wiekach, XIV i XV stulecia parły naprzód sztukami pięknemi na różnych punktach Europy, bo po nich miała rozwinąć się filozofia XVI i XVII wieku. Zgoła, gdziekolwiek powstać miał duch wiedzy czystej, niby słowo Przedwiecznego, tam torowały mu naprzód ścieżki i drogi, poezya i sztuki piękne, niby Janowie na puszczy.

I nie mogło być inaczej. Poeta i sztukmistrz, jako wieszczowie, uczuciem przeczuwają prawdę, która się ma dopiero światu objawić w promiennym świetle wiedzy. Mają jej jasnowidzenie, ale jak każdy jasnowidzący, nie mają jej pojęcia. Co przenikają duchem, wypowiadają w symbolu, w obrazie, w materyale sztuki. Możnaby rzec, że gdzie na horyzoncie narodu jakiego pojawi się poezya i sztuka, nie z naśladownictwa, ale z pierwotwórczych, świeżych, jędrnych, czysto narodowych pojęć wydobyta, tam wschodzi jutrzenka jego wyższej swobody w różanym blasku poranku, tam niebawem i rodzima zejdzie filozofia, i okaże się w całym majestacie wschodzącego słońca; tam odmładza się życie narodu, świadczące o wielkiej treści i zasobach ducha jego.

Z tego, że sztuki piękne stanowią tylko przejście od religii do filozofii, nie wypada, aby ich stanowisko od owych stanowisk ducha było niższe. Sztuki piękne i owszem są pierwszym, odwiecznym pojawem t w ó r c z e g o ducha, a więc pojawem ducha w całkowitej jego doskonałości, której to twórczości i religii i filozofii braknie. Tym znamieniem sztuki piękne wyższe nawet są od religii i filozofii w szczególności, choć im nie dorównają pod względem znaczenia i treści. A jeżeli ta ich wyższość stosunkowa nie występowała dotąd w czasie, pochodziło stąd, że zamiast być połączeniem owych dwóch osobnych dziedzin ducha, przeniosły się całą istotą swoją w samą dziedzinę

wiary, i upostaciowały ją w czyn, to jest w religią. Z koleją wieków to, co tam twórczość sztuki zdziałała, tak się zrosło z wiarą, iż tego już z granic sztuki nazad oderwać nie można było. Stanęła jedna, wielka, żywa, duchowa postać, zrosła z ciała, to jest: ze sztuki — i z duszy: to jest z wiary.

Duch religii, będąc przedewszystkiem duchem czucia — serca — i w tej jednostronności bez wiedzy, bez myśli filozoficznej — ściągnął sztukę do siebie na to samo stanowisko, na którym tylko jest przeczuciem, wieszczeniem prawdy. I to była dotąd słaba strona sztuk pięknych — jedyna przyczyna małego ich na świat wpływu. Atoli ten ożenek sztuki z religią był tylko jedną jej połowicą.

Sztuka na ten sam sposób zróść się może i zróść się musi z umiejętnością. I umiejętność podobnie jest uogólniona (abstrakcyjna), jak wiara. I jej potrzeba kształtów, aby nimi zstąpić w świat rzeczywisty, dotykalny. Sam rozum tych kształtów sobie nie nada, ale nada je twórcza wyobraźnia, i otworzy nową obszerną dziedzinę dla sztuki. W dalszym ciągu okażemy ślady takiego łączenia się sztuki z umiejętnością, i jak dzisiejsze stanowisko sztuki koniecznie do tej nowej okolicy artyzmu wiedzie. Wszystko inne ku tej metamorfozie sztuk pięknych będzie przygotowane, jak tylko wyłączne panowanie rozumu ustanie. Owo Ludwika XIV *l'etat c'est moi*, spełniło się w twierdzeniu Hegla: *alles, was ist, ist vernünftig.* Z tej kulminacyi samowładztwa czystego rozumu zstąpić filozofii przychodzi, i nowi Mirabeauwie wołają: zstąpcie do czynu, do życia, — bo życie ma nietylko równe, ale wyższe prawa swoje nad czczą i martwą teoryą.

Z tego wszystkiego wypada, że sztuki piękne we wszystkich epokach swoich odbyły dopiero jeden główny pochód — ożenku swojego z dziedziną wiary. Dziś wstępują w drugi zawód — Bóg wie, jak rozległy, — połączenia się swego z umiejętnością. Trzeci okres je czeka wtenczas, kiedy będą jednością religii i filozofii.

783) *Str. 97—99.* S z t u k a j e s t s a m a s o b i e c e l e m. Nie ulega więc wątpliwości, i własne doświadczenie nam to powiada, że jest piękno w naturze. Wyróżnić nam je tylko potrzeba od piękna sztuki.

Wszystkie twory natury, jeżeli są piękne w sobie, nie mają tej piękności za rzecz główną, ale za przydatkową. Nie na to są stworzone, aby były piękne, lecz aby celowi odpowiadały. Wszystko w naturze ma cel swój i nic się nie dzieje bez celu. Twór każdy ma sobie zakreślone pewne stanowisko, które wypełnia. Każdy członek ciała, każde włókno rośliny, ziarnko piasku, nie nadaremnie są stworzone. Wywołała je do bytu mądrość nieskończona Stwórcy przy stworzeniu, i wiedziała dlaczego je wywołała. Świat jest liczbą, — powiedział Pitagoras, albowiem wszędzie jest jak największe obrachowanie, jak najtroskliwsza przezorność i opatrzność zaradcza. Rozbierzmy człowieka i zbadajmy te rozliczne cząstki, wchodzące w skład jego organizmu, jak tam wszystko obliczone, przewidziane, jak wszystko celowi odpowiada! Cała fizyologia stawia dowód tej prawdy.

Przy takiej przewadze celu w przyrodzonych tworach, podrzędną oczywiście jest piękność. Cel jest rządcą najwyższym przyrodzenia, jest *fatum* wielowładne, a prawa natury, których wszystko słucha, i którym wszystko ulega, są jego władze wykonawcze. Przestrzenne jak świat, potężne jak wieczność, nieugięte jak konieczność. Pod ich zarządem przetwarza się tworzywo, a wpływają na to tysiące tysięcy nieprzewidzianych, a tym samym przypadkowych okoliczności. Jak potężne machiny porywają w obrót kół swoich wszystko, co się pod nie nawinie, i wyrabiają materyał — tak jak właśnie się nawinął — według praw koniecznych tych machin, na wyroby kształtne, zupełne lub niezupełne; a baczność rękodzielnika porządkuje, i nie pozwala brać góry zamieszaniu; podobnie w pracowni przyrodzenia, według praw nieodmiennych natury, wyrabiają się twory z materyi, tak właśnie, jak się w zbiegu okoliczności, nawinęła, lecz Bóg przestrzega ładu i celu.

Acz pojedyńcze narzędzia ustroju, wchodzące w skład jednostki, służąc tylko celowi, naginać muszą formy swoje do tego celu, a nie do pięknego kształtu, któryby tu może nie odpowiadał; to jednak ta jednostka sama, — jak drzewo, zwierzę, człowiek, — wyraża myśl Bożą, jest przeobleczeniem się jej w materyą. Dlatego twór każdy, będąc jednością treści i formy, jednością myśli i materyi, powinien być w tej jedności doskonały

a zatym być tworem pięknym. Takby było w istocie, gdyby twór w sobie skończony był bezwzględnym, to jest, gdyby sam nie był dalszym celem, a mając to przeznaczenie, nie wchodził w nieskończony łańcuch przyczyn i skutków. — Wszakże o ile skończoność takiej jednostki względna wyobraża myśl Stwórcy względną, o tyle rozwija się też jako piękno. Nie może być jednak pięknem zupełnym, bo ulega wpływowi nieskończonych okoliczności, w które jako jedno ogniwo nieskończonego łańcucha wchodzi. Jakoż widzimy, że w tworach organicznych środkiem utajone są narzędzia, celowi życia służące, jako to: żołądek, kiszki, wątroba, żółć, śledziona i t. p. zaś na zewnątrz, na pojaw, obścielają się po kościach kształty nadobne. Wszędzie w naturze upatrujemy ten popęd symetrycznego ukształcenia się na zewnątrz. Wszakże twór nie przestaje odpowiadać celowi, choćby w skutek przypadkowych wpływów formy jego zewnętrzne rozkształciły się i oszpetniały. I pochyłe drzewo rodzi owoce, jak człowiek ułomny na wielkiego wyjść może męża.

Z tej to przyczyny natrafiamy tak rzadko w naturze na twory, całkiem w kształtach swoich doskonałe, to jest, na twory zupełnie piękne. Najwięcej bywa to cząstkowa piękność, sporadycznie po tworach rozrzucona.

Całkiem inne jest piękno sztuki. Ona nie ma innego celu nad piękno. Płody jej mają być tylko piękne i nic więcej. Sztuka nadto z natchnienia płynie, i nic pożytkowego nie oblicza, nic obcego nie przewiduje. W dziele sztuki jest myśl, poświetlająca z materyału, jest harmonia zupełna treści i formy, i tylko o tę harmonią, a nie o cel oddzielny sztukmistrzowi chodzi. Ta harmonia jedynie podoba się w dziełach sztuki, to, a nie co innego, jest pięknem.

Powiedzieliśmy dopiero, że wszystkie pojedyncze twory świata są ku pewnemu celowi i jemu służą. Świat tylko sam, jako całkowite objawienie Boga, nie służy żadnemu celowi, jak Bóg żadnemu nie służy. Świat jest sobie sam celem. Bóg świeci w świecie mądrością nieskończoną, nie dla żadnego celu, lecz dla siebie samego. «Bóg stworzył świat dla chwały swojej» powiada pismo. — Podobnie sztuka zbliża się do tej godności, acz na maluczką skalę, i ona nie ma żadnego celu, ale jest sobie sama celem. «Sobie nie komu, śpiewam» powiada po praw-

dzie wieszcz nasz narodowy. Dzieło każde mistrza jest całkowite, ukończone w sobie, i piękno w nim świeci sobie samemu. Mistrz je stworzył, wylał na chwałę swoją.

784) *Str. 105—111.* Sztuka jest wyższą nad naturę. α Już w tej trwałości leży wyższość piękna sztuki nad pięknem natury, które jest przemienne. W nieustannej metamorfozie wszechrzeczy przeobraża się i piękność. Utkwiona bytem swoim w bycie tworu, na którym się uwydatnia, rozwija się wraz z nim po stopniach wzrostu i upadku; wyrabia się z niekształtów i znów przechodzi w niekształty. Typ gatunkowy zbiera formy do harmonii, a zebrawszy je, przez chwilkę żywota zdobi twór tą jednością, potym ją rozkłada i zekształca. Świat więc, uważany w tym rozproszeniu tworów, jest nieustannie zmieniającym się kallioskopem, i żadne piękno jego nie jest trwałe.

Przyczyną tej zmienności piękna natury jest życie tworów. Źlebyśmy wszakże rozumieli, gdybyśmy piękno sztuki mienili martwym bez życia. Dzieło sztuki i owszym jest pełnią życia. Boć natchnienie, będące matką sztuki, jest wyskokiem życie, miałożby więc dzieło sztuki, dziecię natchnienia, urodzić się nieżywe, i nie pojrzyć na świat okiem pełnym blasku i życia? Atoli inne jest życie tworu natury, a inne tworu sztuki. Tam idea jest w rozwoju, w następstwie inności i w czasie; w dziele sztuki jest idea w zupełności, ukończona, w przestrzeni. Tam jest jej żywot doczesny, tu wieczny; tam rzeczywistość realna, tu idealna. W pięknie natury jest ruch życia ziemskiego, w pięknie sztuki jest spokój dusz błogosławionych. Stąd tam zmienność tu trwałość.

..... β) Jako prawda a nie zmyślenie. Inni zarzucają znów sztuce, że jest tylko zmyśleniem, udaniem prawdy, że więc natura, będąc samą rzeczywistością, z tego tytułu wyższą jest od sztuki. Poeta zmyśla, albo komponuje, jak mówią: malarz udaje tylko twarze, jak snycerz postacie ludzkie udaje. Jeden i drugi tym lepszy mistrz, im doskonalszy w sztuce udawadnia podobieństwa, to jest w sztuce złudzenia i oszukiwania zmysłów widza. Samo budownictwo i muzyka nie wolne od złudzeń, gdzie wszystko obrachowane na efekt. Nie ma tego w naturze. Wsze

twory stworzenia są takie, jakimi być powinny, a jeżeli są złudzenia, leżą one w nas, nie w naturze; my sami się łudzimy, a nie natura nas łudzi.

I tu mylne jest zapatrywanie się na rzeczy, a na sztukę w szczególności. Jużem to przy innej sposobności powiedział, że ten właśnie najwięcej zmyślił sobie i ludziom, kto poezyą zmyśleniem nazwał. Jest ona i owszym najrzetelniejszą prawdą. Poezya jest prawdą, w uroku świeżości pojętą, i dla tego, jak kwiat nadobną. Spoczywa w niej czysty promień wiedzy, tylko że na wyobraźni, jak na szkle pryzmatycznym, w siedmiolitą tęcz kolorów rozstrzelony, i dla tego piękny. Podobnie nie ma zmyślenia i udania, ani w malarstwie, ani snycerstwie. Ludziom patrzącym się na posąg lub wizerunek męża, kiedy ich bijące uderzy podobieństwo, zdawać się może, że tam malarz, czy snycerz, jak najdokładniej udał skład ciała i rysy twarzy wyrobił, czyli że w największym podobieństwie wszystkich szczegółów skopiował oryginał żywy. Wszakże to podobieństwo nie stąd powstało, iżby tam sztukmistrz każdy muskulik, każdy włos, każde wgięcie i wypukłość ciała i lica wiernie był przeniósł na płótno, lub marmur; ale na tym, że ducha indywidualnego, tak jak się w twarzy i postaci we właściwym charakterze odsłania, w całym wyrazie pochwycić i w rysach, tym charakterem wydatnych, na materyał przenieść i ożywić potrafił.

Tam więc nawet, gdzie sztuka wiernie naturę oddaje, gdy zdejmuje okolice lub sceny życia powszedniego, daje wizerunek drzew, zwierząt i ludzi — tam nawet nie bierze sobie za cel być wierną kopią materyi i świata, ale chwyta urok, wyraz, myśl, charakter, i tym podobne znamiona ducha, z materyi przeglądającego. Zdejmuje z natury samo owo, jakby owianie duchowe, które jest jej blaskiem, wdziękiem i życiem. Powiewa ono i przeziera w tworzywie ciała, drzewa i żywiołów, i powiewać i przezierać będzie, przeniesione w tworzywo innego materyału, w farbę, kamień lub metal. Bo duch wszędzie potrzebuje tworzywa, (materyi), ażeby się w nim objawił do bytu. Narody są tłem ducha ogólnego, dziejowego, rozwijającego się w czasie; świat podścieliskiem tego samego ducha, rozwiniętego w przestrzeni. Tam i tu urzeczywiszcza się idea boska. Podobnie pojedyńczy ludzie i pojedyńcze twory są rozwojami pojedyń-

czych, indywidualnych idei. Każda chwila nakoniec na licu natury tworów nieorganicznych, zwierząt lub ludzi, tak w połączeniu, jak w rozosobnieniu uważanych, jest wyrazem pewnej, szczególnej myśli; i tę to chwilową myśl zdejmuje z natury malarz lub snycerz, gdy zdejmuje naturę.

W dziełach obrazowych sztuki, porównywanych z naturą, jest tożsamość myśli i ducha na dwóch różnych materyałach: na materyale ciała, które życie urobiło i na materyale farby i marmuru, które sztuka ożywiła. O złudzeniu zmysłowym i mowy być nie może. Ono nie może być zadaniem artysty, tam zwłaszcza, gdzie sztuka chce być sztuką, nie naturą. Udawanie i zmyślenie w sztuce jest przeto zarzutem nieumiejętnych, niepojmujących znaczenia sztuki i piękna. Zdziwi nas ich krótkowidzenie, gdy pomnimy, że portretowanie i modelowanie z natury jest najniższym stopniem malarstwa i snycerstwa, niejako przepisywaniem w sztuce piśmiennictwa. W twórczych pomysłach rozwija się dopiero geniusz sztuki obojej. W ideałach, nie w powszedniości, szczyt piękna. Nakoniec w poezyi, muzyce i architekturze, nie ma nawet materyału, ani przedmiotu, na kopiowanie natury, ale wszystko płynie z głębin ducha, i uwidamia myśl lub pojęcie wielkie, obleczone w rymy, tony lub kamienie.

Wyższość sztuki nad naturą i pod tym względem znowu jest widoczna. Materyał surowy, który sztuka bierze na tworzywo (a tym materyałem jest także głos i instrument), jest jak tworzywo przed stworzeniem i wszystko z niego być może. Natchnienie i myśl mistrza wyda i wybije się na nim, jak stempel menniczy na krążku kruszcowym. Sztukmistrz jest nieograniczonym panem, autokratą materyału. Owłada go i przenika duchem swoim; wyjmuje z pod przypadkowości, przelewa weń, jak chce, ideały swoje; nadaje mu życie, i robi tworem, dziełem swoim. Nie tak natura. Całość przyrodzenia jest tym, czym je Bóg mieć chciał przy stworzeniu i według tego planu pierwotnego mądrości boskiej wyrabia się wszystko pod wpływem praw koniecznych natury. Ani tam więc woli, ani samowiedzenia. Wszystko toczy się w zakreślonych od wieków granicach i jest tylko jednym kółkiem w wielkim zegarze świata, w którym biją chwile, godziny, dnie, lata, wieki woli i samowiedzy

Stwórcy. Z tego względu świat sam, jako zupełne dzieło woli i wiedzy Boga, jako najwyższa jedność materyi i myśli, jest oraz najwyższym, ogólnym ideałem; jest najwyższą sztuką piękną. Ale pojedynkowych ideałów natura bez woli i samowiedzenia starczyć i urzeczywistnić nie może.

γ) Jako uwydatnienie ducha, a nie naśladowanie natury. Ściśle z powyższym zarzutem połączone jest powszechniejsze jeszcze zdanie o sztuce pięknej, jakoby była naśladowaniem natury, a jako naśladownictwo, niższe zajmować musiała stanowisko od pierwotworu i prototypu swojego. Najprawdziwszy wniosek, gdyby założenie było prawdziwe. Sztuka w takim rozumieniu nie tylko byłaby niższą o wiele od tworów natury, ale byłaby nadto próżnym i niepotrzebnym zatrudnieniem: próżnym, boby się istotnie człowiek kusił drobnymi swoimi środkami małpować Stwórcę wszechmocnego, który twór każdy tworzył z nieprzebranej obfitości, mądrości i potęgi swojej; niepotrzebnym, bo na co źle kopiować, co w naturze jest doskonałym. Sztuka byłaby istotnie mamoną i złudzeniem, bo nie mogąc oddać zupełnie natury przez naśladownictwo, starałaby się celu tego dopiąć przez oszukanie zmysłów człowieka. Z szatańską obłudą stawiałby tu człowiek dzieła swoje i udawał je ludziom za dzieła boskie.

Takie byłyby następstwa, gdyby sztuka była naśladowaniem natury. A przecież tak rozumieją powszechnie, rozumieli nawet tacy, co o sztukach pięknych, o krytyce estetycznej pisali [1]). Według nich, malarz np. i snycerz zbierają po ludziach piękne oczy, nosy, usta, zgoła piękności szczegółowych części ciała, sporadycznie rozrzucone i te dopiero mozajkują w jedną piękną całość człowieka. Według tej samej teoryi, nawet poezya, architektura i muzyka powinny naśladować naturę, i doskonałość tych sztuk od doskonałości naśladowania zależy.

---

[1]) U nas Michał Grabowski, w swojej Literaturze i Krytyce. Z dawniejszych: X. Golański o wymowie i poezyi: «Sztuka tym lepsza będzie, im lepiej będzie naśladowała naturę, wszystkie sztuki mają za cel naśladowanie natury». Dmochowski, Sztuka Rymotwórcza: «I na cóż więc prawidła swe sztuka nam kreśli? Na to, żeby natury trzymać się najściślej». Tenże w Pamiętniku nowym Warszawskim: «Uczyniono ten honor poezyi, że ją nazwano sztuką naśladowania natury w rymach».

Nie ulega wątpliwości, że sztuka, mając także i techniczną stronę, potrzebuje praktycznej wprawy sztukmistrza, bez której żaden talent estetyczny do pojawu nie dojdzie: że przeto malarz szczególniej i snycerz gust swój na zdejmowaniu i modelowaniu pięknych żywych oryginałów, tak jak na kopiowaniu pierwotwórczych dzieł sztuki uprawiać powinni. Ale jako pisarz, który sobie styl uprawił na pięknych wzorach piśmiennictwa ojczystego, pisząc sam, nie zbiera z nich pojedyńczych zdań i wyrazów: boby taka mechaniczna klejonka niedołężną była ramotą: podobnie malarz i snycerz ma w wyobraźni gotowe typy piękności, na wzorach stosownych uprawione, które mu się same i pierwotwórczo poddawają pod natchnienie, z którego myśl płynie i dzieło się wyrabia.

Na nizkiej stopie naśladownictwa natury stoi rzeczywiście malarstwo chińskie i dlatego w nim niema ideałów. Malarz chiński, malując karpia, musi policzyć łuski jego i tyleż ich wymalować. Mahometanie i, jak wiadomo, wiele wyznań chrześcijańskich, odrzucili obrazy i posągi z meczetów i kościołów swoich. Dyssydenci uważają, że niegodnym jest Boga, w materyale martwym przedstawiać majestat Jego: niegodnym ducha, upostaciowanie go cielesne; albowiem pojęcie wszechmocnej, niezmierzonej i niematerialnej istności, nie da się brać na miarę skazitelnych ciał i spraw ludzkich. Gdybyśmy brali sztukę za naśladowaną naturę, musielibyśmy być tego samego zdania. Bo z któregoż człowieka zdjęty wizerunek mógłby być wizerunkiem Boga-człowieka. Albo portret której niewiasty obrazem niepokalanej Madonny? Jakieżto bałwochwalstwo grube, stawiać głaz z obliczem i kształtem grzesznego człowieka za wizerunek Boga? Atoli, jeżeli pojmiemy sztukę, tak jak pojętą być powinna, — że jest wyrazem myśli i ducha w materyale, — że zatym z tej postaci olejnej albo z tego posągu alabastrowego, nie inny świecić będzie duch, tylko taki, jakim go pojął wiek, naród i mistrz dzieła; że w tym kamieniu i farbie sztukmistrz przelał całe natchnienie religijne, całe pojęcie Boga i całą moc wiary swojej; że to pojęcie, ta wiara, to natchnienie przeziera z obrazu, a nie jest inne, tylko to samo, jakie wydał czas, religia i wychowanie; — możeż tu być jakie uwłaczanie bóstwu, jakie bałwochwalstwo? Jakeś pojął, takeś upostacił, i możesz-że żądać czego więcej?

W żadnym tworze natury nie ma całkowitego pojęcia Boga i dlatego cześć tworom natury oddawana jest poganizmem. Byłaby nią sztuka, gdyby tylko naturę naśladowała. Ale w sztuce pięknej da się to pojęcie złożyć w zupełności. Postać człowieka, jakeśmy wyżej wyłożyli, sama jedna jest odpowiednią postacią ducha, a ideał człowieka będzie wizerunkiem Boga człowieka. Ten ideał sztuka tylko zdolna pojąć i w materyał przenieść, przelewając weń oraz wiarę i pojęcie wieku. Sztuka tak mało jest bałwochwalstwem, że owszem stoi na straży chrystyanizmu, aby lud zmysłowy, jak niegdyś lud żydowski pod Sinai, cielców sobie nie ulał. Ona przedstawia do zmysłów jego takie postacie, w których przegląda i unosi się pojęcie prawdziwego, chrześcijańskiego Boga.

D) O odwadze cywilnej (1843).

(Pisma pomniejsze, tom I Poznań, 1849).

Istotę tej rozprawy stanowi właściwie nie analiza psychologiczna odwagi cywilnej, ale ukazanie całego szeregu warunków, wśród których się ona rozwija i przeszkód, zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych, hamujących jej rozrost. To prowadzi Libelta w końcu do skreślenia zasadniczych swobód ustroju społecznego, bez których niemożliwe jest objawianie się odwagi cywilnej. Tok głównych myśli przedstawia się jak następuje: Warunkami odwagi cywilnej są przedewszystkiem z a s a d y mające dobro publiczne na celu — dalej w y k s z t a ł c e n i e, gdyż «odwaga bez nauki jest jak nabój bez kuli» (str. 26) — wreszcie n i e z a w i s ł o ś ć, bo «kto uwiązany jest jakimkolwiek sznurkiem do ziemi, nie podniesie się do nieba» (str. 29). Zawisłości są rozmaitego rodzaju. Libelt dzieli je na trzy główne gatunki: zawisłość wewnętrzną czyli serca t. j. b o j a ź ń, zawisłość zewnętrzną czyli żądzy znaczenia t. j. a m b i c y ę i zawisłość od rzeczywistych stosunków życia t. j. g r z e c z n o ś ć albo s ł a b o ś ć. Ostatnia część poświęcona jest owym swobodom społecznym t. j. «pomocom odwagi cywilnej». Są niemi: p u b l i c z n e p o s t ę p o w a n i e tak w sądzie, jak i w jakimkolwiek zakresie obrad i ustawodawstwa, w o l n o ś ć d r u k u i s ą d p r z y s i ę g ł y c h. W ten sposób uwarunkowana odwaga cywilna zajmuje miejsce równouprawnione z t. zw. odwagą wojskową, a częstokroć nawet wyższe jeżeli się zważy, że działa w czasie pokoju, który jest zdrowiem państwa,

stanem jego zwyczajnym, a nie wśród gorączkowego paroksyzmu wojny i że jej nie przygrywają surmy bojowe, ani nie okrywa wojenna chwała.

Przytaczamy rozdział o grzeczności.

785) *Str. 49—55.* Grzeczność. Polacy są grzeczni, jest to chlubne, dość powszechne świadectwo, które cudzoziemcy naszym wyższym towarzystwom sprawiedliwie oddawać zwykli. Należy nam się postrzedz w tej pochwale, aby nam się nie wyrodziła na słabość charakteru, a tem samem na naganę. Grzeczność w towarzyskiem pożyciu jest zapewne zaletą człowieka dobrze wychowanego i tu może prawdzi się narodowe przysłowie, że nikt nigdy na grzeczności nie traci. Inny całkiem stan rzeczy, gdybyśmy ten przymiot naszego wychowania przenieść chcieli do zawodu publicznego. Tam grzeczność jest słabością, a stać się nawet może upodleniem; przysłowie zaś owo i owszem tak obrócićby należało, żebyśmy rzekli: kto grzeczny, ten zawsze traci. Mówiąc o odwadze cywilnej, tylko grzeczność okazywaną w sprawach życia publicznego mieć będziemy na względzie.

Analizując ten rodzaj skłonności ludzkich, nie zdaje nam się z tak gwałtownych pochodzić pobudek, jakiemi są bojaźń i ambicya, ale nareszcie te same, co tamte za sobą prowadzi skutki, to jest opuszczenie i zdradzenie sprawy narodowej. Nie ma grzeczność tej nikczemności co bojaźń, ani tej podłości i intrygi, co ambicya, ale ma słabość podobania się wszystkim, ma lękliwość, by się nie narazić nikomu i tej słabości poświęca obowiązki względem prawdy, sprawy i ojczyzny. Są to po większej części charaktery słabe, łagodne, potulne; nie ma w nich żadnej gwałtowności, ani drażliwości umysłu. Najczęściej albo głowa ograniczona i dla tego każdemu potakuje; albo serce ostudzone, w którem żadne szlachetne uczucie mocnem tętnem nie uderzy, i dla tego względy na formy zewnętrzne, konwencyonalne, biorą przewagę nad sercem; albo nareszcie i głowa i serce puste.

Pierwsi dobroduszni płakać będą nad upadkiem sprawy publicznej, gdy się znajdą w obliczu tych, co ją jak oni z serca pojmują, ale gdy się znajdą w obec przebiegłych, wygadanych, wyrafinowanych kierowników, co ją gubią i zdradzają dyplomatycznie, oczy niedawno zapłakane do śmiechu ustroją i poczciwy

kark nachylą z przymileniem na hołd wzniosłemu rozumowi, potakując zdradzie. W ślepem zaufaniu do wyższości rozumowej mędrszych acz fałszywych, i w dobrej wierze na to, co im prawią o dobru publicznem, o celach do niego wiodących; o potrzebie zrobienia tego i tego, o maskowaniu się przed czujnością innych i t. p., dają się użyć za narzędzia i oddają w posługi niecnocie, która ich usidlić potrafiła. Nie ma posłuszniejszych istot i wierniejszych sług, nad owych dobrodusznych, uczciwych prostaczków, których mędrszy uwiódł słowy, a grzecznością sobie zupełnie kupił. Użyć ich można na zabicie sprawy, za którąby oni raczej sami zabić się dali, bo rozum ich ograniczony odurzyła całkiem poufałość męża, dla którego rozumu, urodzenia i godności, wielkie mają poszanowanie. Jakże dla mężów tyle dla nich grzecznych, okazać się niegrzecznym? Toby grzech był nie do odpuszczenia. Więc choć się i spostrzegą sami, albo inni im oczy otworzą, choć się coś nierzetelnego prawemu ich sercu nawinie i przemknie, — to jednak grzeczni, wyrozumiali, milczą, i jak dawniej dworują na usługach.

Drugi rodzaj grzecznych, z głową bez serca, jest bardzo niebezpieczny. To są lisy szczwane, z przebiegłością układający każde wystąpienie i branie się swoje, aby nie zepsuć ani z jedną, ani z drugą stroną. Nie idzie im o wyniesienie; mają dostatki i tytuły; nie są też zbyt trwożliwi o dobra swoje, i nawet nie szczędzili ofiar, gdzie ich było trzeba; — ale jakaś słabość opanowała ich, że nie umieją odmówić nic nikomu i z czystej grzeczności gotowi się wrogowi dać użyć za szpiegów, nie będąc wcale za to płatnymi. Raz wszedłszy przez stanowisko swoje w przyjazne stosunki z osobami, nie śmieją ich sobie narazić, choćby to kraj i rodaków drogo kosztować musiało. A że pojmują dobrze, co czynią, aby się i przed swoimi zasłonić, szukają ku temu sposobów i wybiegów, i słabość grzeczności rzeczywiście z namysłem systematyzują. Nie ma pozoru, jakiegoby nie wyszukali, aby ukryć albo przynajmniej wytłumaczyć postępowanie swoje, o którego niegodności sami w końcu przekonani, a które jedynie z grzeczności popełnili.

Ile razy sprawa publiczna występuje na wierzch, zwykle silnie poruszy, umysły obudzi, najlepsze chęci i odwagę; ale niech tylko się otrze który o osoby w mitrze hrabiowskiej, albo

książęcej, albo o osoby wysoko w godności urzędowej postawione nieszczęśliwa grzeczność przygasi odwagę, głos zmieni, język inaczej nastroi, twarz inaczej ułoży, zgoła przeinaczy człowieka. Jakąś dziwną moc mają słowa, które z ust dostojnych wychodzą. Człowiek sam nie wie, dla czego im wierzy, dla czego wolę swoją miękczy i poddaje; — nie strach to, nie ambicya, ale grzeczność bez złej woli, przecież ze szkodą drugich wyprawia.

Wiedzą wysoko postawieni o tym talizmanie, który im blask ich godności i znaczenia nadaje, i łowiąc na sieć grzeczności dobre głowy, ale z nieco wypłowiałem sercem, kurczą, maleją i tłumią w nich odwagę. Trzeba mocy charakteru, trzeba silnych uczuć serca, aby je szturm z tej najsłabszej strony, nie zdobył. Ten sam stosunek idzie od góry do dołu. Zawsze niższy jest grzeczny dla wyższego, gdy się ten uprzejmie do niego zbliża, a dla tej grzeczności ani mu odmówić nic nie może, ani mu śmie coś takiego powiedzieć, coby mu nieprzyjemnem być mogło. Woli pokryć i utaić krzywdę prywatną i publiczną, niżeli się narazić i śmiało stanąć za prawdą i prawem. Owszem, aby siebie w opinii ratować, pomaga nakręcać prawdę i pozorować nieprawość.

Trzeci nareszcie rodzaj ludzi grzecznych bez serca i głowy, najnudniejszy z wszystkich. Szkodliwy o tyle, że tam stoją zera, gdzie liczby stać powinny. Nie ma nic nieznośniejszego nad tych ludzi, co nic nie umieją, jak kłaniać się, ściskać, uśmiechać, każdemu przytakiwać, gadać o powietrzu, o tancerkach i t. p. Młodzież, która w czasie ucisku, zamiast napawać się żółcią i octem, ilekroć dusza ojczysta zawoła pragnę! zamiast ustalić się w nieszczęściu i niedoli, a stęsknionego ducha przeszłością, teraźniejszością i przyszłością rozświecać, — przebawiła serca, wyhasała uczucia, wypróżniła głowę i na salonach wzrosła na mężów — ta młodzież w życiu publicznem rozsypuje rój owych grzecznisiów, owych zer towarzyskich. Póki lata młode im służą, lituje się nad nimi prawego serca obywatel, ale nareszcie płochością wieku, niedoświadczeniem ich tłumaczy. Lecz prawdziwem dla społeczności są zgorszeniem ci, co przy statku lat, a nieraz przy włosach siwizną ubielonych, w owej jałowej żyją grzeczności, sprawy publicznej ani czując sercem, ani pojmując głową.

Z tego wszystkiego wykazuje się, że grzeczność jest znijaczeniem ambicyi i bojaźni, i ma coś z jednego i z drugiego. Główną jednak podstawą jest słabość charakteru, a tem samem brak odwagi cywilnej. Radziby wszystkiemu dogodzić, ze wszystkimi żyć w zgodzie, niepomni na prawidło dawnego moralisty: *le meilleur moyen de n'être estimé de personne, est de vouloir plaire à tous (La Rochefoucauld).* Jest to jakieś niedołęztwo umysłowe, lenistwo ducha, który się na edredonach grzeczności rozlenił. Są ludzie tak mało dbali o siebie, że w zimie uszy im odmrażają dla tego jedynie, że im się nie chce płaszcz do góry zawinąć; tak i ci wolą tracić na szacunku i wziętości, niż obrzucić się płaszczem cnoty obywatelskiej i rozniecić w sercu odwagę.

Z drugiej strony najtrudniejsza to pozycya w świecie, być przyjacielem każdego i wszystkim dogodzić, i dla tego najwięcej ludzie tacy są w obrotach. Świat rozdzielony jest na stronnictwa, opinie i interesa, i nieustanna ich odbywa się walka, a oni biegają jako wieczni rozjemcy od obozu do obozu, i z każdym chcą być dobrze, każdemu gadając do myśli i serca, a z nikim od serca i z myśli. Podłość bojaźliwych jest udziałem, intryga ambitnych, obłudy uczą się grzeczni. Jest to maska, w którą się wszystkie niecnoty przybierały. Z po za niej ziały na społeczność zemstą i jadem wszelakiego zgorszenia.

Atoli stronnictwa w końcu, od zasad i opinii przechodzą do czynu, rozpoczyna się bój zacięty o interesa publiczne. Jakąż tu odegrają rolę ugrzecznieni? Uciekną z placu bitwy, aby się żadnej partyi nie narazić. Tak blizką jest grzeczność podłości.

Nareszcie trafia się, że nie wolno być neutralnym, że każde stronnictwo zwolenników pod swoją zaciąga chorągiew. Oświadczają się grzeczni na jedną lub na drugą stronę? Nie przemogą tego na sobie; taka jest słabość rozgrzecznionego, jakby sparaliżowanego serca. Woli podjąć się dwójznacznej roli, sprzyjając obydwom stronnictwom, niż się ogłosić jednego zwolennikiem, drugiego nieprzyjacielem otwartym. Nie pozostaje mu, jak wziąść obie role na siebie, sprzymierzonego i przeciwnika, z któremi przed każdem stronnictwem występuje; dwie zawsze mieć w uściech opinie i zasady, a żadnej z serca nie popierać i odgrywać tę nikczemną komedyę tak długo, aż się

wreszcie wszyscy na nim poznają i należytą okryją go pogardą i hańbą.

Podobnie jak bojaźliwy i ambitny, wywiera grzeczny publicysta szkodliwy wpływ na drugich, i rozwijającej się odwadze cywilnej, która depce nogami węża obłudy, a silnemi ramiony poświęcenia się publicznego, suchotne, a delikatne formułki grzeczności uśmierza, stawia tamę i opór zakamieniały.

Najopaczniejszem pojęciem rzeczy, względy pożycia towarzyskiego przenosi do żywota politycznego narodów, tam gdzie jest sama prawda i zupełna wolność ducha; i jak tam na karb zdrowia swego i szkody własnej krępującym go formom grzeczności się poddaje; tak i tu ich obserwancyi od siebie i od drugich wymaga. Jak gdyby na własnym mieniu swojem był draśnięty, tak go łamanie owych powierzchownych względów razi; taką potęgą duszy stała się już dla niego grzeczność, że dla tej czczej formy poświęca rzecz samą, dobro powszechne, sprawę publiczną, którą inni zrozumieli i pojęli.

Nienaturalny przymus dobrego tonu, który w towarzystwach panuje, wkradł się nałogiem nieszczęśliwym na wielki salon życia politycznego. Choć się najwięcej gość nudzi, uręcza, że się najlepiej bawi i usta do ziewania skłonne, wobec gospodarza na sztuczny uśmiech przymilenia ustraja. Gdy go kto udepnie, że mu się aż łza w oku zakręci, i przepraszają go za to, on albo powie: nic to; albo *au contraire*; albo w nadmiar grzeczności, sam jeszcze przeprasza. Ileż to razy w polityce tę samą popełnialiśmy grzeczność, z formy śmieszną, ale w rzeczy samej zbyt dla nas zgubną. W humorystycznym artykule jednego z nowszych pisarzy naszych, dowodzącym, że grzeczność zgubiła Polskę, wiele, aż nazbyt wiele jest prawdy. Dość obrócić się na najbliższą przeszłość naszą, aby się przekonać, jak odwaga bohaterów i ludzi poświęcenia ustępowała z placu lubieżnym względom grzeczności, i jak na jej spojrzenie, pokonywające wdziękami, puszczały silne obręcze obowiązków względem ludu i ojczyzny. O wierzcie mi — powiada autor rzeczonego artykułu, — że ile tylko nieszczęść, klęsk, hańb, zdrad i niedołężności odznaczyło cały ciąg dziejów naszych, wszystkie je z tego stanowiska grzeczności najlepiej obejrzeć i ocenić zdołacie; a możeby właściwa i pożyteczna rzecz była, uprosić sza-

nownych uczniów Galla i Spurhejma, o dokładne oznaczenie guza grzeczności na czaszce ludzkiej, aby na przyszłość każdemu, kto nam przewodniczyć zechce, wyciąć wprzódy on guz przeklęty, jeżeli się na niej okaże.

Polacy ożenieni z grzecznością, którą sobie snać z Francyi na królowę sprowadzili, to istne stadło Jana III z Maryą Kazimirą. Biją Turka pod Wiedniem, okrywają się sławą nieśmiertelną, ale wraz najzalotniejsze duby palą do kochanej Marysinki i tracą wszystkie korzyści wyprawy na Turków. Obaczmy się, jako od cudzoziemki Ryxy nigdy krajowi małżeństwo z cudzoziemką nie wyszło na dobre.

Grzeczność, jak bojaźń i ambicya, psuje charakter narodowy, odbiera mu sprężystość i farbę. Żółknie on i wyblaka jak liść jesienny i na zawsze za nim zieleń wiosenna zatracona. Liść taki prędzej czy później z dębu narodowego odpadnie, wiatr go zmiecie i zimy nie przetrzyma. Odwaga już go nie zarumieni, ani nie odmłodzi. Ludzie w polityce grzeczni, są jak muły, z bojaźni oślicy i z konia ambicyi spłodzeni, do rozplenienia żywota narodowego nie przydatni; są rzezańcy polityczni, którym dobrze seraj sułtański powierzyć, ale nie sprawę publiczną; są nakoniec ludzie bez charakteru, a o takich powiada Chamfort: *quiconque n'a pas de caractère n'est pas un homme, c'est une chose.*

E) O miłości ojczyzny (1844).

(Pisma pomniejsze, tom I, Poznań 1849).

W rozprawie tej stara się Libelt określić pojęcie miłości ojczyzny i wskazać z jakich czynników się ono składa i składać powinno. W przeprowadzeniu tego zamiaru różni się Libelt zasadniczo od całej naszej literatury emigracyjnej. Uczucie miłości ojczyzny jest każdemu wrodzone, ale uczucie samo nie wystarcza. «Czyny z uczucia tylko płynące są ślepe lub fantastyczne; bez gwiazdy przewodniej rozumu, równie do zguby jak do zbawienia powieść mogą». Ażeby uczuciem tem odpowiednio pokierować, ażeby czyny zeń zrodzone były konkretną, celową działalnością dla dobra ojczyzny — trzeba wprzód zdać sobie sprawę z tego, czem jest ojczyzna, z czego się to pojęcie składa. I to też czyni Libelt obszernie i starannie, z właściwą sobie jasnością, zmysłem konstrukcyjnym i wrodzoną skłonnością do trójek Heglowskich. I tak rozróżnia 9 «rozczłoń» pojęcia

ojczyzny: 1) materyalne, t. j. ziemię, lud i prawa; 2) duchowe, t. j. narodowość, język i piśmiennictwo i 3) żywotne, t. j. byt polityczny, religię i dzieje. Podajemy rozdział VII, omawiający wartość języka ojczystego.

Miłą jest obca mowa, lecz milszą sto razy,
W której, pierwszem na świecie wymówił wyrazy,
Drogą mi ona będzie, a gdy śmierć w mym progu
Zawita, polską mową polecę się Bogu.

Z rękopisu *X. T. B.*

786) *Str. 122—128.* Narodowość jest sercem, język jest krwią, ojczyste ciało narodu opływającą. Jak w ustroju człowieczym w sercu odżywia się krew i rozpływa na weny i arterye, tak w narodowości wśród narodu odżywia się język i okrąża olbrzymie cielsko narodowe, do ostatnich niedojrzanych sięgając i wciskając się kończyn, i wraca z nich znowu do narodowości. Język książkowy i uczony, jest jak krew arteryi barwistsza, jaśniejsza; język powszedni narodu, jest jak krew żył żywotnich, ciemniejsza. Język poezyi i język prozy, jest jak krew kobieca lżejsza, z mniejszym zasobem cząstek żelaznych, i jak krew męska cięższa: tamta urabia wdzięki, ta siłę i wolę. Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i życie jego, — wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje, bez języka narodowego nie ma narodu.

Język już jest wyższą duchową potęgą ojczyzny, niżeli były obyczaje. W obyczajach była rozliczność, samą myślą narodowości w jedność ujęta. W języku już jest jedność rzeczywista, żyjąca słowem, brzmiąca rozgłośnie, przemawiająca z duszy do duszy. Mowa jest obrazem myśli i uczuć człowieka; język jest obrazem myśli i uczuć narodu. Jest to głos ojczyzny z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim do swych dzieci przemawia, i dziatwa rodzona między sobą nim przemawia, i rozumieją się dzieci z macierzą.

Nieskończona jest indywidualność ducha. Duch piętnuje wszystko, a wszystko, co jest z ducha, osobną, właściwą, wyraźną cechą. Jak niema dwóch listków zupełnie sobie równych, tak niema dwóch ludzi zupełnie sobie podobnych. Ta różność oblicza, chodu, ruchu, pisma, głosu i t. p. jest uwydatnioną indywidualnością ducha. Miłość zatem z natury swojej duchowa, wiąże się sympatyą do tego wszystkiego, co tego ducha jest wyrazem. Kto się w kim kocha, kocha się we wszystkiej jego indywidualności. Dlatego miłemi oku znany tysiąc kroć uśmiech i spojrzenia kochanki, miłem każde ruszenie, a najmilszym i nigdy nieuprzykrzonym głos, tak dla ucha pieszczotliwy, dźwięczny, harmonijny, tak czemś osobnem napiętnowany, że go między milionami głosów odróżnisz, i z miliona głosów on jeden w głębi ducha twego, niewypowiedziane rozkosze obudzi.

Jak ludzie, tak i narody są pojedynkami, tylko na miarę rozciąglejszą i wyższą. Jako w ludziach upojedynkował się duch głosem, tak w narodach upojedynkował się językiem. Duch narodu wyrobił sobie swój język, i przelał się weń całą istotą swoją. Uczucia jego brzmią wdziękiem głosu, którym urobił sobie głoski, a z nich, jak z tonów różnych brzmi z wyrazów harmonia języka, a z mowy melodya jego, — tak słodka dla ucha, tak wnikająca w ducha powinowatego. Myśli ducha narodowego przebijają z form, i ze znaczenia wyrazów, i bijąc jasnością, rozświecają ciemnie narodu, właściwem, narodowem światłem.

Do języka staczają się więc wszystkie duchowe potęgi narodu, wszystkie jego myśli i uczucia. Po języku, jak po odsadzonych warstwach ziemi poznasz wiek i żywot narodu, poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe. Zarody wielkości narodu już pierwotnie w jego języku złożone być muszą. Psychologia języków — nietknięte dotąd pole badań, ciekawe nader przyniosłaby w tej mierze wypadki. — Chcesz poznać stan zdrowia, lub choroby narodu, przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije, a poznasz stan gorączki, agonii, lub niebezpieczeństwa. Chcesz je odwrócić, działaj na tę krew narodową, napraw soki pożywne, z których się rozwija, wydal cudzoziemczyznę, wychowaniu daj kierunek narodowy. Tak sobie poczęła sławna w dziejach naszych K o m i s y a e d u k a c y j n a. Atoli środek za późno już był użyty. Niemoc zanadto już rozmogła się w narodzie, i życia jego politycznego już nie można było uratować. Ks. Onufry Kopczyński, Pijar, ten nieśmiertelny Kopczyński, czuł całą duszą swoją miłości ojczyzny pełną, ile na zamiłowaniu i kształceniu języka narodowego zależy. «Kochany narodzie! powiada [1]), przedsiębierzesz razem ze mną poznanie ojczystego języka,

[1]) Wstęp do Gramatyki polskiej. Dzieło pozgonne w Warszawie 1817 r.

i jako tłumacza myśli twoich, i jako wiecznej imienia twojego pamiątki. Losy bytu naszego, bardzo go chylą ku zgubie i język też za sobą ciągnie. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców, tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegóż się nie lękać od spojenia! O! miłości ojczyzny! o żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi, ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z geograficznej karty, dwa te najsławniejsze narody, a imię ich w porządku historyi politycznej, i moralnej, błyszczy przed wszystkiemi. Cóż im tę sławę zjednało? Język. Język pełen umiejętności, pełen wdzięku, pełen mocy, malujący najbliżej i najjaśniej najskrytsze rozumu i serca ludzkiego tajniki. Języki są kluczem nauk, kluczem języków są gramatyki. Zaczem i dla korzyści, i dla nieśmiertelnej imienia polskiego sławy, malujmy prawdziwy obraz naszego języka». Póty ks. Kopczyński. Słowa jego rzewne idą od serca i do serca trafiają. Iluż to przecie takich co je odczytało? Długo były to słowa wołającego na puszczy. Sam autor pierwszej gramatyki polskiej, tak był przesądami wieku swego zniechęcony, że dzieła swego nie odważył się puścić za życia swego na świat, i gdy mu 30 listopada 1816 r. Stanisław Potocki, minister oświecenia, oddawał medal złoty, imieniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, rzekł starzec w poczuciu blizkiej śmierci: «Kilka już lat spoczywa i dojrzewa to dzieło, ale literatów burza nie pozwala nowej tej gramatyce ruszyć się z portu, może po mojem utonieniu w wieczności, na spokojniejsze puści się fale».

Zaprawdę, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować od zupełnego zatracenia. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki ojczyzny. Powinna ona nam być tak droga, jak drogą była pierwszym chrześcianom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikom do grobu z napisem: *pro Christo.* Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego, i dzieła ich w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: *pro patria.* A ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim,

a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali — a stokroć bardziej zaślepieni niż tamci, na sobie i na własnem potomstwie dokonywają tego prześladowania.

Na szczęście już czasy tak grubej niewiadomości minęły. Już coraz rzadsze przykłady takich domów, gdzie matka Polka, tuląc dziecinę swą do łona, po francusku doń przemawia; gdzie ojciec Polak w onym obcym języku do syna się odzywa; gdzie obywatele i obywatelki spotkawszy, albo zgromadziwszy się, często złą francuzczyzną witają się i rozmowę toczą. Idź do innych narodów, czy co podobnego usłyszysz, aby się krajowcy między sobą obcym językiem porozumiewali, z wyraźnem lekceważeniem własnego? I owszem największą dumą narodową Francuza i Anglika i Niemca jest jego język, którym się poszczyca, jak najwyższym utworem narodowego ducha.

Bo zajrzyjmy głębiej, co jest język? Gdy dziecię się z jego wiadomością nie rodzi, musi być język utworem narodu, osobny szczep, lub pokolenie stanowiącego. Siła twórcza ducha człowieczego, najprzód się w tem objawia, że głos swój na wyrazy urabia, któremi myśl swoją wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców w tę siłę twórczą, i do tego pierwszego dzieła duchowego zlewają się, i język odblaskiem być musi ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całej potęgi ducha. Wszystkie geniusze z tego plemienia dały dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją ich ogniem w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to w języku złożył. I stąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofia, że człowiek zdumiewa się nad nią, i prawie sądzić był skory, że sam Bóg języka człowieka nauczył.

Za prawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był tu nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednoszczepowego objawiający się. I tem to dziełem najszczytniejszem, tą mądrością czysto narodową, tą puścizną po talentach i geniuszach wszystkich wieków istnienia narodu twojego, — ty śmiesz pogardzać, albo nie mieć obowiązku uszanować ten skarb ducha? —

i przy tej pogardzie i obojętności występnej śmiesz chełpić się, że kochasz ojczyznę? — Raczej ojczyzny wyrodkiem jesteś i bluźniercą imienia własnego. Już Kopczyński, zkąd inąd tak łagodny, zżymał się na ten rokosz krajowców, przeciw językowi narodowemu podniesiony. «Nad ten gruby przesąd — powiada — że urodzony Polak po polsku i bez gramatyki umieć musi, jest jeszcze szkodliwsze mniemanie, że mowa nasza nie zasługuje nawet na imię języka, ponieważ jest grubą, ubogą i nieprawidłową. Co za gramatyczne bluźnierstwo! co za dziecinna niewiadomość ojczystych rzeczy! Któż cię to uzuchwalił taki wyrok zmyślić, i ogłosić? wyrok, który jest największą tamą doskonalenia u rodaków języka i utwierdzeniem cudzoziemskiego o nim przesądu? Jak się godzi nieznajomą sądzić sprawę? Jak przystoi tak okrutny na sławę narodu wydawać wyrok? dla którego znakomitsze w kraju osoby przez pogardę własnego, wolą mówić i pisać językiem cudzoziemskim?» — Nareszcie prawie z rozpaczą dodaje: — «Kto te szkodliwe przesądy, kto te ohydne mniemania przełamie i wykorzeni? Kto wysoką zacność mowy naszej okaże?»

Ciesz się, szanowny cieniu! przełamane, choć nie wykorzenione zostały te ohydne przesądy i mniemania, a wysoką zacność mowy naszej okazało obeznanie się z Zygmuntowską literaturą, okazała Gramatyka Twoja, okazał Linde, i niezrównane pióra Śniadeckich, Mickiewicza, Krasińskiego, Pola, Kremera i tylu innych pisarzy i piewców narodowych. Już tylko z politowaniem pozieramy na tych, co to jeszcze francuzczyzną, jak kawki pawiemi piórki, się stroją, szare i niepozorne z pierza, jakie im ród i natura dała.

Twoim przykładem, Kopczyński, choć późno zachęceni rodacy, poznanie gramatyczne i filozoficzne języka narodowego wezmą sobie za największy narodowy obowiązek, i wstyd im będzie znać obce języki, a własnego umiejętnie nie poznać. Bo prawdą jest, że ile kto języków posiada, tylekroć zmnożył w sobie człowieka, ale nierównie jest prawdą, że kto przytem własnego nie posiada, tylekroć upodlił w sobie rodaka.

Wy to szczególniej matki, troskliwe i staranne o wychowanie cór waszych, postrzeżcie się, abyście już od pierwszych lat ich dzieciństwa, obcą mową, którą im gwałtem wdrażacie,

nie przelały w nie obcych pojęć i uczuć. Bo kto się nauczy myślić po francusku, możeż ten czuć po polsku! Gdy dziewczęta nasze wszystkiego uczono, tylko nie macierzystego języka, którego się tylko od służebnych i prostaczków uczyły; gdy je ze wszystkiem obeznawano, tylko nie z dziejami i literaturą narodową; — do cudu prawie należy, że w Polkach naszych tyle jeszcze uczuć narodowych, obok cudzoziemskich narowów utrzymało się.

Miłość wszystkie trudności łamie. Pojmij tylko każdy, że kochając ojczyznę, kochać powinieneś język, który jest jej głosem rzewnym, a oraz światłem ducha, ciało jej opromieniającem; — niepodobna, abyś mając tem uczuciem wezbrane serce, do współrodaka nienarodowym odezwał się językiem; — byś w wychowaniu twojem i ukształceniu, umiejętne poznanie swego języka, na pierwszem nie położył miejscu.

O bracia! obrzmiani wciąż tonami mowy ojczystej, nie czujecie słodyczy jej brzmienia, co wnika i przenika w głąb duszę. Ale oddalcie się na czas w obce kraje, pożyjcie między cudzoziemcami, zachowując serce prawe i nieskażone, a zatęschni dusza wasza do tych głosów duszy waszej pamiętnych, co się niegdyś o niemowlęce uszy wasze z pieszczotliwych ust matki odbijały, co potem same z piersi waszej dziecięcej płynęły, co później ogień i zapał młodzieńczego ducha waszego nieciły, co wreszcie wymówiły i usłyszały z ust różanych, najtkliwsze wyznanie miłości. O! jest tyle wspomnień czułych i świętych w pamięci naszej, które wszystkie głos rodzinny w głębiach wnętrza obrzmiewa, że gdy żal duszę ogarnie, te brzmienia odzywają się, jak dzwony pogrzebowe za minionemi laty, w których się żyło między swemi a żyło się środkiem mowy ojczystej. A komu Bóg da wrócić nazad w swoje strony, jaka radość ogarnia ducha, gdy rodzinne powietrze, już w granicach ojczyzny, zabrzmi wdziękiem dawno upragnionym narodowego języka. Nie posiądzie się z radości, nie wstrzyma się, by nie wymienił słów kilka z przechodniem, co mimo idąc, Pana Boga pochwalił; by przeciągłą rozmową, ożywioną najwyższym interesem w rzeczach najpotoczniejszych, nie gasił tego pragnienia stęschnionej duszy. Umiłowawszy tak język, gdy

go kształcić i podnosić będziemy do doskonałości, podniesiemy oraz w nas ducha ojczystego, co tym językiem przemawia. Zapewne, że używanie języka ojczystego w sprawach publicznych, żywotną mu nadaje siłę, ale o wiele żywotniejszą jest używanie go w wychowaniu publicznem i w powszechnem domowem pożyciu.

Opracował: M. KRIDL.

XCVI.

KOŹMIAN ANDRZEJ EDWARD

(1804—1864).

Literat, publicysta i działacz dyplomatyczny w sprawie ojczystej, syn Kajetana, autora «Ziemiaństwa», urodził się r. 1804 w Piotrowicach, w Lubelskiem. Utraciwszy wcześnie matkę (Anna z Mossakowskich), znalazł w przybranej (ojciec ożenił się powtórnie z rodzoną siostrą pierwszej żony) zacną, kochającą wielce i troskliwą wychowawczynią. Kształcenie umysłu powierzył ojciec emigrantowi francuskiemu (Lenain de Rosemond). Dalsze nauki odbywał w Warszawie, gdzie uczęszczał do liceum i uniwersytetu i pobierał jednocześnie lekcye prywatne. Nawiązał tu stosunki z młodszymi, ale nad wiek swój rozwiniętymi duchowo: Chopinem (którego ojciec udzielał mu lekcyi francuskiego) i Zygmuntem Krasińskim, z którym zbliży się już po ukończeniu nauk (1827 r.). Zarówno dom rodziców (w Piotrowicach i Warszawie), jak Puławy, tak blizkie Piotrowic, a w Warszawie salony kasztelanowej połanieckiej Lanckorońskiej i generałowej Wąsowiczowej (z domu Tyszkiewiczówny, potem za Aleks. Potockim, dziedzicem Willanowa) były dla młodzieńca szkołą układności towarzyskiej i wyrobiły w nim tę swobodę i wytworność w obcowaniu, której będzie zawdzięczał swe powodzenia późniejsze w salonach Paryża i zabiegach dyplomatycznych. Na rozwój uczuć narodowych wpływał zarówno ojciec, jak atmosfera Puław z ich zbiorami i pamiątkami, tudzież generał Morawski, koło którego chętnie się skupiali młodzi poeci i literaci, znajdujący w nim, zdolnego rozumieć ich romantyczne porywy, sędziego i doradcę. Odbywszy, w r. 1825, pierwszą wycieczkę po Niemczech, skreślił wrażenia swe w ogłoszonej po trzech latach książeczce: «Dwa dni w Szwajcaryi saskiej» (Warszawa, 1828 r., str. 90), tchnącej młodzieńczo-romantyczną egzaltacyą w obrazach przyrody, pełną przytoczeń z Byrona, Schillera, zachwytów nad Hamletem. Ojciec, oceniający z ironią tę próbkę literacką przeniewierzającego się ideałom klasycznym syna, zamierzał skierować go do służby dyplomatycznej

i w tym celu uzyskał dla niego nominacyę na kamerjunkra dworu królewskiego w Warszawie, a następnie wyprawił w podróż mającą go przysposobić do przyszłego zawodu, przez nawiązanie stosunków ze sferami arystokratycznemi i kołami dworskiemi na Zachodzie. Za mentora w tej podróży służy młodemu Koźmianowi hr. Aleksander Batowski, w. łowczy dworu, mający córkę zamężną we Francyi i spokrewniony z rodzinami francuskiemi. Zaopatrzony w listy polecające od ks. Wirtemberskiej, ks. Adama Czartoryskiego, Platera, do wybitnych osób ze świata arystokratycznego francuskiego, wyrusza przyszły dyplomata jesienią r. 1829 z Warszawy i zatrzymuje się po drodze w Wejmarze. Przyjęty, wraz ze swym towarzyszem, w charakterze dostojników dworskich, na dworze książęcym, uzyskuje wstęp do Goethego, którego nawiedzi powtórnie, wracając z Paryża w maju r. 1830. Był wtedy zaszczycony dłuższą rozmową, w której twórca Fausta rozwodził się nad podaniem o Kazimierzu Mnichu, jako wybornym materyale dla dramatu, i rozpytywał gościa o świeżo przedstawionego wtedy w Paryżu Ernaniego i działalność W. Hugo. Przybywszy do Paryża, dzięki listom polecającym i osobistym zaletom, nawiązuje szerokie stosunki towarzyskie. Bywa u ks. Hamilton, państwa Flahaut, ks. de Noailles, pani Gay, Rotszylda, hr. Apponyi, ambasadora austryackiego; przez ambasadora rosyjskiego otrzymuje wstęp na dwór królewski, przedstawia się królowi i Delfinowi. Jednocześnie słucha wykładów Guizota, Villemaine'a, przesiaduje w muzeach, studyując zabytki sztuki, zachwyca się przedstawionym wtedy w Paryżu «Otellem» w przekładzie Alfreda de Vigny, w «Ernanim» dostrzega wspólną z «Dziadami» cechę: «dzikich, szalonych wyrażeń pełno». Sprawia sobie kosztem 1400 frank. mundur kamerjunkrowski i ma stale najęty kabryolet do oddawania wizyt. Zastaje już wtedy w Paryżu Delfinę Potocką, czarującą swą urodą i śpiewem p. de Flahaut, nawiązuje bliższy stosunek z późniejszym ministrem Napoleona, Aleksandrem Walewskim, ulubieńcem dam, trwoniącym wtedy swe 75,000 frank. rocznego dochodu na karty i stawki na konie wyścigowe. Z Paryża robi Koźmian wycieczkę do Londynu, gdzie, dzięki stosunkom paryskim, uzyskuje wstęp do wybitnych figur świata politycznego i arystokratycznego. Bywa u Palmerstona, Salisbury'ego, ks. Lieven i t. p. Młodzieńcza energia, ruchliwość i ciekawość pozwalają mu zapoznać się — pobieżnie, powierzchownie zwykle — z różnorodnemi stronami życia towarzyskiego, politycznego, umysłowego i artystycznego Paryża i Londynu. Przepełnione szczegółami tego życia listy do rodziców świadczą o niezwykłej zabiegliwości i żywości wszystkiem się interesującego i nigdy nie zmęczonego młodzieńca. Życie towarzyskie, salony paryskie, kobiece towarzystwo, którego wizerunki kreśli po francusku, najsilniej jednak pociągają przyszłego dyplomatę i najwięcej zajmują miejsca w jego ciekawych, obszernych listach. Spotykamy w nich zarazem obszerne sprawozdanie z pierwszego przedstawienia Ernani'ego, na którem się znajdował, relacyę z wykładów Guizota i posiedzeń Akademii, wrażenia z Muzeów paryskich i wystaw dzieł sztuki, z wizyty u Chateaubrianda. Robi w Londynie wypisy, a raczej streszczenie z udzielonej mu do przejrzenia korespondencyi dyplomatycznej w sprawach polskich z lat 1733 do 1735, nakłania w Belgii fabrykantów sukna do założenia fabryk w Lublinie. Gdy wreszcie znajdzie się, w maju r. 1830, ponownie w Warszawie, pierwszy list do Piotrowic, z wyrazem uczuć radości z powrotu, napisze prawie cały po francusku. W liście tym donosi, iż z powodu przyjazdu cesarza ma być w rocznicę koronacyi bal dworski, na którym rozpocznie pełnić swą służbę (jako kamerjunkier), kłopocze się więc o tancerki, których brakowało, ponieważ około 40 dam wyjechało z Warszawy. Wybuch listopadowy nie znajdzie echa sympatycznego w duszy młodego dyplomaty. Podczas gdy bracia jego stryjeczni: Stanisław, i Jan, staną jako ochotnicy w szeregach, on poprzestanie na wzięciu udziału w działalności dyplomatycznej ówczesnego rządu. Wysłany na spotkanie jadącego do Petersburga ks. Mortemar, ambasadora francuskiego, odbywa z nim rozmowę o sprawie polskiej, zakończoną oświadczeniem przedstawiciela Francyi, iż Polacy nic od jego rządu nie otrzymają; raport o tej rozmowie złożył bezzwłocznie ówczesnemu Rządowi Narodowemu. Jednocześnie ogłosił w języku francuskim broszurę polityczną: «Coup d'oeil sur la question polonaise. Mai 1831» (str. 26). Po upadku powstania w którym, za przykładem ojca, nie brał czynniejszego udziału, osiadł w rodzinnych Piotrowicach. Uzyskawszy, przy pomocy stosunków ojca, paszport do Galicyi, wyjeżdża tam, by poślubić Teofilę Skrzyńską (z Dobrzechowa); wróciwszy do Piotrowic oddaje się zajęciom gospodarczym a jednocześnie i poszukiwaniom historycznym nad przeszłością ludu wiejskiego. Właśnie wtedy Andrzej Zamojski wytworzył, w swoim Klemensowie (w pow. zamojskim), ognisko poważnej pracy obywatelskiej, wciągając do niej ziemian lubelskich i z dalszych stron kraju. Pod jego wpływem pisze Koźmian większych rozmiarów, nie skończoną jednak, pracę: «O stanie włościańskim w Polsce od najdawniejszych czasów». Późniejsza praca Stawiskiego będzie dopiero pełniejszym i szerszym urzeczywistnieniem tej myśli. Biorąc udział w urządzanych wtedy, za dozwoleniem władzy, zjazdach ziemian w Klemensowie, zostaje następnie jednym z założycieli i współpracowników «Roczników gospodarstwa krajowego», koło których zgrupują się przyszli założyciele i kierownicy Towarzystwa rolniczego. Pod wpływem wypadków r. 1846 urządza Koźmian w Piotrowicach, za zezwoleniem władzy, zjazd obywateli z całej gubernii dla narady w sprawie oczynszowania włościan. Wobec bezowocności tego zebrania, inicyator, pragnąc przykładem własnym pobudzić ociągających się, oczynszował, mocą umowy dobrowolnej, swoich włościan. Dwór piotrowicki, w którym przemieszkiwał pracujący teraz nad «Stefanem Czarneckim» twórca «Ziemiaństwa», ściągał zawsze nietylko sąsiednich ziemian ale i gości z dalszych stron. Bywa tu po powrocie z Wołogdy, a przed przesiedleniem się do Wielkopolski, generał Morawski, z niedalekiego Opola

zajeżdża niekiedy hr. Rozalia Rzewuska z córką Kalikstą (ks. Teano), której, po jej zgonie przedwczesnym, poświęcił Koźmian wspomnienie (Warszawa 1843 str. 31), charakteryzujące niezwykłe uzdolnienie umysłowe i działalność pisarską tej kobiety, przypominającej erudycyą polihistorów epoki Odrodzenia. Zamiłowany, może pod wpływem zbiorów puławskich, w zabytkach przeszłości, gromadził Andrzej Koźmian stare druki, rękopisy, dokumenty. Na podstawie tych materyałów ogłosił teraz napisany jeszcze w r. 1832 «Żywot Bartłomieja Nowodworskiego» (Wrocław, 1840 str. 84), wydany w zbiorze «Żywotów sławnych Polaków» (Edwarda Raczyńskiego), i rozpoczął ogłaszanie ciekawszych rękopisów i zabytków swoich zbiorów p. t. «Wyciągi piotrowickie» (Wrocław, 2 zeszyty), idąc za przykładem Niemcewicza (Zbiór pamiętników o dawnej Polsce) i Sienkiewicza (Skarbiec). Przy poszukiwaniach swoich, zetknąwszy się w Przemyślu z Franciszkiem Dmochowskim, biednym krawcem, który w młodości służył w wojsku, odbył kampanię hiszpańską i przebył niewolę u Anglików, ogłosił drukiem spisany przez niego pamiętnik jego przygód (Lwów u Pillera 1843) i, zebrawszy drogą prenumeraty sporą sumę, przyniósł pomoc materyalną starcowi. Jednocześnie wydał w Lesznie (1843 r. str. 44) gorącą miłością ludu nacechowaną rozprawkę «O kmiotku polskim», domagającą się zniesienia pańszczyzny i sprawiedliwości dla kmiecia, którego charakterystykę stara się skreślić na podstawie pieśni i języka ludowego. Utraciwszy żonę w r. 1851 i znalazłszy się następnie w kłopotach pieniężnych, pozbywa się swych zbiorów, które nabywa Aleksander Branicki. W r. 1851 ogłasza w Poznaniu (księgarnia katolicka, str. 26) «Krótki rys życia ks. Michała Radziwiłła, skreślony przez J. S.» (Dla ukrycia autora podaje zmyślone litery i datuje pismo z Paryża). Następnie w końcu r. 1852 odwozi syna Stanisława (późniejszy publicysta i krytyk teatralny) na dokończenie nauk gimnazyalnych do Krakowa, a w końcu r. 1853 jedzie z nim dla studyów wyższych do Paryża, gdzie odwiedza nieznanego mu przedtem Mickiewicza. Z wizyty tej zdał sprawę w ogłoszonym później opisie. Śmierć ojca (r. 1856) i niepomyślny stan majątkowy zmuszają go do sprzedaży rodzinnych Piotrowic i przeniesienia się do pozostałego mu majątku żony (Dobrzechów w pow. rzeszowskim), który odda następnie synowi, a sam rozpocznie teraz ruchliwe życie, przeważnie poza granicami kraju, oddane stosunkom towarzyskim, sprawom literackim, leczeniu artretyzmu a wreszcie działalności polityczno-dyplomatycznej w Paryżu. Po rocznym pobycie w Dobrzechowie, około dwu lat spędził w Poznańskiem, u brata stryjecznego Stanisława w Przylepkach, i w Luboni u generała Morawskiego. Wywdzięczając się za gościnę, skreślił drobny obrazek: «Dom starego wieszcza wielkopolskiego» (Poznań, 1858).

W rok później (1859 r.) ogłasza w Poznaniu, nakładem Żupańskiego, Pamiętniki swego ojca i jego poemat: «Stefan Czarnecki» (1859 r.). Wcześniej nieco, bo w r. 1857 wydał tu własny przekład «Makbeta»,

dokonany «wierszem godnym Ziemiaństwa i Barbary», «wedle zdania prof. Tarnowskiego, ale zacierającym przez wygładzenie cechy oryginału. Pisuje też do «Przeglądu poznańskiego» (między innemi artykuł o Osińskim, wydany osobno w odbitce «Czasu») «Kroniki» warszawskiej, tudzież dla zamierzanego teatru amatorskiego tworzy nie ogłoszoną drukiem komedyę «Matka o pięciu córkach». Inny utwór dramatyczny: «Rok 1846», dramat w 5 aktach (str. 124) wyszedł w Poznaniu, r. 1868 nakładem Merzbacha. Opuściwszy, w sierpniu r. 1858, Wielkopolskę, udał się do Paryża, w którym spędził sześć lat ostatnich swego ruchliwego żywota. Zostając w bliższych stosunkach z Zygmuntem Krasińskim, który w lutym r. 1859 zakończył wieloletnią walkę ze wzmagającą się chroniczną chorobą, ogłosił zaraz po jego zgonie w Poznaniu (1859 r.) «Listy Zygm. Kras. o poemacie Kajetana Koźmiana «Stefan Czarnecki», z dodanem do nich wspomnieniem pośmiertnem o świeżo zgasłym poecie». Posiadając bardzo szerokie stosunki towarzyskie w kołach arystokracyi i zamożniejszego ziemiaństwa zarówno w Królestwie, jak Galicyi i Poznańskiem, tudzież w kołach naukowo-literackich Warszawy, Krakowa, Poznania, zapoznawszy się ze stanem politycznym trzech dzielnic Polski, z usposobieniem, położeniem, pragnieniami warstw kierowniczych w tych dzielnicach, mógł w Paryżu spełniać rolę informatora zarówno w hotelu Lambert (Czartoryskich) jak i w gabinecie ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, dawnego znajomego z r. 1829, hr. Aleksandra Walewskiego, który ułatwił mu wstęp do sfer dworskich i kół politycznych francuskich. Zapoznał się z Thiers'em i nieraz z nim znosił się. Wszedł w stosunki z wybitniejszymi przedstawicielami dyplomacyi, dziennikarstwa, a jednocześnie, z pomocą dawniejszych znajomości, przy swej towarzyskości i odpowiadających potrzebom salonów zasobach umysłowych, stał się chętnie przyjmowanym gościem w salonach arystokracyi kosmopolitycznej skupiającej się, stosownie do pory roku, w Paryżu, Hamburgu, Wiesbadenie. Wypadki lat 1861—1864 wysunęły Koźmiana na stanowisko agenta dyplomatycznego, pośredniczącego pomiędzy rządem francuskim a ówczesnym rządem narodowym polskim i późniejszym jego przedstawicielem dla Europy zachodniej, ks. Władysławem Czartoryskim. Choć życie salonowe, jakie od wielu lat pędził Koźmian, nie osłabiło jego uczuć narodowych, choć obowiązki swe spełniał z wszelką gorliwością, lecz, przy wysokich zaletach towarzyskich, nie posiadał on głębszego i bystrzejszego umysłu ni wykształcenia politycznego, koniecznego dla należytego oryentowania się w interesach i dążeniach mocarstw zachodnich, tudzież grze dyplomacyi, posługającej się powstaniem polskiem, jako czynnikiem dla osiągnięcia różnorodnych celów, lecz dalekiej od poważnego poparcia ruchu polskiego, ujawniającego swą słabość militarną i nieudolne kierownictwo. Z upadkiem powstania zakończyła się misya polityczna Koźmiana przy rządzie francuskim. Wróciwszy do kraju, we wrześniu r. 1864, zmarł wkrótce potem w Dobrzechowie.

BIBLIOGRAFIA.

Zarys, dość pobieżny, życia i działalności A. Koźmiana, skreślił L. Siemieński w swych «Portretach literackich» (w zbiorze pism Siemieńskiego Warszawa, 1881, t. IV, str. 290—309). Materyał do biografii mieszczą wydane już po śmierci «Wspomnienia» (2 tomy, Poznań 1867, str. 418 i 465) doprowadzone do początku r. 1831 (przekład niemiecki Kurzmana, w r. 1868), tudzież obszerna, od r. 1829 do 1864 (z przerwami) sięgająca, korespondencya, ogłoszona częściowo w «Przewodniku literacko-naukowym» lwowskim, a następnie oddzielnie, w 4 tomach, p. t. «Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana» (Lwów 1894—96) t. I, rok 1829—1830, str. 208; tom II, lata, 1831—1856 str. 246; t. III, r. 1856—1859 str. 432; tom IV r. 1860—1864 str. 696 i XXXI. Listy z r. 1863 uległy przeważnie zniszczeniu.

„Listy".

Listy Koźmiana przedstawiają bogaty, anegdotyczny przeważnie, materyał dla poznania współczesnego życia klas wyższych społeczeństwa polskiego i francuskiego po części, tudzież ówczesnej dyplomacyi, a wreszcie i świata literackiego. Podajemy tu dwa listy z epoki misyi dyplomatycznej, spełnianej przez Koźmiana w Paryżu.

22 października 1862 r. Homburg [1]).

787) *(Tom IV, str. 581—585).* Powrót mój do Paryża, nakazany mi, jest pewnego rodzaju obowiązkiem. Przybycie tam p. Andrzeja Zamoyskiego, przewaga w polityce cesarskiej wpływu, do którego mam przystęp, postawią mnie może w sposobności stania się użytecznym. Przed zmianą zaszłą odebrałem list z Etiolles, dający mi ten wypadek przeczuć i naglący o powrót, o ile można śpieszny. O wstęp do Thouvenela nie starałem się, dzisiaj go znajdę w miejscu, z którego ustąpił [2]). Z baronem d'André, który obejmuje zarząd sekretaryatu ministra spraw zagranicznych, w bardzo dobrych jestem stosunkach. Usunięcie Thouvenela jest ważnym wypadkiem, bo przywraca właściwą barwę polityce cesarskiej, która była spłowiała. Ja zawsze byłem przekonany i nieraz wam to wyraziłem, że cesarz nie opuści nigdy Ojca świętego i Kościoła katolickiego. Trzeba teraz, aby i w Rzymie zrozumiano, że ciągle okazywana niechęć, nieufność do Francyi,

[1]) Do brata stryjecznego Stanisława.

[2]) Zajął je Drouyn de Lhuys.

nieugiętość, nie wymagana koniecznie dobrem wiary, mogłaby postawić rząd francuski w stanie przymusu, wywartego opinią powszechną, opuszczenia zajętego stanowiska. Dziś wielka radość między duchowieństwem w Paryżu. Arcybiskup i wszyscy proboszczowie paryscy pośpieszyli z powinszowaniem do pana Drouyn de Lhuys, a wielu na kartach wizytowych dodało: *Magnum gaudium anunciatum est nobis.*

Bardzo ci wdzięczny jestem za udzielenie mi dokładnej relacyi o spotkaniu się z panem Andrzejem Zamoyskim i opowiadaniu jego. Sprawozdanie z Warszawy odebrane, z rozmowy petersburskiej z cesarzem, a które we *France* umieszczenie znalazło, różniło się w niektórych wyrażeniach i nie było zupełne. W Paryżu jest pan Andrzej bardzo skąpy w opowiadaniu i ciekawych ogólnikami zbywa, — i dobrze robi. Wrażenie, jakie ten zacny człowiek, to sumienie narodowe, jak go nazywam, uczynił na tobie i sąd twój na niem oparty, są bardzo trafne. Pan Andrzej nie jest mężem stanu, nie jest dyplomatą, nie jest nawet naczelnikiem partyi, jest szlachetną chorągwią. Nie wiem, czy się uda, ale teraz, podczas jego pobytu w Paryżu, trzebaby go koniecznie przeciągnąć ze sfery uczucia, poczucia i przeczenia, na pole praktyczne i utworzyć pewien program, odrysować mapę strategiczną i na niej oznaczyć drogi, któremi obroty wojenne prowadzone być mają. Oczekuję nowych listów z domu, po nich zaraz wybiorę się z powrotem do Paryża. Gościnność tutejsza nader mi miła i serdeczna, używam jej w tym roku dłużej niż zwykle, gdyż czuję, że naszej kochanej chorej a raczej rannej [1]) jestem choć trochę użyteczny, że bytność moja jej dogadza. Od dwóch lub trzech tygodni niebezpieczeństwo ustało, lecz więzienie obłożne potrwa jeszcze kilka tygodni. Rana, która była potworna, jakby kulą armatnią wyorana, którą rozerznąć i rozszerzyć musiano, na której już gangreny znaki okazywały się, zagaja się, ale kolana zginać i za kilka miesięcy nie będzie mogła. Teraz potrzebuje towarzystwa, rozmowy, dyskusyi; zdam jej się do tego, — nadto czytuję jej, a przyjaźń jej zawsze mnie chętnie w jej domu widzi i dogadza mi i psuje mnie aż do zbytku.

[1]) Pani Kisieleff, żona ambasadora rosyjskiego w Paryżu, polka, gorliwa katoliczka. Uległa ona wypadkowi, upadłszy ze schodów.

Przykro mi będzie zostawić ją bez żadnego towarzystwa starszego, bo to, które ją dość szerokiem kołem otaczało, już się rozjechało lub rozjeżdża. Wczoraj opuściła nas pani Izabella Starzeńska. Od wczoraj zaś, ale tylko na dni parę, mamy panią Delfinę Potocką. Na pół dnia zawitał Przeździecki Aleksander, wracając z Biaritz do Warszawy. Oddał on mi w Wiesbadenie dwa pierwsze tomy twych pism, część ich dopiero ale z wielkiem zajęciem przeczytałem. Choć treść i osnowa nie dotyczy chwili obecnej, pochłaniającej całą myśl i uwagę, można i dla chwili obecnej, wyciągnąć z tego zbioru naukę, a zresztą urok stylu i ujmujący sposób przedstawienia rzeczy zniewala czytelnika. Niech cię nie dziwi, że żadne pismo nie wspomniało obszerniej o tych dwóch tomach; najprzód wśród gorączki czuje się wstręt do pożywnego i smacznego pokarmu, a dziś stan gorączkowy; a potem, jesteś Koźmian, synowiec Kajetana, brat Jana, jesteś katolik, jesteś rozsądny, jesteś krytykiem z sądem i z smakiem, ileż powodów do proskrypcyi, zwłaszcza literackiej.

Straciwszy nadzieję okazania się wam w tym roku takim, jakim mnie zrobiły cztery lata ubiegłe od naszego rozstania, posyłam ci nową edycyę mojej persony. Okaż ją Ziuni, czy też pozna starego stryjaszka. Ucałuj od tego stryjaszka i Ziunię i jej siostrzyczkę i uściskaj ręce żony. Wspomnij o mnie i wyraź moją wierną pamięć w tych wszystkich domach i rodzinach, gdzie zawitawszy byłbym mile przyjęty. Zacznij od sąsiedniej Góry, ale wytłómacz mnie przed Cezarem Platerem, iż nie dopełniłem jego zlecenia u pani Kisieleff. Raz bowiem na zawsze, jako prawidło niezmienne, sobie założyłem, nigdy do żadnych składek jej nie wzywać, widzę bowiem, jak często jest nagabana, jak wystarczyć wszystkim domaganiom się nie może, jak na tem jej najlepsze serce boleje. Widzę nadto, na jakie wydatki i straty narażona. Ta rana do 30,000 fr. kosztować ją będzie. Jednakże zawsze ona chętnie popiera, co użyteczne i krajowe. Ja przygotuję rolę, a sam Cezary niech ją zasieje, pisząc do niej, wzywając ją do tej składki, a odwołując się do mnie, abym jej użyteczność zakładu wytłómaczył.

Ja zaś mam do ciebie następującą prośbę. Czy w Luboni, czy w Czerwonej wsi, zobaczysz się z Romanem Załuskim, otóż, w mojem imieniu, pomów, czyby nie chciał i mnie w sprawie naszej być pomocnym, przyjmując, czy sam obowiązek korespondenta z Krakowa do dziennika *la France*, czy, wskazując kogoś zdatnego i godnego ufności. Nie idzie tu o wypracowywanie korespondencyi, któreby całkowicie umieszczane były i więcej trudu i wyrobienia wymagały. Idzie o listy informacyjne, w krótkości donoszące o bieżących wypadkach z Królestwa, z Galicyi, z Poznańskiego i objaśniające je. Pośpiech w doniesieniu świeżych a pewnych wiadomości największą takich listów zaletą. Z nich bowiem czerpane byłyby materyały do biuletynu politycznego i doniesień dziennika na pierwszej stronicy. Na tydzień potrzebowanoby jednego lub dwóch, ofiarowanoby za każdy 20 lub 25 franków, a gdyby okazały się użytecznemi, możnaby i więcej uzyskać. Takiego korespondenta, a raczej informatora chciałbym i w Berlinie wynaleźć. Druga prośba, czy nie znasz lub czy jenerał Chłapowski nie zna uczciwego i zdolnego rodaka na rządcę dóbr we Francyi? Walewski prosił mnie, abym mu go wynalazł w Galicyi lub w Poznańskiem do dóbr, czy raczej do błot osuszonych, które mu cesarz darował, to jest do Orx. Za rok ma wejść w ich posiadanie, błota zamienione są w łąki i cała intrata na chowie bydła polega. Miejsce byłoby arcykorzystne, ale trzeba do niego doświadczonej uczciwości. Walewski wolałby mieć Polaka, jak *[tak]* Francuza. Poślij zaraz ten list księdzu Janowi. Dla obu was to samo braterskie uściśnienie

---

Wtorek 25-go listopada Paryż [1]).

788) Tadzio Morawski w odpowiedzi na moje doniesienie o blizkiem zamężciu Maryni, pisze mi: «Dziękuję ci z głębi serca za tak śpieszne podzielenie się ze mną radością twoją, a teraz mogę powiedzieć naszą, bo poczuwam się do dzielenia wszystkiego, co serce przyjaciela pociesza, czy smuci. Nic też dziwnego, żem ja żywo uczuł i serdecznie się ucieszył, lecz nie uwierzysz, jakie wiadomość ta, wszędzie tu, we wszystkich kołach, gdzie cię tylko znają, miłe zrobiła wrażenie, jak radośnie powitaną została. Miałem stąd nową sposobność przekonania się, jako żywo jesteś w wszystkich sercach przytomny

[1]) Do Rodziny.

i t. d. Ten ogólny współudział przyjaciół i znajomych bardzo mi jest miły [1]).

Wczoraj o 4-ej odbyłem wycieczkę poniedziałkową na Wyspę [2]). Książe Władysław Czartoryski jest z żoną w Compiègne. Wieczorną część spędziłem u pani Wąsowiczowej, część u Kamieńskich, gdzie były śpiewy panny Bogdanowicz i gra na fortepianie pani Leopoldowej Poletyłłowej i panny Hołowni, wszystko wśród tego cmentarza, o którym wam poprzednio wspomniałem. Dziś dobrze spałem i po kroplach czuję ulgę w ramieniu. Ciepło mi też w moich pokoikach, po zatkaniu szczelin w oknach i we drzwiach. Jeszcze też zimno wcale znośne, bo zaledwie dwóch stopni dochodzi. Jadę teraz do Armidy dla dowiedzenia się, co zrobiła, bo onegdaj żaden z listów, które napisać miały, nie doszedł do Compiègne.

Środa 26 go. Niema nic w świecie gorszego, jak ze szronem na głowie mieć do czynienia z Armidami i z Alcynami [3]). Pojechałem wczoraj do pani Laury dla dowiedzenia się, czy i ona i siostra popisały listy do Compiègne w sprawie marszałków podolskich. Pojechałem przed drugą, bo mi powiedziała, że między 12-stą a 2-gą zawsze jest w domu, pojechałem i nie zastałem i nie wiem, co zrobiły, bo pani Liza wyjechała do Nizzy, a Laury uchwycić nie mogłem. Jest tu Tyszkiewicz, dziedzic skarbów Jana, który tej jesieni, załamawszy się na moście, zabił się tak niefortunnie. Zajechałem do Ministerstwa spraw zagranicznych dla zobaczenia się z p. d' André, byłym ministrem w Hadze, którego znam dobrze, a który teraz zajmuje ważne miejsce dyrektora gabinetu p. Drouyn de Lhuys. Zadowolniony byłem z mojej wizyty i zapewniłem sobie wstęp, który może być użytecznym. Na obiedzie byłem u księżnej Ransau w niewielkim — lecz dobrze dobranem gronie, a wieczór skończyłem u pani Branickiej, dla złożenia życzeń pani Katarzynie Potockiej, której właśnie tego dnia było święto. Zastałem i p. Andrzeja Zamoyskiego i jenerała Zamoyskiego. Pan Andrzej z budującą,

[1]) Córka autora Marya zaręczoną została z Romanem Michałowskim.

[2]) Wyspę św. Ludwika na Sekwanie mieszczącą, śród dzielnicy starego Paryża t. zw. Hotel Lambert, siedzibę Czartoryskich.

[3]) Są to postacie kobiece «Orlanda» Aryosta i «Jerozolimy» Tassa.

a nawet z rozrzewniającą jest względnością dla matki żony. Ponieważ niby mieszka w jej domu, więc nigdy nie wychodzi z jej salonu, dopóki staruszka spać nie pójdzie a tak często dopiero o pierwszej w nocy wraca do swego mieszkania na drugi koniec Paryża. Bardzo ona podupadła, od śmierci córki; wczoraj cały wieczór przespała. Boją się, aby nie dociągnęła do ślubu syna, ale ona ma tak silną wolę, że, jak zechce żyć, żyć będzie.

Czwartek 27-go. Bardzo prędko dni schodzą. Prawda, że ranek zaczyna się u mnie dopiero o 9 tej, ale też dzień nie kończy się jak po 12-ej. O 11-ej śniadanie, herbata z jajkiem lub trzema kartoflami, czytanie czterech dzienników: *Monitora, La France, Constitutionnela* i *Debatów*, zabiera codzień godzinę. Po śniadaniu biorę się do pisania, a czasem wcześniej; w dnie, w których pisanie mam wygotować na jedynastą, nie wychodzę a raczej nigdy wcześniej, jak przed 3-cią. Wczoraj godzinę spędziłem u Billinga, w Ministerstwie spraw zagranicznych, obiadowałem u pani Wąsowiczowej z Didier, najuczciwszym z republikanów. Opowiadał nam ciekawe szczegóły o księciu Napoleonie, u którego bywa i z którym zostaje w zażyłości, lecz go ani kocha, ani poważa. Książę jest teraz w najgorszym humorze z powodu obrotu, jaki wzięła sprawa rzymska. Poróżnił się z całym rządem, nawet z Persignim. Księżna jest pobożna gołąbka, kocha męża. Nie pojmuję, jak godzi miłość dla niego z gorliwą pobożnością. Musi się modlić za męża i zawsze spodziewać, że się nawróci. Resztę wieczoru przepędziłem u Rzyszczewskiego, u którego parę razy w tygodniu zbierają się poddani pani Kisieleff w nieobecności monarchini. Myślę, że monarchinią wkrótce powitamy. Porządkują i ogrzewają jej pokoje.

Opracował: BR. CHLEBOWSKI.

XCVII.

KOŹMIAN STANISŁAW EGBERT.

(1811—1885).

Zasłużony, na różnych polach działalności społecznej i pracy literackiej, tłómacz Szekspira i publicysta, synowiec Kajetana, syn ziemianina lubelskiego Jana i Wiktoryi Mikuliczówny, urodził się 21 kwietnia 1811 r., we Wronowie o 3 mile od Lublina. Najstarszy z rodzeństwa (trzech synów i córka), utracił w siódmym roku ojca i wychowywał się pod opieką matki, przy współudziale stryjów: Józefa, biskupa kujawskiego i Kajetana, którego dom w Piotrowicach był wtedy ogniskiem życia narodowego i literackiego. Pierwsza połowa wieku XIX przedstawia, w dziejach tego domu, często występujący, jako ostatni szczebel w ewolucyi danego rodu, przed jego zanikiem, współczesny rozkwit wyższych uzdolnień u kilku członków rodziny, wysuwający ich na wyższe stanowiska w życiu umysłowem i społecznem. Dzieje rodu Łaskich, a później Kochanowskich w w. XVI stanowią wydatne przykłady tego zjawiska. Ród Koźmianów h. Nałęcz miał swe pierwotne gniazdo w Rzeczycy (dziś powiat janowski) w której, już za Długosza (Lib. Ben.), siedzą Koźmiany. Jeden, czy może więcej członków rodu, przez osiedlenie się na Białej Rusi i związki małżeńskie, wydobył się z szarego tłumu drobnoszlacheckiego, i wszedł w koła ziemiaństwa, ponabywawszy wioski w lubelskiem. Ojciec Kajetana, Jędrzej, został obrany sędzią ziemskim, a następnie prezesem trybunału w Lublinie. Zarówno jego synowie, jak bratankowie, dzięki nawiązanym szerokim stosunkom w wyższych kołach towarzyskich i związkom rodzinnym, starannemu wychowaniu, przy występujących teraz w rodzie wyższych uzdolnieniach umysłowych, przymiotach charakteru, będą mieli utorowaną drogę i podnietę w rosnącej ambicyi do szerszej działalności publicznej i literackiej. Sąsiedztwo Puław i nawiązany z niemi stosunek podziałał podniecająco na skromniejsze znacznie ognisko piotrowickie, któremu znaczenie nadają zasługi obywatelskie i ody patryotyczne samego gospodarza sekretarza konfederacyi generalnej w roku

1812 (pod laską ks. Adama Czartoryskiego) później referendarza w wydziale oświecenia (przy Stanisławie Potockim), wreszcie senatora-kasztelana Królestwa Polskiego w r. 1829. W takiej atmosferze upływają dziecinne i młodzieńcze lata Stanisława Koźmiana. Od. r. 1821 do 1827 odbywa nauki w szkołach lubelskich. Wielka pojętność i niezwykła pamięć pozwalają mu zdobywać co rok pierwszą nagrodę. Przeniesiony, przez opiekującego się nim stryja, do Warszawy, wszedł r. 1827 do szóstej (ostatniej wtedy) klasy liceum (pod kierunkiem Lindego), gdzie zastał wśród nowych kolegów: Zygmunta Krasińskiego i Konstantego Gaszyńskiego. W rok później (1828 r.) wstąpił do uniwersytetu na wydział prawny. Za przykładem Krasińskiego i Gaszyńskiego, z którymi bliższe nawiązał stosunki, zaczął probować swoich sił na polu literackiem. Do koła bliższych jego towarzyszów należą też, prócz brata stryjecznego Andrzeja (syna Kajetana), Leon Ulrych, Lucyan Siemieński i Fryd. Chopin. Poezye Mickiewicza i muzyka — za sprawą Chopina zapewne — roznamiętniają młode, zapalne dusze. Pożegnanie odjeżdżającego Chopina i wiersz na cześć słynnej śpiewaczki Henryki Sontag, która w r. 1829 oczarowała Warszawę (wydany osobno, Warsz. 1830, str. 20), są pierwszemi próbami literackiemi Koźmiana. Dalsze utwory młodzieńcze pomieszczał w wydawanym, wraz z Gaszyńskim miesięczniku: «Pamiętnik dla płci pięknej» i w «Pamiętniku nauk ścisłych», wychodzącym pod redakcyą Lacha Szyrmy. O ile zostawał w kolizyi ze stryjem Kajetanem, w swem uwielbieniu dla Mickiewicza, o tyle znowu nawiązał przyjazny stosunek z generałem Morawskim, który po zapoznaniu się z «Konradem Wallenrodem» przyłączył się do czcicieli wielkiego poety. Po wybuchu listopadowym, wraz z kolegami, wstępuje Koźmian do gwardyi honorowej przy Dyktatorze, a jednocześnie przekłada z Ulrychem «Wilhelma Tella» i «Klawigo» Goethego, pisze piosenki patryotyczne i dramat «Szpieg», wystawiony, bez powodzenia, w teatrze warszawskim. Brał udział w bitwie grochowskiej, a przeszedłszy następnie do artyleryi, odbywał, jako podoficer, służbę w różnych korpusach wraz z młodszym bratem Janem. Opuściwszy kraj, po upadku powstania, przebywają przez miesiąc w Hannowerze, z kolei w Brukselli, a wreszcie przybywają do Paryża, gdzie znajdują życzliwe przyjęcie u ks. Adama Czartoryskiego. W końcu r. 1832 rozstaje się z bratem, podążającym do Tuluzy dla studyowania prawa, a sam, przez Belgię, udaje się do Anglii, pociągającej go spokojem, stałością wielowiekowych instytucyi i powagą życia politycznego.

W zwróconym do brata sonecie wspomina lata dziecinne, gdy «drobne do pacierza wznosząc ręce społem, równieśmy się tajemnic dociekać lękali ..... bośmy rozumu z sercem nie kładli na szali» wyznaje z żalem pewnym, iż «wątpić tyś nigdy nie śmiał, a ja nie począłem», zaznaczając odbywające się w duszy, niezbyt zresztą silne przewartościowanie dotychczasowych wierzeń i uczuć. «Módl się za mnie, jeśli możesz», pisze do brata, a po niejakim czasie donosi mu, że

stał się żarliwym «jeśli nie katolikiem, to stronnikiem katolicyzmu». Po krótkim pobycie w Londynie, z którego wyniósł zachwyt i cześć dla poznanego ze sceny («Dwóch panów z Werony») Szekspira, przeniósł się do cichszego i tańszego Birminghamu. Szczupły zasób pieniężny (około 300 franków) zmuszał do szukania zarobku w lekcyach języka francuskiego. Dzięki listom polecającym (od Niemcewicza) zawiązał bliższy przyjazny stosunek z Tomaszem Attwoodem, zamożnym bankierem, jednym z inicyatorów bilu reformy, wybitnym członkiem parlamentu, cieszącym się wielką popularnością. Szlachetny i uczuciowy ten człowiek gorąco się interesował sprawą polską i otworzył swój dom i serce dla młodego wychodźcy, pociągającego swym dobrem wychowaniem, wykształceniem i patryotyzmem wszystkich wybitniejszych ludzi, z którymi nawiąże stosunki podczas 12-letniego pobytu w Anglii. Wskutek tego będzie mógł oddawać usługi sprawie polskiej, zwłaszcza od chwili, gdy, przybywszy w r. 1835 do Londynu, przyjmie miejsce sekretarza przy lordzie Dudley-Stuarcie, który, jako wiceprezes zawiązanego w r. 1832 «Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski», był w istocie kierownikiem i duszą tego Towarzystwa. Na tem stanowisku pomagał Stuartowi w niezmordowanej pracy nad pozyskiwaniem opinii publicznej i parlamentu dla sprawy Polski i niesieniu pomocy dla emigrantów. Pisywał o sprawie polskiej liczne artykuły do dzienników, rozprawy do Przeglądów, noty i memoryały dla członków parlamentu, przemawiał na zebraniach publicznych, obchodach, brał czynny udział w organizowaniu koncertów i widowisk, dostarczających funduszów na wspieranie potrzebujących pomocy rodaków. Nawiązał stosunki z głośnym działaczem irlandzkiem O'Connell'em, poetą Tomaszem Moor'em i wieloma przedstawicielami arystokracyi angielskiej. Jednocześnie przyswaja sobie język angielski w tym stopniu, że może z łatwością i poprawnie przemawiać i pisać. Z pomiędzy pomieszczonych po pismach angielskich artykułów, tyczących się Polski i jej życia duchowego, zasługuje na uwagę ogłoszona w «The Athenaeum» z r. 1838, ocena Pana Tadeusza, w której, chwaląc obrazy przyrody i życia, jako artystycznie piękne, dodaje: «Jest to wspomnienie przeszłości bez moralnej nauki na przyszłość, jest to nagroda dla zasługi umarłych bez słowa dla żyjących». Wraz z bliższem zaznajomieniem się z życiem angielskiem i literaturą, oddaje się specyalnym studyom nad Szekspirem, zapoznaje się z bogatą literaturą krytyczną, odnoszącą się do wielkiego poety. Zapału swego udzieli on koledze szkolnemu z liceum warszawskiego, Ulrychowi, który, znajdując się na emigracyi, przybył w r. 1838 do Anglii i tam jakiś czas przebywał. Obaj towarzysze wzięli się następnie do pracy, której owocem staną się dwa, różne naturalnie, ale wysokiej wartości i wielkiej ścisłości przekłady. Ulrych zadaniu temu poświęcił całe życie swe, spędzone we Francyi, i przełożył wszystkie utwory Szekspira, Koźmian poprzestał na wyborze najlepszych. Jednocześnie właśnie w kraju pojawi się cały szereg częściowych przekładów. Rozpocznie ciąg ich Kefaliński (Wilno 1840),

po nim John of Dycalp (Wilno 1842), Korzeniowski Józef (Wilno 1841 tylko «Król Jan»), a wkrótce potem rozpocznie swą pracę w Warszawie Paszkowski (w Bibliot. Warsz. i osobno).

Chwile wypoczynku od licznych zajęć poświęca wycieczkom po Szwajcaryi, Włoszech (Rzym), Francyi, zwykle w towarzystwie brata Jana, który, przeniósłszy się do Berlina, zakłada, przy poparciu generała Chłapowskiego, r. 1845 w Poznaniu «Przegląd poznański», miesięcznik w duchu katolickim i zachowawczym prowadzony, ostro i bezwzględnie zwalczający wszelkie objawy wolnomyślności i postępu na demokracyi opartego. Stanisław Koźmian został współpracownikiem organu brata i, z pomocą nawiązanych przez niego w Wielkopolsce stosunków, toruje sobie drogę do urzeczywistnienia zamiaru osiedlenia się na ziemi ojczystej i oddania pracy dla swoich i śród swoich. Opuściwszy Anglię w r. 1845 po 12 letnim pobycie, bawi jakiś czas w Poznańskiem, lecz, nie mogąc, jako emigrant, uzyskać pozwolenia na stały pobyt, udaje się w podróż po Europie i wtedy to przez czas dłuższy przebywa wraz z Zygmuntem Krasińskim w Heidelbergu (1846 i 47) i Nicei. Od czasów szkolnych, warszawskich, raz tylko, na krótko zetknęli się r. 1843 w Rzymie, teraz dopiero dłuższe przestawanie nawiązało, przy wspólności pojęć, ściślejsze węzły. Dnie całe schodzą im na pieszych wycieczkach i nieustających rozprawach, w których trzeźwiejszy Koźmian powstrzymuje zapędy wyobraźni i wybuchy uczuciowe poety, snującego swe marzenia historyozoficzne. Koźmian, utrwalony w swych katolickich przekonaniach sprowadza stopniowo na grunt ortodoksyi marzącego o przekształceniu Kościoła i ludzkości autora «Trzech myśli», «Przedświtu», i «Psalmów». Wypadki r. 1846 i 1848 poprą te usiłowania, stwierdzą poecie, przerażonemu objawami rewolucyi, potrzebę oparcia się na stałym niewzruszonym gruncie nauki i organizacyi Kościoła. Koźmian uległ także wpływowi poetycznej duszy przyjaciela. Wyrazem tego był napisany i wydrukowany w r. 1846 wiersz «Do mistrzów słowa», w którym, pod wpływem niedawnych wypadków galicyjskich, wzywa milczących poetów do wystąpienia ze słowami pokrzepienia, rady, nadziei. Formą i frazeologią naśladujący «Psalmy» Krasińskiego, zresztą ciężki, retoryczny, obfitujący w wyszukane wyrażenia i obrazy, wiersz ten, o ile w pierwszym ustępie, zwróconym do Krasińskiego, i ostatnim, skierowanym do Bogdana Zaleskiego, jest aktem hołdu gorącego dla wieszcza «Psalmów» i jego «proroczej mowy» a uznania dla ukraińskiego lirnika za to, że «z wieszczów jedyny, w najcięższe prób noce stał na wiary opoce», o tyle w środkowej, zwróconej do Mickiewicza («litewski mistrzu słowa»), szorstko zarzuca wielkiemu poecie, że milczenie jego spowodowała «Dżuma-Duma», że go zjadliwy dech Simuma (z «Farysa») «nie powalił piasku wałem», lecz «skrzydłem wzniósł zuchwałem na tron Pychy, byś na tronie prorokował...» Łagodzi dalej to oskarżenie, zapowiadając, iż «przeczucie już wskazuje mi z daleka odrodzenie twe na nowiu», że, jak legendowy pokutnik, klęcząc, na pustkowiu, będzie «polewać łzami skruchy»

swój tułaczy kij suchy, w piasek wbity, i przez to zostanie «nad śnieg wybielony». Niech więc wywoła duchy tych, których ciała leżą w świeżych mogiłach i zwoła na nowe «Dziady» cały naród, by go zjednoczyć bratnim sojuszem i pokrzepić nadzieją omdlałe serca. Wiersz ten znajdzie echo jedynie w zbliżonej obecnie pojęciami z Koźmianem duszy śpiewaka «Psalmów», który, zająwszy niedawno stanowiska wieszcza i nauczyciela narodu, chętnie spełni włożone nań zadanie:

Tyś przed klęską piał ostatni
Więc po klęsce zanuć pierwszy —
Jeszcze sroższy, jeszcze szczerszy,
Wygrzmij wyrok na grzech bratni.
. . . . . .
Weź w natchnienie, wyjdź na Synai, —
Ty najmłodszy, najmilejszy
A zeszedłszy, grom, przeklinaj,
Póki dzisiaj się nazywa
Dzień dzisiejszy.

Owocem tego wezwania i spełnieniem wskazówek Koźmiana będzie, wkrótce potem napisany, utwór Krasińskiego, noszący tytuł, wzięty z przytoczonego poniżej urywka, a mianowicie: «Dzień dzisiejszy». Ogłoszony on zostanie jako dzieło autora wiersza «Do mistrzów słowa». Dane przez Koźmiana rady przypadły bardzo do serca wieszczowi «Psalmów», który teraz, zarówno w «Dniu Dzisiejszym», jak i następnie w «Psalmie żalu», z wieszczeniem połączy gromienie i przeklinanie zarówno wrogów narodu, jak i głosicieli wrogich ideałom poety pojęć i dążeń. Sam Koźmian próbował też wypowiedzieć myśli i uczucia wywołane wypadkami lat 1846 i 1848 w ciągu refleksyjno-lirycznych utworów p. t. «Gorzkie żale». W zbiorze tym wyróżnia się korzystnie, polotem myśli, pięknem słowa, gorącym patryotyzmem, miłością dla ludu polskiego osobno wydana i nieraz już przedrukowana: «Mowa polska». W związku z udzieleniem autorstwa dla »Dnia dzisiejszego» i «Ostatniego», z którymi drukowany był też i wiersz «Do mistrzów słowa», zostaje udatny, dantejską tercyną napisany wiersz Koźmiana (niby urywek z X pieśni Czyśca), mieszczący skargę ducha, pokutującego za to, że na ziemi odbierał niezasłużone pochwały za dzieła i czyny, których nie był sprawcą. Wiersz ten miał na celu powstrzymać dalsze nagabywania Krasińskiego, pragnącego stale odtąd posługiwać się osłoną imienia Koźmiana, przy ogłaszaniu dalszych utworów. Zajmując się drukiem wydanego r. 1852 w Lesznie «Snu» (z Niedokończ. poematu) położył na nim Koźmian litery I. S. zamiast proponowanych przez autora: S. K. Nawiązane w Heidelbergu, przy końcu r. 1846, stosunki przeszły dość szybko w poufne, przyjacielskie zbliżenie dusz, znajdujących tyle wspólności w pojęciach, uczuciach, w zakresie religijno-narodowym i sferze stosunków towarzyskich. Koźmian zanosi modły o wyzdrowienie Adzia (syna poety), a Krasiński modli się nawzajem o zdrowie cierpiącej matki przyjaciela. Uzyskawszy pozwolenie rządu pruskiego osiada K. w końcu r. 1847 przy bracie Janie w Berlinie. Po

wypadkach marcowych w Berlinie, upojeni nadziejami otwierającej się nowej ery, wyprawiają Wielkopolanie Koźmiana do Anglii, by tam swoimi stosunkami, poparł sprawę i uzyskał pożyczkę na cele narodowe. Po drodze, w Berlinie, spotyka już oziębienie sympatyi dla Polski a w Londynie (w kwietniu) znajduje u Anglików, pochłoniętych przez własne sprawy wewnętrzne, zupełną obojętność dla Polaków. Przyjęty przez Palmerstona nic, prócz grzecznych słów, nie usłyszał. Całą misyą jego stało się prostowanie fałszów, pomieszczonych w gazetach, przez nieświadome stanu rzeczy i z niechętnych Polakom źródeł czerpiące informacye pisma angielskie. Wolne chwile spędza w Londynie w towarzystwie szukającego tu schronienia przed rewolucyą i dogorywającego już Chopina. W lipcu spotyka się w Paryżu po raz ostatni z Krasińskim. Rozczarowany i zbolały wraca w sierpniu do Berlina. Jesień i zimę spędza na kuracyi w Graefenbergu, w towarzystwie ks. Jerzego Lubomirskiego i Karola Bodenhama Anglika, gorącego przyjaciela Polski. Korzystając z otwarcia granic ks. poznańskiego dla wychodźców, osiada (w r. 1849) w Turwi, w domu generała Chłapowskiego, a nabywszy w r. 1851 Przylepki pod Szremem, zamieszkał na własnem gospodarstwie. W okolicy bliższej i dalszej mieszkali: Tytus Działyński w Kurniku, Gustaw Potworowski w Goli, generał Chłapowski (Turew), Cezary Plater (Góra), generał Morawski (Luboń) i wielu innych ziemian, tworzących grono, ożywione wspólnością pojęć i uczuć narodowych i katolickich. Obok stale przybywających tu wybitnych kapłanów, jak ks. Janiszewski i Prusinowski, bywali częstymi gośćmi: Kajsiewicz, Semeneńko, i jako misyonarz, ks. Antoniewicz. Jan Koźmian i Kajetan Morawski porzucą wkrótce stan ziemiański i przywdzieją sukienkę księżą. Wincenty Pol, Klaczko, przyjaciel Jana Koźmiana, Leon Ulrych zajęty przekładem Szekspira, nawiedzają te skromne dwory, drewniane wtedy jeszcze, w których jednak, przy prostocie urządzenia i trybu życia, rozwijało się bujne dość życie duchowe, znajdujące swój organ w ówczesnym «Przeglądzie poznańskim», zasilanym pracami Stanisława Koźmiana, Chłapowskiego, Morawskiego i innych. To koło pośredniczyło w przesłaniu rękopisu «Psalmu nadziei» Krasińskiego z Warszawy do Paryża, tu Andrzej Koźmian odczytywał z rękopisu pieśni «Stefana Czarnieckiego» i «Głossę św. Teressy». Stanisław Koźmian, rozwijając swą działalność publicystyczną, zamieszczał w «Gazecie W. Ks. Poznańskiego» «Listy z nad Orli», ogłaszane bezimiennie i dotykające w formie lekkiej różnorodnych spraw życia ówczesnego. W 1853 poślubia swą współziemiankę ze stron rodzinnych, Felicyę Łempicką. Gospodarstwo, sprawy domowe, wyjazdy do wód, wraz z rozległą korespondencyą, wypełniają teraz życie Koźmianowi. Od czasu do czasu pomieszcza drobniejsze artykuły w «Przeglądzie». Zawiązane r. 1857 w Poznaniu »Towarzystwo Przyjaciół Nauk» (Cieszkowski prezesem, a Działyński wiceprezesem) powołuje go na swego członka. W r. 1857, złożywszy gospodarstwo w inne ręce, osiedla się w Poznaniu i zostaje wybrany na wicepre-

zesa Tow. Nauk, następnie w r. 1875, po zgonie Libelta, powołany na przewodniczącego tej instytucyi, która, otrzymawszy wtedy hojny zapis Mielżyńskich i liczne dary, mogła rozszerzyć swą działalność, uporządkować i rozmieścić swe zbiory. Jednocześnie zajął się zebraniem i ogłaszaniem swych dawniejszych prac. Kolejno ukazywały się: «Anglia i Polska» (Poznań 1863 r. 2 tomy); «Podróż nad Renem i w Szwajcaryi» (Pozn. 1877, str. 408); «Dramaty Szekspira» (Poznań 3 tomy 1866); «Pisma wierszem i prozą» (Poznań 1870 i 72, 2 tomy). Prócz tego w «Rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk» ogłosił «Żywot i pisma K. Gaszyńskiego» (1872), a w «Przeglądzie poznańskim» śród licznych rozpraw i krytyk, oceny «Irydyona», poezyi Deotymy i Syrokomli. Pewna część z pomieszczonych w «Kuryerze poznańskim» (1880 r.) felietonów p. t. «Z blizka i z daleka» jest pióra Koźmiana. Wyszły one osobno w r. 1881 (Poznań). W r. 1882 ogłosił wiersz: «Podróż świętej Aurelii Merici do Ziemi świętej» (Poznań, str. 36) oraz tom jeden streszczeń, wraz z celniejszymi wyjątkami dramatów historycznych Szekspira, (Poznań u Leitgebra str. 335). Zapoznawszy się bliżej, w okresie swej tułaczki emigracyjnej z życiem i literaturą Anglii, starał się zużytkować swe nabytki ku pożytkowi ziomków. Wierny i staranny, choć mało polotu i siły mający, przekład większej części dramatów Szekspira, pozostanie trwałą zasługą i najlepszem dotąd odtworzeniem polskiem dzieł wielkiego poety. W przeciwstawieniu do brata stryjecznego Andrzeja, spędzającego życie całe w salonach Warszawy, Paryża i modnych letnisk wielkiego świata, jest Stanisław Koźmian, zapewne pod wpływem długoletniego pobytu w Anglii i religijności brata Jana, głębszym o wiele w swym katolicyzmie, patryotyzmie i pojmowaniu zadań społecznych. Kierując się ideałem chrześcijańskim, trzeźwiej, surowo niekiedy, ocenia wady i słabości klas wyższych, a w ludzie i pracy kulturalnej, widzi fundament przyszłego odrodzenia narodowego.

Prócz wspomnianego wyżej zbiorowego wydania drobniejszych utworów wierszem i prozą, ogłoszonego jeszcze za życia autora, po śmierci jego ukazywały się tylko przedruki przekładu dramatów Szekspira w zbiorowych wydaniach dzieł tego poety, ogłoszonych w Warszawie (wyd. Kraszewskiego z r. 1882) i we Lwowie (Biegeleisena w 10 tomach).

BIBLIOGRAFIA.

Biografie K. pojawiły się, zaraz po jego śmierci; w «Rocznikach poznańskiego Tow. Przyj. Nauk» (t. XV) krótki zarys (str. 11) i w «Przeglądzie Polskim» przez N. (osobna odbitka, Kraków 1885, str. 105). Oceny przekładu Szekspira dokonali: St. Tarnowski w pracy «Szekspir w Polsce» («Studya do historyi literatury polskiej», Wiek XIX, Kraków 1898) i Edward Porębowicz: «St. K. i jego przekłady Szekspira» («Kłosy» 1885).

A) Mowa Polska.

(„Pisma“ t. I, str. 16—24).

789) Podajemy tu wiersz ten z niewielkiemi opuszczeniami.

Polska mowo ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios, słońc wszystkiemi
Promieniami, tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mie- [ści —
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię.
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona:
Lecz wprost z niebios twe poczę- [cie,
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona,

Rozszarpany kraj na ćwierci,
Obleczony kirem śmierci,
Rozproszone Polski syny
Po kończynach wszystkich świata
Twa potęga w jedno splata:
Zasypuje rozpadliny,
Bez podejścia, bez oręża,
Pograniczów straż zwycięża,
I co polskie — wszystko społem —
Nieujętnem światła kołem
Wzdłuż i w szerz owidnokręża.

A my jakąż się odpłatą
Wywdzięczamy tobie za to,
Że nas moc twa ubezpiecza
I za życie w grobie starczy?
My kazimy blask twej tarczy,
Tępim ostrze twego miecza,
Sami wrogów wiedziem w bramy
Twej warowni; — my, szyderce,
Zawsze w własne godząc serce,

My się z ciebie naigrawamy: —
Wyszydzamy wiano złote,
Plon wiekowych twych zdobyczy,
Zwiem dzieciństwem wstyd dziewi- [czy,
A prostactwem twą prostotę.
I niepomni, że się w mowę, —
Ten narodu obraz żywy, -
Wszystkie cechy narodowe,
Wdzięki, chluby, chwały, dziwy,
W treść zbiegają, jak w krysztale
Rozpierzchnione światła fale, —
I niepomni, że przystoi
Mężnych mowie hart ich zbroi,
I że tylko jednolita
Z całoszczepem w kwiat wykwi- [ta, —
My w to godzim, by w twą przędzę
Wsnuć szych obcy, obce nędze, —
Twoje wątki przeprząść na nić
Różno-barwnej zwodnej krasy,
Twój dźwięk rozbić w słów hałasy;
By cię zgnuśnić, przedworzanić
W mdłą przesadę, — z twardej stali
W puch przewinąć — by zapasy,
Tylu wieków hojne żniwo,
Co ojcowie nam zebrali
Pracą ciężką a uczciwą,
Strwonić na raz, w mgnieniu oka;
I do szczętu w grze pustoty —
Wianem z tobą dan z wysoka
Przegrać posag szczerozłoty.
Lecz napróżno — my Kaimy —
Przeciw tobie, od kołyski
Aż do grobu, knujem spiski;
Bo lud własny — twój rodzimy —
Twoich ogniów wiecznie strzeże,
By Ablowe onych dymy,
Które niebu dzięki niosą,
Wprost do góry szły w ofierze.
On cię broni, chwali, święci,

Karmi manną swej pamięci,
Poi czystych natchnień rosą;
On ochoczo, a w mozole,
Miecz przy pługu dzierżąc w dłoni,
Wciąż uprawia twoją rolę,
By ją ziele nie obsiadło; —
A gdy nierząd ją wypłoni,
Gdy ją zbytek na przepadłą
W ugór puści, — wtedy z prawa
Znów ochotny na niej stawa,
Sięga śmiało aż w głąb ziemi,
Na wierzch żyzność wydobywa,
I zasiewy wiośnianemi
Znów obfite rodzi żniwa.

Więc miłujesz go, jak matka,
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka
Co z rozbicia ci zostało, —
Barwisz prace, koisz żale,
Łzy ozłacasz, — bo od syna,
Co na zbytek plon twój ścina,
Stokroć milszy ci w siermiędze
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko trud i nędzę.
Zawsześ przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdej porze, —
W pieśń go budzisz, gdy na zorzę
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. Kiedy orze —
I z skowronkiem — kiedy sieje,
Wyśpiewujesz mu nadzieję.
Nad żniwiarzów krążąc kołem, —
W rytm radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z chrzęstem [kosy,
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na wieczór, przy rodzinie,
Siędziesz razem u ogniska,
Kto płomieniem po ścian bieli
Strachy, dziwy, czary ciska?
Skąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Skąd się snuje powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?
Kto go w twarde kładzie łoże,
I usypia, jak na puchu?
Nieśże, nieś twój lot na sioła,
Nad wieśniacze wzlatuj chaty.
Wzlatuj, słuchaj — kto cię woła;
To nie woła cię bogaty,
Ani miasta, — ni pałace. —
W których próżność pokryjomu
Wytężyła wszystkie prace,
Aby wstawić — między ściany
Ojczystego twego domu —
Świat ci obcy, — świat nieznany.
W pośród zbytków i rozkoszy
Cudzoziemka tam macoszy
Dzieciom twoim; młode serca
Trądem fałszu wskroś przewierca.
W płochych myśli poi źródle,
Na próżności stawia szczudle, —
Wszystko lśniące zwodnie, sztucznie,
Wszystko obce wielbić każe,
A co polskie — to wygania;
Naokoło mnoży straże,
By ochronić swoje ucznie
Od zetknięcia, od zbratania
Z pokornemi a cichemi,
Z tem, co innym nie zazdrości,
Lecz na własnej polskiej ziemi
Żyje w prawdzie i zacności.
Mijaj — nie wchodź w te warownie,
Aż popchnięty w żal cudownie
Stary ród się upamięta,
I obczyzny skruszy pęta, —
Albo nowy się wychowa,
Co z kolebki pobratany
Wraz z wszystkimi krzyknie stany:
Teraz jeden kraj i mowa!

B) Polska i Anglia.

Tom pierwszy tego dzieła jest poświęcony głównie przedstawieniu udziału, jaki brała Anglia w sprawie polskiej od r. 1831. Poznajemy tu wybitniejszych przyjaciół Polski, objawy sympatyi dla niej, popieranie sprawy polskiej w parlamencie, pomoc, niesioną emigrantom, działalność Towarzystwa Przyjaciół Polski. Tom drugi zapoznaje nas z niektóremi stronami życia angielskiego, a głównie z instytucyami dobroczynnemi i poprawczemi, jak: więzienia i domy poprawy, domy pracy, szpitale, towarzystwa dobroczynności i towarzystwa wstrzemięźliwości. Podajemy tu ustęp z tomu I, przedstawiający parlament angielski i toczące się w nim rozprawy, wywołane wypadkami r. 1831.

790) *Tom I, str. 61—65.* Z fizyonomią ciała prawodawczego w wolnym i potężnym narodzie dzieje się to samo, co z obliczem i postawą pojedynczego wielkiego człowieka. Czytasz z uwielbieniem i przywiązujesz się do dzieł znakomitego poety; dajesz mu wymiary twych marzeń, zbudzonych jego pieśnią; wystawiasz go sobie, jeźli nie olbrzymiej postaci, to z zaiskrzonem okiem, z natchnionem słowem, z piętnem bóstwa na czole. Przypadek lub własne twe natręctwo sprowadza was razem, znajdujesz oschłego, milczącego ceremonianta; naprowadzasz tok rozmowy na literaturę, on ci narzeka na źle palące się drewka w kominie, lub odsyła cię, jak Szyller owego z dalekich stron przybyłego Niemca: «widziałeś mnie, terazże śpiesz się byś powracającego dyliżansu nie chybił, i pierwszego nie stracił wrażenia». Niemniejszy zawód czeka tego, który, napoiwszy wyobraźnię szczytnemi dziejami parlamentu angielskiego, biorąc miarę z jego władzy, z jego wpływu na losy świata, wchodzi w jego progi z myślą, że zastanie zgromadzenie z obliczem, z powagą odpowiednią wielkości spraw, jemu powierzonych. Jakżeż to bowiem dla nas wspaniały, zrozumiały i powszedni, choć ziemski, ten wyraz: *the House of Commons.* Ale przeszedł czas, kiedy brodaci senatorowie zasiadali na rzymskim rynku i w milczeniu, spokojnie czekali na śmierć niosącego Galla; a Hampdeny, Pitty i Burkowie nie codzień się rodzą. Dobrze, lubo trochę rubasznie, ktoś powiedział: roboty prawodawcze są podobne robotom kuchennym: żeby obiad dobrze smakował, nie trzeba patrzeć, jak się jadło przyrządza. Członkowie w kapeluszach leżą i śpią po ławach; bliżsi marszałkowskiego krzesła

zadzierają nogi na stół, na którym leży poważna buława, godło dostojności i swobód izby; młodsi i roztrzepańsi wrzeszczą, udają kogutów, miauczą, jak marcowe koty, głos przeciwnika tłumią śmiechem i karczemnymi żartami. Skoro przyjdzie pora obiadowa, wszyscy wynoszą się hurmem na miasto, zostawując biednego krasomówcę, by wiódł dalej rzecz swoją do skoropisarzy i drzymiącego prezydenta. Za powrotem jeszcze gorzej. Wino szumi po głowach, gniew i srogość wzrasta, twarze się chmurzą i zapowiadają pioruny, nogi drepczą z niecierpliwości do balowych posadzek, większa część chórem krzyczy o wotowanie. O'Connell olbrzymiemi wywija ramiony, młody trefniś z przeciwnej ławy pięścią mu grozi, lub, jak lord Stanley, szyderczym drażni uśmiechem, podobnym, wedle wyrażenia O'Connellowskiego, do błyszczącej się blachy na trumnie, kirem okrytej. Taką jest izba niemal zawsze w ciągu najważniejszych nawet rozpraw. Taką nie była, ile razy rzecz szła o Polskę. Ministrowie, jeżeli się opierali, to z widocznym żalem; zawzięci przeciwnicy podawali sobie ręce; nikt nie śmiał przemówić za Rosyą, zaledwie odzywały się głosy, błagające, aby Mikołaja nie smagać zbyt zelżywymi wyrazami; zgoła, jednomyślność z powagą, jakby przy jakim obrzędzie religijnym, dawały izbie niezwykłą, uroczystą postać, a znamię to było tak wydatne, różnica dla nas tak pochlebna, że nie mogłem sobie wzbronić tej nowej wycieczki za ścisłe granice mego przedmiotu.

Kiedym pierwszy raz otwierał Hansarda, pracowitego i wiernego kronikarza rozpraw parlamentarnych, lubo uprzedzony, że w ciągu naszego powstania izbie, wyłącznie zajętej reformą, nie stało jednej myśli, jednego dnia, jednego głośnego życzenia dla Polski, śpieszyłem najpierw zaspokoić mą ciekawość, czy też żaden głos za nami się nie odezwał, czy z półtorasta członków, którzy później tak szczerze Fergussena popierali, choć jeden śmiał tak sądzić i swój sąd popierać, jak w kilka miesięcy potem już po niewczasie przemawiał? I znalazłem z boleścią, z prawdziwem oburzeniem na obojętność, samolubstwo i ciemnotę ludzką, że, kiedy najdroższa krew Polski okupowała Europę od najsroższego wroga jej wolności, zaledwie trzykroć tylko rzucono imię Polski, i to nawiasem, prawie chyłkiem, między ścierające się szyki, w walce o dalekie,

pośledniejsze zwycięstwo. Hunt, podówczas bożyszcze wyrobników i ubogiej klasy ludu, pierwszy na ten zaszczyt sobie zarobił. Ósmego sierpnia, — to jest w chwili kiedyśmy pod Bolinowem napróżno już szukali wodza, wniósł on do izby petycyę, uchwaloną na zebraniu, w Westminster odbytem. Hume i O'Connell przemówili za nią, ale tak słabo, jakgdyby tylko dać zakład i obietnicę lepszych usług na przyszłość; lecz prawdziwa zasługa należy się pułkownikowi Evans, który 16 sierpnia zrobił wniosek o złożeniu papierów i dowodów, jak dalece neutralność względem Polski zachowaną została przez ościenne narody. Powiedział on wtedy to, co po dziesięciu latach wygnania znajdujemy w wymownych ustach Polaka: «Gdyby przywłaszczyciel na całej Słowiańszczyźnie nie spotkał już żadnych przeciwników, gdyby za to potrafił, że Polska i . . . . . stałyby się nareszcie jednym krajem i, połączywszy swe siły, spojrzały razem za Odrę i za Karpaty, w cóżby się obróciły Prusy i Austrya, jakiżby popłoch padł na Niemcy, jaka trwoga na resztę Europy!» Najstraszniejszą więc pogróżką, jaką Polak po wyczerpaniu wszystkich środków rzucił Europie, mówca angielski od pierwszego razu chciał swój kraj poruszyć. A kiedy 7 września wniósł nową petycyę i żądał, aby zaraz konsul do Warszawy został posłany, wyłożył nieodzowną utratę handlu, przyzwał cholerę na pomoc dla ściągnienia uwagi ku Polsce, ale darmo, nic wtedyby Anglii oderwać nie zdołało od biesiady, którą, jak Ugolino, odprawowała na czaszkach spróchniałej swej reprezentacyi. Przyszło to ocknienie, zanim jeszcze naród od strawy dzikiej oderwał paszczękę, ale niepowrotne chwile skutecznej pomocy naszemu powstaniu już były minęły.

.....

Opracował: BR. CHLEBOWSKI.

XCVIII.

KOŹMIAN JAN.

(1814—1877).

Wybitny publicysta, jeden z twórców i kierowników ruchu katolickiego w naszem społeczeństwie, w ostatnich 17 latach życia ksiądz i dostojnik kościelny, urodził się 27 grudnia 1814 r. we Wronowie. Był synem Jana, ziemianina lubelskiego, a młodszym bratem Stanisława, tłómacza Szekspira. Nauki pobierał w szkołach lubelskich. W r. 1831 wstąpił, wraz z bratem Stanisławem, do wojska i po upadku sprawy opuścił kraj. Rozstawszy się w r. 1832 z bratem, który przez Belgię podążył do Anglii, Jan udał się do Tuluzy dla studyowania prawa. W r. 1838 uzyskał tam stopień licencyata. Następny rok spędził u brata w Anglii. Ożywiony gorącemi uczuciami katolickiemi został we Francyi członkiem Towarzystwa literackiego św. Piotra, w którem brali udział: Lacordaire i Veuillot. W wydawanem przez to towarzystwo czasopiśmie («Revue de la société de Saint Paul» pod kierunkiem Veuillota) pomieścił (1842—1843) kilka prac, a jednocześnie zaczął pisywać też do pism polskich. Wraz z Montalembertem i innymi katolikami francuskimi zakłada kasyno katolickie dla młodzieży (Cercle catolique). Z chwilą wystąpienia Towiańskiego w Paryżu prowadzi energiczną walkę z jego nauką. W r. 1842 odbywa podróż do Rzymu, a w 1843 r. spędza kilka miesięcy w Monachium, gdzie nawiązał stosunki w przywódcami ruchu katolickiego w Niemczech, jak Görres, Philips, Windischman. Obok tego zostaje w ścisłych stosunkach z ks. Kajsiewiczem i ze Zmartwychstańcami (ojciec Semeneńko) i postanawia skierować swą działalność ku ożywieniu katolicyzmu na ziemi rodzinnej. Osiada w tym celu w Berlinie, gdzie skupia koło siebie studyującą młodzież wielkopolską, a jednocześnie kieruje założonym r. 1845 «Przeglądem poznańskim», wydawanym w Poznaniu, przy udziale osiadłego wkrótce potem w Wielkopolsce brata Stanisława i licznego grona wybitnych pracowników. W obszernym i charakterystycznym wstępie zaznacza chrześcijańską, katolicką dążność pisma, które, przyznając Kościołowi jedynie władzę rozstrzygania

w kwestyach dogmatu, pojmuje katolicyzm, jako wolność i jako miłość, wyłączającą więc wszelką nietolerancyą. «Silna a oświecona wiara jest spokojną; walczy ze złem, nigdy się przed nim nie ugina, ale nigdy i nigdzie nie zapomina przepisu miłości bliźniego... Człowiekowi prawdy nie chodzi, żeby przymusił, ale żeby przekonał. Jesteśmy więc za jak najszerszą tolerancyą i z chlubą przypominamy, że już konstytucya 3 maja tolerancyę z miłości bliźniego wyprowadziła». Z tego stanowiska pismo to zamierzało zajmować się roztrząsaniem wszelkich pytań żywotnych, zarówno ogólnej doniosłości, jak i tyczących się życia Wielkopolski, zarówno z zakresu literatury, jak i nauki. Znajdując się w korzystniejszych warunkach, niż skrępowane przez cenzurę miesięczniki warszawskie (Biblioteka warszawska i Przegląd naukowy) i współczesne «Ateneum» wileńskie, zajmował przez lat 20 swego istnienia «Przegląd» wpływowe, doniosłe stanowisko, jako organ, roztrząsający poważnie i śmiało doniosłe zadania i pytania naszego życia narodowego. W maju r. 1846 zaślubia Koźmian Zofię Chłapowską, córkę Dezyderego, generała wojsk polskich, i przez to wchodzi w stosunki bliższe z kołem całym ziemian wielkopolskich i przenosi się wreszcie do Księstwa, gdzie po r. 1848 osiada na stałe. Wpływem swoim powstrzymuje młodzież od udziału w ruchu r. 1848 i ogłasza wtedy w «Przeglądzie» obszerną pracę: «Stan rzeczy w W. ks. Poznańskiem» (wydane też oddzielnie, Poznań 1848). Przeniósłszy się z Berlina do Wielkopolski zamieszkał naprzód w Turwi, u teścia swego, a następnie od r. 1850 prowadzi gospodarstwo w Rąbiniu i Kopaszewie. Z tego czasu (1849 r.) pochodzi ogłoszona w «Przeglądzie» rozprawa: «Dwa bałwochwalstwa w Polsce niebezpieczne», poddająca krytyce nadzieje, pokładane przez patryotów to w rewolucyi europejskiej, to znowu w panslawizmie (jak list Wielopolskiego do Metternicha i ruch słowiański współczesny). Oba kierunki uważa za złudne i zgubne dla sprawy narodowej. W r. 1853 traci Koźmian matkę, a następnie żonę i, przygnębiony tymi ciosami, postanawia wstąpić do stanu duchownego. Powstrzymywany przez przyjaciół oddaje się, wraz z Edmundem Bojanowskim, zawiązaniu zgromadzenia Służebniczek N. P. Maryi, zakłada ochronki w Rąbiniu, Kopaszewie, Rogaczewie, odbudowuje kościół w Krzywiniu. Wreszcie, w styczniu r. 1857, przywdziewa w Rzymie suknię duchowną i wstępuje do Kolegium rzymskiego. Jednocześnie, wraz z hr. Aleksandrem Przeździeckiem i ks. Theinerem, układa plan wydawnictwa: «Monumenta Poloniae historica» (dokumenty z archiwów watykańskich) i zbiera na ten cel znaczny fundusz. W r. 1859 udaje się jako kleryk do Innsbrucku, a następnie do Poznania, gdzie po złożeniu egzaminu wstępuje do seminaryum. Wyświęcony 23 marca 1860 r., odprawia prymicye w Rąbiniu. W czasie tej uroczystości przemawiał do ludu ks. Prusinowski. Jako kapłan, został kapelanem Domu sióstr Serca Jezusowego i pełnił te obowiązki do r. 1872. Z inicyatywy arcybiskupa Przyłuskiego założył w r. 1861 konwikt dla młodzieży szkolnej, w którym liczba uczniów dochodziła do 50, i szkółkę dla ubogich chłop-

ców; r. 1863 otworzył drugi konwikt dla uboższej młodzieży, w którym mieściło się do 100 uczniów. Oba te zakłady wychowujące młodzież w duchu katolicko-polskim, zostały zamknięte przez rząd pruski 1 kwietnia 1872 r. Pobyt w Rzymie i przywdzianie sukni duchownej, przy współczesnym wytwarzaniu się kwestyi rzymskiej i starciu się dążeń narodowych włoskich z prawami i interesami papieża i Kościoła wpływały na pojęcia katolickie Koźmiana, który, wraz z niewielką garstką katolików i konserwatystów z kół arystokracyi i ziemiaństwa polskiego, występuje w tej sprawie jako obrońca władzy świeckiej papieża przeciw roszczeniom Włochów. Śledząc żywo życie duchowe odradzających się Włoch, nakreślił w r. 1847, z okazyi obioru Piusa IX i obudzonych przez niego nadziei, obszerny (przeszło 100 stron obejmujący) zarys ruchu umysłowego i odbitych w literaturze dążeń narodowych włoskich. Była to chwila, w której nowy papież swoimi postępkami budził zapał i nadzieje patryotów włoskich. Wojna włoska w r. 1859 wysunęła kwestyę władzy świeckiej papieża. W rozprawie «Położenie stolicy apostolskiej» (Przegląd 1859) i następnych artykułach, tej kwestyi poświęconych, występuje Koźmian z potępieniem roszczeń włoskich, polityki Cavoura i Napoleona III. W ruchu narodowym włoskim, w dążeniu do zjednoczenia widzi zespolenie ambicyi politycznej władców Piemontu z rewolucyjnymi dążeniami wrogów Kościoła, zmierzających do podkopania władzy papieża. «Powiedzmy to sobie... śmiało a głośno, woła do współrodaków, że my, naród katolicki, z powinności, a nawet z interesu z Kościołem złączony, na świecie innej, prócz Kościoła, obrony nie mający, nic nigdy dla kraju, naprzeciw papiestwa stojąc, nie wskóramy». Ruch narodowy, który w r. 1861 przybrał, pod wpływem wypadków warszawskich, znamiona religijne, charakter podniosłego protestu przeciw znoszonemu tak długo uciskowi, pozyskał gorące uznanie Koźmiana, połączone jednak z zastrzeżeniem stwierdzenia wierności dla Rzymu przez popieranie władzy świeckiej i protestem przeciw panslawistycznym i antyklerykalnym dążnościom Wielopolskiego, którego reformatorskim usiłowaniom nie radzi stawiać przeszkód. Ostrzega przed szukaniem oparcia dla ruchu polskiego w radykalizmie europejskim, a jeszcze groźniejsze przewiduje skutki z wiązania się z rewolucyą rosyjską. W r. 1862 wygłasza w pałacu Działyńskich w Poznaniu cały szereg wykładów (16 odczytów) o epoce Jagiellońskiej. Ostatnie dwa poświęcił Zygmuntowi I. Wykłady te, wypowiadane z pamięci, spisywano i ogłoszano drukiem zeszytami, których wyszło 6, obejmujących 13 lekcyi, kończących się panowaniem Olbrachta. Wyszły one p. t. «Prelekcye z historyi polskiej» (Poznań 1862 str. 107). Patryotyzm gorący cechuje te wykłady jak również pomieszczone w r. 1863 w «Przeglądzie» artykuły wywołane ówczesnymi wypadkami. W wybuchu styczniowym r. 1863 widzi wynik zarówno długoletniego ucisku jak błędów Wielopolskiego, który podkopał znaczenie żywiołów umiarkowanych a wzmocnił rewolucyjne. Współczując gorąco z ofiarnością patryotyczną społeczeństwa, podtrzymującego w tak nierównych

warunkach toczoną walkę, protestuje energicznie przeciw zamachom i środkom rewolucyjnym. Z upadkiem powstania kończy się działalność Koźmiana jako publicysty. Malejąca ilość prenumeratorów zmusza do zamknięcia w r. 1865 «Przeglądu poznańskiego». Ksiądz Koźmian ograniczy teraz swą działalność do pracy na polu kościelnem i wychowawczem w obrębie Wielkopolski. Prowadzenie dwu konwiktów, w których wywiera wielki wpływ na przebywającą tam młodzież, zakładanie ochron i szkółek, praca nad oświatą ludową będą teraz jego głównem zadaniem. W r. 1864 zakupuje dom w Kościanie i osadza tam siostry miłosierdzia. Po śmierci arcyb. Przyłuskiego (r. 1865) stolica apostolska powierzyła mu prowadzenie układów z kapitułą gnieźnieńską i poznańską w sprawie wyboru następcy. Nowy arcybiskup, Leduchowski, powołał go do swej rady i w jego towarzystwie dokonywał wizyt pasterskich w archidyecezyi. Koźmian wszędzie wygłaszał kazania i nauki odpowiednie. Gdy w r. 1870 Leduchowski, po zajęciu Rzymu przez wojska włoskie, udaje się w początkach listopada do Wersalu, by, przy poparciu królowej Augusty, w imieniu katolików niemieckich, od których przywiózł liczne petycye, uzyskać poparcie rządu pruskiego dla papieża zagrożonego tak w swych prawach, Koźmian towarzyszy arcybiskupowi w charakterze sekretarza i udaje się następnie w tej sprawie do Rzymu, gdzie był już w towarzystwie arcybiskupa w r. 1869. Otrzymuje on tytuł prałata domowego Ojca świętego i protonotaryusza apostolskiego a w r. 1870 zostaje kanonikiem poznańskim. Ostatnie sześć lat życia były dla Koźmiana jednem pasmem ciężkich przejść. W r. 1871 traci wzrok w jednym oku; w następnym roku bawiąc dla kuracyi w Homburgu, przez postawienie dukata na stawkę w domu gry ściąga na siebie burzę korzystających z tego dzienników antyklerykalnych. Wyznawszy swą winę arcybiskupowi, poddaje się nakazanym mu rekolekcyom. W r. 1872 rząd zamyka mu oba konwikty. W roku następnym po ogłoszeniu uchwalonych wtedy t. zw. «praw majowych», rozpoczęła się walka rządu z duchowieństwem katolickiem, niechcącem uznać nowych ustaw. Skutkiem tego władza zamknęła z dniem 1 października 1873 r. seminaryum poznańskie, a w lutym 1874 r. arcybiskup Leduchowski został złożony z urzędu, aresztowany i przewieziony do Ostrowa, gdzie spędził dwa lata w więzieniu. Przewidując taki los, arcybiskup, ustanowił kilku swych zastępców, którym delegował władzę zarządzania sprawami dyecezyi kolejno, o ileby ulegli aresztowaniu. Delegat znany był duchowieństwu, które spełniało jego rozporządzenia, lecz okryty tajemnicą wobec władz pruskich. Wśród uwięzionych, za odmowę władzy żądającej wyjawienia osoby delegata, znalazł się i Koźmian wraz z kilku wybitniejszymi duchownymi. Gdy odzyskał swobodę, objął w roku 1875 obowiązki delegata, po uwięzionym kanoniku Kurowskim, i z wielką energią organizował, z pomocą kryjącego się przed policyą pruską «związku misyonarzy», obsługę religijną w parafiach osieroconych przez uwięzienie proboszczów lub oddanych tak zw. «księżom

rządowym». Wydalony poza granice państwa niemieckiego, po wypuszczeniu z więzienia, arcybiskup Leduchowski nie przestaje z Rzymu kierować sprawami swej dyecezyi, znosząc się w tajemnicy z Koźmianem i przesyłając okólniki do duchowieństwa, które rozwożą po parafiach owi, tajni misyonarze. Związek misyonarski liczył w czwartym roku do 30 członków; zostawali oni pod komendą znoszącego się ciągle z nimi delegata arcybiskupiego. W jesieni r. 1877 udał się Koźmian do Rzymu dla porozumienia się z arcybiskupem. W drodze powrotnej śmierć nagła zaskoczyła go w Wenecyi, 20 września 1877 r. Ostatniem publicznem wystąpieniem Koźmiana była piękna mowa wygłoszona na uczcie, urządzonej na jego cześć w Poznaniu 28 grudnia r. 1876, przez dawnych wychowańców zamkniętego konwiktu. Zebrali oni fundusz na stypendya imienia założyciela; przekazali takowy Towarzystwu pomocy naukowej. W pięknem przemówieniu rozwinął Koźmian ideę przewodnią swego życia i działalności: zespolenie harmonijne służby dla Kościoła ze służbą dla ojczyzny. Zasługi jego dla Kościoła uczciła kapituła poznańska pomnikiem wzniesionym w katedrze i poświęconym r. 1880.

Wskazówki bibliograficzne. A) **Wydania.** W r. 1881 wyszło w Poznaniu (zapewne za staraniem żyjącego jeszcze wtedy starszego brata, Stanisława) zbiorowe wydanie pism p. t. «Pisma ks. Jana Koźmiana, kanonika archikatedry poznańskiej, prałata domowego Jego Świętobliwości Ojca Św., protonotaryusza apostolskiego». Poznań 1881, Nakładem i drukiem Jarosława Leitgebera. Jest to właściwie przedruk rozpraw i artykułów, pomieszczonych w «Przeglądzie poznańskim». Tom I, (str. 385) obejmuje: «Wstęp w Przeglądzie poznańskim», obszerną pracę «Stan rzeczy w W. ks. Pozn.» (pisaną r. 1848) i szereg prac, odnoszących się do życia politycznego Wielkopolski w okresie 1848 do 1850. Tom II: (str. 337) obejmuje, rozprawę «Dwa bałwochwalstwa» (1849 r.), szereg drobniejszych artykułów, odnoszących się do wypadków warszawskich z r. 1861 i 62 i powstania r. 1863 i 1864; przeważną część tomu zajmuje dawniejsza praca: «Sprawy włoskie» (1847) tudzież «Położenie Stolicy apostolskiej» (1859), wreszcie «Rozprawa z O. Gagarinem» (1856). Tom III (str. 328) obejmuje: «Dwa ideały» (1851) zestawienie ideałów Mickiewicza i Krasińskiego, «Lekka literatura w Polsce» (1855) «O piśmiennictwie peryodycznem» (1857), «Zbigniew Oleśnicki», praca, omawiająca wyniki dzieła M. Dzieduszyckiego, «Kazimierz Jagiellończyk», jest to część (6 lekcyi) wykładów, miewanych r. 1862 w Poznaniu o epoce Jagiellońskiej, «Przeznaczenie Francyi» ,rozprawa, mieszcząca charakterystykę Francyi przedrewolucyjnej. Z kolei idzie szereg «Wspomnień pośmiertnych», z których dwa najobszerniejsze (po 17 stron) poświęcone są ks. Antoniewiczowi i Mickiewiczowi, wreszcie mowa na pogrzebie Wojciecha Hazy z Radlic; Mowa na cześć O. Hieron. Kajsiewicza; Kazanie na obłóczynach Witoldowej ks. Czartoryskiej, «Zakończenie» wydawnictwa «Przeglądu poznańskiego» i ostatnie, przedśmiertne «Przemówienie do dawnych uczniów» (dnia 28 grudn. 1876 r.). Cały szereg mów pogrzebowych i wygłaszanych przy różnych obchodach żałobnych, nie ogłoszonych drukiem, wylicza wydawca pism K. w tomie III, na str. 273.

B) **Biografie.** Prócz mów pogrzebowych, wygłoszonych przez ks. Likowskiego i ks. Chotkowskiego, ukazało się w «Czasie» i w osobnej odbitce (Kraków, 1877) «Wspomnienie o ks. Janie Koźmianie» przez L. Siemieńskiego, tudzież uboga w dane biograficzne, dla ludu przeznaczona, broszurka: «Ksiądz Jan K. przyjaciel ludu polskiego», napisała X. X. (Odbitka z «Niedzieli», str. 19 z drzeworytem). Ówczesne czasopismo wielkopolskie «Warta» pomieściło «Pogrzeb ks. Koźmiana» i «Nad trumną ks. K.». W r. 1880 ukazała się wygłoszona przez ks. Feliksa Wartenberga: «Mowa ku czci św. p. ks. Jana Koźmiana, kanonika archikated. pozn. .... podczas nabożeństwa przy odsłonięciu pomnika, dnia 16 listop. 1880 r., miana w archikatedralnym kościele poznańskim. Gniezno, nakład komitetu pomnikowego 1880 str. 30. Dość szczegółową biografię podała «Encyklopedya kościelna» pod literą K., zaś ocenę prac, w zbiorze trzytomowym ogłoszonych, skreślił St. Tarnowski (Historya literatury, tom VI, część I, str. 292—297). O działalności K. w okresie «Kulturkampfu» podaje kilka szczegółów książka «Wspomnienia Kulturkampfu 1875—1878», napisał ks. Walenty Smigielski, proboszcz ostrowski. Ostrów 1900 r.

Wstępne słowo na czele Przeglądu „poznańskiego“ (1845 r.).

(Podajemy tu wstęp charakteryzujący przekonania katolickie Koźmiana. Pisma, tom I, str. 9—17).

791) Kto wyrzuca katolicyzmowi oporną martwość, ten nie pojmuje, czem jest nauka Chrystusa, i rzeczywistości zaprzecza. Tam, gdzie każde słowo ksiąg świętych, każdy obrzęd przypomina wielkość obowiązków, do czynów koniecznego zakładu wiary (wiara bez czynu martwą jest, mówi pismo), do ruchu umysłowego popycha, odrętwiałość, jako nieuchronne następstwo, jest niepodobna. Kościół, głosem papieży, przez sobory, przez pisma doktorów swoich, przez zakony i bractwa, mające nędzom moralnym i materyalnym zaradzać, bezprzestannie rozwija z siebie życie ewangelii; a jeśli czasem, w sprawach tego świata, zmyli się papież który, albo Pan Bóg,

jak gdyby dla przypomnienia wiernym, że i namiestnik Chrystusa jest człowiekiem, zezwoli na wyniesienie jakiego Aleksandra VI, to życie dlatego w kościele nie ustaje i katolicyzm naprzód idzie; za Aleksandra VI żyli św. Franciszek a Paulo i Savonarola. Spokojność zewnętrzna ludzi wysokiej świętości nie jest odrętwiałością, nie wyklucza ona czynności powszedniej, owszem, zawsze z pilnością życia w parze idzie; niema znowu błędniejszego wyobrażenia, jak że życie zakonne, wszelakie życie ascetyczne, do duchowego sobkostwa, do obojętności prowadzi. Nie tu miejsce wyświecać wagę i potrzebę zakonów, tych latarni morskich, zapalonych wśród mgły interesów światowych, tych spichrzów dzisiejszego osierociałego pauperyzmu; przedmiot ten rychło a obszernie będziemy się starali rozebrać. Teraz, żeby z zarzutem odrętwiałości skończyć, przypomnimy jeszcze, że w krajach katolickich, w których wedle uskarżeń zdawałoby się, że religia i na niej oparte wychowanie powinny do skamieniałości prowadzić, właśnie było zawsze i jest najwięcej dobrych i złych ruchów.

Ile razy w pojedyńczych ludziach, mieniących się katolikami, zmartwiałość znajdujemy, to dowodzi, że są natury tak samolubstwem skażone, że religia służy im tylko ku uspokojeniu obaw słabego umysłu, niby za śrubkę w starannie urządzonej machinie. W zepsutych znowu społeczeństwach nieraz religii używają za środek i tem jej żywotność odbierają. Zdarzają się i między nami ludzie, którzy religię, nie wierząc w nią, za środek uważają, katolicyzm — mówią — potrzebny jest dla ludu. Tacy zwykle się mienią wyłącznymi przyjacielami ludu, ale siebie tylko w nim kochają, bo niema miłości bez szczerości; popełniają prawdziwe świętokradztwo, w dumie z nabytków myśli własnej, z nauki, w którą snać nie ufają, kiedy się jej sile powierzyć nie chcą; pierwsi znoszą równość, jaką w obliczu słowa Bożego, Chrystus między ludźmi postanowił; sieją w nieszczerości, gorzkie też tylko owoce zbierać mogą. Religia, do wartości środka zniżona, przestaje być religią.

Mówiliśmy już, że z katolicyzmu wypływają wszelkie obowiązki względem drugich, a naprzód względem kraju swojego, wszakże z tego nie idzie konieczność przywiązania się do jakiejkolwiekbądź formy politycznej. Konieczności czasowych kształtów społecznych, na bezwzględnej opartych nauce, nie rozumiemy wcale i zarówno odpychamy samowolne wnioski Fryderyka Szlegla i de Maistre'a, jak samowolne wnioski Bucheza. Jeśli niejeden szczery katolik, czy udziałem w bieżących wypadkach pociągnięty, czy złamany próbami i zapasami, stawia jaki kształt polityczny jako proste następstwo swojej wiary, w tem wina jego słabości, ale nie wina katolicyzmu. Wprawdzie zdawaćby się mogło że, w czasie danym, wyobrażenia jedne więcej jak drugie odpowiadają zasadom wiekuistym, ale że, przy pociągach własnego interesu, zawodny bywa w tej mierze wypadek zastanowienia ludzkiego, kwestya przekonań politycznych do wyboru sumienia jest zostawiona, tem bardziej, że nauka Chrystusa, pod jakikolwiekbądź kształt polityczny podstawiona, każdy udoskonali i uświęci. Rzecz się ma zupełnie inaczej, kiedy odmienimy punkt zapatrywania się i ze stanowiska zasad bezwzględnych do obowiązków życia zejdziemy; oczywiście, że każdy chrześcijanin, w sprawy świata wmieszany, powinien mieć zdanie sumienne o rzeczach, szczerość zupełną zdania przyjętego i idącą z przeświadczenia o sumienności pobudek własnych odwagę cywilną.

Przejdźmy do zadań wolności i równości. Wolność tam się tylko znajduje, gdzie się równoważą prawa i obowiązki, gdzie są przyznane bez przymusu zewnętrznego i odznaczone w wierze i miłości granice dla umysłu i dla czynności człowieka; stan społeczeństwa bez wiary i obowiązków jest najcięższą niewolą; najtwardsze więzy wkładają duma i namiętności. O apostołach wolności fałszywej mówi św. Piotr: «Albowiem, nadętą próżność mówiąc, przyłudzają przez pożądliwość ciała i rozpusty tych, którzy byli prawdziwie uciekli od obcujących w błędzie. Wolność im obiecując, a sami będąc niewolnikami skazy. Albowiem kto jest od kogo przezwyciężony, temu też jest zniewolony». Chrześcijanin, wyzwalając ducha, darzy swobodą istotną.

W katolicyzmie tylko jest równość możebna. Na niepodobieństwo bezwzględnej równości każdy się zgodzi; w rzeczy samej człowiek nie jest machiną, działającą pod wpływem ciągle jednej siły, ale istotą rozumną, zależącą od okoliczności, wśród których żyje, i od wrażeń, które odbiera; żyć znowu, jest to ru-

szać się dla jakiegoś celu; ruchu bez celu równie nie pojmujemy dla ożywionego ciała, jak bezwzględnego spoczynku; za ruchem idzie zmiana a zatem nierówność; różnic w sile fizycznej, jak i w umysłowem usposobieniu, nie możemy także za przypadkowość uważać. Starożytność tak dalece przypuszczała zasadę nierówności, że uznawała konieczność niewoli; dopiero miłość i pokora chrześcijańska przyszły zagładzić różnice towarzyskie. Chrystus kazał możnym i mądrym, to jest pierwszym, żeby byli ostatnimi sługami wszystkich, najskąpiej w życiu obdarzonych, ostatnich powołał na czoło, ubłogosławił ubóstwo materyalne i moralne, nauczył wreszcie, że zazdrość i nienawiść nie tylko nierówności nie znoszą, ale szerszym przedział między ludźmi robią. Chrześcijanizm dopiero przyniósł ludziom prawdziwą równość religijną, z której się wyrodziła równość cywilna. We wszelkiem wyzwoleniu z miłości początkował Kościół katolicki. Do dziś rzecz poddaństwa nie jest w całej Polsce rozstrzygnięta; otóż, jeszcze roku 1167, papież Aleksander III ogłosił, że nauka chrześcijańska na poddaństwo nie pozwala, a sam Voltaire przyznaje, że to postanowienie papieskie skłoniło Ludwika X, króla francuskiego, do zniesienia poddaństwa w dobrach koronnych. Czyż sakramenta katolickie nie przypominają codziennie równości w obliczu Boga? Równość majątkowa, jeśli jest podobna w pewnej mierze, to tylko na drodze ofiary; we wspólność posiadania, na stowarzyszeniu ludzi zbliżonych pociągiem uczuciowym *(attraction passionelle)* opartą, w marzeniu St. Simona i Fourriera, nie wierzy żaden umysł praktyczny; zaś gdyby udało się kiedy tym, co nic nie mają, odebrać majątki dzisiejszym ich posiadaczom, to tylko właściciele-by się odmienili, a nie własność straciła swoje znaczenie.

Katolicyzm przynosi oświatę, w najobszerniejszem znaczeniu wyraz ten biorąc; dowodów poszukamy w przeszłości europejskiej. Kiedy świat rzymski rozpadał się zepsuciem, a barbarzyńcy, potężni dzikością obyczajów, dzisiaj poetycznych dla nas w oddaleniu, jak wszystko, co tchnie prawdziwą namiętnością, energią zarysów, pociągającą w Sagach o Niebelungach, i homerowską prostotą, — w rzeczy zgubnych dla wyrabiających się idei w ludzkości, stanęli na widowni: kto uratował postęp, kto przechował podania i naukę? Kto później wyobrażenia po-

słuszeństwa dla Ewangelii, prawności i jedności państw w tworzące się społeczeństwa zaszczepił? Kto bezprzestannie pośredniczył naprzód między zdobywcami a podbitymi, później między ciemiężcami a uciemiężonymi, zawsze działając na korzyść cierpiących i nieszczęśliwych? Kto jeśli nie papieże i Kościół? W Polsce Kościół pomógł wyrobieniu się narodowości, uratował jedność, niknącą śród podziałów, a przez germańską działalność zagrożoną; dzisiaj czyż mniejszemi darzy nas dobrodziejstwami? Papieże, śmiało wypowiadamy przekonanie nasze, omylili się w XV i XVI wieku, omylili się zaś, nie jako stróże tradycyi, tu omyłka jest niepodobna, ale w przybranym kierunku w rzeczy spraw ludzkich. Pod opieką naczelników Kościoła, zbudowanego na gruzach pogańskiej nauki, odżyły wyobrażenia greckie i rzymskie, ponętne wielkie wyobrażenia, wspaniałą epokę dla nauki i sztuk, głosem niezrównanych pisarzy i niezrównanych arcydzieł dłóta i cyrkla przypominające, wszakże niedomierzające wzniosłości zasad chrześcijańskich [1]). Myśmy je z mlekiem wyssali, w wychowaniu naszem, w szkołach, więcej i wyłączniej zajmowaliśmy się pisarzami augustowskiej epoki, jak listami apostolskimi, samą nawet Ewangelią, że nie wspomnimy Ojców Kościoła, których szkolna nauka zupełnie przemilcza; wielkich postaci tylko Plutarch wyobraźni naszej dostarczał. Któż nam kiedy mówił o bohaterach chrześcijańskich? To też przywiązanie nie tylko do niezaprzeczonej wartości wzorów wszelkiego pi-

[1]) Niech nam wolno będzie dotknąć nawiasowo kwestyi sztuki. Sztuka jest dla nas wynalezieniem i wolnem odbiciem znamion bezwzględnej doskonałości i bezwzględnej piękności, w skończoności, w naturze. Sztuka ma się opierać na niewruszonej podstawie zasad objawionych i w udziale dostała wysokie posłannictwo wpływania na zmysły tak, żeby je pod panowanie ducha poddawać. Rzecz oczywista, że z całą siłą potępiamy zmysłowość w sztuce... Względem przeszłości greckiej nie jesteśmy uprzedzeni, uznajemy całą czystość natchnienia w artystach i pisarzach Hellady; tylko oni za wyłączny hołd piękności fizycznej składali, kiedy przeciwnie, chrześcijanizm jest ciągłem zwycięstwem nad materyą, zwycięstwem piękności moralnej; my przeto, choć nie odmawiamy uszanowania dla piękności kształtów w tworach rąk Boskich, niższy jej dajemy szczebel. Myśl naszą, że od epoki Odrodzenia skrzywiony został kierunek sztuki, uzmysłowiło się natchnienie, obszernie później wyłożymy. Teraz dodamy jeszcze, że sztuka nie powinna służyć za środek, bo natchnienie prawdziwie estetyczne samo z siebie niesie naukę wszystkiego, co wzniosłe i piękne.

śmiennictwa, ale do wygodnych maksym wykształconego samolubstwa rzymskiego nigdy zupełnej nad nami władzy nie traci... Za cały ruch Odrodzenia, jak go zwykle nazywają, przyszła kara w reformacyi i odmieniły się stosunki publiczne. Co pierwej Kościół opiekował się społeczeństwem, był połączony z państwem jako takiem, to teraz państwo wyłącznie świeckiem zostało, oderwało się od Kościoła. Rozdział ten, bolesny dla wielu, tak gorąco opłakiwany przez X. Lamennais przed jego odszczepieństwem, my za rzecz dokonaną przyjmujemy. Żywotność Kościła nic na tem nie ucierpi, że się warunki jego światowego położenia zmieniły; dalej on będzie swego świętego posłannictwa dopełniał. Nauka bezwzględna do wszelkiej się godziwej obecności zastosować zdoła. My, jej wyznawcy, przyjmujemy w całej rozciągłości warunki, jakie nam teraźniejszość wydziela, więcej powiemy, mimo złych pozorów widzimy wyraźną wyższość naszych czasów nad ubiegłymi wiekami. Jeśli zatarły się wydatność, monolityczność charakterów i mniej jest cnót zupełnych w swej doskonałości, jeśli zmalały indywidua, za to chrześcijaństwo przeszło w obyczaje i znajdujemy więcej rozlanych w powszechności wyobrażeń solidarności, uszanowania jednych dla praw drugich, dobroczynności ogólnej. Nauka Chrystusa nie przestaje wzbudzać wielkich poświęceń. W tej chwili naśladnicy apostołów i misyonarzy dawnych, misyonarzy, którzy wydeptali wszędzie ścieżki dla wpływu oświaty europejskiej, podwajają usiłowań; ubodzy opowiadacze ewangelii wyprzedzają statki parowe, nawet naukę geografii wyprzedzają i, znacząc ślady cichemi męczeństwami, zdobycze dla Europy w najodleglejszych stronach świata robią. Przyszłości chrześcijaństwa ufamy, nie straszy nas niechęć, niepowodzenia nie zrażają: Pan Bóg w jednej chwili złe w dobre zamienia. W przeświadczeniu znowu o opatrznym kierunku czerpiemy obojętność dla środków zręczności światowej, tylko brak wiary i niedostatek moralnej podniosłości je podaje. Kto wierzy w jaką prawdę, wierzy koniecznie w jej ostateczne zwycięstwo. Ale, powtarzamy, z ufnością w Bogu nie powinna się łączyć nieczynność; pracujmy całe życie, pracujmy bez ustanku, używajmy tylko środków dobrych, wtedy, choć się nam nie wszystko powiedzie, choć bolesnych doznamy zawodów, będziemy mogli zasmucić się, nie zniechęcimy się nigdy. Nadeszła epoka przejścia, podwaliny społeczeństwa europejskiego zatrzęsły się do gruntu, nieprzewidziane wypadki pojawiają się na świecie, niepewność przejęła umysły; oczekiwanie cięży wszystkim na piersi, nauka straciła wiarę w siebie, natchnienie wszelkie w pół drogi zamiera. Kto zdoła wywróżyć, co nam przyniesie przyszłość, kto odgadnie myśli, jakiemi Pan Bóg tchnąć będzie w ludzkość? Nas wiara spokojnymi czyni; wiemy, że jak Chrystus uratował świat rzymski, rozpadający się zepsuciem, tak objawienie chrześcijańskie uchroni i zbawi oświatę europejską, którą napada niemoc zgrzybiałości. Ciężkie przetrwał próby chrześcijanizm, ale nie upadł pod niemi i, jak wszystko, co święte, w czystszym z nich wyszedł blasku. Darmo mu herezye i filozofie śmierć zapowiadały, darmo go chciały obedrzeć z cywilizacyjnego posłannictwa; w nowszych czasach encyklopedyści ledwie nauce objawionej zostawiali kilkadziesiąt lat życia; płonne groźby, — dziś encyklopedya zestarzała się i minęła, mało gdzie słychać słabniejące głosy zapóźnionych jej stronników, a słowa Chrystusa wiecznie wiosenną zielenią się młodością. Powrót do religii jest widoczny, same spory religijne rozbudzonego życia dowodzą. My, Polacy, którzy tak często za popędem obcych idziemy, wyobrażenia, gdzieindziej zużyte, tak długo zwykle przerabiamy, czyż znowu będziemy czekali, aż porwie nas ruch ogólny, czyż własnem uczuciem, z własnego popędu, nie staniemy przy nauce ojców naszych, nauce ściśle połączonej z przeszłością i przyszłością narodu, tarczy jego w teraźniejszości, nauce wreszcie, która wsiąkła w krew ludu tak, że tylko na niej się opierając, zdołamy, w dopełnieniu obowiązku wyraźnego naszych czasów, podnieść klasę najniższą do moralnej godności człowieka?

Jeśli o cywilizacyę materyalną chodzi, chętnie przystaniemy, że myśl o wieczności, pewne oderwanie się od rzeczy tego świata, odejmują prawdziwemu chrześcijaninowi tę gorączkową żarliwość ku nabyciu bogactw, która najczęściej wynalazki płodzi. Zamiast, cobyśmy w tem złe upatrywali, cieszymy się, że nauka objawiona zmateryalizowaniu się człowieka przeszkadza. Z drugiej strony religia nakazuje człowiekowi pracę, pracę ciągłą, pracę w pocie czoła, przy pracy zaś, powolniej może, ale do wszelakich godziwych wypadków nauki materyalnej się do-

chodzi. Dziś dojrzewają owoce kierunku przeszłowiecznego, i mamy drogi żelazne, statki parowe, niesłychane rozwinięcie handlu i przemysłu; rzeczy te, wzięte same w sobie, powołaniu człowieka na świecie nie odpowiadają, wszakże nie odpychamy ich wcale, owszem, w tem namnożeniu środków ku zbliżeniu narodów i ludzi przeczuwamy zbliżającą się chwilę powszechniejszego uznania prawdy objawionej. Silnie nas uderzyła i przekonanie nasze pociągnęła myśl, że Rzym, wyobraziciel wszelkiego materyalizmu w historyi, dlatego nagiął swojem żelaznem ramieniem ludy starego świata do jedności, żeby Chrystusowi ziemskie drogi przygotować.

Stowarzyszenia, zwykle na niechrześcijańskiej zasadzie jak największego osobistego zysku, na koalicyi wielkich kapitałów przeciw małym oparte, przewodniczą dzisiaj w przemysłowych i handlowych robotach; czyż nie wznioślejsze powołanie, nie trwalsze i nie kolosalniejsze były skutki wszelkich bractw w wiekach średnich? Czyż nie czas, żeby ekonomia polityczna na szerokiej zasadzie dobra ogólnego się oparła?

Zdarza się jeszcze niekiedy słyszeć zarzut obskurantyzmu, nie szczególnym katolikom, ale wszystkim katolikom robiony. A przecież katolicyzm wydał niezmierną liczbę wielkich geniuszów i ukanonizował swoich doktorów, zaś jest to wyraźne prawo psychologiczne, że, kto szuka światła i ma światło, ten je chce z innymi podzielić. Szaleniec chyba myśli, że istotę nieśmiertelną jest podobna woli i rozumu pozbawić, i w użyteczność usiłowań w tę stronę skierowanych wierzyć może. Próżna robota chcieć ujarzmić umysł ludzki; nie przymus i ciemnota, ale wolna i oświecona wola może w całej pełności prawdę bezwzględną uznać. My chcemy, wzywamy najszerszej oświaty, dla każdej poważnej nauki czujemy jak największą względność. Ospałości umysłowej przedewszystkiem się boimy. Zresztą podzielamy zupełnie zdanie kanclerza Bakona, który mówi: «niedostateczna tylko nauka odwodzi od Boga, pełna do Niego prowadzi».

Zarzut znowu, że religia katolicka tylko grubą i powierzchowną obudza pobożność, nie jest na żadnej zasadzie poważnej oparty. Kościół zawsze się starał i starać się nie przestaje o rozszerzanie religii oświeconej, religii istotnej. Jakieś nieokreślone uczucie bałwochwalcze nie odpowiada wymaganiom nauki, która

powinna stworzyć nowego człowieka w człowieku. «Co innego jest, mówi de Maistre, wpływ religii na człowieka, a co innego przywiązanie człowieka do religii». Niejeden, co kradnie całe życie i ani mu przyjdzie na myśl, że kradzież zwrócić należy, albo co ugrzązł w sromotnej rozwiązłości, nie zaniedbuje dlatego pilności w nabożeństwie, często gotów z narażeniem życia bronić obrazka świętego, gotów umrzeć raczej, jak tknąć się mięsa w dzień zakazany. Prawdziwa władza religii zmienia i podnosi człowieka *(Lex Domini immaculata convertens animas.* Psalm XVIII 8), robiąc go zdolnym wyższego stopnia cnoty, oświaty i nauki.

Miłością oddycha każdy wyraz nauki Chrystusa, pierwszym w niej rozkazem: kochaj bliźniego, jak siebie samego. Miłość tylko tworzy, tylko w miłości jest wolność. Jak bez miłości rozstrzygać zadania społeczeńskie, które co chwila tamują pochód ludzkości? Jeśli w tej mierze gwałtowności i nienawiści za środek użyjemy, zdołamy węzły gordyjskie poprzecinać, ale nie zdołamy trwałych nowemu porządkowi postawić zrębów. W tej chwili toczy się w całej Europie głucha jeszcze walka między tymi, co posiadają i używają, a tymi, co cierpią, między ciągnącymi zysk z pracy a pracującymi, między fabrykantami a robotnikami, ekonomiści silą się na wynalezienie jakiejś równowagi, a silą się napróżno. Rzecz oczywista, że pracę należy inaczej uorganizować, — dotkniemy tej kwestyi po kolei, — ale tylko miłość chrześcijańska, miłość, nakazująca zrzeczenie się wyłącznych osobistych widoków jednym, drugim wyrozumiałość, do trwałego, do zbawiennego rozwiązania trudności poprowadzić może.

Człowiek, cierpieniem wypróbowany, wolny w duchu, niezmordowany w pełnieniu obowiązków, a miłością uświęcający każde dzieło myśli i rąk swoich, jest dopiero człowiekiem wedle nauki Zbawiciela. Porównajmy nie chrześcijanina, najpotężniejszego namiętnością, dumą lub nienawiścią, jakiego reformatora politycznego z każdym misyonarzem katolickim. Pierwszy na raz tylko zbierze całą siłę moralną, przygotuje cios i uderzy, a jeśli nie zwycięży, upada, nawet wygrana go zużywa i zdaje się dla dziejopisarza, że czoło jego naznaczone jest znamieniem fatalności starożytnej; Danton, młody jeszcze i nie długiemi do-

świadczony zapasami, zwątpił o wszystkiem i wołał: «Ludzkość mnie nudzi». Każdy misyonarz, każdy kapłan katolicki, każdy katolik prawdziwy całe życie dla prawdy pracuje; niezłamany przeciwnościami, schylając zawsze czoło pod dopuszczeniem Bożem, nie koniecznie powodzenia oczekuje, obowiązku tylko patrzy. Starość nawet nie wyziębia w nim poświęcenia i ufności w dobrą sprawę, zawsze on młody młodością swojej nauki. Tylko niektóre niższe organiczne istoty mają za całe przeznaczenie jedną jakąś funkcyę wypełnić i umrzeć; człowiekowi zapowiedział Pan Bóg długie próby i zadanie jego nieśmiertelności zależnem od prób tych uczynił.

Na świecie, póki młodość szlachetnemi darzy uczuciami, wszyscy prawie piękności i prawdzie służą, ale nadchodzi czas zawodów, epoka, w której się odzywają samolubne instynkta, jak niewielu wtedy temu, co piękne i prawdziwe, co poświęceń wymaga, wiernymi pozostaje? Znaczniejsza liczba poddaje się instynktom sobkowstwa, ciasne i nędzne skłonności zwąc wytrawnością i doświadczeniem. Cóż uratuje człowieka, na którego wiecznie wszystkie brzydoty natury skażonej czyhają, co mu da siłę wzgardzenia materyalnym bytem, co, darząc go prawdziwą dojrzałością, świeżość uczuć i święte natchnienie w nim przechowa, co? jeśli nie miłość chrześcijańska, którą każdy obrzęd odżywia, każde słowo Chrystusa sercu przypomina? Katolicyzm, jako wolność i jako miłość, wyłącza wszelką nietolerancyę. Nietolerancya pochodzi albo ze szczerego przekonania, że dla przeprowadzenia myśli jakiejś wolno jest używać środków wszelkich, choćby najgwałtowniejszych, tak jak ich użyła inkwizycya hiszpańska i terroryzm francuzki, albo z dzikości obyczajów, jak w wojnach Albigensów i w wojnach chłopów w Niemczech; albo wreszcie ze skeptycyzmu politycznego, z Hobbesowskiej pogardy dla ludzi, jak w rzezi S. Bartłomieja i w dziełach odszczepieństwa bizantyńskiego. W każdym razie jest ona owocem nieoświecenia, albo niecierpliwości i dumy; jest owocem nienawiści. Silna, a oświecona wiara jest spokojną; walczy ze złem, nigdy się przed niem nie ugina, ale nigdy i nigdzie nie zapomina przepisu miłości bliźniego, środków innych, jak środki godziwe, nie używa. Nie możemy dosyć powtarzać, że kto ufa prawdzie, ten jest o jej wieczności, o jej ostatecznem zwycięstwie

przekonany, a jeśli dla tryumfu swoich przeświadczeń pracuje, to przez uczucie powinności, a nie w nadziei pożytkowania ze swojej pracy. Człowiekowi prawdy nie chodzi, żeby przymusił, ale żeby przekonał. Jesteśmy więc za jak najszerszą tolerancyą i z chlubą przypominamy, że już Konstytucya 3 Maja tolerancyę z miłości bliźniego wyprowadziła.

Niejeden zadziwi się nad naszem oznaczeniem posłannictwa i zasług katolicyzmu, bo grube w tej mierze panują przesądy, bo od trzech wieków piszący historyę pokrzywdzili go i spotwarzyli, a tak głośno, tak upornie szerzono uprzedzenia, że wszelka obrona przez długie czasy zagłuszoną została. Wszakże przychodzi sprawiedliwość na drodze koniecznego oddziałania; oddziałanie wstrzyma się, my tylko dołóżmy usiłowań, żeby prawdę uchwycić. Powiedział znakomity pisarz francuzki, że historya od reformacyi jest ciągłym spiskiem przeciw prawdzie; my za jeden z głównych obowiązków przyjmujemy starać się wyświecać przeszłość katolicyzmu w całym świecie, a szczególniej w Polsce tak, ażeby ludziom sumiennym dostatecznych powodów do przekonania dostarczyć.

Najwyraźniejszym znakiem upadku prawdziwej historyi jest ta niechęć dzisiejszych pisarzy do historyi właściwej; dziś ludzie najwznioślejsi myślą biorą się opracowywać pojedyńcze epoki, dzieje pojedyńczych ludzi, mnożą się monografie. Snać zrobił się niemały zamęt w nauce, kiedy znowu trzeba się cofnąć do źródeł, snać runęła wszelka całość, kiedy tylko można częściowym pracom podołać. Nauka czasu ubiegłego, może w części i dzisiejsza jeszcze nauka historyczna, ciężkie na sobie nosi przewinienia; nie powodowało nią uczucie słuszności, chęć służenia prawdzie dla prawdy, ale zajęcie się celami bieżącymi, stąd weszło skupianie, porządkowanie faktów stosownie do naprzód przyjętego systematu: dzieje świata zostały obdarte z najpierwszej ozdoby, ze wszelkiej dobrej wiary: historyę także zniżono do wartości środka. Dla nas, jak oczywista, historya nie jest całą nieśmiertelnością, ale ją za główną podstawę wszelkiej dojrzałej pracy uważamy.

Wszyscy już teraz zgadzają się, że dziejopisowie przeszłego wieku, czy z niemieckiej, czy z francuskiej, czy z angielskiej szkoły, rozmyślnej dopuścili się względem chrześcijaństwa

niesprawiedliwości; jeśliż w wielkiej części fałsz mówili, czy pisma ich zasługują na jakiekolwiekbądź zaufanie? A jednak często ludzie, przyznający sobie miano oświeconych, na ślepo dawne zarzuty powtarzają, dają się uwodzić dawnym przesądom. Daleko od nas myśl tłómaczenia wszystkiego w przeszłości katolicyzmu; nieraz błędy zaciemniły czystość nauki świętej, nieraz wielkie zboczenia i zbrodnie skryć się pod jej zasłoną próbowały; nie widzimy potrzeby jednych i drugich zakrywać albo wysilać się na subtelności. Sami papieże dali nam przykład surowej otwartości, i niema silniejszego oskarżenia na złych w XV w. św. Piotra następców, jak to, które Adryan VI w bulli przy podniesieniu siebie na stolicę apostolską sformułował. Gdzie jest towarzystwo świeckie, któregoby naczelnicy i członkowie nie wahali się ułomności i zgorszeń wewnętrznych odsłaniać? My przekonani jesteśmy, że namiętności i słabości ludzkie prawdziwości dogmatu naruszyć nie mogą; historya znowu przynosi nam zapewnienie, że najwięcej dobrodziejstw w ludzkości, najwięcej i najzupełniejszych cnót w ludziach pojedyńczych z nauki objawionej za pośrednictwem Kościoła katolickiego przyszło. Bossuet mówi: «Cóż może być wspanialszego nad widok religii, tak silnie na jednych podstawach od początku świata opartej, że jej ani bałwochwalstwo, ani bezbożność niegdyś wkoło zewsząd rozkrzewione, ani prześladowcze tyrany, ani heretycy i niewierni, którzy ją zepsuć usiłowali, ani tchórze i słabi, którzy ją zdradzili, ani niegodni wyznawcy, którzy zbezcześcili zbrodniami, samaż długość czasów, wystarczająca zawsze na obalenie rzeczy ziemskich, nie zdołały już nie powiem zgasić, ale choćby tylko odmienić».

Opracował: BR. CHLEBOWSKI.

XCIX.

ESTKOWSKI EWARYST.

(1820—1856).

Urodził się we wsi Drzązgowie (w powiecie Średzkim) w W. Ks. Poznańskiem 26 października 1820 r. z rodziców: Jana i Katarzyny. Estkowscy byli odrośla rodziny litewskiej Estków: dziad Ewarysta pierwszy przybrał nazwisko «Estkowski». Ojciec był właścicielem małego folwarku w Strzyżewie. Pierwszy nauczyciel Ewarysta, bakałarz szkółki wiejskiej w sąsiedztwie, tak zniechęcił malca sposobem nauczania mechanicznym, że ojciec musiał go odebrać ze szkoły. Po przeniesieniu się rodziców do innej wioski chłopiec uczęszczał znów do miejscowej szkółki elementarnej; uczono w niej takim samym trybem, jak w pierwszej; nie mógł podołać wymaganiom, nie pomagały najrozmaitsze kary: «tak mnie zafukano (opowiada E. w swej autobiografii), żem drżał, gdy mnie nauczyciel lub ktoś inny po nazwisku zawołał». Groźba wydalenia z domu zmusiła chłopca do wytężenia wszystkich sił: przykładał się, jak mógł najpilniej, do nauki bez pożytku ani zadowolenia. Po całorocznej przerwie skutkiem warunków rodzinnych uczęszczał znów przez rok do szkoły ewangelickiej niemieckiej; następnie, mając lat blizko 12, uczył się w innej miejscowości prywatnie u nauczyciela wiejskiego; ciągle borykał się z trudnościami, wynikającemi z wadliwego systemu nauczania. Zniechęcony, prosił ojca, by mu pozwolił kształcić się na stolarza; zraziło go jednak prędko obcowanie z majstrem pijakiem i stosunki z terminatorami; to też powrócił znowu do nauki szkolnej. W 14-ym roku życia postanowił wstąpić do seminaryum nauczycielskiego i zaczął się przygotowywać pod kierunkiem nauczyciela prywatnego. Przyjęty w r. 1836 do seminaryum w Poznaniu, uzyskał po 3 latach świadectwo nauczyciela elementarnego i niebawem objął posadę na wsi (w Wojciechowie pod Jaraczewem). Zabrał się gorliwie do pracy nad 80 uczniami w wieku lat 6—14, a widząc braki w urządzeniu szkolnem, czynił zabiegi u władzy. Gorliwość naraziła go na zatarg i różne nieprzyjemno-

ści ze strony gminy oraz inspektora szkolnego; wytrwał wszakże przez $3^1/_2$ roku na tej posadzie, bo powoli zdobył sobie zaufanie gminy i przywiązanie dziatwy. Oprócz szkoły zajmował się rolą i uzupełniał swą wiedzę czytaniem książek pedagogicznych oraz innej treści. Do zawodu nauczycielskiego przywiązywał się coraz mocniej i postanowił sobie nigdy go nie opuścić, braki wykształcenia zawodowego rozumiał dobrze i starał się je uzupełnić samouctwem. Walczył przytem z trudnościami językowemi, gdyż w seminaryum słuchał wykładu dydaktyki tylko w języku niemieckim. Usilna praca nad sobą poczęła wydawać owoce i poza szkołą: spotrzeżenia swoje w zakresie zawodu E. spisywał starannie, odczytał je raz na konferencyi w gminie, a że się podobały, opracował ostatecznie i posłał pod sąd prof. A. Popliń-skiemu w Poznaniu. Popliński przyjął je życzliwie, ofiarował autorowi w nagrodę «Chowannę» Trentowskiego i kilka innych książek, umieścił artykuł w redagowanym przez siebie i Józ. Łukaszewicza »Orędowniku Naukowym» i zachęcał do dalszego pisania. Inaczej oceniała Estkowskiego zwierzchność szkolna: za karę przeniesiono go w r. 1843 do małego miasteczka (Mikstatu), gdzie mu powierzono posadę młodszego nauczyciela. Tu blizko półtora roku przepędził obarczony ogromną pracą (miał w szkole około 200 dzieci); przytem coraz bardziej paliła go chęć kształcenia się wyższego. W r. 1844 porzucił posadę i zapisał się w uniwersytecie wrocławskim na wydział filozoficzny; pracował gorączkowo, pożerał wiedzę; ale z powodu nieznajomości greckiego i literatury klasycznej nie mógł stanąć do wyższych egzaminów. Wreszcie i wypadki polityczne przerwały dalszy jego pobyt w uniwersytecie. Przyjął posadę nauczyciela prywatnego w Poznańskiem, marzył o egzaminie na rektora szkół i założeniu seminaryum nauczycielskiego, lecz nie mogąc zwalczyć przeszkód, poprzestać musiał na przyjęciu posady nauczyciela w seminaryum poznańskiem (1847). Dążności germanizacyjne pozbawiły go wkrótce (1848) tego stanowiska; nie pozwolono mu nawet otworzyć niższej szkoły prywatnej; rzucił się więc do wydawania czasopisma («Szkoła Polska»). Niepowodzenie materyalne na tem polu zmusiło go szukać zarobku przez dawanie lekcyi prywatnych. W r. 1850 ożenił się; w 1853 udał się w podróż po Niemczech i do Francyi. Wywarła ona na niego wpływ nader korzystny: rozszerzył zakres swej wiedzy, pozawiązywał stosunki (poznał się z Lelewelem, Ad. Czartoryskim, E. Kaplińskim, Sew. Goszczyńskim, T. Lenartowiczem, A. Mickiewiczem, J. Boh. Zaleskim i in.), zetknął się z szerokim światem. Praca nad siły podkopała zdrowie E-go, rozwinęła się choroba suchót, której początki odnosi sam do pobytu swego na pierwszej posadzie nauczycielskiej. W r. 1854 przeniósł się E. z Poznania do Ostrowa, gdzie przyjął obowiązki nauczyciela języka polskiego w prywatnym zakładzie naukowym, kształcącym przeważnie młodzież polską. Latem r. 1855 leczył się w Ischl i nad Renem; powrócił do zajęć pełen otuchy; lecz postępująca choroba zmusiła go na początku lata r. 1856 udać się znów na kuracyę. Zmarł w Soden 15 sierpnia t. r.

Pracując jako nauczyciel ludowy na wsi i w małem miasteczku, a nie zamykając się w obrębie urzędowej szkoły, E. występuje już wtedy jako pożyteczny działacz społeczny. Zna życie ludu, styka się z niem bezpośrednio, rozumie potrzebę wszechstronnie pojmowanej oświaty, rozważa trzeźwo coraz trudniejsze (od r. 1831) dla żywiołu polskiego warunki bytu w W. Ks. Poznańskiem i na postępie oświaty zasadza jego siłę. W szczególności zajmuje go od czasu, kiedy go odsunięto od nauczycielstwa publicznego (1848), myśl o kształceniu nauczycieli. W r. 1848 zostaje jednym z założycieli «Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego» w Poznaniu, pierwszego polskiego w ogólności: zwołuje wraz z kilku innemi osobami pierwsze posiedzenie organizacyjne; należy z dwoma członkami do pierwszej komisyi programowej stowarzyszenia; jest sekretarzem w komitecie, który ostatecznie redagował ustawę; wchodzi jako sekretarz do dyrekcyi Towarzystwa; staje na czele komitetu redakcyjnego czasopisma przez nie wydawanego («Szkoła Polska»). Towarzystwo istniało tylko do r. 1851, rozwinęło się słabo, głównie skutkiem przeszkód, stawianych przez rząd reakcyjny; ale zasługą E-go i jego towarzyszów było rozbudzenie pewnego ruchu w kierunku narodowym wśród nauczycielstwa nie tylko w Księstwie, lecz nawet i w Prusach Zachodnich oraz na Śląsku.

Jako pisarz pedagogiczny, E. rozpoczął swą działalność w r. 1843 od wspomnianego w autobiografii artykułu w «Orędowniku», zawierającego «spostrzeżenia szkolne». Jest nim zapewne artykuł w nr. 19, 20 i 21 p. t. «Kilka słów o szkołach elementarnych w W. Ks. Poznańskiem». Mamy już tutaj szeroki pogląd na rzeczy i myśli, rozwijane później niejednokrotnie przez E-ego: za główną przyczynę braku oświaty wśród ludu uważa on język niemiecki w szkole i powstaje na duchowieństwo i szlachtę, nie otaczające szkoły należytą opieką. Artykuł w tymże roczniku «Orędownika» (w nr. 50, 51 i 52), pierwszy podpisany przez autora, nosi tytuł: «Co powinien u nas w Ks. Poznańskiem wiedzieć nie tylko nauczyciel elem., ale i osoby sprawą odrodzenia się ludu szczerze się zajmujące» i zawiera myśli również na tle społecznem rozwinięte. Obok rzeczy ściśle pedagogicznych myśl społeczno-narodowa będzie odtąd występowała stale w działalności pisarskiej Estkowskiego. Drobne rozprawki jego mieszczą się w rocznikach z lat najbliższych tegoż »Orędownika» i «Tygodnika Poznańskiego»; tak samo w wychodzących w Poznaniu w r. 1845, a stanowiących nierozłączną niejako całość: «Piśmie dla nauczycieli ludu» i «Piśmie dla ludu polskiego». Szerszą działalność pedagogiczno-publicystyczną rozwinął E. dopiero jako redaktor «Szkoły Polskiej», która wychodziła w Poznaniu od 1849—1853 jako pismo miesięczne lub 6-tygodniowe. Pierwsze cztery roczniki ukazały się pod jego prawie wyłączną redakcyą. Towarzystwo Pedagog., którego «Szkoła» miała być organem, wybrało wprawdzie do prowadzenia jej komitet z E-go i sześciu jeszcze osób (między niemi ks. A. Prusinowskiego, redaktora w 1848—9 dobrego pisma ludowego «Wielkopolanin», w 1849—50 czasopisma «Wiarus»),

ale wkrótce cały ciężar pracy kierowniczej spadł na barki Estkowskiego. Pomoc niektórych znakomitych skądinąd współpracowników (jak K. Libelt, J. Rymarkiewicz i in.), bywała tylko dorywczą. Praca E-go w «Szkole Polskiej» to wieniec jego zasługi pedagogicznej i obywatelskiej. Głoszone tu przezeń zasady pedagogiczne «mają tę właściwość (mówi trafnie Z. Samolewicz), że są zastosowane do naszego charakteru narodowego, — że acz nie gardzą doświadczeniem przez narody postronne nabytem, opierają się jednak na dokładnej i wszechstronnej znajomości i świadomości własnych naszych potrzeb». Lubo kształcony na wzorach niemieckich, nie daje się wcale olśnić ich teoryom; dla niego większe znaczenie mają prace Komisyi Edukacyjnej, większą powagę stanowi Piramowicz, więcej przemawia do jego przekonania sekretarz Izby Edukacyjnej, K. Wolski. «Szkoła Polska (wyznaje E. w artykule wstępnym z okazyi rozpoczęcia trzeciego rocznika) usiłuje stać zawsze na tym trwałym fundamencie, jaki we względzie wychowania założył ks. Piramowicz razem z Komisyą Edukacyjną». Nawiązywał tedy ciągle, przy każdej sposobności, nici między pracą w przeszłości a współczesną, przypominał to narodowi w artykułach i przedrukach w numerach «Szkoły» lub oddzielnych dodatkach; śledził postępy pedagogii nowoczesnej, polskiej i obcej (przeważnie niemieckiej), przetrawiał krytycznie jej wyniki i uczył stosować w praktyce.

Wybitnym przykładem takiego postępowania według metody historyczno-krytycznej i jedną z najważniejszych zasług E-go jest to, co uczynił w zakresie nauki czytania i pisania. W rozprawie «Uwagi nad początkową nauką czytania, pisania i rysunków» («Szkoła Pol.» r. 1849), potępiwszy mechaniczną metodę uczenia, rozpatruje rozmaite metody czytania, poczynając od «Przepisów dla nauczycieli» K. Wolskiego z r. 1811, rozbiera zasady praktykowane na Zachodzie i oddaje pierwszeństwo metodzie wyłożonej w «Chowannie» Trentowskiego, ale wprowadza do niej pewne ważne zmiany, przemawia też za zasadą Diesterwega łączenia czytania z pisaniem. Myśli te rozwija obszernie w rozprawie: «Metoda czytania i pisania» («Szkoła» r. 1850 i 1851); i wreszcie, opierając się na wyłożonych tam zasadach, wydaje: «Elementarzyk, ułożony wedle metody pisania i czytania» (1851). Zdaniem specyalistów (jak Zarański, A. Szymański i W. Osterloff), Elementarz E-go przewyższa wszystkie elementarze polskie przed K. Promykiem (K. Prószyńskim). Zasady Trentowskiego były ogólnie biorąc trafne, ale zastosowanie ich — niepraktyczne; E. uczynił metodę doraźnego czytania możliwą do stosowania; Trentowski oddziela czytanie od pisania, E. je łączy. W nowszych czasach opierał się na E-im H. Wernic; cofnął się jednak, zalecając czytanie druku przed pisaniem; elementarz A. Jeskego (w wydaniu 1-em, bo późniejsze przerabiali inni) ułożony jest według metody głosowej, lecz bez stosowania doraźnego czytania.

Zaznaczamy jeszcze, że «Szkoła Polska» wychodziła w r. 1853 pod redakcyą E-go i ks. Sumińskiego, przybrała wyraźne cechy pisma kościelnego, nie popierana jednak skutecznie nawet przez duchowieństwo, z końcem tegoż roku przestała wychodzić. O różnorodności tematów, poruszanych przez E-go w licznych rozprawach treści pedagogicznej, powie nam Bibliografia (zob. niżej); działalność literacka E-go obejmuje nadto obfity dział wydawnictw dla młodzieży i dla ludu.

W r. 1850 zaczął E. wydawać «Szkółkę dla dzieci». Przeznaczeniem jej było uzupełnianie wiadomości nabywanych w szkole i rozrywka. Wychodziła początkowo jako pismo miesięczne, następnie jako sześciotygodniowe; w 1850—1853 pod wyłączną redakcyą E-go, w ostatnim roku — E-go i ks. Sumińskiego. Po zawieszeniu, z powodu strat materyalnych, «Szkółki» (jednocześnie ze «Szkołą Polską») księgarz J. K. Żupański podjął się znowu wydawać ją pod zmienioną nazwą: «Szkółka dla młodzieży»; wychodziła w 1854 i 1855, także pod wyłączną redakcyą E-go, a przeznaczona była głównie dla starszej młodzieży. Straciła wkrótce charakter pisma peryodycznego i przestała budzić zajęcie, uległa więc rychło zawieszeniu. Na krótko przed śmiercią ułożył E.: «Zbiorek rzeczy swojskich ku nauce i rozrywce dla młodzieży», zawierający popularne rozprawki, opisy, opowiadania, poezye, anegdoty i t. p. Przewodnią myślą i dodatnią stroną wszystkich tych zbiorków (bo takimi są i powyższe niby czasopisma) jest swojskość, budzenie przywiązania do rzeczy ojczystych i szlachetne uczucia; brak natomiast głębszego uwzględnienia potrzeb duszy młodzieńczej. Składają się na nie zazwyczaj przedruki utworów, które wychodziły z pod pióra cenionych często autorów, odznaczały się one przystępnością, zacną treścią, ale za mało związane bywały z bieżącymi prądami życia i stąd często nie budziły żywszego zajęcia. Sam E. mało pisywał w tym kierunku.

Jako pisarz dla ludu, większe niewątpliwie posiadał uzdolnienie, choć praca na polu ściśle pedagogiczno-naukowem nie pozwoliła mu poświęcić się usilniej twórczości w kierunku belletrystyczno-wychowawczym. Miał zamiar wydać cały szereg takich prac p. t. «książki ludowe», napisał tylko jedną, i tej nie wykończył. Jest to «Żywot człowieka poczciwego na wzór Zwierciadła Mik. Reja» (1850), mający się składać z trzech części: 1) «Jakie są przypadki młodego, jakie ma być wychowanie jego i ćwiczenia i nauki i postanowienie, i jak się brać powinien do chleba»; 2) «Jaka ma być sprawa około niego, jakie ożenienie, jakie postępki i jaki ma być jego żywot poczciwy i stateczny»; 3) «Zwierciadło dla starego wieku, jak się ma podstarzały człowiek sprawować». Trzeciej części nie wykończył autor. Treścią wykończonych jest szereg praktycznych i zdrowych rad, wyłożonych językiem jasnym, jędrnym i wielce zbliżonym do mowy ludu, jak nikt jeszcze nie pisał przed E-im.

«Jeżeli weźmiemy pod uwagę (słowa są Z. Samolewicza), że E. zakończył dni swoje w wieku, w którym drudzy dopiero na szerszą widownię występują; jeżeli uwzględnimy, z jakiemi to trudnościami walczyć, jakie zapory przełamywać musiał, aby sobie zdobyć ową obszerną wiedzę, którą umiał tak dzielnie wyzyskać dla dobra szkoły, młodzieży

i ludu; jeżeli zważymy, że dzielna jego dusza w wątłem ciele była zamknięta; jeżeli nareszcie pomyślimy, jak ciężko przychodziło mu zdobyć sobie niezależne stanowisko i wśród powszechnej obojętności bez żadnego zysku, owszem ze stratą znaczną, ogłaszać... wzniosłe swe zasady: to zaiste przyznać musimy, że E. zdziałał w swym krótkim żywocie wiele, bardzo wiele i zasłużył sobie na to, aby pamięć jego imienia przeszła do potomnych pokoleń, a znajomość dzieł jego rozpowszechniała się coraz więcej między nauczycielstwem i wszystkimi zajmującymi się wychowaniem młodzieży». Właściwością pism jego, nawet treści pedagogicznej, jest uczuciowość, pewien liryzm. Słusznie twierdzi K. Libelt, że nie jest to ich przywarą i że tej stronie uczuciowej przypisywać należy w znacznej mierze wpływ, jaki na publiczność wywierały, tembardziej że zyskiwała na niej strona literacka. Bez tej cechy możeby talent pedagogiczny E-ego zyskał więcej na ścisłości naukowej, ale byłby się stał przydatnym może tylko dla nauczycieli zawodowych.

E. położył niewątpliwie znaczne zasługi w sprawie demokratyzacyi oświaty w W. Ks. Poznańskiem i umocnienia w niem pojęć o zdrowym postępie w duchu narodowym, ale wyodrębnić te zasługi i wskazać dodatnie skutki jego działalności w ogólnym, ożywionym już prądzie pracy rozwojowej tej prowincyi jest rzeczą o tyle trudną, iż wypadło mu działać głównie w latach po r. 1848, kiedy ów rozwój walczyć musiał z potęgującemi się różnej natury przeszkodami. Tem większej za to czci godzien, podobnież jak i inni działacze w owym czasie. Poglądy jego pedagogiczne i zasady dydaktyczno-metodyczne po większej części nie zestarzały się jeszcze: skutkiem wielu warunków, zależnych i niezależnych od nas, niewieleśmy postąpili naprzód w dziedzinie pracy E-ego od jego czasów, z drugiej zaś strony już i przed nim dokonaliśmy wielu rzeczy trafnych, które dotychczas nie straciły swej wartości, a były mu znane i blizkie. W działalności jego odzywało się niejedno hasło, przyświecające pracy wcześniejszych pokoleń; w pracy pedagogicznej za naszych czasów odżyło niejedno hasło E-ego. Z późniejszych do jednego z nim szeregu pracowników w kierunku oświaty ludowej stanęli tacy, jak K. Góralczyk (Wł. L. Anczyc), Janek z Bielca (J. K. Gregorowicz), Józ. Chociszewski, każdy różny od E-ego naturą, sposobami i zakresem działania, każdy niższy pod względem wykształcenia pedagogicznego; stanął wreszcie K. Promyk (K. Prószyński), z natężoną wytrwałością skupiwszy swe siły w szczuplejszem kole ściśle ludowem, zdaniem naszem, najbliższy E-emu istotą działania i ujęciem sprawy, a jak nam się zdaje, w niejednym szczególe wykształcony na Estkowskim.

BIBLIOGRAFIA:

I. Ważniejsze artykuły i oddzielne wydania. A) W «Orędowniku Naukowym» z r. 1843: *a)* «Kilka słów o szkołach elementarnych

w W. Ks. Poznańskiem» (nr. 19, 20 i 21; z podpisem: «przez Nauczyciela Elementarnego»); *b)* «Co powinien u nas w Ks. Poznańskiem wiedzieć nie tylko nauczyciel elementarny, ale i osoby sprawą odrodzenia się ludu szczerze się zajmujące» (nr. 50, 51 i 52). B) W «Szkole Polskiej»: 1) z r. 1849: *a)* «Kilka wstępnych słów o najpierwszej nauce elementarnej» (oprócz innych rzeczy na szczególną uwagę zasługują tu poglądy na metodę uczenia religii); *b)* «Uwagi nad początkową nauką czytania, pisania i rachunków»; *c)* «O wychowaniu dzieci do 7-go roku»; *d)* «Rysunki w szkole elementarnej»; *e)* «Ku poczciwemu żywotowi dziecię chowane być ma» (przykład rodziców i zgoda małżeńska to najdzielniejsze czynniki dobrego wychowania). 2) z r. 1850: *a)* «Nauki wiejskie, tyczące się gminy, życia i stosunków wieśniaka» (= 19 nauk w pytaniach i odpowiedziach, dotyczących — wbrew szerszemu tytułowi — głównie rolnictwa i ogrodnictwa; wyszły w osobnej książce w Poznaniu w 1861 r., str. 179); *b)* «Wychowanie Polek»; *c)* «Metoda czytania i pisania» (w roczniku 1850 i 1851; wyszła osobno w Poznaniu, jako wydanie redakcyi «Szkoły Pol.», p. t. «Metoda pisania i czytania, z tablicą rycin», 8-a str. III i 92; wyd. 2-e w Poznaniu 1862); 3) z r. 1851: *a)* «Słów kilka o kształcącej się młodzieży»; *b)* «Stosunek właściciela wsi i księdza do szkoły i nauczyciela elementarnego» (współdziałanie kościoła i szkoły w pracy oświatowej); *c)* «O powinnościach rodziców względem dzieci»; 4) z r. 1852: *a)* «O nauce geografii początkowej»; *b)* «O kształceniu kobiet» i «Wychowanie i wykształcenie płci żeńskiej w zarysie», oraz «Jak korzystać powinna panienka z czasu od skończenia t. zw. edukacyi aż do pójścia za mąż»; *c)* artykuły o kształceniu prywatnem młodzieży męskiej; *d)* «Nauczyciel elementarny, uważany ze względu na powołanie, życie domowe i stanowisko, jakie w gminie zajmuje». C) Osobne wydania, oprócz wspomnianych pod B: 1) «Głos do Dyrekcyi Ligi» (Poznań 1849). 2) «Rozmowa sołtysa z sąsiadem» (Poznań 1849). 3) Rozprawy wymienione pod B 1), *a*, *b*, *c*, *d*, *e* — weszły do pośmiertnego wydania zbiorowego p. t. «Pisma pedagogiczne E. E-go. Tom I». (Poznań 1863; str. LXIX i 193). Mamy tutaj: Przedmowę, nakreśloną przez K. Libelta w r. 1857, a zawierającą zarys charakterystyki; Autobiografię E-go (str. VII—XXIII), doprowadzoną do pobytu we Wrocławiu; wyjątki z Listów E-go od r. 1848—1855 (str. XXIV—LXIX); powyższe rozprawy i wreszcie następujące jeszcze artykuły: «Czy potrzeba uczyć historyi pedagogiki w seminaryach?»; «Czego uczyć w polskich szkołach elementarnych wogóle, a w wiejskich szczególnie?»; «Język polski po szkołach i szkółkach»; «Dalsze kształcenie młodzieży po opuszczeniu szkół elementarnych i wynikająca stąd potrzeba szkół niedzielnych». 4) «Książka do pierwszego czytania dla szkół publicznych i prywatnych. Część II» (Poznań 1850; Berlin 1854; Warszawa 1862; Berlin 1863 [Estreicher podaje wszystkie tu wymienione, ale zapisuje pod r. 1891 wydanie poznańskie i nazywa je: «Wydanie 4 te, poprawne i uzupełnione»; Samolewicz nazywa berlińskie z 1863 r. trzeciem].

Materyał swojski, miejscowy, rodzinny, powszedni — w myśl zasady: od znanych rzeczy do nieznanych. 5) «Żywot człowieka poczciwego na wzór Zwierciadła Mik. Reja» (Poznań 1850: Staraniem i nakładem Głównej Dyrekcyi Ligi Polskiej; Poznań 1859 [podane u Estreichera, nieznane Samolewiczowi, który nazywa wydanie warszawskie drugiem]; Warszawa 1863). 6) «Elementarzyk, ułożony wedle metody pisania i czytania» (Samolewicz pisze, że wydany po raz pierwszy w r. 1851, że doczekał się wielu wydań i że ostatnie wyszło w Poznaniu r. 1876, przytacza szczegóły jego układu i powołuje się, z podaniem nawet stronic, na rozbiór tej pracy w «Zarysie dziejów nauki czytania i t. d.», wydrukowanym w Krakowie w 1868; F. Nowakowski i L., autorowie artykułu «Elementarz» w «Encyklopedyi Wychowawczej» wymieniają Elementarzyk E-go dopiero w wydaniu poznańskiem z r. 1862 i wspominają o wydaniu 2-em w r. 1876; Estreicher nie zna «Elementarzyka», notuje tylko dwa wydania «Elementarza»: w r. 1862 i 1876). — 7), 8) i 9) «Zbiorek rzeczy swojskich», wspomniany w Życiorysie (ułożony w 1856, ocenzurowany w Warszawie 1858, wydany w Poznaniu 1859, str. 200; nie podany przez Estreichera), — «Pisma dla dzieci» (Poznań 1870, podane przez Estreichera) i «Pisma» (Poznań 1871, zapisane u Estreichera) — zawierają wybór różnych prac innych autorów, zebrany przez E-go. Dwa ostatnie tytuły należą zapewne do znanego mi wydania następującego: «Pisma Ew. E-go dla dzieci i młodzieży. Tom I. Szkółka dla dzieci. Poznań. Nakładem J. Chociszewskiego. 1871» ze szczegółowymi tytułami: «Szkółka dla dzieci E. E-go. Tom I. Poznań 1870» (str. 200) i «Tom II Poznań 1871» (str. 200). 10) Do tejże kategoryi należy: «Książka do czytania dla szkół publicznych i prywatnych. Część III: dla oddziału wyższego» (Poznań 1892, str. 347; u Estreichera, nie podana przez Samolewicza, który pisał o E-im w r. 1885).

II. Pisma o Estkowskim. Oprócz Autobiografii i Przedmowy K. Libelta (zob. wyżej). 1) Artykuł o E-im przez Z. Samolewicza w «Encyklopedyi Wychowawczej» (t. III, Warszawa 1885, str. 610—620). Autor korzystał z udzielonych mu przez rodzinę E-go listów i rękopisów; omawia dość szczegółowo zawartość ważniejszych prac jego. 2) Obszerniejsza wzmianka w «Tygodniku Illustrowanym» warszawskim w r. 1860 przez T. Lenartowicza, którego łączyła z E-im serdeczna przyjaźń. 3) Życiorys w «Szkole» lwowskiej z r. 1870. 3) O zasługach E-ego w sprawie postępowej metody nauki czytania i pisania mówią: *a)* Zarański w «Zarysie dziejów nauki czytania» (Kraków 1868), *b)* F. Nowakowski i L. w artykule «Elementarz» w «Encyklopedyi Wychowawczej« (t. III, Warszawa 1885), *c)* Ad. Szymański w rozprawie: «Najlepszy elementarz świata» w «Reformie Szkolnej» (t. I, zesz. 1 i 2, Kraków 1904). 4) Poglądy E-go na naukę religii rozpatruje i ocenia M. Hornowska w rozprawie p. t. «Nauczanie religii w polskiej literaturze pedagogicznej» («Reforma Szkolna» t. I, zesz. 1 i 2, Kraków 1904). 5) Artykuł p. Chmielowskiego w «Encyklopedyi Illustrowanej» Sikorskiego zawiera, obok rzeczy skądinąd znanych, dość szczegółową ocenę prac belletrystycznych E-go dla młodzieży.

„A) Co powinien u nas w W. Ks. Poznańskiem wiedzieć nie tylko nauczyciel, ale i osoby sprawą odrodzenia się ludu szczerze się zajmujące".

(«Orędownik Naukowy» r. 1843).

792) Do XIX wieku oświata była u nas udziałem tylko jednej klasy społeczeństwa, to jest szlacheckiej, dlatego też, jak mi się zdaje, pozostawała ona mdłą, więcej powierzchowną, polerowną, niż żywotnią, prawdziwą. Dostatek bez pracy nabyty rodzi wnet miękkość i niedołężność. Szlachcic, na którego tysiąc rąk niewolniczych pracowało, nie uczuł nigdy prawdziwej potrzeby pracy, choć tylko umysłowej; oddawał się więc próżniactwu, zbytkom i dlatego coraz bardziej materyalnie i umysłowo marniał.

Pan Bóg nie napróżno tak nierówno pomiędzy nas rozdzielił swe dary. Uczynił to nie dlatego, aby nas przygnieść do ziemi i udręczyć, ale owszem aby podnieść do siebie naszego ducha i znaglić niejako do sprężystej około własnego wykształcenia pracy. Jakoż potrzeba i niedostatek, ten ustawiczny postrach leniwców i niedołęgów, jest właściwie owem cudownem *perpetuum mobile*, utrzymującem w ruchu całe społeczne życie, gdzie przez pracę, przemysł i naukę ciągle jedni wzmagają się w dostatek i znaczenie, inni przeciwnie podupadają, do pierwotnej powracając nicości. Ale, niestety! ten naturalny stan rozwijania się społeczeństwa u nas został spaczony przez ciężkie poddaństwo, zabraniające człowiekowi rozwinąć swe wrodzone dary, a zatem wskazujące go na wieczną ciemnotę i wszystkie z tego piekielnego źródła płynące nieszczęścia. Lud nasz, choć tak hojnie od natury uposażony, w ciemnocie przez tyle wieków trzymany, nie tylko że nabrał wiele ludom niewolniczym właściwych narowów i wad, ale co najgorsza, przywykły do codziennej ciężkiej pracy, przejął się pewnym wstrętem do wszelkiej nauki. Powinien się więc z tego umysłowego poniżenia odrodzić, to jest

postąpić choćby krokiem jednym na drodze oświaty, z którą idzie w parze i lepszy byt materyalny, i to dopiero nazwiemy prawdziwym postępem.

B) „Kilka wstępnych słów o najpierwszej nauce elementarnej".

«Szkoła Polska» r. 1849; przedruk. w «Pismach pedagog. E. E. Tom I». 1863).

793) *Str. 1.—2.* Oświecanie i uobyczajanie dolnych warstw społeczeństwa, czyli ludu, należy do liczby tych obowiązków ludzkości i narodów, od których w żadnym wieku, ni w lepszej, ni w gorszej dobie, usuwać im się nie godzi. Oświata i moralność ludu jest podstawą, na której się budują następne wieki doskonalącej się ludzkości i narodów, zbliżanie i zbratanie narodów, klas i indywiduów.

Świeże narodu naszego klęski zbliżyły nas znów więcej do ludu i włożyły tem większy na sumienia nasze obowiązek pieczy nad nim. Lecz nie tak zniżając się do niego, jak raczej podnosząc i dźwigając go oświecaniem i wyższą moralnością w górę, zbliżymy go do siebie, zlejemy w jedno ciało narodowe, wyniesiemy go na godność narodu.

Ostatniem ludzkości wielkiem drgnieniem z odwiecznego snu przebudzony lud przeczuł, ale nie przyjął jeszcze swej godności. W surowym dotąd znajdując się stanie, nie pojął praw i obowiązków obywatela, człowieka chrześcijanina; powszedniemu wciąż oddany zatrudnieniu, nie widzi jeszcze jasno szlachetniejszych dążeń człowieka do wolności, miłości, cnoty i piękności; do wielkości i chwały ojców nie umie jeszcze zatęsknić, bo go pamięć dawnej potęgi narodu nie wiąże; nawet dążenia ku wyższemu i szlachetniejszemu życiu familijnemu nie uczuł dotąd; ani pojął, jak skromna chata cnotliwego i oświeceńszego wieśniaka stać się może źródłem wzniosłych rozkoszy; lud nie stanął jeszcze na tym stopniu, aby był zdolny zakosztować życia umysłowego Licznie rozłożony po dolinach, wsiach i miastach, milczał niedawno milczeniem wieków. Lecz anioł, budzący w roku 1848 narody i ludy, zdmuchnął sen z oblicza jego, a zadrgnął w tem wielkiem ciele duch i rozpoczęło się życie i postęp mas

ludu w harmonii z narodem. Lata i dnie jego bez wiedzy milczenie wypełniło i lud stanął na pierwszym stopniu swego doskonalenia. Ciemnota, niewiadomość i przesądy znikać z pośród niego będą. Błogie skutki światła i wolności spływać nań muszą. Lud uczuć, pojąć, uznać i objawiać ma swą godność, ma się podnieść do równości praw i obowiązków ze wszystkimi innymi w narodzie; ma zakosztować wyższego życia.

Do tej pracy, do pieczy takiego wychowywania i kształcenia ludu całego wzywa nas Bóg, ewangelia, świeże wypadki i prąd historyi. Niemasz nad to szlachetniejszego na ziemi zatrudnienia.

Lecz dzieło to, jak wszelkie inne, od dołu rozpocząć trzeba. Jak pragnąc dochować się pięknych drzew, któreby dobry owoc rodziły, najsamprzód szkółkę drzewek, młode roślinki troskliwie pielęgnować należy; tak też najpierw trzeba czule i pilnie hodować młody lud, młody naród, to nowe pokolenie, ażeby z niego powstał naród godzien przeznaczenia swego.

Str. 3—4. Przez dobre nauki i wychowanie w szkołach elementarnych wykształcimy i umocnimy równouprawnienie wszystkich warstw w narodzie, a co ubiegłe lata rozerwały i osobno postawiły, to znów w jedną organiczną spoimy całość. Używając wszędzie tych samych chrześcijańskich i narodowych zasad wychowania i kształcenia, sprowadzimy i utrwalimy braterstwo w narodzie naszym, jedynie przez publiczne wykształcenie, zniesiemy rzeczywiście różnice stanów, a wywołamy różnice cnoty obowiązków i zasług.

Szczere więc i czynne, dzielne opiekowanie się wychowaniem publicznem jest to zajmowanie się tem, co publiczność narodową najmocniej zajmować i co ją najczulej dotykać dziś może. W publicznem narodu wychowaniu pokładamy świetność, szczęście i wielkość, jaką Bóg nam w duszach naszych przeczuwać i przewidywać dozwala i jaką naród nasz wśród innych narodów zajaśnieje.

Już w dawniejszych, szczęśliwszych czasach naszej przeszłości na czele pieczy swojej kładł naród polski rzecz wychowania publicznego i nie szczędził prac i ofiar. To też największe pewno w Europie były u nas fundusze naukowe. Czyż i my więc w dzisiejszym postępie czasu, narodu i ludu naszego gor-

liwiej nie mielibyśmy się zająć sprawą publicznego i narodowego wychowania?

Pięknie rozpoczęte, a klęskami narodu przerwane dzieła Komisyi i Izby Edukacyjnej, jako też Towarzystwa Elementarnego, prowadźmy dalej, ile siły nam starczą, zakres praw i działania naszego nam dozwala i głos narodu i czasu wymaga. Niechaj szkoły i szkółki nam staną się znów ogniskiem rodzinnego światła, cnót religijnych i obywatelskich; niechaj z przed oblicza narodu rozpędzają mgły i ciemności; niechaj go chronią od niecnoty i upadku; niechaj podpierają wznoszący się na nowo gmach ojczysty, w którym ma nam być jasno, ciepło i dobrze; niechaj na drodze męczeństwa i pielgrzymstwa naszego niosą przed nami zapaloną pochodnię, abyśmy nie zabłądzili i nie stracili z ócz gwiazdy, która nam przyszłość naszą ukazuje.

Lecz ku spełnieniu takich celów trzeba nam innych, niż dotychczasowe, trzeba nam narodowych, polskich w duchu i w formie szkół i szkółek, bo obecnie istniejące, przykrojone na stopę i według trybu niemieckiego, zamiast doprowadzać, odprowadzały nas od rodzinnego ogniska, od celu narodowego.

I to nie tylko pod względem narodowym szkoły i szkółki nasze nie były i być nie mogły tem, czem być powinny: nawet pod względem użyteczności owoców nie wydawały.

Skąd pochodzi owa odraza ludu naszego do szkół elementarnych? Bo nauki w nich udzielane nie tylko nie przemawiały do jego instynktu narodowego, ale nie przynosiły mu nawet użytku bezpośredniego, nie ukazywały mu ani w perspektywie celu praktycznego. Dotychczasowe szkoły elementarne nie wywierały żadnego wpływu na familijne, domowe, rolnicze, przemysłowe życie ludu.

Str. 15. My potrzebujemy nie tylko rodzinnym duchem ożywionej, ale także zgłębionej gruntownie, doświadczeniami stwierdzonej i od początku do końca opracowanej dydaktyki i metodyki. Z nieskończonego morza nauk musimy trafnie zrobić wybór, pożywny i pożyteczny dla młodzieży, i osadzić go na tle elementarnem.

Jakkolwiek część tę pedagogiczną Niemcy ze wszech stron, ogólnie i szczegółowo obrobili, z rozlicznych względów na rzecz się zapatrując, to jednakże nie możemy się bynajmniej pokusić

do przyjmowania od nich gotowych rzeczy, którebyśmy na język nasz przekładali. Bo... cała niemiecka dydaktyka i metodyka jest wręcz charakterowi i potrzebom naszym przeciwna; jest niemiecka, idealna, jest gimnastyką rozumu, jest ciężka i jednostronna; nie mieści w sobie pierwiastku sercowego i religijnego, nie jest zastosowana do życia, ani wpłynąć nie jest zdolna na całkowity rozwój człowieka. Polskich szkół nie ma być, jak niemieckich, ostatecznym celem człowiek uczony, wiedzący bardzo wiele, zapchany ciekawemi i nieciekawemi wiadomostkami, jakby sklepik kupiecki licznymi towarami, wykształcony pamięciowo.

Nic nam więc innego nie pozostaje, jak o własnych siłach i, że tak powiem, w narodowem natchnieniu jąć się szczerze pracy, bez skazówek gotowych myśleć nad elementarnemi naukami i nauczaniem, mierząc jedynie dążenie i prace nasze względem na moralne i praktyczne potrzeby i przeznaczenie młodzieży naszej.

Str. 16. Jeżeli dydaktykę i metodykę według charakteru i potrzeb narodu pojmiemy i obrobimy, wywołamy w życie polskie szkoły. Narodowych szkół w miarę istotnego wyrazu znaczenia dotychczas nie mieliśmy ani mamy. Anglicy mają szkoły angielskie, Francuzi francuskie, Niemcy niemieckie; Polacy nie mają polskich. Naśladować zagranicy dłużej nie myślimy, ani godnemby to nas było.

Pamiętać zaś trzeba, że czem są sztukom narzędzia, tem są wychowania publicznego dzieła dydaktyczne i metodyczne, skazówki podręczne i książki elementarne.

Choćbyś najwykształceńszym był nauczycielem, a nie upewniłeś się, czego uczyć i jak uczyć, nie wiesz, czego uczyć w polskiej szkole elementarnej i nie znasz doskonale stopniowania zgodnego z naturą przedmiotu wykładanego i z narodowo-psychologicznem rozwijaniem się dziecka, to bądź przekonany, że szkoła twoja będzie zła, nie wyda dobrych owoców i nie przygotuje do życia.

Str. 18—19. Przez najpierwsze nauki elementarne nie rozumiemy tylko nauk udzielanych po szkółkach wiejskich i miejskich, lecz wszystkie te nauki, które każde odbiera dziecko, czy to w szkole elementarnej, czy prywatnej, czy

w domu lub gdziebądź. Nauki elementarne są to nauki, które mieszczą w sobie elementa, zasady wszystkich tych nauk, jakich uczyć ma się dziecko każde bez różnicy stanu i przyszłego powołania. W naukach elementarnych, jak w pączku roślinnym, kryjącym w sobie cały kwiat, płodny pyłek, owoc i nowe nasienie, zawarte powinny być początki i treść wszystkich nauk, jakie oświecony i prawy człowiek, jako człowiek, jako chrześcijanin, jako obywatel kraju, posiadać powinien.

Str. 21—22. Nauki elementarne złączone z wychowaniem mają być sztuką ogrodnika w szkółce, który nie chce jeszcze ze słabych roślin zbierać owoców i dlatego nie dopuszcza zawczesnych kwiatków, ale raczej, pielęgnując delikatne drzewko, w szczep je jędrny i zdrowy zamienia, który wtenczas ma dopiero dobry rodzić owoc, gdy go do ogrodu przesadzą. Jeżeli w szkółce szczep był zdrowy, będzie i drzewo z niego zdrowe i użyteczne.

Tak też i nauczyciel z uczniem postępować powinien, nie zapominając nigdy, że nie lud już albo naród, ale dopiero nadzieję jego wychowuje i kształci, że dzieci uzdolnia, ażeby te dorósłszy poznały i spełniły obowiązki ludzi na stanowisku i obywateli narodu.

Według naszego przekonania trojaki mają cel nauki elementarne: 1) zbudzać, krzewić i kształcić całe życie serca, t. j. uczucie religijne, etyczne i estetyczne, wiarę, sumienie i wolę; 2) zbudzać i rozkrzewiać i kształcić wszystkie władze umysłowe; i 3) przyswajać uczniowi początki wszelkich głównych wiadomości, których człowiek wogóle w każdem położeniu, zawodzie i zatrudnieniu potrzebuje.

Każdy przedmiot elementarny jeden główny z tych ma cel, dwa przecież drugie cele ściśle z nim się łączą i wzajemnie się uzupełniają... Atoli zawsze pamiętać należy, że pomiędzy tymi celami tylko jeden jest główny.

C) Czego uczyć w polskich szkołach elementarnych wogóle, a w wiejskich szczególnie?

(«Pisma pedagogiczne Ew. E-ego. Tom I». 1863).

794) *Str. 168.* Mamy takie przekonanie, że wyższe szkoły wtenczas dopiero będą dobre, kiedy tworzyć wspólnie będą jeden system, jeden organizm stopniowy, którego podstawą będą szkoły elementarne. Uczeń, skończywszy zwyczajną szkołę elementarną, będzie dostatecznie przygotowany do gimnazyum, jeżeli to nie będzie, jak dotąd, postawione osobno, ale oprze się na szkole elementarnej.

Str. 173—4. Według mocnego naszego przekonania, wypełni elementarna szkoła polska godnie cel swój, gdy harmonijnie w swym rozkładzie nauk połączy początki nauk ogólnych i nauk ojczystych z naukami sposobiącemi wychowańców do ich przyszłego zawodu, do ich zatrudnień. Początki nauk ogólnych, jakiemi są: religia, historya św., czytanie, pisanie, rachunki i nauki przyrodnicze, mają strącić z uczniów surowość, a półdzikie życie ugłaskać, mają wychowańca uczynić godnym obrazem Boga, człowiekiem okrzesanym, rozsądnym, czułym, chrześcijaninem rzeczywistym; nauki ojczyste, jakiemi jest poznanie i ukochanie ziemi swej, jej bogactw, jej przyrody, czyli narodowej jeografii i historyi naturalnej, poznanie narodu swego, jego historyi, jego literatury na stósownych wyjątkach, nauki te ojczyste mają wychowańców usposobić na godnych synów kraju swego, na godnych obywateli do posług krajowych: mają rozniecić i wykształcić w nich uczucie się Polakami, żywą miłość ojczyzny; mają wzbudzić w późniejszym, dorastającym już człowieku tyle woli, iżby tenże czuł się zdolnym do poświęcenia się w potrzebie dla dobra swych braci. Uczniowie powinni się dlatego prawie na pamięć nauczyć wyborowych miejsc ze sławnych mówców i poetów narodowych i nauczyć się cenić wysoko wszystko to, co było i jest w narodzie piękne, wzniosłe i dobre. Nauki ojczyste powinny w wzrastającem pokoleniu wzbudzić zapał do dalszego kształcenia się, jakie i wiejski obywatel kraju, kmieć, osiągnąć w oświeconym narodzie powinien. Nakoniec nauki zastosowane do praktycznego zawodu wychowańców, jakie są w szkole wiejskiej zasady rolnictwa, gospo-

darstwa, rządu domowego, zasady industryi miejskiej, mają uczniów usposobić do pewnego zatrudnienia, powołania w życiu, mają ich wykształcić na pracowitych i przemyślnych obywateli, którzy się zawczasu sposobić powinni, że tak powiem, do pożytecznego rzemiosła. Na pamięci wypadałoby nam mieć ciągle ową ustawę Solona pod względem wychowania dzieci: «Dzieci nie są obowiązane utrzymywać na starość biednych rodziców, jeżeli ci nie kazali wyuczyć ich pożytecznego rzemiosła».

Opracował: K. KROL.

C.

PRUSINOWSKI KS. ALEKSY.

(1819—1872).

Ur. 1819 r. 13 lipca w Gostyniu w Księstwie Poznańskiem, z ojca Antoniego, sędzi pokoju w Gostyniu (ur. 1790†1835), i matki Agnieszki Szczytowskiej. Uczęszczał najpierw do gimnazyum w Lesznie; po śmierci ojca uzyskawszy skromne miesięczne wsparcie od ks. arcybiskupa poznańskiego Dunina, ukończył gimnazyum w Poznaniu w połowie września 1839 roku. Wielki wpływ wywarł na P. ks. prefekt dr. Prabucki, o którym z wdzięcznością wspomina w swej autobiografii. Postanowiwszy poświęcić się zawodowi kapłańskiemu, wstąpił do seminaryum duchownego w Poznaniu, gdzie gorliwie oddawał się nauce, uprawiając także filozofię. W r. 1821 udał się na dalsze studya na uniwersytet we Fryburgu badeńskim, gdzie przepędził trzy półrocza, studyując oprócz teologii i filozofii także filologię klasyczną. W r. 1842 w zimie przenosi się na uniwersytet berliński, gdzie słucha wykładów filozoficznych Schellinga, Micheleta, Trendelenburga, filologii klasycznej u Boeckha, Zumpta, Gerharda, Franza i innych, nadto historyi. W roku 1844 złożył egzamin nauczycielski, osiągnął nadto stopień doktora filozofii na podstawie rozprawy: *De Erinyum religione apud Graecos* (1844): rozprawkę tę przesłał matce z następującą dedykacyą: «Mej Kochanej Matce pierwsze mych prac owoce poświęcam, z wynurzeniem najczulszej wdzięczności za tyle nocy nie przespanych, tyle łez wylanych, tyle modłów Bogu poświęconych ku memu wychowaniu, dla większej chwały Boga, korzyści ludziom i pożytku duszy własnej». Święcenia kapłańskie otrzymał we wrześniu 1845 r. Początkowo zastępował regensa alumnatu poznańskiego, 28 sierpnia 1846 roku otrzymał posadę nauczyciela religii w gimnazyum trzemeszeńskiem i regensa w alumnacie, połączonym z gimnazyum. Niestety, krótki czas mógł poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, który był jego marzeniem: z powodów politycznych («nauczania języka i literatury polskiej w sposób niedozwolony») i gorliwości religijnej otrzymał ks. P. już z końcem roku uwol-

nienie od obowiązków. Widział w tem zdarzeniu wolę Opatrzności, a idąc chętnie za jej skinieniem, prosił arcybiskupa Przyłuskiego o nadanie mu posady drugiego mansyonarza przy kolegiacie św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, którą też istotnie otrzymał 1 lutego 1847 r. Na tem stanowisku zwrócił wnet na siebie uwagę pięknemi kazaniami parafialnemi, jakoteż mowami, wygłoszonemi na pogrzebie Joanny z Kierskich Radońskiej i senatora Macieja Wodzińskiego, odznaczającemi się gorącą miłością ojczyzny. Jako nauczyciel religii na pensyach żeńskich poznańskich, oddziaływał na młode umysły dziewczęce również w sposób podniosły. Z początkiem października 1848 r. zaczął wydawać pismo ludowe «Wielkopolanin», jedno z najlepiej redagowanych pism dla ludu, o niezwykłem wprost znaczeniu w podniesieniu oświaty i rozbudzeniu ducha narodowego wśród włościan Wielkopolski. Istotny podziw wzbudza sposób przemawiania ks. P. do włościan, zdolność zastosowania się do ich wyobrażeń i pojęć. Wziętość Wielkopolanina nie uszła uwagi rządu pruskiego, który, korzystając ze stanu oblężenia Poznania, zawiesił wydawnictwo, podając jako powód, że «redakcya mimo przestrogi nie przestawała objawiać wrogich dla rządu dążności»; ks. P. nie dał jednak za wygraną, przeniósł wydawnictwo do Kościana. Jeszcze przedtem wytoczył mu rząd proces; podczas rozprawy we wrześniu 1849 r. bronił się P. sam w świetnej mowie (podanej w Wielkopolaninie 1849 nr. 76 z 26/9): sędziowie przysięgli jednozgodnie uwolnili go od winy. Mimo to rząd, obawiając się wpływu P-o, nie pozwolił na wydanie «Wielkopolanina» pod dalszą jego redakcyą, odtąd wychodziło pismo pod firmą księgarza Walentego Stefańskiego, nie miało jednak już tej poczytności, jaką cieszyło się poprzednio. Nie zrażony niepowodzeniem zaczął P. po zniesieniu stanu oblężenia wydawać nowe pismo ludowe p. t. «Wiarus» (z końcem r. 1849) I to pisemko, wychodzące dwa razy na tydzień, cieszyło się podobną poczytnością, jak Wielkopolanin, prowadzone w tym samym duchu, z większą jednak ostrożnością ze względu na rząd. Ale «Wiarus» krótki tylko czas mógł wychodzić, na podstawie bowiem nowego prawa o zapisywaniu gazet na poczcie zakazał naczelny prezes Beuermann prenumerowania «Wiarusa» przez urzędy pocztowe: było to ostatecznym ciosem dla pisemka. Z niewymowną boleścią donosił o tem znękany redaktor w nr. 49 swym czytelnikom: «Teraz to tak będę do was pisał, jak ta matka, co widzi, jak dziecko jej umiera na łożu i czeka, aż ostatniego tchu nie wyda ze siebie, a stoi przy niem, a patrzy i płacze: tak też i ja widzę niechybną śmierć mojego «Wiarusa», jeszcze tylko kilka razy jęknie, a potem skończy. Każdy numer, co jeszcze wyjdzie, naznaczony będzie boleścią, bo mi żywo płynęło każde słowo, które do was pisałem, a teraz wszystkie boleści w sercu mojem zostaną». W nr. 51 (ostatnim) pomieścił «pożegnanie Wiarusa», rodzaj testamentu do ukochanego przezeń ludu wiejskiego: «Kiedym pierwszy raz siadał do pisania Wiarusa, ręka mi drżała, aby wam napisać wszystko, jak myślę i jaką do Was mam intencyą. Dziś ostatniego

mam napisać Wiarusa, a ręka znów mi drży, ale nie od radości, że do Was pisać będę — tylko od żalu, że to ostatniego Wiarusa mam pisać». Daje następnie czytelnikom rady, by wytrwali zawsze przy wierze katolickiej i w miłości ojczyzny: «Polska jest matką naszą, ona nas na tej drogiej ziemi zrodziła w wielkich boleściach, ona nas żywi i przyodziewa — miałyżby dzieci wyprzec się swej matki? Któż na świecie ma nas prawo zmusić, abyśmy zapomnieli o Polsce, o naszej ojczyźnie, o naszej matce!... Dziatki! Kochajcie matkę waszą, Polskę, kochajcie na pierwszem miejscu na Świecie, po Bogu w Niebie». Piękny ten testament kończy się następującym ślubem: «Ja Panu Bogu przyrzekłem dla waszego dobra i dla waszego zbawienia pracować głową i sercem, a widzi Bóg, nie opuszczę tej pracy, póki mnie nie pogrzebiecie polską dłonią, w polskiej ziemi, a póki dusza moja przed Bogiem nie stanie do sądu».

W latach 1849—1851 wybrano go posłem do berlińskiej izby deputowanych z okręgu inowrocławskiego; władza jednak przełożona udzielała mu niechętnie urlopu na wyjazdy do Berlina. W r. 1853 został proboszczem grodziskim, oddawszy się z niezwykłą gorliwością nowym obowiązkom, dla których zrzekł się mandatu sejmowego. Jakkolwiek w owym czasie nie oddawał się wcale polityce, rząd pruski posądzał go o knowania antypaństwowe, których dopatrzył się nawet w podróży siedmiodniowej P-o do Namur, dokąd odwiózł na nauki młodego Wincentego Biegańskiego. Było to tak nieprawdopodobne podejrzenie, że nawet koła niemieckie nie dawały mu wiary.

W r. 1859 udał się do Fryburga na kongres niemieckich stowarzyszeń katolickich (15/X), gdzie wygłosił wspaniałą mowę o stanie Kościoła katolickiego w Rosyi: przedstawienie jego, poparte statystyką cyfrową i autentycznymi dowodami, roztoczyło przed zgromadzonymi obraz tak wymowny, że wrażenie słów jego było niezwykłe. Mowa ta wyszła w języku polskim, niemieckim i francuskim.

Z wiosną 1860 r. rozpoczął wydawać «Tygodnik Katolicki», zachęcony do tego przez arcybiskupa ks. Przyłuskiego; charakterystyczny dla pisma był program, w którym P. między innymi pisał tak: «Kościół tylko w zasadach wiary wymaga zgody bezwarunkowej... w dziedzinie ducha, natury i historyi, na polu badań filozoficznych, wiadomości i poszukiwań przyrodniczych, w dziedzinie dziejów, polityki, życia narodowego, społecznego i rodzinnego, w obrębie sztuki i piśmiennictwa są szranki otwarte do szermierki myśli i słowa...» Pod dzielną redakcyą P., stał się «Tygodnik» jednem z najpoważniejszych pism naukowych polskich. O tendencyi pisma świadczą wymownie następujące słowa P.: «Nie oddzielaliśmy nigdy sprawy Kościoła od sprawy narodu naszego i byliśmy może pierwsi, cośmy otwarcie wyrzekli, że jeżeli interes Polski każe się trzymać Kościoła, to także interes Kościoła wymaga, aby jej nie opuszczał». Wzywał przytem duchowieństwo do zachowania niezależności — poważnej, godnej i łagodnej — od wszystkich wpływów. W przestrzeganiu tej zasady ogło-

sił w r. 1861 w numerze z 26 kwietnia, artykuł, w którym wystąpił przeciw kosmopolityzmowi religijnemu, w r. 1863 pomieścił w «Tygodniku» (23 stycznia) ks. H. Kajsiewicza: «List otwarty do braci księży, grzesznie spiskujących, i do braci szlachty, niemądrze umiarkowanych», który ściągnął gromy oburzenia nie tylko na autora, lecz także na redaktora. (Por. o tej sprawie życiorys ks. Kajsiewicza). Pod wpływem wypadków politycznych pisze płomienny «List otwarty do ojców narodu polskiego, arcybiskupów i biskupów na ziemi polskiej od najmniejszego ze sług i synów ich» (w «Tygodniku Katolickim» 1863 nr. 27 z 3 lipca), w którym przedstawiwszy dokładnie los Kościoła katolickiego pod zaborem rosyjskim, zwraca się z następującem wezwaniem do arcybiskupów i biskupów polskich: «...przepaszcie biodra wasze, a pójdźcie sprawić poselstwo narodu do Stolicy świętej i proście Namiestnika Chrystusowego a Ojca Ojców naszych, by za konającymi podniósł głos do nieba i do ziemi». List ten ściągnął na P. niezadowolenie ks. arcybiskupa Przyłuskiego, który wziął mu za złe, iż chciał dawać nauki przełożonym Kościoła.

Sama redakcya «Tygodnika» sprawiała P-mu niemało trudności, nieraz bowiem, w braku współpracowników, musiał sam zapełniać cały numer. Do tego wszystkiego przyłączały się: ciężka choroba, jakoteż prasowe procesy wytaczane mu przez rząd pruski od r. 1861: przeszedł kilka procesów, odsiedział trzy razy karę więzienia, zapłacił kilkaset talarów grzywny, ale «rzemiosła» nie porzucał, bo miał sumienne przekonanie, że bronił dobrej sprawy. Z artykułów, w których bronił się przed niesłusznymi zarzutami, zasługują na uwagę dwa: 1) W sprawie dziennikarskiej z r. 1862 (przedrukowany w biografii Kanteckiego str. 59—61) i 2) Mowa w obronie duchowieństwa W. Księstwa Poznańskiego przeciw zarzutom, uczynionym w skardze o zbrodnię stanu 1864 r. («Tygodnik Kat.» 1864 nr. 48 z 25 listopada), w której wykazał bezpodstawność skargi sądowej.

W latach 1862—1863 był posłem berlińskiej Izby deputowanych przez 3 kadencye; jako poseł poruszył w przemówieniu z dnia 19 lipca 1862 r. nadużycia burmistrzów prowincyonalnych, odsłaniając w ten sposób opłakaną administracyę rządową, w mowie znów z 22 września t. r. żądał, by rząd pruski wykonywał prawa przysługujące narodowi polskiemu na mocy traktatów prawnopolitycznych i uroczystych przyrzeczeń królewskich.

Wielką zasługą ks. P. było też ogłoszenie w r. 1861 broszury p. t. «Język polski w W. Ks. Poznańskiem wobec prawa pruskiego», zawierającej zbiór praw i rozporządzeń o używaniu języka polskiego: o potrzebie takiego zestawienia rozporządzeń rządowych, wydanych w rozmaitych czasach i zbiorach, świadczy najlepiej to, że w przeciągu krótkiego czasu rozeszła się broszura ta w kilku tysiącach egzemplarzy. Nadprokuratorya pruska przypisywała z tego powodu ks. P. wywołanie ruchu narodowego w sprawie używania języka pols. w. r. 1861.

Znękany chorobą złożył ks. P. w końcu r. 1866 redakcyę «Tygodnika Katolickiego». Częste wyjazdy w porze wakacyjnej do uzdrojowisk galicyjskich i zagranicznych nie zapobiegały chorobie, która z biegiem czasu przybierała coraz bardziej zastraszające objawy. Były to bolesne cierpienia reumatyczne, objawiające się często konwulsyjnemi drganiami w całem ciele, sztywnością w stawach, ociężałością w chodzie przy wielkiej skłonności do zawrotów głowy. W r. 1865 przeniósł się do Poznania, mianowany tymczasowym penitencyarzem przy kościele metropolitalnym i radcą honorowym konsystorza; mimo choroby występował nieraz z kazaniami w katedrze poznańskiej. Nie zamianowany kanonikiem przez nowego arcypiskupa ks. Ledóchowskiego, zrzekł się rozgoryczony posady penitencyarza w r. 1866. 27 października 1866 został cenzorem ksiąg w archidyecezyi poznańskiej.

Ostatnie lata życia przepędził w zapomnieniu prawie zupełnem; znękany długoletnią chorobą, zakończył życie 14 lutego 1872 r. w Poznaniu, w szpitalu sióstr miłosierdzia. Pochowany w Grodzisku. Pozostawił niezwykle cenny księgozbiór, liczący 4465 dzieł, obcych i polskich, zbieranych przez całe życie z wielkiem zamiłowaniem i znajomością: księgozbiór ten, zawierający mnóstwo białych kruków, sprzedany na licytacyi publicznej, rozproszył się po różnych bibliotekach publicznych i prywatnych.

Należy ks. P. do najpiękniejszych postaci duchowieństwa polskiego w XIX w.: niezwykle wykształcony, obdarzony wielką siłą woli i wzbudzającą podziw pracowitością, pełen gorącej, prawdziwej wiary, wzorowy kapłan, rozwinął gorliwą działalność z jednej strony nad podniesieniem i rozbudzeniem włościaństwa wielkopolskiego, z drugiej zaś nad odrodzeniem duchowieństwa poznańskiego. Nazwisko jego na zawsze też pozostanie złączone z działalnością jego, jako redaktora «Wielkopolanina», «Wiarusa» i «Tygodnika katolickiego». W tych pismach ogłosił przeważną część swych artykułów, których wymienienie tylko choćby z tytułów zajęłoby sporo miejsca. Tu też ogłaszał swe wiersze. W pracy społecznej zawsze świecił przykładem, nieustraszoną odwagą, niezłomnością zasad.

W literaturze zasłynął jako autor licznych kazań, zwłaszcza podniosłych mów pogrzebowych. Już pierwsze mowy pogrzebowe zwróciły nań uwagę, późniejsze zwiększyły sławę kaznodziei, tak że nazywano go wielkopolskim Skargą. Dorównywał mu ognistą, porywającą wymową, głosem dźwięcznym, dykcyą pełnej siły, i wspaniałości. Jakby prawdziwy stróż cmentarny w narodowym Syonie, obwoływał śmierć wybitnych osobistości, stąd mowy jego pogrzebowe wypowiedziane w latach 1848—1865, to jakby przegląd najważniejszych chwil życia porozbiorowego naszego, zwłaszcza w zaborze pruskim, przegląd tem cenniejszy, że mówca roztacza w nich zwykle tło szerokie, na którym szkicuje zarysy biograficzne. Ten to pierwiastek patryotyczny, świad-

czący o gorącej miłości ojczyzny, nadaje im cechę tak charakterystyczną. Nie szczędzi mówca słuchaczom zbawiennych nauk; mając na względzie dobro ogólne, wzywa do wspólnej pracy, gospodarności, przedstawia, czego wymaga tradycya imienia i obowiązku, wykazuje, jak ognisko domowe jest narodowej pomyślności gniazdem, sławi cnoty niewiasty polskiej, które wielkością swą stworzyły szczęście w domu, a poszanowanie u obcych. Dawnym cnotom przeciwstawia małość naszą i naszą nędzę, a nadto nasz odpoczynek, co, jakby niemoc śmierci, ściął wszystko w głaz zimny mrozem strętwienia. Stąd szlachcie przypomina: «jeżeliście jaśni i oświeceni od Pana Boga, to nie dlatego, abyście w ciemnościach siedzieli, ale iżby was przykładami cnót i pobożności pomiędzy nami znać było, abyście siebie wsławiali, a nas oświecali, bo cóż po słońcu, kiedy zgasłe? Jeżeliście wielmożni, to ażeby wielkiem sercem poczynać dobre dzieła ku chwale Bożej, ku naszemu z biedy podniesieniu, a ku swemu zbawieniu. Jeżeliście miłościwi, to żeby miłością waszą nagradzać nasz niedostatek» (z mowy żałobnej na pogrzebie R. Raczyńskiego 1864. Kazania, 1884, str. 353). Podnosi też znaczenie kościoła katolickiego dla Polski, jako arki przodującej ludowi wybranemu po puszczy tego świata do ziemi obiecanej. Obok treści podniosłej, zaletą mów ks. P. jest także piękna ich forma, dodająca im niemałej ozdoby. Do najpiękniejszych kazań należy kazanie na nabożeństwie za duszę A. Mickiewicza, w którem z niezwykłą intuicyą przedstawia znaczenie poety dla Polski: słowa P. o Mickiewiczu: «po wszystkiej wielkości utracie naród nasz tą duszą był wielkim» (Kazania 1884, str. 203) były przedziwnem określeniem istoty Mickiewicza, stały się też dla niejednego z późniejszych mówców i piszących o M. punktem wyjścia w ocenie jego działalności jako poety i człowieka.

W innym znów rodzaju znakomitą mową, pełną prostoty, jest mowa na nabożeństwie za duszę ks. Karola Antoniewicza. Trafną charakterystyką odznaczają się także mowy na nabożeństwach za dusze Zygmunta Krasińskiego i Joachima Lelewela. Wyczerpującej pracy o literackiej działalności ks. P. dotąd jeszcze nie mamy.

BIBLIOGRAFIA.

A) **Wydania kazań i mów żałobnych zbiorowe:** «Kazania i mowy żałobne». Tom I, Leszno. Günther 1853. Toż samo: nowe wydanie. Tamże, 1856. «Mowy pogrzebowe i kazania ks. śp. Aleksego Prusinowskiego, dra filozofii, proboszcza grodziskiego»; wydał ks. Władysław Jaskulski, penitencyarz i kaznodzieja archikatedralny. Poznań, 1884. Jestto wydanie najpełniejsze.

B) **Osobno wyszły:** *a) oryginalne:* «De Erinyum religione apud Graecos dissertatio inauguralis mythologica». Berolini 1844. «Mowa o stanie Kościoła w Polsce, miana na Kongresie Stowarzyszeń katolickich w Niemczech w Fryburgu, d. 15/X 1859». Poznań, 1860. (Toż samo po niemiecku; Fryburg 1860. Toż samo po francusku; Poznań 1860). «Język polski w Wielkiem Księstwie Poznańskiem wobec prawa pruskiego». (Jako wstęp do rozprawy Adolfa Kaczorowskiego, pod tym tytułem): Poznań 1861. «Jan Klemens Maria Hoffbauer, wikary generalny Zgromadzenia Przenajświętszego Zbawiciela». Ustęp z dziejów Kościoła XIX wieku. Grodzisk, 1864. *b) Przekłady:* Montalambert Karol: «Naród w żałobie». Grodzisk 1861; Tenże: «Powstanie polskie». Grodzisk, 1863. *c) Wydania:* Skargi «Żywoty Świętych starego i nowego Zakonu...» Grodzisk, 1866; 2 tomy; Tomasz Łęcki: «Katechizm dla wygody tych, którzy chcą rozumieć te rzeczy, które człowiekowi chrześcijańskiemu wiedzieć należy, jak i owych, którzy innych nauczać mają». Grodzisk, 1372. Por. nadto artykuły P., pomieszczone w «Wielkopolaninie», «Wiarusie», «Tygodniku katolickim», «Przeglądzie poznańskim», «Kościele i szkole» (Poznań), «Szkole polskiej» (Poznań).

Uwaga: Znaczna część mów niedrukowanych ks. P. zaginęła; już ks. Jaskulski, ogłaszając w r. 1884 wydanie zbiorowe kazań ks. P., nie mógł odszukać rękopisów.

C) Literatura o ks. Prusinowskim. 1) Autobiografia (do r. 1844) w rozprawie: «De Erinyum religione apud Graecos» (por. wyżej). 1) Ks. Józef Sąchocki: «Mowa żałobna nad zwłokami ś. p. Ks. A. P.», miana w d. 17 lutego 1872 w Płaszkowie. «Tygodnik katolicki». Grodzisk, 1872 str. 138—129. 3) Ks. Antoni Brzeziński: «Mowa żałobna na pogrzebie Ks. Dr. A. P.» «Tygodnik katolicki». Grodzisk, 1872, str. 129—131 i odb. Poznań, 1872. 4) Ks. A. Prusinowski: (nekrolog i opis pogrzebu). «Tygodnik katolicki» 1872 nr. 9, str. 81, 88 i nr. 11, str. 135—8. 5) «Katalog książek wysokiej wartości pozostałych po ś. p. ks. proboszczu Prusinowskim, które dnia 4, 5 i 6 listopada b. r. . . . . w Poznaniu . . . przez licytacyę sprzedane będą». Poznań, 1872. 7) Klemens Kantecki: Ks. A. Prusinowski, doktor filozofii, proboszcz grodziski. W wydaniu mów pogrzebowych i kazań A. P. Poznań, 1784, str. 1—83 i odbitka. Poznań, 1884 powiększone dodatkami [«I, Biblioteka ks. P.; II, List J. I. Kraszewskiego do ks. P.; III, Wyjątki z listów ks. P. do O. B. Jełowickiego w Paryżu»]. Jest to najważniejsze dziełko o ks. P. 7) N.: A. P. «Encyklopedya kościelna». Warszawa (1896), XXI 552—3. 8) Ks. dr. Józef Pelczar: «Zarys dziejów kaznodziejstwa w kościele katolickim». W Krakowie, 1896. Część II. str. 382—3: nadto: «Dodatek do części drugiej». Tamże, 1797, str. 66—72. 9) Marceli Motty: «Przechadzki po mieście». Poznań, 1892, V, str. 59, 81—2, 272. 10) Dr. Stanisław Karwowski: «Czasopisma wielkopolskie». Część pierwsza 1796—1859. Poznań, 1908.

Mowy pogrzebowe i kazania.

(Wydał ks. Jaskólski, Poznań 1884).

a) Z Kazania na uroczystość św. Jacka. (Z wezwaniem do składek na pogorzały Kraków).

795) *Str. 564—566.* Kościół św. Trójcy w stolicy naszej w gruzach i popiołach; zgliszcza niedopalone, odymione mury, nagie ozdoby ściany, sięgają do nieba skargą, żalem, czy modlitwą? *Umyślił Pan rozwalić mur córki Syon, wyciągnął sznur swój i nie odwrócił ręki swej od gubienia: i płakało przedmurze, i mur społem rozwalon jest* (Tren. Jer. 2, 8). Zwalone na ołtarzach kamienie, potłuczone marmury, zarzucone groby, straszną do serc naszych wywołują mowę! Czyś, Panie potężny, do tyla widział dzieci twe grzeszące, że im te drogie z przed oczu bierzesz pamiątki? Lub czyli nas chcesz doświadczyć, ażali zdołamy to z gruzów podnieść i ozdobą przyodziać, co ojcowie nasi pobożną ręką wystawili? Nie bierz nam, Panie, tych ołtarzy! pozwól, Boże, aby kapłani z ludem z tych samych jeszcze miejsc do Ciebie upokorzone wyciągali serca, które patron nasz swemi błogosławił modlitwami! Patrzcie, chrześcijańscy Bracia! Pan Syonu wypuścił iskrę płomienną, a ogień karny w perzynę obrócił ozdobę miast naszych, modlitwy świętą pobudkę i groby świętych i błogosławionych mężów. Z rumowisk, rozgrzanych jeszcze ogniem, wyciągają do was zakonnicy ubodzy rękę, byście im pomogli odbudować święty grobowiec ich patryarchy, a patrona naszego ludu; czyliż nie stanie pobożności w pokoleniu naszem na to, aby to dachem pokryć, co wystawili ojcowie? Czy nie potrafimy pobielić odymionych ścian, wzniesionych przodków ofiarami? Czyś za ubogi na sercu, by się zdobyć na chętną ofiarę? Alboś do tyla zubożał w gniewie Pańskim, że nie masz szeląga, by rzucić grosz wdowi do ofiar skarbnicy? — Zdobądźże się na jedno i drugie! — Zamożniejszy bracie! pomóż nie jednemu człowiekowi, ale chrześcijańskiemu Kościołowi; pomóż mu hojną prawicą odświeżyć pomnik tego świętego męża, który poświęcenia najgorliwszego wzór z siebie dał żywy współczesnym i potomkom. Oto w uroczystość tego świętego i tutaj, w kościele kaznodziejskiego zakonu, wystawiono skarbnicę na dźwignięcie z upadku tej ukochanej ojcom naszym

świątyni; rzucajcie ofiary wasze, bogacze i maluczcy, sięgaj drobną rączką, pacholę małe, i rzucaj grosz twój do wspólnego zasiłku; i ty, wdowo i sieroto, poszukaj twego szeląga i złóż go obok złotych darów zamożniejszych braci! Może Bóg twojego tylko czeka serca i twojej jałmużny, by się w gniewie przebłagać i kary chłostę uśmierzyć; może na twój tylko szeląg czeka miłosierdzie Boże, by świetniejszem z gruzów wywołać, co w doświadczeniu o ziemię Pan sprawiedliwy powalił.

---

b) Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę Adama Mickiewicza, odprawionem w Poznaniu w kościele Ś. Marcina dnia 15 stycznia 1856 r.

Aza nie wiecie, że hetman, a bardzo wielki poległ dziś w Izraelu! II Król. 3. 38.

796) *Str. 202—213.*

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu!

Żałobni słuchacze! Na ziemi grobów zasłanych pomnikami wielkiej przeszłości, przesiąkłej krwią dziadów, ojców i dzieci, znurtowanej potakami łez trzech pokoleń, zawiesił Bóg lutnię boleśnie dźwięczną, aby wiatr, bijąc o struny, wyśpiewał gorzkie żale za grzechy przeszłe, psalm boleści tych, co nad mogiłą sierotami klęczą, i hymn modlitwy o błogosławieństwo nadziei wśród letargu powszechnego zwątpienia; a gdy wiatry przeciwne ustawicznie lutnią miotają, struny w niesfornym rozdźwięku jęcząc pękły stargane, że cała ziemia z bolu zadrżała, a ci, co na grobach stoją, ocknęli z odrętwienia, bo im nowa strata przypomniała dawne sieroctwo, nowa boleść rozdarła rany już zabliźnione, nowa żałoba zaczerniła widok na ojcowe łany. Kiedyśmy sieroty po matce wielkiej utracili wszystko, co w doczesności kolejach słodzi gorycz żywota, wszystko, co uszlachetnia światowych zachodów trudy, kiedyśmy bogactw po ojcach nam przynależnych utracili puściznę, kiedy wypadło z rąk naszych berło niepodległości, kiedy zdjęto z wielmożnych skroni narodu królewską koronę, kiedy nam i imienia naszego nowe pozazdrościły pany, kiedyśmy gnuśnej oględności winą własnej przeszłości poczęli się wypierać i z dziedzictwem krzywdą odjętem godność dziedziców własnej niegodności grzechem mieli utracić: Bóg

w miejsce królów w grobach złożonych, w miejsce książąt wywiedzonych w jassyr, w miejsce wojewodów z kraju wygnanych, w miejsce panów kupujących z własnych studzien wodę, przysłał nam króla myśli i słowa, księcia serca i pieśni, aby dodać w niedoli otuchę, aby nie zgnieść piersi dawniej w dumie podniesionej ostatniego upokorzenia upadkiem. Po wszystkiej wielkości utracie naród nasz tą duszą był wielkim. Tak Bóg Izraelowi do Babilońskiej niewoli posłał Jeremiasza, aby po ruinie Jerozolimy wypłakał treny nad Syonu gruzami! A gdy klaskali nad nami, rękami wszyscy mijający drogę, świstali i chwiali głową swoją nad nami, mówiąc: i onoż jest miasto doskonałej piękności, wesele wszystkiej ziemie? (Tren. Jer. 2. 15), wtedyśmy, nie mając już innej piękności naokół siebie, ani w sobie nawet, wskazywali na pieśń naszą jako świadectwo żywe, że przeszłość, co tak głośno przyszłość obwołuje, nie umiera, ale do nowego dźwiga się żywota. A oto pieśń zamilkła: dusza się goryczą boleści naszej napawała, struła się goryczy nadmiarem, serce, co miało wszystkie nasze cierpienia przecierpieć, pękło kurczami cierpień sprężone! «Azaż nie wiecie, że hetman a bardzo wielki poległ dziś w Izraelu?» Już go nie masz — nie masz między nami! A teraz: «otworzyli na nas usta swe wszyscy nieprzyjaciele nasi, świstali i zgrzytali zęboma i mówili: Pożrzemy, oto jest ten dzień, któregośmy czekali: należliśmy i ujrzeliśmy. Uczynił Pan, co był umyślił, spełnił mową swą, którą był rozkazał ode dni dawnych, zepsował a nie sfolgował i uweselił nad nami nieprzyjaciela i wywyższył róg sprzeciwników naszych» (Tren. 2. 16. 17). Teraz ci ja już wołam z prorokiem do ciebie, ludu mój: «Wypuść jako potok łzy we dnie i w nocy, nie dawaj odpoczynienia sobie, a niech się nie uspakaja źrenica oka twego» (Tren. 2. 18).

Czekacie, żałobne po zmarłym sieroty, abym wam nazwał imię jego, abym wam opowiedział jego życie? Jego imię? Dla niego nie masz imienia, bo wszelkie imię jego zamałe! Gdzie się rodził? Jemu wnętrznosci ojczyzny łonem macierzyńskiem, a kolebką łoże boleści, na którem naród zniemożony spoczywa. Płacz matek i dziewic naszych pieśnią, co go wykołysała, jęk cierpienia mową, co go śpiewać uczyła. Gdzie żył? On żył w powietrzu, którem piersi nasze oddychają, w myślach, co nam rozsadzić chcą skronie, w uczuciach, co nam wyprężają

serca. Czem był? Nie pytajcie! Bo to boleść największa, on był dziś duszą i myślą, on był dziś słowem narodu... I umarł! Ach! nie umarł, bo jeżeli umarł, umarło z nim słowo nasze, umarła z nim dusza nasza, życie nasze z nim umarło! Nie umarł więc, i póki na tej ziemi będzie jeszcze jedno serce, co bić nie przestanie dla ojczyzny i dla narodu, póty jego życiem oddychać będą te piersi, i póki będą jeszcze usta jedne, co mowy od matek odziedziczonej się nie powstydzą, póty pieśń jego brzmieć będzie jako wiatru powiew nad grobami ojców, i póki jedna będzie matka, co nie zapomni matki nam wspólnej, póty usta dziecinne powtarzać będą jego słowem wielkość chwały naszych ojców i wielkość cierpienia ich synów. Więc nie umarł. Tylko dokonał swego powołania, które mu Bóg dał do narodu w poselstwie, jakie odbierają ludzie wybrani przez Opatrzność i to jest wielkość jego. A z tą chwilą rozpoczyna się nasz obowiązek, ciężko spadający na naród, wybranymi ludźmi przez Boga zaszczycony. To, żałobni słuchacze, będzie przedmiotem słów moich do was, bo to jedynie godny sposób obchodzenia pamięci ludzi wysyłanych od Boga do narodu, odebrać od nich poselstwo, a odebrane wypełnić.

Niechaj inni idą w ślad za pasmem dni jego i wyliczają koleje, któremi go wiodło przeznaczenie po brzegach domowej rzeki lub po śniegach wygnania; niechaj liczą dni przepędzone w słodkich więzach cierpienia za ojczyznę i braci; niechaj gonią za nim po Czatyrdachu[1]) wyżynach, niech mu towarzyszą w samotnem zamknięciu tęskniącego wygnańca lub pokutnika Latrappy[2]); pozostawmy mędrcom ocenienie godne zasług dla języka ojczystego i sztuki narodowej! Nas dziś Kościół na święte powołuje miejsce i wyższych spraw roztrząśnieniem poświęcić każe chwile żałobnej modlitwy i nauki; mnie każe Kościół w tem świętem miejscu, na wyższe jeszcze wstąpić wzniesienie, abym wyższych i najwyższych sięgnął pytań, mówiąc do was o zmarłym ku nauce wspólnej dla budującego natchnienia. Mam zajrzeć do przeznaczeń Bożych i wyczytać w życiu mistrzowego wieszcza to słowo, którem przez niego Bóg do narodu naszego

[1]) Najwyższy szczyt gór Jaila na półwyspie Krymskim.
[2]) Klasztor Trapistów w dolinie normandzkiej *La Trappe*.

mówi, i mam to słowo ogłosić jakoby testament, jako słowo przymierza między narodem a wieszczem, między wieszczem a Bogiem samym. Drżę jako pacholę trwożliwe przed wielkością tego zadania, widzę przed sobą cały ogrom tego, com wyrzekł: tam Bóg w otchłaniach swych niezbadanych tajemnic ślący swe posły na wsze świata strony, niedościgniony w wyrokach, w drogach niepojęty; tam jeden z wybranych sług jego w potędze swego uczucia, w sile wyobraźni nadludzkiej niemal snujący z siebie dary Boże i lejący w swych pieśniach myśli z nieba wzięte; tam naród cały drżący pod obfitością rosy, co spływała nań z natchnienia wieszczego; a tu mała iskra tego ognia rozsypanego po dwudziestomilionowym narodzie! Czyż iskra ogień ogarnie i pojmie tego, który ogień rozniecił? A przecież mówić będę i będę wołał nie do was tylko: mówić będę jako do mojego całego narodu — jakoby się rozsiadły przede mną całe senatorów koło i sejmowe rzesze i pułki rycerskie i pracowitego ludu naszego zastępy — mówić o nim będę, bo od chwili, kiedy wieść żałoby rozległa się po łanach ziemi naszej, nie ma mi pokoju, póki nie ulżę sercu narodu i własnemu sercu rozgłoszeniem naszego żalu, póki nie złożę na ołtarzu serc całej Polski wieńca choć ubogiego naszej dla niego podzięki i uwielbienia, póki nie ogłoszę myśli i nauki, które nam życie mistrza i słowa jego tak gromliwie do serc dodawały. Bóg, co mistrza natchnął i sługę posili, w nim nadzieja moja.

Nie ślepego losu przypadek, nie dumnej swywoli szały, nie leniwa świata bryła rządzi dziejów i narodów kolejami, ale rządzi światem, ludzkością, narodami i człowiekiem Bóg. Żywy Bóg. I w tych rządach wydziela jako w świata całego przestrzeniach każdej gwiaździe, co świeci na niebie, tak każdemu atomowi, co bryły składa i porusza, posłan do wielkiej świata harmonii; a w rodzaju ludzkiego rodzinie posyła narodów różnorodne plemiona dla swych rozkazów spełnienia od wieku do wieku, aby była chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. I ty narodzie, do którego Bóg posłał i któremu Bóg odjął dziś swego anioła, swego sługę, i ty jesteś od Boga na świat posłany, z Bożą myślą w łonie serca twego, brzemienny wolą Bożą, i ty, narodzie, piastujesz kwiat idei Bożej, wplatając go w wieniec, którym otacza stworzenie tron glorii

Bożej od zenitu do nadiru [1]) przez wszystkie wieki — od pierwszego «Stań się» do rozgłosu trąby archanielskiej, i aż na wieczność nieskończoną nigdy! I jakież to słowo święte, które ty masz śpiewać w wiecznem trisagion [2]) archanielskiej pieśni? Nie pytaj mnie o to, ale słuchaj: jeszcze brzmi dźwięk okrzyku, który pułki powtarzały pułkom na granicach naszej ziemi, jeszcze słychać hasło pancernych rycerzy w powietrzu, co pod znakiem krzyża szli bronić wśród nawoływania: Wiara i wolność! Wiara i wolność — powtarzają lasy puszczy litewskich i skał tatrzańskich, powtarza echo nadmorskie po rycerzach wpław sterujących, powtarzają równiny nadwiślańskie i step ukraiński: to słowo twoje, narodzie, w czasie wielkości twojej, kiedy z bioder wojsk twoich wyrastały skrzydła do roznoszenia tej świętej myśli na wsze pogranicza, by chronić i bronić tego skarbu z nieba wziętego u własnego ogniska i dla wszystkich sąsiadów gromady. Tem hasłem chrobry Bolesław twój od zachodu do wschodu granic chroni wolności, a wiarę gdzieindziej prześladowaną w świętym Apostole do domu swego przyjmuje. Tem godłem wielki Łokietek garnie do domowego ogniska rozstrojone niesfornie jednego narodu dzieci. Tą myślą natchniona Jadwiga twoja wszystko poświęca, by wolność sprzymierzonym narodom utwierdzić, a wiarę w pogaństwie rozkrzewić, staje całemu narodowi matką chrzestną i obozowe trudy na drugiej kraju ponosi granicy. Tem zadaniem zwycięski Jan hetmanem matki twe i córki od niewoli zasłania, a królem krzyż w stolicach sąsiadów od nieczci ochronił. Słowo to jest świętą osnową całych dziejów naszych, jest pokarmem do całego dzieła, które nam Bóg dał do spełnienia, jest siłą naszej przeszłej wielkości, która dopiero wtedy chylić się ku upadkowi poczęła, kiedy zginęło słowo, ożywiające każde drgnienie narodowej myśli i poświęcające każdy czyn historyi narodowej. Tam leży tajemnica świętej powagi w naszych dziadach, tam rozwiązanie zagadki niepojętego skądinąd upadku!

Ale i w upadku nie pozwolił Bóg, aby drogie zaginęło

[1]) Przeciwległy punkt zenitu na drugiej połowie sklepienia niebieskiego.

[2]) *Hymnus angelicus:* trzykrotne powtórzenie słowa «Święty» (Święty, Święty, Święty jest Pan Zebaot) we mszy św. rz. kat. kościoła.

słowo i zepsowała się myśl Boża: bo ta myśl nie jest twoją, narodzie, którąby ci było wolno podjąć albo porzucić; ta myśl należy do rodzaju ludzkiego, któremu Bóg ją chciał podać przez ciebie w jednej nierozerwanej całości, ta myśl do Boga należy, bo ma uszczęśliwieniem narodów Boga pochwalić i Jemu cześć oddać od ziemi do nieba. Ta myśl nie jest tylko treścią twojej, ludu polski, przeszłości, ona jest nadzieją twego za wolą Boga w przyszłych dziejach powołania. Jeżeli ją piastował na łonie swojem naród nasz w wiekach dawnych, gdzie inne ludy wiarę czciły i dobijały się wolności u nas złoto kwitnącej: to tem więcej i jaśniej bije w oczy przeznaczenie nasze w czasach, gdzie wiara sofistyką fałszu sponiewierana kryć się musi przed obłąkanego rozumu zyzowatym wzrokiem, dociekającym osadu materyi i błota, gdzie wolność mierzy się łokciem, funtem waży i płaci pieniądzem; to tem skwapliwiej my mamy powołanie chować ten ogień wiary w podziemiach grobów naszych, w tajnikach serc naszych, by nam jej nie zgasiły zimne poświsty szyderskiego niedowiarstwa; to tem skrzętniej nie już na łonie, ale na rękach, piastując wysoko nad głową, przenośmy myśl wolności naszej nad zbiegowiskiem jarmacznego tłumu, nad zapaskami buntów ulicznych, by wiara jasno płonęła wśród nocy, w którejśmy zagrzebani, by wolność się nie obrukała o błoto uliczne i o krew rokoszu podłego. A one przyjdą sasiądy nasze kiedyś w dzień chwały i klękną przed naszą wiarą wolną i prosić się będą o wolność świętą, a my się w cnocie wiary i wolności podzielimy z nimi i będziem się z nimi łamali jako chlebem z nieba nam danym.

Ale dokądże mnie porywa zapał uniesionego natchnienia? Czyliż nie mijam ja się z zadaniem dziś mi położonem, roztaczając przed wami jakoby obraz całej naszej przeszłości, odsuwając nawet przyszłych kolei zasłonę? Czyliż nie ubliżam cieniowi, co stoi przed nami, przepominając o nim w zapędzie myśli i serca? Ach nie!

To, co narodu naszego jest hasłem, to jest duszą wieszcza tego narodu, a tem go tylko uczcić zdołam, kiedy wskażę, jak życie narodu do jego się duszy ukryło, kiedy świat je precz od siebie wyrzuca. Tak jest, żałobni słuchacze: życie narodu w pieśń się otuliło, a gdy go małe pokolenie nie umiało karmić

myśli potęgą i czynu wielkością, wieszcz je przechował, aby uszło całe dla przyszłych pokoleń.

Jak wiara i wolność jest naszej przeszłości osnową i naszej przyszłości nadzieją, tak Bóg i naród są wieszcza naszego pieśnią, tak przez to pieśń jego jest życiem i słowem narodu. Co tam w nim było mniejszem, co ciaśniejszą i niższą mierzyło się miarą, to tam gdzieś zamarło w klasztornych murach więzienia przy ostrobramskiej ulicy, gdzie poeta ze wszystkich uczuć jemu tylko blizkich zrobił ofiarę całopalenia i złożył w poświęcenia grobie, aby z tego grobu jako z kolebki nowego życia wzniósł się duch, poświęcony Bogu i ojczyźnie. Kto nie wtajemniczył się tak w tę pieśń, lejącą się z serca naszego wieszcza, żeby dojrzeć za każdą myślą, za każdem słowem Boga i Polski, ten nie pojmie całej głębokości, całej wysokości tych wielkich tajemniczych tonów jego lutni, temu cała księga zostanie zagadką sfinksa i niezbadanym hieroglifem: może się słowo po słowie obijać o jego ucho, ale duch wieszcza do niego nie przemówi nigdy, on z tej pieśni, co drży pomiędzy Polską a niebem, myśli nie wysłucha ani obejmie okiem wszystkich jej promieni. Bóg i wiara były poety natchnieniem, kiedy w nieszczęsnej a bolesnej walce chciał wszystkich zdeptać poetów, zdeptać wszystkich mędrców i proroków i tylko jak duch, wziąwszy pióra, wzlatywał z planet i gwiazd kołowrotu tam, gdzie graniczą stwórca i natura. Niechaj w rozpaczy cierpienia wśród głodu wiary niesfornie jeszcze myśl i uczucie sprzeciwi się wyrokom niezbadanym Boga, niechaj w kurczu wytężenia dumnej niechęci słowo obróci się przeciw prawom niezłomnym Opatrzności, zawsze przecież w bolesnej walce głos prawy święte wiary głosi prawdy, pychę straszliwą potępi, bolesne koi rany, pociechę nadziei do serca leje, przylgnąć do podłej nie pozwala ziemi, a duchy niebieskie w litości i żalu bronią od przepaści i skrzydłem wiary skroń mu osłaniają. Tam niemasz bezbożności, ale raczej walka przeciw zwątpieniu, co porywa za serce poety patrzącego na ojczyznę biedną, jak syn na ojca wplecionego w koło, walka straszna, okropna, dumna i grzeszna, ale walka, w której wiara jeszcze wychodzi niezwalczona, bo duch się powstrzymał od słowa ostatniego i nie miał bluźnierczej odwagi o jeden stopień w dumę się podźwignąć. Jest tam walka,

ale śmierci niemasz, jest tam walka, ale ta walka do Boga dąży, przez czyśćcowy ogień próby straszliwej, która wreszcie tem się kończy, że duch potężny i wielki i wprzódy potęgą i wielkością dumny wnet się jako dolina położy, aby po nim jak rzeka popłynęło natchnienie ducha Bożego. I duch ten, potępiając swywolę rozumu, a wiary sztandar schwyciwszy, radośnie wyrzecze: Jest Pan, a tyś mały przed nim i kroplą w jego wszechmogącej dłoni, radośnie ogłosi, że promień wiary, którą niebo wznieca, pogodne duszy rozjaśnia zwierciadła, duszy, coby bez wiary niewidomą była. Im cięższa w duszy boleściach miotała nim walka, tem korniej on potem na ziemi położy czoło wśród niemej bojaźnią czerni, a tajemnicom spraw Bożych uderzy w organ chwały całą swej pieśni potęgą. Otwórzcie wszelkiej współczesnej poezyi księgę i pokażcie, wszystkie narody, czyli jest aby pieśń jedna, co z wiarą taką natchnionego widzenia i z gorącego serca żarem jakoby cherubinów pieniem wysłowiła uwielbienie świętych Wcielenia Bożego tajemnic, jako pieśń wieszcza naszego, kiedy Zwiastowanie Maryi śpiewając, glorię Jehowy odsłania i dziewiczą Matkę z wcielonym Bogiem upokorzonemu ukazuje światu? A kiedy wielkości tajemnic hołd odda uwielbienia, z jakiemże rzewnem proszeniem zbliży się potem do tej niebiańskiej dziewicy, którą sobie naród za Panią i Królową wybrał, z jaką ufnością i prostotą dziecięcia modlić się będzie do Panny świętej, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie, by go cudownie wróciła na ojczyste łono, jak go dzieckiem do zdrowia powróciła cudem, gdy od płaczącej matki pod świętą opiekę ofiarowany drobną pachołęcia nogą szedł dziękować do błogosławionych przybytków za łaski doznane! O! nie poznajecież wy w nim wiary waszej, silnej i potężnej a prostej i niewinnej, jak ją chowali ojcowie nasi, i jak ją kocha lud nasz, żadną nie złudzony pokusą?

Niechaj on jeszcze raz w ciemnym labiryncie ułudzeń za błędnym pójdzie ogniem i uleci na bezdrożne mistycyzmu pustkowie; to duch zły, co nie mógł wiary w nim wyziębić, zgasić świętego ognia, zasłonić niebieskiego światła i przedzierżgnął się w anioła światłości i pokazywał mamidło tryumfującego krzyża i Polski wolnej, a spragniony wiary w Boga i wolności dla narodu, zapomni na chwilę, że Mistrz powiedział: *Strzeżcie*

się fałszywych proroków, albowiem wielu ich przyjdzie na imię moje, rzekąc: Jam jest Chrystus (Mat. 24, 5), zapomni, że napisano jest: *a choćby anioł z nieba przepowiadał wam mimo to, cośmy wam przepowiadali, niech będzie przeklęctwem (Gal. 1. 8)*, pójdzie na chwilę błąkać się za ogniami, co palą a zimne błyszczą, a nie oświecają — ale wnet przywdzieje wór pokutnika i na pokucie Bogu lać będzie prawdziwemu łzy i modlitwę. W tem nieustannem do Boga dążeniu, w tej gorączkowej walce, więcej jest nieskończonego poczucia nieśmiertelnych z Bogiem stosunków, jak w zarozumiałem a wystarczającem sobie lenistwie ducha, albo w swywolnem naginaniu prawd i praw najwyższych do ciasnych samolubstwa widoków. Wiem ja, że pochopni do potępienia albo cisną kamieniem na zbłąkanego w cierpieniu pielgrzyma, albo, nie śmiejąc jawnie żałować, zawiścić będą w skrytości i ciasności dusz swoich słowa pochwały żałobnej wieszczowi, ale wiem także, iż Kościół nie jest macochą, lecz matką, grzech potępia, a kocha grzesznika, karcić go umie, ale pokutnika przyjmuje, cieszy się więcej nad jednym nawróconym, jak nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi, błędy pokrywa, zasługi wynosi, wierny w tem Zbawiciela poselstwu, który nie przyszedł przytłumiać iskry dobrego, ale rozżarzyć ją przez swe poświęcenie na słońce jasnej prawdy i gorącej miłości. Albowiem powiedziano o nim: *Trzciny zgniecionej nie złamie, a lnu kurzącego się nie zagasi, aż wystawi sąd ku zwycięstwu, a w imieniu jego narodowie będą nadzieję mieli (Mat. 12. 20. 21, Iezaj. 42. 3)*. Nie chce Bóg, by miała dusza zginąć, ale rozmyśla się, myśląc, aby zgoła nie zginął, który jest odrzucony *(II Król 14. 14)*. Cierpliwie sobie poczyna dla nas, nie chcąc, aby którzy zginęli, ale żeby się wszyscy do pokuty nawrócili *(II Piotr. 3. 9)*.

Jak Boga w własnych szukał cierpieniach, tak ojczyznę kochał w cierpieniach narodu, pieśnią swą matki obtulając rany. Duszą w ojczyznę wcielony, ciałem połknął jej duszę; ja i ojczyzna, śpiewa, to jedno. Nazywam się milion — bo za miliony kocha i cierpi katusze. I przewracajcie od tej chwili, kiedy, wyzuwszy się z własnego szczęścia, poświęcił całego siebie jakoby na ofiarę cierpienia bolem wszystkich swej ziemi braci, przewracajcie myśl po myśli, słowo po słowie w kartach jego, tam

niemasz i myśli jednej i jednego słowa, któreby nie drżało bolem narodu, każda myśl łzą, każde słowo krwi kroplą, każde uczucie jako modlitwa, skarga, narzekanie za wolnością i szczęściem ojczyzny i narodu.

Czyli się na ubiegłych czasów zapatrywał wielkość, czyli niezgłębioną otchłań obecnego cierpienia swoją nurtował duszą, czy natchnione oko w przyszłość zatapiał zamgloną, wszędzie i zawsze uniesieniem miłości dla ojczyzny całą duszę słuchacza za sobą porywa. Słuchajcie, jak rymownym płaczem głosi wielkich a bezdzietnych ojców, jak z grobowca wywołuje umarłą przeszłość; patrzcie, jak na dźwięk pieśni kości w olbrzymie zbiegają się kształty, powstają z gruzów kolumny i stropy, widać zamków obronnych otwarte podwoje, błyszczą korony królewskie i wojowników przyłbice. Duch dawnej Polski tchnie z pieśni i chociaż na chwilę o niedoli obecnej zapomnieć nam każe. A kiedy wśród żałosnego współrodaków jęku przeszłości nie dosłyszy głosu, wtedy własne ognie przelewa w piersi słuchacza, gromi brzmiącemi słowy do serca spółbraci, aby chociaż w jednej i jedynej chwili, pieśnią ojczystą wzruszeni, poczuli w łonie dawne serca bicie, poczuli w duszy wielkość dawną i choć jedną chwilę tak przeżyli, jak ich przodkowie całe pędzili wieki! Tak on kochał ojczyznę, taką nas miłością przez swą pieśń napawał! Może, patrząc ustawicznie w twarz bolesną cierpiącej matki, całując rany głębokie jej serca, myjąc łzami krew, co po kochanem płużyła ciele, widział w ziemskiem obliczu świętej objawienie, może nieustannem łączeniem Bożych spraw z doczesnemi w kraju stosunkami jedne zbyt nizko postawił, drugie wyniósł nazbyt wysoko; może wtajemniczając się w te bieguny życia swojego uniesienia polotem, nie baczył, gdzie jednemu koniec, a początek drugiego; ale na tem właśnie polega jego do narodu naszego stosunek, to go robi wyrazem, treścią, słowem społeczeństwa naszego, to cechuje całe jego dla kraju i narodu znaczenie, bo ten niedostatek, skoro to niedostatkiem nazwać należy, dzieli z nim całe pokolenie nasze.

Bóg i naród: to więc słowo poselstwa, o którem wam, żałobni słuchacze, mówiłem — weźcie od mistrza to słowo na zawsze nierozdzielnie spojone przez naród i pieśń jego; nie moją podaję je ręką, weźcie je z łoża śmiertelnego naszego wieszcza

jako dziedzictwo po ojcu naszej pieśni; dawno on je wam, ziomkowie, zapisał testamentem, pisanym piórem, z nieba wziętem natchnionej pieśni, pisanym krwią swego serca i łzą swojej duszy. Weźcie tę pieśń po nim brzmiącą jeszcze w powietrzu jako własność narodową, bo on nam śpiewał jako psalm niewoli śpiewał Żydom nad rzekami babilońskiej ziemie: *Jeśli cię zapomnię, Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja. Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeżlibym na cię nie pomniał: Jeżlibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mego (Psalm 136. 5. 6).* Niechaj to słowo jego przetrwa wszystkie koleje Bożych dopuszczeń, niechaj matki śpiewają je synom i wnukom w późne pokolenia, póki się nie spodoba Bogu zamienić hasła dzisiejszego: «Bóg i naród», na godło przyświecające ojcom naszym: «wiara i wolność».

Jużem u końca o nim — a cóż wam włożę na serca, żegnając was, żałobni bracia, dziękując Tobie najprzód, Najprzewielebniejszy Arcypasterzu, i Tobie, Senacie kapłański, i Wam, duchowni bracia, i tobie, żałobny orszaku braci rodaków, za wykonanie nagrobnego płaczu, cóż wam włożę z pożegnaniem na serce? Patrzcie! Około grobowca wieszcza naszego klęczą w płaczu miliony, ale tam na szczycie mogiły klęczy sześć drobnych sierot nad sierotami, bo one po wspólnej nam wszystkim matce i po własnej matce sieroty, dziś opłakują i wieszcza narodowego i własnego ojca swojego. Podwójnym przyodziane kirem i oczu nie śmią na świat zwrócić, bo się lękają ujrzeć samotne, opuszczone, zapomniane i biedne! Narodzie! czyje to dzieci? To dzieci wieszcza twego, Narodzie! to twoje dzieci! Nie litość i miłosierdzie im się należy, ale wdzięczność ojcu powinna i uszanowanie wielkiemu dłużne nieszczęściu! Nie jałmużny dla nich wołam, bo nie chcę krzywdzic narodu, ale długu żądam, któryśmy im i ich ojcu winni! To jedno.

A teraz znajmy się do grzechów naszych, każdemu właściwych i grzechów narodowi wspólnych. A jeżeli wieszcz nasz był wyrazem narodu i ojczyzny wcieleniem, narodzie, pamiętaj o jego duszy zbawieniu! On kość z kości naszych i krew z krwi naszej, on, co żył myślą narodu, a oddychał narodu uczuciem, dzielił z narodem tak powołanie jak krewkości i grzechy; modląc się za wieszczem, modlić się będziecie za winę narodu,

a zmiłowania Bożego żebrając nad duszą jego, sami sobie nachylicie zbawienia. On pieśnią swą łączył naród z Bogiem, niech naród przez modlitwę z Bogiem go pojedna; on nam wiarę śpiewał i do wolności doczesnej nas wołał, my przez wiarę do wiecznej go wprowadzimy wolności. Niechaj święte to nabożeństwo za duszę jego nie będzie jakby cieniów zmarłych niemym pochodem i przedrzeźnianiem wiary naszych ojców, ale duch modlitwy niech weń życie wleje i niech zapali świętym ogniem serca nasze na uwielbienie chwałą wyższą od ziemskich blasków ulubieńca i wybranego syna narodu. Ten, który dla nas nie miał na ziemi pokoju, niechaj przez nas ma odpocznienie wieczne u Boga, do którego dusza jego tęskniła. Niechaj nie tęskni więcej, niechaj posiędzie cały skarb wiedzy i widzenia przez twoje modlitwy, prośbę, wstawienie, ofiary. Tak jak się za Polską modlić nie przestawacie, módlcie się za Polski wieszczem. Wtórujcie nam w prośbie naszej, święte duchy patronów naszych, złączcie się z nami, aniołów zastępy, miliony serc polskich, powtórzcie za mną:

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

Opracował: W. HAHN.

CI.

DZIEDUSZYCKI HR. MAURYCY. (RYCHCICKI M. J. A.).

(1813—1877).

Ur. 10 lutego 1813 r. w Rychcicach, w powiecie samborskim, z ojca Ludwika i matki Domiceli z Bielskich. Dziecięce lata spędził na wsi, m. innemi w Rychcicach, Zahajpolu w kołomyjskiem lub Medowie w brzeżańskiem, włościach ojca: częsta zmiana miejsca i stosunków oddziaływały korzystnie, jak sam pisze, na młodociany jego umysł, a owe peryodyczne wędrówki dały mu wcześnie poznać kraj. Początkowo uczył się w domu, pod kierownictwem matki, która zaszczepiła w nim głęboką wiarę, następnie w Drohobyczu u Bazylianów, w Czerniowcach i w Tarnopolu, gdzie kończył szkoły w latach 1828 do 1832. Wcześnie obudziła się w młodym chłopcu żyłka pisarska, już bowiem w r. 1827 ułożył pierwszy wierszyk, w r. 1829 przełożył z niemieckiego języka na francuski pięcioaktowy dramat z czasów Juliana Apostaty, p. t. «Triomphe de la religion»; z tego też czasu pochodzą: poemat z czasów wojen krzyżowych p. t. «Jadwiga» (w rękopisie), «Rycerz Czarny», «Król Kodrus» (tragedya), «Szlachta czynszowa» (nie zachowane do naszych czasów), a z późniejszej nieco epoki przekład 12 ód Horacyusza. Były to rzeczy słabe, stąd też za radą ojca zaprzestał pisania poezyi.

Z profesorów konwiktu tarnopolskiego największy wpływ wywarł na D. ks. Wincenty Buczyński, (pochodzący ze Smorgoń na Litwie) i ks. Jan Merkijanowicz, który gorliwie zajmował się nauczaniem literatury polskiej, nadto ks. Braun, pierwszy mistrz jego w nauce historyi.

W latach 1832—1836 uczęszczał na uniwersytet lwowski, studyując prawo: w tym to czasie po raz pierwszy spróbował sił swych w zakresie historyi, która odtąd miała być głównem polem działalności jego literackiej. Oto rozczytując się w Medowie w pracach historycznych, pomieszczonych w czasopiśmie biblioteki Ossolińskich, postanowił skre-

ślić historyę Galicyi, nad którą pracował do r. 1836, rzeczy tej nie wykończonej nie ogłosił jednak drukiem, jako pierwszej próby na tem polu. Drugą pracą historyczną, która go następnie zajmowała, było napisanie dziejów rodziny Dzieduszyckich: zaczął zbierać materyały, między innemi poczynił liczne wypisy z archiwum bernardyńskiego; z materyałów tych powstała potem «Kronika Dzieduszyckich».

Po ukończeniu uniwersytetu wstąpił do służby politycznej w namiestnictwie galicyjskiem, karyery jednak nie zrobił, bo jak pisze sam: «całe życie szedł tylko za sercem, a nigdy nie imponowały mu ani pieniądze, ani względy światowe»: ponadto trzy wielkie przywary, jak wspomina, nie dały mu zrobić karyery: «pierwsze, że był zawsze katolikiem, czyli t. zw. ultramontanem, drugie, był więcej literatem, niż urzędnikiem, trzecie, że nie poświęcając dla żadnych względów własnego przekonania, śmiało i otwarcie pisał i mówił to, co mu sumienie dyktowało i co mu prawdą być się zdawało, a w szczególności pamiętał, że jest Polakiem».

W r. 1844 został sekretarzem gubernialnym, 1847 członkiem ówczesnych stanów krajowych, 1854 radcą namiestnictwa, 1855 szambelanem, 1860 członkiem krajowej dyscyplinarnej Komisyi, 1861 członkiem Komisyi ustanowionej dla spraw osobistych i dyscyplinarnych urzędów powiatowych.

Kiedy ks. Jerzy Lubomirski nie przyjął warunków rządu, pod jakimi miał zawiadywać Zakładem nar. im. Ossolińskich we Lwowie aż do utworzenia majoratu z dóbr przeworskich, poruczył rząd austryacki zarząd Zakładu D-mu w r. 1851; po cofnięciu tej uchwały w roku 1863 Ministeryum Stanu i Sprawiedliwości poleciło rządowi krajowemu lwowskiemu mianowanie zastępcy kuratora literackiego; sąd zamianował nim w r. 1864 D-o ponownie. Na tem stanowisku położył D. znaczne zasługi jako administrator, m. i. spłacił wszystkie długi Zakładu, zapewniwszy w ten sposób normalny rozwój instytutu na przyszłość, budynek sam zrestaurował.

On pierwszy jasno określił stanowisko Zakładu: «Zakład na podstawie swych statutów nie jest głównie ani wydawnictwem materyałów dziejowych, ani zakładem dziennikarskim. Jest on przedewszystkiem biblioteką — a biblioteką polską, — która musi być starannie przechowywaną, powiększaną i służyć ciągle do użytku publicznego». (W sprawozdaniu Zakładu z r. 1862). Na kusztosza Zakładu powołał D. Karola Szajnochę, a po nim F. Ks. Godebskiego. Zasłużył się też nauce polskiej rzetelnie, podjąwszy w r. 1854 wydawnictwo «Słownika Lindego» w 6 tomach, w latach zaś 1862—1869 «Biblioteki Ossolińskich, pisma historyi, literaturze, umiejętnościom i rzeczom nakowym poświęconego». Słusznie też pisze o nim W. Kętrzyński, że zostawił o sobie pamięć dobrą, świadczącą, iż pomimo tego, że kuratorem był narzuconym, jednak jako zacny Polak dbał o dobro powierzonego sobie Zakładu narodowego. Z innych zasług D., wspomnieć jeszcze należy o założeniu przez niego w r. 1856 Zakładu karnego

poprawczego dla kobiet im. Maryi Magdaleny we Lwowie. W r. 1876 został wybrany posłem do Sejmu krajowego. Umarł w roku 1877, 22 kwietnia.

Gorliwy katolik, starał się zasady swe przeprowadzać zarówno w życiu, jako też w swych dziełach. Nie narzucał jednak swych przekonań innym, jakkolwiek wypowiadał je i bronił ich z rzadką odwagą cywilną. W zakresie swej działalności położył znaczne zasługi, dzięki wytrwałej pracy i sumiennemu wykonywaniu obowiązków. Na polu literackiem główne znaczenie mają dzieła jego historyczne, w których przeważnie zajmuje się historyą Kościoła w Polsce: ten zakres studyów pozostaje w związku z jego przekonaniem, że przeszłość narodu polskiego można należycie ocenić tylko z punktu katolickiego. Do najważniejszych prac jego w tym kierunku należą dwa obszerne dzieła: «Zbigniew Oleśnicki» i «Piotr Skarga i jego wiek«.

W postaciach tych widział D. głównych przedstawicieli idei katolicyzmu w Polsce, stąd też przedstawienie ich roli dziejowej oparł na gruntownych, sumiennych, badaniach. Obie monografie nie są wolne od błędów w przedstawieniu motywów działalności obu postaci, — odnosi się to zwłaszcza do «Oleśnickiego», którego mylnie przedstawia jako oddanego bezwzględnie stolicy apostolskiej — tak samo i ocena Skargi nie zawsze zgodna z istotnym stanem rzeczy. Mimo wszystko słusznie pisze o nim Szujski, że był to konstrukcyjny dziejopisarz znakomitego talentu, szerokiego i śmiałego objęcia rzeczy, że wniósł w naukę naszą kwestye pierwszorzędne, nierozstrzygnięte dotąd, a wniósł w czasie, gdzie doktrynerstwo Moraczewskiego było w dziejach XVI i XVII wieku jedynym prawie panem placu, z drugiej jednak strony przyznaje, że jako apologeta katolicyzmu, nie wszędzie zasłonił go dosyć skutecznie przeciw możliwym zarzutom — że poszedł czasem za daleko w bezwzględnej obronie idealnych swych postaci. Pozatem ogłosił szereg innych prac historycznych, literackich i społecznych. Na uwagę zasługują jeszcze: *Die staatsrechtlichen Verhältnisse der Herzogtümer Oświęcim und Zator geschichtlich und urkundlich dargestellt* (bezimiennie 1848): pracę tę wygotował na żądanie F. Smolki dla deputacyi polskiej na sejm frankfurcki 1848 r.; przedstawił w niej wywód historyczny praw Polski do obu tych księstw, by w ten sposób wystąpić przeciw roszczeniom Rzeszy niemieckiej do tych ziem, gdyż wybory do parlamentu frankfurckiego rozciągnięto także na Oświęcim i Zator. Rząd, dowiedziawszy się o tem, zniszczył wszystkie egzemplarze tak, że do dziś dnia zachowały się tylko dwa egzemplarze tego dziełka: jeden przechowywany w rodzinie, drugi w Wydziale Krajowym.

W r. 1869 ogłosił rozprawę: «Wyrobienie i ustalenie urzędowego polskiego stylu», gdzie mówi: 1) o tłómaczeniu najważniejszych zwrotów urzędowych; 2) o błędach gramatycznych; 3) używaniu wyrazów we właściwem ich znaczeniu; 4) o toku i składni zgodnych z duchem języka polskiego; 5) o germanizmach. Ułożył nadto «Prze-

gląd dziejów polskich» (wierszem), który zyskał aprobatę Rady szkolnej Krajowej i Wydziału Krajowego dla szkół. Ze studyów społecznych ważniejsze są: »Ojczyzna» (1867), «Samobójstwo» (1876), «Nieprzeliczeni» (1877), w którem określa psychologię głupoty, wraz z odcieniami jej: zarozumiałością, łatwowiernością i lekkomyślnością: ostatnie dwie wady uważa za charakterystyczne cechy społeczeństwa polskiego. Ogłosił biografię W. Pola, wziął go też w obronę przed zarzutami Ujejskiego. Niektóre swe prace ogłaszał pod pseudonimem M. J. A. Rychcicki.

BIBLIOGRAFIA.

«Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków». Bibl. nauk. Zakładu nar. im. Ossolińskich, 1842—1844 i osobno: Lwów, 1843—4. «Tadeusz Dzieduszycki i początki Konfederacyi barskiej». «Przyjaciel ludu»; Leszno, 1843 nr. 29 i 30 (bezimiennie). «Die staatsrechtlichen Verhältnisse der Herzogtümer Oświęcim und Zator geschichtlich und urkundlich dargestellt» 1848. «Piotr Skarga i jego wiek»; Kraków, 1859. Wydanie 2, przejrzane i znacznie powiększone. Kraków, 1868—9. «Zbigniew Oleśnicki»; Kraków 1853—4. «Krótki rys życia Kazimierza Badeniego»; Kraków, 1854. «Hymn o św. Krzyżu, śpiewany przy nabożeństwie wielko-piątkowem»; przełożył z mszału. Lwów, 1854 (z tekstem łacińskim obok i melodyą). «Sprawozdanie z czynności Zakładu nar. im. Ossolińskich za lata 1851—1856; Lwów, nadto za lata 1857, 1858, 1859, 1860. «Notatki historyczne o starostach, a mianowicie mławskich». Bibl. warsz. 1856 t. III. «Szachy w Polsce». Dodatek do «Czasu» 1856, t. III, str. 3—42. «Pojedynki». Tamże 1857, t. III, str. 5—59. «Rzut oka na stan religijno-obyczajowy Polski w XVIII wieku». Tamże, 1857, t. IV, str. 291—370. «Wacław Hieronim Sierakowski, arcybiskup lwowski». Dodatek tyg. «Gazety Lwowskiej» 1858 i osobno: Kraków, 1868, 8 vo., str. 303. «Co się komu należy». Słowo o p. Kornelu Ujejskim i o p. Wincentym Polu. Lwów, 1860, str. 35. «Święty Stanisław biskup krakowski wobec dzisiejszej dziejowej krytyki»; Lwów, 1865, str. 112. «Kronika domowa Dzieduszyckich»; Lwów, 1865. «Ojczyzna»; Lwów, 1867, str. 107. «Powieść z dawnych czasów»; Lwów, 1868, 8 vo., str. 192. «Starostowie ruscy i lwowscy». Dodatek do «Gazety lwowskiej» 1869, przedruk w Unii 1871, po raz trzeci opracowano w «Przewodniku nauk. i lit.» 1875. «Wyrobienie i ustalenie urzędowego polskiego stylu»; Lwów, 1869. «Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego»; Lwów, 1872. «Krystyna, Królowa szwedzka»; «Przegląd lwowski, 1873. «Dwie polityczne unie [lubelska i kalmarska]»; «Dodatek do Gazety lwowskiej», 1873. «Pieśń o dziejach polskich»; Poznań, 1873, str. 67 (ogłoszone po raz pierwszy w kalendarzu «Lecha» 1871). «Książę Andrzej Poniatowski». «Gazeta lwowska» 1875, nr. 124—131. «Studyum o papieżach»; Kraków, 1875. «Rys dziejów Kościoła katolickiego w Szwecyi»; Kraków, 1875. «Przeszłowieczny dziennik lwowski» [Dziennik patryotycznych polityków 1792—8]. «Przew. nauk. i lit.» 1875. «Spiż. Przewodnik nauk. i lit.» 1876. «Samobójstwo»; Lwów, 1817, 8 w., str. 146. «Życiorys W. Pola» w wydaniu dzieł lwowskiem, t. VIII, (1877). «Nieprzeliczeni». Studyum psychologiczne; Tamże, 1877. «O synodach katolickich w dawnej Polsce». «Przegląd lwowski» 1880. Pomniejsze artykuły ogłaszał nadto w «Telegrafie lwowskim», «Dodatku miesięcznym do Czasu», «Przeglądzie lwowskim».

Rękopisy: Kantecki w biografii D. podaje wiadomość o rękopisach genealogii Wiśniowieckich, Herburtów, powieści historycznej nie dokończonej p. t. «Cucułowce», (bohaterem jej Jerzy Dzieduszycki, koniuszy w. k.), komedyi «Mandat poselski», granej w Krakowie, nadto pamiętnika p. t. «Wspomnienia z domu i wędrówek». Rozmaite rękopisy znajdują się dziś w posiadaniu Klemensa hr. Dzieduszyckiego i Anny hr. Wolańskiej. Por. nadto rękopis Bibl. Akad. Umiej. w Krakowie nr. 776 (2 listy D-o do Tadeusza Wolańskiego) i rękopis Bibl. Ossolińskich we Lwowie nr. 2432, (w korespondencyi Bielowskiego).

Literatura. 1) Autobiografia w «Kronice domowej Dzieduszyckich» (por. wyżej) str. 463—73, tamże spis prac i wyliczenie wszystkich artykułów o nim do r. 1865. 2) Spis prac: Estreichera: «Bibliografia polska» t. I i VI, i Finkla: «Bibliografia historyi polskiej III, str. 2055. 3) «Encyklopedya kościelna» tom IV; (Warszawa, 1874) str. 449—51. 4) Stanisław Załęski T. J.: «Mowa żałobna na pogrzebie ś. p. M. hr. Dzieduszyckiego. We Lwowie, 1877 8 vo., str. 19. 5) Klemens Kantecki: M. D. «Tygodnik illustrowany» 1877, I, 295—8, 307—8, 385. 6) Józef Szujski: M. D. «Przegląd polski» 1877 maj. 315—8. Dzieła. Serya I, tom VII, 508—12.7) M. Dzieduszycki. «Czas» 1877 nr. 93. 8) E. S. Ś(wieżawski): M. D. «Złota przędza» III, 750. 9) A(dam) B(ełcikowski): M. D. «Wielka encyklopedya powszechna ill.» XVII, 573. 10) Dr. Wojciech Kętrzyński: Zakład nar. im. Ossolińskich, Lwów, 1894, str. 28—33. 11) Władysław Smoleński: «Szkoły historyczne w Polsce». Warszawa, 1898, str. 76—78. 12) Ludwik Dębicki: «Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia». Kraków, 1906. Serya II, s. 243 - 251

Zbigniew Oleśnicki (1853).

797) § II. *Kościół* i *Państwo!* te dwa wielkie pojęcia, które w życiu Zbigniewa tak żywotne mają lica, a dziś chaotycznemu podlegają zamętowi, są przecież głównemi podstawami ludzkiego społeczeństwa i odpowiadają dwom pierwiastkom samego człowieczeństwa: *duszy* i *ciału*, mając jak i te nie taki sam początek, odrębne bezpośrednie cele i właściwe do osiągnienia tychże środki.

Bo człowiek złożony z duszy i ciała ma cele wieczne, ma i doczesne: chodzi mu głównie o środki dopięcia onych, o osiągnienie szczęścia wiekuistego i pomyślności doczesnej, która jako przemijająca jest oczywiście podrzędną tamtemu.

Rozum ciałem skrępowany i w skażonym swym stanie przechylający się łatwiej do fałszu jak do prawdy (co postrzegali sami już pogańscy mędrcy), nie zdoła sięgnąć bezpiecznie i z zupełnem przeświadczeniem nieomylności wyżej nad doczesność, nie podoła więc sam głównemu zadaniu swego istnienia, i uczą nas dzieje filozofii i świata, jak niewłaściwie obierał ku temu drogi, i że dotąd nic zaspakajającego w tej mierze odkryć sam nie zdołał. Ten rozum ma zaś w sobie dostateczne zasady do kierowania się w ziemskiej swej pielgrzymce, o ile ta zmierza do materyalnej pomyślności; może wyrobić sobie z doświadczenia pewne prawidła, służące do osiągnienia jej w takiej objętości, jaka na tej ziemi jest możliwą. Bóg więc, jedyny sprawca wszelkiego jestestwa, wszelkiej siły, a więc i *władzy*, która jest tylko *umocowaniem do prawnego wywierania siły*, nie mógł nie zachować ją sobie co do *dusz*, a chciał zlać ją niejako na towarzystwo ludzkie co do *ciał*: co nieśmiertelne, tego kierunek zatrzymał w swem ręku, co znikome i przemijające zdał po większej części na rozum i wolną wolę ludzi.

Co do pierwszego przepisał sam *bezpośrednio* prawa, wytknął drogę, dał przewodników, słowem, ustanowił *kościół;* co do drugiego, *pośrednio* tylko moc swą wywierając, użyczył najszlachetniejszemu swemu stworzeniu nieocenioną wolność w wyborze i ukształceniu warunków istnienia swego na ziemi, ku osiągnieniu doczesnej jak największej pomyślności i dobrego a swobodnego bytu w *państwie*. Kiedy więc w Kościele, mającym prowadzić ludzkość przez cnotę do wiecznej szczęśliwości, władza musi być koniecznie pochodzącą od Boga bezpośrednio, w państwie, którego zadaniem jest osiągnienie szczęścia doczesnego połączeniem i zespoleniem wszystkich sił ono składających, władza pochodzi wprawdzie *pośrednio* także od Boga (gdyż taką uczynił ludzką naturę, że musi żyć w społeczeństwie, a więc pod kierunkiem jakiejś władzy), ale co do swego kształtu, sposobu i granic, w jakich się wykonuje, osób, jakim jest powierzona, zależy *bezpośrednio* od przyzwolenia, wyboru i postanowienia samychże członków społeczeństwa, różnymi sposobami objawić się mogącego.

A jak sposób ukształcenia się obu władz i bezpośrednie ich *cele* zupełnie są równe, tak po większej części i *środki* do osiągnienia onych: w Kościele głównie duchowne, na umysł i serce działające, w państwie głównie zmysłowe, wymierzone i obliczone na zewnętrzne zachowanie się i zastosowanie do wspólnych okoliczności i potrzeb, a więc praw odpowiednio uchwalonych. Te cele i środki tak różne nie mogą z istoty swej w niczem się krzyżować ani sobie wzajemnie przeszkadzać: owszem, jak wszystko, co się opiera na prawdzie, a ma za cel dobro ludzkości, stanowczo *sobie pomagają*. Bo jeżeli *państwo* wpływa na pomyślność Kościoła nie tylko *pośrednio*: ugruntowując spokój, powszechny dobry byt, bezpieczeństwo osób i majątków, a więc ułatwiając mu opowiadanie jego nauki a wiernym jej wykonywanie; ale i *bezpośrednio*: dozwalając mu swobodnego rozwoju, dając samo przykład uszanowania dla jego przełożonych i dbałości o jego majątki, broniąc go też od zewnętrznych napaści, to *kościół* odpłaca mu te ogólne przysługi w trójnasób szczegółowo: jednocząc ludzi w sposobie myślenia, kształcąc ich zasady i obyczaje, podnosząc obowiązki, na których stoi państwo, do rzędu cnót, ucząc, jak każdą władzę piastować i jak ją szanować, przedstawiając obywatelom, małżonkom, rodzicom, nauczycielom, urzędnikom, sędziom, żołnierzom i wszystkim stanom do wypełnienia ich powołania daleko wyższe pobudki i zachęty, jak doczesne (od państwa wymierzać się mogące) nagrody i kary, a tak popierając dziwnie usiłowania każdej świeckiej władzy, tem, że szczepi *dobrą wolą, przychylność i przywiązanie* tam nawet, gdzie państwo jedynie prawie *przymusu* użyć może. W społeczeństwie, któreby było szczerze katolickiem, nie jest możliwym ani despotyzm z góry, ani z dołu, ani tyran, ani rewolucya. Pierwszy bowiem Kościół *uświęcił* władzę, każąc oraz jej samej uważać się tylko jako narzędzie Boskiej sprawiedliwości, opatrzności i miłosierdzia. Dawne pogańskie rządy panowały dla *siebie*, przychodziły do władzy przemocą i siłą się na niej utrzymywały: katolicyzm dopiero sprostował wyobrażenia, uczynił władców szanowniejszymi, a posłuszeństwo łatwiejszem. Postrzegł to już *Rousseau* i powiedział

bez ogródki w swoim *Emilu*, przyznał to i *Montesquieu*. Co więcej, Kościół, nie ograniczając się na pewien płat ziemi, utwierdza i obopólne stosunki między władzami różnych krajów, zbliża je ku sobie ogniwami wspólnej wiary, przekonania, obyczajów, a stąd większej przychylności i zaufania, łagodzi niezbędne czasami a ludzkiemi namiętnościami wywołane starcia się i czyni wojny mniej krwawemi.

§ III. Znaleźli się przecież ludzie niepohamowani w swych pożądliwościach i ambicyi, znalazły się i niepowściągliwe władze świeckie, które, nie poprzestając na doczesności, same zadania duchowne, dusze i przekonania w moc swą zagarnąć zamierzyły. W błędnem zaślepieniu, jakoby tym sposobem wiele zyskały, na nic się nie oglądały, byle dopiąć tego celu, a zdybując na drodze swej Kościół, nie wahały się albo go wprost jawnem prześladowaniem obalić i z granic swych państw wyrugować, albo przynajmniej podciągnąć go pod swój najwyższy kierunek. W tym-to zamiarze wynaleziono i ogłoszono owe potworne nauki, «*że świecka władza wyższą jest nad duchowną; że nie można cierpieć państwa w państwie*; *że kościół jest właściwie w państwie, a nie państwo w kościele*» i t. p. Jeżeli jest prawdą, że mamy nieśmiertelne dusze, że z życiem ziemskiem nie tylko nie kończy się wszystko, ale że owszem to życie jest jedynie przejściem i przygotowaniem do głównego celu naszego istnienia, to każdy przyzna: że instytucya, wiodąca ludzkość do tego celu, nie może być podrzędną instytucyom mającym zadanie przemijające, że władza w tym celu bezpośrednio od Boga ustanowiona nie może być podległą władzom pośrednio do przeprowadzenia innych celów od niego umocowanym. Kościół, będąc instytucyą różniącą się od państwa początkiem, celem i środkami, nie naruszającą go w niczem, mogącą istnieć przy niem i mimo niego, pomagającą mu owszem jako odrębna a sąsiednia instytucya, jakże może być zwanym *państwem w państwie*? Ktokolwiek jest w stanie rozeznać całość od części, większość od mniejszości, to, co jest ogólniejsze i dawniejsze, od tego, co szczegółowe i późniejsze, ten nie będzie nigdy utrzymywał podobnej niedorzeczności: *bo ani kościół nie jest w państwie, ani każde państwo w kościele*. Powołaniem Kościoła jest objąć całą ludzkość: i już Tertulian powiedział,

«*że jedną znamy rzeczpospolitą, wspólną wszystkich ojczyznę: świat!*» Ma istotnie Kościół we wszystkich jego częściach niezliczone swe członki, nie zna granic geograficznych ani kongresowych, i istniał wprzód, nim wszystkie dzisiejsze państwa, rządy, a nawet narody. Obaczymy owszem niżej, że jemu po wielkiej części zawdzięczają dzisiejsze państwa swe istnienie i ukształcenie. Skoro gdziekolwiek ludzie przyjęli wiarę, już tem samem stali się członkami Kościoła powszechnego i uznali jego władzę bez względu na to, czy byli jeszcze w stanie dzikim, gdzie żadne tak zwane państwo nie istniało, lub czy już byli i zostali nadal obywatelami jakiegoś państwa. Nowy ich a odrębny zupełnie *duchowno-synowski* stosunek do Kościoła, nowe braterstwo z wyznawcami tejże wiary w innych państwach, nie odmienił w niczem, ale chyba tylko uszlachetnił i uzacnił ich stosunek *cywilno-polityczny* do właściwej im świeckiej władzy, która mogła być innego przekonania, owszem, hołdować pogaństwu, jak to widziano naprzykład w państwie rzymskiem, lub nauce Mahometa, jak po dziś dzień władcy tureccy i inni na Wschodzie. Monarchowie zaś i osoby piastujące świecką władzę zostając katolikami, wchodzili także do Kościoła, a nie Kościół do nich, stawali się członkami wielkiego duchownego ciała, społeczeństwa nierównie obszerniejszego nad to, któremu przewodniczyli, a dlatego nie podgarnęli tamtego pod swoją (inny zakres mającą) władzę. Schylając głowy przed prawdą Boską i uznając w Kościele nieustającego jej przechowawcę, nie zarzucili dlatego obróży na karki opowiadaczów tej prawdy i kierowników społeczeństwa duchownego, bo do tego od Boga nie *byli nigdy*, a od ludzi *nie mogli być* umocowani. Szczęśliwa okoliczność, że przybył do grona wiernych taki członek, który miał władzę świecką nad jakimś krajem lub narodem, był dla wszystkich nową pociechą i nadzieją, a stosunek jego do dotychczasowych jego poddanych także w tem tylko się odmienił, że się uzacnił, że nabrał w oczach wierzących większej jeszcze powagi, że mu tem chętniej, *bo sercem*, oddawali hołd i posłuszeństwo. Widzimy zresztą po dziś dzień państwa, których pojedyńczy tylko obywatele są członkami Kościoła, państwa te *jako państwa* nie są bynajmniej w Kościele. Zasada: że *kościół jest w państwie*, a władza *tegoż wyższą jest od du-*

chownej, umarza zupełnie ideę Kościoła, w takim bowiem razie zniknęłaby jego jedność i istota, ponieważ jego nauka, rząd, osoby, ustawy zawisłyby według tej zasady w państwie pogańskiem lub mahometańskiem od *woli, widzimisię* i politycznych widoków poganina, sułtana: prawodawcą i zawiadowcą Kościoła byłby wielki wezyr lub nawet pierwszy lepszy adjutant lub pułkownik gwardyi. Ale państwa katolickie są rzeczywistymi członkami Kościoła nawet jako *państwa*, a nie tylko w pojedynczych swych obywatelach, bo niedawno dopiero wynaleziono sofizma (niemniej niedorzeczne jak powyższe), jakoby wyznawcy Kościoła li-tylko *jako ludzie*, nie zaś *jako obywatele państwa* byli podlegli Kościołowi! Prawda, że mu nie podlegają w rzeczach, do których Kościół nie jest postanowiony i nad któremi sam swej władzy nie rozciąga, tak jak nie podlega członek stowarzyszenia handlowego lub żołnierz przepisom towarzystwa swego lub regulaminu w rzeczach do tegoż nie należących, ale to porównanie nie da się tu zupełnie zastosować: bo w członku stowarzyszenia lub żołnierzu łatwiej jeszcze da się rozróżnić ten charakter szczegółowy od ogólnych cech człowieczeństwa: kiedy przeciwnie ten sam człowiek nie może być żadną miarą pomyślanym i jako katolik i jako ateusz, a stosunek do Kościoła jest tak ścisłym, przepisy jego tak obejmują wszystkie inne stosunki, tak nadają im wszystkim pewne prawidła i granice, że ledwoby się dało coś wynaleźć, w czemby obywatel państwa, pełniąc swe obowiązki, nie musiał się oglądać na przepisy wiary i Kościoła, a więc nie był mu podległym, przestawał być jego członkiem. Państwo zaś katolickie, nie będąc niczem innem, jak stowarzyszeniem się takich obywatelów, jest już tem samem, jako zbiór członków tego Kościoła, wielkim onego członkiem, a mając jako państwo ten sam początek władzy, co i Kościół, to jest: Boga, nie może dlatego, że ma inne bliższe doczesne zadanie, być z istoty swej przeciwnem ustawie głównej, najważniejsze cele ludzkości obejmującej, lub o nich nic nie wiedzieć i niemi się nie troszczyć. Bo gdyby inaczej było, pochwalilibyśmy pewną, jakąby dziś w Ameryce znalazł ludność, która zawiązując się dopiero w państwo, będąc już oddawna katolicką, nagle, i dlatego tylko, że w państwie chce osiągnąć spokojność, bezpieczeństwo i pomyślność materyalną, przestałaby troszczyć się o wyższe daleko cele ludzkości: pochwalilibyśmy osoby, od niej do rządu powołane, które dlatego samego odwróciłyby się od Boga i nie chciały nic słyszeć o duszy i przyszłem życiu, albo zaczęły wołać głośno, że teraz od nich tylko zależy stanowić o tem przepisy!... Widzimy więc, że państwo ma względem Kościoła daleko większe nawet obowiązki, jak każdy pojedyńczy jego członek, będąc potężnym zbiorem jego członków i *mogąc* więcej dla niego uczynić. Owszem: *powinno* mu dopomagać *w własnym dobrze zrozumianym interesie*. Bo jeżeli samo osłabi lub dozwoli innym zachwiać władzę i wpływ kościelny, pozbawi się wszystkich owych tak dzielnych pomocy i zasobów, które z nauki kościelnej czerpie dla własnego zadania. Naruszając samo zasadę uszanowania i uległości dla prawnej władzy w Kościele, jakże będzie mogło wymagać, aby ludzie szanowali ją w niem? Rozrywając przysięgi, depcąc wszelką powagę i żywych i umarłych, i układów i testamentów i podań dziejowych, na czemże oprze, do czegoż odwoła się samo? Czem zastąpi to wszystko, skoro z jednej strony samo nauczy, jak obalać wszystko, a z drugiej straci ową przychylność, poważanie i dobrą wolę w ludach, którą tylko nauka kościelna mocno ugruntować i utrzymywać może? Orężem, więzieniem, wygnaniem, rusztowaniem? Czyż nie ma historya dość przykładów dowodzących, jak te smutne środki są nieudolnymi do powściągnienia żywiołów i namiętności rozpasanych rozerwaniem węzłów kościelnych?

BIBLIOTEKA BIAŁYMSTOKU WOJEWÓDZKA
16542

Opracował: W. HAHN.